



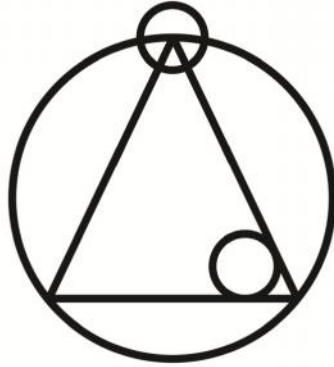
Co wylądowało  
w lesie Rendlesham



m a t e u s z   k u d r a ñ s k i

[www.wlesie.com](http://www.wlesie.com)

MATEUSZ KUDRAŃSKI



Co wylądowało  
w lesie Rendlesham



© **Copyright by** Mateusz Kudrański  
Projekt okładki oraz ilustracje: Mateusz Kudrański

2013

MATEUSZ KUDRAŃSKI

**Co wylądowało w lesie Rendlesham?**

Wydanie I – edycja limitowana

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody autora.

Książka dostępna tylko poprzez stronę:  
**[www.wlesie.com](http://www.wlesie.com)**

ISBN 978-83-937505-1-1

tel: 666233294  
[mkudranski@gmail.com](mailto:mkudranski@gmail.com)

Dla mojej kochanej Żony



## Rozdział 1

### Las

Czwórka nastolatków biegła z równą prędkością po udeptanej wąskiej leśnej ścieżce. Ubrani byli w granatowe krótkie spodnie i bluzy z kapturem tego samego koloru. Ich sylwetki przenikały przez zakradające się przez pnie drzew ciepłe, pomarańczowe promyki wschodzącego słońca. Odgłos uderzeń ich sportowych butów o żwirową drogę akompaniował śpiewom rozweselonych ptaków.

Jersey uwielbiał zapach lasu o poranku. Z wolna ulatniająca się w górę wilgoć mieszała ze sobą cząsteczki woni roślin, grzybów oraz innych organizmów, tworząc delikatny aromat nigdzie indziej niewyczuwalny.

To było warte wstawania przed szóstą rano.

Tempo...Tempo...Tempo...

Brązowooki, wysoki, atletycznie zbudowany krótko ścięty brunet o ciemnej karnacji nie mógł pozwolić sobie na odchylenie od normy. Codzienne bieganie z rana było nie tylko rutyną pomagającą szlifowaniu samodyscypliny, było również hartowaniem ciała. Chciał być najlepszym z najlepszych. Chciał kontynuować to, co jego ojciec zaczął. Wiedział, że tylko dzięki systematycznym treningom oraz świetnym wynikom w nauce będzie mógł dołączyć do elity. W jego przypadku stwierdzenie, że ma głowę w chmurach, było jak najbardziej właściwe. To było całe jego życie. Chciał zostać pilotem myśliwca.

Tempo... Tempo...Tempo...

Jego brat Ice inaczej na to patrzył. Wystarczyło, że mieszkał na terenie jednostki wojskowej. Nie musiał być pilotem. Nie miał wielkich marzeń. Nieważne gdzie w armii, po prostu chciał być jej częścią. Denerwowała go zbyt poważna postawa Jersey, dlatego często mu dokuczał i z nim rywalizował.

Biegli razem w parze, jeden obok drugiego. Niski, smukły, trochę piegowaty, blond włosy nie dłuższe niż jeden milimetr, oczy brązowe. Całkowite przeciwieństwo swojego brata bliźniaka, no może za wyjątkiem długości włosów, którą mieli jednakową. Jeszcze tylko siedem minut – pomyślał Ice, odwracając wzrok od swojego zegarka. Był zmęczony, nie spał dobrze w nocy. Swędzenie. Drapanie. To jedyne, o czym chciał zapomnieć.

– Zastrane angielskie komary – burknął pod nosem. Poranne maratony miały swoje plusy, komary o tej porze dnia nie dzielają egzystencjalnych zapalów ludzi i wolą siedzieć w jakiejś pieczarze, rozmnażając się ku diabelskiej uciechu.

Tempo...Tempo...Tempo...

Boogie czuł, że jego nogi sztywnieją. Znaczyło to, że już niedaleko do mety. Oczy zalal mu pot. Zdjął delikatnie okulary i przetarł mokre, niebieskie oczy. Wyższy od pozostałej trójki rówieśników, znacznie odstawał podczas treningu. Kombinacja dużego wzrostu oraz szczupłości ma swoje minusy. Nogi oraz kręgosłup dawały się we znaki dużo wcześniej niż u jego kolegów. Boogie lubił być wysoki, do tego stopnia, że swoją fryzurą dokładał sobie dodatkowe dziesięć centymetrów. Gęste loki – jak koledzy się podśmiewali – tworzyły idealne gniazdo dla ptaków.

Poczuł skurcz. Szybko położył dłoń na górnej części uda, próbując rozmasować mięśnie.

– Co jest, Boogie? Coś się stało? – zapytała biegnąca obok czarnowłosa koleżanka. Uśmiechając się, puścił do niej oko na znak, że wszystko jest w porządku. Dłoń wróciła z powrotem do wymachów, a on sam, zagryzając wargę, próbował zamaskować kłujący ból w mięśniach.

Maggie nie była głupia, już nieraz widziała, jak Boogie masuje sobie nogi. Wiedziała, że kiedy szesnastolatek w ciągu jednego roku rośnie nagle pięćdziesiąt centymetrów, to musi to mieć jakieś konsekwencje na tle kostno-mięśniowym. Wiedziała o tym, ponieważ jej pasją była biologia. Jej idolem – własny tato, który jako



naukowiec pracował dla armii.

Ech, ci chłopcy. Ważniejsza duma niż zdrowie – pomyślała, udając, że nie widzi poświęcenia swojego kolegi.

Nie była zwykłym kujonem noszącym wielkie okulary przyszlaniające przyszczate czoło. Tak się składało, że była nie tylko najładniejszą dziewczyną w szkole, ale również w całej okolicy. Sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, czarne duże oczy, okrągła buzia, długie czarne włosy – te cechy wyróżniały ją znacznie spośród innych dziewcząt. Mnóstwo chłopaków podkochiwało się w niej. Była lokalną gwiazdą. Jej samej natomiast nie interesowały zaloty chłopców. Tak naprawdę to starała się o nich zapomnieć. A to wszystko po tym, jak jeden z nich złamał jej serce kilka miesięcy wcześniej.

Mimo wakacji i wolnego od szkoły, pracowali ostro nad sobą. Nie byli jak przeciętne dzieciaki, które lubią pospać do 10 rano. Jako dzieci mundurowych cenili sobie samodyscyplinę. Starali się. Chcieli w przyszłym roku jako jedna klasa zdobyć medale za osiągnięcia w lekkoatletyce. Tempo...Tempo...Tempo...

Przeskakując przez zwalone drzewo, przyśpieszyli. W oddali widzieli już koniec lasu oraz więcej światła zagładającego przed korony drzew.

Coś blysnęło z boku. Jersey odwrócił głowę, lecz nic więcej nie zobaczył. Musiało mu się przywidzieć. Coraz trudniej było złapać oddech, serce waliło mocno w klatkę piersiową.

Zapach lasu dodawał energii. Pędzili prosto przed siebie. Jeszcze tylko kilkaset metrów na ostatnim odcinku przez malutką kotlinkę leśną.

Ta część joggingowej trasy położona była niżej niż zbocza otaczające las, jako bardziej stroma ułatwiała przyśpieszenie. Tutaj zawsze lubili się ścigać, wypompowywać ostatnie siły.

Ice uniósł kącik ust, lekko się uśmiechając. Przyspieszył. Wyrwał się z grupki. Chciał być tym razem pierwszy. Jersey nie musiał długo czekać, wyleciał zaraz za nim.

– Dawaj! Wierzę, że nie jesteś aż taki słaby! – krzyknął Jersey, zbliżając się do brata.

– Wal się! Dzisiaj wygrana jest moja! – uciął i jeszcze mocniej przyspieszył.

Maggie i Boogie popatrzyli na siebie, przewracając z politowaniem oczami.

Jersey napiął mocno mięśnie. Tylko dwa metry dzieliły go od brata. Ice rzucił okiem za siebie, sprawdził swoją przewagę. Po raz drugi ironicznie uniósł kącik swoich ust. Był pewny zwycięstwa. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów.

– Al!!! – krzyknął Jersey.

– Nie udawaj!!! – skomentował Ice.

– Nie udaję, kretynie! Mucha mi wpadła do oka!

– Mucha! Jasn...TFU!!! TFU!!! Co jest kur...TFU!!! Mucha!!! Nie pozwolę, żeby jakaś mucha stanęła mi na drodze do wygranej!

Ice zamknął oczy i usta. Sklonił głowę ku ziemi i jeszcze bardziej przyspieszył. Jersey był tuż za nim. Coraz bliżej do mety. Coraz mniej sił. Oddech coraz szybszy. Mięśnie coraz cięższe, coraz bardziej drętwie.

– Szybciej, szybciej, szybciej! – dopingował się Jersey.

– Pędzą jak walnięci, przecież wiedzą, jak tam jest stromo, czy oni kiedyś dorosną? – zapytała Maggie.

– Ej, co to jest? Widzisz to? – dopytywał Boogie.

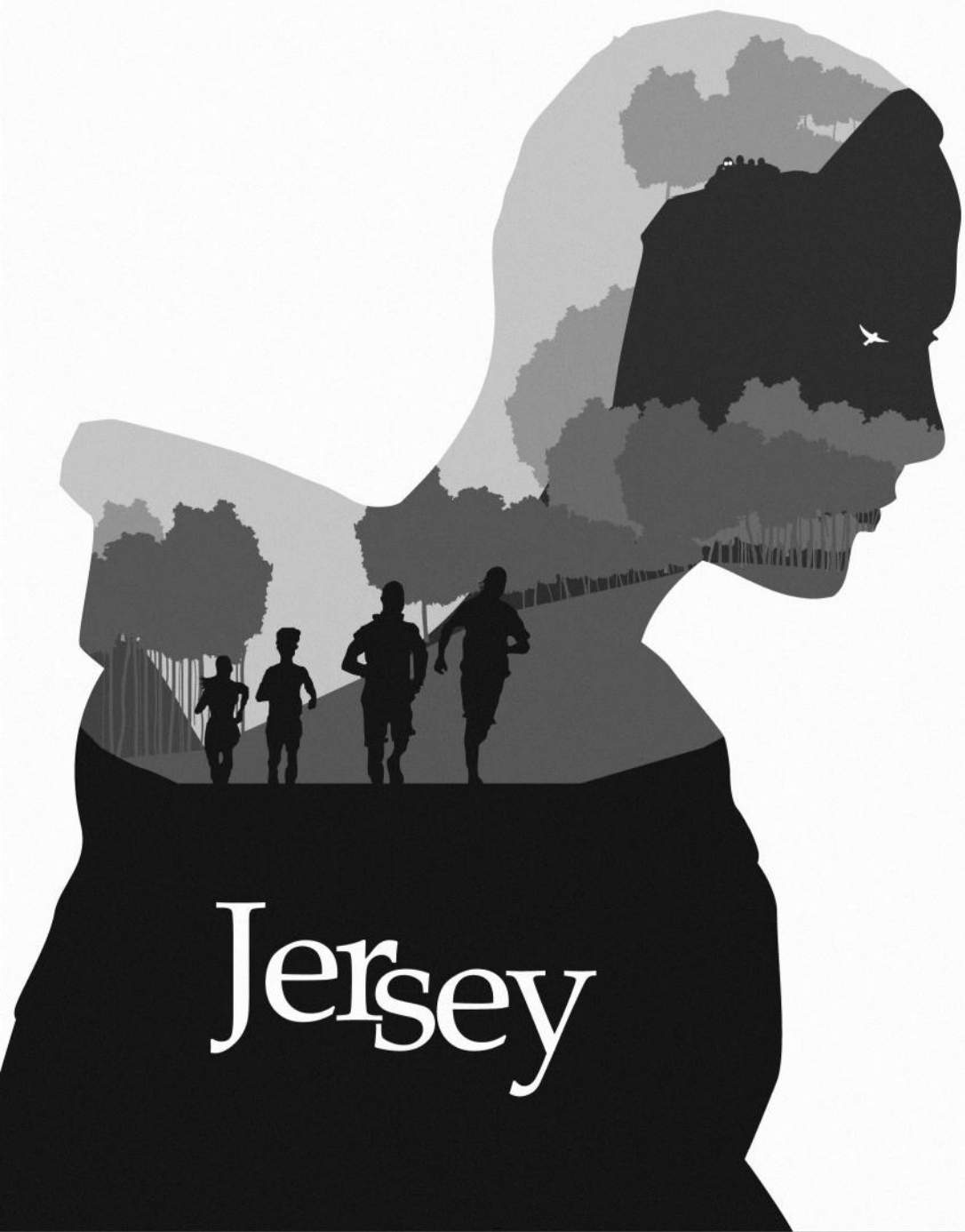
– Co widzę? Nic nie widzę! Zapomniałeś, że jestem od ciebie o pół metra niższa?!

– Co tam jest?! TFU!!! – spytała, wyciągając muchę z ust.

– Chłopaki, zwolnijcie!!! Tam chyba jest błoto przed wami! EJJ!

JERSEYYYY!!!! – krzyknął Boogie.

Jersey usłyszał wrzask, ale zanim zorientował się, o co chodzi, już było za późno. Trach! Odgłos łamanych gałęzi zmieszany z szelestem liści. Trach! Wpadli w dziurę w ziemi. Zamaskowana pułapka schwytała swoją zdobycz. Nie mogli już manewrować. Lecieli w dół. Będąc tylko na łasce grawitacji, spadali.



Jersey

Ice wystawił ręce przed siebie. Uderzył o miękkie dno. Jersey upadł zaraz obok niego, wleciał bokiem. Podniósł się i pokręcił głową.

– Bloto... Cale szczęście, że to bloto, inaczej byśmy się połamali... Zaraz, co jest?

Ice odkleił głowę z lepkiego podłoża.

– Co się... wy...rą...ba...lem? Wy...grałem? – mamrotal bezsensownie pod nosem.

Jersey wyciągnął dłoń z czarnej lepkiej papki. Przyłożył ją powoli do nosa. Przeszły go ciarki, żołądek się skurczył. Popatrzył na brudną twarz oszołomionego brata i od razu zebrало mu się na wymioty. Poczul, jak dreszcz przechodzi mu po plecach, a pot zalewa mu czoło. Smród prawie go powalił.

– Ale jeeeeeeeeeeeeedzie! – krzyknął.

Dwójka przyjaciół dobiegła do rowu. Maggie potknęła się podczas hamowania. Straciła równowagę. Spadała. Poczula jednak mocny uścisk na swoim ramieniu i silne szarpnięcie.

– Mam cię! – powiedział Boogie.

– To jest gówno! – Jersey informował przyjaciół, pokazując im zawartość swojej dłoni.

– Krowie gówno!!! gówno!! ówno! ...wno.. – zabrzmiało w oddali echo obcego głosu. Wszyscy zamarli w bezruchu. Czekali aż echo powróci, czekali, nie mogąc poskładać faktów.

– Co to było? Kto to krzyczał? – zastanawiali się, rozglądając się zaskoczeni.

Jersey wciąż miał gwiazdki przed oczami i widział niewyraźnie. Dudniło mu w uszach. Ramię bolało. Serce nie przestawało kołatać w piersi. Nie wytrzymał. Krzyknął:

– Nie żyjesz! Rozumiesz?! Co ty myślisz, że jesteś jakiś Robin Hood?! Wylaż z krzaków, zbok! Pokaż się! Nauczę Cię kawalarstwa! Jak cię do...

– Haha... haha... ha... ha – śmiech niósł się echem po całym lesie.

Nie mogli go namierzyć, dźwięk odbijał się od wszystkich drzew. Jersey przypomniał sobie błysk, jaki widział minutę wcześniej. Obrócił gwałtownie głowę i zmrużył oczy, próbując

dostrzec coś w oddali. Kolejny błysk.

– Tak! Mam cię, gniocie! Wiem, gdzie się kryjesz! Mam cię! – krzyczał.

– Gówno masz, i to na ryju! Hahaha, smacznego! – odpowiedziało echo.

– Chodź tutaj! – rzucił się do przodu, żeby już po sekundzie się zatrzymać.

Zorientował się, że jego buty pozostały zatopione w krowim lajnie. Nie mógł biec pod górę, nie bez butów... Musiał odpuścić. Oczy jego zaszyły czerwienią, żyłki popękały. Wściekł się.

– Daj spokój, Jersey – czarnowłosa przyjaciółka wyciągnęła do niego rękę.

– Dorwiemy ich później – rzekł Boogie.

Jersey z pomocą przyjaciół wygramolił się z "odchodowej" pułapki. Usiadł na ziemi i zwiesił głowę.

– Żołnierzyki?! To brąz teraz jest modny w armii? Wracajcie do bazy! OVER! – szczydzący głos nadal rozbrzmiewał w oddali.

– Wiemy, że to wy! Tylko wy mogliście wpść na taki gówniany pomysł! – krzyczała rozwścieczona Maggie. Jej ciemnobrązowe oczy odkreśliły się jeszcze bardziej w przyplwywie złości. Przysunęła dłonie do ust, wrzeszcząc najgłośniejszym, jak się da:

– Idioci! Mogliście ich zabić!

Stanęła na palcach, próbując jak najdalej i jak najwyżej wyrzucić swoje słowa. Pomimo filigranowej sylwetki potrafiła wykrzesać z siebie mnóstwo energii.

– No, mogliście nas zwabić! – powiedział bezsensownie, ledwo stojąc, na wpół przytomny Ice, po czym, obróciwszy na pięcie, stracił równowagę i uderzył znów twarzą w krowie lajno. Walnął aż chrząknęło.

Na ten widok Boogie i Jersey wskoczyli szybko do rowu. Nie mieli wielkich problemów z wywleczeniem go do góry. Ice leżał nieruchomo. Maggie przykucnęła obok niego. Odchyliła włosy na bok i przystawiwszy prawe ucho do jego ust, nasłuchiwała jego

oddechu. Był niewyczuwalny. Serce mocniej jej zabiło. Dreszcz przeszedł przez jej ciało.

– Ice? – popatrzyła z bliska na jego całą obłożoną kupą twarz, jedynie powieki były w miarę czyste, usta natomiast całe oblepione.

– Jeszcze tego brakowało, żebyś robiła sztuczne gówniane oddychanie... – powiedziała szeptem. – Cóż, czego nie robi się dla przyjaciół – dodała.

Zaczęła się nachylać, brało ją na wymioty, smród był okropny, muchy latały wszędzie. Poczula ciepło jego oddechu, niezbyt przyjemne. Dzielili ich milimetry. Jersey, stojąc obok, zacisnął mocno pięści.

Nagle oczy Ice'a otworzyły się:

– Kompania, kompania wstać! Kompania, kompania wstać! Mamy prze-rą-ba-ne! – wydusił z siebie Ice.

Maggie umiejętnie odchyliła głowę zaraz przed cudownym powstaniem Ice'a, w innym wypadku złamałby jej nos.

Odetchnęła z ulgą.

– Mamy prze-rą-ba-ne! – nie przerywał. Był spanikowany.

– To pewnie szok – zauważył Boogie.

– Macie, macie! Haha... ha... ha... ha – odezwał się znów głos w oddali.

– Witajcie w Rendlesham! Haha ha... ha... ha – zawyło szydercze echo.

– Dzięki, BB, już się napatrzyłam – rzekła Andy, oddając lornetkę wysokiemu przystojnemu koledze. Kiwnął głową, przyjmując przedmiot z aprobatą. Jego wzrok wciąż utkwiony był w miejsce, przy którym znajdowała się teraz czwórka amerykańskich młodziaków.

Nie potrzebował lornetki, żeby wszystko doskonale widzieć. Nie musiał znać szczegółów, liczył się fakt. Satysfakcja.

– Jaaa! Wymiękam! Haha, ale polecieeli! Haha! – wykrzykiwał podnieconym głosem niski grubas siedzący tuż obok.

– BB, mogę na chwilę zoomera? Proszę, miszczu! Muszę się tym nacieszyć!

– Jasne, bierz, zapracowałeś na to.

– Co? Zapracował? A kto prowadził taczki całą drogę? Oddawaj gogle, Pigula! – rzucił gwałtownie stojący obok rudy średniej budowy szesnastolatek.

– Spadaj, rudzielcu, będziesz miał swoją kolej! Ssij! – skontrolował zamazyście grubasek.

– Lornetka jest moja!

– Twoja to będzie moja noga w twojej dupie, jak się nie uspokoisz!

Pigula zmarszczył czoło, wypuścił powietrze przez nos, odczekał kilka sekund, po czym rzucił się na kolegę. Lornetka poleciała w górę. Red nie miał szans – przygnieciony tłuszczem, poleciał na plecy. Wlecieli w krzak zasłaniający ich lokację. Andy zareagowała natychmiast, podskoczyła do góry, łapiąc za pasek leżącej w powietrzu lornetki. Uratowała ją przed roztrzaskaniem o kamień.

Najwyższy z nich, BB, rozdzielił silujących się kolegów.

– Pogrzezło was?! To, że wiedzą, gdzie jesteście, nie znaczy, że mamy od razu pokazać swoje twarze, może najlepiej wykrzyczmy nasze adresy?! Matoly!

– Sorry... – tłuścioch zaskomlał po cichu.

– Mogę jeszcze raz zobaczyć tę lorn...

– NIE! – wybuchła niska, krótko ścięta blondynka.

– Siedź na dupie, grubasie, owsiki masz czy co? Zawsze musisz się tyle ruszać?!

– Odwalcie się ode mnie! Zapomnieliście, że to ja wczoraj przerzucałem gnój na taczki przez godzinę, a później kopalem jeszcze tę dziurę?! Trochę szacungu!

– Szacunku! Nie szacungu! Masz tę lornetkę, bo ci jeszcze zwieracze puszczają... – Andy rzuciła do niego przedmiot.

BB nie zwracał uwagi na klótnie kolegów. Był skupiony na czymś ważniejszym. Wyraz jego twarzy mówił wszystko. Siedział

nieruchomo, głęboko oddychał, pięści miał mocno zaciśnięte, oczy przymrużone.

Wpatrywał się w Jersey. Czuł dumę, satysfakcję. Czuł smak zwycięstwa. Za jego plecami trójka przyjaciół wyrwała sobie lornetkę, śmiejąc się bez końca.

– Ale urwał! Haha, widziałeś?

– Ty, leciol jak PRO.

– Nieźle ich trenują w tej ich amerykańskiej szkole!

– Chapnął stolca jak Cheesa!

– Muszą odpalić nową dyscyplinę na Olimpiadzie – skok w kupsko!

– Przed nami przyszli złoci medaliści, haha.

BB wciąż wpatrywał się w niżej położoną ścieżkę, ciągle w zadumie. Zahipnotyzowany. Niska czarna dziewczyna obróciła się w jego stronę. Mimo dzielącej ich odległości kilkudziesięciu metrów, zdołał zobaczyć jej oczy, jej duże czarne oczy. Poczul ciepło, uderzenie w klatkę piersiową, laskotanie w żołądek – nie mógł pozwolić, żeby inni to zauważyli, spuścił więc wzrok.

– Idziemy – powiedział stanowczo.

– Ejyyy, gdzie idziemy? Daj nam jeszcze parę minut – prosił rudy.

– Nie. Idziemy już teraz. Zaraz wyczyszczą buty i jeszcze tu przybiegną. Nie chodziło nam o bójkę, a o coś innego. Szybko!

– Czemu nie o bójkę? Z chęcią bym im dopierdzielił! – sapał podekscytowany grubasek.

– Walnąłbyś go w uwalaną gównem gębę? – zapytała Andy.

– Yyyy, no w sumie nie... – przyznał po krótkim zastanowieniu.

BB podniósł plecak oraz łopaty i powoli wychodził z lasu, udając, że nic nie słyszy.

– Dawajcie, idziemy. Piguła, bierz taczki. Same się nie zawiozą – rozkazywała, podnosząc się Andy.

– I wyciąg te obrzydliwe łapska z dupska, do cholery! Ile razy mam ci powtarzać?!

– Alergię mam! Mówiłem ci to, co nie? Co mam zrobić, jak swędzi?!

– odpowiedział Piguła, szybko zmieniając pozycję rąk z tyłu



spodenek na rączki taczek.

– Umyć się! – odparła koleżanka, uderzając go lekko w tył głowy.

Cała czwórka wychodziła z wolna z ciemnego gąszczu. Poranne słońce rzuciło na nich mocne ciepłe światło. Ubrani w kolorowe ciuchy, odznaczeni się na tle zielonego lasu. Wrócili do domu.

\*

Jasna biel zaszła szarością. Ogrom unoszącego się puchu powoli gęstniał. Chmury zaczęły się mnożyć i mocno kontrastować z niżej falującym ciemnoniebieskim oceanem. W oddali majaczył zarys lądu. Zagrzmiało.

\*

– Mamy prze-rą-ba-ne – powtarzał w nieskończoność piegowaty Ice.

– To-już-wie-my! Do-rze-czy! Dla-cze-go?! – przedrzeźniał Boogie.

– Nie do ciebie mówię! Ja i Jersey, my mamy... Nie jest dobrze, chodzi o...

– Sierżanta J. – przerwał mu natychmiast Jersey.

– Czy jest tutaj w pobliżu jakiś strumyk albo jezioro? – zapytał Ice.

– No niedługo będzie istna czerwona rzeka, wróćmy tylko do bazy...

– załamał ręce.

– Z tego, co wiem, to nie ma. Baza jest niedaleko. Zaraz się wykopiecie – pocieszała Maggie.

– Nie możemy przyjść tacy uwaleni do bazy... – zaskomlał Ice.

Dwóch ubrudzonych braci usiadło na ziemi. Głowy spuścili w dół. Smutek wyraźnie zaznaczył się na twarzy wyższego z nich.

Ciemna karnacja uwypukliła nerwowo poruszające się kości żuchwowe.

– Nie przesadzajcie, ten Sierżant J. nie jest aż taki zły, byliśmy kiedyś na kolacji z nim i z ojcem...

– Przepraszam, że ci przerwę, Boogie, ale czy ty mieszkasz z nim? –

zapytał Jersey.

– No nie...

– A może on jest twoim opiekunem?

– Yyyy, no nie...

– Skoro nie, to może po prostu lubisz stać na głowie w kącie przez 20 minut, bo źle ułożyłeś buty koło wyra?

– Wiem, do czego zmierzasz, ale...

– A pamiętasz może, jak tydzień temu biegaliśmy z Woodbridge do Bentwaters i z powrotem?

– No jasne, że pamiętam! Nie czulem swoich nóg! – odpowiedział uśmiechnięty Boogie.

– Spoko masz, bo ja czulem. Powiem ci coś. Śmierdziały! A teraz zamknij się i słuchaj! Ice, opowiedz mu o ostatnim weekendzie – skwitował, obracając głowę w kierunku siedzącego obok brata.

Ice ściągnął ze swojej twarzy kolejny kawałek obsuszonej już lekko kupy i rzucił go na ziemię. Wziął głęboki oddech i zaczął swoją opowieść:

– Jak już Jersey wspomniał, tydzień temu trochę pobiegaliśmy. To akurat nie był żaden problem, bo my to uwielbiamy. Rzeczą natomiast, której nie lubimy, jest angielska pogoda i cholerny deszcz, a wraz z cholernym deszczem cholernego błota. Tak czy inaczej – wpadamy do koszar i nim zdążyliśmy postawić drugi ubłocony krok, przywitał nas nasz ulubiony opiekun Sierżant J:

– *Muszę śnić! O nie, nie śnie, ups! Zegarek odmierza prawidłowo czas! Czyżby mnie oczy zwodziły? Przecież to panicz ośła gęba oraz jego wierny giermek, pan zbyt pikny, aby wejść do wspaniałego, magicznego, czystego królestwa księcia Sierżanta J. błyskotki!*

– *Sierżancie... – wyszeptał błagając Jersey.*

– *Obróć się, co widzisz? – zapytał górnijący nad nimi wysoki, żyłasty żołnierz. Ubrany był w jasne beżowe spodnie w kantkę, zieloną koszulę włożoną do spodni oraz ciemno zielony kapelusz. Wszystko idealnie wyprasowane, jedynymi fałdami były rysy na jego pięćdziesięciokilkuletniej twarzy. Wylupiaście, drgające niebieskie oczy oraz pulsująca na czole żyła idealnie pasowały do szerokiego bielutkiego ironicznego uśmiechu.*

- *Sir, zaraz to wysprzątamy, Sir! – Szybko zareagował Ice.*
- *O tak, oczywiście, że to wysprzątamie, a na tym nie koniec – kontynuował bardzo spokojnie ich opiekun. Powoli nachylił się nad chłopakami, cień jego kapelusza przysłonił całą twarz. Jedyne jego nieskazitelnie biały uśmiech wyłonił się, błyskając światłem w ich przestraszone buźki.*
- *Widzicie, w moich koszarach wszystko jest tak totalnie wspaniale, radośnie czyste, że nawet zarazki lśnią niczym psie jajca po dobrym samolizaniu!*
- *Sir, przepraszamy, Sir – próbował przerwać i udobruchać Sierżanta Jersey.*
- *Nie przepraszajcie mi tutaj, panie ośla buźko. Macie 350 sekund na sprowadzenie tego miejsca do takiej czystości, że w momencie, kiedy wrócę z medy-srania-tacji, wszystko ma błyszczyć jak na Kopciuszku! Tak, że sam Walt Disney chciałby tutaj zamieszkać! Czy rozumiemy się, drogie panie?!*
- *Sir, tak jest, Sir! – odpowiedzieli równocześnie.*
- *No chyba, że chcielibyście, żebym powiedział waszemu ojcu, że kiedy on haruje ciężko, jego synowie robią bajzel w bazie?! Decyzje pozostawiam wam.*
  
- A teraz wyobraźcie sobie, co by było, jakbyśmy tacy uwaleni kupkiem przyszli do koszarów? – skończył opowiadać Ice.
- O której macie być u siebie? – zapytała Maggie.
- Czemu pytasz? – zastanawiał się Jersey.
- Jeszcze mamy czas, więc moglibyśmy iść do mnie do domu, tam weźmiecie sobie prysznic.
- Serio!? – zapytał podniecony piegus.
- Nie, musimy znaleźć inny sposób, nie możemy ci nabrudzić w domu, Maggie.
- Jersey, nie wyglupiaj się, jesteśmy jak rodzina, znamy się od dawna. Mojego taty i tak teraz nie ma, więc spokojnie możemy iść. Dzisiaj jest sobota, nie będzie go jeszcze przez sześć, siedem godzin.
- Ok, zatem dziękuję ci, uratowałaś nam życie – zakończył drżącym głosem.

Jersey popatrzył na Maggie. Poczul coś innego niż wdzięczność, poczul lekki żal. Nie chciał, żeby patrzyła na niego jak na rodzinę. Spojrzał na jej duże czarne oczy i uśmiechnięte, pełne radości usta.

\*

Chmury przeplatały się ze sobą. Nachodząc jedna na drugą, ciemniały. Przepychały się, siłowały, jakby każda chciała być na przedzie. Zagrzmiało. Zadrżały. Zaczęły gęstnieć. Już niedaleko miały do lądu.

## Rozdział 2

### Więcej kłopotów

Słońce bezlitośnie przebijało się przez szybę, podgrzewając kokpit do temperatury sięgającej 50 stopni Celsjusza. Frank „QUICK” Klikowski był do tego przyzwyczajony. Ogromny gorący przeciążenia rzędu 9G były dla niego czymś całkowicie normalnym. Jako zawodowy pilot wylatał w takich warunkach kilka tysięcy godzin.

Skupiony, wpatrywał się w radar, który zaczął wykrywać ruch kilka kilometrów za jego ogonem. Po pozytywnym potwierdzeniu namierzenia nieprzyjaciela przez swojego skrzydłowego, pociągnął joystick mocno do siebie. Samolot zaczął wykonywać nawrót o 180 stopni do tyłu. Kiedy znalazł się odwrócony kabiną do ziemi, rzucił okiem na malowniczą część wschodniego wybrzeża Wielkiej Brytanii. Dostrzeżenie ruchu z wysokości 20 000 stóp było niemożliwe. Świat wydaje się stać w miejscu, mimo że na prędkościomierzu wyraźnie widać przekroczenie 1 macha. To była magia, którą Frank uwielbiał. Poruszać się szybciej niż 1000km/h, gdy ziemia stoi w bezruchu.

Lekko przechylając joystick w lewo, wypoziomował z powrotem samolot.

– QUICK, mamy dwa obiekty na radarze, poruszają się szybko, lecą prosto na nas – usłyszał Frank.

– Zrozumiałem, utrzymaj prędkość. Pokażemy im, co potrafi 527 dywizja agresorów – odpowiedział spokojnie.

F-5, którego pilotował, prowadził swojego skrzydłowego. Lecieli prosto na spotkanie z nieznanymi samolotami.

– Weszliście w strefę powietrzną UK, identyfikuj się albo otwieramy

ogień – powiedział stanowczo przez radio. Odczekał moment, lecz nie usłyszał odpowiedzi.

Nadlatujące obiekty przybliżały się z błyskawiczną prędkością.

– QUICK, mamy ich. To myśliwce. OVER – usłyszał podpowiedź skrzydłowego.

– Zrozumiałem, Lider. OVER.

– Przekroczyliście strefę powietrzną UK, mamy prawo użyć ognia, odpowiedz natychmiast – ponowił. Znowu brak odpowiedzi.

– OK, schodzimy z głównego kanału. Egzekwujemy rozdanie Broken Heart.

– Tak jest, szefie. OVER.

Dwójka ciemnozielonych amerykańskich F-5 zmierzała prosto na spotkanie z nieprzyjacielem. Frank czekał do momentu, aż wróg znajdzie się w zasięgu dział rewolwerowego. Siedział spokojnie. Oddychał równo i ciężko zarazem. Lipcowe słońce nie pomagało. Nieprzyjaciel zbliżał się bardzo szybko. Frank ściągnął na moment dłoń z joysticka i otworzył ją szeroko. Poruszył palcami, starając się ją troszkę rozluźnić. Musiał być skupiony, ale również przygotowany na walkę, która miała się rozpocząć.

Bardzo wysoki, elektroniczny dźwięk rozległ się w kabinie. Pisk automatycznego rozpoznania dystansu spowodował szybką reakcję. Pociągnął drążek do siebie. Samolot gwałtownie wyleciał ponad nadlatujące z naprzeciwka maszyny. Skrzydłowy odbił w dół, równocześnie robiąc miejsce dla nadlatujących samolotów. Po rozpoznaniu tego ruchu myśliwce wroga rozproszyły się.

Frank znany był wśród kolegów z wykonywania manewrów, które przeczą podręcznikowym teoriom. Zmniejszył ciąg silnika do minimum. Wykonywał nawrót. Wilgoć skropliła się na krawędziach skrzydeł, tworząc płaszcz pary wodnej. Obrócił samolot. Przyspieszył, zostawiając chmurę wody za sobą.

Samoloty przeciwnika nie były takie szybkie. Już siedział na ogonie wroga. Potrzebował tylko kilku sekund na złapanie namiaru. System odliczał impulsy do akceptacji celu. Nieprzyjaciel próbował



FRANEK

QUICK

KLIKOWSKI

go zrzucić z siebie. Frank nie dał się złapać, perfekcyjnie kopiując jego ruchy. Kątem oka zobaczył towarzyszące im myśliwce.

Piiiiiii... – długi elektroniczny pisk przeciął ciszę jak ostra brzytwa. QUICK odbezpieczył spust. Otworzył ogień. Chybil.

Pi.. Pi.. Pi.. – seria przerywanych dźwięków rozszalała się w kabinie. Narzędzia pomiarowe zaczęły wariować. Informacja – silnik gaśnie. Traci wysokość. Spada.

– Zaraz ruszy QUICK, to pewnie przez wcześniejszy manewr, nie zapowietrzyliśmy silnika – poinformował go siedzący za jego plecami drugi pilot.

Miał rację, silnik odpalił – pełna prędkość – wypoziomował. Cel zgubiony.

– Gdzie bandyta, widzisz go gdzieś? – zapytał Frank.

– Nad nami! Unik! Unik! – krzyknął pilot.

W ostatniej chwili spostrzegł nadlatujący w pionie samolot. Pchnął drążek do przodu. Skierował maszynę w dół. Tylko tak mógł wymanewrować. Wróg był tuż za nim. Przerywany dźwięk pojawił się w kokpicie – był namierzany. Nie miał dużo czasu. Zminimalizował ciąg silnika.

Samolot wytracał prędkość. Wszystko zaczęło się trząść. Alarm przeciążeń wrzeszczał. Przechylił ster w lewo. Wróg go wyminął.

To była kwestia kilku metrów, szczęściarz ze mnie – pomyślał.

Ustawił pełen ciąg. Maksymalna prędkość. Brakowało czasu na rakiety. Otworzył ogień z działka.

Trafil. Cel spadał.

– Quick 1 : Bandyci 0 – odezwał się szumiący głos w radiu.

– Szefie, dostaliśmy ich, dobra robota – Frank przetarł pot zalewający jego czoło. Odetchnął na moment. Wypoziomował lot.

– Cholera, Quick, znów masz u mnie piwo, patrz w lewo – mówił szeleszczący w słuchawce głos. Obrócił głowę we wskazanym kierunku. Samolot, którego przed momentem zestrzelił, leciał tuż obok niego, pilot pokazywał mu środkowy palec. Frank uśmiechnął się i pomachał do pilota. Odwrócił głowę i westchnął głośno. Zmęczenie dawało mu się we znaki. Temperatura tego dnia była zdecydowanie



za wysoka. W ogóle niepodobna do tych, do których byli przyzwyczajeni. Latanie w takich warunkach było niebezpiecznie męczące.

Nawet jeśli to był tylko trening.

– Frank, tu baza, dobra robota. Kończcie trening. Burza idzie.

OVER.

– Odbiór, wracam do Alconbury – odpowiedział spokojnie.

– Odmawiam. Góra chce was widzieć w Bentwaters. OVER.

– Zrozumiałem, nawet i lepiej, zobaczę się z synami. Do zobaczenia na ziemi. OVER.

Ucieszył się. Chwycił czarno-białe zdjęcie z widniejącym podpisem "Frank Jersey Icek". Popatrzył na trzech prawie równych wzrostem uśmiechniętych facetów.

– To był dobry dzień, panowie. Słyszeliście, lecimy do Bentwaters, podobno mają tam dobre piwo, Tony z drużyną dzisiaj stawiają.

OVER.

– Za tobą wszędzie, szefie – odpowiedział skrzydłowy.

Frank przyspieszył. Wyleciał na przód dywizjonu. Kilka metrów za nim zaczęły pojawiać się kolejne samoloty. Lecieli w szyku przypominającym romb. Kierowali się równoległe do wybrzeża.

Obrócił głowę w kierunku wschodnim, daleko na horyzoncie niebo zaczęło ciemnieć. Nie poruszyło go to zbyt, po kilkuletnim pobycie na wyspach przyzwyczał się już do deszczowej pogody. Kontynuował lot powrotny na lotnisko w Bentwaters. Nie mógł się doczekać spotkania z synami.

\*

Pogoda była piękna. Bezchmurna lipcowa sobota.

Ptaki, rozkoszując się atmosferą dnia, próbowały imitować trenujące wysoko samoloty, latając tuż nad pasem startowym. Grupa żołnierzy rozpakowywała duże drewniane pudła, ściągając je ze stojących obok ciężarówek. Przy muzyce Rolling Stones mechanicy pracowali pod stojącymi w długim rzędzie myśliwcami. W oddali jakiś wyższy rangą oficer krzyczał nad trójką wyciskających pompki facetów. Strażnik w

budce obsługującej szlaban wylał kawę na spodnie. Każdy, udając zapracowanego, próbował wykorzystać chwilę i wystawiać się jak najczęściej do słońca. Nie było ono częstym gościem w tej części świata. Wszyscy uśmiechnięci, no może za wyjątkiem strażnika, który klął pod nosem. Typowe życie w bazie Bentwaters.

Obok lotniska przebiegł niewysoki mężczyzna. W rękę trzymał dużą szarą kopertę. Zmierzał w kierunku położonych obok niskich budynków. Pot kapął mu z czoła, wyraźnie było mu spieszno. Przed wejściem na plac przedstawił swój identyfikator siedzącemu w budce strażnikowi, po czym pobiegł dalej.

Dwójka średniej budowy mężczyzn, ubranych w długie białe fartuchy i wielkie gogle, podziwiała wyjątkową pogodę, patrząc przez okno. Byli uziemieni w swoim laboratorium. Jeden z nich przy pomocy grubych rękawic trzymał pokaźnych rozmiarów metaliczny pręt, do którego przymocowane były trzy długie metalowe sprężyny oplatające półprzezroczyste rurki. Rurki te prowadziły pod sam sufit do prostokątnego wiszącego urządzenia.

Jaskrawofioletowa substancja iluminowała ich wnętrze. Naukowiec odwrócił głowę od słonecznego krajobrazu i popatrzył na duży stół, przy którym stał. Bezradnie westchnął. Zamiast się opalać, muszę składać jakieś cholerne projekty dr. Teda – pomyślał.

Drugi naukowiec również powrócił myślami do pracy, musiał się skupić. Wziął metalową grubą formę o kształcie dużej baterii i długości około trzydziestu centymetrów. Położył ją na stole. Na jej wewnętrznej części złote ścieżki elektroniczne odbijały wpadające przez okno promyki słońca.

Wraz ze stojącym obok kolegą napelnili przedmiot fioletowym płynem. Ściągając spod sufitu dużą cylindryczną maszynę, przyłożyli ją do baterii i mocno wszystko zacisnęli stalowymi kleszczami.

Do pokoju nagle wszedł zdyszany niewysoki mężczyzna. – Pilna wiadomość z Bentwaters – wydusił z siebie, wręczając szarą kopertę jednemu z naukowców. Obrócił się i wyszedł z pomieszczenia.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, zdjęli gogle i otworzyli koperkę. Po kilkusekundowej przerwie na odczytanie dokumentu jeden z nich powiedział:

- Zaczyna się. Odpalamy za T–minus godzinę. Wołaj doktora Teda.
- Niemożliwe. Patrz na pogodę – odparł drugi naukowiec.
- Nie daj się zwieść pogodzie, goście ze sztabu wiedzą wszystko, burza za niedługo uderzy.
- Cholera, a już mieliśmy skończyć i iść trochę na powietrze. Czy tu kiedykolwiek przestanie padać? – narzekał mocno zirytowany.
- Taka praca. Jak chcesz ładną pogodę, to zawsze możesz zmienić robotę, ale nie gwarantuję takich wypłat – uśmiechnął się.
- Gdzie on w ogóle jest?
- Mówił, że jedzie do domu po notatki – odpowiedział przejętym głosem.
- Dawno wyjechał?
- 15 minut temu...
- Dawaj radio, musimy go wywołać! – rzekł nerwowo.

\*

Maggie i Boogie odpoczywali, siedząc na wygodnej kanapie w dużym salonie. Patrzyli w kwadratowy telewizor, w którym leciały jakieś durne reklamy.

- Jak myślisz, co za idioci siedzieli w tych krzakach? – zapytał Boogie.
- Mam swoje przypuszczenia – odpowiedziała zdawkowo, próbując zakończyć szybko temat.
- Kto? – dopytywał zaciekawiony.

Maggie gapła się wciąż prosto w telewizor, próbując zignorować kolegę. Miała nadzieję, że po prostu da sobie spokój. Machając nogą założoną na nogę, nerwowo wprawiała w drganie całą sofę.

- Nie denerwuj się tak. Kto to mógł być? Zaraz, moment... – doznała nagłego olśnienia. Ten grymas na jej twarzy był mu tak dobrze znany. Pojawiał się tylko wtedy, kiedy chodziło o pewną osobę.

- Mhm... – cichutko potwierdziła.
- Dalej nie dajesz ci spokoju? Po tym wszystkim, co ci zrobił?
- Najwidoczniej. Chociaż nie na pewno. Zawsze mogę się mylić – odpowiedziała trochę wymijająco.
- Cholerny Williams, jak go spotkam, to sam strzelę mu łufę! – podniósł głos bujnowłosy szczupły chłopak.

Wstał z łóżka. Przeciągnął się. Wykonał kilka skrętów biodrami. Zerknął na skromny wystrój wnętrza salonu oraz na zdenerwowaną Maggie. Siedziała teraz już podkulona. Stopa nadal podskakiwała, wprawiając ją całą w ruch.

A to miała być taka wielka miłość – pomyślał Boogie.

Podszedł do okna. Obserwował okolicę. Maggie mieszkała w szeregowym amerykańskim parterowym domku na zamkniętym osiedlu, przeznaczonym dla ludzi pracujących w armii. Ulica, mimo iż znajdowali się w Wielkiej Brytanii, wyglądała jak kopia przedmieścia Chicago.

Osiedle było podpięte do bazy RAF Woodbridge znajdującej się na wschodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii. Od 1952 roku oddane zostało do użytku Stanom Zjednoczonym jako baza operacyjna na okres zimnej wojny. W 1958 roku podłączono do niej położoną zaledwie kilka kilometrów dalej bazę lotniczą RAF Bentwaters. Obie uzyskały wtedy nazwę "bliźniaczych".

Boogie, stojąc w oknie, patrzył, jak sąsiedzi zajmowali się swoimi niewielkimi ogródkami. Dzieciaki gonili się z plastikowymi atrapami karabinów. Gruby rudy kot wylegiwał się na środku chodnika, nie zwracając uwagi na przechodzącego obok psa. Jakaś pani wychodziła z domu z miednicą pełną mokrych ubrań. Zielony jeep zaparkował właśnie przed domem Maggie.

Jeep zaparkował właśnie przed domem Maggie!? – popatrzył ponownie.

– Maggie, czym twój tato pojechał dzisiaj do pracy? – zapytał Boogie.

– Jak to czym? Tym, co zawsze, jeepe... – przerwała, słysząc dźwięk kluczy przy drzwiach wejściowych.

Tata? – pomyślała i dwoma długimi susami podskoczyła do drzwi wychodzących na korytarz. Czekala na progu oddalonym jedynie dwa metry od głównego wejścia.

W progu stanął duży wysoki mężczyzna w białym fartuchu. Jedną dłonią zamykał drzwi, w drugiej trzymał walizkę. Wyraźnie się spieszył. Obracając się w stronę holu, zobaczył córkę. Nie spodziewając się jej obecności, krzyknął zaskoczony.

– Wielki Albercie! Przestraszyłaś mnie, kochana córeczko. Co tak stoisz?

– Cześć, tato. Czyżby Dr Ted McFarlane zapomniał czegoś? – nerwowo zapytała. Uśmiechnął się. Zrobił mały krok i zaglądnął do pokoju za jej plecami.

– Aha, no tak, Boogie! Jak się masz, przyjacielu? – zapytał, uśmiechając się jego widok.

– Dzień dobry, Panie Doktorze McFarlane – odpowiedział grzecznie chłopak.

– Jakaś randka? – szepnął cicho, nachylając się nad uchem Maggie.

– Tato! – uniosła głos i uderzyła go lekko w ramię, na co radośnie puścił jej oczko.

– Dobra, nie będę wam przeszkadzać, spieszę się, więc... – przerwał nagle, gdy na końcu korytarza ujrzał niespodziewany widok.

Maggie, obserwując jego reakcję, skierowała uwagę w tę samą stronę. Oslupiała. Otworzyła szeroko usta. Zrobiło się jej bardzo gorąco. Czula, że pali się do czerwoności.

– Ale jaja! Wyglądam jak Jedi! Odpadam! Nie wiedziałem, że twój tato jest aż taki duży. Myślisz, że będę mógł to pożyczyć na Halloween? – zapytał Jersey, zachwycając się szlafrokiem pożyczonym od jej ojca. Głowę miał całą przykrytą kapturem. Nie widząc nic przed sobą, imitował ruchy miecza świetlnego.

– Czad! Jeszcze do tego ten kaptur! Jesteś pewna, że twój tato pracuje jako naukowiec, a nie przy jakimś programie Gwiezdnych Wojen?! Może będą szukać jakichś pilotów... – kontynuował, patrząc w ziemię i kierując się w stronę salonu. Szedł dalej, zostawiając za sobą mokre ślady na śliskiej podłodze.

Nagle zamarł w bezruchu. Zobaczył przed sobą parę długich nóg. Żołądek się skurczył. Chciał zniknąć. Zniknąć niczym Obi-Wan Kenobi po ciosie zadany przez Lorda Vadera. Przelknął ślinę, wyprostował głowę i powoli ściągał kaptur, do momentu, aż przed jego oczami pojawił się ojciec Maggie.

– Pa-nie, dzień-dobry, Mc-Farlane – wystękał kompletnie bez składu.

– No pięknie, Klikowski, pięknie. Nigdy nie pomyślałem, że szlafrok od mojej mamy może posłużyć do takich zabaw. Co ty tu w ogóle w nim robisz? – zapytał nad wyraz spokojnie.

– Tato, ja ci wszystko wytłumaczę. Prysznic... Znaczą się biegaliśmy i....– Maggie chciała wytłumaczyć, ale z nerwów poplątał się jej język.

– Wiesz co? Nieważne. Nic się nie stało, na pewno będzie na to jakieś sensowne wyjaśnienie, ufam ci. A teraz naprawdę się spieszę. Chłopaki właśnie skontaktowali się ze mną przez radio. Dzisiaj mamy bardzo ważny dzień. Muszę być zaraz w bazie, więc....– przerwał nagle zdanie. Otworzył oczy i usta ujrzawszy kolejny niespodziewany widok.

Maggie znów odwróciła głowę. Tym razem jej twarz przypominała bardziej kolor śliwki niż czerwieni. Na końcu korytarza pojawił się Ice. Owinięty był w pasie samym ręcznikiem. Na głowie miał białe majtki, z których z miejsc na nogi wystawały rozwinięte białe skarpetki. W dłoni trzymał suszarkę.

– Oto inwazja, ręce do góry! Przybywamy z planety Fiutor, zachowajcie spokój! I tak was dopadniemy. Nikt nie ucieknie przed gniewem Wielkiego Fiutora! – Ice mówił doniosłe, imitując przy tym głos groźnego kosmity.

Staął w miejscu, pokręcił majtkową głową, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym kontynuował swój monolog.

– Nie lekceważcie fiutaśnej mocy. Nie ma we wszechświecie miejsca na tyle głębokiego, żeby...– nie dokończył zdania.

– Haha. Nieźle. Sierżant J. na pewno jest dumny ze swoich podopiecznych. Założę się, że nigdy nie szkolil szeregowego Fiutora oraz mistrza Jedi – Ojciec Maggie pokręcił głową, śmiejąc się jednocześnie.

Ice powoli wyciągnął skarpetkę, odsłaniając jedno oko. Z przerażenia zastygł w bezruchu. Stał tak z suszarką w górze i z rozkraczonymi nogami. Przestał oddychać, czekając na dalszy ciąg zdarzeń.

– Wiecie co? Jesteście nad wyraz interesujący, ale nie mam teraz na to czasu. Haha – Ted ruszył szybkim krokiem do przodu. Minął Jersey. Rzucił okiem na siedzącego w salonie Boogiego. Zasłaniał swoją twarz ze wstydu. Kiedy na niego spojrział, westchnął sarkastycznie.

Maggie ciągle stała w drzwiach. Udawała hipopotama – taki przynajmniej miała kolor. Ice, patrząc prosto przed siebie, zainteresował się odbijającymi światło plamami wody na podłodze. Ojciec Maggie szedł prosto na nie.

– Panie doktorze, niech pan uważa...

Było za późno na ostrzeżenie.

Skórzany but Dr. Teda napotkał mokrą nawierzchnię.

Mężczyzna poślizgnął się.

Przejechał na bucie około 10 cm do przodu. Machając szybko rękami w powietrzu, starał się utrzymać równowagę. Prawie mu się to udało, kiedy drugą stopą niefortunnie wdepnął w jeszcze większą kałużę. Noga wyrwała się do góry. Wyleciała na wysokość jego twarzy. Drugi but podążył za pierwszym. Ojciec Maggie wybił się w powietrze. Walizka, którą trzymał w ręce, poszybowała. Jersey i Ice rzucili się pospiesznie, żeby go złapać. Nie byli wystarczająco szybcy. Spadał na ziemię. Wylądował na plecach. Trzask jak gdyby łamanego drewna towarzyszył upadkowi jego dużego ciała na podłogę. Gdy waliza uderzyła o ziemię, odbezpieczyły się jej zamki, a cała zawartość rozsypała się po holu. Dokumenty, podzespoły elektroniczne oraz inne dziwne przedmioty rozproszyły się wszędzie.

–Aaaaaaa! – pisnęła Maggie, łapiąc się przy tym za głowę. – Tatusi, wszystko gra? Tato?

–Yyyy... ta...k.....ple.....cy..... – mamrotał Ted. – Wa....li.....zka.....

Boogie podbiegł bliżej. Wszyscy zebrali się wokół leżącego. Próbowali mu pomóc. Podnieśli go trochę do góry, lecz po jego krzyku opuścili z powrotem na ziemię.

- O cholera, chyba coś sobie złamał, musimy zadzwonić po pogotowie! – panikował Ice.
- Ale z was zasrane matoly, ja wam robię przysługę, a wy mi tak odpłacacie?! – Maggie krzyczała na chłopaków. – Mój tato ma skoliozę kręgosłupa, od lat męczy się z krzyżami. Nie będzie teraz mógł stać na nogach przez dwa dni! Debile!
- Przepraszamy, naprawdę, to był wypadek... – Jersey mówił cicho.
- Wali.....aaaalaaa.....zka.... Musicie zawieźć ją do Bentwaters, potrzebują tego te.....aaaalaaa....raz. Maggie, idź na dół i weź fiolki a5, d89 i l84, szy.....bko – szeptał, starając się wysłowić w agonii. Trzymał mocno Maggie.
- Ice, Jersey, słyszeliście, pozbierajcie te wszystkie rzeczy do walizki, ja lecę na dół, musimy to odkręcić – powiedziała, po czym pobiegła do piwnicy.
- Klikowski.....weź kluczyki z kie...szeni i jedźcie do ba....a....zy, to pilne. Chwycił mocno rękę Jerseya. Przybliżając do siebie jego głowę, wręczył mu kluczyki, mówiąc:
- Liczę na ciebie, to jest bardzo wa.....żne!
- Tak jest, Doktorze McFarlane, może mi pan zaufać. Już działamy.

Jersey wstał z ziemi. Przestraszonymi oczami popatrzył na porządkujących walizkę kolegów. Wydalo mu się, że ma nogi jak z waty. Ledwo utrzymywał pion.

Maggie wróciła z piwnicy, trzymając w ręku małą skrzyneczkę.

– Kochanie, włóż fiolki do... bo...czneej części kapsuły – szeptał w bólu.

– Tato, jakiej kapsuły? – zapytała.

– Bate...ria, do baaaaa...terii, z boku jeeest przycisk – wydusił z siebie.

Maggie chwyciła leżący obok trzydziestocentymetrowy, przypominający dużą baterię przedmiot. Wcisnęła znajdujący się na tylnej ściance podłużny przycisk. Klapka wyjechała na szynach. Zimne powietrze wyleciało ze środka, wysuwając uchwyty na małe fiolki. Wypełniła je tak, jak nakazał jej ojciec, po czym włożyła



wszystko do walizki.

– Panie McFarlane, nie zostawimy pana leżącego na podłodze na środku holu, przeniesimy pana na łóżko – zaproponował Boogie.

– Nic mi nie ..... jest, dysk mi znów wypadł, jak będziecie w bazie, zawiado.....mcie Docca, on wie jak mi pomóc. A teraz musicie je....chać, to jest bardzo waż.....ne, potrzebują tej wali.....zki, miała być u... nich w ciągu 20 minut. Liczę na.....was – wysapał i stracił przytomność.

Maggie chwyciła go za szyję i, nic nie mówiąc, popatrzyła rozgniewanymi, zalawionymi oczami na Jersey i Ice’a.

– Ruszamy! – powiedziała stanowczo.

– Maggie, jedna sprawa...– powiedział Jersey.

– Co znowu, do cholery?!

– Chyba nie myślisz, że wyjdziemy w szlafroku na zewnątrz?

– Fakt, przenieście tatę na łóżko, ja w tym czasie coś wam znajdę.

– Tylko się pospiesz, nadciąga burza – dodał Boogie, zauważywszy ciemniejące gwałtownie niebo na horyzoncie.

– Świetnie, jeszcze tego brakowało! Co za dzień... – rzuciła, biegnąc korytarzem.

\*

Zaraz po lądowaniu Frank dostał rozkaz pojawienia się w Sali Planowania Operacji Strategicznych, nie miał więc czasu się przebrać. Ciemnozielony jednoczęściowy kombinezon oraz czarny kask, który niósł pod pachą, wtapiały się w zimny szary długi korytarz, przez który przechodził. Insignia błyskawicy wyhaftowane grubą złotą nicią na ramieniu kombinezonu oraz nadruk na kasku odbijały światło białych lamp żarowych, ledwo migających przy suficie.

Szedł żwawym krokiem, chcąc mieć tę odprawę już za sobą. Kiedy podszedł do szerokich jasnoszarych podwójnych drzwi, nie wiedział, czego się spodziewać. Miał tylko nadzieję, że nie anulują mu obiecanej przepustki. Przepustki gwarantującej spędzenie trochę czasu z jego lobuzami.

Wszedł do dużego wysokiego pomieszczenia. Na samym środku stał długi prostokątny czarny stół, na którym leżała półprzezroczysta mapa. Jasne kolorowe fluorescencyjne linie tworzyły na nim chaotyczną, trudną do zrozumienia siatkę. Wszędzie roilo się od wyższych rangą oficerów.

– Świetnie, istny zlot choinek bożonarodzeniowych – pomyślał. Nazywał tak wystrojonych w ciemnozielone mundury oblepione kolorowymi odznaczeniami osobistości wojskowe.

– Frank! Witaj! Chodź tutaj do nas! – zawołał dobrze zbudowany starszy mężczyzna, o krótko ściętych włosach lekko przyprószonych siwizną. Wielka ilość medali ledwo mieściła się na jego marynarce. Uśmiechając się, uprzejmie wyciągnął dłoń.

– Frank, przyjacielu, zapewne nie masz pojęcia, po co cię wezwaliśmy?

– Witaj, Jonathan. Trudno powiedzieć, może oficjalnie chcielibyście wręczyć mi bilet na miesięczny wyjazd na Majorkę? – zażartował, potrząsając dłonią towarzysza.

– Haha! Bezpośredni jak zwykle! Pozwól, że kogoś ci przedstawię. Oto Pułkownik Edwards. Przyleciał specjalnie, żeby nadzorować dzisiejsze testy. Testy, w których bardzo byśmy chcieli, żebyś uczestniczył.

No to po przepustce – pomyślał zirytowany Frank.

– Witaj, Klikowski, sporo o tobie czytałem. Masz wielkie osiągnięcia. Przełożeni ciepło się o tobie wyrażają. Wydajesz się być idealnym kandydatem do poprowadzenia naszego programu.

Frank słuchał, myśląc ze złością: "Syndrom skrzata z polkniętą piłką do koszykówki, do tego ten wnerwiający głos – jakby miał się udławić po zakończeniu każdego zdania".

– Chcielibyśmy, żebyś przetestował najnowszy prototyp myślicy infiltrującego. To, co za chwilę zobaczysz, ma pierwszy stopień tajności. Nikt nigdy nie może się dowiedzieć o tych testach – kontynuował niski mężczyzna.

– Dziękuję za uznanie. Mogę zapytać, jak mamy testować nowy tajny samolot na obszarze niewyludnionym?

– Proszę, zapoznaj się z tymi dokumentami. Wszystko stanie się jasne, gdy to zrobisz – uśmiechając się, wręczył Frankowi grubą fioletową teczkę.

Nie czekając ani minuty dłużej, otworzył jej zawartość i przejrzał kilka pierwszych stron. Odwrócił powoli głowę w kierunku pułkownika. Jego twarz zbladła, oczy się rozszerzyły.

– To żart, prawda? – zapytał zszokowany.

## Rozdział 3

### Bateria

Słońce schowało się za chmurami, a cień zarzucił swój płaszcz na wylegającą się na ogromnej polanie czwórkę nastolatków.

Andy była jedyną dziewczyną w całej ekipie. Ładna, niska, krótko ścięta blondynka. Ubrana w czapkę z daszkiem, biały podkoszulek z dużym napisem "KISS MY LIPS", jeansowe niebieskie spodnie i sportowe różowe buty. Wylegiwała się, opierając o duży stożek siana.

Red siedział zaraz obok niej. Długie rude włosy spływały mu na luzny, lekko poszarpany poźółkły podkoszulek w panterkę. Ustawiał coś przy radiu, którego właśnie słuchali.

– Ej! Przełącz to z powrotem, tam leciało *Call Me Blondie!* – krzyknął leżący kilka metrów dalej grubasek.

– Nie! Zostawię to! To jest prawdziwa muzyka! – odpowiedział Red, nastrojając stację na grany właśnie *Another Brick in the Wall* Pink Floydów.

– Ruda peruka – zamruczał pod nosem leżący plackiem grubas. Ubrany w podziurawione jeansowe spodnie, obcisłą czarną koszulkę z napisem "A NEW HOPE" i białą przepaskę na czole, grzebał sobie w buzi urwanym źdźbłem trawy.

Tuż obok nich stał wysoki chłopak. Wpatrywał się w stado krów, które musiał pilnować. Patrzył w ich stronę, lecz jego duże zielone oczy były jakby nieobecne. Dziwnie zamyślony, stał z kamienną twarzą, obserwując otoczenie. Jego nażelowane, zebrane do tyłu, ciemnobrązowe włosy dodawały mu powagi. Pociągła twarz, ostre rysy i szeroka szczęka – to wszystko sprawiało, że zamiast na 16 wyglądał przynajmniej na 19 lat.

Red stanął obok kolegi i zareagował na znajomy stan kontemplacji.

– Znów myślisz o Maggie, mam rację?

BB nie odpowiedział ani słowem na to pytanie.

– Wiem, że tak. Za dobrze cię znam. Zobaczysz, na pewno wróci do ciebie, musisz być tylko cierpliwy – popatrzył na niego kątem oka i odrzucił ogniste włosy do tyłu.

– Wiem, że nie chcesz tego słuchać po raz kolejny, ale wiedziałem, że tak będzie. Mogłeś mnie posłuchać, wtedy byś tak nie cierpiał.

– Pogoda się psuje. Zbieramy się – BB powiedział spokojnie. Chciał skończyć ten temat.

– Jak się psuje? Nawet nie ma wiatru! – zaburczał grubasek.

– Jedyne wiatry, jakie możesz poczuć, to te, które sam możesz wywołać, Piguła – dodała od siebie Andy.

Pfffrrrrrrr – rozniósł się dźwięk siarczystego bąka.

– Racja, Andy, poczułem, teraz możemy się zbierać, haha! – oświadczył dumny z siebie grubasek.

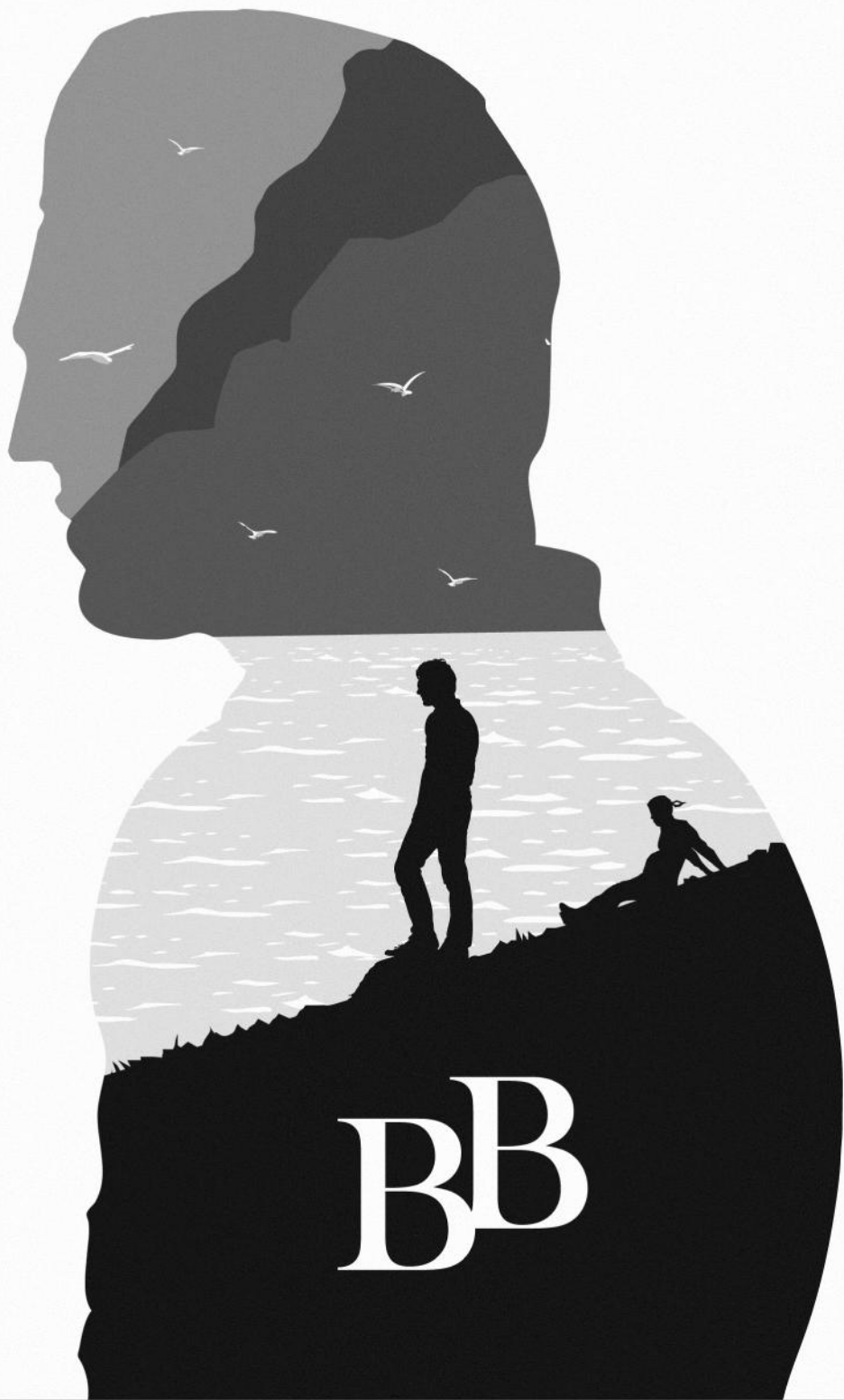
– Piguła, nagły brak wiatru często zapowiada nadchodzącą burzę. Poza tym, gdybyś otworzył oczy, zobaczyłbyś, co się nad tobą znajduje – poinformował BB.

Piguła postanowił spróbować i powoli otworzył powieki. Nie chciało mu się nawet przysłonić ich dłonią – był na to zbyt leniwy. Ciemne chmury kończyły zakrywać resztki błękitnego nieba. Słońce było już całkowicie schowane. Wszystkimi siłami starał się wstać z ziemi. Wyglądał tak, jakby przyciąganie ziemskie zwiększyło nagle swoją moc. Co drugi ruch kończył się ponownym upadkiem na ziemię. Po kilku nieporadnych próbach postanowił jednak chwilę na niej pozostać.

Andy subtelnie uniosła daszek swojej czapeczki, spod którego popatrzyła na kotłujące się masy gęstniejących ciemnogramatowych chmur. Znajdując się na położonej na niewielkim wzniesieniu polanie, mieli świetny widok na wydające się nie mieć końca morze północne.

– Zbieramy się, zaraz lunie – powiedziała, obserwując migoczące w oddali błyski.

– Łaaaaa! Ale błysło! Idziemy już czy nie?! – zawył przerażony Piguła



BB

po ujrzeniu ogromnego rozdzierającego niebo pioruna. Po czym wystrzelił na baczność niczym sprężyna.

– Idziemy – przytaknął BB, kierując się wolnym krokiem w stronę zdenerwowanych krów.

Od lat pomagał ojcu przy wyprowadzaniu i wypasaniu bydła. Ich gospodarstwo było znane w całej okolicy. Byli wielkimi zwolennikami kontynuowania tradycji organicznych, przez co mleko, które pozyskiwali, było nieporównywalnie smaczniejsze niż to ze sklepu czy z innych farm, gdzie zaczęto wprowadzać nowsze, szybsze sposoby hodowli zwierząt. Wiele osób z pobliskiej bazy wojskowej upodobało sobie ich produkty mleczarskie. BB nie przepadał za obecnością amerykańskiego wojska na Wyspach Brytyjskich, a szczególnie w ich okolicach, jednak rozumiał, że dzięki nim można też zarobić.

Wszyscy byli Anglikami. Urodzili się na Wyspach i całe życie na nich spędzili. Mieszkali w Hollesley, niewielkiej nadmorskiej miejscowości, i znali się od najmłodszych lat.

BB, Andy oraz Red mieli po 16 lat i uczęszczali nie tylko do tej samej szkoły, ale również do tej samej klasy. Piguła był o rok młodszy, ale po latach starań o ich względy udało mu się w końcu dołączyć do ich grona. Nie chciał przyjaźnić się z młodszymi dziećmi, czuł sympatię do BB, którego zawsze starał się naśladować. Andy natomiast uznawała Pigulę niemalże za młodszego brata, dlatego też ciągle mu dogadywała i dokuczala.

Red i BB byli najlepszymi przyjaciółmi. Od początku, kiedy poznali się w piaskownicy, bardzo przypadli sobie do gustu. Mieszkając w tamtych okolicach, nie sposób było ich nie znać. Byli lubiani i rozpoznawani wszędzie jako grupka radosnych i natrętnych urwisów.

Zagrzmiało. Krowy niespokojnie zaczęły dreptać i wpadać jedna na drugą. BB podbiegł do nich i zaczął zaganiać je w stronę zagrody prowadzącej prosto do leżącej niżej stodoły. Kolejny błysk rozświetlił nagle okolicę. Rozległo się muczenie. Niepokój wśród zwierząt narastał.

– Red! Piguła! Pomóżcie mi z nimi! Andy, proszę, otwórz bramkę! – podniósł głos.

Następny grzmot wstrząsnął ziemią. Jedna z krów wystraszyła się i odbiegła od stada. Zaczęła biec w kierunku morza. Kolejny błysk zmienił tor jej ucieczki w odwrotną stronę – tym razem prosto w las. BB instynktownie rzucił się za nią w pościg, nie miał wyjścia.

– Ej, gdzie on leci? – zapytał Pigula.

– Szybko, sprowadzajcie te krowy na dół, będziemy musieli mu pomóc – Andy machnęła energicznie ręką.

Red oraz tłuscioch pośpiesznie wprowadzili resztę krów do otwartej już zagrody i rzucili się w pościg za znikającym w gęstwinie drzew kolegą krzyczącym:

– Chodź tuuuuuuuuuuuu, krooooooowo!!

\*

– WOW, to się nazywa ubranie! – skomentował Boogie, zerkając na nowy wygląd swoich kolegów. Siedział wygodnie na tyle otwartego wojskowego Jeeпа.

Dwóch chłopców maszerowało żwawo w kierunku samochodu. Ubrani byli w jasno beżowe mundury. Podwinięte pod łokcie rękawy, spuszczone w dół spodnie zakończone zawiniętymi wysoko nogawkami oraz ściśnięte mocno paski sprawiały wrażenie, jakby odziedziczyli te ubrania po dużo starszych braciach lub sami skurczyli się w praniu – co było raczej mniej prawdopodobne.

– Lepsze o trzy rozmiary za duże mundury niż szlafroki! Ruszcie się!

– krzyknęła Maggie. Zamykała właśnie drzwi swojego domu.

Jersey, usiadłszy za kierownicą, przekręcił kluczyki w stacyjce. Ice milcząco usiadł obok brata, a Maggie, przeskoczywszy na tył, uzupełniła komplet siedzeń swoją obecnością.

Ruszyli.

– Jak tam tato? – zapytał Jersey. Miał bardzo zażenowaną minę.

Maggie popatrzyła na niego kątem oka i nic nie odpowiedziała. Była nadal wściekła.

– No nie bądź taka, to był wypadek. Przecież wiesz, że się wyglupiali. Jak się trzyma Ted? – zapytał Boogie.



- Nie broń ich.
  - Nie bronię. Wiesz, jacy oni są. Chcieli tylko zażartować – puścili oczko do patrzącego w lusterko Jerseya.
  - Nic mu nie będzie. Musi trochę poleżeć. Od dawna narzeka na plecy.
  - To dobrze. Pojedziemy po Doktora i będzie OK – uspokajał ją Boogie.
  - Skąd wzięłaś te rzeczy? – zapytał, patrząc na mundury chłopaków.
  - Wiesz, czasami dorabiamy sobie z mamą, czyszcząc reprezentacyjne mundury naszą specjalną recepturą, która ściąga z włókien wszystko – włącznie ze smarem i innymi ustrojstwami.
  - Ano, racja. Nie chcę nawet myśleć, jak te mundury muszą wyglądać po niektórych balangach. Te wasze eksperymenty na pewno uratowały już niejedno życie...
  - Niektórzy żołnierze oferują bardzo dobre pieniądze za taką usługę, uwierz mi. Aczkolwiek mamy również kilka mundurów, których żołnierze nie odebrali... Mam nadzieję, że tylko dlatego, że zapomnieli...
  - pogrążyła się na chwilę w zadumie.
  - Albo dlatego, że zostali przeniesieni do innych baz? – poklepał ją po ramieniu Boogie.
- Ice coś zaburczał pod nosem.
- Co się tam tak złościsz? – zapytała Maggie.
  - Nic...
  - No weź, nie bądź taki. Sorry, że się wydarłam na was, ale daliście ciała.
  - Wiem, należało nam się.
  - To co tam burczałeś?
  - Zastanawiałem się, co za frajerzy zrobili nam ten durny dowcip. Założę się, że to któraś z lokalnych drużyn.
  - Nie zdziwilbym się! – krzyknął z tyłu Boogie.

Cała czwórka uczęszczała do amerykańskiej szkoły ulokowanej przy bazie RAF Woodbridge. Szkoła kładła duży nacisk na naukę, ale również na wychowanie fizyczne. Każdy musiał uprawiać jakiś sport. Jersey i Icek Klikowscy trenowali piłkę nożną.

Od czasu do czasu szkoła organizowała sparingi między ich drużynami a innymi lokalnymi klubami. Byli dobrzy. Już jako maluchy grali w piłkę z tatą. Co było dość niezwykle w Stanach. Większość dzieciaków wołała football amerykański albo kosza. Wszystko to wychodziło z ich korzeni. Frank „QUICK” Klikowski – ich ojciec – urodził się w Polsce, a tam ten sport był najważniejszy i każdy go uprawiał. Tuż po drugiej wojnie światowej Frank, mając jedynie kilkanaście lat, wyjechał ze swoimi rodzicami do Ameryki w poszukiwaniu lepszego życia. Tam też wstąpił do armii w podzięce za to, że Amerykanie nie tylko uratowali Polskę i Europę, ale również cały świat.

Szanował Amerykanów i Anglików, traktował ich jak prawdziwych bohaterów. W szkole wojskowej szybko odkryto w nim talent do lotnictwa, kariera pilota stała więc dla niego otworem. Na początku lat sześćdziesiątych zakochał się w pięknej Justynie, która również była Polką na obczyźnie. Tam też pobrali się i założyli rodzinę.

Nie był niestety obecny podczas narodzin swoich synów, bo w 1964 roku wspomagał piechotę amerykańską podczas wojny w Wietnamie. Pilotował wtedy samolot zwiadowczy.

Po wojnie, w podzięce za jego zasługi, rząd amerykański zaproponował mu przeniesienie do Wielkiej Brytanii i szkolenie pilotów do walki z Migami. Frank tak też zrobił i wraz z żoną i dwoma synami przeniósł się do Europy. W 1978 zapisał ich do amerykańskiej szkoły w Woodbridge, a tam poznali się już z Maggie oraz Boogiem. Jersey został przechrzczony na to imię przez swoich amerykańskich kolegów, gdyż nie potrafili poprawnie wypowiedzieć słowa Jerzy. Jersey po angielsku oznacza koszulkę sportową, co bardzo mu pasowało. Dla Icka imię Ice przyszło naturalnie, ponieważ Amerykanie nie wypowiadali ostatniej litery w wyrazie Icek. Ojciec ich również został nazwany Frankiem, mimo że na imię miał Franciszek. Nazwisko Klikowski szybko przyjęło się jako Quick – co znaczy szybki.

Jersey był kapitanem drużyny, a Ice głównym atakującym. Na boisku byli gwiazdami, stąd też może wzięła się lekka antypatia w stosunku do ich osób. Bo przecież jak Amerykanin czy Polak mógłby być lepszy w nogę od Anglika?

– Jersey, za ile będziemy w bazie? Ile mamy jeszcze czasu? – zapytała Maggie. Jersey, delikatnie przekręcając głowę na bok, rzucił okiem na niebo, a później na przyjaciół z tyłu.

– Mam nadzieję, że wystarczająco szybko. W oddali już się błyska.

– I grzmi! – dodał siedzący obok Ice, usłyszawszy dobiegający nieopodal niski drżący dźwięk.

– Boogie, masz tę teczkę?

– Tak, jest tutaj, z boku – odpowiedział, pokazując brązowy przedmiot.

– Świetnie, no to gazu – skierowała całą swoją uwagę na błyskający horyzont.

Po opuszczeniu osiedla amerykańskich domków wjechali na asfaltową drogę biegnącą przez gęsty las. Ciągnęła się ona przez kilkanaście kilometrów aż do samej bazy w Bentwaters. Na zegarku Ice wypatrzył godzinę jedenastą. Od porannego joggingu minęło już trochę czasu. Było parno, powietrze zdawało się gęstnieć z każdą minutą. Pędząc w otwartym jeepie, mogli troszkę się ostudzić. Temperatury w ostatnich dniach były nadzwyczaj wysokie. Można by rzec, ekstremalnie wysokie jak na angielskie warunki pogodowe. Może to właśnie było przyczyną coraz częstszych burz i letnich sztormów.

Wszyscy, za wyjątkiem prowadzącego samochód Jersey, wpatrywali się w horyzont, a raczej jego fragmenty, które od czasu do czasu pokazywały się w miejscach, gdzie las nie był tak bardzo gęsty. Groźnie wyglądające chmury, rozpychały się coraz szybciej po całym nieboskłonie. Towarzyszące im grzmoty oraz błyski potęgowały mroczny nastrój.

WRRRRRRRRRRRRRRRRRUBOOM – ogromny huk rozszedł się nagle po okolicy. Wszyscy raptownie popatrzyli w górę. Eskadra myśliwców przeleciała tuż nad ich głowami.

– Co jest grane? Dlaczego łamią barierę dźwięku na tak niskim pułapie?! – krzyczał głośno Ice.

– Co mówisz?! – zawył, trzymając się za uszy, ogłuszony Boogie.

– Przekraczali barierę dźwięku tuż nad nami! Słyszeliście?! – pytała wrzeszcząc Maggie

– Dziwne!

– Tak, dziwne, szczególnie, że lecieli prosto w stronę burzy. Co za dziwne testy! Tato nic nam nie mówił o czymś podobnym – dodał od siebie Jersey.

– Daj gazu, kilkaset metrów dalej jest miejsce, z którego będziemy mogli wyraźniej zobaczyć horyzont – zakończył Ice, uderzając pięścią w ramię swojego brata.

Jersey przycisnął mocniej pedał gazu. Chciał szybko tam dojechać. Był bardzo zaniepokojony całą sytuacją.

– Nie mamy na to czasu! – krzyknęła czarnowłosa koleżanka.

– Daj spokój, możemy być w Bentwaters w kilka minut, a nie wiadomo, co oni kombinują w powietrzu – próbował wytłumaczyć jej piegowaty Ice.

– Do cholery jasnej, słyszeliście mojego tatę, to sprawa najwyższej wagi, może potrzebują tej teczki do testów czy coś, musimy jechać! Poza tym przez kogo tam jedziemy, co?!

Jersey na moment odwrócił głowę do tyłu:

– Racja, nie mamy na to czasu, musimy jechać, to nasza wina, musimy to odkrę...

– UWAGA!!! – Boogie przerwał z nagłym wrzaskiem, wskazując na drogę przed nimi.

Jersey zacisnął mocno palce na gorącej kierownicy. Otworzył szeroko przerażone oczy i z całej siły nadepnął na hamulec, krzycząc przy tym:

– Trzymaaaaaaaaajcie się mocno!!!

W odległości 30 metrów pojawiła się znikąd na samym środku drogi krowa. Ujrawszy pędzący na nią pojazd, zamarła w bezruchu.

Piiiiiiiiiiiiiiiiiiii – dźwięk piszczących zakłębionych dymem hamujących opon zatoczył echo po okolicy.

Cała czwórka wyleciała naprzód, niemalże przyklejając się do szyby. Jeep odbił gwałtownie w lewo, na co Jersey skontrolował kierownicą w prawo. Zbliżyli się do stojącej już w odległości kilkunastu metrów krowy.

Szybka decyzja – odbił na pobocze.

– Uważaj!!!

– AAAAAA!!!

– Jerseyyyyyy!!! – krzyknęli wszyscy na raz, widząc wylatującego z lasu wysokiego chłopaka. Stał tuż przed ich maską. Jersey instynktownie pociągnął za hamulec ręczny i skręcił kierownicę w lewo. Samochód przekręcił się na bok, dwie lewe opony oderwały się od ziemi. Sunęli na dwóch kołach między krową stojącą po prawej oraz chłopakiem po lewej.

– AAAAAAAAAAAAAAAAAA!!! – wrzeszczeli wszyscy jednocześnie.

Samochód przechylił się i opadł bokiem na drogę. Chmura kurzu i iskier wystrzeliła spod Jeepa. Przekręcili się o 90 stopni. Zwalniali szurając prostopadle do jezdni. Jedna opona ocierała o beton, druga o ziemiste pobocze.

THUMP!– to jedno z kół uderzyło o ogromny kamień.

Zatrzymali się.

Boogie oraz Maggie wypadli z tylnych siedzeń prosto na trawę. Jersey potrząsnął głową, odpiął pas bezpieczeństwa i przekręcił przybitą do deski rozdzielczej twarz siedzącego brata.

– Wszystko OK? Dobrze się czujesz? – zapytał na wpeł przytomnego Ice'a.

– Co? Kolacja? – odpowiedział głupio zapytany.

– Czyli wszystko OK – podsumował, klepiąc brata po twarzy, po czym wyskoczył szybko z auta. Podbiegł do leżących obok przyjaciół.

– Maggie, jak się czujesz? Maggie?! – pytał przestraszony na widok leżącej nieruchomo dziewczyny. Jej twarz ukryta była w trawie. Leżała, nie dając znaku życia.

Drżącymi rękami obrócił ją delikatnie. Widząc jej zamknięte oczy, poczuł, jak skurczył mu się żołądek .

– Maggie? Maggie?! Powiedz coś! – nie przestawał mówić do niej. Nachylił się nad nią i zbliżył ucho do jej ust. Nasłuchiwał oddechu. Mimo ciągłego szumu w uszach oraz zawrotów głowy, starał się skupić.

– Al... – nagle stęknął i przetoczył się na bok, łapiąc za bolące krocze.

– Nic mi nie jest! Złaż ze mnie! – Maggie wrzasnęła, lekko oszołomiona, zaraz po tym, jak uderzyła go kolanem prosto w genitalia.

– Za co...?! – Jersey zaświergotał niczym kanarek.

– Za co?! Za wszystko! Mogłeś nas zabić! Po jaką cholerę przyspieszałeś! – wydzierała się.

– Daj spokój, najważniejsze, że jesteśmy cali... – wyszeptał, podnosząc się z ziemi Boogie. Zatrzymał wzrok na patrzących się na niego przyjaciółach. Mieli dziwne miny, jak gdyby rywalizowali o to, kto szerzej otworzy usta.

– Co jest? Na co się gapicie? – zapytał, lecz szybko domyślił się, że chodzi o jego czoło, bo tam właśnie koncentrowali swój wzrok. Podniósł rękę i kiedy próbował instynktownie się zbadać, coś go boleśnie zatrzymało. W odległości 10 cm od czoła poczul coś dziwnego.

– Ale masz guza! Jakby...

– Jakby ci banan wyrósł! – odezwał się ironiczny obcy głos za ich plecami.

Obrócili się jednocześnie. Popatrzyli w miejsce, z którego niespodziewanie wybiegł kilka sekund wcześniej jakiś chłopak. Nie był już sam, towarzyszyły mu jeszcze trzy osoby.

– Haha, co wy żeście zrobili? Zawsze wiedziałem, że żołnierzyki nie potrafią jeździć pojazdami. Cholera, pewnie dlatego macie je tak cholernie opancerzone! – kontynuował niski, krótko ścięty tłuścioch.

– Zamknij się, Piguła, na chwilę – uciszył go BB. – Maggie, nic ci nie jest? – zapytał zmartwiony BB.

– Nie! Nic mi nie jest! Co to było? Specjalnie to zrobiliś?! – pytała furiacko.

– Przepraszam. Krowa mi uciekła, chciałem ją zatrzymać – odpowiedział nerwowo i złapał się za głowę.

– Przepraszaj! Racja, a teraz naprawiaj samochód! – odezwał się Ice zza leżącego na boku jeepa.

– Nie ciebie przeproszał, marna imitacja G.I. Joe! – odszczekał mu Red.

– Zaraz ci rozwałę michę, to wszystko twoja wina, śmierdzący pastuch! – wyrwał się Jersey, broniąc brata.

Ice pomógł Boogiemu wstać. Otrzepali się z kurzu i wraz z Jerseyem podeszli do stojących tuż obok angielskich nastolatków.

– No to będzie się zaraz działo – szepnęła Andy spod swojej różowej czapeczki. Maggie, słysząc to, dołączyła do szeregu, stając na wprost niskiej blondynki.

Stojąc nieruchomo naprzeciw siebie, oddychali głęboko. Nie mrużąc powiek, wpatrywali się wyzywająco i nieugięcie w swoje oczy. Jersey starał się odgadnąć, o czym teraz myśli czarnowłosa BB. Próbowal w jakiś sposób przewidzieć jego następny ruch, lecz jego pokerowa twarz nie zdradzała niczego.

Ice natomiast planował, gdzie powinien uderzyć najpierw, żeby tylko przebić się przez gęsty tłuszcz sarkastycznie ocierającego kostki grubasa. Boogie u Reda szukał alternatywy dla skutecznego ataku z bańki. Bańki, która była teraz nieosiągalna przez dziesięciocentymetrowego guza.

A może wbiję mu guza w oko? – rozmyślał.

Maggie skanowała wzrokiem czapeczkę Andy. A dokładniej rozglądała się za najdłuższą częścią wystających spod niej włosów. Plan był taki, żeby porządnie je wytargać. Zemścić się za te wszystkie docinki, których musiała słuchać od kilku miesięcy. Maggie doskonale wiedziała, jak Andy obsmarowuje ją za plecami.

W tle opadał ciężki kurz, mieszając się z dymem parującym z silnika. Mocne błyski od czasu do czasu podświetlały otaczające ich drzewa, a grzmoty wzmacniały nerwowość atmosfery. Krowa natomiast nadal stała na środku drogi i ze zmieszaną miną starała się sobie przypomnieć, w którą stronę wcześniej biegła.

Lewe przednie koło od jeepa hamowało, wydając przy tym przeszywający pisk.

WRRRRRRRRRRRRRRRRRUBOOM! – kolejny huk nadlatujących samolotów odwrócił ich uwagę. Ugięli instynktownie kolana i popatrzyli w niebo.

– Muuuuuuuuuuuuu...

– Mućka znowu wieje! – zauważył Piguła.

– Musiała się przestraszyć huk! Później wrócimy do tej sympatycznej... mhm... rozmowy? – uklonił się nisko BB. Zrobił to w taki sposób, żeby nie stracić z oczu Maggie.

Ona sama poczuła się dziwnie, była na niego wściekła, ale jednocześnie nie mogła oprzeć się jego urzekającemu spojrzeniu. Zaczerwieniła się.

Ubrany w białą koszulkę, czarne spodnie i czerwone buty przewiązane białymi sznurówkami, rzucił się w pościg za uciekającą krową.

Jersey, widząc wszystko, nie chciał się z tym pogodzić.

Jak ona mogła się zaczerwienić przez takiego kretyna? – zastanawiał się.

Czyżby...?! – toksyczna myśl nawiedziła jego głowę, działając na niego jak potężny zastrzyk adrenaliny. Napędzony dużą dawką nerwów i złości, ruszył za BB.

Wbiegli wąską ścieżką prosto do lasu. Mućka była na przodzie, BB za nią, a Jersey deptał mu po piętach.

Ice w międzyczasie wykorzystał chwilę nieuwagi. Wypuścił pięść prosto w gęste zwoje tłuszczu na brzuchu grubasa. Piguła otworzył szeroko oczy, a z jego ust wydobył się obrzydliwy dźwięk, zupełnie jakby miał z wymiotować.

– Cel trafiony, żołądek zatopiony – uśmiechnął się do siebie Ice.

Piguła był wytrzymały, zgiął się i skontrolował, wbiegając całym ciałem na dużo mniejszego od siebie Ice'a. Powalił go.

Leżący na dole blondyn, kopiąc na raz obiema nogami w klatkę tłuszczocha, uwolnił się z jego uścisku.

– Chodź tutaj, piegusku, połamię cię jak kruche ciasteczko! – nacierał fioletowy z wściekłości Piguła.

– Dawaj, worku tłuszczu! Szybciej cię położę, niż zdążysz wciągnąć tego gluta spod nosa! – wydzierali się, skacząc na siebie.



– Co tam masz w teczusce, gniazdogłowy? – zapytał stojący na przeciw Boogiego długowłosy rudzielec. – Maszynę do robienia trwałej? – uśmiechnął się ironicznie.

Boogie z powodu całego tego zamieszania nawet nie zwrócił uwagi na to, że przez cały czas trzymał teczkę mocno w dłoni. Maggie, zorientowawszy się, co się za chwile stanie, odebrała brązową walizkę wysokiemu koledze. Nie chciała ryzykować. Nie mogła zawiść swojego taty. Postanowiła bronić tej teczki za wszelką cenę. – O nie! Tak nie będzie, słodziutka, oddawaj to! – pisnęła Andy. Położyła obie ręce na uchwycie i z całych sił próbowała wydrzeć jej przedmiot. Rozpoczęła się szamotanina.

Red z Boogiem uderzyli w siebie głowami. Przyklejeni jeden do drugiego, przypominali walczące barany. Po drugiej stronie ulicy Ice wyskakiwał w powietrze z wyciągniętą nogą, imitując Chucka Norrisa. Piguła czekał na jego cios, wyobrażając sobie, że zatrzyma się na nim jak na ścianie.

Był duży, ale nie twardy, bardziej przypominał gęste babcine ciasto do makaronu. Ice kopnął go w tłusty brzuch, odbijając się od niego niczym piłeczka. Spadając na ziemię, niechcący nabił sobie własną pięścią siniaka pod okiem, nokautując się przy tym niezdarne.

– Do twarzy ci z tym limem, kupojadzie! Haha! – szydził Piguła, chwając się na nogach.

– Co ty powiedziałeś?!

– No dzisiaj rano przecież wciłaś kupsztala w row...ieeee, ups.. cholera.... – przerwał w połowie zdania. Było już jednak za późno, nawet mocne uderzenie się po głowie nie mogło odwrócić tego, że się właśnie wygadał.

– Co?! Kupojadzie! Wygadałeś się! To wy! Nie żyjesz! – zawarczał, wstając energicznie Ice.

Rzucił się na niego niczym puma albinos na przejeżdżoną wielgachną pandę. Jedna pięść wykrzywiła szyderczy uśmiech grubasa, podczas gdy druga przedarła się przez gęste faldy tłuszczu na jego lewym boku. Walka trwała.

Dziewczyny ostro i brutalnie targaly się za włosy, wrzeszcząc przy tym jak oszalałe. W chaosie szczypania i drapania pazurami nawet nie zauważyły, że teczka wyleciała im z rąk. Uderzyła mocno o ziemię, a cała jej zawartość po raz kolejny tego dnia rozsypała. Dokumenty rozproszyły się dosłownie wszędzie, a przedmiot przypominający dużą baterię sturlał się na środek drogi.

Kurz, głośnie grzmoty przerywane szybkimi błyskami, huk samolotów, wywrócony samochód, walcząca wściekle nastolatka – to wszystko przypominało istne pole bitwy.

– MUUUUUUUUUUU – rozniósł się kolejny ryk szarżującej krowy. Walka na moment ustala, a wszyscy skoncentrowali wzrok na wybiegających z lasu chłopakach.

– Uwaga! Ta krowa oszalała! Z drogi!! – krzyczał biegnący na przedzie Jersey.

– Odsunąć się! – wrzasnął lecący tuż za nim BB.

– Muuuuuuu – ryczała zdezorientowana krowa.

Biegli w prostej linii na leżącą przed nimi teczkę.

Maggie, zauważywszy to, odepchnęła siedzącą na niej Andy i ruszyła prosto pod nogi nadbiegającego zwierzęcia. Chciała uratować teczkę ojca, nie mogła go zawieźć.

Jersey oraz BB, spostrzegłszy jej lekkomyślne zachowanie, jakby zsynchronizowani telepatycznie wyskoczyli prosto na nią, ratując ją od staranowania przez masywne stworzenie.

Krowa nagle zatrzymała się. Stała w tym samym miejscu, gdzie wcześniej, widocznie przypomniawszy sobie o wypadku i znów zapomniawszy, gdzie biegła. Cała ósemka zamarła w bezruchu, czekając na rozwój wydarzeń.

BB delikatnie i jak najmniej zauważalnie podnosił się z leżących pod nim Jersey i Maggie. Patrzył na sznur wokół krowiej szyi. Chciał ją złapać. Dzieliły go od niej jedynie dwa metry. Pot spływał mu z czoła, czuł, jak cały płonie z gorąca. Oddech miał bardzo szybki, lecz starał się tego nie pokazywać, żeby tylko ponownie nie spłoszyć oszalałej ze strachu krowy. Maggie, wykorzystując sytuację,

również postanowiła powoli podczołgać się po leżącą metr od niej walizkę.

Mułka, nie zwracając na nich zbytnej uwagi, rozglądała się do dookoła, próbując określić swoje położenie. Bardzo powoli i spokojnie podkradali się do niej. Gdy byli już niecały metr od celu, niespodziewanie znów zagrzmiało. Zatrzymali się, nie wiedząc, jaka będzie jej reakcja.

Ruszyła głową, ale wciąż stała w miejscu – jakby trochę oswojona z tymi dźwiękami.

Maggie udało się przyciągnąć do siebie teczkę. Zgarnęła również dokumenty. Brakowało jej jedynie leżącej kawałek dalej dużej czarnej baterii.

BB w międzyczasie zdołał chwycić zwierzę za obrozę. Założył jej sznur, który wcześniej trzymał w kieszeni. Miał ją. Odetchnęli z ulgą. SsssszzzzzzZZZZZZZZ – nagły, przesywający, głośny świst przykuł ich uwagę. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy.

– Coś spada – zauważył Boogie.

– Co? – zapytał Red, przeszukując wzrokiem widoczny nad nimi skrawek nieba.

– Tam! – Piguła wskazał palcem na ledwo widoczne, przesłonięte lasem niebo. Kula jasnego białego światła spadała niedaleko od miejsca, gdzie się znajdowali.

Dźwięk był nie do zniesienia. Przyłożyli sobie ręce do uszu, obserwując, co się za chwilę stanie.

Krowa nie wytrzymała.

– Stój!!! – wrzasnął BB, starając się z całych sił ją powstrzymać. Pobiegła przed siebie. Maggie w ostatniej sekundzie przeturlała się na bok i zasłoniła twarz dłońmi. Krowa, pędząc szalenie, postawiła kopyto na dużej baterii. Zmiażdżyła ją.

Zagrzmiało po raz ostatni. Ogromny błysk wydobywający się z rozgniecionego przedmiotu oślepił wszystkich stających wokół. Upadli na ziemię. Tracili przytomność.

Ostatnie, co usłyszeli, to pytające muczenie zwierzęcia:

– MUUUUUUUUUUUUUU?

## Rozdział 4

### Mgła

Palona saletra, siarka i jakiś słodki zapach, mniej więcej taka mieszanka przysłała do głowy powracającemu do przytomności Jerseyowi. Zapach go przebudził. Na ustach miał słony smak. Jeszcze do niego nie dotarło, co się tak naprawdę wcześniej wydarzyło.

Szum w uszach był nie do zniesienia, coś piszczało, potem chwilowo przerwało, by za moment zapiszczeć od nowa. Próbował otworzyć oczy. Napinał mięśnie powiek z całych sił. Bez powodzenia.

Wyciągnął obolalą lewą rękę spod swojego brzucha, na której zresztą leżał. Była cała zdrętwiała. Dotknął więc prawą ręką swoich powiek i delikatnie uniósł je do góry. Odkleiły się. Czymkolwiek były sklezione, znajdowało się to teraz na jego dłoni.

Odpychając się od ziemi, wyprostował plecy i usiadł. Otwierając powoli oczy, spojrział na swoją dłoń. Była fioletowa, a dokładniej to upudrowana fioletem, bo gdy poruszył się, większość spadła na ziemię. Jedyne, co zostało, to klejąca substancja przypominająca trochę kisiel borówkowej.

Dźwięk szurania butów odciągnął jego uwagę. Popatrzył przed siebie.

– UAAAAAA! – krzyknął przestraszony.

Stała przed nim niewysoka i niewyraźna fioletowa postać, która na jego widok odpowiedziała innym bardzo wysokim dźwiękiem:

– IAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!

– Czym jesteś?! – zapytał przerażony Jersey.

– Co?

– Co "co"? Kim jesteś?!

– To ty, żołnierzyku? Co ty masz na sobie! – zapytał teraz już lepiej słyszalny dziewczęcy głos. – Czemu, do jasnej cholery, jesteś fiole-

towy... i czemu wszyscy wokół również mają taki kolor?!... A niech to szlag, ja też....

Jersey wstał i rozglądął się dookoła. Piszczenie w uszach zaczęło zanikać, a zamazany obraz stawał się coraz bardziej klarowny. Odzyskiwał ostrość widzenia. Kiedy wyteżył mocno wzrok, zobaczył, że fioletową istotą tak naprawdę była niska dziewczyna w czapeczce. Zaczęła podskakiwać, jakby zaatakował ją rój pszczół, najwyraźniej próbując zrzucić z siebie niechciany kolorowy pył.

– Co się u licha stało? Co się drzecie? – odezwał się głos z boku.

– Dlaczego wyglądamy jak Smerfy? – pytał kolejny.

– Smerfy były niebieskie, my wyglądamy jak ich chińska podróbka! – odpowiedziała podirytowana Andy.

Zaczęli się powoli wybudzać. Leżeli na samym środku drogi. A raczej na czymś, co kiedyś było drogą. Teraz bardziej przypominało miejsce, na które ktoś zrzucił ogromny balon wypełniony fioletowym kurzem.

– Dlaczego na ustach i oczach mam taki dziwny klejący się śluz? Ble! To obrzydliwe! – wykrzywił się, wstając z ziemi Pigula.

– Nie pomyślałbym nigdy, ale to nigdy, że dla ciebie cokolwiek może być obrzydliwe – odparł jego rudy kolega.

– AAAAAA! Chodząca wielka śliwka! – krzyknął Ice na widok stojącego Piguly.

– Spokojnie, to tylko ten grubas – uspokajał go Boogie, otrzepując swoją głowę.

– Jaki grubas?! Poczekaj chwilę, niech tylko zrzucę z siebie to dziadostwo! – warknął urażony tłusciuch.

– Ten puder po wejściu w reakcję z wodą musi przyjmować konsystencję żelu, dlatego mieliśmy sklezione powieki oraz usta – analizowała pod nosem Maggie.

– Mądrałińska się przebudziła, popatrzcie, popatrzcie – zapiała Andy.

– Maggie, wszystko w porządku, dobrze się czujesz? – spytał zatroskany Jersey.

- Tak, wydaje mi się, że wszystko jest OK, po prostu szumi mi w uszach i kręci mi się trochę w głowie.
- Chyba każdy tak ma – dodał Boogie.
- Ja tak nie mam! Ja nie mam niczego tak ja ty! – podniósł głos Piguła.
- Daj spokój, szkoda nerwów – powiedział Ice i przytrzymał swojego kolegę za ramię, kiedy ten zaczął się denerwować.

Każdy mówił coś od siebie w jednym czasie. Nastal jeden wielki kakaofoniczny chaos. Najpierw próbowali wytłumaczyć sobie wszystko, po czym przeszli do wymądrzania się i snucia na temat tego, kto ma rację, przez co kolejno doszli do etapu przekrzykiwania, a to szybko doprowadziło do rzucania gróźb. Strona BB zaczęła winić Amerykanów, że użyli jakiejś tajnej broni przemyczonej z bazy, która pozwoliłaby im wygrać z nimi zaczęłą wcześniej bójkę. Na co Ice i reszta wytknęła im, że dwa razy planowali zamach na ich życie. Z każdą sekundą wrzask się potęgował. Prawie doszło do kolejnego starcia na pięści, kiedy znowu usłyszeli coś dziwnego:

WUUUUUU...– bardzo głośny, niski, powolny, wywołujący wyczuwalne wibracje dźwięk rozległ się w całej okolicy. Trwał on przez około 15 sekund. Tyle wystarczyło, żeby wszystkich solidnie wystraszyć. Oslupieli. Powoli kręcili głowami, szukając kierunku, z którego ten przerażający dźwięk nadszedł.

- Co... co to było? – zająknęła się Maggie.
- O ciekawe, nie masz na to żadnej odpowiedzi, panno wszystko-wiedząca? – dokuczała jej Andy.
- Spokój! Dajcie spokój! – ku zdziwieniu wszystkich, krzyknął stanowczo Jersey. – Spójrzcie lepiej do góry...

Niebo, które dopiero co rozszarpywały błyskawice, zamieniło się w coś, co przypominało jedną wielką ciemnoszarą watę cukrową zawieszoną zaledwie kilkanaście metrów nad ich głowami. Nawet czubki niektórych drzew były niewidoczne, całe ukryte za tą dziwną chmurą.

- O kurczę, zgłodniałem – rzucił nagle tłuscioch.
- Nawet tego nie skomentuję... – odpowiedział Ice.

– No tak, my tutaj jesteśmy świadkami zjawiska, którego najprawdopodobniej nikt nigdy wcześniej nie widział, a ty nagle głodniejszy? – dziwiła się Maggie.

– On jest głodny... ale wiedzy! No nie, stary? – Red bronił kolege, kopiąc go sprytnie w buta.

– Taaa...y... a co myśleliście innego? – głupio spointował grubasek.

– Jak myślisz, co to może być? Ten dźwięk wcześniej i to nad naszymi głowami? – BB zapytał zamyśloną Maggie.

– Trudno powiedzieć, ale cokolwiek znajduję się nad nami, do złudzenia przypomina wyjątkowo zagęszczoną parę wodną poruszającą się niepokojąco wolnym tempem.

Stojący tuż obok Jersey szybko przerwał pogawędkę:

– Dlaczego z nim rozmawiasz? Po tym wszystkim, co ci zrobił?

– Daj spokój, tylko mu odpowiadałam...

– No właśnie, to co? Już pytać się nie można? – ironicznie uśmiechnął się BB.

Jersey podszedł dwa kroki do wysokiego ulizanego chłopaka. Przysunął swoją twarz do twarzy tamtego na odległość kilkunastu centymetrów. Popatrzył mu głęboko w oczy, nic przy tym nie mówiąc. Nie cierpiał go z całych sił. Nienawiść, jaką do niego żywił, rozrywała mu serce. Nie podobało mu się, że rozmawia z Maggie. Doskonale wiedział, co chce przez to osiągnąć.

– Nie będziesz jej miał dla siebie – szepnął cichutko do BB. Na co ten się uśmiechnął.

BB i Maggie byli parą przez rok czasu. I to parą niezwykle, bo bardzo kontrowersyjną. Nie było w okolicy nikogo, kto by o nich nie mówił lub ich nie znał. Byli prawdziwymi gwiazdami wśród nastolatków. Gdy sprawa wyszła na jaw i ludzie dowiedzieli się o ich miłości, rozpoczęło się istne plotkarskie odrodzenie.

Dla wszystkie angielskich dziewczyn Maggie stała się wrogiem publicznym numer jeden, tak samo jak on dla amerykańskich chłopców. BB był zawsze w centrum uwagi, i to nie tylko na boisku piłkarskim jako najlepszy napastnik swojej drużyny. Był również obiektem westchnień wszystkich lokalnych dziewcząt. To samo ty-

czyło się Maggie, która była gwiazdą w swojej amerykańskiej szkole. Nie było chłopca, który nie zabiegałby o jej względy i nie próbował podbić jej serca.

Jednym z takich adoratorów był właśnie Jersey. Jako jej przyjaciel był zawsze blisko, ale nie miał na tyle odwagi, żeby powiedzieć, co tak naprawdę do niej czuje. Kiedy dowiedział się, że Maggie zaczęła kręcić z angielskim chłopakiem, jego serce pękło, ale dopiero kiedy poznał, kto nim jest, załapała go prawdziwa wściekłość i zazdrość. Znał go bardzo dobrze. Nieraz rywalizowali ze sobą, grając w piłkę nożną. Nigdy za nim nie przepadał, ale kiedy BB podwedził jego miłość, miarka się przebrała. Przez rok czasu Maggie odsuwała się od niego i innych przyjaciół. Nie miała czasu dla nikogo za wyjątkiem swojego „Biii”, bo tak na niego mówiła. Wszystko wydawało się zanikać, a ich przyjaźń całkowicie wypalać. Aż pewnego dnia Maggie, cała zapłakana, odwiedziła wieczorem Jersey. Miłość dobiegła końca. BB ją zostawił. To był jeden z najlepszych dni w życiu Jersey. Po pierwsze: BB przestał być problemem. Po drugie: okazało się, że przyszła od razu do niego, więc musiała coś do niego czuć. A po trzecie: nadzieja na podbicie jej serca znów stała się czymś więcej niż tylko nieosiągalną fantazją.

Od ich zerwania minął rok, a Maggie wciąż nie mogła się z tego otrząsnąć. Jersey wiedział, że nie do końca wyplewiała go ze swego serca, co bardzo go martwiło. Wiedział również, że przez ostatnie kilka miesięcy BB próbował ją odzyskać. Jersey przyrzekł sobie, że tym razem nie pozwoli na to, żeby ktoś ją skrzywdził, a w szczególności BB.

– Baza! Teczka! Która godzina? – zapiszczała panicznie czarnowłosa Maggie.

– O kurczę, zapomnieliśmy o najważniejszym! – odpowiedział Jersey i odsunął się swojego wroga.

– Która godzina!? – krzyknęła.

– Dziwne... – wymamrotał Ice.

– Co?

– Zegarek mi stanął...



– Mi też...na 11: 11 – dodała Andy, patrząc na swój duży różowy czasomierz.

– Tak, na 11:11... – zgodził się z nią piegowaty chłopak.

– Świetnie, jeszcze tego brakowało! Musimy pobiec do bazy, czekają tam na nas. Jeep nie nadaje się do niczego. Wciąż mogą potrzebować tych rzeczy, mój tato... – przerwała, patrząc na zniszczone dokumenty oraz miejsce, w którym leżały pozostałości po dużej baterii zmiażdżonej przez krowę.

– No to po nas... Ta krowa, to wszystko przez Ciebie... – z łamiącym się głosem zadarła brodę w kierunku BB.

BB, widząc ją całą zapłakaną i zrozpaczoną, podszedł do niej i położył swoją dłoń na jej ramieniu.

– Przepraszam, naprawdę przepraszam, nie chciałem, mówiłem, że ...

– przerwał, czując mocny uścisk na swojej szyi. Obróciwszy głowę, zobaczył tylko pędzącą w jego stronę pięść. Jersey nie wytrzymał.

Prawy sierpowy prosto w podbródek wysłał natręta dwa metry dalej, prosto na ziemię. Piguła oraz Red już startowali z kontraktem do Jersey, zatrzymali się jednak słysząc głos BB:

– Stójcie! On ma rację... Należało mi się. Przez moją nieuwagę prawie stała się im krzywda – powiedział głośno, oblizując krew z górnej wargi.

Wszyscy popatrzyli na siebie, nie dowierzając własnym uszom. Popatrzyli po sobie niepewni, czy aby na pewno dobrze usłyszeli.

– Przepraszam... – dodał honorowo. – Naprawdę przepraszam.

Teraz już byli pewni, że się nie przesłyszeli. Każdemu powiększyły się nagle ze zdziwienia oczy. BB przeprosił. Jersey wiedział jednak, że nie były to zwykle przeprosiny, ale część jego planu mającego na celu odbicie Maggie.

– Nie myśl, że wszystko będzie teraz jak gdyby nigdy nic. Przeprrosiny nie wystarczą – powiedział poważnie Ice.

– Co z jeepem? Przez ciebie cały jest zniszczony.

– Nie martwcie się, wezmę winę na siebie. Naprawię go – odpowiedział wysoki szatyn, po czym podniósł się i zrzucił z siebie sporo ku-

rze.

- A co z twoją krową? – zapytał kolegę Red.
- Nie wiem, nie ma jej. Pewnie uciekła. Dzisiaj była jakaś nad wyraz pobudzona. Piguła, nie dokarmiałeś jej swoimi batonikami? – zażartował, próbując ostudzić trochę gorącą atmosferę.
- Pomożemy wam posprzątać ten bajzel. Cokolwiek mieliście dostarczyć do bazy, pozbieramy to zaraz – dodał spokojnie.
- Piguła, pomóż Redowi i uporządkujcie te wszystkie dokumenty, ja muszę doprowadzić się do porządku.
- Nie będę nic dla nich zbierać! – oburzył się grubas.
- Dokładnie, nie będzie nic zbierać. Poradzimy sobie. To jest Top Secret Stuff, lepiej nie podchodźcie do tego – warknął Ice i zabrał się za sprzątanie.

BB przytaknął, zgadzając się z tym, co powiedział. Nie chciał się mieszać w te sprawy i skoro chcieli sami ten bajzel uprzątać, to nawet i lepiej.

Boogie z Icem próbowali pozbierać resztę dokumentów, otrzepując je z fioletowego pyłu, podczas gdy Jersey pocieszał posmutniałą Maggie.

Piguła rozmarzał o borówkowej wacie cukrowej, którą tak bardzo chciałby sprezentować burczącemu brzuchalowi. Red pomagał Andy ściągnąć resztę fioletu z jej karku i pleców, a ona odwdzieczyła się mu tym samym. BB starał się zatamować krwawienie z wargi, jednocześnie zazdrośnie zerkając na Jersey.

To ja powinienem być u jej boku – pomyślał.

- OK, to chyba wszystko, więcej nie znaleźliśmy – powiedział szczupły wysoki chłopak z istnym afro na głowie.
- Tak, chyba wszystkie dokumenty ocalały, gorzej z tą dużą zmiażdżoną puchą – dodał Ice.
- Dzięki, chłopaki. Zbieramy się, powinniśmy być w bazie do godziny, może jeszcze coś z tym zrobią – stwierdziła niebieskooka Maggie.
- W sumie to jeśli pójdziemy lasem, będziemy tam dwa razy szybciej – zauważył Boogie.
- Racja. Tak więc zrobimy. Idziemy lasem – zgodziła się Maggie.

- Idę z wami – odezwał się głos za ich plecami.  
Maggie i reszta jej przyjaciół odwróciła się jednocześnie, żeby sprawdzić, czy aby się nie przesłyszeli.
- BB... Po co chcesz z nimi iść? Już nie rób jaj! Ten fioletowy glut musiał ci się rzucić na mózg! – przekonywał Piguła.
- I tak go nie chcemy! Niech sobie idzie sam, jeśli chce – krzyknął Ice.
- Mój tato dostarczał dzisiaj nabiał do Bentwaters, martwię się trochę po tym, co tutaj zobaczyłem, i jeszcze....  
WUUUUUUUUUUUUUUUUUUUU – przerwał mu 15 sekundowy drżący dźwięk.
- Ten dźwięk... – dokończył.
- Co jest grane? Jersey, może to jakiś nowy rodzaj systemu alarmowego, jak myślisz? – pytał Ice.
- Nie sądzę, szczególnie, że nie mogę zlokalizować kierunku, z którego to dochodzi, tak jakby było nad nami... – odpowiedział Jersey.
- OK, możesz iść – powiedziała Maggie, po czym ruszyła prosto w kierunku lasu.
- Co? Żartujesz, prawda? Z nim?! Może planują kolejny zamach? – próbował przemówić jej do rozsądku zdenerwowany Jersey.
- Nie bądź śmieszny – ironicznie powiedział BB.
- Nie do ciebie mówię! – wskazał na niego groźnie palcem.
- Mam tego dość! Ja idę. Nie mogę go zatrzymać, jeśli chce iść, to niech idzie. Poza tym nie wiemy, co się tak naprawdę dzieje. Jestem skołowana, zegarki stanęły w miejscu, mam fiolet w uszach, nosie i na całym ubraniu, wata cukrowa wisi na niebie i jakiś cholerny dźwięk sprawia, że ze strachu nogi nie przestają mi się trząść! Nie chcę do tego słuchać, jak się wnerwiasz! – wrzasnęła Maggie.
- OK... – odpowiedział i pokornie udał się za koleżanką w stronę lasu. Zanim do niego jednak wszedł, posłał BB szybkie krzywe spojrzenie, sygnalizując swoją dezaprobatę. Boogie oraz Ice poszli zaraz za nimi.
- Serio? – zapytał Piguła.
- Chcesz, żebym ci powtórzył, co ona powiedziała? Muszę spraw-

dzić, co u taty.

– OK, więc idziemy z tobą.

– No jasne, że idziemy z tobą, nie zostawimy cię z tymi Amerykańcami, kto wie, co oni tam knują... – powiedziała Andy.

– Chodźmy zatem – zakończył BB, po czym ruszyli w las.

\*

Mgła rozplynęła się po okolicy niczym rozlane ciepłe mleko. Drzewa, tak jak ich liście, zatrzymały się w kompletnym bezruchu, sprawiając wrażenie zamrożonych w otaczającym ich białym dymie. Ciemnoszary gęsty obłok zakrył korony drzew. Las zdawał się zatrzymać w czasie. Żadnego śpiewu ptaków, powiewu wiatru czy szumu strumyka – kompletna cisza, przerywana jedynie odgłosem marszu grupki nastolatków.

Szli przed siebie dopiero kilka minut, ale już mieli wątpliwości, czy podjęli dobrą decyzję, wybierając drogę na skróty. Brak wyraźnego horyzontu, który był teraz rozmyty w jaśniutkiej mgłę dezorientował ich możliwości nawigacyjne. Każde kolejne 100 metrów wydawało się być tym samym odcinkiem, który dopiero co minęli. Zaczęli powoli odczuwać niepokój.

Grupka maszerowała równym tempem. Każdy milczał i z wielkim zainteresowaniem obserwował dziwne zjawisko pogodowe. Mgły były im dość znane. Mimo tego ta wydawała się być niezwykła. Niepokojąco inna.

WUUUUUU... – kolejny niski drżący dźwięk wyrwał ich z zamyślenia. Nie zatrzymali się, nikt też nic nie powiedział, próbowali się do tego przyzwyczaić.

BB, idąc na samym końcu grupki, podciągnął rękawki swojej białej koszulki. Było mu bardzo gorąco. To był kolejny dziwny element układanki, której nie potrafił wytłumaczyć. Nie przypominał sobie mgły w lipcowe ciepłe południe.

Może po prostu byliśmy nieprzytomni dłużej, może jest już ranek... Nie, niemożliwe... – zastanawiał się.

Piguła, który szedł zaraz przed nim, kręcił głową z lewej do prawej niczym opętana papuga.

Maliny, czernice, borówki, chodźcie do tatusia... – desperacko powtarzał w głowie, gdy jego oczy skanowały błyskawicznie okolicę w poszukiwaniu jedzenia.

Andy patrzyła na idącą przed nią Maggie. A dokładniej na jej bardzo zgrabny tyłek. Nie cierpiała jej. Wiedziała, co BB do niej czuje, ale dopiero po dzisiejszym dniu jej antypatia awansowała na jeszcze wyższy poziom. Gdyby tylko mogła, telepatycznie podłożyłaby jej nogę albo napompowała pośladki do rozmiaru krowich.

Red podszedł do Maggie i cicho zapytał:

– Jak się czujesz? Wszystko OK?

– Tak. Dzięki, Red.

– Co tam u taty? Dużo pracy, jak zawsze?

– Bez zmian. Pytał nawet ostatnio o ciebie.

– Naprawdę? To miło z jego strony. Ostatnio się z nim widziałem, no sama wiesz. Jak byliście jeszcze razem z BB.

– Tak, wiem. Tato lubił, gdy przychodziłeś, wciąż wspomina waszą pasję do dobrej muzyki i oczywiście pyszne ciasta od twojej mamy.

– O, miło mi to słyszeć. Zawsze lubiłem twojego tatę. Wiesz, sorry, że tak wyszło i że nie rozmawialiśmy, ale byłem w trudnej sytuacji.

Próbowałem przekonać tego cymbała, żeby z tobą nie zrywał, ale...

– Nie musisz nic mówić. To był jego wybór – przerwała mu, na co on zwiesił głowę i powoli odsunął się od niej. Zaraz za nim pojawił się na jego miejscu Jersey. Maggie od razu wiedziała, dlaczego do niej podszedł. Był stanowczo nadopiekuńczy.

– Maggie, dlaczego z nimi rozmawiasz? Najpierw z tym kretyńcem Williamsem, a teraz z jego wiernym sługą Rudą Pałą – powiedział półszeptem do jej ucha.

– Jersey, proszę cię. Red jest w porządku. Nie bądź taki... nadwrażliwy.

– Robię to dla ciebie, po prostu nie chcę, żeby ktoś znowu zrobił ci krzywdę. Sama dobrze wiesz, jacy oni są. Nie myśl, że ten rudzielec jest w porządku, tylko dlatego, że twój tato go polubił. Twój tato lubi

prawie każdego. Dobry z niego facet. Mówię ci, ten rudzielec, on jest lewy. Zawsze węszył jak szczur. Przynosił wypieki swojej mamy i wypytywał twojego tatę o nie wiadomo co.

– Koniec tematu! Nie mam zamiaru słuchać tych bzdur. Nie będę zatrzymywać do niego urazy, skoro on niczego nie zrobił. Chcę teraz zostać sama. Możesz iść – powiedziała, zmieniając ton na bardzo poważny. Jersey pokręcił głową w dezaprobachie i odszedł od niej.

Las zaczynał rzednąć. Mgła również zdawała się rozwiewać. Ciemnoszara gęsta chmura nagle bardzo pojaśniała. Zostało im do przejścia około dwieście metrów pod górkę, gdzie las wydawał się kończyć.

Popatrzyli po sobie i zwiększyli tempo, chcieli jak najszybciej wspiąć się do góry i zobaczyć coś więcej niż wciąż powtarzający się, jednakowy krajobraz. Już niedługo będą w bazie.

Uśmiech pojawił się na twarzy Maggie.

Przyspieszyła.

– Stójcie... – szepnął Ice.

Jako pierwszy dostrzegł coś po swojej lewej stronie. Przykucnął i wskazał miejsce palcem. Daleko we mgle majaczył zarys jakiejś postaci. Ice miał znakomity wzrok, w szkole nauczyciele często mówili, że powinien zostać snajperem. Niezbyt go to interesowało, bo jedyne, co lubił „snajpic” z lornetki, to laski, ukrywając się gdzieś w krzakach.

– Co tam jest? – zapytał Red.

– Cicho... – pouczył go Ice, po czym przykucnięty podszedł bliżej o kilka metrów, tylko po to, żeby po paru sekundach wrócić z twarzą koloru jasno białego.

– Co tam jest?? – zapytał znowu Red.

– No właśnie, co jest? – dopytywał Jersey.

Reakcją Ice’a było dziwne spojrzenie wybaluszonymi ze strachu oczami. Stał w miejscu.

– Nie wiem...

– A tam, sam podejść zobaczyć – podniósł głos podirytowany Red.

– Czekaaj – powiedział Piguła, wyciągając z plecaka lornetkę.

Przyłożył ją do oczu i powoli, regulując pokrętłem ostrość, szukał podmiotu całego zamieszania. Skanował powoli horyzont, kiedy w końcu zastygł w bezruchu. Jego usta zaczęły się otwierać. Otwierały się do momentu, aż szczeka osiągnęła limit swojego rozwarcia. Patrzyli na niego w zniecierpliwieniu, a jedyne, czego się doczekali, to skromne:

– Y...

– Dawaj to – BB nerwowo wyrwał mu lornetkę. Miał już dość tego czekania. Szybko namierzył obiekt.

– Co jest do cholery?! Ki diabeł?

– Jaki znowu diabeł? – zapytał Jersey.

– No taki diabeł – odpowiedział, podając lornetkę Jerseyowi.

– Ej, to moja lornetka, nie dawaj jej temu... – Piguła nie dokończyła zdania, niespodziewanie dostając placka w tył głowy od BB.

– Mamy teraz inne problemy, wyluzuj.

Jersey popatrzył przez pobrudzone szkła. Drzewa, krzaki, mgła, drzewa, drzewa, drzewa, głowa z rogami.

– Głowa z rogami?? Co jest grane?! – pomyślał, patrząc na wystający zza krzaków, przykryty mgłą zarys.

– Co tam jest, Jersey? Mam tego dość, idę tam! – krzyknęła Maggie.

Jersey, wciąż wpatrując się w lornetkę, nawet nie zauważył, jak Maggie ruszyła przed siebie. Dopiero po chwili zorientował się i skoczył biegiem za nią.

– Maggie, stój, nie możesz tam iść... Coś jest nie tak – złapał ją za rękę.

– Daj mi spokój, spieszę się, nie mam zamiaru tracić czasu przez was, zachowujecie się co najmniej dziecinnie – powiedziała, po czym wznowiła marsz. Po przejściu kilkunastu metrów nagle zatrzymała się.

Reszta, idąc jej śladami, zbliżyła się do niej.

– Cicho, sploszycie go! – szepnęła wystawiając gwałtownie rękę w bok.

– Co sploszymy? – zapytał Boogie.

– Jak to co? Gościa z rogami! – wytłumaczył Piguła.

- Sam masz rogi, kretynie! To jest odocoileus! – odpowiedziała.
  - Kim on jest? To jakiś upiór? – zapytał zaskoczony tłuszcioszek.
  - Ale z ciebie idiota. Odocoileus to jeleni!
  - Co? Jeleni?
  - Jeleni? – Ice krzyknął za ich plecami, nabierając natychmiastowo czerwonych rumieńców ze wstydu.
  - Tak, i to piękny okaz, ma ogromne poroże, chorzy ludzie polują na te przepiękne zwierzęta, co sprawia, że bardzo rzadko można je spotkać... – kontynuowała zafascynowana Maggie.
  - Może polują dla jedzenia? – zapytał Piguła.
  - Czy ty zawsze musisz myśleć brzuchem? – zapytał Ice.
  - On ma rację. Gdyby ludzie polowali na te zwierzęta, bo nie mają co jeść, to było by to zgodne z naturą. Ale nie żyjemy już w średnio-wieczu, co nie?
- Teraz zboczeńcy z trąbkami i piórkami zamiast w dupach, to w kapelusikach, chodzą i odstrzelują te boskie zwierzęta – uniosła się Maggie.
- Spokojnie, nie chciałem cię urazić – odrzekł skruszony tłuszcioszek.
  - Zawsze marzyłam, żeby zobaczyć takiego na własne oczy.
  - Faktycznie... Ale z nas matoly – oznajmił BB, czując się teraz niezręcznie.

Nogi oraz tułów jelenia zasłonięte były krzakami, przez co jedynie wystająca głowa z częścią widocznego poroża, do tego przykrytego mgłą, przypominała głowę stojącej postaci.

Patrzył prosto na nich.

- APSIK!!! – Andy kichnęła głośno.
- Ej, specjalnie to zrobiłaś! – wkurzyła się Maggie.
- Sorry! – broniła się, widząc spoczywający na niej wzrok wszystkich zebranych. Naprawdę nie zrobiła tego specjalnie.
- Dziwne... Nie uciekł, a stoimy zaledwie kilkanaście metrów od niego....

Maggie bardzo powolnymi ruchami zbliżała się do zwierzęcia. Uważała na każdy kolejny stawiany przed siebie krok. Byle tylko nie nadeptać na suchą gałązkę. Była coraz bliżej. Mogła teraz do-



kładniej zobaczyć jego oczy. Niesamowite. Ekscytacja zaczęła powoli mieszać się z narastającą ciekawością:

Dlaczego on się jeszcze nie spłoszył? – zastanawiała się.

TRACH! – stanęła na patyku, po czym od razu zamknęła z żalu oczy.

Teraz już na pewno ucieknie. Ty głupia... – powiedziała do siebie.

Zawiedzona pokręciła głową i wypuściła z ust powietrze.

To przez tę cholerną mgłę – usprawiedliwiała się, czekając na odgłosy ucieczki zwierzęcia.

Jeleń jednak nadal stał w miejscu. Wyprostowany, napięty umięśniony kark błyszczał od rozproszonego mglistego blasku. Ogromne poroże nadawało mu majestatyczny wygląd. Król lasu. Stał nieruchomo, z głową uniesioną do góry. Dumnie patrzył prosto na nich.

Wszyscy stali jak zamrożeni w odległości kilkunastu metrów. Jersey, cały spocony ze zdenerwowania, ledwo wytrzymał. Oddech miał przyspieszony, lewa powieka nie przestawała drgać, a dłoń cała go swędziała. Jedyne, o czym myślał, to jak takie ogromne poroże przebija człowieka na wylot. Bał się o Maggie, ale nie chciał też nic mówić, bo wiedział, jak by się to skończyło. Dostałby kolejny ochrzan. Znal ją aż nazbyt dobrze. Jeśli coś chciała, to zawsze to dostawała. BB natomiast nie zwracał uwagi na zwierzę, wpatrywał się w Maggie. Podziwiał jej odwagę. Był nią zafascynowany.

Jeleń był ogromny, razem z porożem górował nad dziewczyną.

Jersey zamarł – zobaczył, że Maggie stała tuż przed zwierzęciem.

Bijące szybko serce nadało jej oddechowi oraz ciału dynamiczny rytm drgań. Stojąc metr od zwierzęcia, wyciągnęła powoli drżącą rękę w jego stronę. Uśmiech na jej twarzy ustąpił miejsca niepokojącemu podnieceniu. Niewiele osób może pochwalić się takim osiągnięciem. Dotknąć dzikiego odocoileusa... Sama nie była pewna,



Maggie  
&

czy ktokolwiek kiedyś tego dokonał. No, może za wyjątkiem myśliwych, którymi gardziła.

Zwierzęta te mają doskonały węch oraz wzrok, przez co łatwo wyczuwają zagrożenie. Nie ufają ludziom, mają ku temu dobre powody.

Ten jednak stał w miejscu i patrzył wprost na nią. Dopiero teraz mogła usłyszeć jego spokojny rytmiczny oddech.

Gdybym tylko miała aparat fotograficzny... – z żalem pomyślała.

Dłoń w końcu dotknęła jego rudawobrazowej sierści. Był gorący. Czekala na jego reakcję. Nie mogła uwierzyć, że to zrobiła. Patrzyła w górę, prosto w jego duże, błyszczące oczy. W tle nisko wiszące chmury zdawały się na zmianę jaśnieć i ciemnieć. Nie była pewna, czy wzrok platal jej figle, czy to dziwne zjawisko naprawdę zaczęło stawać się jeszcze dziwniejsze.

Dłonią gładziła jego piękne, muskularne ciało.

Dotykała jego długiej grubej szyi. Kierowała się wyżej. Chciała dotknąć jego poroża. Dopiero po chwili zorientowała się, że jego serce bije bardzo wolno, a raczej praktycznie w ogóle nie bije. Mocne pojedyncze uderzenia odczuwalne były co kilkanaście sekund.

Zaniepokoiło ją to. Zbliżyła swoją twarz do jego pyska. Musiała sprawdzić, czy on faktycznie oddycha. Ciepło wydobywające z jego szerokich nozdrzy było bez wątpienia prawdziwe.

WUUUUUUUUUUUUUUUU...– kolejny przerażająco wolny, niski dźwięk rozszedł się po okolicy. Tym razem naprawdę się wystraszyli. Byli tak bardzo skupieni i skoncentrowani na obserwacji poczynąń Maggie, że nawet przelatująca mucha by ich przeraziła. Nie mówiąc już o potężnym huku, który wprawiał ciało w drżenie.

– Patrzcie, on dalej stoi, nie przestraszył się – zauważył Boogie.

– Czy on żyje? – zapytał głośno Piguła.

– Tak. Nie. Znaczący... nie wiem? – odpowiedziała zmieszana Maggie.

– Podejdźcie tutaj, nie bójcie się! Musicie to zobaczyć.

Nie musiała mówić dwa razy, usłyszawszy to, ruszyli z miejsca niczym Kenijczycy na Olimpiadzie. Byli zafascynowani.

– Mogę go dotknąć? – zapytał niepewnie Ice.

– Myślę, że tak... – uśmiechnęła się Maggie.

– Co mu dolega? – zapytał Jersey.

– Nie wiem... To jest dziwne, wyczuwam u niego puls, ale jest tak wolny, że wygląda, jakby był na krawędzi życia i śmierci. Jego oddech natomiast jest normalny. Nie reaguje na żadne bodźce. Żyje, ale jest jakby... wyłączony? – próbowała znaleźć odpowiednie słowo. Była zakłopotana.

– Cholernie dziwne – dodał Red.

– Ha! Ja wiem, co mu jest, widziałem program w telewizji o kozach z Tennessee, które kiedy się je wystraszy, stają się całkowicie sparaliżowane – zablysnął wiedzą Boogie.

– Ciekawe macie programy w tej amerykańskiej telewizji – Andy skomentowała sarkastycznie, uderzając łokciem Reda.

– Ej, co tam jest? – szepnął zaciekawiony Ice.

– Gdzie? – zapytała Maggie.

– Widziałem coś za tamtymi drzewami – pokazał palcem na zachód.

– Wydawało ci się na pewno, tak samo, jak chwilę wcześniej prawie się obsrales, widząc jelenia hehe – zaśmiał się Piguła.

– Ja ci dam, śmierdzielu! – Ice rzucił się w jego stronę, żeby od razu być zatrzymanym przez Jerseya.

– Spokojnie, bracie, wszyscy jesteśmy zdenerwowani, ale musimy na chwilę zawiesić broń, rozumiemy się? – nachylił czoło w oczekiwaniu na odpowiedź. Ice przewrócił oczami:

– Ja na serio coś tam widziałem.

Piguła parsknął pod nosem, na co dostał niespodziewanego strzala w głowę od BB. Wszyscy wrócili do rozmowy na temat stojącego zwierzęcia, a Ice, drapiąc się po brodzie, starał się odtworzyć to, co mignęło mu przed oczami. Patrząc kątem oka, widział jakiś niewielki ruch, dopiero po odwróceniu głowy bardzo niski cień przemknął między drzewami. Nie mógł mieć więcej niż jeden metr wysokości. Przecież wiem, że nie zwariowałem, mam najlepszy wzrok w szkole, do licha! – tłumaczył sobie w myślach Ice.

Coś nagle błysnęło nad ich głowami. Kierując wzrok ku górze, zobaczyli, jak chmury zaczynają jaśnieć. Coś wisiało nad nimi.

Coś bardzo jasnego poruszało się za chmurami. Kolejny błysk, tym razem mocniejszy, zmusił ich do zasłonięcia twarzy dłońmi.

– Coś tam jest, zaraz za tą górką – pokazała palcem Andy.

Promienista jasna aura rozciągała się za wzniesieniem, na które kierowali się zanim rozkojarzyli się sprawą z jeleniem.

– Coś tam chyba spadło – zauważył Jersey.

– Idziemy tam, tylko cicho... Za mną – szepnął Ice.

Powoli zbliżył się na odległość około pięciu metrów od końca wzniesienia, po czym położył się i zaczął czułgać się do krawędzi. Nie chciał być zauważony przez cokolwiek znajdującego się za górką. Reszta poszła w jego ślady.

Maggie czule pogłaskała jelenia i w nadziei, że wszystko będzie dobrze, ruszyła za przyjaciółmi. Cała ósemka podczołgiwała się do góry w stronę promienistych ruchomych świateł.

Ice jako pierwszy dotarł do krawędzi. Ostrożnie wychylił głowę.

Jego twarz rozjaśniła się na pomarańczowo. To, co zobaczył, zaszkokowało go. To samo stało się z pozostałą siódemką, która jeden po drugim dotarła do szczytu niewielkiego leśnego wzniesienia. Czułgając się, musieli zetrzeć z siebie do reszty fioletową substancję, ponieważ teraz już jej na sobie nie mieli. Kolor ich twarzy zmieniał się pod wpływem iluminującego na różne kolory światła, które padało z drugiej strony. Oczy ich wydawały się zaraz ewakuować z głowy pod wpływem tego, co widziały.

– Yyy... To jest coś z waszej bazy, co nie? – zapytał zmieszany BB.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział Jersey.

Mylili się, myśląc, że las się w tym miejscu kończył. Zaraz za górką rozciągała się zielona dolina, w której jeszcze bardziej się rozrastał. Znajdując się na wyższym pagórku, mogli zobaczyć go z góry. Niestety mgła wciąż się nie rozpraszała, co ciągle ograniczało im widok.

Korony drzew, które rosły poniżej, nie były przykryte ciemnoszarą gęstą chmurą. Wisiało nad nimi coś innego. Duży, o średnicy około 20 metrów, idealnie okrągły metaliczny obiekt unosił się nad

lasem.

Blyszczał we mgle, emitując pod sobą zmieniające się żółto-złote barwy zamknięte w słupie prostego światła rzucanego na ziemię.

Nie mogli dojrzeć, na czym to światło się koncentrowało, gdyż zasłaniał je gęsty las. Lewitujący w miejscu dziwny obiekt przypominał dwa złączone ze sobą od zewnątrz obiadowe talerze. Był całkowicie bezgłośny. Nie powodował też żadnego ruchu powietrza, ponieważ ogromne zielone drzewa znajdujące się zaraz pod nim nawet nie drgały.

– Co to jest? – zapytał Piguła.

– Widzisz jakieś inskrypcje na nim? – szepnął Ice do Jersey.

– Nie.

– Ja też nie.

– Może to jakiś tajny ruski samolot szpiegowski? – próbował odgadnąć Red.

– Może, ale nawet szpiegowskie samoloty mają jakieś oznaczenia, ten jest tak idealnie płaski i czysty, tak czysty, że odbija się w nim cała okolica – odpowiedział Ice.

– Co on tam robi? I co to za światło, które wychodzi z niego? – pytała Andy.

– Zaraz, co jest? – wystrzył wzrok Ice.

Sto metrów przed nimi coś rozświetliło wiszące wyżej szare chmury. Rozeszły się, robiąc miejsce drugiemu identycznemu obiektowi, który się z nich wyłonił. Andy ścisnęła mocno ramię leżącego obok niej Ice'a.

Drugi obiekt zdawał się powoli kierować w ich stronę.

## Rozdział 5

### Światła

Ogromny, srebrny, bezgłośny latający obiekt sunął wolno po linii prostej w kierunku nastolatków. Gdy tak obracał się wokół własnej osi, można było dostrzec, że na jego powierzchni brakuje jakiegokolwiek oznakowania czy też systemu odrzutowego. Nie posiadał również żadnych śmigieł ani skrzydeł. Tajemniczo lewitował, przeczając prawu grawitacji.

- To UFO leci prosto na nas... – wyszeptala leżąca Maggie.
- Nie bądź śmieszna, to żadne UFO! – podniósł głos Red.
- A na co ci to wygląda? Nie oglądasz filmów *science fiction*?
- To Amerykanie je kręcą, nie oglądam propagandowej kinematografii!
- Jakiej propaga... O czym ty, do cholery, mówisz?!
- Nieważne, to na pewno jest albo amerykański albo rosyjski pojazd szpiegowski!
- Ja to pierdzielę, wy się klóćcie, a ja spadam – wystraszony Piguła wstał, obrócił się i zaczął szybko uciekać. Powiewająca biała opaska na głowie i jego śmieszne kocie ruchy sprawialy, że wyglądał niczym misio ninja.
- Piguła! Stój! Nie ruszaj się, Ruski nas zauważą! – zawołał Red.
- To nie Ruski, mówiłem ci już! – rzucił gniewnie Ice.
- Nie możesz tego wiedzieć – odezwała się Andy, wyglądając spod czapeczki. Ice popatrzył na nią zaskoczony, tak jakby pierwszy raz się do niego odezwała.
- Chłopaki, może powinniśmy ruszyć za nim? – zapytała niepewnym głosem Maggie. Odwróciwszy się od uciekającego kolegi, zauważyli, że obiekt nie tylko był już coraz bliżej, ale również uruchomił pod sobą statyczny słup światła, którym wydawał się skanować okolicę.
- Racja – Jersey wstał z ziemi, na co reszta zareagowała identycznie.



W  
y  
l  
a  
d  
o  
w  
a  
l  
o  
.  
.



Ruszyli biegiem w kierunku powrotnym. Andy ostatni raz ogładnęła się za siebie i spanikowała, gdy spodek wleciał już ponad znajdujące się nad nimi chmury. Otworzyła szeroko oczy ze strachu i w ułamku sekundy znalazła się na samym przodzie uciekających.

Biegli z całych sił, byli bardzo szybcy. Niestety nie aż tak szybcy, żeby znaczenie oddalić od nieznanego obiektu. Pędząc, widzieli przed sobą własne cienie – efekt rzucanych niedaleko za ich plecami żółtawych świateł. Las wokół również zaczął mienić się różnymi ciepłymi kolorami, mieszającymi się z soczystą zielenią oraz białą mgłą.

Mocno sapiąc, doganiali już Pigułę. Byli cali spoceni, gorąc był wprost nie do wytrzymania. Czuli bliskość śledzącego ich obiektu. Nie mógł znajdować się dalej niż 50 metrów od nich. Szybko kręcąc głowami, próbowali zlokalizować jakieś dobre miejsce na kryjówkę.

– Musimy się gdzieś ukryć! – zawołała Andy.

– Tam! – pokazał palcem Piguła, po czym ruszył jeszcze szybciej w stronę niewielkiego leśnego strumyka. Na tyle szerokiego, by spokojnie pomieścić wybijającego się już w powietrze, wysportowanego tłuściocha.

To dobra kryjówka, na pewno nas nie znajdzie – pomyślał, dumny z siebie. Zawinięty w kłębek, leciał "na bombę" do wody.

Cała reszta lekko zwolniła, obserwując jego wyczyn. Nie mieli wyjścia, musieli zrobić to samo. Ruszyli w stronę strumyka.

– Pod wodęeeeeeeeeeeeeeeeeee! – zawył z bólu, kiedy zamiast do wody, skoczył prosto tyłkiem na coś twardego jak beton. Woda wyglądała, jakby zatrzymała się w czasie. Płynęła, ale stała w miejscu, zupełnie jakby ktoś ją zamroził na fotografii. Nie tylko była nieruchoma, ale również zamieniła się w coś tak twardego, że spokojnie można było po niej chodzić.

BB szybko podbiegł do kolegi i zatkał mu usta. Reszta również dobiegła i przykucnęła obok trzymającego się za pośladki, wywijającego grubaska. Wiedzieli, że nie mieli już szans na ucieczkę. Zbie-

gając w stronę strumyka, zeszli z linii prostej, po której śledził ich lecący obiekt.

Siedząc w bezruchu, patrzyli, jak ciemnoszare, gęste chmury rozświetlają się na złoto metr po metrze.

Był już coraz bliżej.

– Tam, patrzcie! – oderwał się od ziemi zasapany Boogie i po czterech długich susach wskoczył w ogromne krzaki. BB i Red wzięli jęczącego Pigulę za ręce i nogi i wraz z resztą szybko pobiegli za bujnowłosym, wysokim chudzielcem.

Byle żeby zdążyć i zejść z toru jego lotu, szybko – pomyślała, wskazując w krzaki Andy. Maggie była tuż za nią. Jersey i Ice niczym doświadczeni żołnierze wślizgnęli się za krzak, padając na brzuchy. Tępy dźwiękiem zakończyło się natomiast lądowanie Piguly, który rzucony przez dwóch kolegów uderzył głową o czoło siedzącego już tam Boogiego, co natychmiastowo pozbawiło ich obu przytomności. – Przynajmniej będzie cicho – skomentował, machając ręką Red.

BB chwycił rudego kolegę za rozdartą już trochę koszulkę i zanurkował w krzak. Schowali się.

Dziewczyny, nie mogąc okiełznać ciekawości, wyglądały ukradkiem.

Złociste światło zatrzymało się. Znajdowało się zaledwie kilka metrów od nich. Kiedy wcześniej szli lasem, było cicho, teraz natomiast wydawało się, jakby znajdowali się w bezdźwięcznej próżni. Jedyne, co słyszeli, to własne sapanie. Starali się wstrzymać oddech, nie ruszali się, myśląc tylko o tym, żeby to światło przeszło dalej.

– Zastrane Ruski – odezwał się bardzo cichutko głos Reda.

W Ice'ie się zagotowało, ale mocno przygryzł wargę i zacisnął pięści. Miał dość słuchania o Ruskich. Wiedział, że jeśli walnie go teraz, to zwróci na nich uwagę obiektu. Przelknął ślinę i odwrócił wzrok na przebijający się teraz już jasnopomarańczowy fragment wiszącej nad drzewami waty cukrowej.

WUUUUUUUUUUUUUUUU – rozległ się przeszywający, drżący dźwięk z chmur.

Znów uderzył w momencie, kiedy się tego najmniej spodziewali.

Tuż po jego zamilknięciu, słup światła jakby się zwiększył i ruszył szybko w przeciwną stronę. Oddalił się o jakieś dwieście metrów, po czym zatrzymał się, prawie całkowicie niknąc we mgłę. Światło z żółtej zamieniło barwę na oślepiającą biel. Dwie jasne kule wyleciały z jego wnętrza i opadały na ziemię, chowając się za wysoką trawą.

– O jasna ciasna! Co to może być? A już miałem nadzieję, że to balon meteorologiczny – Ice pokazał palcem na latające sferyczne obiekty.

– Red, wyciąg szybko lornetkę z plecaka Piguly!

– Trzymaj, BB.

– No, cokolwiek to jest, ledwo to mogę zobaczyć. Widzę tylko jasną białą poświatę bardzo szybko poruszającą się w trawie. Zobacz, jakieś pomysły? – oddał lornetkę Jerseyowi.

Ten, wzięwszy przedmiot w ręce, odszukał miejsce, w którym światło się zatrzymało. Nie widział detali, jedynie szybkie ruchy kulistych światel ukrytych za grubą warstwą mgły. Poruszały się bardzo szybko, niby chaotycznie, jednak po jakimś czasie Jersey zaczął widzieć w tym jakiś sens. Sposób, w jaki się zachowywały, skojarzył mu się z tańcem.

– Nie mam pojęcia, co to jest, chyba jakaś ruska sonda, tańczy jak matrioszka – podał lornetkę stojącemu obok Ice'owi.

Fakt, że ciągle wspominali o Ruskich, świadczył o czasie, w jakim żyli. W 1946 tuż po deklaracji jednego z najgroźniejszych i najokrutniejszych tyranów w historii – Józefa Stalina, świat się zmienił. Powiedział on, że „komunizm i kapitalizm nie mogą koegzystować, dlatego prędzej czy później dojść będzie musiało do ich starcia”.

Stalin ogłosił, że Związek Radziecki będzie pracował nad najnowocześniejszą bronią i będzie wykorzystywał wszystkie możliwe środki i zasoby, żeby pozostać niezwykłym supermocarstwem. Obawy, jakie powstały po jego wypowiedzi, rozpoczęły okres zwany zimną wojną. Był to rok 1981, więc trwał już 35 lat. Prasa, telewizja i sami ludzie opowiadali historie na temat radzieckich szpiegów oraz ich sekretnych broni. Podczas gdy Związek Radziecki ry-

walizował ideologicznie i politycznie z USA oraz innymi państwami demokratycznymi, takimi jak Wielka Brytania, bazy wojskowe pokroju Bentwaters czy Woodbridge były jednymi z wielu placówek, gdzie siły zbrojne Ameryki miały stacjonować, by ochronić świat przed groźnym komunistycznym złem prosto ze Wschodniej Europy.

Jersey i Ice wiedzieli bardzo dobrze, jak trudno było uzyskać jakieś informacje odnośnie sprzętu, jakiego Czerwona Armia używała.

Sami piloci byli szkoleni do walki z samolotami, których nigdy nie widzieli. Informacje, jakimi dysponowali, pozyskiwali wyłącznie od swoich własnych szpiegów. Każda nowa, wcześniej nierozpoznana technologia wpadała od razu do szuflady o nazwie „tajna broń radziecka”.

Widząc ogromne latające talerze oraz małe świecące kule, mieli do wyboru dwie teorie: albo są to tajne ruskie pojazdy szpiegowskie, albo najeźdźcy z Marsa.

– Słyszałeś kiedyś o takich ruskich sprzętach? – zapytał Jersey jego piegowaty brat.

– No nie, ale to nie znaczy, że nie mają takich.

– To nie są Ruski, OK? Ruski mają Migi i inne znakomite samoloty, ale to... to jest już najwyższa półka rodem z inwazji latających talerzy. Musimy się dowiedzieć więcej o tej technologii.

– Chcesz tam podejść? Dopiero co uciekaliśmy od nich!

– Kto uciekał?! To przez grubasa, gdyby nie on, już dawno bym zba dał wszystko!

– Nikt cię nie trzyma, idź śmiało – kusila, unosząc lekko daszek niska blondynka.

– A właśnie, że pójdę! – odpowiedział dziewczynie.

– No to dalej!

– Przestańcie się klócić, do jasnej cholery! Mam tego dość! Skoro wy tego nie chcecie powiedzieć, to ja to powiem. Jakbyście nie zauważyli, jesteśmy w dość nietypowej sytuacji. Mamy okazję oglądać niewytłumaczalne zjawiska pogodowe podkreślone obecnością dziwnych latających pojazdów. Nieważne, czy są to Ruski czy sam Star Trek.

Jedno jest pewne – jesteśmy po tej samej stronie. Więc proponuję zawiesić na chwilę nienawiści, przynajmniej do momentu, aż wszystko wróci do normy – poczerwieniała zdenerwowana Maggie.

– Ja nie mam nic przeciwko – wyciągnął dłoń BB.

Jersey popatrzył na jego rozbawione brązowe oczy, a potem na czekające na określoną reakcję, wściekle czarne źrenice Maggie.

– Dobrze. Ale tylko na określony czas – nachylił się nad uchem BB, ściskając przy tym jego dłoń. – Później wybije ci wszystkie zęby – dodał szeptem, uśmiechając się przy tym szeroko.

– Cieszę się, że zgadzamy się w tej kwestii – odpowiedział BB, odwzajemniając uścisk.

– Świetnie, zatem możemy wrócić do tego, co ważne. Podkradniemy się bliżej, żeby zobaczyć, co tam się....– urwała Maggie, kiedy ziemia zatrzęsała się pod ich nogami a chwilę później usłyszeli potężny huk nadchodzący z daleka.

– Patrzcie, one znikają! – zawołała Andy.

Z miejsca, przy którym zatrzymał się dziwny pojazd, wystrzelił w górę ogromny słup złotego oślepiającego światła, które po chwili zamieniło się w wielką kulę. Dwie jaśniejące sfery szybko wleciały w nią. Przysłonili rękami oczy i obserwowali, jak kula błyskawicznie wystrzeliwuje do góry. To samo stało się z drugim lewitującym obiektem. Oba odleciały. Ziemia przestała się trząść, a huk umilkł.

\*

– Moja głowa... – Boogie przebudził się, trzymając za bolące miejsce.

– A myślałem, że to twoje bujne afro zamortyzuje uderzenie – uśmiechnął się stojący nad nim rudzielec.

– Jakie uderzenie? – przetarł oczy, nie widząc wyraźnie stojącego nad nim chłopaka.

Red wskazał głową na leżącego obok Pigulę.

– Nie...– zareagował z niedowierzaniem Boogie.

– W sumie to cud, że żyjesz. Przyjąć taki ciężar... Sorry. Nie mieliśmy wyjścia – powiedział szczerze Red.

– Moje afro może znieść dużo, ale bez przesady – uśmiechnął się Boogie.

Zauważył wyciągniętą do niego dłoń – gdy spojrzal do góry, ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że przez cały czas rozmawiał z Redem.

– Bez urazy, OK?

Zmieszany Boogie zastanawiał się, czy aż tak mocno dostał w głowę, że ma przywidzenia, czy po prostu coś go ominęło podczas chwilowej utraty świadomości. Dopiero co walczył z nim, a teraz normalnie rozmawiają. Po chwili wahania postanowił jednak zaryzykować i podać mu dłoń.

– Możesz mówić mi Red.

– Y... No, ja jestem Boogie.

– Wiem, ale dobrze się poznać tak nieco bardziej oficjalnie. Więc jak ci się podoba w naszym pięknym kraju? – zaczęli przyjazną rozmowę.

Kilka metrów dalej rozniósł się dźwięk przypominający zgrzyt kredy o suchą tablicę zmieszany z napadem czkawki pijanej kaczki.

– Moja dupa, aaa aaa aa... – jęczał przebudzający się Piguła. – Co ja tutaj robię? Gdzie te statki kosmiczne?

– Spokojnie, stary, właśnie doprowadzamy się do porządku. Cokolwiek to było, odleciało.

– Już wszystko OK. Ale się wystraszyłeś, pędziłeś jak wariat! – mówił kucający obok niego BB.

– Ja się wystraszyłem? Chyba żartujesz, to nie o to chodziło... – stwierdził tajemniczo Piguła.

– A więc, o co? Wszyscy myśleliśmy, że spanikowałeś.

– Kto tak myślał?! – krzyknął urażony, przewracając przy tym oczami i ruszając nerwowo nosem.

– Słuchaj się. Krótko. Przestaliśmy być wrogami z tymi Jankesami – poinformował półszepem BB.

– Że co, co?! Byłem nieprzytomny przez kilka minut, a tu świat zaczął się już kręcić w drugą stronę? Przyłóż mi lepiej jakimś porząd-

nym kamieniem, to może wszystko wróci do normy, gdy się obudzę – odparł grubasek.

– Spokojnie, tak będzie lepiej, nie myśl, że od razu się z nimi zaprzyjaźnimy, to tylko dla naszego własnego dobra. Cokolwiek tam lata... No wiesz, po prostu lepiej być w większej grupce. Poza tym oni są w armii.

– Taaa, jasne, a tak w ogóle, to kto zalał strumyk betonem?

BB nic nie odpowiedział. Ułożył usta w dzióbek i popatrzył do góry.

– Czemu robisz kaczą minę?

– No bo to nie był beton?

– Wiem przecież, że to nie był beton! Skakałem do wody i jakimś cudem nabiłem sobie dwa guzy na obu pośladkach! Jest to w ogóle możliwe?

– Co? Czy woda mogła być tak twarda? – zapytał BB.

– Nie, czy można nabić sobie guzy na pośladkach? No jasne, że czy woda mogła być twarda! Cholera jasna! – Piguła zaczerwienił się z wściekłości, po czym chwycił się od razu za kłujący go tylek.

– Sprawdzaliśmy to z Maggie i nikt nie jest w stanie tego wytłumaczyć. Chodź, pokażemy ci – BB miał już ruszyć przed siebie, kiedy dotarło do nich dalekie wołanie:

– Chodźcie, musicie to zobaczyć!

– Co jest grane? – pytał zaskoczony Piguła.

– Maggie i Ice poszli sprawdzić miejsce, w którym... A no właśnie, tego też jeszcze nie wiesz. Dwie jasne kule wyleciały z tego spodka i coś robiły tam w trawie – powiedział BB.

– No nie! Dość, że mówisz do nich po imieniu, to jeszcze kiedy wy doświadczaście bliskich spotkań, ja byłem nieprzytomny! – Piguła wstał, ciągle trzymając się za tylek i kręcił zawiedzony głową.

Pozbierawszy się z ziemi, ruszyli na spotkanie z Maggie.

Grubasek co chwilę odwracał głowę, a po jego przymrużonych oczach można było zgadnąć, że nie bardzo podoba mu się to, że Red zgadał się z Boogiem.

BB rzucił jeszcze raz okiem na zatrzymaną w ruchu leśną rzeczkę.

Próbował jakoś to wytłumaczyć, ale jego myśli ciągle błądziły w kierunku Maggie.

Weszli na niewielką leśną polanę, całą pokrytą wysoką zieloną trawą. Zastali tam stojącego plecami do nich Ice'a oraz Maggie, która wdrapywała się na jego grzbiet.

- Nie ruszaj się, kurde – wściekała się cicho.
- Nie jest łatwo stać w bezruchu, gdy wierzysz się i wbijasz mi kolana w ramiona! – odpowiedział sfrustrowany Ice.
- Nie ruszaj się teraz... o kurczę... – wyszeptwała zaintrygowanym głosem.
- Maggie, czemu używasz mojego brata jako drzewa? – zapytał Jersey.

– Drzewa! Racja! – wrzasnęła i szybko zeskoczyła z Ice'a. Spadła na ziemię i zaczęła się chaotycznie rozglądać wokół.

Ice obrócił się w stronę przyjaciół, zrobił zdziwioną minę i wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, co w nią wstąpiło. Jersey podszedł do niego i zapytał: – Co się jej dzieje?

- Nie wiem, mówiła coś o jakichś liniach i że musi je zobaczyć, a potem...
- Chodźcie tutaj! Musicie to zobaczyć! – przerwała mu Maggie. Zwinna jak kocica, wdrapała się szybko do góry po stojącym przy polanie drzewie.
- Uwważaj, bo spadniesz! – zawołał Jersey. Maggie całkowicie go zignorowała. Była tak zaabsorbowana tym, co widziała, że nic innego nie mogło jej teraz przeszkodzić.

BB oraz Ice stali już tuż obok niej. Nie znalazło się niestety miejsce dla nikogo innego, więc reszta mogła tylko posłuchać opisów tego, co tamci widzą.

- Co tam jest?! – zawołał Piguła.
- Znaki – odpowiedział BB.
- Jakie znaki? Drogowe?
- Piguła, oczywiście, że drogowe, jakie inne mogłyby być ukryte na polanie w środku lasu? – odparł ironicznie Ice.
- Zaraz się tam wdrapię do ciebie! – pogroził ręką grubasek.



– Maggie, jakie znaki? – Jersey zadal pytanie, kończąc przekomarżanie chłopaków.

– Piktogramy.

– Piktogramy? Co to jest?

– Wygląda jak jakiś plemienny tatuaż. W sumie to jest całkiem cool! Szkoda, że nie jest skończony – powiedział Ice.

– To jest niesamowite – dodał BB.

– To prawda, to wygląda pięknie – uśmiechała się Maggie.

Znak faktycznie był niesamowity. Złożony był z kilkunastu ślimakowatych linii, które otaczały położony w samym środku trójkąt.

Wszystkie detale zamknięte były w kole.

Robiło to imponujące wrażenie, ponieważ linie były idealne, a koło wyglądało, jakby zostało stworzone za pomocą cyrkla. Niestety górna część była niekompletna.

Jersey był zazdrosny, że nie mógł się tam teraz wdrapać, nie podobało mu się, że BB stoi tam z Maggie, i to tuż za jej plecami. Wszystkie inne drzewa nie miały na tyle rozłożystych i grubych gałęzi, żeby się po nich wspiąć. Piguła próbował wejść na jedno, ale jak zwykle przecenił swoje możliwości, a masa jego ciała zerwała gałąź, po której się wspinał. Upadł na plecy i zaczął wierzgać kończynami niczym bezradny żółw leżący na swojej skorupie.

Jedyny sposób, w jaki można było dojrzeć ten tajemniczy znak ukryty w wysokiej trawie, to tylko patrząc z góry. Maggie wiedziała, co robić, czytała wiele razy o piktogramach, czyli tak zwanych znakach, które pojawiały się w zbożu lub wysokich trawach. Naukowcy oraz specjaliści od lat starali się wyjaśnić ich pochodzenie. Tak naprawdę dowiedziała się o nich dopiero, kiedy przeprowadziła się do Anglii. Występowanie tego zjawiska na Wyspach było bardzo częste, szczególnie w okresie wakacyjnym.

– Skąd wiedziałaś, że tam coś jest? – zapytał Jersey.

– Podejdz do trawy i zobacz, w jaki sposób jest zgięta.

– Co?

– No idź i zrób, co mówię. Przypatrz się dokładnie, jak ta trawa jest ułożona przy ziemi.

Jersey podszedł do trawy. Długa była na wysokość jego pasa. W jednym miejscu odnalazł ją przygniecioną, trochę jakby wydeptaną. Stojąc z boku, nie wyglądało to dziwnie. Zupełnie jakby ktoś po prostu tamtędy przeszedł, robiąc w niej ścieżkę. Lecz kiedy przyjrzyło się jej z bliska, można było zauważyć, że źdźbła nie były polamane ani zgniecione, a jedynie położone przy ziemi. Maggie od razu wiedziała, co to oznacza i postanowiła szybko zerknąć na to z góry, dlatego też wcześniej wdrapywała się na plecy Ice'a.

– Jakim cudem ta trawa nie jest pozaginana? – zapytał BB.

– Nie wiem, ale to na pewno sprawka tego spodka oraz tych dwóch świecących kul – odpowiedziała Maggie.

– Miałoby to sens oraz tłumaczyło, dlaczego to nie jest skończone – dodał Ice.

– Ten huk i dziwne trzęsienie musiało ich przegonić – powiedziała.

– No właśnie, to trzęsienie ziemi. Na początku myślałem, że było wywołane ich odlotem, teraz nie jestem tego taki pewien – powiedział Red.

– I ten huk nadchodził gdzieś z okolic Woodbridge. Co to mogło być? – zapytał Boogie.

– Nie wiem. Tutaj raczej się nie dowiemy, no chyba, że ktoś wie, jak odczytać ten fiktogram.

– Piktogram! – poprawiła Maggie.

– No, piktogram.

– Nie rozumiem, po co Ruscy mieliby rysować jakieś dziwne symbole w środku lasu? I do tego robić to jeszcze w taki sposób, żeby nie niszczyć trawy? Zaginając ją? Od kiedy Ruski tak bardzo dbają o przyrodę? Już nieraz słyszałem, jak zatapiaли swoje nuklearne łodzie podwodne w morzu bałtyckim. Nie myśleli wtedy jakoś o ekosystemie... – stwierdził BB.

– Dla mnie też nie ma to żadnego sensu – dodał Red.

– Może w taki sposób się komunikują? Może jeśli nadawaliby drogą radiową, wiadomości byłyby przechwytywane? – zastanawiał się na głos Boogie.

– Ale wy gadacie głupoty. Nie mogę was słuchać. Musicie otworzyć

umysł na inną możliwość niż tylko taką, że są to Ruscy! – zawołała Andy.

– Na przykład na jaką? – zapytał Ice.

– Na przykład na taką, że są to pojazdy USA? – odpowiedziała pytającą.

– To nie są nasze pojazdy – uśmiechnął się Ice.

– A skąd wiesz? Znasz wszystkie ich typy?

– No, jasne, że nie. Ale nie wydaje mi się...

– Nie wydaje ci się. Ale nie możesz też powiedzieć, że nie ma takiej możliwości, prawda? – odchyliła daszek do góry, ukazując swoje oczy.

Ice popatrzył na nią i na chwilę zaniemówił. Coś w jej oczach sprawiło, że jego wszystkie myśli ulotniły się.

– Prawda? – zapytała ponownie, uśmiechając się przy tym symbolicznie.

– Yyy, tak, tak, prawda – odpowiedział szybko i odwrócił wzrok, czuł, że robi się nagle cały czerwony.

– Ja wam mówię, to statki kosmiczne – dodał w tle Piguła.

– Nie dowiemy się niczego, stojąc tutaj. Myślę, że powinniśmy się zbierać – powiedział BB.

– Zgadzam się, ruszajmy. Wystarczająco dużo czasu zmarnowaliśmy!

– zawołał Jersey. Chciał, żeby w końcu zeszli z tej cholerne gałęzi. A przede wszystkim, żeby BB oddalił się od jego Maggie.

Ice zeskoczył żwawo z drzewa, a BB wyciągnął dłoń, aby asystować czarnowłosej dziewczynie w zejściu na ziemię. Popatrzyła na niego zimnym wzrokiem, usiadła na gałęzi i robiąc przewrót do tyłu, zeskoczyła na dół. Zrobiła to z taką lekkością, że BB aż westchnął.

– Zapomniałem już, jaka jesteś dobra w gimnastyce – pomyślał głośno.

Jersey, słysząc to, zagotował się momentalnie i skwitował:

– Koniec gadania, idziemy.

Ruszyli w drugą stronę przez las.

Byli zmieszani i zmęczeni. Głód dawał się we znaki. Zmysły wariowały. Ten dzień zdawał się trwać już tak długo... Każda kolejna minuta przynosiła coraz więcej tajemnic. Czym były te tajemnicze znaki oraz latające talerze? Dlaczego nad nimi wciąż znajdowała się ta dziwna chmura? Dlaczego jeleni zatrzymał się w bezruchu? Dlaczego strumyk znieruchomiał i stał się twardy jak beton? Oraz czym był ten ciągle powracający dźwięk?

\*

Soczystą zieleń przykrył ciężki płaszcz szarej chmury. Las, który tak dobrze znali, zamienił się w coś zupełnie im obcego, przydymionego i otoczonego mleczną mgłą. Żarty zsunęły się na dalszy plan. W milczeniu szli przed siebie. Zaniepokojeni czasem, który spędzili na marszu, zastanawiali się już, czy aby się nie zgubili. Do tego momentu już dawno powinni być w bazie. Zegarki nie działały, nikt nie posiadał kompasu, nawet nie mogli pokierować się położeniem słońca, bo było ono całkowicie niewidoczne.

Kiedy mieli już popaść w bezradność, Ice zmienił nastrój w grupie:  
– Tam, patrzcie! – wskazał palcem na jaśniejący wyraźnie brzeg lasu. Odetchnęli z ulgą.

To, co zobaczyli, nie było dokładnie tym, czego się spodziewali. Nie można powiedzieć, że byli również zawiedzeni. Wszyscy przecież marzyli o tym, żeby jak najszybciej wydostać się z tego tajemniczego, upiornego gąszczu.

– Pola golfowe? Jakim cudem? – zapytał zszokowany BB.  
– Mogliśmy iść tą cholerną drogą, to wszystko przez tego perukę – Piguła pokazał palcem do tyłu na Boogiego.  
– Zaraz ci dam, ty ciulu! – rzucił się z pięścią w stronę tłuszciocha. Ice przytrzymał go mocno obiema rękami. Każdy wydawał się mieć dość upierdliwości grubasa.

- To nie jego wina, musieliśmy zgubić kierunek podczas ucieczki, mgła była zbyt gęsta.
- To klub golfowy w Woodbridge – przerwał im Red.
- Co? – odezwał się Ice.
- Wiem, gdzie jesteśmy, to klub golfowy w Woodbridge – powtórzył Red.
- Nie jest źle, przejdziemy przez te pola, później przez most i będziemy w mieście. Tam możemy poprosić o pomoc – zaproponował BB.
- Jasne. Dla mnie bomba, mam już dość tej wycieczki – obrażony tłuścioch ruszył w kierunku miasteczka.
- Maggie podeszła do swoich przyjaciół.
- Myślę, że powinniśmy znaleźć pierwszy lepszy dom i zadzwonić do bazy, żeby ktoś nas stąd odebrał. Za dużo czasu już straciliśmy.
- Masz rację, Maggie. Nie ma sensu dalej błądzić. Puśćmy te głąby, niech idą, my sobie poradzimy – odpowiedział bardzo poważnie Jersey.

Zerknąwszy za ramię, przybliżyła się do reszty i szybko szepnęła:

- Nie. Musimy ich zabrać ze sobą. Byli świadkami tego, co my, wojsko na pewno będzie chciało ich przesłuchać. Poza tym rozwalili wojskowego jeepa.

Nikt się nie sprzeciwił. Maggie jednak nie powiedziała całej prawdy. Miała dziwne przeczucia, nie chciała się rozdzielać. Musiała użyć takich argumentów, w innym wypadku mogliby tego nie zrozumieć. Ruszyli poprzez zamglone pola golfowe w stronę miasteczka.

Woodbridge – miejscowość położona na brzegu rzeki Deben. Ta niewielka miejscina w słoneczny dzień zachwycała swoim urokiem. Kajaki, łodzie i żaglówki kołysane przez spokojne fale rzeki dodawały klimatu stojącemu nad nimi, znanemu w całej okolicy młynowi – Tide Mill. XVI-wieczny ceglany ratusz przyozdobiony dużym białym zegarem stanowił centrum, do którego z chęcią przyjeżdżali turyści.

Kto by pomyślał, że miejsce, w którym mieszkało tylko osiem tysięcy osób, mogło pochwalić się ponad tysiącletnią historią.

Jersey i reszta zawsze lubili spacerować po tej okolicy. Na przekór temu, jak na nich patrzono, pokochali Anglię. Było to miejsce znacznie różniące się od tego, co znali z Ameryki. Wielu z nich skrycie myślało nawet o pozostaniu w Europie. Kiedy pogoda dopisywała, było to najlepsze miejsce pod słońcem.

Niestety, nie tego dnia.

Przechodząc przez niewielki most, zwrócili uwagę na stojące w bezruchu na wodzie mgliste zarysy łodzi i żaglówek. Daleko w tle majaczył nieruchomy tego dnia przybrzeżny młyn. Miasteczko, zazwyczaj tętniące życiem, było ciche, spokojne i uśpione. Na pierwszy rzut oka wyglądało wręcz na opuszczone. Niebo wciąż miało ten sam przerażający wygląd. Drżący dźwięk, którego byli wielokrotnie świadkami, pojawiał się nadal, lecz starali się o tym nie myśleć ani w żaden sposób nie reagować.

Wchodząc do okrytego gęstą mgłą Woodbridge, zastali je całkowicie zaspane. Żadnego ruchu na drodze. Głucha cisza. Wszystko wyglądało zupełnie jak w lesie, jedyną różnicą był brak drzew, które zastępowały teraz domy.

Nie zapuszczając głębiej do centrum, Andy podeszła do niewysokiego białego domu. Zadzwoiła. Zapukała. Znow zadzwoniła.

Podeszła do następnego domu, to samo – brak odpowiedzi.

– Cholera, może jest piąta rano czy coś? Dlatego ta mgła i w ogóle ludzie mogą jeszcze spać? – powiedziała, zaglądając przez czyjeś okno do salonu. – To ostatni dom, który sprawdzam, później zacznę panikować.

– Hej! Patrzcie tutaj, drzwi są uchylone! – krzyknął Piguła z drugiej strony ulicy.

– Pewnie sam je otworzył, żarłok zrobi wszystko, żeby zapełnić ten bęben – Ice cicho szepnął do brata. Jersey uśmiechnął się pod nosem.

– Halo, czy jest ktoś w domu? – wołał, przekraczając próg grubasek.

– Nie można tak komuś do domu wchodzić! Zastanówmy się nad tym – próbowała powstrzymać go Maggie.

– A co, jeśli ktoś zasłabł? Albo było włamanie? Może ktoś potrzebuje pomocy! – nieustępliwy Piguła zablysnął genialnymi ripostami. Nic go nie mogło zatrzymać, kiedy wpadł do środka. Oczami penetrował wszystkie pomieszczenia, najwidoczniej przez cały czas szukając lodówki, bo gdy zobaczył kawalek kuchni – wskoczył do niej z prędkością nadświatłą.

Cała siódemka powoli szła przez długi hol. Zaglądali wszędzie. Nie było tam nikogo. Dom był nowy, ładnie umeblowany. Tylko ten zapach. Smród kocich sików i tanie słodkie perfumy.

– Musi tu mieszkać jakaś starsza pani – mruknęła pod nosem Andy. Po przejściu całego przedpokoju weszli nareszcie do kuchni. Zastali Pigulę z wielką kanapką wypełnioną przeróżnymi dodatkami. Sandwicha trzymał dwoma rękami i kierował go wprost do otwartych szeroko ust. Zamarł w miejscu, gdy ich zobaczył. Zarumienił się, komponując się idealnie z dużym wystającym pomidorem.

– Chcecie kawalek? – zapytał zakłopotany i uśmiechając się, wyszczerzył brudne zęby poprzetykane pietruszką.

– Jak ty w ciągu 10 sekund zrobisz taką kanapkę? – zapytał Ice.

– Ale ty jesteś głupi, Action Manie. Leżała tutaj. Ja jej po prostu pomagam dokonać swojego żywota w lepszym miejscu niż ten staroświecki stół – uśmiechnął się, zamykając przy tym oczy. Nie znajdując żadnego chętnego, rozpoczął konsumpcję.

– Nie ma wody w kranie, cholera. A tak chciało mi się pić – podskoczyła wściekle Andy.

Ice miał już dość słuchania odgłosów mlaskającego tłuszczu, wyszedł więc z kuchni w stronę łączącego się z nią pokoju.

– Gdzie idziesz? – zapytał Jersey.

– Szukam telefonu. Nie po to jesteśmy? – otworzył drzwi Ice.

Wchodząc do ciemnego pomieszczenia, otworzył szerzej oczy, żeby cokolwiek zobaczyć. Okna zasłonięte były grubymi ciężkimi kotarami. Musiał je najpierw odsłonić, żeby namierzyć jakikolwiek przedmiot w tej ciemni. Krok po kroku delikatnie stąpał przed siebie, uważając, żeby o coś się nie potknąć. Jego źrenice musiały się już całkiem rozszerzyć, ponieważ wylapywał więcej światła.

Dwa metry dzieliły go od okna i wielkich kotar. Niedaleko w kącie stał okrągły stolik, a zaraz za nim przewiązany na niewielkim chwytniku wisiał sznurek, służący zapewne do rozsuwania zaslon. Wyciągnął dłoń w jego kierunku. Zatrzymał się jednak na moment, kiedy zauważył piękną czarną kocią statuetkę. Wielkością odpowiadała dorosłemu kociakowi. Rzuciła mu się w oczy forma i pozycja wyrzeźbionego stworzenia. Statuetka była kopią wyginającego grzbiet, wystraszonego zwierzęcia. Nie mogąc powstrzymać ciekawości, dotknął jej.

Ku jego zdziwieniu, zamiast sztucznego materiału ceramicznego poczuł pod palcami prawdziwe futro. Nachylił się i popatrzył z bliższej odległości na jej głowę. Musiało to być wypchane zwierzę. Kto, do cholery, wypycha koty? – pomyślał oburzony.

Nie czekając ani chwili dłużej, pociągnął za sznurek i rozsunął kotary. Mocne białe światło rozlało się po salonie, wypełniając kolorami każdy znajdujący się w jego wnętrzu przedmiot. Zielone ściany, perski dywan, kominek, zestaw dwóch foteli i czerwoną sofa na niskich nóżkach. Półki z książkami, niewielki kwadratowy telewizor, radio na kredensie, ogromną, trzydrzwiową szafę i czarnego kota na stoliku.

Ciekawość wzięła górę i wrócił oczami do statuetki. Zbliżył swoją twarz do jej otwartego pyska.

– Jakim cudem udało się im zachować język? Co za detale. Muszę pokazać to reszcie – obrócił się i kiedy miał już ich zawołać, przed jego oczami stanęła stara, pomarszczona, przerażająca siwa baba. Beżebne usta miała otwarte, oczy zamknięte. Obie ręce kierowały się w jego kierunku.

–AAAAAAAAA! – krzyknął przestraszony. Upadł na ziemię. Jersey i reszta zareagowali natychmiastowo i już po chwili wbiegli do pomieszczenia. Stanęli jak zamurowani. Zastali leżącego na ziemi Ice'a i stojącą nad nim nieruchomo starszą, pulchną kobietę. Ubrana była w beżowo-brązową spódnicę w paski oraz białą koszulkę na ramiączkach. Lekko nachylona, wyciągała ręce w kierunku Ice'a.



– Przepraszamy panią! Naprawdę! Weszliśmy tutaj, ponieważ drzwi były otwarte, zaraz wszystko pani wytłumaczymy – zareagowała, wyskakując do przodu przejęta Andy. – Proszę panią? – zapytała niepewnym głosem, nie widząc u kobiety żadnej reakcji. Ice trząśł się ze strachu na podłodze.

– Ona cię chyba nie słyszy – powiedział.

Andy podeszła bliżej. Poczula się dziwnie, przypomniał się jej salon figur woskowych w Londynie, który niedawno odwiedziła z rodziną. Różnicą było to, że ta kobieta wyglądała ultrarealistycznie. Andy podała Ice’owi rękę. Wstał powoli z ziemi, nie odrywając wzroku od kobiety.

Odeszli dwa kroki dalej.

– Ja tylko oglądałem kota, a ona nagle się zjawila – mówił drżącym głosem.

– Patrz, gdzie ona sięga – zauważyła Andy.

Stojąc przy oknie, mogli dokładniej zobaczyć całe miejsce. Kobieta wyciągała ręce do leżącej obok kota kwadratowej szklanki. Szklanki, w której spoczywała zanurzona sztuczna szczeka.

– Kot musiał się wystraszyć, gdy ona sięgała po zęby. Dlatego też zamarł w takiej pozycji – skomentowała stojąca obok nich Maggie. – Tak, to mi wygląda na to samo – kontynuowała, przykładając dwa palce do szyi starszej kobiety. – Puls stabilny, ale bardzo wolny, to samo u kota.

– Wydaje mi się, że mamy większy problem, niż przypuszczaliśmy. To może być jakiś wirus.

– Na pewno Ruski rozpylają nową broń biologiczną – zasugerował Red.

Ice złapał się za głowę, wstrzymując się od komentarza.

– Faktycznie, wyglądają zupełnie jak ten Bambi z lasu – chwycił się za brodę Boogie.

– Co to może znaczyć? – zapytał BB.

– Nie wiem, jest tutaj jakiś telefon?

– Nie działa, właśnie sprawdziłem – odpowiedział trzymający słuchawkę w drugim kącie pokoju Red.

Maggie podeszła do szklanki z protezą i przechyliła ją do góry dnem. Woda niczym jedna bryła wypadła i uderzyła o dywan. Nie rozbila się. Schyliła się i położyła ją na swojej dłoni.

Była ciepła, nie wilgotna. Przeźroczysta niczym szkło. Mimo stałego stanu skupienia nie zmieniła swojej objętości. To wszystko było równie niewytłumaczalne, jak niedorzeczne. Chcąc przyjrzeć się jeszcze dokładniej, podeszła powoli do okna.

Przystawiła kwadratową formę bliżej oczu i wpatrując się przez przeźroczystą bryłę, doszukiwała się jakichś detali. Szukała czegokolwiek, co mogłoby wytłumaczyć tę anomalię.

Potężny niebieski błysk odwrócił jej uwagę. Błysnęło od strony ulicy, zaraz obok drzwi wejściowych domu. Błękit rozszedł się po całym pomieszczeniu.

– Padnijcie! – rzucił się na podłogę Jersey, a reszta za nim.

Światło pulsowało w rytm bicia serca, na przemian mocniej i słabiej. Piguła podczołgał się szybciotko do drzwi kuchennych i je zamknął.

Schowani w różnych zakamarkach pokoju, leżeli i nasłuchiwali.

Światło zgasło.

Czekali.

Stuk, skrzypnięcie, zgrzyt.

Próbowali namierzyć źródło tych dźwięków.

– Ktoś chyba jest przy drzwiach wejściowych – zauważyła Maggie.

## Rozdział 6

### Goście

Pochowani po całym pokoju, czekali. Spoglądali na siebie nawzajem. Nasłuchując dźwięków przy drzwiach, zastanawiali się, kto mógł stać po drugiej stronie.

– To na pewno policja albo jakieś ekipy ratownicze – wstał Red.

– Co robisz?! Kładź się na ziemi! – zagroził leżący na pstrokatym dywanie BB.

– Daj spokój, te niebieskie światła to na pewno policja, idę tam – otworzył drzwi i wyszedł.

– Halo! Tutaj! – krzyknął, idąc przez kuchnię. Stracili go z oczu, gdy wszedł do korytarza. Nikt nie odważył się wstać. W pełnym skupieniu czekali.

Milczeli, nasłuchując dalszych kroków kolegi.

Zatrzymał się. Coś kliknęło, zazgrzytało i zaskrzypiało.

Musiał otworzyć drzwi – pomyślał BB.

– Tutaj jestem! O kur....! – podniósł głos, po czym urwał gwałtownie.

Ostry, metaliczny dźwięk uderzenia dobiegł z końca korytarza.

BB zerwał się na równe nogi.

– Czekaj! Słuchaj! Nie narażaj dziewczyn! – Jersey chwycił go mocno za ramię. BB zagotował się ze złości, ale szybka myśl o Maggie go powstrzymała. Usłyszeli coś. Ktoś kierował się w ich stronę.

– Chowajcie się! Szybko! – szepnął Jersey.

– Tutaj! – Ice pokazał palcem na otwarte drzwi od szafy.

Maggie, Andy i Piguła szybciotko i cichutko podbiegli do mebla i schowali się w środku. Ice wsunął się zaraz za nimi. Boogie, będąc zdecydowanie za wysokim, musiał przeczolgać się za czerwoną kanapę. BB i Jersey schowali się w rogu za grubymi kotarami.

Dziwny dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Ktoś się zbliżał. W kuchni coś spadło na ziemię, robiąc niesamowity rumor.

– Co to za odgłos? – zapytał Jersey.

– Nie wiem... Sapanie? – zgadywał BB.

Sycząco-ssący odgłos rozległ się w kuchni. Przypominał bardzo powolne i głośnie sapanie przez zaciśnięte zęby.

– Niedobrze mi – chwycił się za brzuch Piguła.

– Cicho siedź! – naskoczył na niego Ice.

Dziewczyny, wtulone w siebie, nic się nie odzywały. Stali w czwórkę zamknięci w ciemnej szafie. Dziwny zapach starych ubrań i maści rozgrzewających drażnił ich nozdrza i przelyki. Jersey i BB stali ramię w ramię. Zasłonięci przez tak grube kotary, nie mogli niczego zobaczyć. Nie chcieli się również wychylać. Nie mieli przy sobie żadnej broni, a na przechwycenie noża z kuchni było już stanowczo za późno.

Drzwi do pokoju wolno zaskrzypiały. Wstrzymali oddechy, minimalizując wydawane odgłosy, jak tylko mogli. Ktoś wszedł bardzo wolno do pomieszczenia. Ktokolwiek to był, wydawał z siebie paskudny, przerażający, sapiący dźwięk i o dziwo stapał po ziemi bezgłośnie. Boogie jako jedyny mógł coś zobaczyć. Leżał za czerwona sofą na niskich nóżkach. Patrząc pod nią, dojrzał buty tajemniczego gościa.

O Boże! To niemożliwe! – pomyślał zaskoczony.

Średniego rozmiaru ciemne buty zrobione były z dziwnego, matowego, podobnego do plastiku materiału. Trudno było dopatrzyć się koloru przy ciągle migoczącym niebieskim świetle. Musiały być stworzone z jednego elementu, gdyż nie miały ani sznurówek ani rzepów.

Rzecz, która jednak najbardziej go zadziwiła i zszokowała, to fakt, że buty te nie stały na ziemi, ale unosiły się w powietrzu.

Kto to, Harry Houdini? – pomyślał Boogie.

Jego serce biło jak szalone, nie wiedział, czego się spodziewać. Widząc jedynie buty, trudno było określić, kim była ta niezwy-

kła postać. Do tego nie mógł w żaden sposób wytłumaczyć, jakim cudem osoba ta lewitowała.

Przerażone dziewczyny mocno się przytulały. Piguła zaczął coś stękać, na co Ice trącił go lekko łokciem.

Mmm mmm... – jęczał trzymający się za brzuch grubas.

Boogie, wpatrując się ciągle w buty, czekał na ruch enigmatycznego gościa. Zdziwiło go również, że dziwne sapanie słyszalne było tylko co kilkanaście sekund.

Nikt tak nie oddycha – zauważył w myślach.

BB przewracał oczami na lewo i na prawo, ledwo wytrzymując to całe napięcie. Brzuch miał jakby kilkakrotnie cięższy. Spięty, zdenerwowany, spocony, miał ochotę wypaść zza kotary i rzucić się na osobę, która stoi teraz w pokoju, kimkolwiek lub czymkolwiek by ona nie była.

Gdzie jest Red? Czy wszystko z nim w porządku? – zastanawiał się.

Postać ruszyła. Wróciła z powrotem do kuchni. Wolne sapanie zdradzało jej pozycję, można było więc z całą pewnością stwierdzić, że znów znajduje się u drzwi wejściowych.

– Nie mogę... mmmmmm... – tłuścioch niemal zapłakał, po czym:

– PRRRRrrrrrrr PRRrrrrr PRrrrr... PRRR – puścił głośnego, bulgoczącosiarczystego bąka.

Sapanie ustalo. Postać się zatrzymała.

– Ty idioto! – wyszeptał wściekle Ice.

Dziewczyny złapały się za nosy i włożyły buzie pod koszulki.

– Ktokolwiek to zrobił, osobiście włożę mu w dupę kolek! – powiedział wściekle Jersey.

Wypadł zza kurtyny. Rozglądął się po pokoju. Podbiegł do kominka i wziął do ręki długi ciężki pogrzechacz do popiołu. Jednym susem zbliżył się do kuchni, chowając się za drzwiami. BB zrobił to samo – jedyne, co mógł chwycić w dłoń, to kwadratowa szklanka ze sztuczną szczęką. Ustawił się po drugiej stronie drzwi. Byli przygotowani na atak.

Wszyscy czekali w nerwach na powrót tajemniczego gościa.

Pot lał się ciurkiem po twarzy dwóch dobrze zbudowanych chłopaków. Ciężko oddychając, nasłuchiwali.

Nieznajomy stał w miejscu. Sycząco-ssący dźwięk co kilkanaście sekund pojawiał się i znikał. Czekali. Jersey, mocno ścisnąc pogrzebacz, poprawiał nerwowo dłonią jego uchwyt. Ohydne sapanie wróciło, nieznajomy ruszył. Coś mocniej zabiło w klatce piersiowej BB. Chciał odkaszlnąć, lecz się powstrzymał. Łzy napłynęły mu do oczu. Postać ruszyła z powrotem do drzwi wejściowych. Odetchnęli z ulgą.

Czekali nieruchomo jeszcze minutę, kiedy pulsujące błękitne światło w końcu zgasło.

– Chyba poszedł, możecie wyjść – powiedział Boogie.

Drzwi od szafy otworzyły się z hukiem. Pozieleniały na twarzy Ice wyskoczył, łapiąc głośno powietrze. Dziewczyny wybiegły i stanęły, chwijając się na środku pokoju. Piguła padł na podłogę, pierdząc przy tym długim ciągiem.

– Zaraz się posrasz – stwierdził Jersey.

– Chy...ba już to zro...bił, bracie. Nie czu...jesz smrodu? – dodał próbując złapać oddech Ice.

– Ale..... Faj! Coś ty, do cholery, zjadł? Co było w tej kanapce?! Martwe myszy?? – krzyknął BB. Smród był nie do wytrzymania. Mieszanka zgnitych jaj, zjełczalego sera, cebuli i kocich szczyn.

Musieli wyjść do kuchni.

– Red! – BB podniósł głos. Podbiegł do drzwi wejściowych. Klęknął i popatrzył przez dziurkę od klucza. Było czysto. Nikogo po drugiej stronie. Uchylił powoli skrzypiące drzwi. Wystawił głowę, rozglądając się na boki. Wyszedł. Znalazł się na zamglonej ulicy. Nie było ani śladu po koledze.

Jersey, Ice i Boogie podbiegli do niego.

– Gdzie jest Red?

– Nie ma go, Boogie... – odpowiedział zaniepokojony BB.

– Co to było, u licha?! Sapało jak podniecony hipopotam.

– Ice, jeśli hipopotamy noszą superwąskie, ciemne, plastikowo wyglądające buty, to na pewno masz rację – odpowiedział bujnowłosy

chłopak.

– Co? Widziałeś jego nogi, Boogie? – zapytał Jersey.

– Tylko jego buty, nic więcej. Jedno ci powiem, były... dziwne.

– Jak dziwne?

– Niedotykająco-podłogi dziwne!

– Jak to? Był na szczudłach, że nie dotykał podłogi?

– Nie... Po prostu nie dotykały podłogi. Głupio to zabrzmiało, ale one wisiały w powietrzu...

– Co ty pleciesz za głupoty? Jadłeś coś z Pigulą? – zapytał Jersey.

– Poważnie mówię! – uniósł głos. Denerwowało go, że mu nie wierzyli.

UAAAAAAAA – rozległ się wrzask w głębi domu.

Migiem wrócili do środka. Jersey wpadł do kuchni, ciągle trzymając w dłoni pogrzebacz.

– Co się dzieje?! – krzyknął BB.

Maggie i Andy stojące blisko siebie pokazały palcami na znajdującego się na czworakach grubaska. Wymiotował, wydając z siebie paralizujący dźwięk.

– Co było w tej kanapce? Serio – zapytał przejęty Boogie.

– Jakby zostawił chociaż kawałek, to moglibyśmy sprawdzić, ale zjadł ją całą – zauważyła Maggie.

– Pomidor... UAAAAAAAA... dziwnie...ble...smakował – wymamrotał tłuścioch.

– Znaleźliście Reda? – zapytała Andy.

– Nie... – BB spuścił głowę.

– Co się z nim stało? Chodźcie go poszukać! – Andy chwyciła BB za ramię.

– Patrzyliśmy na zewnątrz, nigdzie go nie było. Może uciekł?

– Moment, jak myślicie, kto to był? – zapytała Maggie, kręcąc przy tym głową.

– Te niebieskie światła dziwnie pulsowały, może to policja? – odezwał się Ice.

– Jeśli to była policja, to po jaką cholerę bawiliśmy się w chowanego? Może mi ktoś powiedzieć? BB? – Andy otworzyła szerzej oczy,

oczekując natychmiastowej odpowiedzi.

– To była szybka decyzja, weszliśmy do czyjegoś domu niczym włamywacze, kto by chciał się pokazać policji i tłumaczyć, co się stało z nieruchomym kotem i zamrożoną w ruchu bezzębną właścicielką, i kim dla nich jesteście? – odpowiedział ironicznie, mrużąc przy tym oczy.

– Ale my chcieliśmy tylko pomóc – zabrał głos Piguła.

– Jedynie, czego chciałeś, to zeżreć coś, i nawet to ci nie wyszło, więc siedź cicho – huknęła na niego Andy. – Poza tym, gdyby to była policja, to chyba Red by im wszystko wyjaśnił i wróciliby z powrotem. Tak w ogóle, to dziwnie zabrzmiało ostatnie zdanie, które wypowiedział... Jakby ktoś go czymś zaatakował. Cholera, sama nie wiem, po prostu za dużo się już dzisiaj wydarzyło – zwiesiła głowę.

– To nie była policja – wtrącił się Boogie.

– Skąd wiesz?

– Widziałem buty kogoś, kto wszedł do domu.

– No i co? Skąd wiesz, że to nie była policja?

– Policja nie lewituje.

– Jak to lewituje? – zapytała głośniejszym głosem Andy, aż wszyscy spojrzeli w ich stronę.

– Ja tylko mówię, co widziałem. Ktokolwiek wszedł do tamtego pokoju, nie stawiał nóg na ziemi, tylko unosił się w powietrzu. Ostatnio jak sprawdzałem, policja nie dysponowała takimi sztuczkami magicznymi.

– To brzmi dziwnie. Z drugiej strony nigdy nas nie okłamałeś. Po co miałbyś robić to teraz? Do tego widzieliśmy tamte dziwaczne talerze. Coraz bardziej martwi mnie to, co się tutaj dzieje – zabrała głos Maggie.

– OK. Nic już na to nie poradzimy. Zbierajmy się, musimy odnaleźć Reda i dostać się do jakiegoś działającego telefonu. Możesz iść, Piguła? – zapytał BB.

Wstając z ziemi, kiwnął potwierdzająco głową. Próbował utrzymać pion, lecz chwiało się ciągle na nogach. Biała opaska na jego czole była praktycznie niezauważalna. Wtopiła się idealnie w jego



białą jak ściana twarz.

– Idziemy – powiedział, robiąc krok do przodu, zakończony króciutkim wysokim pierdnięciem.

– W ratuszu na pewno mają dostęp do telefonu. Jest niedaleko stąd. Chodźmy i zalatwmy w końcu coś! – dodała Maggie.

Spojrzała na stojącą obok Andy. Wciąż trzymały się pod rękę. Popatrzyły na siebie zdziwione, że wciąż są do siebie przyklejone. Andy otworzyła szerzej oczy. Będąc w ciemnej szafie i do tego okropnie przestraszone, nawet nie zdawały sobie sprawy, w kogo się wtulają.

Andy wysunęła rękę spod jej ramienia. Maggie odsunęła się dwa kroki w bok, na co Andy powiedziała zmieszana:

– Tak, chodźmy!

Chłopcy popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami. Piguła puścił ostatniego cichego bąka.

Po wyjściu z domu zaczęli kierować się do centrum miasteczka Woodbridge. Ciągłą ciszę co kilka minut przerywały ich nawoływania za Redem. Patrzyli w każde okno i każdy zaułek. Nie było śladu po koledze.

– Ej, tam! – zawołała Andy.

Na ulicy tuż przed nimi z gęstej mgły zaczęły wylaniać się stojące samochody i cienie jakichś ludzi.

– Halo! Halo! Proszę pana! – machała ręką Andy.

Im bardziej się zbliżali, tym więcej postaci zaczęło ukazywać się ich oczom. Mimo wołania Andy, nikt się nawet nie poruszył.

– Zaczekaj, Andy – Maggie chwyciła ją za rękę.

– Puszczaj, lampucero! – warknęła na nią i wyrwała się z jej uścisku. Pobieгла przed siebie w nadziei, że znajdzie kogoś, kto będzie mógł im pomóc. Dotarłszy pędem do wysokiego mężczyzny, zatrzymała się na jego klatce piersiowej.

– Dzięki Bogu, proszę nam pomóc! Proszę pana... Proszę pana? – szybko zmieniła ton wypowiedzianych słów z bardzo głośnego na ledwo słyszalny.

Trzydziestokilkuletni mężczyzna stał w miejscu, nawet nie drgnął w odpowiedzi na wołanie niskiej dziewczyny w czapeczce z

daszkiem. Stał nieruchomo, statycznie, identycznie jak starsza kobieta, której dom dopiero co opuścili.

– O Boże, oni wszyscy są w tym stanie! – Andy zasłoniła ręką usta.

– Kurde, na to wygląda. Coraz dziwniej zaczynam się czuć. Co tu się, u licha, dzieje? – zastanawiał się zaskoczony Jersey.

– Tak, to mi wygląda już na jakąś epidemię, ale dlaczego nie oddziałuje to na nas? – rozmyślała Maggie.

– Sprawdzajcie ich wszystkich, nie mamy wyjścia – powiedział BB.

Podszedł do stojącego po lewej stronie drogi niewielkiego samochodu. Za kierownicą siedział nieruchomy facet. Jego przymrużone oczy, skrzywione usta i dłonie mocno zaciśnięte na kierownicy sprawiały, że wyglądał niczym ścigający się kierowca rajdowy. Wyraźnie się gdzieś spieszył. Teraz jednak zatrzymany był w miejscu. Jego puls oraz oddech były takie same jak u poprzednich napotkanych. Wiedzieli już, że to nie pojedynczy wypadek, ale coś na większą skalę. Idąc głębiej w zamglone miasto, napotykali coraz częściej samochody oraz przechodniów w przeróżnych, czasami bardzo interesujących i niezręcznych pozycjach.

Piguła, patrząc na przechodniów, nie mógł powstrzymać się od komentarza.

– Haha, patrzcie na tę laskę! – wskazał na jedną z kobiet.

Kobieta zatrzymała się w momencie, kiedy potknęła się o krawężnik. Głowę miała nisko. Jedna noga przyklejona do krawężnika, a druga wysoko w powietrzu. W podniesionych rękach trzymała papierowe torby wypełnione jedzeniem.

– Ale ty jesteś debilem! – pokręcił głową Ice.

– Piguła, weź się ogarnij. Red zaginął, a ty się podśmiewujesz? – podniósł głos BB.

– Spoko, na pewno nic mu nie jest, nie wiecie, że rudy przynosi szczęście? – parsknął sarkastycznie, po czym popatrzył na wszystkich jak na głupków.

Były też inne ciekawe postacie. Grupa chłopaków podziwiających kształty idącej przed nimi ładnej dziewczyny. Albo mała wrzeszcząca ruda dziewczynka, która z założonymi rękami patrzyła

w niebo. Obok niej stała prawdopodobnie mama, próbująca przemówić jej do rozsądku. Grymas na twarzy córeczki wskazywał jednak, że nie interesowało jej to, co rodzic miał do powiedzenia. Z pewnością chodziło o jakieś zabawki, gdyż w witrynie za nimi poustawiane były lalki, misie i różne gry planszowe.

Hahaha – zachichotał ponownie grubas. Nie mógł się powstrzymać, kiedy przechodził obok młodego chłopaka, który stanął zakłopotany na środku chodnika. Wyraz jego zmieszanej i zaskoczonej twarzy był identyczny jak wyraz mordy jego psa, który znieruchomiał w momencie załatwiania potrzeby.

– Gdzie ten skubaniec to pomieścił? – drapał się po głowie, podziwiając wielkość psich odchodów.

Natomiast facet po drugiej stronie ulicy zatrzymał się podczas joggingu. Miał na sobie niebieską koszulkę na ramiączkach i bardzo krótkie czerwone szorty. Jedną nogę miał poniesioną do góry, a jej kolano tworzyło kąt prosty. Opierał się tylko na drugiej nodze, a dokładnie na samych palcach. Długie białe skarpetki kończyły się zaraz pod kolanami. Na głowie miał założoną niebieską opaskę oraz duże gąbczaste czarne słuchawki od walkmana. Samego walkmana natomiast trzymał w lewej ręce, tuż obok podniesionego kolana.

Andy podeszła do niego.

– Co ty robisz? Musimy iść! – podniósł głos BB.

– Czekaj! Zawsze chciałam to zobaczyć! – przybliżyła głowę do walkmana.

– Później ci pokażę co i jak, skoro tak bardzo się tym interesujesz, chodź już! – zażartował Ice.

Andy odwróciła się gwałtownie w jego stronę. Podekscytowana zapytała:

– Masz walkmana? On przecież dopiero wyszedł w tamtym roku!

– Aaaaa, o to ci chodzi! Sorry, myślałem, że patrzyłaś na to, co jest... obok walkmana – odpowiedział rozbawiony.

Andy, zmieszana, obróciła się z powrotem w stronę zamrożonego w

biegu mężczyzny. Schyliła się i zerknęła w miejsce, o którym mówił Ice.

– WOW! – odskoczyła na metr na widok wystającego spod krótkich spodenek zwisającego jądra.

– Haha, musiało mu wypaść! Tak to jest, jak się biega w za dużych majtorach! – zaśmiał się Ice.

– Ty głupku! – Andy uderzyła go lekko w ramię, uśmiechając się przy tym ukradkiem. Spodobał się jej jego żarcik i poczucie humoru.

Przechodząc obok tych wszystkich ludzi i zwierząt zatrzymanych w miejscu, czuli się bardzo dziwnie. Czuli się obserwowani. Mieli nieodparte wrażenie, że ktoś na nich ciągle patrzy. Ale nie byli pewni, czy to ci zastani ludzie czy może ktoś inny. Przerażało ich to. Nie zaprzestali również poszukiwań rudego kolegi.

BB rzucił okiem za siebie. Jersey był oddany jakiejś bardzo ważnej rozmowie ze swoim bratem. Tak mu się przynajmniej wydawało po tym, jak wymachiwał rękami, intensywnie gestykułując. Wiedział, że to był jego moment na wykonanie ruchu. Musiał spróbować.

– Dlaczego tak ciągle patrzysz w niebo, Maggie? Ta jedna, wielka, szara, gęsta chmura nie zmieniła się od czasu, kiedy ją po raz pierwszy zobaczyliśmy.

Popatrzyła na niego groźnie i wróciła wzrokiem do góry.

– No nie bądź taka. Powiedz coś. Dalej jesteś na mnie zła?

Znów uraczyła go niezbyt radosnym spojrzeniem.

– Naprawdę, przepraszam. Zawaliłem wtedy. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym cofnąć czas. Wiem, że zawiodłaś się na mnie, ale...

– Nie ma ich – przerwała mu.

– Słucham?

– Ptaków, nigdzie na niebie nie ma ptaków – zauważyła.

BB wybałuszyl oczy w jej stronę, czekając na rozwinięcie myśli.

– Cały czas próbuję wysunąć jakąś teorię na temat tego, co się wokół nas dzieje. Brak ptaków na niebie oznacza, że – po pierwsze, zostały również dotknięte tym, co cała reszta. Po drugie – siła grawitacji dalej na nas oddziałuje, czyli kula ziemską normalnie się obraca, a układ

zakrzywienia czasoprzestrzeni przez oddziałujące na siebie materie nie uległ znaczącej zmianie. Ptaki znieruchomiały w powietrzu i po-  
spadały pewnie na ziemię. Musi to być jakiś wirus lub coś, co wpływa  
na naszą budowę molekularną. A może jesteśmy zatrzymani w cza-  
soprzestrzeni? Nie to byłoby niemożliwe... a może jednak?

BB, kiwając głową w górę i w dół, udawał, że rozumiał, o  
czym ona mówiła. Chociaż jedynie, co do niego docierało, to fakt,  
jak ona pięknie porusza swoimi czerwonymi, pełnymi, seksownymi  
ustami. Zatracił się na chwilę, marząc o ponownym pocałowaniu  
tych warg. Jej usta ciągle się poruszały, podczas gdy jej duże czarne  
oczy mrugały wolno. Uśmiechnął się.

- Czemu się uśmiechasz? – Maggie przerwała jego rozmarzania.
- No... Wiesz, widzę, że jesteś w swoim żywiole, znaczy cieszę się, że  
wymyśliłaś taką ciekawą teorię – odpowiedział, próbując wybrnąć z  
krępującej sytuacji.
- Nieważne. Tak czy inaczej ratusz jest już przed nami – pokazała  
palcem na tonący w mgłę ceglany budynek.
- Ej, to Red! – niespodziewanie krzyknął Piguła. Po czym rzucił się  
biegiem przed siebie.
- Gdzie? Co? – odezwał się zszokowany BB.
- Chodźcie za nim, mam tylko nadzieję, że nie dostał jakichś halucy-  
nacji od tego zatrucia – skomentował Ice.

Grubasek kierował się w stronę wąskiej alejki wychodzącej  
na zewnątrz rynku. Pędził niczym rozjuszony słoń. Reszta próbowa-  
ła dotrzymać mu kroku. Był naprawdę szybki.

To już drugi raz, kiedy robi nam taki numer – pomyślał Jersey.  
Biegli za Pigułą, starając się nie zgubić go w gęstej mgłę. Stanęli nagle  
przed masywną ceglana ścianą. Znaleźli się w ślepej uliczce.

- Co jest??
- A nie mówiłem? Wiedziałem, że ma haluny – skwitował Ice.
- Tłuscioszek szybko odwrócił się, złapał mniejszego od siebie chło-  
paka za szyję i przyparł go do muru:
- Nie miałem halucynacji, widziałem go, jak wchodził do tej uliczki!  
Nie rób ze mnie wariata, poza tym mam dość twoich durnych docin-

ków!

– No dawaj, uderz mnie! Zaczynij, ja też mam serdecznie dość ciebie i twoich dumnych popisów i wyglupów! Z chęcią skopię ci to grube dupsko!

Oczy obu chłopców zapłonęły nienawiścią. Już mieli się pobić, kiedy Andy zapytała:

– Ej, a gdzie jest ten Bolek, Borys, znaczy się... Boogie? Jest nas tylko sześcioro.

– Boogie! – wrzasnął Jersey i ruszył pędem w stronę ratusza.

Dotarwszy na miejsce, rozejrzał się we wszystkie strony.

BOOGIE!!! – krzyczał tak głośno, jak tylko płuca mu pozwalały. Bezskutecznie. Jedyłą odpowiedź, jaką usłyszał, to echo własnego głosu.

– Co jest grane? Kto go widział po raz ostatni?

– No, ja pamiętam, że stał koło mnie, kiedy ruszyliśmy za Pigulą – powiedziała Andy.

– Przecież nie wyparował! – podniósł głos Jersey.

AaaaAAAAA!!! – Maggie niespodziewanie pisnęła z całych sił, a jej krzyk stawał się coraz głośniejszy. Wszyscy podbiegli szybko do dziewczyny. Jersey złapał ją i przytulił do siebie, starając się ją uspokoić.

– Boo... Boogie? – zapytał niepewnie Ice na widok stojącej we mgle sylwetki ich przyjaciela.

– Czy to on?... – zapytała drżącym głosem Andy.

– Chyba tak... – odpowiedział jej BB.

Ice podszedł do kolegi, i kiedy popatrzył na niego z bliska, był już całkowicie pewny. Chłopak stał zamrożony niczym figura woskowa. Znajdował się w identycznym stanie jak wszyscy ludzie, których dotychczas spotkali. Zatrzymał się w momencie, kiedy coś ewidentnie mocno go wystraszyło. Zarówno jego oczy, jak i usta były szeroko otwarte. Głowę miał odchyloną do tyłu. Jego wyciągnięte przed siebie ręce wskazywały, że starał się przed czymś bronić.

– Boogie! Nie rób sobie jaj! – Jersey podszedł do niego i strzelił go z liscia w twarz.

- Co ty robisz?! Zglupialesz? – Maggie uniosła głos.
- Yyyyy, chciałem tylko sprawdzić. Przecież wiesz, że czasami stroi sobie żarty – odpowiedział i kiedy popatrzył na miny wszystkich zgromadzonych wokół, zdał sobie sprawę, że nie postąpił zbyt ładnie.
- Idź stąd! Ice, weź go stąd, proszę – Maggie podeszła bliżej do bujnowłosego kolegi. Przyłożyła mu dwa palce do szyi i sprawdziła tętno. Następnie zbadala jego źrenice. Zwróciła też szczególną uwagę na łzy, które spływały mu ciurkiem z jednego oka.
- No i jak, Maggie? – zapytał BB.
- Dziewczyna odwróciła głowę w jego stronę, popatrzyła smutnym wzrokiem, następnie zerknęła na Ice'a i Jersey'a. Jej odpowiedzią było tylko powolne kręcenie głową na boki.
- Żyje? – zapytał w końcu Ice.
- Tak.
- Ufff – westchnął z ulgą.
- Ale jest w takim samym stanie jak reszta. Zahibernowany, wyłączony, uśpiony – jakkolwiek można to nazwać. Jego puls jest bardzo wolny, a po policzkach spływają mu łzy.
- Dlaczego spływają mu łzy i dlaczego wygląda na tak wystraszonego, jakby zobaczył nagiego Pigulę? – zapytała Andy.
- To nie jest śmieszne! – uniosła się Maggie.
- Nie starałam się być śmieszna – westchnęła.
- Mam tego dość! Biegnijmy do tego ratusza i zadzwońmy do bazy. Red mógł mieć rację, to może być jakaś ruska broń chemiczna – powiedział Ice.
- Patrzcie tam, widzicie? – Piguła wskazał palcem na tłum zatrzymanych ludzi.
- Co mam widzieć, dopiero co tam byliśmy, koło tego gościa z wiszącym...
- Andy, popatrz dokładnie! – przerwał jej.
- Wszyscy wyteżyli wzrok. W grupie stojących, otulonych mgłą przechodniów coś się poruszyło.
- Co to jest? – zastanawiała się Maggie.

Trudno było dojrzeć jakiegokolwiek detale z odległości tych stu metrów.

Coś się tam jednak ruszało.

– Może to Red? – zapytał BB.

– Biegniemy tam? – rozważał Jersey.

– Lepiej to sprawdźmy – powiedział Ice.

Cała trójka bardzo powoli i ostrożnie ruszyła przed siebie. Nie chcieli robić więcej hałasu.

– Wy zostańcie tutaj, my to sprawdzimy – powiedział półszepem Jersey.

Piguła już chciał zaprotestować, ale BB jednym gniewnym spojrzeniem wybił mu ten pomysł z głowy.

Wolnym krokiem zbliżali się do niewielkiego skrzyżowania.

Na przejściu dla pieszych zauważyli czwórkę zastygniętych w szerokim kroku mężczyzn. Wyglądali trochę jak z okładki Beatlesów.

Tuż za nimi na chodniku znajdowała się grupka zatrzymanych w rozmowie starsuszków.

– To tutaj – poruszył bezgłośnie ustami Ice, na co Jersey i BB skinęli głowami. Zaczęli rozglądać się dookoła, szukając jakiegoś ruchu lub tropu.

– Może faktycznie był tam Red? – zastanawiali się. Nie poddawali się. Szukali dalej.

Usłyszeli jakiś hałas.

Dźwięk szkła uderzającego o płytę chodnikową. Zaraz po tym zauważyli turlającą się w ich kierunku niewielką butelkę. Śledząc oczami tor, który pokonała, zatrzymali się przy stojącej w odległości dziesięciu metrów sylwetce wysokiego mężczyzny. Stał sam. Nie zatrzymał się w ruchu jak większość ludzi wokół. Jego długie chude nogi były blisko siebie. Ręce rozłożone miał na boki, a głowę spuszczoną w dół. Nosił ubranie szarego koloru.

– Halo? Jest tam ktoś? – zapytał Jersey, lecz nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

– Proszę pana, słyszy nas pan? – dodał BB.

– On również jest zatrzymany – pokręcił głową Ice.



Jersey nie dawał jednak za wygraną. Coś mu nie pasowało w sposobie, w jaki tamta postać stała. Postanowił podejść bliżej. Wystarczyło, że zrobił kilka kroków, a serce zaczęło walić mu jak szalone.

– On się rusza – powiedział.

– Co? – odpowiedzieli na raz BB i Ice.

Wpatrująca się w ziemię, duża lysa głowa zaczęła się powoli unosić. Przyozdabiała ją, duże, czarne, jajowate okulary. Twarz nacechowana natomiast była małym nosem, niewielkimi uszami oraz praktycznie niewidocznymi ustami. Nie wiedzieli, czy to przez mgłę, ale cera tegoż jegomościa była blada jak najjaśniejsza ściana.

– Proszę pana, jak to dobrze, że jest tu jeszcze ktoś inny – odezwał się Jersey.

Postać wyprostowała się i przyglądała stojącym naprzeciw chłopcom.

– Nie wie pan, gdzie możemy skorzystać z telefonu? – zapytał BB.

Znów nie doczekali się żadnej odpowiedzi. On sam zaczął natomiast kręcić głową, jakby z niedowierzaniem.

Chłopaki popatrzyli na siebie, ale nie wiedzieli, co robić. BB postanowił zaryzykować i podszedł na odległość kilku metrów.

– Proszę pana, mieliśmy wypadek, potrzebujemy pomocy. Musimy wykonać bardzo ważny telef... – nie dokończył zdania, gdy zauważył stojącą obok osobę. – Red? – zapytał po cichu. Zrobił dwa kroki do przodu i już wiedział, że stał tam jego kolega. Specyficzna cętkowana podkoszulka momentalnie rzuciła mu się w oczy. To musiał być on.

– Tam stoi Red! Chodźcie!

– Zaczekaj. Coś mi tutaj nie pasuje – zauważył Jersey.

– Ale gadasz głupoty. Cykasz czy co? Chodźmy po niego.

– Popatrz. On się nie rusza – BB przystanął i spojrzal na stojącego we mgłę przyjaciela. Faktycznie nie mógł dostrzec żadnego ruchu z jego strony. Postanowił więc to sprawdzić i zawołał:

– Red! Stary! Jak tam? – nikt mu jednak nie odpowiedział. – Redzio! Przyjacielu? – spróbował raz jeszcze. Znów bez odzewu.

Przelknął nerwowo ślinę. Zmrużył oczy, próbując skoncentrować się na twarzy stojącego obok mężczyzny. Momentalnie zbladł

i stawiając krótki krok do tyłu, zaczął się wycofywać.

– Co jest, BB? – zapytał Ice.

– Spier...dzielamy stąd – odpowiedział przestraszonym głosem. – To pułapka... To nie są okulary...

– Co? Jakie okulary? – dopytywał się Jersey. Dopiero po chwili zrozumiał, o co mu chodziło. Wrócił wzrokiem do tajemniczego mężczyzny i przyjrzał mu się dokładnie.

Leżące na jego nosie owalne okulary okazały się tak naprawdę wielkimi, błyszczącymi, mrugającymi czarnymi oczami. Wiedział już wtedy, że ktokolwiek lub cokolwiek przed nimi stało, nie był to człowiek. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, postać nagle uśmiechnęła się szeroko i wskazała palcem prosto na nich. Z zamglonego tłumu za jego plecami wyłoniły się trzy bardzo wysokie szare postacie. Wyglądały jak przerażające żywe cienie. Poruszały się w dziwny sposób, jakby w zwolnionym tempie. Ich długie ręce zwisały równoległe do ciała, a nogi w ogóle się nie poruszały. Mimo tego jakimś cudem przesuwały się w ich stronę.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, wzięli nogi za pas i ruszyli pędem przed siebie. Dziewczyny oraz Piguła stali daleko od nich, nie wiedzieli więc, co tak naprawdę zaszło. Całe to miejsce zasłaniała mgła. Gdy zobaczyli pędzących na złamanie karku kolegów, trochę ich to zdziwiło, ale kiedy w zasięgu ich wzroku pojawiła się trójka szarych dziwnych postaci, szybko zrozumieli, że są w niebezpieczeństwie.

Maggie zapiszczała z przerażenia.

– Tędy! Do ratusza! – krzyknął Jersey.

– Jakim cudem... oni... AAAAAA... lewitują? – panikował Piguła.

Podbiegłszy do głównych drzwi, zastali je zamknięte. Piguła i BB chcieli je wywarzyć, lecz były zbyt ciężkie. Odbili się od nich, uderzając o ziemię. Obok wejścia po obu stronach znajdowały się schody prowadzące na niewielki balkonik. Pobiegli nimi. Były tam mniejsze drzwi.

Ciemnoszare postacie zbliżały się coraz szybciej. Słyszeli już ich ciężkie sapanie.



– Na trzy! Raz, dwa, TRZY! – rzucili się razem na drzwi, wywarzając je.

Wpadli do dużego pomieszczenia.

– Są tuż za nami! Szybko! – panikowała Andy.

– Widzicie jakiś telefon? – zapytał biegający w kółko po pokoju Ice.

– Nie bardzo! Nie! Nie ma!

– Oni mieli Reda! – zawołał BB.

– Jak to mieli Reda? – zapytała Andy.

– Zrobili z nim to samo, co z Boogiem. Użyli go jako przynęty na nas!

– O Boże! Kim oni są?!

– Chyba nie ludźmi. Szybko, idziemy! – Jersey ruszył przed siebie.

Wyszedł z pomieszczenia i wbiegł do długiego korytarza. Większość drzwi była zamknięta, dopiero na samym końcu natrafił na otwarte.

– Telefon! Ale szczęście!

Podniósł słuchawkę. Zacisnął kciuk, w nadziei, że usłyszy sygnał.

Głucha cisza. Zepsuty. Uderzył nerwowo słuchawką o stolik.

– Co teraz zrobimy? – zapytała przerażona Andy.

– Jesteśmy w pułapce, wszystko jest pozamykane – odpowiedział

Jersey.

– Chowanie się nie wchodzi w grę, oni wiedzą, że tu jesteśmy.

– Musimy przedrzeć się do bazy. Nie ma innej opcji.

Coś zwróciło ich uwagę. Popatrzyli na siebie. Usłyszeli to przerażające sapanie, tyle że tym razem znacznie głośniej.

– Za mną! – krzyknął heroicznie Piguła, po czym ruszył w stronę dużych niebieskich drzwi. Rozpędzony, zakrył twarz rękami i skoczył na nie całym swym ciężarem. Łupnął głową solidnie. Tępy dźwięk odbił się echem po całym budynku. Niefortunnie. Drzwi nawet nie drgnęły. On natomiast zatrzymał się na nich niczym przyklejony.

Zsunął się na ziemię, tracąc przytomność w momencie uderzenia.

Byli uwięzieni. Zebrali się w rzędzie, zasłaniając biednego grubaska.

Troje szarych, wysokich na dwa metry postaci weszło do budynku. Nie tylko słyszeli ich obrzydliwe syczenie, ale również widzieli, jak się poruszają. Dłgie chude ręce zakończone spiczastymi,

ostrymi palcami zwisały do wysokości kolan. Przeróżnie chude nogi lewitowały nisko nad ziemią, zwrócone czubkami palców do podłoga. Ich ciemnoszare, wąskie tułowia wydawały się lekko połyskiwać. Dopiero, gdy się zbliżyli, zrozumieli, że to nie ich kombinezony, ale naturalny odcień skóry. Łyse głowy były nieproporcjonalnie większe od reszty ciała. Przypominały wielkie balony, zwężone przy szyi i poszerzające się ku górze. Oczy były tak duże, że zajmowały większą część twarzy. Zamiast nosów mieli dwie małe trójkątne dziurki. Nie posiadali uszu. Przesuwali się w odległości jednego metra od siebie, tarasując drogę na wypadek, gdyby któryś z nastolatków chciał czmychnąć.

Zbliżywszy się na odległość dwóch metrów, zatrzymali się. Wpatrywali się w grupkę nastolatków, od czasu do czasu łapiąc i wydychając w ohydny sposób powietrze.

– Co zrobiliście z Redem i Boogiem? – zapytała drżącym głosem Andy.

Żaden z nich nie zareagował, po prostu unosili się w powietrzu i milczeli.

– No co?! – wrzasnęła dziewczyna.

Jeden z nich wysunął błyskawicznie rękę, łapiąc Andy za gardło. Tak szybko, że nikt nawet nie zauważył tego ruchu.

– Puszczaj ją, skur... – rzucił się niego Ice. Kiedy leciał w powietrzu z mocno zaciśniętą pięścią nawet nie wiedział, z której strony go trafiło.

Druga postać uderzyła go bokiem swojej chudej ręki z taką siłą, że przywalił o ścianę. Andy próbowała wyswobodzić się z żelaznego uścisku. Blokował jej dostęp do powietrza. Dusila się.

BB, nie czekając ani chwili dłużej, ruszył do przodu. Był niewiarygodnie szybki. Zdolał ominąć jedną próbę uderzenia oraz schylić się, kiedy nadlatywał kolejny cios. Jego pięść sunęła prosto w wielkie oko potwora. Był tak blisko, kiedy stojący po lewej stronie Szarak zgarnął go swoją ręką. Walnął mocno w ścianę.

– Stójcie! – krzyknęła Maggie. Długa szara ręka już kierowała się błyskawicznie w jej stronę. Jersey zasłonił ją swoją piersią. Jedna koń-

czynna uderzyła go tak potężnie, że poczul, jakby dostał młotem. Druga chwyciła go za gardło. Został przyciągnięty na odległość kilkunastu centymetrów do dzbanowatej głowy. Widział przed sobą ogromne czarne oczy.

Trzymający go Szarak coś zapiszczał i zazgrzytał, na co drugi wypuścił już prawie siłą Andy na ziemię. Upadłszy, desperacko próbowała nabrać powietrza. Maggie zaryzykowała i podbiegła do niej. Stojący po lewej wysoki przybysz szybko posłał długą rękę prosto w jej ramię. Uderzyła o ścianę. Straciła przytomność.

Cała trójka złowieszczo lewitujących postaci zbliżyła się do siebie i skupiła uwagę na Jerseyu. Środkowy Szarak trzymał go, podczas gdy poboczni wyciągnęli długie ręce i przystawili je do jego twarzy. Zakończony jak szpikulce palce mierzyły przynajmniej dwadzieścia centymetrów. Wyprostowali się. Wysunęły się z nich długie, przezroczyste, cieniutkie igły. Chłopak usłyszał kolejny dziwny dźwięk. Komunikowali się.

Dwie igły celowały prosto w jego oczy.

Jersey zaczął się szamotać i panikować. Nie mógł wyswobodzić się z tego stalowego uścisku. Ostra, cienka igła sunęła w kierunku jego oka. Zamknął je, próbując w ten sposób się osłonić.

Nadaremnie. Poczul przeszywające ukłucie. Powieka się podniosła. Oko zostało przebite przez igłę. Druga kierowała się już bez przeszkód w jego stronę.

Prerażony czekał. Nagle straszliwie głośny hałas przeszedł przez jego głowę. Przypominał ostre zgrzytanie paznokciem po tablicy, i to przy akompaniamencie ścierania tępą żyletką brudnej patelni. Skręciło go. Krzyknął. Lecz tylko we własnej głowie, jego usta nawet nie drgnęły. Był sparaliżowany. Igła weszła w jego oko. Wzrok całkowicie mu się zamazał.

Sylwetki trzech oprawców rozplywały się w ciemności. Przerazający dźwięk nabierał na sile, stając się trudny do zniesienia. Coś zatrzeszczało, żeby za chwilę zazgrzytać gdzieś w środku głowy, tuż za oczami. Był bezsilny. Bezradny. Niczym schwyte zwierzę, skazane na tortury z ręki bandy naukowców.

Coś zatrzeszczało. Upadał na ziemię. Jak w zwolnionym tempie, jego głowa odbiła się od podłogi, podskakując kilkakrotnie. Puścili go. Nie wiedział, dlaczego. Nie widział detali, jedynie zamazane, kontrastujące ze sobą, jasne i ciemne kształty. Czyżby stanęli tyłem? Kto tam jest? – zadawał sobie pytania, zwijając się z bólu.

Trójka bezlitosnych istot przybrała nagle bojową postawę. Coś weszło do pomieszczenia. Coś bardzo niskiego. Coś, czego bardzo się bali. Zaskrzeczało. Huknęło. Zaświszczało. Wybiegli przez drzwi, które próbował wcześniej wywarzyć Pigula. Ktoś bardzo niski szedł w kierunku Jersey.

– Czy to dziecko? – pytał w myślach, po czym zemdlął z wycieńczenia.

## Rozdział 7

### Pierwsza bitwa

– Jersey... Jersey... słyszysz?

– Jersey! Daj nam jakiś znak! – krzyczeli nad leżącym na podłodze kolegą. – Cholera, całe oko ma we krwi, co mu się stało? – przeżywał przejęty Piguła.

– Jersey! Dawaj, wiem, że żyjesz... – mówiła drżącym głosem Maggie.

– Chyba się poruszył – szepnął Ice.

Jersey zamruczał pod nosem. Ruszył powoli głową. Otworzył jedno oko.

– Co się dzieje? – zapytał bardzo cicho.

Kręcił głową we wszystkie strony, patrząc na stojących nad nim kolegów.

– Ice... – powiedział do brata.

– Słucham cię...

– Dlaczego grubas ma nos na czole? – zapytał Jersey.

Ice odwrócił głowę i zaskoczony pytaniem, spojrzął na jeszcze bardziej wstrząśniętego tłuszciocha.

– To nie nos. On nabił sobie guza. Pamiętasz, jak chciał wywarzyć drzwi?

– A, no tak. To w niebie też ma się guzy?

Popatrzyli znacząco na siebie. Powoli zaczęli niepokoić się o jego stan.

– Jakim niebie?

– No, w niebie, widzę przecież anioła o czarnych włosach. Stoi nade mną – uśmiechnął się.



- O, ty! Nie myśl, że mnie weźmiesz na to! – Maggie podniosła głos jednocześnie się przy tym uśmiechając. – Cieszę się, że nic ci nie jest
- czule przytuliła leżącego kolegę.
- Coś ci... Yyy... Twoje...
- Oko. Wiem, pamiętam... – przerwał bratu. – A wam nic nie jest?
- Mocno oberwaliście...
- Spokojnie, jesteśmy cali i zdrowi, mieliśmy dużo szczęścia – potwierdził BB.
- Kim były te postacie? Jakim cudem jesteśmy cali? – zapytała Andy.
- No właśnie, co to, kurde, było? To jakieś stwory? – dorzuciła Maggie.
- One były ohydne! Jeszcze ten okropny sposób, w jaki się poruszały, ble... Naprawdę mnie przeraziły te, te... Szaraki! – wrzasnęła Andy.
- Szaraki?
- No, a jak inaczej ich nazwiesz? Co, BB?
- Ktoś nas uratował – przerwał im Jersey.
- Jak to? Kto? Był tam ktoś jeszcze? – pytali wszyscy jednocześnie.
- Dużo nie widziałem, ale gdyby nie ten ktoś... moglibyśmy źle skończyć.
- Ale kto to był? Musiałeś coś widzieć – zapytał spokojnie brat.
- Jedyne, co widziałem, to że była to dość niska postać. Weszła do budynku, a ci sku... znaczy się... te stwory uciekły... A! – złapał się za twarz, urywając w połowie zdania.
- Musimy zrobić coś z twoim okiem, żeby nie wdało się jakieś zakażenie, musimy coś wymyślić – powiedziała Maggie, przyglądając się dokładnie zalanemu czerwienią oku.
- Chyba mam coś odpowiedniego – grubasek zanurkował głową w plecaku.
- Co ty tam możesz mieć? Przecież nie nałoży na głowę kanapki z pasztetem, co nie? – dokuczał mu sarkastycznie Ice.
- To! – wyciągnął z plecaka czarny okrągły kawałek materiału przewieszony na gumce.
- Opaska na oko? Skąd ty to masz? – zapytała Maggie.

– A mam! Chcecie czy nie?

Ice zrobił głupią minę, wyraźnie żalując tego, co wcześniej powiedział.

– Dziękuję – Maggie wzięła od niego przepaskę i przewiesiła Jerseyowi przez głowę.

– Zbyt duży wojskowy mundur i do tego przepaska, teraz wyglądasz jak prawdziwy weteran, bracie – uśmiechnął się Ice.

– Ludzie! Jaja sobie robicie?! Pierdzielicie jakieś głupoty pod nosem, kiedy Boogie został sparaliżowany, a Red porwany. Poza tym, w mordę! Zostaliśmy właśnie pobici przez trzech wysokich Obcych rodem z jakiegoś filmu *science fiction*! O co, do cholery, chodz... – niespodziewany świst sprawił, że krzycząca Andy zatrzymała się w pół słowa.

Jasne światło wpadło przez otwarte drzwi wyjściowe. Oslupieli. Nikt nie chciał wykonać pierwszego kroku, nie byli pewni, co mogą zastać na zewnątrz. Po zdarzeniu, którego przed chwilą doświadczyli, najzwyczajniej w świecie bali się.

Maggie chwyciła dłoń osoby stojącej tuż obok niej. Potrzebowała wsparcia. Po chwili zrozumiała, że bardzo dobrze zna dotyk tej skóry.

Popatrzyła w prawo. BB wpatrywał się w nią bardzo zaskoczony. Stali tak przez chwilę do momentu, aż Piguła odważył się ruszyć z miejsca i wyjść na zewnątrz. Wtedy puściła jego rękę i udawała, że to była zwykła pomyłka. BB nie był tego taki pewien – ten prosty gest rozbudził nadzieję w jego zakochanym sercu.

– Musicie to zobaczyć... – powiedział Piguła drżącym głosem.

Ostrożnie wyszli na zewnątrz i stanęli na niewielkim balkonie. Patrząc przed siebie, ujrzeli ciemne, prawie czarne chmury, pod którymi rozgrywało się coś, czego nikt z nich jeszcze nie uświadczył. Prawdziwa bitwa powietrzna.

Wybuchy rakiet oraz strzały z działek maszynowych rozświetlały zachmurzone sklepienie. Dwa różne rodzaje maszyn próbowały się zestrzelec. Ogromne srebrne dyski gonili za mniejszymi czarnymi trójkątnymi samolotami. Poruszały się tak szybko, że ledwo

mogli za nimi nadażyć wzrokiem. Metaliczne talerze próbowały schwytać je w snopy złotego światła, a trójkąty odpowiadały seriami rakiet. Wzlatywały nad chmury i nurkowały pod nie. Czarne statki miały wyraźną przewagę liczebną nad talerzami, było ich dziesiątki. Jeden spodek złapał w słup światła trójkątny pojazd, który próbował właśnie wykonać unik. Przechwyciwszy go, zatrzymał się w miejscu. Snop światła zmienił się w wielką złotą kulę i doprowadził schwytanego statek do eksplozji. A raczej do implozji, ponieważ cały wybuch został pochłonięty przez świetlistą kulę i wessany do środka spodka.

Eskadra trójkątnych myśliwców, wyleciawszy z nad chmur, ostrzelała niespodziewanie jeden z talerzy, wywołując serie potwornie jasnych błysków na jego powierzchni. Chmury podświetlały się na żółto i pomarańczowo od latających za nimi jasnych słupów światła.

– Czy ja dobrze widzę? Wasze samoloty walczą z tymi srebrnymi dyskami? – zapytał BB. – Jednak na coś ta wasza armia się przydała!

– Cholera, nie wiedziałem, że macie taki sprzęt! – Piguła otworzył usta, całkowicie pochłonięty niecodziennym widokiem.

– No właśnie... nie mamy – odpowiedział cicho zaskoczony Jersey. Nie mógł uwierzyć w to, co rozgrywało się przed jego oczami. Ojciec nieraz opowiadał mu o prawdziwych bitwach powietrznych, w których sam uczestniczył, pomagając ONZ. Uwielbiał jego opowieści, lecz nigdy nie wyobrażał sobie, że prawdziwa bitwa może wyglądać tak fascynująco. Starł się wylapać wzrokiem zwinne czarne statki, ale mimo ogromnego skupienia nie był w stanie ich rozpoznać.

– Jak to nie macie? To kto walczy z kim? – zapytała Andy.

– Nie mam pojęcia... No chyba, że to jakieś prototypy, których wcześniej nie mogliśmy zobaczyć.

– Zauważyliście, że w miejscu, w którym oni latają, nie ma mgły? – zapytał BB.

– Eksplozje oraz silniki muszą emitować znaczące ciepło, które ją skropiło, poza tym popatrz, jak oni latają, musieli też ją trochę rozwiać – odpowiedziała Maggie.

– Wow, ale eksplodował! – krzyknął grubasek na widok wybuchają-

cego czarnego statku powietrznego. Niespodziewanie kolejny przedarł się przez wiszącą w powietrzu chmurę dymu i śmignął tuż nad ich głowami. Ryk silnika sprawił, że ziemia zatrzęsa się im pod nogami. Zaraz za nim pojawił się ogromny talerz. Lecąc tuż nad ratuszem, zatrzymał się nad nimi. Uruchomił żółte światło, kierując je na stojącą poniżej grupkę nastolatków. Przerazili się, lecz nie na długo, gdyż kolor zmienił się na biały i pojazd ruszył dalej.

– Co... Co to było? – zająknął się Ice.

– To te same maszyny, które widzieliśmy w lesie – zauważyła Andy.

– Ciekawe, dlaczego zatrzymał się nad nami? – zastanawiał się Ice.

– Nie wiem, ale przeraża mnie to wszystko – dodała Maggie.

– Myślę, że powinniśmy stąd zwiewać – zaproponował cały roztrzęsiony Piguła.

– Tak, też tak uważam – przytaknął mu Jersey.

– Zastanawiam się nad jedną rzeczą... Bo skoro te dwa rodzaje maszyn walczą w przestworzach, to dlaczego nie dołączą do nich nasze F-5 i A-10 Thunderbolty? – Ice zadał pytanie, nie doczekał się jednak odpowiedzi.

– Jersey, jak myślisz? Czemu nic nie mówisz?

– Myślę, że musimy jak najszybciej dotrzeć do bazy i się przekonać – odpowiedział.

– Widziałeś kiedyś takie maszyny? Kto to może być?

– Nie mam pojęcia i to mnie martwi, wiem tylko, że nie możemy tutaj zostać, Ice.

– Chodźmy zatem, szkoda czasu, musimy sprawdzić tę waszą bazę i zobaczyć, czy wszystko jest w porządku z moim ojcem – BB machnął ręką i zawrócił do środka.

Ice popatrzył na brata, a później jeszcze raz na niebo. Jersey poklepał go po ramieniu i również wszedł do wnętrza ratusza. Cała reszta podążyła za nimi.

Dziewczyny postanowiły poszukać trochę wody. W jednym z pomieszczeń natknęły się na małą łazienkę i kran, ale niestety nic z niego nie leciało. Musiały obejść się smakiem. Pragnienie coraz bar-

dziej im dokuczalo, w końcu nie pili niczego od dobrych paru godzin, a wysoka temperatura nie spadała.

Po kilku minutach odpoczynku opuścili piękny budynek, zostawiając go z wyważonymi drzwiami z obu stron. Ruszyli z powrotem w kierunku, z którego przybyli. Zanim jednak oddalili się od miasteczka, zatrzymali się raz jeszcze przy Boogiem i stojącym trochę dalej Redem.

Piguła wraz z BB wzięli rudego kolegę na ręce i przenieśli go bliżej. Postawili obok bujnowłosego wysokiego Amerykanina.

– Red, ty wariacie. Po co poleciałeś do drzwi? Gdybyś tam nie poszedł, nie zostałbyś sparaliżowany – BB mówił do zastygniętego kolegi.

Red zatrzymał się w ruchu. Jego usta i oczy były szeroko otwarte.

Prawe oko miał całe mokre z powodu wypływających z niego łez.

– Po co zgrywałeś bohatera? Nie wiem, co się dzieje i nie wiem jeszcze jak, ale obiecuje, że cię uratujemy, stary – ciemnowłosy chłopak położył rękę na ramieniu zastygniętego Reda.

– Czy oni żyją? Nic im nie będzie? – zapytał Piguła.

– Obaj mają stabilny i bardzo wolny puls. Żyją, ale w jakim są dokładnie stanie, tego nie wiem. Szczerze, to nie chcę ich tak zostawiać – powiedziała Maggie.

– Nie mamy wyjścia. Musimy dotrzeć do bazy, i to jak najszybciej – rzekł Ice.

– Ale oni zostaną tutaj sami, opuścimy ich, ot tak?

– Myślę, że na naszym miejscu zrobiliby to samo, poza tym nie wyglądają, jakby działa im się krzywdą.

– A te szare istoty? Co, jeśli wrócą i coś im zrobią? – zapytała Andy. Wszyscy na moment zamilkli. Nikt nie spodziewał się, że to właśnie ona poruszy tę kwestię.

– Musimy zaryzykować, stojąc przy nich w niczym im nie pomożemy. Rozdzielając się, będziemy słabsi niż pozostając w grupie. Nie możemy ich zabrać, bo będą nas spowalniali. Jak dotrzemy do bazy, wrócimy tu z pomocą – wypowiedział się Jersey.

– Tak czy inaczej. Ten dziwny stwór, którego widzieliśmy. Ten biały, podobny do człowieka. Myślę, że to jego sprawka – Anglik splunął na ziemię.

– Co robimy, BB? – zapytał Piguła.

– Musimy go znaleźć i zmusić do odczarowania naszych przyjaciół.

– Odczarowania? – Maggie uniosła brwi.

– Dla mnie to wygląda jak sztuczka magiczka. Nieważne, co z nimi zrobił. Zmuszę go do tego, żeby to naprawił. Słyszeliście Jersey. Idziemy.

Krocząc martwymi uliczkami, zostawili w tyle obu kolegów. Opuszczali osnutą mleczną mgłą miejscowość Woodbridge wraz z jej wolno oddychającymi, zastanymi w bezruchu mieszkańcami.

\*

Ice ciągle oglądał się za siebie, obserwując rozblyskujące niebo. Miał nadzieję, że zobaczy jeszcze jakiś fragment tej niesamowitej bitwy.

– Chodź, skup się na drodze, bo się nam jeszcze zgubisz – zawołał idący z przodu Jersey.

Obrócił głowę z powrotem w kierunku wiejskiej drogi, wzdłuż której podążali. Otoczeni byli lasem. Zmierzała prosto do bazy w Bentwaters. Pilnowali się teraz wzajemnie, nie chcieli dopuścić, żeby ktoś podzielił los Boogiego lub Reda. Szli zamyśleni, smutni i zmęczeni.

Coś nagle huknęło nad ich głowami. Duży czarny trójkąt przemknął tuż nad drzewami. Stanęli w miejscu, bacznie nasłuchując, czy powróci.

– OK, idziemy – szepnął po chwili BB. Zrobił krok do przodu i kiedy miał już wznowić marsz, nad głową zobaczył sunący w złotym dymie srebrny dysk. Spadał bezgłośnie i subtelnie w dół, niczym opadający liść z drzewa, wolno, bokiem ześlizgując się wahadłowo na powietrzu.

Wydawało się, że gdy uderzy w ziemię, nawet nie zrobi w niej dziury. Mylili się. Kiedy był już na wysokości koron drzew, za-

czął je ścinać niczym gilotyna. Ustępowały mu miejsca, rozpadając się we wszystkie strony. Kierował się prosto na sam środek drogi. W momencie zetknięcia się z ziemią wytworzył taki impuls, że betonowa droga zrolowała się niczym dywan.

Stracili równowagę i przewrócili się na ziemię. Dysk wbił się do połowy, a słup pomarańczowego światła wystrzelił z jego spodu.

– O jasna dupa! – zakwicział Piguła.

– Uwaga! – krzyknął BB.

Nad ich głowami niespodziewanie pojawił się czarny trójkątny statek powietrzny. Lądował kilkanaście metrów od miejsca katastrofy, a około stu metrów od nich samych. Mgła nie pozwalała zobaczyć szczegółów, dostrzegli jedynie, że osiadał pionowo na ziemi niczym helikopter. Towarzyszyły mu migoczące niebieskie światła. Kiedy dotknął ziemi, górna część statku powoli podniosła się.

– To na pewno nasi, musieli ich dorwać! – wiatował radośnie Ice.

– Ląduje niczym nasz brytyjski Harrier – wskazał palcem Piguła.

Ice, zaskoczony reakcją grubaska, wywalil na niego szeroko oczy.

– No co, myślałeś, że nie znam się na samolotach, cieciu? Anglia może się poszczycić wieloma modelami samolotów, przy których wasze amerykańskie wymiękają!

– Tutaj! Halo! Pomocy! – wołała głośnie Maggie.

– Maggie, poczekaj, te światła... – Jersey starał się zatrzymać dziewczynę. Obserwując osiadający na ziemi pojazd, skojarzył jego światła z tymi samymi, przy których zginął Red.

Dwie zamazane we mgle sylwetki wychodziły spokojnie z samolotu. Krzyk Maggie zwrócił ich uwagę. Odwrócili się w ich stronę.

– Usłyszeli nas! Jesteśmy uratowani! – pisnęła Andy, po czym szybko chciała ruszyć w ich stronę. Zanim jednak zdążyła to zrobić, umięśniona ręka zagroziła jej drogę.

– Co jest, puszczaj! – warknęła.

– Poczekaj chwilkę, coś tu jest nie tak, patrz, jak oni się poruszają – powiedział cicho BB.

Para ukrytych we mgle postaci przesuwała się bliżej do grupki nastolatków, niestety nie mogli zobaczyć ruchu ich nóg czy rąk, zupełnie jakby...

– Oni... oni... oni lewitują! To Szaraki! – pisnęła w panice Andy.

Upewniła się, że to oni, gdy zobaczyła ich okropne wielkie oczy wyłaniające się z mglistej osłony.

– Świetnie! Tym razem się nie dam. Zabrałem ze sobą to! – Ice wyciągnął zza pasa metalową nogę od krzesła, którą musiał podwędzić z ratusza.

– Ja też mam coś – uśmiechnął się BB, wyjmując z plecaka Piguły toporek strażacki.

– Extra! – przytaknął Ice.

Dwójka przerażająco sapiących przybyszów zaczęła się do nich zbliżać.

– Piguła, bierz dziewczyny i uciekaj w las, my spróbujemy sobie z nimi poradzić – powiedział Jersey.

– Żartujesz chyba! Ty idź! Po pierwsze, co ty możesz widzieć na jedno oko, po drugie, nie pozwolę, żeby żaden Obcy skopał dupę twojemu bratu wcześniej ode mnie! Robin Hooood! – krzyknął bojowo, ruszając w kierunku Szaraków. Ice i BB biegli tuż obok niego.

– Robin Hood? – zapytał go w biegu Ice.

– Przecież nie będę krzychał Geronimo? To po amerykańsku! – wykrzywił usta tłuscioszek.

– Jersey, zatrzymaj ich! – chwyciła go za ramię Maggie.

– Za późno na to! Popatrz na nich – odpowiedział.

Cała trójka biegła prosto na wydających się niczym nie przejmować dwóch przybyszy. Przesuwali się spokojnie w ich stronę, nie odbierając ich w ogóle jako zagrożenie. W końcu co trójka wściekłych nastolatków mogła im zrobić?

– Ej! Szare gnioty! Patrzcie tutaj! – wrzasnął wybiegający z lasu żołnierz.

Wszyscy się zatrzymali. Szaraki zaskoczone odwróciły głowy w jego kierunku.



– Lepiej dajcie sobie buzi i uściśnijcie się mocno, bo to dla was, pedalki! – głośne strzały z karabinów rozeszły się echem po okolicy. Dwie ogromne szare głowy eksplodowały niczym przebite igłami balony.

– Tak! To dla was od Sierżanta J.! – rozległ się śmiech.

– Sierżant J? – powiedział Ice, upuszczając z wrażenie metalową rurkę.

Trójka mężczyzn wyszła z lasu. Ubrani byli w mundury koloru moro z niewielkimi naszywkami amerykańskiej flagi na ramionach. Ich twarze pomalowane były grubymi, zielono-czarnymi krechami.

Pierwszy z nich, dobrze zbudowany o średnim wzroście, miał założoną na głowę czarną bandanę i cygaro w ustach. Wyszedł dwa kroki z szeregu, po czym postawił nogę na dużym kamieniu.

– No proszę, niech mnie komar przytnie w pychę! Bracia Klikowscy! Nie-do-uwierzenia! – uśmiechnął się szeroko na widok chłopaków.

Dwójka stojących za nim żołnierzy przelożyła karabiny na plecy i zajęła pozycję tuż za Sierżantem. Ubiorem przypominali zamaskowanych wojowników ninja. Wyglądali identycznie, jak dwóch braci bliźniaków.

Imponowali wzrostem – mierzyli przynajmniej dwa metry.

– Sir! Świetna robota, Sir! Dobrze pana widzieć! – uśmiechnął się Ice.

– Co to za świr? – Piguła szepnął do ucha BB.

– Ej ty! Pączko-gębo, co tam gadasz swojej dziewczynie do ucha? – zareagował Sierżant.

– Niech pan uważa na słowa! – postawił się BB.

– Słuchaj, lalusi, nie jesteś tutaj od wydawania rozkazów. To nie jest plan zdjęciowy *Footloose 2!* – sposób, w jaki Sierżant mówił, przypominał wydawanie rozkazów. Za każdym razem, kiedy kończył zdanie, podnosił lekko głos.

– Ale ma nawalone gość... – powiedziała cicho Andy.

– Klikowski! Co ty, do cholery, zmieniasz strony? Od teraz jesteś piratem? Na co ci ta durna opaska na oko? – zwrócił się do Jersey.

– Panie Jenkins! Niech pan uważa! – warknęła Maggie.



J.

- Panienska McFarlane? Ups, proszę mi wybaczyć moje grubiaństwo, ale trochę zwariowałem ze szczęścia, a to w większości zasługa panienski ojca – odpowiedział, podchodząc bliżej do nastolatków.
- Co? Mojego ojca? Jak to? – zapytała podekscytowana Maggie.
- To długa historia, a jak widzisz, nie mamy zbyt wiele czasu, bo właśnie odstrzeliliśmy głowy dwóm bandytom.
- NIE MA PAN NAWET POJĘCIA PRZEZ CO PRZESZLIŚMY! NIECH PAN MÓWI, CO Z MOIM OJCEM! – wydarła się tak głośno, że Jersey i Andy musieli zaslonić sobie uszy w obawie, że ogłuchną.
- Spokojnie, już mówię – otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. – Na rozkaz panienski ojca transportowaliśmy ładunek specjalnie przeznaczony do odstawienia w bazie Bentwaters. Było to niedługo przed burzą. Byliśmy w niezłym pośpiechu. Mieliliśmy dość duże opóźnienie, gdyż czekaliśmy na panienski ojca. Miał coś dowieźć i wmontować do tego towaru. Nie dotarł, więc dwójka jego kolegów kazała nam szybko jechać. W trakcie transportu coś strasznie zaczęło syceć. Zatrzymaliśmy ciężarówkę. Zajrzeliśmy do środka. I BOOM! – wrzasnął, wymachując zamaszycie rękami.
- BOOM! – mrugnął okiem.
- BOOM! – mrugnął drugi raz.
- Obudziliśmy się cali uwaleni jakimś fioletowym syfem! Ależ ja byłem wściekły!
- Dwójka stojących za nim żołnierzy przytaknęła równocześnie.
- Czekali pewnie na to, co mieliśmy dostarczyć od twojego taty – szepnął Jersey do ucha Maggie.
- Wiem! – burknęła przez zęby.
- Pozbieraliśmy się szybko z ziemi i po oszacowaniu strat, które wyniosły sto procent, ruszyliśmy z powrotem do bazy, zgłosić całkowitą porażkę. Byłem bardzo wściekły – żołnierze potwierdzili, kiwając głowami. – WŚCIEKŁY. Dlaczego, panie Klikowski? – zwrócił się do Ice’a, zaciągając się przy tym cygarem.
- Yyyyy, Jezu...

– Nie jestem Jezus! Poza tym nie wzywaj imienia Pana Boga swego nadaremno, Klikowski! Za każde kolejne przyzwanie czeka cię dwieście pompek. Byłem wściekły, bo ja nigdy nie donoszę o porażkach! Ja nigdy nie przegrywam! – stanął dumnie, patrząc w niebo, po czym wypuścił dym z ust.

– Sir! Racja, Sir! – odpowiedział Ice.

Andy popatrzyła na Ice'a z lekkim uśmieszkiem. Żołnierski styl bycia chłopaka przypadł jej do gustu.

– Sir, ale dlaczego jest pan taki szczęśliwy, Sir? – zapytał Jersey.

– Prrrrrrrrr, zatrzymaj swe konie! Powoli, dochodzę do tego!

Piguła parsknął śmiechem słysząc tekst o koniach. Sierżant J. przestał mówić, obrócił głowę w jego kierunku i wolnym krokiem podszedł do niego.

– Rodzice muszą cię kochać, prawda? – zapytał łagodnie Pigulę, mrugając przy tym szybko powiekami i składając dłonie niczym rąsowy terapeuta.

Zmieszany popatrzył na wyższego od siebie, dobrze zbudowanego żołnierza.

– Zadałem ci pytanie, kolego.

– No chyba tak, tak myślę – odpowiedział lekko drżącym głosem.

– Na pewno cię kochają, masz chyba wszystko, o czym możesz zamarzyć, prawda?

– No w sumie...

– Nie do końca, kolego. Brakuje ci dwóch rzeczy, wiesz o tym, prawda?

– Yyyy, jakich rzeczy?

– Nie wiesz? – uraczył grubaską, bielusińskim, niemal oślepiającym uśmiechem.

– No... nie wiem.

– To ja ci powiem. Pokory! No i dwóch jaj! Hah! – po czym kopnął go kolanem w genitalia.

– Co pan, do jasnej cholery, robi!? – wstawił się za kolegą BB.

– To, co robi każdy prawdziwy facet, kiedy ktoś się z niego naśmiewa! – odpowiedział, zbliżając swoją twarz do BB.

- Ale to jest jeszcze dzieciak!
- Dzieciak? Nie zauważyłem, bo pyskuje jak stary! Poza tym, moi drodzy! To jest to, co chciałem wcześniej powiedzieć. Mamy wojnę!
- rozłożył szeroko ręce.

Maggie zdębiała. BB otworzył szerzej oczy. Piguła dynamicznie masował sobie bolące miejsce, a Jersey zrobił krok do przodu i spytał:

- Jaką wojnę?
  - Jaką wojnę?! Klikowski, jaja sobie ze mnie robisz?
  - Nie, Sir! – odpowiedział mu Jersey.
  - Jak ja mam uwierzyć, że taki utalentowany chłopak jak ty nie wyczul tego, co się wokół nas dzieje! Jesteśmy atakowani przez te szare ścierwa! Do jasnej cholery! – pokazał palcem na leżące resztki Szaraków.
  - Sir! Ale dlaczego jest pan taki szczęśliwy? Skoro mówi pan, że jest wojna.
  - Nie wiecie, dlaczego?
- Kręcili przecząco głowami.
- Bo to na mnie spadł zaszczyt, jakim jest obrona naszej bazy oraz was!

BB popatrzył z przerażeniem na Pigułę. Co za lunatyk z tego gościa!

- pomyślał.
- Acha. Sierżancie, czy Sir wie, kim są ci szarzy wysocy... – Ice nie zdążył nawet dokończyć. Sierżant popatrzył na niego z ukosa. Zamrugał oczami. Zaciągnął się mocno i powiedział:
- Wrogami – po czym wypuścił gęsty obłok tytoniowego dymu z ust. – Koniec tego bojcenia, idziemy sprawdzić ten srebrny złom. Takiego jeszcze nie widziałem – powiedział do dwójki żołnierzy, po czym ruszył w stronę rozbitego spodka.
- A ten czarny trójkąt? Widział go już Sierżant? – odezwał się Ice.
- Możliwe – odpowiedział tajemniczo i nie zwracając dłużej uwagi na zdezorientowanych nastolatków, oddalił się w stronę metalicznego pojazdu.
- Co to może być? – Ice zapytał brata.

– Nie wiem, ale slyszałem, że w tym tygodniu miał zjechać komitet bożonarodzeniowy.

– Nie gadaj, wszystkie szychy? Myślisz, że to nasze statki?

– A skąd ja mam wiedzieć? Może?

– A wygląda ci to na coś amerykańskiego?

– Ice, a skąd ja mam wiedzieć? Może pracują nad prototypami? Zapytajmy Sierżanta.

Zanim jednak zdążyli zadać pytanie, poczuli lekkie drżenie pod nogami. Rozejrzeli się wokół siebie, ale nic specjalnego nie zauważyli. Sierżant, niczym się nie przejmując, kontynuował marsz w kierunku ogromnego talerza. Znow zadrżało. Tym razem cały srebrny statek otoczyła nasyciona złotem aura. Sierżant przykucnął, a dwóch żołnierzy podążyło w jego ślady. Jasne światło rozbłysło wewnątrz aury, zamazując całą jej zawartość. Wibracje zaczęły się nasilać. Drżenie przeszło na ich ciała. Żółtawa powłoka jeszcze bardziej pojaśniała, powiększając swoją objętość o kilkanaście procent. Zatrzymała się w miejscu, przerywając chwilowo wibracje. Po krótkiej chwili skurczyła się szybko do wielkości czterometrowej złotej kuli i przy niskim wibrującym odgłosie wystrzeliła pionowo do góry. Wszyscy podążyli za nią wzrokiem. Ku swemu zaskoczeniu, zorientowali się, że nad ich głowami przez cały czas wisiał srebrny trzydziestometrowy talerz. Dotarwszy pod jego pokład, kula została wchłonięta do jego wnętrza. Na dole nie pozostał najmniejszy ślad po roztrzaskanym obiekcie.

– Jak to? Co, do cholery?! – Sierżant stanął jak wryty i wypuścił z ust cygaro.

– Jakie rozkazy, Sir? – zapytał jeden z żołnierzy. Wraz ze swoim kolegą celowali karabinami w stronę obiektu. – Sir? – ponowił pytanie po kilkunasto-sekundowym oczekiwaniu.

– Ty, to chyba pierwszy raz, kiedy ten oszołom widzi latający talerz, patrz, jaką ma minę. Zaraz się obsra – podśmiewał się tłuscioch, ciągle masując się po kroczu.

Srebrny dysk wisiał nad nimi, jakby obserwując całą scenę. Lewitował, nie wytwarzając żadnego dźwięku ani ruchu powietrza.

Czekał na coś.

– Sir, strzelamy czy nie? – zapytał tym razem drugi żołnierz.

– Nie! Wstrzymać się. Nie wydaje mi się, żeby miał wrogie zamiary. Mógłby zrobić z nas kebab i nawet byśmy tego nie poczuli, opuścić broń.

Sierżant patrzył uważnie na srebrzysty obiekt. Jego oczy świeciły blaskiem dziecka, które zobaczyło Świętego Mikołaja. Był podekscytowany. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Sir! A co robimy z tymi drugimi, Sir? – zapytał nerwowo podskakujący Ice.

– Jakimi drugimi? – nie spuszczał wzroku z talerza.

– Tymi... – dłoń Ice'a wskazywała kierunek, z którego nadeszli.

Na niebie pojawiło się kilka czarnych trójkątnych punktów.

– Istnieje jakaś szansa, że prowadzą je nasi piloci, Sir? – zapytał niepewnie Jersey. Komandos obrócił głowę w ich stronę. Wypuścił mocno powietrze z nosa. Zamknął oczy i donośnie krzyknął:

– Chowamy się! Do lasu, szybko!

Trzy ciemne trójkąty szykowały się do ataku, zbliżając się z zawrotną prędkością w ich stronę.

– Klikowski, już! Zrobimy wam zasłonę dymną! Szybko! – wrzasnął i wystrzelił w powietrze coś, co przypominało serie jasnych flar. Eksplodując w powietrzu, wyrzuciły z siebie ogromną ilość czerwonego dymu, który zasłonił spory kawałek nieba.

Jersey, Andy i Maggie ruszyli biegiem w stronę lasu. To samo zrobili Ice, BB i Piguła. Nadlatujące maszyny rozpoczęły ostrzał, otwierając ogień na oślep. Seria wybuchów rozszarpywała kawałek po kawałku resztkę otaczającej ich drogi.

– Podaj mi rękę, szybko! – wrzasnął Jersey.

Maggie rzuciła się w jego stronę. Chwyciła pewnie jego dłoń. Poczuli mocne szarpnięcie do przodu i nawet nie wiedząc kiedy, znalazła się na rękach biegnącego chłopaka.

– Andy! Trzymaj się blisko!

Niska dziewczyna w czapeczce z daszkiem gnała za nimi. Biegąc przed siebie, przedzierali się przez chmurę dymu i kurzu.

Ogromny huk poprzedził wolne rozstąpienie się czerwonego obłoku nad ich głowami. Kolejny czarny obiekt podchodził pionowo do lądowania. Otworzył ogień do biegnących nastolatków. Seria pocisków wyładowała równoległe z torem ich biegu. Opadający czarny trójkąt powoli zmieniał swoją pozycję, przygotowując się do oddania celnego strzału.

– Ognia! – dobiegł z lasu gruby głos. Dwóch żołnierzy wybiegło, oddając serie z granatnika w stronę czarnego obiektu. Granaty uderzyły w jego spód w tym samym momencie, kiedy ten odpalił rakietę. Eksplozja zmieniła tor wystrzelonego pocisku.

Wybuchł niedaleko biegnącego Jersey. Siła odrzutu zdmuchnęła ich niczym liście na mocnym wietrze. Został pchnięty kilka metrów w bok i wypuścił z rąk Maggie. Oboje upadli na ziemię.

Ice z chłopakami, biegnąc przed siebie, nie zauważyli tego, co spotkało jego brata oraz dziewczyny. Przedostali się już kilkanaście metrów w głąb lasu.

– Jersey, udało nam się! Jersey...? – Ice zatrzymał się gwałtownie. – Jersey! – krzyknął i ruszył z powrotem w kierunku zadymionej drogi.

Jego twarz przykryta była piachem i kawałkami betonu. Próbowal wstać z ziemi. Poczul, że ktoś ciągnie go za rękę. Popatrzył do góry mętным wzrokiem. Ice stał i ruszał bardzo szybko ustami. Jersey nie słyszał niczego prócz okropnego pisku, który nie chciał opuścić jego głowy od momentu wybuchu.

– Nie rozumiem! – zawołał głośno do brata.

– Nieważne, musimy lecieć! – pokazywał palcem w kierunku drzew.

– Maggie! Gdzie jest Maggie i Andy!?

Ice zaskoczony próbował zlokalizować koleżanki. Nigdzie ich nie było.

– Widzisz je?! – krzyknął, ściskając Ice'a mocno za ramię.

Kolejna seria pocisków trafiła między dwóch braci a czarny trójkąt pozostawiony wcześniej na środku drogi. Nieprzyjacielski samolot przedarł się tuż nad ich głowami, zostawiając za sobą czarny dym i ogłuszający ryk silników. Ice podniósł brata i zaczął biec w kierunku lasu.



– Nie możemy ich zostawić! – wrzeszczał kulejący na jedną nogę, cały ubrudzony Jersey.

– Ty tu zostań, ja ich poszukam!

– Nie! Maggie!?! – pobiegł z powrotem w stronę rozdartej na kawałki drogi.

– Andy jest tam! – wynurzył się z dymu BB. Trzymał na rękach Maggie. Pędził w kierunku lasu. Jersey, widząc to, zezłościł się na siebie, że nie tylko zawiódł Maggie, ale teraz jeszcze jej bohaterem będzie jakiś Angol. Zacisnął zęby. Ugryzł się w wargę i pomyślał: Ty idioto, powinieneś się cieszyć, że nic jej nie jest!

– Dziękuję – powiedział niewyraźnie do BB.

– Klikowski! Dawajcie! Zaraz nas tutaj rozniosą! – Sierżant krzyczał, kontynuując ostrzał.

– O cholera! – wykrzyknął Ice na widok leżącej na ziemi Andy. Była nieprzytomna. Wybuch musiał odrzucić ją na kilka metrów, czapeczka z daszkiem zniknęła z jej głowy, odsłaniając blond włosy. Podniósł ją z ziemi i wziął na ręce.

Nagle dwa czarne samoloty zeszły pionowo, pokazując się tuż nad ich głowami. Jeden skierował działka wprost na Sierżanta i jego żołnierzy, podczas gdy drugi lądował zaraz naprzeciw Jersey'a i Ice'a, całkowicie blokując im drogę ucieczki do lasu.

– Ice, dawaj! – krzyknął Jersey, kierując się w odwrotną stronę.

Kolejny czarny samolot lądował tuż obok. Byli całkowicie odcięci od obu krańców lasu.

– Sierżancie, uciekajcie, osłaniamy was! – zawołał jeden z przypominających ninja żołnierzy.

– Nie zostawiamy nikogo! Nie próbujcie mi nawet wykręcić numeru i zginąć tutaj! Nikt nie ginie na służbie Sierżanta J.! – warknął, kontynuując kontrolowany ostrzał wiszącego nad nimi nieprzyjacielskiego obiektu.

– Wycofujemy się powoli, ale razem!

Dwóch braci stało pośrodku istnego chaosu. Otaczający ich dym wykluczał możliwość ucieczki. Byli w pułapce.

– Ice, nie mamy wyjścia, jest tylko jedna opcja. Za mną, braciszku!

– Chyba sobie żartujesz... Masz zamiar tym polecieć? – zapytał, pędząc w stronę czarnego trójkątnego samolotu.

Andy w tym czasie otworzyła oczy. Czula, że jest na czyichś rękach, i to jeszcze w biegu. Nie rozumiała, dlaczego znalazła się w takiej sytuacji. Popatrzyła do góry, ale czerwone światło bijące od wiszących nad nimi flar oślepiło ją. Dłonią dotknęła twarzy, którą miała tuż przed sobą. Próbowała zorientować się, czy to wróg czy przyjaciel. Ice, obróciwszy szybko głowę, odsłonił swoje oblicze.

– Ice? – zapytała, po czym znów zemdlła.

– Wskakuj szybko! – Jersey pomachał ręką z wnętrza samolotu.

Ice wskoczył na jedno skrzydło i schylając się ostrożnie, wślizgnął się na tylne siedzenie drugiego pilota. Usiadł na czarnym fotelu i ku swojemu zdziwieniu poczuł się znajomo w czymś, co z zewnątrz przypominało pojazd nie z tej planety.

Zanim wszedł do środka, przypatrzył się dobrze statkowi. Pierwsze, co rzuciło się w oczy, to odstająca kabina w kształcie piramidy. Stworzona z ciemnego szkła, chroniła wnętrze przed zbyt dużą ilością światła z zewnątrz. Osadzona była na solidnej i grubej podstawie, jaką był trójkątny kadłub samolotu. Tworzywo, z jakiego był zrobiony, bardziej kojarzyło się z wyszlifowanym kamieniem niż blachą. Nie był to materiał, który wcześniej by spotkali i pamiętali. Pojazd nie posiadał kół. Całość opierała się na trzech nóżkach.

– Polecisz tym? – zapytał brata, sapiąc przy tym bardzo szybko.

– Nie wiem! Daj mi chwilę! – krzyknął Jersey. Panicznie i chaotycznie rozglądał się po całym kokpicie. Nie mógł rozpoznać żadnego oznaczenia. Przyciski były w dziwnych kształtach i kolorach. Wszędzie dookoła otaczały go tajemnicze inskrypcje i figury geometryczne. Poczul się jak przedszkolak pośród skomplikowanych oznaczeń matematycznych. Nie wiedział, od czego zacząć. Nie było śladu po drążku nawigacyjnym, dźwigniach, nie miał nawet pojęcia, jak włączyć tę maszynę, a co dopiero jak nią sterować.

Ice posadził Andy przed sobą. Musiał ją mocno do siebie przycisnąć, żeby zmieścili się na jednym bardzo płytkim fotelu. Podniósł rękę do góry i przymknął uniesioną kabinę. Zaciśnął mocno

pasy i popatrzył przez ciemną szybę na istne pole bitwy.

– Jersey, jeden z nich idzie w naszą stronę! I wygląda jak... – zawył przerażony widokiem kierującego się na nich szkaradnego osobnika. Jersey obrócił głowę i zrozumiał, że patrzy na tę samą dziwną postać, którą spotkali, zanim wbiegli do ratusza.

Średniego wzrostu, biały jak prześcieradło. Obcy o wielkich czarnych oczach. Wyraz jego twarzy również się nie zmienił, bo nadal nosił niepokojący upiorny szeroki uśmiech. Podniósł rękę i wskazał nią na uciekających nastolatków i broniących ich żołnierzy. Kilku Szaraków popatrzyło na niego, po czym ruszyli w wyznaczonym kierunku.

– Tu musi być ich dowódca – powiedział Jersey.

– Skąd wiesz? On nie wygląda jak oni. Jest dziwny. Przypomina trochę...

– Człowieka, wiem. Cokolwiek to jest, na pewno wydaje im rozkazy. Nie mamy teraz czasu na zastanawianie się.

Jersey wrócił wzrokiem do głównej konsoli i zobaczył przed sobą czarny płaski panel. Był niewiele większy niż kartka formatu A4. Nie zastanawiając się ani sekundy dłużej, przyłożył do niej dłoń. Poczul mocne pociągnięcie do przodu, a jego ręka przysssała się do matowej powierzchni. Coś nim mocno potrzepało. Wybaluszył nieco oczy, a z nosa poleciała krew. Galki oczne wywróciły mu się do góry, a usta otworzyły szeroko. Szereg znaków pojawił się w jego głowie, kombinacje kształtów geometrycznych wirowały jak szalone. Nie mógł się poruszyć. Nie wiedział, jak i dlaczego, ale im dłużej wpatrywał się w te znaki, tym lepiej je rozpoznawał. Nawiedziło go dziwne przeczucie, że już gdzieś je widział, a nawet pamiętał. Nie trwało to dłużej niż kilka sekund. Oczy wróciły do normalnej pozycji, ciało się odprężyło, a między jego nogami wyjechał długi czarny drążek. Instynktownie wystukał coś palcami na czarnym panelu.

Huk zatrzęsł całym statkiem. Jersey uruchomił silnik.

– Jak ty to zrobiłeś, bracie? – zapytał Ice.

– Nie mam pojęcia, ale trzymaj się, bo nie wiem, co z tego lotu będzie.... – odpowiedział niepewnym głosem Jersey.

Koncentrował się na wszystkich przyciskach. Próbowal ogarnąć wszystkie mechanizmy i przyrządy. Z każdą sekundą coraz bardziej wydawały mu się znajome.

– Jersey... On jest już bardzo blisko.

Nie zwracał na niego uwagi. Aktywował kilka przycisków. Spotęgowany ryk silnika zatrzymał na chwilę nadchodzącego wroga.

Uśmiech zniknął z jego twarzy i przybysz wydał z siebie obrzydliwy, wysoki, świszczący odgłos, po czym odwrócił się i ruszył w drugą stronę.

– Jersey, on zawraca... Jak to? – zapytał, niedowierzając Ice.

– Nie wiem, ale cieszymy się! Trzymaj się mocno!

Samolotem bardzo mocno szarpnęło. Zaczęli się unosić pionowo.

Yeah! – Ice wydał z siebie radosny okrzyk.

– O nie...

– Co się dzieje?

– Patrz, gdzie on idzie...

– O nie...

Dowódca cofnął się kilka metrów i bez słowa zawrócił dwójkę atakujących Szaraków do jednego z samolotów.

– Bedą chcieli nas zestrzelić! Ruszaj! – krzyknął Ice.

Unosili się już kilka metrów nad drzewami. Jersey, nie czekając ani chwili dłużej, wcisnął coś na konsoli i pociągnął joystick mocno do siebie, wysyłając ich pionowo do góry.

Ice popatrzył w dół i do samego końca śledził wzrokiem uciekających żołnierzy. Ani na moment nie zaprzestali wymiany ognia z zawieszonym w powietrzu trójkątnym pojazdem. Zanim jednak wlecieli w zawieszoną w bezruchu mgłę, zdołał zobaczyć, że BB, Maggie oraz Piguła znaleźli się już w bezpiecznej odległości od całego zajścia.

– Ice, a co z Maggie i resztą? – zawołał Jersey.

– Będzie OK, Sierżant J. na pewno poradzi sobie z jednym statkiem.

– Jak to jednym? – zapytał przestraszony.

– No za nami lecą dwa inne!

## Rozdział 8

### Niebo

Niewielki, czarny, matowy, trójkątny samolot wspinał się pionowo ku górze. Pędząc z zatrważającą prędkością, zostawił już daleko w dole rozszarpaną na kawałki drogę oraz zamglony las.

Jersey, mimo tak młodego wieku, miał już na swoim koncie wiele wylatanych godzin. Jego ojciec wierzył, że syn odziedziczył po nim awiacyjny talent. Już jako mały brzdąc wyróżniał się swoim zamiłowaniem do lotnictwa. Kiedy jego koledzy bawili się zabawkową strażą pożarną czy ołowianymi żołnierzkami, on wyciągał ręce wysoko nad siebie i kierował swoimi pierwszymi drewnianymi samolotkami, wyobrażając sobie, że sam przelatuje przez gęste chmury. Bawiąc się w ten sposób, nawet nie przeszło mu przez myśl, że kiedyś będzie pilotować samolot niestworzony przez człowieka.

– Jersey, nie mamy kasków ani masek tlenowych! – krzyknął Ice.  
– Nie mamy wyjścia, musimy zaryzykować. Będę uważał!  
– Możesz uważać, ile chcesz, ale bez dekompresji kabiny albo kasków w najlepszym wypadku wszyscy pomdlejemy!  
– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry czas na dyskusję, zapomniałeś, że na naszym ogonie siedzą dwie wrogo nastawione maszyny? Poza tym ten statek chyba nie potrzebuje takich rzeczy.

Przestał na chwile słuchać brata i skoncentrował się na locie. Siedząc w obcym, dziwnym statku Jersey, jego brat Ice oraz Andy uciekali przed ścigającymi ich tajemniczymi istotami.

Przebijali się właśnie przez rozległą i bardzo gęstą mgłę. Obciążenie, jakie odczuwali, pnać się coraz wyżej do góry, mocno wiskalo ich w fotele. Lecieli na oślep. Gdyby cokolwiek zatarasowało im teraz drogę, nie zdołaliby wykonać uniku. Byli zdani na ślepy los.

Andy przebudziła się. Otworzyła oczy. Pierwsze, co poczuła, to dziwny oleisty zapach. Następnie próbowała chwycić się za dolną część klatki piersiowej, ale nie mogła ruszyć ręką. Coś bardzo mocno na nią napierało. Kręciło jej się w głowie. Do tego to dziwne klucie w prawej skroni...

– Co się dzieje? – zapytała półprzytomna. – Gdzie ja jestem? Dlaczego nie mogę wstać? To ty, Jersey? – zapytała, widząc przed sobą kawałek lysawej głowy wystający znad fotela.

Aaaaaaaa! – pisnęła, czując, że coś ociera się o jej pupę.

– Spokojnie, Andy, zaraz ci wszy... – Ice przerwał nagle, dusząc się pod jej napierającym ciałem.

– Aaaaaa, kto tam jest za mną?! Zboczeńcu!! – zaczęła się wiercić, uderzając łokciami do tyłu. – Wypuście mnie!

– Nie możemy, spokojnie! Daj mi wytłumaczyć! – starał się przemówić jej do rozsądku.

Znów poczuła dotyk, tym razem w okolicy pleców. Spinając mięśnie karku, udało się jej popatrzeć na swoje nogi. Dopiero teraz zrozumiała, że to ona opiera się na kimś.

– Dlaczego siedzę na tobie?! Kim jesteś? – nie przestawała się wyrwać.

– Andy, to ja... Ice... Siedź spokoj...nie... Dussssssisz mnie! – ledwo wystękał.

– Ice? Co jest grane? Dlaczego?

– Spokojnie! Usiądź wygodnie i zaufaj mojemu bratu, wszystko ci wyjaśni, na razie musisz się uspokoić – zawołał z przodu Jersey.

– W czym my jesteśmy? Dziwnie się czuje w tym samochodzie, tak jakbym była trochę do góry nogami. Coś strasznie mnie wgniata w fotel. Niedobrze mi.

– Andy, tylko spokojnie! To nie jest samochód! – odpowiedział Jersey.

Po krótkiej niezręcznej ciszy zapytała drżącym, płaczkliwym głosem:

– Ale chyba stoimy w miejscu? – przestała się szamotać, próbując wyrzucić za szybę.

Będąc w środku tak gęstej mgły nie widzieli na zewnątrz niczego oprócz jednej białej plamy. Brak punktów odniesienia wywoływał iluzję zatrzymania w miejscu, podczas gdy ich statek leciał właśnie około 400 km/h.

– Jak ja się tutaj znalazłam? – zapytała.

– Andy, zostaliśmy napadnięci, nie mieliśmy wyjścia... – szepnął jej do ucha Ice. – Wziąłem cię na ręce i zaniósłem tutaj. Jeśli chcesz być na kogoś zła, śmiało możesz wyżyć się na mnie, ale teraz musisz przede wszystkim zachować zimną krew i zaufać Jerseyowi. On jest bardzo dobrym pilotem.

Nie zdążyła wypowiedzieć nawet zdania, kiedy mocne wstrząsy zaczęły telepać całym statkiem. Huk ich całkowicie ogłuszył. Po obu stronach kabinowej szyby rozświeślały się na przemian mleczne połacie niekończącej się mgły.

– Strzelają do nas! – wykrzyknął głośno Jersey. – Trzymajcie się!

Andy poczuła, jakby ktoś pchnął ją nagle z całej siły, najpierw w lewą, a później w prawą stronę. Jersey zaczął manewrować na oślep, próbując zgubić ścigających ich nieprzyjaciół.

Jak oni nas, do cholery, widzą w tej mgle? – pytał w myślach. – Jak tu się włącza zasrany radar?

Mimo fatalnej widoczności, goniący ich wrogowie byli bardzo dokładni w oddawaniu strzałów. Gdyby nie refleks i spryt Jersey, już by było po nich.

– Musieli się nieźle wkurzyć za to, że zalatwiliśmy ich kolegów.

Niech no tylko poczekają, aż wylecimy z tej mgły, a szybko do nich dołączą – uśmiechnął się, odnajdując przycisk uzbrajający pociski.

Ice ledwo wytrzymał pod naporem Andy. Jedyne, co mógł zrobić, to blokować jej spotęgowany ciężar rękami. Nie chciał też zbyt mocno jej popychać, bo mógłby zadać jej niepotrzebny ból. Próbował wytrzymać, chociaż nie było to łatwe, szczególnie teraz, kiedy Jersey zaczął intensywnie manewrować. W lewo, w prawo, w lewo i znowu w lewo. Czuł się trochę tak, jakby siedział w wagoniku ekstremalnej wersji rollercoastera.

– Jerseyyyy, wypoziouuuuj! – krzyczał z tyłu trochę posiniały już na

twarży Ice.

– Jeszcze moment! Trzymaj się!

Cała kabina pociemniała. Wylecieli z mgły i ku swojemu zaskoczeniu, zamiast widoku błękitnego nieba, zastali czarną przestrzeń bez granic. Gdyby nie migoczące światelka na konsoli pulpitu, nie widzieliby kompletnie niczego.

Ustal również ostrzał nieprzyjaciela. Zrobiło się niepokojąco cicho.

Jersey wykorzystał ten moment, by chwilę odpocząć.

– Poziomuję! – krzyknął.

Samolot zmienił kąt nachylenia i obciążenie zmalało. W końcu mogli odetchnąć.

– Ice, czy my jesteśmy w samolocie? – zapytała skołowana Andy.

Nie odpowiedział, będąc pod wrażeniem miejsca, w którym się znaleźli. Jego duże brązowe oczy próbowały zlokalizować cokolwiek w tej głębokiej czerni.

Ich uwagę przyciągnął nagły błysk daleko po lewej stronie. Biała, gruba, świecąca linia wyloniła się dosłownie znikąd. Gnała przed siebie jak szalona. Zostawiała za sobą ślad swojego toru. Wyglądało to tak, jakby ktoś kilkumetrowym pędzlem malował po niebie iluminującą białą farbą. Prędkość, z jaką linia się przesuwiała, była ogromna, a jej długość robiła piorunujące wrażenie. Oczy Ice'a rozbłysły białą, kiedy przemknęła tuż przed ich statkiem.

Jersey odbił w dół, przemykając zaraz pod nią. Chciał coś powiedzieć, ale ogromny huk skutecznie odwiódł go od tego zamiaru. Dobrze im znany, niski, przerażający dźwięk rozniósł się dookoła nich, zupełnie jakby znaleźli się w jego wnętrzu. Pod wpływem nagłego uderzenia fali dźwiękowej samolot wpadł w turbulencję.

Andy wrzasnęła ze strachu. Ice odruchowo objął ją mocno obiema rękami i zaczął delikatnie głaskać po dłoni. Chciał ją w jakiś sposób uspokoić.

Ryk silnika zanikł, zagłuszony potęgującym się hukiem z niebios. Po kilku sekundach nastąpiła cisza, a jasnobiała linia, która przed momentem malowała się przed ich oczami, zaczęła zniknąć.



Dopiero teraz Ice zauważył, czym ona była – dojrzał w jej kształcie ogromną błyskawicę przecinającą chmury.

– Ice, to ten sam dźwięk, który słyszeliśmy na ziemi, prawda? – zapytał Jersey.

– Tak. Ale nie uwierzysz, czym on jest. To, co słyszeliśmy, będąc w lesie i w miasteczku, to był odgłos burzy.

– Jak to? – odparł zaskoczony brat.

– Nie wiem, ale właśnie widziałem w tle blaknący kształt błyskawicy, tak jakby wszystko działo się bardzo wolno, sam tego nie rozumiem.

– Czyli jesteśmy w środku burzy. To fascynujące – zareagował zdumiony Jersey.

– Andy, wszystko w porządku? – zapytał przyklejoną do niego dziewczynę.

Wysunął do przodu głowę, starając się dojrzeć jej twarz. Odchyliła się spokojnie do tyłu i odrzuciła kawałek swoich blond włosów na bok, odsłaniając przy tym prawą część swojej buzi. Ice miał właśnie zadać jej pytanie, ale kiedy ich oczy się spotkały – zamilkł.

Wpatrywał się w jej świecące niebieskie tęczaówki. Dziwnie się poczuł – będąc tak mocno wtulonymi i widząc jej twarz tylko kilka centymetrów od swojej, dopiero teraz uzmysłowił sobie, że znajdują się w dość intymnym położeniu. W momencie, kiedy adrenalina napęcza ludzkie ciało, trudno myśleć, co jest odpowiednim zachowaniem, a co nie. Sytuacja wymagała, żeby tak właśnie się ułożyć.

Mimo to czuł się bardzo zawstydzony. Speszył się i cofnął swoją rękę z dłoni, którą przed chwilą jeszcze dla uspokojenia głaskał.

– Nie... – zamruczała.

Ice przelknął głośno ślinę. Pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji. Nigdy wcześniej nie był tak blisko żadnej dziewczyny. Nie wiedział, co zrobić.

Dlaczego ona powiedziała „nie”? – pomyślał.

– Zostaw, to naprawdę mnie uspokaja. Proszę... – zanuciła miękko.

Ice znów nic nie odpowiedział. Był sparaliżowany. Nie mógł nawet ruszyć ręką. Andy sama ją zatrzymała i przelożyła na swoją dłoń.

– Dziękuję – uśmiechnęła się, mrużąc przy tym słodko oczy. – Mogę mieć jeszcze jedną prośbę? – zapytała nieśmiało.

Ice aż zadrżał. Nie wiedział, czego się spodziewać.

– Mógłbyś wyciągnąć to coś ze swojej kieszeni? Strasznie kłuje mnie to w plecy.

– Mhm – wysapał nerwowo Ice.

– Dzięki – raz jeszcze uraczyła go uśmiechem i odwróciła głowę.

Ice oparł się z powrotem o fotel i zamknął oczy. Próbował uspokoić pędzące niczym dziki rumak serce.

Krzesła, lampa, wiatrak, pomidor, kwiatek, samolot, blond włosy, NIE BLOND WŁOSY, NIE! Śruboooookręt! – starał się myśleć o czymkolwiek innym niż Andy.

Przecież ja nie mam nic w kieszeni! To moja fujara! – panikował.

Wsadził dłoń w spodnie i udawał, że coś przestawia. Robił wszystko, żeby tylko jego emocje „opadły”.

– Patrzcie! – krzyknął Jersey.

Czarna przestrzeń zaczęła stopniowo jaśnieć. Opuszczali właśnie środek burzy. W tle zęgnąła ich kolejna malująca swój tor błyskawica, a bardzo jasne światło przywitało ich, kiedy wystrzelili z gęstych ciemnych obłoków.

Przeslonili swoje oczy dłońmi, nie spodziewając się aż takiej jasności. Różnica w natężeniu światła była ogromna. To jakby wyjść z ciemnej piwnicy prosto do pomieszczenia oświetlonego stadionowymi halogenami.

Jersey na moment oślepl. Przecierał oczy, ale nic mu to nie dawało. Biała plama na siatkówce skutecznie uniemożliwiała dostrzeżenie czegokolwiek.

– Cholera, ale jasno! – krzyknął z tyłu Ice.

– Nic nie widzę – dodała Andy.

Jersey modlił się tylko, żeby lecieli w dobrą stronę i żeby przypadkiem nie zostali zaatakowani teraz przez nieprzyjaciela. To byłby genialny pomysł na pułapkę. Oczekiwał najgorszego. Zamknął oczy i w skupieniu nasłuchiwał, czy nie wychwyci gdzieś ryku silników nadlatujących nieprzyjaciół. Jednak po niecałej minucie



Ice

stresującego oczekiwania jego wzrok zaczął wracać do normy. Popatrzył przed siebie. Czysty błękit rozlał się po całym horyzoncie. Po ścigających ich statkach nie było ani śladu. Odetchnął z ulgą.

Przechylił joystick w prawo, ściągając skrzydło do dołu. Chciał zobaczyć, jak wyglądało miejsce, z którego wylecieli, z lotu ptaka. Powoli nawrócił, skanując wzrokiem rozciągające się pod nimi bezkresne kłębowisko groźnych chmur.

Były czarne jak węgiel, a ich obrzeża buchały mniejszymi ciemnymi kłębami. Huk dobiegający z chmur pojawił się zaraz po tym, jak się podświetliły. Zupełnie jakby ktoś na dole bawił się ogromnym reflektorem, świecąc od lewej do prawej. Przykrywały całe wybrzeże, ład był całkowicie niewidoczny.

Jersey odbił joystickiem w lewo, wracając na poprzedni kurs. Samolot zawracał, a on ciągle patrzył w dół. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości – usilnie czegoś szukał.

– Jersey, chyba ich zgubiliśmy – stwierdził Ice, czytając w myślach bratu.

– Tak mi się wydaje – odpowiedział spokojnie.

– Gdzie lecimy?

– Nie wiem... Na razie to się cieszę, że udało nam się uciec.

– Nie wrócimy po resztę? Musimy im jakoś pomóc – dopytywał Ice.

– Wrócimy za moment. Najpierw upewnimy się, że nikt nas nie śledzi.

– Co to jest za statek powietrzny? Nie przypomina kompletnie niczego, co do tej pory widziałem. Całkowicie różni się od naszych.

– Musi to być jakiś prototyp, nie słyszałem nigdy o takim typie samolotu – odpowiedział Jersey.

– Powiedz mi jedno, bracie. Jakim cudem udało ci się odpalić ten sprzęt?

– Co to jest tam daleko po prawej? – przerwała ich rozmowę zaintrygowana blondynka.

– Gdzie? – zapytał Ice. – O mój Boże...

Niecałą milę od nich pojawił się lecący z ogromną prędkością, dziwny podłużny obiekt. Był długi na mniej więcej trzysta me-

trów. Miał biały kolor. Nie zwracając na nich uwagi, przemknął tuż nad nimi.

– Jersey, widziałeś to?! Leć za tym czymś! – wrzasnął Ice.

Jersey nic nie odpowiedział, tylko szybko zawrócił samolot, starając się to „coś” dogonić. Przyspieszył, po czym ustawił się kilkaset metrów dalej od jego boku.

Lecąc równoległe, mogli mu się dokładniej przyjrzeć. Na pierwszy rzut oka była to maszyna, lecz przy bliższym zbadaniu tajemniczy obiekt okazał się czymś całkowicie innym. Organicznym.

Pod jego brzuchem znajdowały się setki małych skrzydeł, które machając na zmianę, przypominały płynącą po morzu galereę lub – jak się skojarzyło Andy – gigantyczną wersję sportowej łodzi wiosłarskiej. To „coś” było półprzezroczyste. Gdy wytężyli wzrok, mogli zobaczyć poruszające się w jego wnętrzu mięśnie. Ruchy, jakie wykonywała ta istota, były naprzemienne, najpierw lewa strona, później prawa. Tułów był jednolity, niczym długa belka. Lecąc za nią, nie mieli dobrego widoku na jej głowę. Tylna część natomiast była płaska.

– Ale to jest szybkie, musi lecieć z 600 km/h – skomentował Jersey.

– Ale co to jest? Czy to jest gigantyczny latający wąż? – zapytała niepewnie Andy.

– Haha! Wąż! Dobrze! – zaśmiał się Jersey.

– No a na co ci to wygląda? – zapytał bardzo poważnie jego brat.

– Serio? Yyy, nie wiem, na przerośnięte połączenie stonogi i patyczaka, ale na pewno nie na węża!

– Przyspiesz trochę, chcę zobaczyć przód tego czegoś – powiedział Ice.

– Nie mogę lecieć szybciej, nie mamy kasków, pomdlejemy. Cokolwiek to jest, pędzi jak szalone. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Co ja mówię? Nigdy nawet o czymś takim nie słyszałem!

– Cholera, ciekawe, jak wygląda z przodu. Nie udało mi się dojrzieć szczegółów... – przerwał.

Lecąca po ich lewej stronie trzystumetrowa istota wygięła głowę do góry. Naprężyła kark i wytworzyła wzdłuż grzbietu jakiś

dziwny impuls elektryczny – tak, że reszta jej ciała zafalowała. Obróciła powoli lew w ich kierunku.

– Ups, to coś musiało nas zauważyć, co robimy?! – zapytała Andy.

– Nie wiem... – odpowiedział zbity z tropu Jersey.

– Ale ma wąsy! – zdziwił się Ice.

Patrząc w ich stronę, istota pokazała swoje oblicze. Biały półprzezroczysty lew zdobyły długie srebrnobiałe wąsy. Ruszała nimi bardzo żwawo, najprawdopodobniej próbując wyczuć, co się wokół niej dzieje. Wąsy te musiały jej zastępować oczy, ponieważ na ich miejscu znajdował się gruby wypukły pasek. Gdy otworzyła szeroko paszczę, nie zobaczyli w niej żadnych zębów. Jej gardło było całe prążkowane.

Zadrżała, lecz nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Jersey przestraszył się, ale również zdziwił, kiedy mimo braku jakiegokolwiek słyszalnego głosu zakręciło mu się w głowie, a samolotem lekko zatrzęsło.

– Cholera, musi nadawać na jakichś innych falach – zauważył Ice.

Gdyby tylko Maggie mogła to zobaczyć... – Jersey rozmarzył się na moment w myślach.

– Chyba się wkurza, że tutaj latamy. Może powinniśmy... – nie zdążył dokończyć, kiedy jedna z lampek w kokpicie zaczęła migać na czerwono. Akompaniował jej przerywany wysoki dźwięk.

– Co się dzieje? – zapytała Andy.

Lecąca obok istota odwróciła głowę. Zgięła się w harmonijkę i po kilku sekundach wystrzeliła do przodu tak szybko, że jedyne, co po niej pozostało, to ogromny huk. Huk towarzyszący przekraczaniu bariery dźwięku.

– WOW! – zareagowała cała trójka na widok tego wyczynu.

– Co się dzieje, czemu tak pika? Co to za dźwięk? – dopytywała Andy.

– Trzymaj się mocno! To nie przez nas zwała ta istota! Coś na nas leci! – powiedział stanowczo Jersey.

– Widzisz coś?

Ice obrócił głowę i natychmiast krzyknął:

– Rakieta po lewej!

Jersey złapał mocno za joystick i pchnął go do przodu. Wcisnął również coś na konsoli. Samolot nagle ruszył w dół. Wbiło ich w fotele. Głowa Andy poleciała gwałtownie do tyłu, uderzając mocno w szczękę Ice'a.

Przyjął to po męsku i nawet nie drgnął.

– Ma ten sprzęt wabiki? – zapytał Ice.

– Chyba ma, poczekaj moment – Jersey omiół konsolę wzrokiem i po chwili potwierdził – Ma!

– Flary! Teraz! – wrzasnął Ice. Nie zwracał uwagi na ból rozciętego policzka.

– Co jest? – zapytała Andy.

Za ich ogonem wystrzeliła seria czerwonych flar. Rakieta, która leciała prosto w ich stronę, w ostatniej chwili skrzyła i obrała kurs na spadające wabiki. Wytworzyły wystarczająco wysoką temperaturę, by ją zmylić. Wybuchła w powietrzu.

– Hura! – wiwatowała Andy.

– Niestety za wcześnie jeszcze na okrzyki radości – powiedział jej do ucha Ice. – Jest za nami! Uważaj, znów strzelają!

– Ile ich tam jest?

– Jeden.

– To gdzie jest drugi?

– Jaki drugi?

– Bracie, słabą masz pamięć, gonilo nas dwóch.

– Po prawej! – pisnęła Andy.

Jersey wykonał gwałtowny unik. Obrócił samolot trzykrotnie o 360 stopni i posłał go do góry, wymykając się nieprzyjacielowi.

– Dzięki, Andy!

– Skup się! – warknął Ice.

Niestety za późno – seria strzałów z działka poszarpała prawą część ich maszyny. Zadymilo się.

– Cholera! – krzyknął Jersey.

– Nie mamy szans, zawracają, jeden leci z tyłu, drugi z boku!

Jersey zmrużył oczy. Kilkanaście różnych możliwych uników przeszło mu przez myśl. Starał się dokonać dobrej decyzji, lecz trudno było przewidzieć ruch wroga, o którym nic nie wiedział. Każdy scenariusz był bardzo ryzykowny, a przecież odpowiadał teraz nie tylko za swoje życie, ale również dwójki pasażerów.

Dwa czarne statki zbliżały się do nich z niesamowitą prędkością. Było coraz mniej czasu. Wcisnął coś na panelu. Cała seria czerwonych flar wystrzeliła z ich ogona. Przesunął niewielką dźwignię, wystukał coś na konsoli i ryk silnika za ich plecami ustał. Zaczęły nagle opadać.

– Jerseyyyyyy!?! – zawył pytająco Ice.

– Spokojnie, wiem, co robię!

Spadając w dół, mogli dobrze zobaczyć wiszące nad nimi spalające się czerwone flary. Mały w ich oczach coraz szybciej, gdy bezwładnie opadająca maszyna traciła wysokość.

Cztery ultraszybkie rakietki uderzyły jednocześnie w miejsce, w którym przed chwilą się znajdowali. Eksplozja była ogromna. Kula ognia przygasła, zostawiając po sobie gęsty obłok dymu. Dwa czarne trójkątne statki mignęły szybko, rozpraszając pozostałość po wybuchu.

– Jerseyyyy, zaczynamy się kręcić! Niedobrze mi – zapiszczała Andy.

– Braaaaacie, co ty robisz? – zapytał niepewnym głosem Ice.

Jersey nie zwracał na nich uwagi. Skupiony patrzył w niebo. Obserwował lot dwóch nieprzyjacielskich obiektów.

– Sprawdźmy, czy widzicie coś, gdy nie jest gorące – uśmiechnął się dumny z siebie.

Jersey założył, że skoro mogli ich zobaczyć w tak gęstej mgłę, to albo oni sami albo urządzenie namierzające musiało dysponować taką funkcją. Jak na razie plan układał się po jego myśli. Czarne statki przeleciały dalej. Nie mógł jednak kontynuować obserwacji, ponieważ samolot, w którym teraz spadali, wpadł w istny korkociąg i coraz szybciej kręcił się wokół własnej osi. Niemożliwym było dostrzec cokolwiek w takich warunkach. Nie mógł dłużej czekać, statkiem zaczęło już bardzo mocno trząść.



Bał się, że jeśli za moment nie odpali silnika, wszystko rozpadnie się w powietrzu. Wrócił wzrokiem do głównej konsoli.

– Jerseyyyy, włączaj, Andy zemdlala, a ja już widzę poczwornie!  
Próbował wcisnąć odpowiednie przyciski odpowiedzialne za zapłon silnika, ale tak bardzo kręciło samolotem, że wszystko widział niewyraźnie. Zamknął oczy i macając rękami na oślep, starał się zlokalizować odpowiedni przełącznik.

Jest! – ucieszył się w myślach, po czym wcisnął niewielki okrągły śliski guzik.

Cisza. Żadnego efektu.

– Cholera... – przejechał dłonią po rzędzie innych guzików, próbując zlokalizować ten odpowiedni. Tak bardzo kręciło mu się w głowie, że stracił rozeznanie, gdzie jest lewa i prawa. Żołądek podszedł mu do gardła i zaczął dziwnie pulsować. W głowie natomiast szybko coś się kurczyło i klulo zarazem.

Nagle wyczuł pod palcami coś okrągłego. Nacisnął. Ryk silnika pojawił się i zaraz umilkł. Pociągnął za metalową dźwignię po lewej i spróbował ponownie. Znów nic.

Czuł, że traci przytomność. Ice zamilkł, słabnąc z tyłu.

Chciał spróbować raz jeszcze, lecz nie wyczuł niczego pod palcami.

Jego ręka wisiała bezwładnie w powietrzu.

To koniec – pomyślał, a jego głowa poleciała do przodu. Druga ręka uderzyła o pulpit, coś przypadkiem wciskając. Silnik odpalił.

Ogromna siła wbiła go z powrotem w fotel, a on sam otworzył gwałtownie oczy.

– Iceeeee, lecimy! – zawołał entuzjastycznie. – Ice? – zapytał po chwili ponownie.

Szybko obrócił głowę do tyłu i zauważył, że jego brat siedzi nieprzytomny, a jego usta są szeroko otwarte. Identycznie wyglądała opierająca się o niego Andy.

– Cholera, Ice! Ice! – próbował ocucić brata, niestety bezskutecznie. Mam nadzieję, że polecili stąd i już nie wrócą – pomyślał i zagryzł ze zdenerwowania dolną wargę. Rozglądnął się po niebie, ale stracił z oczu obu napastników.

Został sam na sam z koniecznością podjęcia decyzji o ich dalszym losie, a raczej o ich dalszym locie. Nie było zbyt wiele opcji. Statek ten nie miał żadnego paliwomierza, więc nie wiedział, jak daleko może nim zalecieć. Lot nad oceanem byłby zbyt ryzykowny, bo mógłby się zakończyć lądowaniem na bardzo wysokich i wzburzonych falach. Lecieć w głąb łądu i mieć nadzieję, że zostaną namierzeni przez swoich? To było jakieś rozwiązanie. Niestety brak możliwości nawiązania łączności przez radio mógł skończyć się bliskim spotkaniem z artylerią przeciwlotniczą. Ale najważniejszym argumentem był fakt, że zostawili na ziemi swoich przyjaciół, a szczególnie Maggie. To było niedopuszczalne.

Nie mógł zlokalizować żadnego urządzenia do komunikowania się. Im dłużej trwał ten dzień, tym więcej przynosił pytań. Jak, do cholery, oni się kontaktowali? Musieli się jakoś porozumiewać podczas ataku, prawda? – zastanawiał się. Ale mi się chce pić... – przypomniał sobie o doskwierającym pragnieniu, kiedy próbując przełknąć ślinę, napotkał lekki opór zdatrego i suchego gardła. Ostatni raz piliśmy... Zaraz, kiedy, rano? – jego myśli zaczęły schodzić na inne tory. Potrząsnął żwawo głową, robiąc wszystko, żeby zmusić się do działania. Nie ma wyjścia, wracamy na dół – zdecydował. Wyciągnął srebrny krzyżyk zza zbyt szerokiego munduru i pocałował go.

Przygotowywał się do schodzenia we mgłę. Zaciśnął dłoń na joysticku i kiedy miał już przyspieszyć, seria rakiet uderzyła w skrzydła i silnik. Odrzuciło ich na bok. – Co się...! – krzyknął zaskoczony.

Dwa trójkątne statki wróciły. Miały go tuż przed sobą. Nie było mowy o ucieczce. Jersey próbował manewrować na boki, w górę i w dół, niestety lewe skrzydło było mocno naruszone i nie mógł nawet wypoziomować lotu. Zaczęli spadać.

Kolejna rakieta uderzyła w spód samolotu. Silnik wybuchł. Maszyna obróciła się o 180 stopni. Przód statku skierowany był teraz prosto na nadlatujących nieprzyjaciół.

Poczuł gniew, ogromny gniew. Jak mógł wszystkich tak zawieźć? Maggie, Ice, Andy, ojciec, Sierżant... Jak to się w ogóle stało, że znaleźli się w tym szalenie nieprawdopodobnym horyzoncie zdarzeń. Było tyle pytań, tyle rzeczy, które chciałby zrobić. Lecz było już za późno. Para czarnych trójkątów pędziła prosto na nich. Dwie rakiety wyleciały spod ich spodu, zostawiając za sobą smugi białego dymu. Mknęły dokonać na nich egzekucji.

– 500 metrów – powiedział głośno Jersey.

– 400

– 200 – zamknął oczy.

– Przepraszam – szepnął pod nosem, krzywiąc przy tym usta. Czekał na ostatnie uderzenie.

Boom! – ogromny huk rozszedł się po bezkresnym, prawie pustym niebie.

Czy to już koniec? Tak to jest, gdy się umiera? Żadnego bólu? Po prostu pozostaje sama świadomość? – zabrzmiała myśl w jego głowie. – Zaraz... – otworzył powoli oczy.

Popatrzył na swoje ręce, były całe. Dalej siedział w samolocie zapięty szerokimi pasami. Popatrzył przed siebie, lecz na zewnątrz wszystko było osnute szarym dymem. Samolot stał w miejscu. Zawieszony w bezruchu. Silnik wyłączony. Dym rozpraszał się powoli przed jego oczami, odsłaniając wszystko, co było za nim.

– Co się dzieje? Zaraz! – obrócił głowę do tyłu. Ice był ciągle w tej samej pozycji z Andy.

Jersey nachylił się, przystawiając twarz bliżej szyby. Jego oczy były tak szeroko otwarte, że wyglądały, jakby zaraz miały pęknąć. Czekal niecierpliwie.

Dwie czarne plamy zaczęły nabierać kształtów. Trójkątne samoloty stały w miejscu, tak samo zawieszony, jak i oni. Jersey rozjeździł się dookoła i z niedowierzaniem pytał w myślach: Czy czas się zatrzymał? – nie był w stanie znaleźć odpowiedzi, ponieważ po raz kolejny nie miał się do czego odnieść. Zegarki stanęły kilka godzin wcześniej, a Ice i Andy byli wciąż nieprzytomni. Co u licha... – przysunął się jeszcze bliżej.

Chmura po wybuchu już się rozwiła. Widział teraz dokładnie, jak dwa trójkąty nie tylko zatrzymały się w miejscu, ale stały w złotym słupie światła. Zanim zdążył prześledzić, skąd ten promień pochodził, oba statki w przeciągu zaledwie sekundy zostały zmiażdżone, jakby były zrobione z papieru. Przemieniły się w kulę, po czym obie wystrzeliły do góry, zmieniając kolor na pomarańczowy.

Jersey zamarł przerażony. Podniósł głowę i zobaczył wiszącą nad nimi ogromny srebrny talerz. Zatrzymał ich w słupie światła. AAAAAAAAAAAAAAAAAA! – krzyknął. – Ty gnido! Już wolalbym być trafiony rakieta i zginąć jak prawdziwy pilot, a nie zostać zgnieciony przez latającą śmieciarko-zgnieciarkę! – groził pięścią w stronę obiektu.

Coś zatrzęszczało. Dźwięk skrzypiącego metalu przeszył jego uszy, przyprawiając go o gęsią skórkę.

– Cholera, nie wytrzymam tego, ile razy mam dzisiaj umierać? – zapytał.

Niespodziewanie uderzyło w nich ogromne jasne światło, całkowicie oślepiając Jersey'a.

Poczuł wyraźne drgania. Coś nimi szarpnęło.

– Czy to... muzyka? – zapytał zdziwiony.

Srebrny spodek zaczął podnosić ich powoli do góry.

Biały promień prowadził trójkątny statek prosto do wnętrza ogromnego srebrzystego spodka, a w nim trójkę przemęczonych nastolatków niemających pojęcia, co ich tego dnia jeszcze czeka.

## Rozdział 9

### Deszcz

Piguła już ledwo oddychał. Przypomniał sobie swoją kolekcję ołowianych żołnierzyków, którą zbierał od dzieciństwa i obiecał, że jeśli tylko wróci bezpiecznie do domu, wyrzuci ją od razu na śmietnik. Miał dość armii, żołnierzy, a w szczególności jednego sierżanta, z którym spędził ostatnie dwadzieścia minut, biegnąc przez zamglony las.

– Dawaj, ty mięsna galareto, już niedaleko! – krzyczał, nie wykazując żadnych oznak zmęczenia Sierżant J.

– Ja...kim cu...dem... eeee... Co pan jest ro....bot czy co? – wypluł z siebie grubasek.

– Nie wiedziałem, że znalazło się jeszcze jakieś miejsce na humor w tej twojej spasionej czaszce, dawaj do przodu! No chyba, że wolisz nas wszystkich narazić? Co, baleronie?!

BB, ratuj proszę! – zawołał rozpaczliwie w myślach, nie mając siły wyksztusić z siebie kolejnego zdania. Gdyby to zrobił, pewnie by padł.

– Biegniemy już 20... minut, może powinniśmy na chwilę przysto...pować – powiedział pędzący przodem BB.

– No, no... Naprawdę nigdy bym nie pomyślał, że to powiem, ale muszę być fair. Jestem pod ogromnym wrażeniem. Tyle czasu biegiem z panienką McFarlane na rękach... Nie spodziewałem się, że umiecie robić coś jeszcze oprócz picia herbaty, Angliku! – pędzący w tyle Sierżant puścił do BB oko i uśmiechnął się promieniście. – Odpocznijmy minutkę. Macie rację, jeszcze nam się galaretka rozleci! – zatrzymał się.

– Dzięki Bogu! – Piguła zahamował i uderzył mocno o ziemię niczym przewracający się gruby pień.

– Ej, uważaj, bo przebijesz się do Chin! – dociął mu znowu Sierżant.

– Jak tylko dojdę do siebie, to go uduszę – powiedział pod nosem tłuścioszek, leżąc przyklejony twarzą do trawy.

BB również stanął w miejscu. Wciąż trzymał Maggie w swoich ramionach. Była nieprzytomna. Delikatnie przykleknął na jedno kolano i kiedy chciał ją już położyć na ziemi, złapał go skurcz w podudziu. Przechylił się na bok. Spadał na ziemię.

Coś go podtrzymało. Podniósł głowę do góry i zobaczył stojącego obok Sierżanta. Nawet nie zauważył, jak do niego podszedł.

Kim do cholery jest ten facet? Ninja? – zastanawiał się BB.

– Jak z Panią McFarlane? Dalej nieprzytomna? – zapytał bardzo poważnie. BB ze zdziwienia aż zaniemówił. Już miał się odezwać, kiedy poczuł poruszenie na swoich rękach.

Obrócił twarz w kierunku czarnowłosej dziewczyny.

– Jersey... – wyszeptała.

BB poczuł, że zalewa go istna kipiąca lawa zazdrości. Poczzerwieniał ze złości. Zamknął oczy, ugryzł się lekko w język i powiedział:

– Maggie, jak się czujesz? To ja, BB.

– Yyyyy... Jak to? Prze...cież Jersey mnie trzy... To ja nie... – mamrotała, próbując otworzyć oczy.

– Cholera, musimy znaleźć jakąś wodę, ona potrzebuje się napić! – powiedział Sierżant na widok jej przesuszonych i spękanych ust.

Kiedy BB obrócił głowę w jego stronę, już go tam nie było.

Jak to? Znikł? Ktoś sobie ze mnie jaja robi? Nie można tak po prostu zniknąć – zastanawiał się.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała cichutko Maggie.

– Jesteśmy bezpieczni, boli cię coś? – delikatnie odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

– Nie... Chyba nie, nie wiem – złapała się za głowę i bardzo powoli usiadła na ziemi.

– Aaaaa, moja ręka! – poczuła pulsujący ból pod prawym łokciem.

– Pokaż... – BB bardzo dokładnie przyjrzał się bolącemu miejscu. – To tylko mocne stłuczenie, nic ci nie będzie.

Maggie podniosła głowę i zerknęła na twarz wysokiego zielonookiego chłopaka. Resztką sił podniosła kącik swoich ust, po czym

uśmiechnęła się mówiąc: – Dziękuję.

BB zarumienił się i zareagował równie skromnym uśmiechem.

– Jersey, Ice i Andy nie są już z nami... – powiedział cicho, wpatrując się w ziemię.

Maggie zadrżała – serce na moment stanęło, a łzy napłynęły do oczu.

Nie wiedziała, jak ma rozumieć to zdanie.

BB, widząc jej reakcję, szybko skorygował swoją wypowiedź.

– Nie! To nie tak! Oni są z nami, znaczy nie są! Cholera! Polecieli po prostu, i nie są tutaj!

– Jak to, gdzie polecieli? Czym? Nie rozumiem...

– Hej! Wstawać! Nie ma czasu na gadanie! Musimy ruszyć marszem.

Gruby do mnie, idziemy w parach! – krzyknął stojący dumnie daleko we mgle Sierżant J.

– Chodź, Maggie, wytłumaczę ci wszystko po drodze, musimy iść – BB podał jej rękę.

– Gruuuuuuuby! – nawoływał Sierżant, nabijając się ciągle z Piguły. Zachowywał się trochę jak siedmiolatek w ciele pięćdziesięciolatka.

– Idę, ty capie! – podniósł się z wolna Piguła. Jego prawy policzek był cały zielony od trawy.

– Co? – zawołał pytająco Sierżant.

– Gówno... – powiedział cicho i zdawkowo pod nosem.

Maggie zmrużyła oczy i zrobiła dziwną minę, patrząc na grubaska.

– Ciesz się, że byłaś nieprzytomna przez ostatnie kilkanaście minut.

Gdybyś tylko usłyszała ich wymianę zdań... Jak dwójka dzieciaków z getta bawiących się w piaskownicy, istna patologia – powiedział BB, przewracając przy tym ironicznie oczami.

– Szybko! – poganiał ich widocznie zaniepokojony Sierżant.

Wstali i całą czwórką wznovili marsz, próbując wydostać się z istnego labiryntu, jakim stał się dla nich las. Piguła dołączył do Sierżanta, a ten przywitał go bielutkim uśmiechem. Tłuscioszek coraz bardziej go nie cierpiał.

– Zastanawiasz się pewnie, czy moi ludzie dadzą sobie sami radę? Hm? – zapytał.

Piguła nic nie odpowiedział. Próbował go ignorować.

– Moi ludzie są jak duchy. Myślisz, że dwa szare paskudne cieniasy mogą położyć MOICH LUDZI? Gdyby nie my, pewnie teraz robiłbyś dla nich za kozuch albo dywan.

– To skoro te Szaraki są takie słabe, jakim cudem wytraciliście na nich całą swoją amunicję? Dlaczego dwójka pana żołnierzy musiała zostać z tyłu? – zapytał już mocno podirytowany grubasek.

– Dlaczego? Po pierwsze, to wzięli na siebie całe zagrożenie, żebyś ty spokojnie mógł się ewakuować, po drugie, musieliśmy się rozdzielić, żeby oni zastawili na nich pułapkę.

Piguła już miał zamiar coś mu odpyskować, kiedy przed jego oczami ukazał się zastanawiający widok.

– Tam powinniśmy znaleźć wodę – pokazał palcem uśmiechnięty Sierżant.

Wyszli z lasu. Natrafili na obrzeża miasteczka. Z mgły powoli zaczęły wylaniać się dach i ściany jakiegoś dużego niskiego budynku.

Mieścił się tutaj jeden z pierwszych w okolicy supermarketów. Wokół niego zaparkowanych było mnóstwo samochodów i już z daleka można było stwierdzić, że dzień ten musiał obfitować w jakieś dobre promocje, ponieważ roilo się tam od stojących niczym figury woskowe ludzi. Maggie w pewnym momencie stanęła i zaczęła się czemuś intensywnie przyglądać

– Co to? – zapytała.

– Co takiego? – popatrzył na nią BB.

– Tam, co tak błyszczą?

Niebo nad całym budynkiem mieniło się od dziwnych, błyszczących, zawieszonych w powietrzu świecidełek. Wyglądały jak bardzo małe kuleczki rozsypane w przestrzeni od samej chmury aż do ziemi.

– Czujecie? Zrobiło się troszkę chłodniej – zauważyła Maggie.

– Dokładnie, jakoś tak orzeźwiająco. Temperatura wydaje się tutaj niższa, ciekawe dlaczego? – zastanawiał się BB.

– Nieważne, mi jest dobrze, cały dzień spędzamy w jakiejś upiernej



gorącej mgłę. Jestem cały spocony, chodźmy tam – Piguła przykucnął ze zmęczenia i przetarł mokre czoło.

– Czekajcie, może to jakieś skażenie! – Sierżant podniósł rękę, sygnalizując, żeby się zatrzymali. – Ja to pójdę sprawdzić. Mogę wytrzymać na bezdechu 5 minut! – i ruszył do przodu.

Piguła popatrzył na niego i parsknął pod nosem.

J. nie zwrócił na to uwagi, był za bardzo zafrapowany tym dziwnym zjawiskiem. Kilkanaście metrów dzielilo go od supermarketu. Żwawym krokiem kierował się do przodu, nie spuszczać wzroku ze świecidełek. Wisiały one równomiernie i gęsto nad wypełnionym po brzegi ludźmi i samochodami parkingiem.

Wskazówki zegara, który wisiał tuż nad wejściem, zatrzymały się na godzinie 11:13. Na dużym plakacie na drzwiach wejściowych można było przeczytać: „30%!!! Wielka wyprzedaż!!! Sobota, 11 lipiec 1981. Nie przegap!!!”.

No tak, to dzisiaj. Pewnie mają wyprzedaż mleka do tej swojej przepysznej herbaty – pomyślał Sierżant krzywiąc się przy tym akrobacyjnie.

Wrócił wzrokiem na błyszczące niewielkie kuleczki. Mieniły się w jego oczach, kiedy się poruszał. Przez chwilę pomyślał, że może to być jakiś prototyp broni hipnotyzującej, jaki poprzez emisję odpowiednich kolorów mogłaby wpływać na ludzi. Po chwili jednak stwierdził, że raczej było to mało prawdopodobne, ale pomysł niezły. Uśmiech pojawił się na jego czerwonej twarzy. Postanowił zaprezentować koncepcję znajomym w Oddziale Badania i Rozwoju Nowych Technologii Wojskowych, w skrócie R&D. W końcu zawsze powtarzał, że najlepsze pomysły biorą się z pracy w terenie. Przykłąknął nagle, słysząc coś w oddali. Schował się za samochodem. Zmrużył oczy, próbując w skupieniu wylapać, czym jest oraz skąd pochodzi ten dźwięk. W wyniku zatrzymania powietrza w jego oczach pojawiły się czerwone, popękane żyłki. Policzki natomiast miał wydymane jak chomik po dostawie nowej karmy.

Saksofon? Co jest? – pomyślał.

Wychylił powoli głowę zza auta i popatrzył w stronę wejścia do mar-

ketu.

*I made it through...* – dawał się słyszeć swingujący głos.

– Co on robi? – BB zwrócił się z pytaniem do Maggie, obserwując z oddali komandosa.

– Nie patrz na mnie, ja go tylko trochę znam! – skrzywiła się.

Sierżant przy pomocy dwóch fikołków i jednego wślizgu zbliżył się na wystarczającą odległość, żeby dobrze zlokalizować miejsce pochodzenia dźwięku. Wychylił głowę zza przedniej lampy kolejnego samochodu. Wyglądał teraz, jak nieudane połączenie kreta i świnki morskiej. Wstał szybko i poczuł, że coś rozlało mu się po głowie. Skierował wzrok do góry i niemalże oniemiał, kiedy tysiące malutkich sferycznych obiektów zamrugało przed jego oczami. Wyglądały magicznie. Od razu pomyślał o swoich ulubionych filmach Walta Disneya. To był jego bardzo dobrze strzeżony sekret. Był największym twardzielem z zewnątrz, ale jego prawdziwym hobby były filmy animowane. A szczególnie jeden z nich, film, który zmienił jego życie, kiedy był dziesięcioletnim chłopcem.

*Bambi.*

To on sprawił, że zapragnął zostać wojskowym i walczyć z bandytami w obronie własnego kraju i słabszych istot.

Podniósł rękę i palcem zebrał płyn ze swojej głowy. Popatrzył na niego z bliska. Nie widząc w tej cieczy nic specjalnego, postanowił spróbować, jak smakuje i położył ją na swoim języku. Dopiero wtedy zrozumiał, że wiszącymi świecidełkami były tak naprawdę zatrzymane w przestrzeni krople deszczu. Wisiały w powietrzu jak zaczarowane.

Otworzył w końcu usta i nabrał powietrza tak mocno, że wciągnął dwie sąsiadujące kropelki.

– *I made it through the rain!* – zaśpiewał i rozłożywszy szeroko ręce, obrócił się kilka razy na pięcie wyraźnie uradowany.

BB, Maggie i Piguła zdębieli i w zdumieniu obserwowali całą scenę.

– Co się właśnie stało, znaczy stało? – zapytała wstrząśnięta Maggie.

- On tańczy... – powiedział przez zęby BB, nie poruszając przy tym ustami.
- Prrrum... – Piguła z wrażenia puścił małego bąka. Maggie i BB obrzucili go wściekłym spojrzeniem.
- No co? Miał być cichacz... Sorry – zarumienił się grubasek.
- Znowu?! Jak to się skończy, to osobiście zaprowadzę cię do gastrologa! – powiedziała ostro Maggie.
- Do gastrologa? Chyba do psychologa! – zaśmiał się BB.
- Chodźcie tutaj, ale tu jest pięknie! – Sierżant J. tańczył między samochodami i stojącymi w bezruchu ludźmi.
- Co mu się stało?
- Nie wiem, ale boję się do niego podejść, wołałem, jak był arogantki i prymitywny. Teraz to się go naprawdę boję – powiedział Piguła.
- Uważajcie na te świecące kulki. To może być ich wpływ. Nie patrzcie na nie – zaproponował BB.
- Musimy iść do marketu. Znaleźć wodę, uzupełnić płyny i...
- Zjeść! – zaryczał grubasek niczym dorosły wygłodniały lew. Słowo to zadziało na niego jak podświadomy bodziec. Wyrwał się do przodu i leciał na oślep w kierunku sklepu. Za wszelką cenę chciał wejść do środka i coś zjeść, ale nie chciał ryzykować i nawet przez przypadek zerknąć na tajemnicze kuleczki, więc co chwilę zamykał oczy. Niestety dopiero po tym, jak huknął czołem w uchylone drzwi od dużego auta dostawczego, stwierdził, że jednak zaryzykuje i będzie patrzył, gdzie idzie.
- Piguła! Stój! – BB starał się zatrzymać kolegę.
- Nic dotrzesz do niego... Słyszysz to? – zapytała Maggie.
- Tak, to muzyka... – odpowiedział zaskoczony BB.
- Znam tą piosenkę, to... Barry Manilow – *I made it through the rain*.
- *I made it through the rain!* – zaśpiewał głośno Sierżant J., tańcząc już teraz na dachu jednego z samochodów.
- Co jest grane? – BB już miał ruszyć do przodu, kiedy Maggie chwyciła go za rękę i wskazała na coś palcem – Czekaj. Patrz. Piguła pędził przed siebie jak samonaprowadzająca rakietka na ciasteczkowy cel. Będąc jedynie trzy metry od głównego wejścia, za-

trzymał się w miejscu.

Sierżant również stanął z podniesioną nogą i rozłożonymi rękami.

– Co to? Inna piosenka? O nie... – złąkla się Maggie.

– O nie... – powtórzył za nią BB.

Piguła wspiał się na dach samochodu i podszedł do Sierżanta. Będąc niższy od niego o pół metra, objął go rękami tuż nad pasem. Sierżant J. położył ręce na jego ramionach i zbliżywszy głowy, zaczęli tańczyć.

– Tylko nie...

– *SEXY EYES!* – wykrzyknęli jednocześnie Maggie i BB. Znali tę piosenkę doskonale. Spędzili przy niej niejedną romantyczny wieczór.

Grubasek oraz J. tańczyli przytulańca, patrząc sobie głęboko w oczy. Śpiewali również w rytm rozbrzmiewającej w tle piosenki Dr. Hooka.

– Oni są jak zaczarowani! Co jest grane! Myślisz, że to вина tych wiszących wszędzie dziwnych kuleczek? Myślisz, że to one mogą mieć na nich taki wpływ?

– Nie wiem, BB, ale na pewno nie chciałabym się tam zbliżyć!

– Przecież ich tak nie zostawimy, wytańczą za chwilę dziurę w dachu!

– BB otworzył szeroko oczy.

– Popatrz! Tam nad sklepem, widzisz? – wskazała palcem na niewielki wiszący głośnik.

– Może jeśli go rozwalimy, to się ockną? – zapytała.

– Warto spróbować.

– Tylko uważaj na te dziwne błyskotki – dotknęła go lekko w ramię.

– Spokojnie – uśmiechnął się, po czym rozejrział się dookoła i podskoczył szybko do zatrzymanej w miejscu nieruchomej kobiety, idącej z wózkiem wypchanym po brzegi zakupami.

– Czego szukasz? – zapytała Maggie.

– Tego! – wyciągnął dużą paczkę z napisem „WATA”.

– Nieżle – mrugnęła do niego oczkiem.

Sierżant i Piguła, wciąż czule się przytulając, wpatrywali się w swoje oczy i śpiewali:

*No more lonely nights for me* (koniec samotnych nocy)

*This is how it's gonna be* (oto jak od teraz będzie)

*Sexy eyes moving 'cross the floor* (seksowne oczy poruszają się po parkiecie)

*Got me wanting more, sexy eyes* (sprawiają, że pragnę więcej tych seksownych oczu)

*Sexy eyes, gettin' down with you* (seksowne oczy – szaleję z tobą)

*I wanna groove with you, sexy eyes* (pragnę bujać się z tobą – seksowne oczy)

Maggie musiała odwrócić wzrok, ponieważ nie czuła się z tym dobrze. BB poślinił trochę waciki i zrobił z nich małe kulki. Włożył je do uszu, docisnął mocno palcami i rozpoczął bieg w stronę głośnika. Dopiero, kiedy był w połowie drogi, zaczął się zastanawiać, jak go wyłączyć. Zrobił dziwną minę, ale nie chciał zawrócić i pokazać Maggie, że nie do końca przemyślał swój ruch. Zwolnił trochę i zaczął rozglądać się na boki, szukając jakiegoś pomysłu.

Ból, dźwięk łamanego paznokcia oraz podcięcie nogi zaskoczyły go brutalnie. Nie zauważył czegoś, co leżało na ziemi i przywalił w to mocno stopą. Wywróciwszy się, chwycił się za nogę i popatrzył do tyłu. Na ziemi leżała duża cegła.

W tle Maggie coś krzyczała i machała rękami, ale nie mógł jej usłyszeć. Przywalił potężnie. Duży palec lewej nogi pulsował mu tak bardzo, że zaczął się zgrywać z ledwo słyszalnym bitem kolejnej piosenki płynącej z głośnika. Musiał to być jakiś taneczny hit, bo Sierżant J. oraz Piguła tańczyli teraz breakdance na ziemi.

Piguła kręcił się na głowie, a J. przebierał nogami jak zawodowiec.

– To jest jakieś szaleństwo – powiedział BB, zbierając się z ziemi. Chwycił cegłę w dłoń i z odległości pięciu metrów rzucił w głośnik. Chybił.

Głośne uderzenie zwróciło uwagę tańczącej dwójki. Piguła i Sierżant zatrzymali się i po chwili pokazali rękami jakieś raperskie znaki. Machnęli jednocześnie głowami do góry i ruszyli w stronę BB. Wi-

dząc to, wpadł w panikę. Nie miał pojęcia, czego może się po nich spodziewać. Kulejąc na jedną nogę, dokuśtykał do leżącej przy ścianie cegły i wziął ją do ręki.

Kiedy miał się już zamachnąć, poczuł zapach parującego asfaltu, smak coli w ustach, a jego ciało wpadło w rytm przewiercającej się przez jego uszy, skocznej raperskiej muzyki.

Uśmiech pojawił się na jego twarzy, a on sam zapragnął tańczyć. Jego nogi zaczęły się już powoli ruszać. Tracił kontrolę nad swoim ciałem. Jego dłoń stała się wiotka i wypuściła cegłę. Nie nacieszył się długo tą bez troską chwilą, ponieważ spadła na tego samego palca, którego wcześniej mu obila. Ból przywrócił jego świadomość oraz zmysły do porządku. Złapał głęboki oddech i otworzył oczy, jakby wybudził się z głębokiego snu. Sięgnął po cegłę i z całej siły cisnął ją w niewielki głośnik. Zrobił to w ostatniej chwili, bo Pigula i Sierżant właśnie lecieli na niego. Powalili go na ziemię. Kątem oka zobaczył, że rzut był celny, a kolumna rozpadła się na kawałki. Muzyka ustała.

– Co pan... co pan robi? – zapytał przestraszony Pigula na widok leżącego na nim Sierżanta. Żołnierz patrzył na niego zszokowany, a jego twarz cała się poruszyła tak jakby prąd po niej przeleciał. Policzki mu drgały, powieki się podnosiły i opadały, nozdrza otwierały się i zamykały, a usta uciekały to w jedną to w drugą stronę. Nie wiedział, co ma powiedzieć, a co gorsza nie wiedział nawet, jak się tam znalazł. Podniósł się i wyprostował. Obrócił się na pięcie i wszedł w milczeniu do sklepu, jak gdyby nigdy nic.

Maggie podbiegła do nich i zapytała:

– Wszystko z wami OK?

– Yhmmm – zamruczał pod nosem BB, pokręcił głową, a na końcu dodał:

– Jeszcze chwila i straciłbym kontrolę.

– Jak to się stało?

– Usłyszałem muzykę i nagle straciłem panowanie nad własnym ciałem. Poczulem niewymowną potrzebę tańczenia. Tak jakby rytm przejął nade mną kontrolę. A przecież wiesz, jak ja nie lubię tańczyć.

– Dziwne rzeczy się dzisiaj dzieją, więc jestem w stanie we wszystko uwierzyć. Dobrze, że trafiłeś w ten głośnik, inaczej nie wiem, czy bym sobie sama poradziła – uśmiechnęła się do niego.

BB zrewanżował się tym samym i kiwając głową, wskazał oczami na leżącego na ziemi Pigulę. Całe to zajście mocno się na nim odbiło, bo wyglądał jak porażony prądem. Piguła był w takim szoku, że musieli go oboje podnieść i wnieść do sklepu. Nie było z nim dobrze aż do momentu, kiedy odnalazł długi regał ze słodyczami. Od razu cudownie ozdrowiał.

Sklep pełen był ludzi robiących zakupy. Zapewne promocja musiała mieć w tym swój udział. Niektórzy z nich zatrzymani byli we wprost niewyobrażalnych pozach. Jedna starsza gruba kobieta tak szybko biegła w kierunku stoiska z wędlinami, że peruka zsunęła się jej do połowy głowy. Dwóch mężczyzn w średnim wieku klóciło się, wrywając sobie keg z piwem. Jeden przypominał spienionego buldoga po trzech głębszych, a drugi zezowatego dobermana. Była tam też starsza babcia okładająca drewnianą laską frywolnie ubraną młodą dziewczynę.

– Czego tam tak szukasz, BB? – zapytała Maggie.

BB buszował po długiej półce pełnej różnych napojów i wód mineralnych. Rzucił butelka po butelce za siebie, wyraźnie się denerwując.

– Wszystkie są takie same! Psie jaja!

– Co jest takie same?

Dopiero teraz zauważył, że Maggie stała tuż za nim. Speszył się i zmienił szybko ton swojego głosu: – Nic takiego, po prostu popatrz sama. Odkręcił butelkę, obrócił ją do góry nogami, a jej zawartość, niczym zamrożona, nawet nie drgnęła.

– No wiem, widzieliśmy to już wcześniej.

– Tak, ale ty naprawdę musisz się czegoś napić, nie pozwolę, żebyś się odwodniła.

– Dam sobie radę, jestem twardą dziewczynką – uśmiechnęła się uroczo, a jej czarniutkie oczy błysnęły czarującym blaskiem. BB

rozmarzył się na ten widok, zapominając o ciągu dziwnych zdarzeń, które ich dzisiaj spotkały. Chociaż na chwilę chciał nie tylko odpocząć ciałem, ale również duchem.

Nie było mu to jednak pisane w tym momencie, ponieważ zza półki wyskoczył umazany czekoladą Piguła.

– Zjedzcie czekoladę, ona bardzo gasi pragnienie – uśmiechnął się, pokazując czarne zęby.

– Piguła! Jesteś obrzydliwy, schowaj się! – odwrócił się zezłoszczony BB.

– Mój mały tłusciutki przyjacielu, wróć lepiej do konsumowania słodczy i poszukiwania złotego biletu do fabryki Willy'ego Wonki. Ja im lepiej doradzę, co zrobić – zaskoczył ich wtopiony w tło Sierżant J. Cały czas stał obok nich, ale był tak zakamuflowany, że nikt go nawet nie zauważył. Schował się między dwójką sparaliżowanych, ubranych na zielono myśliwych.

– Ojeju! Ale mnie pan przestraszył! – Maggie chwyciła się za serce.

– Da da, da da, ewo ewo, spadaj, stary dziadu, na drzewo! – zarymował dumny z siebie Piguła i schował się za półką.

– Ja ci dam dziada! – podniósł głos Sierżant, by po chwili się uśmiechnąć. Wyraźnie bawiło go przekomarzanie z grubaskiem.

– Miał nam pan coś doradzić? – przypomniał mu BB.

– A tak, wszystkie płyny są niestety nienadające się do spożycia, jako że ich stan uległ dziwnym zmianom.

– To już wiemy.

– Ale nie wiecie, że pięknie migoczące na zewnątrz małe kuleczki są tak naprawdę kropelkami zatrzymanej w powietrzu wody.

– Skąd pan wie?

– Bo to ostatnia rzecz, jaką pamiętam zanim... mhm... ocknąłem się na... yyy... w tamtym dziwnym miejscu. Ale wiecie, co? Może lepiej mnie nie słuchajcie, ponieważ to one mogły mieć wpływ na moje zachowanie i zatracenie na chwilę poczucia czasu i świadomości... – złapał się za podbródek.

– Ja nie dotykałem tych kroperek, dziadku, a też podobno dostałem świra – odezwał się głos zmieszany z dźwiękiem rozpakowywanej



czekolady.

– Ja ci dam dziadka, chodź tutaj! Zaraz cię zawinę w sreberka i ustawię na półce z pączkami, gdzie twoje miejsce! – zapiał furiacko Sierżant. Widocznie tym razem naprawdę nie spodobało mu się, że nazywa go „dziadkiem”.

– To musiała być wina muzyki. Może teraz mocniej oddziałuje na naszą podświadomość albo ośrodkowy układ nerwowy? Nie wydaje mi się, żeby to była woda – zauważyła Maggie.

– Chodź, sprawdzimy. Ja spróbuję pierwszy. Gdyby coś mi się stało, to widziałem fajne duże patelnie dwa rzędy obok, mocne uderzenie na pewno szybko mnie dobudzi. Już kiedyś ćwiczyłaś na mnie wytrzymałość niektórych ciężkich przedmiotów, nieprawdaż? – uśmiechnął się pytająco BB.

Maggie się zarumieniła i kopnęła leżącą pod jej nogą niewielką butelkę. Poczula się zawstydzona. Nie chciała ciągnąć tego tematu.

– Dobra postawa! Podoba mi się, a teraz idźcie szybko, bo nie wiadomo, ile jeszcze mamy czasu. Za niedługo ruszamy do Bentwaters, musimy spróbować nadać sygnał do dalszych baz. Ktoś na pewno tam nasłuchuje – zasugerował Sierżant J. Zgodzili się z nim i zdecydowali się wyjść na zewnątrz.

BB wyszedł ze sklepu, krocząc pokornie za Maggie. Rozejrzeli się po okolicy i przez kilkanaście sekund w ciszy sprawdzali, czy są bezpieczni i czy nie ma w pobliżu żadnych nieproszonych gości.

Było bardzo cicho. Mgła otoczyła sklep i parking, sprawiając wrażenie jakiejś osłony przed światem zewnętrznym.

Tysiące sferycznych obiektów wisiało wokół nich. Nie różniły się zbyt wielkością, a ich średnia oscylowała w granicach dwóch centymetrów.

Stojąc tam, nie tylko poczuli się jakoś bezpieczniej – cała ta niezwykła otoczka stworzyła magiczną i romantyczną atmosferę.

– Nigdy nawet nie marzyłam, żeby stanąć w zatrzymanym w powietrzu deszczu. Tak często go widzimy i na niego narzekamy, że zdążyliśmy już zapomnieć, jakim jest cudem i błogosławieństwem. W lecie daje nam życie. Odżywia rośliny, glebę i oczyszcza powietrze. W zi-

mie natomiast zamienia się w przepiękny śnieg, który ogrzewa nasze serca. Och, czyż woda nie jest fantastycznym żywiołem? Popatrz tyłko, od tego momentu zawsze inaczej będę patrzyła na deszcz – dotknęła delikatnie jednej z wiszących na wysokości jej oczu kuleczek, a ona pękła jak bańka mydlana, uwalniając wodę, która rozlała się po jej palcu.

– Daj mi najpierw spróbować – powiedział BB i znalazłszy kilka wiszących obok siebie kropelek, wziął je do ust. Zamknął oczy i przeklnął ślinę. Nie ruszał się przez dłuższą chwilę, po czym otworzył szeroko oczy. Gwałtownie zaczął skręcać szyją, patrząc to w lewo, to w prawo. Podciągnął ręce na wysokość klatki piersiowej, schylił się, zginając lekko kolana i zaczął gdać jak kura. Skakał na dwóch nogach i ruszał głową do przodu i do tyłu.

Maggie nie mogła uwierzyć swoim oczom – nie spodziewała się takiej reakcji. Pomyślała szybko o patelni, o której wcześniej wspomniał. Stała jednak jak wryta.

Zbliżył się do niej i stanął dokładnie naprzeciwko.

Nie przestawał zachowywać się jak kura, ciągle ruszając głową w tył i w przód.

Maggie zaczęła się coraz bardziej denerwować, chciała już wołać o pomoc, kiedy BB stanął w bezruchu z dziwnie przekrzywioną głową. Mrugał szybko oczami, po czym przemówił:

– Ale... masz... ko...ko...kochany uśmiech – ryknął śmiechem.

Maggie zrozumiała, że przez cały czas stroił sobie z niej żarty, więc walnęła go lekko w ramię.

– Przepraszam, naprawdę nie mogłem się oprzeć – przetarł łzy, jakie napłynęły mu do oczu ze śmiechu.

– Ale jesteś głupi, po prostu głupi! Nasi przyjaciele zostali zatrzymanii, gonią nas jacyś kosmiczni psychole, a ty robisz takie numery?!

– Maggie, spokojnie, wszystko na pewno będzie w porządku. Słuchaj, sprawa wygląda tak: nie lubię twojego kolegi Jersey'a, ale wiem, że... Wiem, że jest bardzo dobrym pilotem i że jego walnięty brat zaopiekuje się Andy. Oczywiście nie możesz mu tego powtórzyć, zrozumiano? – pogroził jej ostrzegawczo palcem, po czym kontynuował

wał:

– Wiem, że Boogie i Red zostali sami w miasteczku. Ale naprawdę nie uważam, żeby działa im się jakaś krzywda. Serio – popatrzył w niebo i kiwnął dwa razy głową na znak, że sam wierzy we własne słowa. – Teraz możesz się śmiało napić. To trochę tak, jakbyś przegryzała winogrona. Nie są takie słodkie, ale są dość chłodne, więc nieźle orzeźwiają.

– Widzę właśnie, jak cię to pobudziło – skomentowała Maggie. – OK., spróbuję.

Zrobiła dwa kroki do przodu i zebrała kilka mniejszych kropek na język. Schowała go i delikatnie się oblizwała. Następnie wypuściła powoli powietrze z ust mówiąc:

– Ten dzień nie przestaje mnie zaskakiwać – deszcz jest naprawdę pyszny.

– A nie mówiłem? Zatem możemy zacząć?

Maggie skinęła głową i oboje rozpoczęli konsumpcję deszczowego orzeźwienia.

Ale ja ją uwielbiam – pomyślał BB rozmarzony, podczas gdy ona przechodziła delikatnie na paluszkach od jednego miejsca do drugiego. Przestał nawet na chwilę polować na krople i skupił się na obserwacji czarnowłosej dziewczyny.

Jak ja mogłem ją stracić? Zrobię dla niej wszystko, po prostu wszystko, i jeśli tylko zechce do mnie wrócić, będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

– Tak! – nie zdołał pohamować entuzjazmu, a słowo to mimochodem wyrwało się z jego ust.

– Hm? – Maggie obróciła się w jego stronę. Ona też czuła się inaczej, była bardzo zrelaksowana i dziwnie szczęśliwa.

– Co mówiłeś? – zrobiła krok do przodu.

– Mówiłem? Yyy – zarumienił się.

– No tak, jakaś bardzo pozytywna myśl spowodowała, że wykrzyknąłeś „tak!” – zakończyła, imitując sposób, w jaki on to zrobił.

Postawiła kolejny krok w jego stronę. Zaczął rozumieć, że ona naprawdę się do niego zbliża.



MaggieBB

Znam ten uśmiezek, znam ten uśmiezek – zaczął panikować, a jego serce niespodziewanie przyspieszyło.

Maggie czuła się bardzo szczęśliwa. Zapomniała na moment o całym świecie, zupełnie jakby wszystkie problemy rozplynęły się we mgle. Liczyło się tylko to niesamowite miejsce, migoczące kropelki zakłętego w czasie deszczu i jej były chłopak – BB.

Stawiała krok za krokiem, powoli zmierzając w jego stronę. Myślała o tym, żeby rzucić się w jego ramiona, ale nie chciała tego w żaden sposób po sobie pokazać. Od dawna marzyła o tym, żeby znów się do niego przytulić. Już tak dużo czasu minęło od ich rozstania. Popatrzyła w jego jasne szmaragdowe oczy. Przeszył ją dreszcz. Przeniosła wzrok na jego usta i sama z namiętności od razu przygryzła dolną wargę. Zbliżyła się do niego i chwyciła w dłonie jego gorącą twarz.

BB czuł niesamowite podniecenie, w brzuchu motylki znów rozpoczęły swój taniec. Łzy naszły mu do oczu. Nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie działo. Chciał jednocześnie płakać, śmiać się, kochać, całować i tańczyć. Zupełnie jakby ktoś po latach spędzonych w niewoli wypuścił go z ciemnej zimnej klatki na wolność. Uczucia, jakie w nim gościły, grały na nim jak na boskim instrumencie. Stał tylko w miejscu i wyobrażał sobie, że jest istną tęczą miłosnych barw. – Kochasz mnie? – zapytała czule i niespodziewanie.

Serce zabiło mu jeszcze mocniej, wszystko wokół zwolniło. Mrowienie rozchodziło się błyskawicznie po jego głowie, a motyle kontynuowały swój taniec w jego wnętrzu. Wydało mu się, że zaraz wybuchnie i wyrzuci z siebie istne cukierkowe konfetti. Było mu tak słodko.

– Zadałam ci pytanie, mój ty piękny zielonooki Angliku – spoglądała na niego uśmiechnięta: to na oczy, to na usta.

BB wiedział, co zaraz nastąpi, znał ruchy jej ciała lepiej niż Piguła znał nazwy wszystkich dostępnych w sklepach słodczy. Przymknął powieki i postanowił dać się ponieść tej niesamowitej chwili. Czekał na gorący i miękki pocałunek zwilżony kroplami deszczu. Chwila ta przeciągała się w nieskończoność, chciał musnąć

ustami jej ciało. Miał już otworzyć oczy, kiedy coś poczuł. Coś mocnego. Lecz zamiast na ustach doświadczał tego na swojej ręce, którą ktoś zaczął bardzo mocno ciągnąć. Obrócił się gwałtownie, a przed jego oczami jak w zwolnionym tempie Sierżant i Piguła machali rękami, pokazując palcami w drugą stronę. Maggie stała tuż obok, a jej czarne kręcone włosy zatrzymały się w ruchu, zupełnie jak w reklamie szamponu do włosów.

Och, jak ja lubię reklamy szamponów do włosów – rozmarzył się znów BB.

– BB! BB! BB!! – docierały do niego ledwo słyszalne dźwięki brzmiające jak jego imię. Był cały szczęśliwy i zupełnie nie zdawał sobie sprawy, w jakiej sytuacji się znalazł.

Dopiero, kiedy bardzo powoli odwrócił głowę, śledząc ruch włosów Maggie, zobaczył w tle coś, co go nagle otrzeźwiło. Czas przyspieszył, a on wziął głęboki oddech.

Jego uszy się odetkały, a motylki nagle uleciały z jego brzucha. Czar przysł.

– To te krople, mówilem! – podniósł głos Piguła.

– To ja mówilem, ty mamrotales, że ich nie polknąles, poza tym siedź cicho, bo nas jeszcze zobaczą! – J. zrobił bojową minę.

– Co ro–robimy? Może to Jersey? – wyjąkała Maggie.

– Do środka, szybko! Schowamy się! Nie ma co ryzykować! – rozkazał Sierżant.

Nie czekając ani chwili dłużej, opuścili parking i wbiegli z powrotem do budynku. Na parkingu natomiast kończył lądować czarny trójkątny statek – huk jego silnika rozbił wiszące w powietrzu krople, uwalniając istną ulewę wody.

W tle znajomy złowieszczy odgłos burzy rozdarł niebios.

## Rozdział 10

### Pojedynek

– Ida, Ida, Ida, Ida, Ida! – BB wybiegł bardzo szybko zza rogu. Poślizgnął się na błyszczącej podłodze, ale umiejętnie złapał równowagę, podpierając się jedną ręką. Pędził przed siebie z całych sił, starając się jednocześnie wymijać stojących w miejscu zatrzymanych zakupowiczów. Jego twarz nie zwiastowała niczego dobrego. Jego oczy i usta były szeroko otwarte wyrażając strach przed czymkolwiek uciekał.

Zbliżał się do centrum dużego pomieszczenia, w którym mieścił się supermarket. Na samym środku znajdował się rząd lodówek i chłodziarek ułożonych w okrąg. Wewnątrz niego przy niewielkim stole duży mężczyzna w zakrwawionym fartuchu trzymał zaciśnięte ręce nad głową. Czegoś tu jednak brakowało.

– Hej, gdzie jesteście?! – zawołał zadyszany BB.

– Psssst! Tutaj! – duża okrągła głowa wysunęła się spod niewielkiego stolika.

– Piguła, gdzie ty się schowaleś, do cholery?! – zapytał, wybaluszając na niego swoje zielone oczy.

– No pomyślałem, że może się to przydać – podniósł do góry tasak, który musiał wcześniej wyciągnąć z rąk zatrzymanego w miejscu rzeźnika.

– Mam nadzieję, że nie będzie potrzebny! Chowaj się, już! – machnęła ręką.

– Maggie, gdzie jesteś? Maggie? – zawołał półgłosem.

– Tutaj! – usłyszał dwa rzędy dalej.

BB rzucił się przed siebie i na kolanach prześlizgnął się między kilkoma półkami i stojącymi tam ludźmi.

– Gdzie dokładnie? – rozglądał się uważnie.

– Tutaj! – odpowiedziała mu ponownie. Głos zdawał się dochodzić

z miejsca tuż obok niego, ale nie mógł jej zobaczyć. Dopiero, kiedy jedno z dużych pudełek proszku do prania samoczynnie się przesu-  
nęło, zauważył jej twarz. Ukrywała się na najniższej półce za rzędem opakowań.

– Kto cię tam schował? Dobra kryjówka.

– To Sierżant J. Widziałeś ich? Mówisz, że idą? Boję się! – zapiszcza-  
ła cicho.

– Schowajmy się, na pewno nas nie znajdą i szybko znikną! O chole-  
ra, cicho! – przerwał, dostrzegłszy w szybie odbicie lewitującego Sza-  
raka.

BB stał na samym środku korytarza. Był widoczny jak na dłoni. Nie miał żadnej możliwości ucieczki. Obrócił się bardzo po-  
woli na kolanach i wolnymi, kocimi ruchami starał się oddalić w dru-  
gą stronę. Wiedział, że nie może panikować, inaczej na pewno zo-  
stalby zauważony.

Okropne sapanie powróciło. BB rozglądał się wokół siebie, starając się znaleźć jakieś miejsce do schowania. Był otoczony pół-  
kami i zatrzymanymi ludźmi. Nie było żadnej kryjówki, niczego, co mogłoby zapewnić mu jakąś osłonę. Powielenie pomysłu Maggie też było niemożliwe, gdyż narobiłby w ten sposób zbyt wiele hałasu.

Sapanie unoszącej się w powietrzu istoty stawało się coraz głośniejsze. BB dotarł do końca jednego z regałów i szybko schował się za jego bokiem. Wychylił głowę, zerkając na drugi koniec koryta-  
rza. Patrzył niecierpliwie w tę samą szybę, w której chwilę wcześniej zobaczył odbicie przerażającego wysokiego Obcego. Słyszał jego oddech.

Jednym okiem wypatrywał nadejścia nieprzyjaciela. Nie chciał być przez niego przyłapany. Czekał aż minie rząd półek, przy którym się znajdował, żeby móc szybko oddalić się w przeciwnym kierunku. Nagle coś szarpnęło nim do tyłu, łapiąc go za kark i za-  
krywając usta. Poczul się jak maskotka w łapach wielkiego niedźwie-  
dzia. Ogromna siła odchyliła jego głowę do tyłu. Zobaczył nad sobą Sierżanta – trzymał wskazujący palec przy ustach, sygnalizując, aby siedział cicho.



BB poczuł ulgę. Przez chwilę myślał, że to koniec. Żołnierz prawą dłonią wykonał kilka dziwnych znaków. BB pokręcił głową, dając mu do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Sierżant zamknął oczy, robiąc przy tym dziwną minę. Po chwili powiedział bezgłośnie: – Chodź za mną.

Podczołgivali się do przodu. Sierżant w pozycji leżącej szybko minął trzy kolejne rzędy regałów. Mimo swojej postury i wieku zrobił to bezszelestnie, zwinny niczym wąż.

Trzymał się nisko na ziemi, nie chciał ryzykować, że zostanie dostrzeżony. W końcu istoty te były wysokie na dwa metry. BB nie wiedział, gdzie dokładnie się kierują, ale robiło się coraz tłoczniej. Ilość zatrzymanych ludzi nagle się powiększyła. Starał się nadażyć za żołnierzem, ale nie był aż tak zręczny jak on. Łokciami podciągał się do przodu, wspomagając się przy tym nogami. Jedna ze stóp poślizgnęła się i kopnął nią w coś miękkiego. Kiedy gwałtownie obrócił się do tyłu, zdążył zarejestrować już tylko moment, kiedy słoik z dżemem truskawkowym rozbija się tuż za jego nogami na dziesiątki małych kawałków. Zrozumiał, że przypadkiem kopnął kobietę trzymającą niewielki koszyk wypełniony po brzegi różnymi produktami. Dżem musiał leżeć blisko samej krawędzi.

Huk roztrzaskiwanego szkła spowodował, że na moment zamarzył im serca. Sierżant, niewiele myśląc, chwycił czarnowłosego chłopaka za koszulkę i pociągnął do siebie. Dwoma mocnymi oddegnięciami prześlizgnął się między nogami kilku osób i w ten oto sposób znaleźli się po drugiej stronie zgromadzonego tłumu.

– Wstawaj! – szepnął ostro do chłopaka. – I nawet nie drgnij! – dodał.

Obje wyprostowali się i stanęli nieruchomo w tłumie gapiów.

BB dopiero teraz zrozumiał, jaki był plan. Znaleźli się tuż obok niewielkiej ławki, przy której odbywało się losowanie w jakiejś loterii. Dwie starsze kobiety, siedząc przy stoliku, uśmiechały się uroczo do stojącego przed nimi niewysokiego starszego pana. Trzymał w dłoni pileczkę z numerem cztery. Dwa rzędy żółtych zębów sta-

nowiły ramę dla wykręconego w uśmiechu języka. Pomarszczona, wykrzywiona twarz sugerowała, że wiwatował na cześć wygranej.

Zgromadzeni wokół ludzie obserwowali całe zdarzenie. Większość z nich również trzymała w rękach losy z różnymi numerami. Niektórzy mieli uśmiechnięte twarze, oblicza innych prezentowały grymas zazdrości. Zupełnie jak ten młody mężczyzna z dużymi zakolami, który zatrzymał się w czasie, targając blisko swojej twarzy kawałek żółtego papieru. Jego oczy były niewidoczne, całe zatopione w zwałach popaldowanej grubej skóry. Zęby miał tak mocno zaciśnięte, że z bliska można było dojrzeć na nich istne pęknięcie. To właśnie tuż zza tego faceta niespodziewanie wysunął się szary przyszły.

BB poczuł, że serce uderzyło tak jakby jakiś mały skrzat walnął młotem od wewnątrz jego klatki piersiowej. Jego całe ciało wpadło nawet w podobne wibracje. Obawiał się, że gdyby stał bliżej tamtego gościa, zostałby od razu zauważony. Głębokie syczące sapanie dopełniło całą tą już i tak mocno przerażającą atmosferę. – Nie zrób niczego głupiego, chłopcze – usłyszał cichą podpowiedź ze strony Sierżanta.

Szara paskudna istota zasyczała na widok roztrzaskanego słoika. Stała w miejscu. Jedyne jej ogromna głowa zaczęła się bardzo powoli obracać. Para czarnych wielgachnych oczu przeszukiwała teren, lustrując wszystkich sparaliżowanych ludzi. Robiła to bardzo spokojnie, starając się wylapać jakąkolwiek oznakę życia w uśpionym tłumie.

BB żałował, że nie zatrzymał się tylem do całego tego dramatu. Z drugiej jednak strony gdyby tak zrobił, mogło by to być podejrzane, ponieważ jako jedyny byłby w odwrotnej pozycji do całej reszty. Jego oczy zwrócone były w kierunku mężczyzny z potarganym losem i od tamtego momentu nie mógł już zmienić ich ułożenia. Kątem oka widział jednak ruchy poszukującej go, przerażającej postaci. Czuł, że jej głowa nie zmienia położenia od momentu, kiedy wyrównała się z jego twarzą.

Nie mrugaj, nie mrugaj! – walczył ze sobą w myślach. Wiedział, że

jedno mrugnięcie może kosztować go teraz życie. Długie ramiona zaczęły się kołysać. Sapanie wzmagało się. Jedna z rąk wyprostowała się tak szybko, że aż cały zadrżał. Szara głowa błyskawicznie odskoczyła na bok, a długa ręka precyzyjnie wystrzeliła w przeciwnym kierunku. BB, widząc to, od razu skierował wzrok w tamtą stronę. Długa igła wystająca z szarej ręki wylądowała głęboko w oku jednego ze stojących obok mężczyzn. Był to jeden z tych myśliwych, koło których wcześniej stali. Być może skojarzył wzór moro i poszukują teraz żołnierzy? – pomyślał BB.

No to koniec – zmartwił się, patrząc na mundur stojącego tuż obok Sierżanta.

Bulgoczący dźwięk połączony z mlaskaniem wtórował zagłębianiu się głębiej w jego czaszkę. BB spojrział na Sierżanta, szukając u niego odpowiedzi na to, co powinni teraz zrobić. Żołnierz poruszył spokojnie oczami od lewej do prawej. Jego usta natomiast bezgłośnie powiedziały – „czekaj”.

Kolejny mlaskający dźwięk oznajmił im, że Obcy penetruje głowę drugiego myśliwego. BB wiedział, że jeśli ma rację, to kolejna igła wyląduje zaraz w oku Sierżanta. Chciał coś zrobić, ale w gruncie rzeczy nie wiedział, jak ma zareagować. Wrócił wzrokiem do komandosa, ale ku jego zdziwieniu już go tam nie było.

Znów te sztuczki ninja... Jak on to robi? – zastanawiał się. Już miał spojrzeć z powrotem na Szaraka, kiedy poczuł gorący sapiący oddech tuż przy swoim uchu.

Skamieniał.

Jego wnętrzości zacisnęły się. Istota stała kilka centymetrów od niego. Węszyła w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem znajdował się Sierżant. Jej ręce falowały. Z koniuszków palców kapą na ziemię krew. Istota głośno i obrzydliwie zasyczała. Była bardzo podirytowana. Drugi głośny syk nadszedł kilka metrów za ich plecami. BB był w pułapce – wiedział, że nawet najdrobniejszy ruch może kosztować go teraz wszystko. Oczy miał szeroko otwarte i mimo ogromnego skupienia, już ledwo opierał się potrzebie mrugnięcia. Poczul, że z całego tego wysiłku lzy zbierają się w jego oczach. Była to tylko

kwestia sekund, zanim spłyną po jego policzkach. A później to już tylko moment, zanim się zorientują. Pomyślał o Maggie i o tym, jak bardzo chciałby ją teraz przytulić i pocałować.

Niespodziewany odgłos tłuczonego szkła rozproszył nagle jego myśli. Nadszedł z drugiego końca marketu. Dwójka szarych postaci, wydobywając z siebie kolejny syk, odskoczyła od niego. Pospieżyli odlatując w miejsce nadejścia hałasu. On natomiast mógł na chwilę odetchnąć z ulgą.

Na środku dużego pustego korytarza, między półkami z papierem toaletowym a środkami chemicznymi, stał Sierżant J. Celowo wybrał to miejsce. Tamtego dnia zakupowicze byli zbyt zajęci swoją loterią i kupowaniem artykułów spożywczych, żeby zajrzeć na dział przemysłowy. Jego plan zakładał odciążenie dwóch szarych Obcych jak najdalej od nastolatków i niczego nieświadomych, zatrzymanych w ruchu ludzi.

Sierżant był bardzo spokojny, stał skupiony czekając na ruch wroga. Jego wnętrze było wyciszone, nieludzko rozluźnione, zupełnie jakby szykował się na dłuższe posiedzenie na tronie, a nie walkę na śmierć i życie. Od lat studiował starożytne japońskie sztuki walki – szczególnie upodobał sobie ninjutsu. Technika ta idealnie wpasowywała się w jego charakter, wymagała nieprzeciętnej dyscypliny i cierpliwości. Stosowana przez najemników oraz wojowników ninja, sprawdzała się idealnie w szpiegostwie, infiltracji oraz cichych zabójstwach. Prawdziwy Shinobi – bo tak nazywał się wojownik ninja – potrafił tak skutecznie wtopić się w otoczenie, że stawał się całkowicie niezauważalny. Poruszał się bezszelestnie, pewnie i nieomylnie. Był tak zdeterminowany i zdyscyplinowany, że mógłby spędzić nieruchomo kilka dni w jednym miejscu, czekając na swój cel. To był rodzaj walki, jaką Sierżant J. preferował – cicha, tajna, a przede wszystkim skuteczna. Już od dawna miał zamiar przedstawić swoje umiejętności jakimś wrogom i teraz nadarzyła się ku temu idealna okazja.

Dwójka szarych, chudych i bardzo wysokich przybyszów zatrzymała się kilka metrów przed żołnierzem. Lewitując kilkanaście

centymetrów nad ziemią, wisieli w bezruchu. Nie okazywali żadnych emocji. Ich nienaturalnie długie ręce zwisały swobodnie wzdłuż polyskującego ciała, podczas gdy duże dzbanowate głowy nie zmieniały pozycji. Syczące oddechy pojawiały się na przemian co kilkanaście sekund. Nic nie wskazywało na to, że szykują się do ataku do momentu, aż całe rzędy długich igieł wysunęły się bezszelestnie z ich palców. Gdyby nie całkowite skupienie, Sierżant nie zobaczyłby nawet światła, które błysnęło podczas ich wysuwania.

Nie czekając ani chwili dłużej, ruszył do przodu niczym lampart. Zaskoczył Szaraków swoją prędkością, bo zanim udało im się wyciągnąć przed siebie ręce, on był już pod ich nogami. Prawą ręką uderzył pionowo do góry, prościutko w szary podbródek. Kiedy go trafił, doznał dziwnego uczucia, jakby boksował z jakimś miękkim workiem treningowym. Duża głowa odskoczyła, a lewitujące ciało Obcego zachwiało się jak dwumetrowy kręgiel. Nie mając dużo czasu na zastanowienie, podskoczył i posłał lewą rękę prosto w czarne wielgachne oko drugiego Szaraka. Ku swojemu zaskoczeniu, przywalił tak mocno, że wbił mu oko do środka, a dłoń wleciała głęboko do jego wielkiej głowy. Poczul ucisk w swojej ręce, jakby coś go złapało. Zablockował się w czarnym oczodole do samego łokcia. Starał się wyrzucić swoją rękę, lecz było nie było to łatwe. Kątem oka dojrzał, że drugi Szarak już szykuje się do kontrataku, a jedna z jego dłoni już sunie do przodu. Zrobił unik, a iglasta ręka minęła go w odległości centymetra.

Szary połuskany balon, w którym był zablockowany, powoli obrócił się w jego stronę i popatrzył na niego jednym wielkim okiem. Obcy nie okazywał żadnych emocji, zero bólu, zupełnie jakby nic się nie stało. Wielgachna szara ręka wbiła się w jego prawe ramię, przebijając je igłami na wylot. Sierżant nie miał nawet chwili na to, żeby zarejestrować jakikolwiek ból, podskoczył do góry i oparł obie nogi na klatce piersiowej szarej istoty. Zaparł się najmocniej, jak tylko mógł, i odpychając się z całej siły nogami, wyswobodził się z czarnego oczodołu. Pchnął mocno Szaraka, który wpadł na stojącą obok

półkę. Sierżant J. natomiast wybił się do tyłu i lupnął twardo plecami o ziemię.

Ramię mu obficie krwawiło, możliwe, że jeden z jego kręgów również się przesunął, lecz nie było to ważne. Liczyło się tylko to, że udało mu się wyswobodzić i że może kontynuować swój plan. Jedyne, co zdażył zrobić, to uklęknąć na jednym kolanie, podczas gdy drugi Szarak leciał już na niego z nadludzką prędkością. Jedną ręką mierzyła prosto w jego głowę. Zablokował ją przedramieniem. Druga kończyła była tuż za nią. Również ją zablokował. Szarak nie przestawał. Smagał go rękami niczym wierzba gałęziami podczas okropnej wichury. Ręce Sierżanta były już całe zaczerwienione od przyjmowanych ciosów. Nie poddawał się. Czekał na odpowiedni moment, kiedy będzie mógł skontrolować. Szarak był mocny, ale nie był mistrzem sztuk walki, walił na oślep to jedną, to drugą łapą. Sierżant po kilkudziesięciu uderzeniach poznał już luki w jego taktyce i blokując ostatni cios, przykucnął, mijając następne, a swoje ręce posłał prosto w okolice brzucha nieprzyjaciela. W przeciągu 2 sekund uderzył go kilkanaście razy, po czym zakończył jednym ogromnym masywnym uderzeniem zwieńczonym lwim rykiem. Musiało być potężne, ponieważ Szarak po jego przyjęciu wywrócił się.

– To za Bambi, ciecium! – krzyknął Sierżant J. w amoku walki.

Pozwolił sobie na jedynie sekundę odpoczynku i szybko wrócił wzrokiem do drugiego przybysza. Zaciekawilo go, że nie dołączył jeszcze do pojedynku. Chwilę potem już wiedział, dlaczego. Obca istota szła w drugą stronę i rozwalala całą półkę, kawalek po kawalku.

Marsjański śmierzdel już wyczuł Maggie – pomyślał, a jego policzki zapłonęły gniewem.

– Ej, ty mumio z Marsa, chodź tu! – zawrzeszczał, ale nie doczekał się żadnej reakcji ze strony nieprzyjaciela. Wiedział, że musi działać szybko, zanim tamten znajdzie Maggie.

Sierżant J. zrobił głęboki wdech i wydech, wypluł gęstą zakrwawioną ślinę i wystartował ponownie. Biegnąc przed siebie, postanowił wykorzystać moment i jedną nogą z całej siły naskoczył na

głowę leżącego tuż obok Szaraka. Odbił się od niej jak od gigantycznej gumowej piłki i wyskoczył tak wysoko, że aż za wysoko. Zamiast, jak zaplanował, wlecieć lokciem w plecy nieprzyjaciela, poszybował tuż nad nim. Zrobił salto i spadł na ziemię, lądując tyłem na obu nogach. Wyczyn ten zwrócił uwagę wściekłego przeszukującego półki Obcego.

– No i co, szare ścierwo? Zrobisz tak? – zapytał dumny z siebie Sierżant.

Uśmiechnął się, ale już ledwo maskował ból, który coraz bardziej mu doskwierał. Nagle tępe uczucie zimna i tryskająca w górę krew zmusiły go do złapania się za ramię. Musiał zatamować krwawienie. Chwila nieuwagi drogo go kosztowała. Szary miał dość tej zabawy i wbił rękę w to samo ramię, które wcześniej zranił. Sierżant krzyknął z bólu.

– Niiieee! – pisnęła niespodziewanie Maggie.

Szarak szybko odwrócił głowę od Sierżanta i skoncentrował się z powrotem na dziewczynie.

– Nawet o tym nie myśl, ty szara gnido! – warknął J. i wyskakując do góry, chwycił obiema nogami długą szarą rękę. Zakleszczył ją tak, że przeważył całe jego ciało i ściągnął je na ziemię. Obcy uderzył przodem o brudną posadzkę. Mimo tego próbował się jeszcze wyswobodzić drugą ręką.

– Zaraz ci pokażę, jak bardzo Ziemianie są przyjacielscy, popatrz tylko, jak się przytulamy! – wycedził ostro przez zęby i odpychając się nogami, położył się na plecach Szaraka. Łuskowata ręka złamała się w pół jak gruba gałąź suchego drzewa. Wiedział, że go uziemił. Już miał łapać go za drugą rękę, gdy zorientował się, że kolejny szary już podlatuje do Maggie.

– Twardy z ciebie zawodnik, przeterminowany żelku – powiedział pod nosem i wstał.

Maggie siedziała na ziemi i przebierała nogami, próbując zwiększyć dystans między sobą a nadchodzącym Obcym. Ten jednak zbliżał się bardzo szybko. Za szybko, żeby udało się od niego uciec. Chwycił ją mocno za szyję i podniósł bez żadnego wysiłku, zupełnie

jakby była plastikową, nic nieważącą lalką. Chciała krzyknąć, ale gardło miała tak ściśnięte, że trudno jej było nawet złapać oddech. Wła się, kopała nogami i wymachiwała rękami, robiła wszystko, żeby w jakiś sposób się wyswobodzić. Przeraziła się jeszcze bardziej, kiedy zobaczyła, że idący na jej pomoc Sierżant J. został uderzony znie-nacka przez leżącego za nim Szaraka. Potężny cios, jaki otrzymał, posłał go na odległość kilku metrów w powietrze, a zatrzymał się dopiero na grzbiecie jednego z regałów. Maggie panikowała – wiedziała już, że Sierżant nie będzie mógł jej pomóc. Wielkie, czarne, jajowate oczy wpatrywały się z bliska w jej twarz. Mimo, że nie widziała przejawów żadnych emocji w tej bezlitosnej istocie, czuła, że Obcy musi się tym ekscytować, a może i podniecać, podczas gdy szara, pokryta srebrnymi luskami skóra rumienila się i delikatnie falowała.

Ciemnobrazowe oczy Maggie zaszyły łzami i całe zalały się czerwienią. Dusila się. Czerń zaczęła zakrywać jej pole widzenia i czuła, jak powoli osuwa się w ciemność. Nagle coś nią potrząsnęło i upadła na ziemię. W tle usłyszała wrogo nastawiony, męski głos, który wrzeszczał:

– Zostaw ją, to moja dziewczyna!

BB stał naprzeciw ogromnego, przerażającego monstrum. Udało mu się wykorzystać element zaskoczenia i uderzyć szarego barkiem tak mocno, że wypuścił ze swojego uścisku Maggie.

Stal teraz sam na sam z mocniejszym i zabójczym przeciwnikiem. Jego duże jasnozielone oczy płonęły nienawiścią. Był gotowy stoczyć tę walkę, nie bał się. Adrenalina tak bardzo go napędzała, że czuł, że może wszystko. Strach był ostatnią rzeczą, której mógłby w tamtym momencie doświadczyć. W rękę za plecami trzymał spód stłuczonego słoika po dzemie truskawkowym. Szkło ułożyło się w kształt ostrego, śmiertcionośnego czerwonego tulipana. Dżem kapal na ziemię, robiąc miejsce dla poszarpanej skóry i szarego mięsa, które miały zaraz go zastąpić. Wiedział, że wygranie tego pojedynku będzie trudne, ale nie miał wyjścia. Postanowił walczyć do samego końca.

Obcy wykonał ruch jako pierwszy, wyprowadzając rękę prosto w kierunku twarzy BB. Spodziewał się próby zablokowania ciosu,



szczególnie po wcześniejszej walce z Sierżantem. Lecz nie przewidział, że zamiast na ciało natrafi na skrawek ostrego jak brzytwa szkła. BB był niesamowicie szybki, spodziewał się tego ruchu. W momencie, gdy odczytał zamiary przybysza, wystawił przed siebie rękę i zaparł się mocno nogami.

Pod wpływem ogromnej siły i prędkości Obcy sam nadal temu szklanemu przedmiotowi mocy, która rozcięła jego długą ohydną rękę na pół. Tym razem ból musiał dać mu się we znaki, ponieważ zawył tak rozpaczliwie, że fala dźwiękowa przeszła ich wszystkich do samych kości. Było to coś na kształt zmienionego na elektronicznym syntezatorze wycia zranionego wilka. Szarak przestał wrzeszczeć i padł na kolana. Głowę skierował prosto na BB, a jego czarne oczy zgasły, zmieniając barwę na ten sam odcień co jego skóra. Ciało osunęło się na ziemię i znieruchomiało. Momentalnie wyschło, stając się szorstkie, pokurczone i podobne do powykęcanych konarów drzewa.

BB stał wciąż z wyciągniętą przed siebie ręką. Spetryfikowany ze strachu, starał się ogarnąć to, co przed chwilą się wydarzyło. Nigdy wcześniej nikogo nie zranił, nie mówiąc już o zabiciu. Sam nie wiedział, co o tym myśleć, w końcu przecież robił wszystko w samoobronie. Poza tym nie był nawet pewien, czym była ta istota. Był zmieszany i skolowany, świat nagle zawirował, a on czuł i słyszał wszystko jakby w zwolnionym tempie.

Wszystko to nie było jednak ważne, bo gdy popatrzył na leżącą na ziemi Maggie, poczuł się jak prawdziwy mężczyzna broniący swojej ukochanej.

– Paaaaaadniiiiij! – niski głos dochodzący zza jego pleców zaalarmował jego zmysły. Towarzyszył mu rotacyjny świst jakiegoś lecącego przedmiotu.

Osunął się na ziemię i obrócił za siebie. Tuż za nim unosił się gotowy do ataku Szarak. Jego złamana ręka zwisała w upiorny sposób. Jego głowa natomiast odwracała się właśnie w drugą stronę, również



**P**  
IGUŁA

próbując zidentyfikować dziwny świst. Dla niego było już za późno. Ogromny tasak wbil się głęboko między jego czarne jak smoła oczy, a jego ciało tępo runęło na ziemię.

BB patrzył jak osłupiały na stojącego trochę dalej Pigułę, który rzucił tym rzeźniczym narzędziem.

– A jednak się przydało – skomentował celne trafienie, po czym wywrócił oczami i momentalnie zemdlął.

BB cofnął się trochę z miejsca, na które spadł Obcy i do końca bacznie go obserwując, upewniał się, że jego ciało obumrze. Nie zauważył nawet, że jego dłonie tak bardzo się trzęsły, że upuściły resztki umaczanego w szarej substancji szkła. Nie poczuł również, że Maggie go przytuliła. Nie mógł też zrozumieć ani słowa z tego, co do niego mówiła. Był w kompletnym szoku. Szoku, od którego był w stanie się uwolnić dopiero po kilku minutach.

– Biii, słyszysz mnie? Boże... Nic do niego nie dociera – mówiła szybko i nerwowo Maggie.

– Jesteś pewna, że nic mu się nie stało? Może ten szary w jakiś sposób go zranił? – pytał stojący obok Piguła.

– Niby jak? Oglądęłam go z każdej strony, nie ma żadnej rany.

– Nie wiem, może użył jakiejś micro atomowej broni, która roztrząskała jego serce na poziomie molekularnym?

– Zamknij się! Za dużo oglądasz tych tanich seriali *sci-fi*. Nic mu nie jest, po prostu jest w szoku – odpowiedziała ostro i odepchnęła go ręką.

– Oke-eeeej – przeciągnął sarkastycznie, po czym dodał: – Dobra, idę zobaczyć, co u starego, muszę go sprawdzić, bo przykleił się do szyby jak wygłodniały glonojad – i ruszył na drugi koniec sklepu.

– Nie mamy dużo czasu, musimy opuścić to miejsce. Jest duża szansa, że wysłali już posiłki – odezwał się Sierżant, kiedy wyczuł obecność nadchodzącego grubaska.

Stał pod oknem i dokładnie przeczesywał parking wzrokiem. Jego prawe ramię było całe zabandażowane, a na głowie pojawił się niewielki fioletowy guz. Piguła podszedł do niego, stanął obok i popa-

trzył do góry na jego twarz. Zaczepnął powietrza, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołał wydusić tego z siebie za pierwszym razem.

Odwrócił wzrok w drugą stronę i westchnął bezradnie.

– Dobrze się spisałeś, pączusiu – mruknął cicho Sierżant.

Oczy Piguły natychmiastowo błysnęły i zapaliły się do walki, zanim jednak zdołał mu odpyskować, ugryzł się w język i zrozumiał, że to tak naprawdę był komplement.

W odpowiedzi wykrzywił buzię i popatrzył groźnie na komandosa, mówiąc:

– Ty też, dziadku.

Sierżant, słysząc to, schylił się błyskawicznie i przystawił swoją twarz bardzo blisko Piguły. Wpatrywali się groźnie w swoje oczy, nie odpuszczając ani na moment. Dopiero po trwającej kilkanaście sekund chwili J. odpowiedział:

– Dzięki – i wyprostował się.

Piguła, widząc jego reakcję, zrobił głupią minę i pomyślał: Cholera, a już myślałem, że to jakiś le–lu–li–le–lo–żołnierz ge–jo i będzie chciał mnie pocałować czy coś.

– Masz dobry zamach. Sposób, w jaki go posłałeś do piachu... – przerwał na chwilę tylko po to, aby dodać: – podobał mi się. Ćwiczyłeś kiedyś rzucanie?

Piguła, słysząc to pytanie, otworzył szerzej oczy, zmarszczył brwi i naciągnął dolną wargę na górną, przy czym jego uszy lekko się podniosły. Jego twarz na moment zamieniła się w sowią, i to nie dlatego, że chciał zabłysnąć mądrością, ale dlatego, że nie mógł zrozumieć, co Sierżant tak naprawdę od niego chce. Od momentu, kiedy się poznali, nie minęło więcej niż dwie godziny i przez cały ten czas nie przestawał mu dokuczać. Teraz jednak jego nastawienie miałoby się całkowicie zmienić? Piguła czuł w tym jakiś podstęp i postanowił obrać nową strategię.

– Tak, ćwiczyłem – odpowiedział.

– O, a to ciekawe, chciałbyś może o tym opowiedzieć?

– Nie ma o czym opowiadać, wygrałem Ogólnobrytyjskie Mistrzostwa w Rzucie Kulą w tamtym roku – kończąc zdanie, delektował się

widokiem wolno opadającej szczęki Sierżanta.

– Co? Myślałeś, że tylko tacy lalusie jak Jersey i Ice mogą coś osiągnąć? – rzucił opieszale.

– Maggie? – BB powiedział cicho zaraz po tym, jak otworzył oczy.

– Biiii! W końcu! Jak się czujesz? Wszystko w porządku? Nic cię nie boli? – Maggie zarzuciła go od razu pytaniami. On jednak nic się nie odezwał. Wlepil w nią swoje oczy i milczał.

– No mów coś! Tylko nie strzel głupoty, że jesteś w niebie i widzisz anioła! – uśmiechnęła się do niego. – To, co zrobiłeś, było bardzo odważne. Uratowałeś mnie. Rzuciłeś się na tę okropną istotę z taką siłą... Ach, dziękuję ci. Biiii? Proszę, odezwij się – wpatrywała się w jego oczy błagającym wzrokiem. Czekala niecierpliwie na jakąkolwiek odpowiedź. Była przejęta i zmartwiona. – No powiedz coś, do jasnej cholery! – wrzasnęła głośnie, nie wytrzymując już tego napięcia.

BB otworzył usta i wyszeptal coś niezrozumiale.

– Co takiego? – zapytała i nachyliła się niżej nad nim.

– Tak długo... – powiedział cichutko.

– Co mówisz? Co długo? – zbliżyła się jeszcze bardziej.

– Tak długo na to czekałem...

– Na co czekałeś tak długo? – przystawiła ucho do jego ust.

– Na to, aż znów powiesz do mnie... Biiii.

Maggie, słysząc to, cofnęła głowę do tyłu i szybko się wyprostowała. Jej twarz cała zapłonęła czerwinią, a policzki purpurą. Nie wiedziała, co myśleć. On miał rację. Ostatnim razem nazwała go tak dzień przed ich rozstaniem. Było to tak dawno temu, że rok ten wydawał się trwać co najmniej dekadę.

– Zostawiłeś mnie – powiedziała cicho, a jej głos lekko się załamał.

– Przepraszalem Cię już tyle razy, i przepraszę raz jeszcze. Przepraszam, że musiałem wyjechać. Naprawdę. Gdybym mógł cofnąć czas... A poza tym wróciłem specjalnie dla ciebie.

– To nieważne, że wróciłeś. Zostawiłeś mnie. Przyszedłeś do mnie wieczorem i powiedziałeś, że musimy się rozstać, bo wyjeżdżasz.

– Przepraszam cię, skarbie – powiedział i położył dłoń na jej policzku.

– Nie mów do mnie „skarbie”! – wrzasnęła i zrzuciła jego rękę. – Jak mogłeś wybrać ją zamiast mnie?!! – podniosła jeszcze bardziej głos.

Krzyki musiały dotrzeć na sam koniec sklepu, ponieważ Sierżant i Piguła wyskoczyli zza rogu jednej z półek jak dzikie koty.

– Co się dzieje? Atakują nas? – zapytali, stojąc zatrzymani w postawach bojowych.

– Wyńście się stąd, TERAZ!!! – krzyknęła na nich tak głośno, że fala dźwięku niemalże cofnęła ich do tyłu.

– OK, panienko, już idziemy – powiedział Sierżant i wzięwszy Pigułę za przedramię, wrócił do miejsca, z którego przybiegli.

– Ufff, takie sytuacje przypominają mi, dlaczego zdecydowałem się zostać kawalerem – oznajmiał J.

– Ty, widziałeś to? Coś tam blysło! – przerwał mu Piguła.

– Co blysło?

– Nie wiem, tam na parkingu, za tym zielonym autem, coś tam blysło na złoto.

– Chodźmy to sprawdzić! Acha, i nie mów mi na „ty”. „Proszę pana” lub „panie Sierżancie” wystarczy – zagroził mu palcem.

– Pocałuj mnie w koko! Nie jesteś moim Sierżantem. Idziesz czy nie, dziadku?

– Pamiętaj, że podczas wojny obowiązują inne zasady i jako wojskowy będę mógł zrobić z tobą, co będę chciał, więc lepiej zmień swoje nastawienie.

– Jakiej wojny? Weź mi nie mów starcze, co... – Piguła kontynuował kłótnię, ciągle kierując się w stronę drzwi wejściowych. Im bardziej się oddalali, tym bardziej ich głosy zaczęły cichnąć.

– Zostawiłem cię dla niej, wiem, przepraszam, ale to była presja, jaką wywierał na mnie mój ojciec. Musiałem to zrobić dla niego – ciągnął dalej BB.

– Udowodniłeś, ale tylko to, że mnie nigdy nie kochałeś!

– Nieprawda!

- Prawda! Nie mamy, o czym rozmawiać. Zerwałeś ze mną. Nikt nigdy w życiu mnie tak nie upokorzył. Wszyscy się ze mnie śmiali. Każda dziewczyna mnie obgadywała. Ukazała się nawet moja karykatura w waszej gazetce szkolnej! – zapiała, kończąc to zdanie.
- Jesteś niesprawiedliwa.
- Niesprawiedliwa? Inne twoje były dziewczyny przynajmniej rzucały dla kolejnych lasek. A ja? Przecież wiesz, jak te wszystkie lachony mnie nie cierpia! Daleś im tylko powód do zrobienia ze mnie pośmiewiska. Rzucić mnie dla piłki nożnej?... – i zapłakała.
- Maggie, naprawdę mi przykro, to było przez mojego ojca. Wiesz, w jakim on był złym stanie po odejściu mamy? Jedyne, w czym pokładał nadzieję, to we mnie, nie chciałem sprawić mu zawodu. On tak bardzo chciał, żebym poszedł do tamtej szkoły. Bałem się, że będąc daleko, nie damy rady. Związki na odległość nie działają, nie wytrzymują próby czasu, szczególnie, gdy się ma 15 lat...
- Mogliśmy chociaż spróbować!
- Ale ja chciałem spróbować! Dlatego rzuciłem szkołę i wróciłem do ciebie. Nie mogłem się skupić. Nie mogłem grać. Nie mogłem żyć bez ciebie, Maggie. Uwierz mi, proszę.
- Nie. Nie mamy o czym rozmawiać.
- Nie bądź taka. Proszę, daj mi szansę. Już pół roku tutaj jestem. Od momentu, kiedy wróciłem, nie tylko traktujesz mnie jak kogoś złego, ale wręcz kogoś, kogo wcześniej nie znałaś. Jersey... To wszystko jego wina. Zobaczył, że jesteś wolna i od razu zaczął ci mieszać w głowie. Od dawna jest w tobie zakochany. Do tego jeszcze...
- No, powiedz, co jeszcze? Powiedz! – podniosła zalawioną twarz z dłoni.
- Nic...
- Powiedz! Widzisz, i znów wszystko się sprowadza do piłki nożnej! Nie możesz tego przeżyć, że nie tylko on teraz jest moim przyjacielem, ale również wygrał z tobą w mistrzostwach międzyszkolnych. Twoja duma nie może tego znieść, i to właśnie dlatego chcesz mnie odbić. Wziąć dla siebie jak... jak... jak jakieś trofeum! Puchar czy coś!!
- Maggie...

– Nie przerywaj mi teraz!!! Nie pozwolę, żebyś mnie znów skrzywdził. Kochałam cię całym sercem, wierzyłam w ciebie i twoje kłamstwa. Dlaczego musiałeś to zniszczyć? Mieliliśmy wszystko... – pośpęnie urwała zdanie i znów zwiesiła głowę.

– Maggie, nie mów tak. To wszystko nieprawda. Nie jesteś żadnym trofeum. Kto ci nagadał takich rzeczy? Na pewno tak nie myślisz. Jesteś po prostu zmęczona. Ten dzień jest dla nas... wyzwaniem, testem... yyy... jakimś sprawdzianem. Przecież wiesz, że nic nie dzieje się przypadkiem. To nie może być zbieg okoliczności, że tak się dzisiaj spotkaliśmy, że przeżywamy te wszystkie nieprawdopodobne rzeczy.

– Jesteś draniem... – powiedziała bardzo cicho.

– Słucham? – BB otworzył szerzej oczy, a jego serce zadrżało.

– Jesteś draniem, wszystko, co mówisz, boli. Między nami nic już nie ma.

– Maggie, proszę, nie wiesz, co mówisz, jesteś po prostu zła. Tam na parkingu, to było prawdziwe. Prawie się pocałowaliśmy. Zapytałaś, czy dalej cię kocham, to było takie... takie...

– Sztuczne!... Byliśmy pod wpływem jakiegoś dziwnego zjawiska. Nie robiliśmy tego świadomie.

– Nieprawda.

– Odszedłeś, nie dzwoniłeś, nie próbowałeś i nagle po kilku miesiącach pojawiłeś się z powrotem. Czego się spodziewałeś, że wbiegnę od razu w twoje ramiona? Nie wiem, jakie bajki rodzice ci czytali, jak byłeś małym chłopcem, ale to nie jest jedna z nich. To jest życie. Krzywdzisz kogoś, to musisz ponieść tego konsekwencje. Musisz dojrzeć. Przestać być tym małym chłopcem, który dostaje zawsze to, czego chce – zatrzymała się na chwilę i zaraz potem uniosła głowę, popatrzyła głęboko w jego oczy i zapytała:

– Powiedz mi jedno, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział niepewnie. Czuł, że za chwilę usłyszy ciężkie do przełknięcia pytanie. Wywróżył to z tonu jej głosu, tak dobrze ją znał.

– Powiedz mi, że ten dół, do którego wpadli dzisiaj Jersey i Ice, nie



był twoim wynalazkiem. Powiedz mi, że to nie była zemsta za przegrane zawody.

BB patrzył prosto w jej zalzawione brązowe oczy. Jej źrenice poruszały się szybko, koncentrując się to na lewym, to na prawym jego oku. Zagryzł mocno zęby i zacisnął szczękę. Wiedział, że nie wybrnie z tego cały, ale postanowił zaryzykować i powiedzieć jednak prawdę.

– Tak, to moja wina. To miał być tylko głupi żart – tym razem to on zwiesił głowę.

– Nie spuszczaaj ze mnie wzroku. Nie teraz. Chcę, żebyś na mnie patrzył.

BB podniósł brodę do góry i spojrzał na nią wzrokiem małego szczeniaczka, który coś przed momentem przeskrobał.

– Nie patrz na mnie takim wzrokiem. To już nie działa. Widzisz, co jesteś w stanie zrobić dla piłki? Oni się mogli połamać albo jeszcze gorzej. Jesteś nieprzewidywalny i nienormalny.

– Maggie, nie wierzę w to, co mówisz, po prostu nie wierzę. Na pewno całe to uczucie... nie mogło tak po prostu zniknąć. No chyba, że...

– Słucham? – zapytała Maggie.

– No chyba, że ty i Jersey... że wy... razem. Powiedz mi tylko prawdę i przestaną.

Maggie przymrużyła oczy i poruszyła lekko swoim zadartym nośkiem. Nie wiedziała, co powiedzieć. Była zmieszana, rozkojarzona emocjonalnie i rozbita. Jeszcze tego samego ranka była pewna swoich uczuć. Jej nienawiść do BB była tak mocna, że nic nie wskazywało na to, że cokolwiek może to zmienić. Wystarczyło jednak spędzić z nim kilka godzin. Posłuchać jego głosu. Wspomnienia same powróciły, a wraz z nimi wszystkie te pocałunki, przytulenia, sekrety i obietnice. „Stara miłość nie rdzewieje” – mawiała zawsze jej babcia. Teraz już mogła powiedzieć, że wie, co to oznacza. Od czasu rozstania z BB nie miała nikogo. Przyrzekła sobie, że zostawi sprawy sercowe na jakiś czas. Nie było to jednak takie łatwe. Maggie wiedziała o Jerseyu. Podkochiwał się w niej już od dawna. Ona mimo

tego, że nie pokazywała niczego po sobie, zaczęła również coś do niego czuć. Jakaś jej część ucieszyła się na myśl o tym, że BB jest zazdrosny. Zastanawiała się, czy nie wykorzystać tego i nie przyznać mu racji. Powiedzieć, że ona i Jersey mają coś do siebie. Z drugiej jednak strony widziała, że się stara. Uratował ją przecież i niósł na rękach taki kawał drogi. Ryzykował swoje życie dla niej, broniąc ją przed Obcym. To musiało coś znaczyć. Iskierka miłosego ogniska, które myślała, że już dawno zgasło, zapłonęła na nowo. Nie chciała jednak ułatwiać mu za bardzo wszystkiego. Nie zasługiwał jeszcze na to. Nie chciała również ranić Jersey, który od tak dawna o nią zabiegał. Jej serce było podzielone, rwało się w dwie strony. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Zdecydowała przemilczeć to pytanie.

BB, widząc to, przelknął ślinę w taki sposób, jakby przechodził mu przez gardło duży kamień, a później rzekł:

– Więc jednak. Ty i Jersey. Rozumiem – jego twarz zbladła, a z oczu uciekła resztką nadziei i radości.

– Nie. Nie rozumiesz.

– A czego mam nie rozumieć?

– To nie jest takie proste, bo... – przerwała.

Nagle drzwi ewakuacyjne znajdujące się tuż za nimi otworzyły się z hukiem. Maggie i BB podskoczyli na równe nogi. Znajomy i nieulubiany przez nich przecignięty dźwięk burzy rozbrzmiał w hali marketu. Maggie zadrżała i chwyciła go za rękę. Spodziewała się najgorszego.

Znaleźli nas – pomyślała.

Światło wpadające przez szeroko uchylone drzwi trochę ich oślepiło, co zmusiło ich do przesłonięcia oczu. Zobaczyli trzy zaciemnione szczupłe sylwetki wchodzące jeden po drugim do środka. Maggie zacisnęła mocniej dłoń. Trójka postaci stanęła w miejscu, a jedna z nich przemówiła.

– Witajcie.

– Ice? – Maggie zapytała zaskoczona, gdy rozpoznała jego głos.

– Tak, to my – odezwał się żeński głosik.

– Andyyyy? – przeciągnął zaskoczony BB.

Po chwili mogli już zobaczyć ich twarze. Maggie bardzo się ucieszyła na ich widok, ale kiedy spojrzała na Jersey, trochę ją zatkało. Stał jak zamurowany, a jego szeroko otwarte oczy wpatrywały się w jeden punkt. Prosto na jej i BB złączone dłonie.

## Rozdział 11

### Baza Bentwaters

Na niewielkim wzniesieniu, w niewysokiej soczystozielonej trawie skrywała się grupka leżących nastolatków. Obserwowali znajdującą się troszkę niżej bazę wojskową. Trudno było określić jej rozmiary, gdyż z każdej strony otulała ją bielusieńka mgła. Obrys podłużnego wąskiego lotniska wylaniał się z niej, jakby próbując uciec od tego, czego nie mogli sami za nią zobaczyć. Baza ta otoczona była wysoką siatką z drutem kolczastym.

Tuż za nią w odległości zaledwie kilku metrów wisiały w miejscu przeraźliwe szare wysokie postacie. Ich stopy nie dotykały ziemi, a głowy zwrócone były do dołu. Lewitowały nieruchomo, sprawiając wrażenie, jakby na coś czekały. Szaraki oddalone były od siebie o kilkanaście metrów – tak, że spoglądając ze wzniesienia, mogli zobaczyć tylko czwórkę przybyszów, z czego dwójka była już ledwo widoczna w tej gęstej mgle. Nikt natomiast nie wiedział, co znajdowało się za nią.

– Zaraz, moment! Po to wlekleśmy się tutaj taki kawał czasu? Powiedźcie mi jeszcze raz, co my tutaj robimy? Dlaczego stoimy w miejscu, w którym aż roi się od tych szarych paskudnych skurczybyków? Nie powinniśmy raczej iść w drugą stronę? – zapytał Piguła.

– Te chrupki kukurydziane już całkiem rzuciły ci się na mózg. Zamiast słuchać wcześniej, musiałeś oparcelować pół sklepu i z tego przedjedzenia zemdleć, no nie? – odpowiedziała mu zdenerwowana Andy.

– Byłem... głodny – odpowiedział półgłosem grubasek.

– Ty jesteś zawsze głodny, baryło jedna!

– OK, słuchaj teraz, bo to ostatni raz, kiedy omawiamy ten plan.

Sierżant mówił, że musimy wkraść się do bazy – zaczął Ice.

– Ale po co? – przerwał mu Piguła.

- Zamknij się i słuchaj Ice’a! – wrzasnęła Andy i trzasnęła Pigułę z liścia w głowę, na co ten popatrzył się na nią krzywo.
- I to mnie niby coś się rzuciło na mózg? – mruknął pod nosem, ale nie doczekał się żadnej odpowiedzi.
- Popatrz tam – Ice wskazał na ledwo widoczny zarys wysokiej wieży.
- Musimy tam dotrzeć niezauważeni.
- No i co dalej? – Piguła przewrócił oczami, wyraźnie akcentując swoje niezadowolenie.
- Dobra, proponuję zmienić trochę podejście do tej rozmowy – wtrącił ubrany w czarny podkoszulek BB. Wstał z trawy i cofnął się o kilka kroków. Reszta, kopiując jego ruchy, zrobiła to samo.
- Sierżant J. zaproponował, abyśmy ruszyli do bazy i spróbowali nadać sygnał alarmowy.
- Jak mamy niby tego dokonać? Ostatnio jak patrzyłem w dół, roilo się tam od przerośniętych Gollumów – chrząknął Piguła.
- Ano właśnie, żeby tego dokonać, musimy się podzielić na dwie grupy. Jedna podejdzie do wieży, a druga w ukryciu zaczeka spokojnie tutaj.
- Świetnie, BB, ale jak chcesz nas podzielić? Ja nie chcę tutaj siedzieć i beczynnie czekać! – podniosła głos Andy.
- Ciiiiszej – upomniała ją Maggie.
- Andy obróciła szybko głowę i samym swoim spojrzeniem dała jej do zrozumienia, żeby więcej się do niej nie odzywała.
- Pójdzie BB, Sierżant oraz ja – poinformował wszystkich Jersey.
- A od kiedy ty tutaj rządzisz? – podparła się rękami Andy i zarzuciła blond włosami do tyłu.
- Tak będzie najrozsądniej.
- Najrozsądniej dla kogo? Powiedz mi jeszcze jedno. Co się z nami działo podczas tego lotu? Jakim cudem znaleźliśmy się bezpiecznie na ziemi? I co najważniejsze, tuż przy naszych przyjaciółkach.
- Jersey popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Był przerażony i zakłopotany, ponieważ ostatnią rzeczą, jaką sam pamiętał, był wybuch w powietrzu. Potem

była tylko ciemność i kiedy otworzył znów oczy, znalazł się w supermarketcie. Pamiętał samolot, ucieczkę przed raketami, wirowanie, burzę oraz mgłę. Gdyby sam świadomie próbował podejść do lądowania, najprawdopodobniej skończyłoby się to katastrofą. W jaki sposób oni się tam znaleźli i jakim cudem bezpiecznie wylądowali, tego nie mógł sobie przypomnieć. To była jedna wielka zagadka. Zastanawiała go jeszcze jedna rzecz – bardzo mocne białe światło. Nie mógł przestać o nim myśleć, ale nie mógł też zrozumieć, dlaczego. Najgorszy jednak był ból w jego stopach. Skórę miał tam jakby przypaloną, więc każdy kolejny krok był dla niego bolesny. Ani Andy ani Ice nie mieli takich symptomów, więc cokolwiek się wydarzyło, musiało to bardziej wpłynąć na niego niż na resztę.

– Andy, naprawdę nie pamiętam, ale chyba powinniśmy się cieszyć, że żyjemy. Nie mam racji?

– A tak w ogóle, to gdzie jest ten komandosik? – zapytał Piguła.

– Tutaj, purchawo – odpowiedział mu tuż zza jego pleców, na co grubasek poderwał się do góry.

– Gdzie pan był, Sierżancie? – zapytał Ice.

– Zrobiłem rekonesans.

– Jaki znów renesans? – wycedził Piguła.

– Re–ko–ne–sans, matole! – rzuciła gwałtownie Andy i przywalila mu znów w głowę.

– Sprawdziłem drogę przed nami. Roi się tam od tych padalców. Będzie ciężko.

– To jak daleko musicie iść? – zapytała Maggie, troskliwie myśląc o bezpieczeństwie BB oraz Jersey.

– Widzisz tamten wysoki maszt? – wskazał palcem na szary rozmyty obrys zakrytego mgłą budynku. Maggie kiwnęła mu głową.

– Tam jest wieża kontrolna. Jeśli mamy nadać skądś sygnał alarmowy, to na pewno stamtąd. Będziemy ostrożni. Raz, dwa, trzy, i cała kawaleria z sąsiedniej bazy przyjdzie nam z pomocą – odpowiedział dumnie Sierżant.

– Więc jak? Jersey, Sierżant i ja ruszamy do środka, zgadzacie się? –

zapytał BB.

– Hej, patrzcie tam! Co oni robią? – przerwał im Piguła.

Szare postacie, które jeszcze przed momentem wydawały się być nieruchome, uniosły swoje głowy do góry. Wpatrywały się w wiszącą kilkanaście metrów nad ich głowami gęstą szarą chmurę. W wyprostowanych nad sobą rękach trzymali coś, co przypominało duże ciemnobrązowe polyskujące kule. Wielkością dorównywały średnicy dwóch piłek do koszykówki. Kilku Szaraków, których mieli w zasięgu wzroku, jednocześnie wypuściło ze swych rąk te tajemnicze przedmioty. Uniosły się subtelnie do góry, zachowując się jak napompowane helem balony. Doleciały do wysokości, na której zaczynała się szara gęsta zawiesina i tam też się zatrzymały. Połowa ich średnicy weszła do wnętrza chmury, a druga połowa pozostała po ich stronie. Zupełnie jakby utknęły. Coś zaczęło mienić się w ich środku, a brązowy kolor zaczął dziwacznie polyskiwać. Przypominało to trochę fakturę płynnej czekolady. Sposób, w jaki światło się w nich załamywało, sprawiał, że wyglądało to tak, jakby w środku mieszała się gęsta mleczna czekolada.

Szare istoty spuściły głowy oraz ręce do dołu i ponownie przestały się ruszać.

– Co to było? Skąd oni wzięli te balony? – zapytał Ice.

– Nie mam pojęcia. Wyglądało to trochę przerażająco – odpowiedział mu Andy. Ice popatrzył na nią, lecz nie kontynuował tej rozmowy. Od razu zrobiło mu się gorąco, kiedy znów spojrzal na jej twarz. Westchnął, obrócił głowę i udawał, że ogląda otaczającą ich przyrodę. Nie wiedział, jak ma się zachować, bo po raz pierwszy w życiu doznawał podobnych uczuć. Nie interesowały go szare istoty, dziwne zjawiska oraz niewytłumaczalne rzeczy, które się im przytrafiły tamtego dnia. Dla niego największą zagadką była Andy. Nie mógł przestać o niej myśleć. Od czasu tamtego lotu starał się unikać jakiegokolwiek kontaktu z nią, ponieważ był po prostu spanikowany.

– To komplikuje sytuację. To mogą być czujniki ruchu – zasugerował Sierżant J.

– Czujniki ruchu? – powtórzył BB.

- A co innego? Może ma rację – dodał Jersey.
- To są chyba mega M&M’sy – powiedziała Maggie.
- Co? – Sierżant otworzył szeroko oczy.
- No M&M’sy, patrzcie na tłuściocha – wskazała palcem na Pigułę. Grubasek stał jak zamurowany. Z jego otwartych ust zwisał język, a jego oczy były tak szeroko otwarte, że można by było schować w nich mandarynki.
- Czeeee...ko...la...da – wymamrotał pod nosem, a z kącika jego ust pociekła ślinka.
- Ja pierdzielę, chodźcie, kopniemy go na dół. Sturla się, robiąc hałas, a my wtedy czmychniemy do bazy. On tylko myśli o jedzeniu, nikt nawet za nim nie zatęskni – zażartował Ice, jednak nikt się nie zaśmiał. Kiedy prześledził wzrokiem wszystkich zamysłone twarze, jedynie Andy uśmiechnęła się do niego i zamrugła szybkoitko powiekami. Znów zadrżał. Ice wiedział, że jeśli powiedziałby coś takiego kilka godzin wcześniej, zaraz by się na niego rzuciła z pięściami. Teraz natomiast jej nastawienie było całkowicie odmienne. Cokolwiek by nie powiedział, ona się uśmiechała.
- OK, działamy. Ice, pilnuj dziewczyn i zwracaj uwagę na grubasa, żeby przypadkiem nie popędził faktycznie na dół, kierowany potrzebą zjedzenia tych balonów.
- Bracie, ale ja chcę iść z wami! Nie pozwolę ci iść samemu. A co, jeśli coś wam się stanie? – zapytał Ice.
- Nic nam nie będzie. Sierżant zna dobrze bazę i będziemy uważać, poza tym tylko tobie mogę powierzyć przypilnowanie dziewczyn. Będziecie tutaj bezpieczni.
- Ale...
- Żadnego „ale” – przerwał mu od razu.
- Ice podszedł do niego i szepnął mu cicho do ucha:
- Andy dziwnie na mnie patrzy, co mam robić?
- Zauważyłem! – Jersey puścił mu oczko i szeroko się uśmiechnął.
- Jersey, mogę z tobą porozmawiać? – zapytała niespodziewanie Maggie.
- Nie mamy teraz na to czasu – odpowiedział zdawkowo i obrócił



się do niej plecami.

– Proszę cię, tylko na moment! – chwyciła go za ramię.

Jersey przymknął oczy, wiedząc, że nie będzie mógł się tak łatwo wywinąć.

– Dobrze, chodźmy na bok – powiedział i odsunął się kilka metrów od reszty grupki.

– Jersey, to może być bardzo niebezpieczne, nie chcę, żebyś tam szedł – powiedziała Maggie.

– Nic mi nie będzie – mruknął bardzo poważnie.

– Naprawdę, może przeczekajmy to, albo wymyślmy jakiś inny plan. Może w drugiej bazie są jeszcze jacyś żołnierze, może nam pomogą?

– Sierżant był tam wcześniej. Cały personel był sparaliżowany. Ta baza jest naszą ostatnią szansą. O co ty tak naprawdę się martwisz?

– Jak to, o co? O was, o ciebie. Jesteś moim... przyjacielem – zarumieniła się.

– No właśnie, przyjacielem. Czego nie możesz powiedzieć o BB! Widziałem, jak trzymałaś go za rękę. Po tym wszystkim, co ci zrobił? Po tych wszystkich przeplakanych nocach? Wystarczył jeden dzień, kilka godzin i znów? Nie mamy o czym rozmawiać! – podniósł głos i ruszył z powrotem do reszty.

– Stój! – chwyciła go za dłoń, a wtedy wszyscy popatrzyli na nich. Nawet Piguła zdołał oderwać na chwilę wzrok od brązowych kuleczek. BB natomiast od początku bacznie obserwował całą scenę.

– Nie teraz. Później o tym porozmawiamy – szepnął Jersey i wyswobodził swoją rękę z jej uścisku. Nie był zadowolony z siebie. Powinien skoncentrować się na priorytetach, ale niezależnie od tego, jak bardzo były ważne, nie mógł przestać myśleć o Maggie. Popatrzył na BB i powiedział zimno i ostro:

– Idziemy!

Maggie spuściła głowę, a BB uśmiechnął się pod nosem.

– Gdzie on poszedł? – zapytał Jersey.

– Nie wiem, ale nie uwierzylbyś, do czego on jest zdolny. Gość, mi-

mo tego, że wygląda jak stara męska pomarszczona łupa, potrafi zni-  
kać jak ninja – odpowiedział BB.

Jersey poruszył się gwałtownie, kiedy lądujący obok niego  
niewielki kamień wybił go z zamyślenia.

– Co jest? Kto to rzucił? – powiedział pod nosem i obrócił się za  
siebie. Kilka metrów wyżej na górcie spostrzegł swojego brata. Ice  
huštał głową do góry i na dół. Następnie poruszając powoli ustami,  
bezglóśnie zapytał:

– Gdzie jest stary?

Jersey zmarszczył brwi i puknął się kilka razy w czoło. Dał znać bra-  
tu, żeby się nie wydurniał i spokojnie czekał na rozwój wydarzeń.  
Wiedział, że wszyscy robią się coraz bardziej nerwowi, ale nie mógł  
pozwolić na panikę. Dopiero minęło pięć, maksymalnie sześć minut  
od czasu, kiedy Sierżant zniknął.

– Patrz tam – wskazał palcem przed siebie BB.

Na granicy widoczności, tuż przy lesie, zaraz za siatką ogradzającą  
lotnisko, pojawiła się sylwetka znanego im Sierżanta. Machał ręką,  
sygnalizując, żeby się do niego zbliżyli.

BB i Jersey popatrzyli na siebie i powoli kucając ruszyli w jego kie-  
runku.

Drepcząc na nisko zgiętych nogach, starali się unikać gwał-  
townych ruchów.

Zanim przystąpili do akcji, Sierżant pokazał im parę reguł, według  
których mają się poruszać podczas infiltracji bazy. Wy tłumaczył im  
również, że jeśli nie będą go słuchać, jeden błąd może kosztować ich  
życie. Idąc, kątem oka cały czas spoglądali na lewitujących Szaraków.  
Byli od nich oddaleni o jedyne kilkanaście metrów i im bardziej zbli-  
żali się do Sierżanta, tym wyraźniej czuli, jak adrenalina zaczyna  
przejmować kontrolę nad ich ciałami.

– Gdzie pan był? – zapytał Jersey.

– Już wszystko wiem. Sprawdzalem te kule. Musialem się upewnić.

– I jak sprawa wygląda?

– Szare paskudy muszą tutaj coś knuć. Pełno ich jak pcheł na psim  
zadku. Stoją przy siatce w odległości dwudziestu metrów od siebie.

Albo czegoś pilnują albo nie wiem, jaki mają w tym interes. Nad wszystkimi zauważyłem te same dziwaczne kule. Nie są to jednak detektory ruchu.

– Skąd pan wie?

– Sprawdziłem. Rzuciłem kamieniem tuż pod jedną z tych baniek. Głaz poleciał tak, żeby ominąć lotnisko i nie zrobić hałasu. Musiałem się upewnić.

– To dobra wiadomość – skomentował BB.

– To jest dobra wiadomość. Zła natomiast jest taka, że nie wiem, czy damy radę prześlizgnąć się niezauważeni. Poruszanie się wokół bazy jest łatwe. Gorzej – a praktycznie niemożliwym – jest przejść przez płytę lotniska.

– Więc co, mamy się poddać? – zapytał Jersey.

– Klikowski! Do jasnej cholery! Jeszcze raz usłyszysz słowo „podać się” z twoich ust, to każę ci robić pompki na języku! Jasne, że nie! Znalazłem lukę w ich ustawieniu. Ale jest jeden problem.

– Proszę mówić, Sir.

– Jeśli chcemy, żeby nam się udało, musimy uderzyć równocześnie. To jedyny sposób. Chodźcie, pokażę wam – i ruszył przed siebie.

Cała trójka szła równym tempem równoległe do ogrodzonej siatką i drutem kolczastym płyty lotniska. Musieli zbliżać się do centrum, ponieważ coraz to nowsze budynki zaczęły wylaniać się z mgły. Co kilkanaście metrów, tak jak opisywał Sierżant, mogli zobaczyć lewitujących Szaraków. Nad każdym z nich wisiała wbita w chmurę brązowa kula. Jersey zastanawiał się, czym one tak naprawdę były, bo pomimo swojego słodkiego wyglądu, nie dawały mu spokoju.

Sierżant zatrzymał się w miejscu i podniósł do góry zaciśniętą pięść. Następnie wskazał palcem na wysoką wieżę. Był to jedyny budynek, z którego mogli nadać sygnał alarmowy. Przy jego wejściu nie było nikogo. Jedyną przeszkodą na ich drodze był stojący około dziesięciu metrów od nich Szarak. Nie można było go ominąć, ponieważ stał obrócony twarzą do frontu wieży. Jeśli by ich zobaczył, na pewno by zareagował. Plusem natomiast było to, że stał zaraz

obok bramki, przez którą można było wejść na płytę lotniska.  
– Zrobimy tak. Ja zajdę go od tyłu, rzucę się na jego plecy, a wy chwycicie go za obie ręce. Ściągniemy go na ziemię i nawet nie stęknie. OK? – powiedział półszepem komandos.

BB i Jersey popatrzyli na siebie i jednocześnie przytaknęli głowami. Oboje obawiali się tego, co może się za chwilę stać. Wiedzieli, do czego Szaraki są zdolne i każdy z nich na swój sposób doświadczył ich siły. Każdy kolejno stawiany krok sprawiał, że czuli się coraz bardziej zdenerwowani.

BB przetarł czoło przedramieniem, usuwając przy tym sporą ilość potu, a Jersey poprawił sobie opaskę, którą ciągle nosił na oku, i ruszył za Sierżantem. Bardzo powoli i bezszelestnie zbliżali się do siatki.

Sierżant znajdował się już tylko dwa metry od swojego celu, kiedy zatrzymał się nagle. Popatrzył za siebie, żeby sprawdzić gotowość chłopaków. Skinął minimalnie głową, na co oni odpowiedzieli tym samym. Byli gotowi do akcji. Bardzo powoli, krok za krokiem, dochodzili do metalowej bramki wbudowanej w ogrodzenie. Sierżant dotarł do niej pierwszy i bardzo delikatnie chwycił za klamkę. Jego ruchy przywodziły na myśl polującą pumę. Były płynne, zdecydowane i całkowicie bezszelestne. Pociągnął klamkę w dół i zaczął otwierać drzwi. Robił to bardzo ostrożnie, bo nie był pewny, czy przypadkiem nie zaskrzypią. Mieli szczęście – udało się je uchylić wystarczająco szeroko, żeby mogli się prześlizgnąć.

Tuż za siatką znajdował się ich cel. Jersey przeszedł za Sierżantem, idealnie kopiując jego ruchy. Będąc już po drugiej stronie, mógł doskonale przypatrzeć się ciału stojącego tyłem dwumetrowego Obcego. Jego skóra była ciemnoszara i trochę wpadała w czerni. Nie mógł dostrzec żadnych włosów, zamiast nich odnalazł dziwny rodzaj skorupy. Połączenie pancerza z łuskami. Nielatwo przelknął ślinę, bo wyglądało to absolutnie obrzydliwie. Zwrócił też uwagę na jego tył, który owinięty był materiałem podobnym trochę do metalu.

Sierżant J. stanął tuż za Szarakiem, a Jersey i BB czekali po jego lewej i prawej stronie. Komandos wysunął dłoń za siebie i

schował dwa palce. Chciał w ten sposób odliczyć do trzech i zsynchronizować atak. Jersey i BB skupili się na jego dłoni.

Sierżant schował kolejny palec, markując moment uderzenia na dwa. Kiedy zgiął następny, BB wciągnął gwałtownie powietrze do płuc. Zaalarmowało to Sierżanta oraz Jersey, bo już wiedzieli, co się zaraz stanie. Komandos otworzył szeroko przerażone oczy, a Jersey kiwał głową w nadziei, że jakimś cudem powstrzyma go przed tym, co zaraz miał zrobić. BB nie wytrzymał, przycisnął dłoń do ust, ale było już za późno. Kichnął tak mocno i głośno, że wszyscy aż się wyprostowali. Dźwięk był tak potężny, że na pewno usłyszeli to nawet ich przyjaciele, ukryci kilkaset metrów dalej.

Sierżant ugiął kolana i już miał wybić się w powietrze i skoczyć na plecy nieprzyjaciela, kiedy zrozumiał, że tamten nawet nie drgnął. Stał ciągle w bezruchu. To samo było z lewitującymi po obu ich stronach w odległości około dwudziestu metrów Szarakami.

– Co jest grane? – zapytał zaskoczony Jersey.

– Przepraszam – powiedział BB, a jego twarz zrobiła się cała czerwona ze wstydu.

Sierżant wyciągnął ręce za siebie i zagroził drogę chłopakom. Chciał ich zatrzymać.

– Raz, dwa, trzy – powiedział półgłosem. Ale lewitujący pół metra przed nimi Obcy nawet się nie poruszył.

– Co jest? – zapytał ciągle zaskoczony Jersey.

Komandos zrobił krok do przodu i wyciągnął dłoń w kierunku Szaraka. Pomachał nią na wysokości jego klatki piersiowej, a później dwoma szybkimi krokami przemieścił się tuż przed niego. Chłopaki zrobili to samo i stanęli naprzeciw dwumetrowego chudzielca.

– On na nic nie reaguje. Wydaje mi się, że oni wszyscy są w takim dziwnym stanie. Cokolwiek wisi nad nimi, musi pochłaniać ich uwagę czy świadomość – powiedział Sierżant.

– To jest przerażające. Patrzcie na jego twarz – wystękał BB drgającym z nerwów głosem.

– Twarz? Chyba ryj. Poza tym już zdążyłem się im wcześniej przyjrzeć, kiedy próbowali wbić się palcem do środka mojej głowy – za-

warczał Jersey i zrobił bojową minę. Był wściekły, gdy patrzył na Obcego.

– A to dlatego wyglądasz jak pirat. Rozumiem – uśmiechnął się komandos i dodał: – Dobra, panienki, nie ma czasu, musimy wykorzystać ten moment. Poza tym, Angliku, twoje kichnięcie prawdopodobnie nas uratowało. W innym wypadku moglibyśmy ich wszystkich zbudzić. Dobra robota.

– Dziękuję – zarumienił się BB.

– Ale wiesz, że jeśli zrobisz to jeszcze raz, to wepchem ci tam dwa kamyki i zatkam tę kichawę, no nie? Panienki, ruszamy – skończył i ruszył biegiem do wieży. BB przetarł nos dłonią i wydychając z ulgą powietrze, ruszył za komandosem i Jerseyem.

Wychodząc po stromych i wąskich schodkach prowadzących na szczyt wieży kontrolnej, spotkali na swojej drodze kilku zatrzymanych żołnierzy. W rękach trzymali dokumenty i po wyrazie ich twarzy można było odgadnąć, że gdzieś się spieszyli.

Dość wąski korytarz zmuszał ich do ostrożnego przeciskania się między wojskowym personelem a ścianami.

Jeden z żołnierzy niefortunnie znieruchomiał, trzymając jedną nogę w powietrzu. Wystarczyłoby lekkie trącenie i runąłby twarzą prosto na biegnące przed nim strome schody. Prześlizgując się obok niego bardzo ostrożnie, odetchnęli z ulgą na myśl, że nie zabrali ze sobą Piguły. Inaczej mogłoby się to źle skończyć dla niczego nieświadomego wojskowego.

BB, wchodząc do oszklonego pomieszczenia kontroli lotów, zachwyił się ilością rozłożonego tam sprzętu elektronicznego. Wieża kontrolna stanowiła główne narzędzie utrzymywania porządku na niebie. Komputery, radary, nadajniki i inna aparatura nawigacyjna monitorowały przestworza. Wykwalifikowany personel wydawał pozwolenia na lądowanie czy start samolotów. Sprawdzał również warunki atmosferyczne, odległości oraz różnice w wysokości wszystkich jednostek latających, aby ustalić, czy nie znajdują się na linii kolizyjnej. Było to jedno z najbardziej zaawansowanych technologicznie miejsc, do jakich można było trafić.

Sporej wielkości szare monitory migotały zielonym światłem, oświetlając twarze siedzących przy nich ludzi. Pracujący głośno komputer o wielkości małej szafy milczał tego dnia, stojąc cicho w ciemnym kącie.

Tuż przed momentem zatrzymania cały personel wydawał się być bardzo czymś poruszony. Kilkunastu wojskowych zastygło w dramatycznej dla nich chwili. Wysoki, dobrze zbudowany żołnierz stał tuż przy szybie, trzymając przy twarzy gigantyczną lornetkę. Wypatrywał czegoś, kierując wzrok na wschód.

Inny, niski mężczyzna o latynoskiej aparycji trzymał nad głową świeżo wydrukowaną kartkę i szeroko otwartymi ustami próbował coś wykrzyknąć.

Operator jednego z radarów położył głowę na stół i okrył się rękami, wyraźnie akcentując swój żal lub nawet desperację. Grupa kilku mężczyzn stała za nim i wskazywała palcem na monitor.

– Co tutaj się działo? – zapytał BB.

– Poczekaj moment – odpowiedział J. i podszedł do mężczyzny z kartką papieru w dłoni.

– W pychę nietoperza! Jeden z naszych został zestrzelony! – podniósł głos po przeczytaniu informacji z dokumentu.

– Jak to? Kto? Jaki typ samolotu? – pytał przejęty Jersey.

– Nie wiem, synu. Nie ma żadnych sensownych oznaczeń. Nie wiem, czy nie robili jakichś testów – odpowiedział i podszedł do masywnego żołnierza z lornetką w dłoniach. Chwycił przedmiot mocno w ręce, ale nie udało mu się go wyciągnąć. Jego uścisk był stalowy.

– Jakich testów?

– Wspominałem, że dzisiaj był najazd bożonarodzeniowy. Może przywieźli jakichś nowy sprzęt. Nie wiem. Cokolwiek zostało zestrzelone, nie ma żadnych oznaczeń. Ale zdaje się, że miało się rozbić gdzieś przy samym brzegu – wskazał palcem w kierunku wschodnim.

– Faktycznie! Pamiętam!

– Co pamiętasz, synu? – zapytał zaciekawiony komandos.

– Zaraz przed eksplozją baterii... Znaczy się zaraz przed tym, jak

straciliśmy przytomność i obudziliśmy się cali fioletowi, widzieliśmy na niebie spadający obiekt otulony płomieniami. To musiało być to.

– Może masz rację, Klikowski. Nie możemy teraz jednak ruszyć z misją ratunkową. Musimy nadać najpierw sygnał. Zobaczymy później.

– Racja, Sir – odpowiedział Jersey i zakończył temat. Mimo tego nie mógł pozbyć się dziwnego przeczucia, że coś niezwykłego musiało być w tym obiekcie. Coś interesującego. Coś dla nich ważnego.

– Dobra, mam nadzieję, że sprzęt działa – odezwał się Sierżant J., podchodząc do jednego z nieruchomych żołnierzy. Odczepiając od jego paska klucze, podszedł do zielonej skrzynki wiszącej na ścianie.

– Co tam jest? – zapytał BB. Jersey wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia.

– To jest telefon, mój sympatyczny angielski kolega – otworzył szafkę na oścież, wskazując na starodawny aparat telefoniczny.

– Po co wam taki sprzęt i czemu to jest pod kluczem? – zastanawiał się BB.

– To jest specjalna linia kontaktowa, która działa nawet wtedy, kiedy wszystkie inne zawiodą. Zbudowana podczas drugiej wojny światowej, przetrwałaby nawet ostrzał atomowy – odpowiedział Sierżant J.

– Na co patrzysz, Klikowski? – zapytał Sierżant, widząc przytulonego do szyby chłopaka.

– Sprawdzam, czy z dziewczynami jest wszystko OK. Ale nie mogę nic dojrzeć przez tę mgłę – odpowiedział Jersey.

– Spokojnie. Zaraz wykonam jeden telefon i wrócimy do nich. Nie martw się... Zaraz... Moment...

– Co się stało, Sir?

– Nie działa...

– Jak to nie działa? Powiedział pan, że telefon przetrwałby nawet ostrzał ato...

– Wiem, co powiedziałem... Ale nie działa.

– Sonary i cały ten sprzęt również stoją w miejscu – BB wskazał palcem na przyrządy.

– Wiem, widzę, ale nie rozumiem. Myślałem, że to jakiś wirus czy



coś, ale to wygląda tak, jakbyśmy się zatrzymali w czasie. Co ja gadam za bzdury. Jak moglibyśmy się zatrzymać w czasie? Przecież głośnik pod sklepem funkcjonował normalnie. Muzyczka z niego grała – chwycił się za głowę J.

– Ale tam wszystko było inaczej! Może to wina tamtego deszczu? – podpowiedział BB.

– Nie wiem... Cholera, co my teraz zrobimy?

– Co to było? – zapytał Jersey, słysząc huk dobiegający z korytarza.

– Też to słyszałem – odparł BB.

– Chodźcie za mną – ruszył komandos.

Cicho i ostrożnie opuścili wieżę kontrolną i wrócili schodami na dół. Poruszając się bardzo powoli, nasłuchiwali. Po zejściu na parter nie znaleźli jednak niczego.

– Co jest grane? – szepnął Jersey.

– Nie wiem! – kręcił głową J.

– Co tam jest na dole? – BB wskazał palcem na wąskie schodki.

– Tam nic nie ma. Same pomieszczenia gospodarcze. Schowek na miotły chyba – odpowiedział i zaraz po tym znów usłyszał huk. Dobiegał wyraźnie z tamtego kierunku.

– Jest pan pewien? – wykrzywił się BB.

– Co jest, u licha? – Sierżant powiedział pod nosem i małymi kroczkami ruszył w dół. – Co to ma być?! – oniemiał na widok ogromnej dziury tuż obok schowka z miotłami. – Tego tutaj nie było! – dodał i przeszedł przez czterometrową lukę w grubej betonowej ścianie.

– Co mogło zrobić taką dziurę? – zastanawiał się BB i popatrzył na mur. Miał przynajmniej metr grubości.

– Co tam jest? – zapytał przejęty Jersey.

– To jest tunel do zbrojowni – odpowiedział J. i podniósł brwi wysoko do góry. – Problem w tym, że to miejsce jest tak chronione, że czolgiem nie da się do niego wjechać. Nie miałem nawet pojęcia, że jest połączony z wieżą. Coraz bardziej mnie to martwi. Chodźmy dalej – odrzekł komandos i ruszył przed siebie.

Jersey dziwnie się poczuł, idąc w dół stromym, długim, bardzo szerokim korytarzem. I to nie z powodu klaustrofobii, czy nawet

przemęczenia, ale przez sam budynek. Wywoływał w nim skrajne uczucia. Był mu znajomy, ale jednocześnie przerażająco obcy. Z jednej strony większość swojego dzieciństwa spędził w obiektach rządowych i znał je jak własną kieszeń, z drugiej – one zawsze były pełne życia. Czy to żołnierze gdzieś biegali, czy jacyś gońcy pędzili na złamanie karku, by dostarczyć pilną wiadomość, zawsze towarzyszyło temu jakieś zamieszanie. Jeśli nawet nie było widać ruchu, to zawsze można było usłyszeć krzyki wyższego rangą porucznika, który wyżywał się na swoich podopiecznych. W tym jednak miejscu nie było słyhać niczego. Panowała tu grobowa cisza.

Ciemnoniebieski korytarz podświetlony jasnymi podłużnymi świetlówkami wydawał się nie mieć końca. Szli już nim w dół do brych kilka minut, a nie natrafili na żadnego człowieka. Takie już było przeznaczenie tego podziemnego magazynu – ukryty pod powierzchnią stanowił istną fortecę. Jeśli intruz chciałby dotrzeć do środka, nie miał łatwego zadania. Długie korytarze o masywnych ścianach miały chronić to miejsce przed atakiem bombowym. Strażników zastąpiono podwieszonymi przy suficie małymi kamerami, a co ciekawsze, nigdzie nie było żadnych wyraźnych oznaczeń wskazujących, gdzie znajduje się wejście do środka. Na szczęście Sierżant został kiedyś poproszony o eskortowanie tajnego ładunku, więc wiedział, gdzie iść.

– Daleko jeszcze? – zapytał BB.

– Nie, już jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze kilka metrów i powinni... – przerwał nagle i przykleknął na jedno kolano.

– Co jest, Sir? – szepnął Jersey.

– Bądźcie cicho. To powinno być zamknięte – pokazał palcem na wnękę w ścianie po ich prawej stronie. Miała rozmiary około dziesięć na sześć metrów. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli, że kawałek grubego betonu, który okazał się być równocześnie tajnymi drzwiami, został wyrwany i wrzucony do środka. Co ciekawe, ściana ta również miała grubość około metra.

– Jakim cudem te drzwi leżą na ziemi? Coś tu jest naprawdę nie tak – komandos złapał się za brodę i zlustrował wzrokiem obie strony ko-

rytarza. Sprawdzał, czy ktoś ich nie obserwuje.

– Dlaczego wejście jest na środku korytarza, a nie na samym końcu?

– zapytał BB, kiedy wszedł do niewielkiego jasnego pomieszczenia.

– Dla zmylenia wroga. W razie ataku dłużej zajęłoby im odnalezienie tego wejścia. Poza tym, cholera... Kto by mógł przejść przez takie drzwi? – zastanawiał się głośno Jersey, ale jednocześnie rozmyślał nad tym, czy armia Szaraków faktycznie byłaby na tyle silna, żeby ot tak wyważyć takie drzwi. Nie było nawet śladu po detonacji ładunków wybuchowych. Wyglądały one tak, jakby zostały po prostu wbite do środka.

– Co te cholery ukrywają w tym magazynie? – rzucił Sierżant i podszedł do drzwi, które zagroziły im drogę. Były na tyle duże, że spokojnie mogłaby przejechać przez nie ciężarówka. Zaraz obok nich podwieszony był niewielki panel do wpisania kodu oraz otwory na trzy klucze.

– Takie zabezpieczenia? Zawsze byłem ciekawy, co jest za tymi drzwiami – stał z położonymi na biodrach rękami i zastanawiał się, jak by tu przejść dalej.

– Nie był tam Sierżant nigdy? – Jersey zadał pytanie.

– Niestety nie. Cokolwiek trzymają w tej zbrojowni, wie o tym tylko garstka ludzi – odpowiedział spokojnie.

– Na co czekamy? – zapytał BB.

– A jak myślisz, piękniśiu? Musimy tam jakoś wejść. Plan był dobry. Teraz zaczynają się prawdziwe problemy. Widzisz ten panel? Nie tylko trzeba znać hasło, ale również uwierzytelnić trzy klucze naraz. Nie ma szans, żebyśmy tam weszli – skwitował Sierżant. – Nawet nie próbuj tam nic wciskać, i tak ci się nie... – przerwał, kiedy zobaczył, że BB otwiera drzwi.

– ....uda... – dokończył, a szczątka zjechała mu piętro niżej z wrznięcia.

– Drzwi były otwarte. Idziemy czy nie? – dodał BB i popatrzył na głupie miny żołnierza oraz Jersey, którzy byli wyraźnie zaskoczeni takim obrotem wydarzeń.

– Ja wchodzę – stwierdził BB i kiedy miał już wejść do środka, po-

czuł, że ktoś pociągnął go za kołnierz.

– Dobra, Sherlocku. Widać, że się przydasz, ale teraz idź już do tyłu i razem z Watsonem podążajcie moim śladem – dokończył Sierżant i wszedł pierwszy do kolejnego pomieszczenia.

Znaleźli się w długiej oświetlonej czerwonymi lampami sali. Prowadziła ona do kolejnych drzwi. Przebijały się przez nie jasnobiałe promyki rozproszonego światła. W odróżnieniu od wszystkiego, co widzieli do tej pory, światło to nie było statyczne, ale się poruszało. Kiedy to zauważyli, od razu przywarli do ściany i bardzo powoli i bezszelestnie przysunęli się bliżej tych tajemniczych iluminacji.

Trudno im było cokolwiek zobaczyć przez grube, zamknięte drzwi. Światło przenikało jedynie przez niewielką szparę przy podłodze. Sierżant próbował tam zajrzeć, ale nie był w stanie niczego zobaczyć.

– Musimy tam wejść – powiedział, poruszając jedynie ustami, na co chłopaki zgodnie przytaknęli głowami.

Komandos jedną ręką uchylił bardzo powoli drzwi. Im bardziej je otwierał, tym więcej światła zalewało jego spoconą twarz. Na początku zmrużył mocno oczy, gdyż jego intensywność była wręcz oślepiająca. Kiedy jednak jego źrenice zaczęły się przyzwyczajać, zaczął je coraz bardziej otwierać. Otwierał je do momentu, aż wyraźnym stał się fakt, że to, co zobaczył po drugiej stronie, było dla niego istnym szokiem.

Widok ten był jeszcze większym zaskoczeniem niż wszystkie wydarzenia, których doświadczyli tamtego dnia. Weszli do ogromnego podziemnego magazynu. Nie był bardzo wysoki. Jego długość robiła natomiast ogromne wrażenie.

Szacunkowo pomieszczenie to mogłoby zmieścić kilka boisk piłkarskich. Zaraz przy wejściu stały metalowe skrzynie z oznaczeniami armii amerykańskiej. Kiedy weszli do środka, od razu się za nimi schowali. Będąc w cieniu, mogli spokojnie zza nich wyglądać i obserwować to, co działo się na środku.

Kilkumetrowa świecąca na biało kula jaśniała, emitując jasne promienie. Unosiła się w powietrzu, wypełniając pomieszczenie ja-

skrawym rozproszonym światłem. Przypominała trochę kulę Tesli, lecz promienie, które z niej wychodziły, były proste, a nie załamujące się. Kula wytwarzała dziwny, głośny, niski, elektryczny dźwięk, który wprawiał wszystkie metaliczne przedmioty w drgania. Wokół niej roilo się od zacienionych sylwetek wysokich postaci. Przenosili i ustawiali wokół kuli duże metalowe podłużne skrzynie. Różniły się od całej reszty nie tylko kształtem, ale i kolorem. Były pomalowane na białe. Kilkudziesięciu Szaraków przenosiło je z innego pomieszczenia. Nie mogli zobaczyć szczegółów, więc postanowili zaryzykować i przysunąć się bliżej.

Sierżant był bardzo zaniepokojony całą tą sytuacją, ponieważ nie miał pojęcia, co się w tych skrzyniach znajdowało. Nigdy nie został dopuszczony do tego miejsca, mimo że posiadał dostęp do informacji o wysokim stopniu tajności. Chowając się w cieniu skrzyń, przesunęli się kilkadziesiąt metrów w głąb hali. Stamtąd mieli też lepsze warunki na prowadzenie dalszej infiltracji.

– Tam jest jakiś człowiek z nimi – wskazał Sierżant.

Średniego wzrostu szczupła postać stała w cieniu tuż obok świecącej kuli. Spoczywała w bezruchu – obracając powoli głowę, nadzorowała całe przedsięwzięcie. Była niższa o jakieś pół metra od Szaraków. Zrobiła krok do przodu, chcąc przypatrzeć się jednej ze skrzyń.

Kiedy podeszła bliżej, światło obrysowało jej twarz.

– O nie, to znowu on – powiedział bardzo cicho Jersey.

– Kto? – zapytał Sierżant.

– Faktycznie, ta sama blada gęba – potwierdził BB.

To był już trzeci raz, kiedy Jersey spotkał na swojej drodze tego tajemniczego osobnika. Ani Obcy, ani człowiek. Białe dowódca szarej armii.

– Ki licha? Czemu on nosi takie wielkie okulary? – zapytał J.

– To nie są okulary – powiedzieli jednocześnie BB i Jersey.

Sierżant popatrzył na jednego i drugiego pytającym wzrokiem, po czym jakby dostał olśnienia, a jego brwi podskoczyły momentalnie do góry.

- U la la – powiedział pod nosem.
- Musimy zobaczyć, co jest w tych skrzyniach i dlaczego ustawiają je w takim kręgu – szepnął Jersey.
- Zostawcie to mnie – Sierżant kiwnął głową, po czym ruszył do przodu.

Dźwięk wydobywający się z kuli stawał się coraz głośniejszy, a metalowe skrzynie zaczęły się coraz wyraźniej trząść. Napięcie rosło. Robiło się coraz bardziej nerwowo. Jedyne temperatury były na tyle niskie, że pomogła im się trochę schłodzić po całym dniu spędzonym w duchocie i gorącu. Magazyn był dobrych kilkanaście metrów pod ziemią i utrzymał stałą temperaturę ze względu na przedmioty, które się w nim znajdowały.

Sierżant znów wykazywał się swoimi umiejętnościami ninja. BB i Jersey nie mogli się napatrzeć na to, jaki był zwinny. Trochę się czuł, trochę przesunął, kucając, dwie czy trzy duże skrzynie nawet przeskoczył. Robił to tak zwinnie, że nawet gdyby świetlista kula nie robiła hałasu, a w magazynie panowały cisza, nikt by nic nie usłyszał.

Ich przewagą było to, że nikt się ich tam nie spodziewał. Byli tam niczym duchy i chcieli, żeby tak pozostało do momentu, aż stamtąd wyjdą. Nie minęło trzydzieści sekund, a Sierżanta dzieliło niecałe dziesięć metrów od jednej ze stojących najbardziej na uboczu skrzyń.

Stał w miejscu.

Coś zauważył.

Zrobił kilka szybkich, niskich, długich kroków i podszedł do skrzyni. Starł się ją otworzyć, ale nawet nie drgnęła. Była zalakowana w jakiś nieznanym mu sposób. Obrócił się i pomachał z daleka chłopakom, dając im znać, żeby do niego dołączyli.

- Co jest? – zdziwił się Jersey.
- Musiał coś zauważyć – powiedział BB.
- Co robimy?
- Nie wiem, idziemy tam?

– Nie mamy wyjścia – odpowiedział Jersey i ruszyli na spotkanie z Sierżantem.

Im bardziej się do niego zbliżali, tym mocniej odczuwali jakieś dziwne falowanie na swojej skórze. W brzuchach również wszystko zaczęło im się zwijać. Nie było to niczym nieprzyjemnym. Bardziej czymś w rodzaju sensacji, jakich się doznaje podczas wysokiego kołysania na huśtawce. Dotarcie na miejsce zajęło im około dwóch minut, nie byli tak wyćwiczeni, jak ich starszy kolega.

Stanęli koło skrzyni i od razu zauważyli, że była jakaś dziwna. Nie był to metalowy materiał, jak im się na początku wydawało, a jakiś rodzaj gumy z metalicznym połyskiem. Jersey miał nieodparte wrażenie, że już się z czymś takim spotkał, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

– Nie otworzymy tego – Sierżant powiedział cicho, a zaraz potem schylił głowę, żeby schować się przed przelatującym obok Szarakim. – Musimy się dowiedzieć, co jest w środku. Jedyne sposoby, to przedostać się do tamtego pomieszczenia – wskazał palcem na podświetlony czerwonym światłem boczny hangar.

– Jak mamy tam wejść, skoro ciągle wychodzą z niego te szare padalce? – zapytał BB.

– Popatrzcie tam – wskazał palcem na metalową kratkę wbudowaną w ścianę.

– Wentylacja? Chce pan przejść przez szyb wentylacyjny? Tam musi być brudno jak w uszach rosomaka.

– Przestań być babą, idziemy. To nasz obowiązek, żeby się dowiedzieć, o co tutaj, do cholery, chodzi – rzucił nerwowo i ruszył przed siebie, czolgając się.

Sierżant wysunął zza pleców długi, gruby nóż i podważył nim stalową kłapę wentylacyjną. Uważnie i ostrożnie podniósł ją i położył na ziemi. Musiał się skupić i zrobić to bardzo dokładnie. Niepotrzebny hałas mógłby okazać się dla nich śmiertelny.

– Miałeś rację, nie jest tutaj zbyt przyjemnie – powiedział BB na widok otwartego tunelu wbudowanego w ścianę. Był na tyle szeroki, że dorosły człowiek mógł spokojnie przez niego przejść na czwora-

kach.

– Ja tutaj zaczekam, OK? – zapytał BB.

– Jak zaczekasz? Pakuj się do środka – zwrócił mu uwagę Sierżant.

– Nie.

– Jak to nie? Wskakuj albo cię tam zaraz wepcham.

– Mam klaustrofobię – powiedział cichutko pod nosem.

– Że co? Nie dosłyszałem.

BB popatrzył na Jersey, a później na Sierżanta. Nie chciał mówić głośniej. Wstydził się. Zależało mu na tym, żeby nikt nie poznał tego sekretu. Nie chciał, żeby ktoś na niego patrzył jak na cieniasa. Nachylił się nad uchem Sierżanta i powtórzył raz jeszcze:

– Mam klaus...tro...fobię...

Sierżant znów nie usłyszał i w nerwach przysunął się bliżej niego.

Niechcąc trącił opartą o ścianę kratkę. Zsuwając się po śliskiej powierzchni i betonowej podłodze, zazgrzytała niemilo. Zabrzmiało to jak spotęgowany wysoki odgłos pazurów przejeżdżających po suchej tablicy. Dźwięk, który nie tylko przyprawia o ciarki, ale sprawia, że mózg skręca się w środku.

Sierżant za sprawą swojego niemalże nadludzkiego refleksu złapał ją tuż przed tym, jak miała wałnąć o ziemię. Momentalnie zamarli w bezruchu. Wstrzymali oddechy, nasłuchując, czy któryś z Szaraków ich nie usłyszał. Schowani za stertą dużych skrzyń, nie mogli zobaczyć, czy ktoś zbliża się w ich stronę. Sierżant, nie chcąc ryzykować, wskazał Jerseyowi otwarty tunel wentylacyjny, na co ten wskoczył tam bez pytania. Następnie chwycił BB za kołnierzyk oraz pasek od spodni i wrzucił go do środka jak worek ziemniaków. Udało mu się zrobić to niemal bezgłośnie. Przykucnął i wszedł tam ostatni i wzięwszy kratkę w ręce, włożył ją z powrotem na swoje miejsce. Udało mu się tego dokonać dosłownie na dwie sekundy przed pojawieniem się trzech Szaraków.

Mimo braku uszu jakimś cudem usłyszeli ten hałas. Gdyby nie szybka reakcja Sierżanta J., zostaliby przyłapani na gorącym uczynku. Siedząc w ciemnym, śmierdzącym stęchlizną i pleśnią tunelu, patrzyli przez podłużne wąskie luki od przykrywy. Widzieli jedy-



nie skierowane palcami do ziemi szare stopy poruszające się na zewnątrz. Obcy krążyli przez jakiś czas tam i z powrotem, sprawdzając źródło hałasu. Nie znalazłszy niczego szczególnego, dali sobie spokój i zawrócili.

– Od teraz cisza, przechodzimy do końca tego tunelu. Nie chcę kolejnej wtopy. Jeszcze jeden hałas i na pewno przestaną myśleć, że to przypadek – Sierżant pouczał BB.

Słowa Sierżanta przelatowały jednak przez świadomość BB jak przez dziurawe sito. Nie miał pojęcia, dlaczego do niego mówił. Pot lał się po jego czole, nie dlatego, że było gorąco, ale dlatego, że on faktycznie nie cierpiał małych pomieszczeń, a szczególnie tuneli. Jego oddech przyspieszył, zaczęło mu się kręcić w głowie. Niestety nie mógł pozwolić sobie na panikę, ponieważ tuż za nim szedł wścickły Sierżant i raz po raz popychał go do przodu.

Wnętrze szybu wentylacyjnego było ohydne, pełne pajęczyn, grubej warstwy kurzu oraz jakiegoś mokrego brudu zmieszanego z grzybem. Musieli być pierwszymi gośćmi od czasu, kiedy go wybudowano, a biorąc pod uwagę fakt, że baza została postawiona w latach czterdziestych, łatwo można było się domyśleć, jak wielkie skupisko bakterii musiało tam zamieszkać.

Jersey chciał już stamtąd wyjść, i to jak najszybciej, sam również nie przepadał za ciasnymi przestrzeniami. Czolgając się jako pierwszy, zamiatał lokciami cały ten brud. Część tego paskudztwa po dotknięciu unosiła się do góry i lądowała na jego twarzy, nosie czy ustach. Kilka razy nawet przystanął, aby po cichu odchrząknąć to, co właśnie dostało się do jego gardła. Gdyby nie jego charakter i powaga sytuacji, już dawno by się złamał i wycofał. Jednakże parł stanowczo przed siebie.

Tunel nie był prosty, miał kilka bardzo ostrych zakrętów. Nie znali jego budowy, więc błędzili, gubiąc się w nim jak w labiryncie. Raz nawet utknęli w ślepej alejce, gdzie spotkali się na końcu z litą betonową ścianą. Musieli wtedy wyczolgiwać się tyłem. Całe to błędzenie nie trwało więcej niż pięć minut i całe szczęście, gdyż BB cały już posiniał z nerwów.

Wychodząc zza ostatniego rogu, napotkali czerwone światło, które doprowadziło ich do wyjścia. Zbliżając się do pokrywy zamykającej wentylację, wiedzieli, że nic przez nią nie zobaczą – była jeszcze bardziej zabudowana niż ta przy wejściu. Sierżant przesunął się bokiem korytarza, ledwo mieszcząc się obok BB i Jerseya. Musiał dostać się na przód, bo jako jedyny z nich był na tyle silny, żeby uporać się z tym żelastwem.

Zaparł się jedną nogą o podłogę, a drugą o kratkę, przy czym przytrzymał pokrywę jedną ręką, żeby nie wypadła z drugiej strony. Była dość mocno zakleszczona i mimo wielkiego wysiłku ze strony Sierżanta, nie był w stanie jej poruszyć.

– Klikowski, oprzyj swoje nogi na moich plecach i powiedz temu gogusiowi, żeby zrobił to samo. Pchajcie do przodu, musimy użyć więcej siły, żeby przejść dalej – szepnął Sierżant J.

Jersey przekazał tę informację do BB i tak też uczynili. Napierali z całych sił, aż w końcu coś się poluzowało. Kratka zaczęła odchodzić od ściany, ale była na tyle ciężka, że pociągnęła za sobą Sierżanta. Schylił głowę i umiejętnie uniknął nabicia sobie wielkiego guza. Drugą ręką chwycił żelastwo i był już zdany tylko na grawitację – spadał prosto na położoną jeden metr pod nim betonową podłogę. Coś nim mocno szarpnęło za pasek i zatrzymał się tuż przed samą ziemią, wisząc do połowy na zewnątrz i z nogami w środku tunelu wentylacyjnego. Delikatnie położył kratę na ziemi i obrócił się do tyłu. Dwóch nastolatków trzymało go mocno za spodnie.

– Dobra robota – mrugnął do nich okiem.

Kolejny raz mieli dużo szczęścia, okazało się bowiem, że tunel wentylacyjny schowany był tuż za stertą drewnianych pudeł. Mogli z niego spokojnie wyjść, nie obawiając się, że zostaną zauważeni. Strzepali z siebie cały ten kurz i inne ustrojstwo, które na nich osiadło, i zakradali się dalej w głąb bocznego magazynu. Jak się okazało, musieli przejść kilkadziesiąt metrów wzdłuż pudeł, zanim dotarli do niewielkich metalowych schodów prowadzących na podwieszony kilka metrów nad ziemią balkonik.

Po wyjściu po schodach, położyli się na ziemi i doczłgali do miejsca, z którego mogli w końcu wszystko zobaczyć.

– O mój Boże – wydusił z siebie Sierżant.

– Czy to jest to, o czym myślę? – zapytał Jersey.

– Tak.

– No niezłą macie tutaj kolekcję, chłopaki – dodał BB.

Patrzyli z góry na podłużny magazyn wypełniony po brzegi dwumetrowymi raketami.

– Sierżancie, czy to są... ? – zapytał ponownie niepewnym głosem Jersey.

– Myślę, że tak.... – odpowiedział.

– O mój Boże.

– Co to są za rakiety? – BB zwrócił się do Sierżanta.

– To nie są rakiety...

– Jak to nie są rakiety?

– To są głowice.

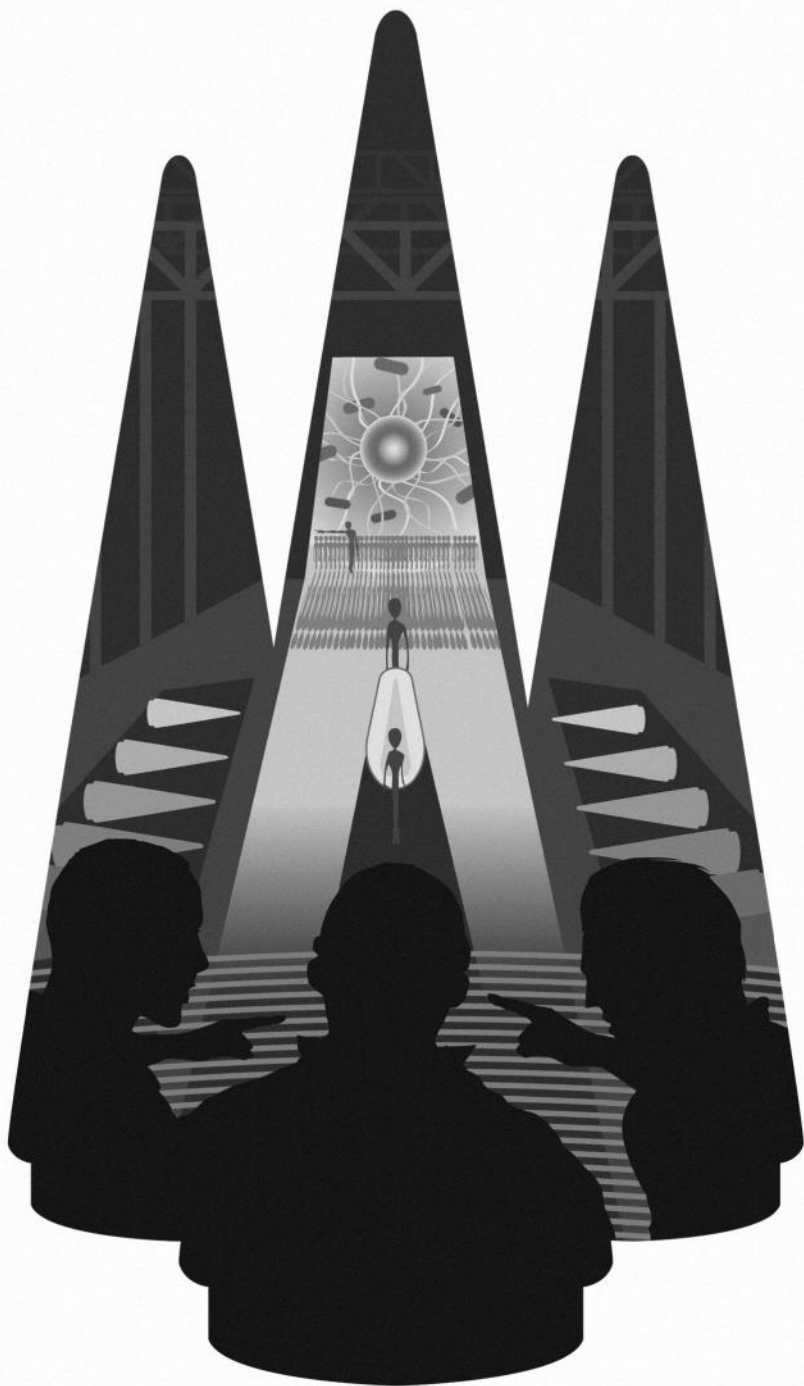
– Jakie głowice?

– Nuklearne – dodał Sierżant.

Twarz BB zbladła tak bardzo, że wydawało się, że zaraz zniknie. Wrócił wzrokiem do magazynu i patrząc na dziesiątki zostawionych tam głowic, doznawał szoku. Pamiętał filmy z testów atomowych, pamiętał, co jedna bomba zrobiła z Hiroshima. Przypominał sobie, jak domy oraz drzewa rozpadały się na cząsteczki podczas wybuchu. Wiedział, jak potężną i straszną mocą była broń atomowa. Lecz widok, który miał teraz przed oczami, był czymś, czego nie mógł objąć rozumem. Potęga tej siły była wręcz niepojęta. Wyobraził sobie, co by się stało, gdyby jedna z tych głowic nagle eksplodowała. Nic by nie zostało z Woodbridge oraz okolic, w których się urodził i wychował. Lasy by spłonęły, domy rozsypały, rzeki wyparowały, a ludzie zamienili się w popiół. Wizja ta zmroziła mu krew w żyłach i rozwścieczyła straszliwie.

– Dlaczego? Czy ktoś wie o tym, że trzymacie tutaj broń nuklearną?

– zapytał drżącym ze wściekłości głosem i chwycił Sierżanta mocno za kołnierz.



– Uspokój się, zaraz się zorientują, że tutaj jesteśmy – powiedział żołnierz.

– Odpowiadaj, starcze!

– W pyte jeżozwierzal! Popatrz na moją twarz. Nie widzisz, że jestem tak samo zaskoczony jak ty? Nigdy nie byłem zwolennikiem broni nuklearnej, nie mam pojęcia, skąd to się tutaj wzięło. Nikt nigdy nie wspominał, że to lotnisko i baza są czymś wyjątkowym. Sam widziałeś, jakie śmieszne zabezpieczenia zastaliśmy na naszej drodze.

– Wiem, że jesteś zdenerwowany, ale musisz się wziąć się w garść. My naprawdę nic o tym nie wiedzieliśmy – powiedział Jersey.

BB puścił Sierżanta i popatrzył po raz ostatni w ich oczy. Wiedział, że mają rację. Mówili prawdę. Byli tak samo zaskoczeni i roztrzęsieni jak on.

– Wiem tylko o jednej rzeczy, o której bardzo mało osób wie. Jest to ściśle tajna sprawa, ale biorąc pod uwagę, co już dzisiaj widzieliście, myślę, że powinienem wam powiedzieć. To nie jest pierwszy raz, kiedy trójkątne maszyny odwiedzają Bentwaters.

BB przelknął głośno ślinę, a Jersey zmrużył oczy, mówiąc:

– No właśnie, wydawało mi się, że Sierżant już je widział. Miałem takie przeczucie, jak wcześniej się o nie spytałem.

– To prawda, synu. Osiem miesięcy temu, a dokładnie od 26 do 28 grudnia 1980 roku, byliśmy infiltrowani i sprawdzani przez te maszyny. Wysyłaliśmy naszych ludzi kilkakrotnie w celu sprawdzenia i identyfikacji tych statków. Za każdym razem wracali z dziwnymi, irracjonalnymi wyjaśnieniami. Z początku myśleliśmy, że to czerwoni, ale później nie byliśmy już tego tacy pewni. Personel, który był na miejscu, zdawał identyczne relacje i opisy z lądowania trójkątnych maszyn w lesie Rendlesham. Opowiadali o dziwnych inskrypcjach, tajemniczych światłach i głupotach jak z filmów o przybyszach z kosmosu. Musiało coś w tym być. Większość z nas nie miała pojęcia, skąd taka technologia, co to za sprzęt, a przede wszystkim po co ktokolwiek miałby zadawać sobie tyle trudu i szpiegować naszą bazę. Nie było ku temu podstaw. Oficjalnie, poza kilkoma dywizjami samolotów i bronią przeciwpowietrzną, nie ma tutaj niczego. Ale pa-

trząc na zawartość tego magazynu, mogę już we wszystko uwierzyć. Kimkolwiek są te szare ścierwa, bardzo zainteresowały się naszą bronią.

– Ale ktoś jeszcze zdaje się tym interesować? – dodał BB.

– Ale kto? Nawet mi przez myśl nie przeszło, że może być ich więcej – powiedział Jersey.

– Ktoś musi kierować tymi spodkami, no nie? – dodał BB.

Sierżant oraz Jersey popatrzyli na niego, ale nic nie odpowiedzieli. Miał rację. Nie poznali jeszcze drugiej strony tego konfliktu. Widzieli przecież bitwę powietrzną na własne oczy. Byli świadkami, jak srebrzyste spodki toczyły zaciętą walkę z czarnymi trójkątami. Byli również świadkami, jak jeden z tych talerzy rozbijał się o ziemię. W całym tym zwariowanym dniu nikomu nawet nie przyszło do głowy pytanie: „Kto mógł nimi kierować?”

– Więc co oni z tym robią? – kiwnął głową na Szaraków.

– Właśnie chciałbym się tego dowiedzieć. Padnij nisko! – Sierżant J. ściągnął obu nastolatków w dół, do zimnej metalowej platformy balonowej. Dwójka Obcych kierowała się w ich stronę. Zatrzymali się jedynie kilka metrów od nich, zaraz przy jednej z podłużnych głowic. Jeden z nich trzymał w ręku jakiegoś rodzaju sześcienną kostkę. Przyczepił ją do przodu rakiety i włożył do niej zakończony igłą palec.

Wystrzelił z niej jakiś dziwny materiał, który otoczył całą głowicę. Chwilę potem zwiększył objętość i przybrał kształt białej prostokątnej skrzyni. Dwójka szarych Obcych chwyciła ją z obu stron i zaczęła wynosić, jak gdyby ważyła najwyżej dwadzieścia kilogramów.

– A więc tak to robicie. Teraz tylko musimy się dowiedzieć, w jakim celu? – zamruczał pod nosem Sierżant.

– Jaki mamy plan? – zapytał Jersey.

– Nie wiem jeszcze. Muszę się zastanowić.

– Może nie będzie takiej potrzeby.

– Jak to?

– Oni chyba wychodzą – Jersey wskazał palcem na opuszczających

magazyn Szaraków. Szli zaraz za prowadzącym ich białym dowódcą.  
– Świetnie, czyli to znaczy, że nie musieliśmy wcale przechodzić przez ten ohydny tunel? Wystarczyło jedynie poczekać – zamruczył BB.

– Popatrzcie, oni to wszystko zostawiają – Jersey wskazał palcem na migoczącą kulę oraz poustawiane wokół niej skrzynie.

– To mi się coraz bardziej nie podoba, szybko, idziemy! – J. machnął ręką.

Zsunął się w dół, zwieszając z krawędzi balkonu i opuścił na ziemię. Nie było wysoko, zaledwie dwa metry. Zrobił to bardzo dynamicznie i cicho. Następnie podbiegł na palcach do jednej ze stojących głowic i schował się w jej cieniu. Chłopaki zrobili to samo, oczywiście nie z taką gracją.

Jersey był dużo niższy od Sierżanta, więc wysokość, jaka dzieliła go od ziemi, była większa. Kiedy opadł na dół, musiał amortyzować upadek fikolkiem do przodu. BB nie był na tyle wyszkolony, żeby powtórzyć wyczyn rywala, ale przy lądowaniu upadł nisko, aż jedno z kolan dotknęło ziemi.

Sierżant prowadził. Zmieniał swoje położenie co kilka sekund. Przesuwał się z jednego cienia w kolejny, raz za razem redukując odległość, jaka dzieliła go od głównego hangaru oraz znajdującej się tam kuli. Chłopcy byli tuż za nim. Z każdą minutą stawali się coraz lepsi i szybsi, jakby starając się pokazać, który z nich dominuje.

Po dotarciu do potężnych, stalowych i grubych na dwa metry drzwi Sierżant wychylił ostrożnie głowę i sprawdził, czy aby wszyscy opuścili to miejsce. Było pusto. Machnął ręką, dając znak, że spokojnie mogą wejść do głównego pomieszczenia.

Podeszli do ogromnej świecącej kuli. Im bliżej obiektu się znajdowali, tym dziwniej się czuli. Emanował on nie tylko światłem, ale wytwarzając niski drżący dźwięk, oddziaływał magnetycznie na wszystko, co się wokół niego znajdowało. Skóra falowała i laskotała. Setki motyli tańczyły w ich brzuchach. Sensacje, jakich doznawali, były niesamowite. Jersey uśmiechnął się do siebie i odetchnął z ulgą na myśl, że Piguly z nimi nie było. Gdyby był obecny, zapewne

chciałby się wszystkim pochwalić, jak jego pofaldowany brzuch samoczynnie reaguje, falując w rytm wibracji nadawanych przez kulę.

Ubrany w moro i pomalowany w czarno-zielone plamy wysoki żołnierz stał, wpatrując się w kulę oraz położone wokół niej białe skrzynie wypełnione głowicami nuklearnymi.

Ustawione były w kręgu – tak blisko, że sfera, z której wychodziły spiczaste promienie, dotykała nimi ich wszystkich. Patrząc z tej perspektywy, można było dostrzec, że są one połączone. Czterdzieści osiem głowic nuklearnych. Po co im czterdzieści osiem głowic nuklearnych? – rozmyślał, próbując dociec prawdziwych intencji Szaraków. Nie potrafił znaleźć ani jednego powodu, dla którego mieliby wynieść te skrzynie i ot tak porzucić. Przerazało go to, że musiał w tym być jakiś ukryty cel. Doszedł do wniosku, że albo wrócić się wkrótce po nie, albo stanie się coś, czego się w ogóle nie spodziewają.

Pierwsza opcja była troszkę niedorzeczna, bo po co mieliby wychodzić na chwilę i zaraz potem wracać?

Chyba nie poszli sobie zrobić przerwy na herbatkę? – pomyślał.

W ciągu jednej sekundy kula zaczęła zmieniać barwę i mienić się różnymi zimnymi kolorami. Błękity zmieniały się w szary, później w biały, a następnie w seledyn i tak dalej. Dźwięk również uległ zmianie – przyspieszył i stał się zdecydowanie wyższy.

Działo to bardzo hipnotyzująco. Minęła chwila, zanim Jersey na moment oderwał wzrok od tajemniczego przedmiotu. Miał coś powiedzieć do Sierżanta, lecz kiedy na niego popatrzył, bardzo się zdziwił.

Komandos stał nieruchomo, ale jego głowa powiększała się do wielkości piłki lekarskiej, żeby zaraz maleć do rozmiaru piłeczki do ping ponga. BB natomiast tył i kurczył się, raz wyglądając jak nieistniejący starszy brat Piguły, a za moment jak niedożywiony model. Jersey postawił nogę przed siebie, ale uciekła mu trzy metry do przodu. Zachwiał się na drugiej, a tamta schowała się za jego plecy. – Sie...rż...aaaaaaancie – powiedział w zwolnionym tempie Jersey.



Kiedy komandos na niego spojrzal, jego glowa zrobila sie jeszcze wieksza niz balon, a oczy zajmowaly mu pol twarzy.

– Kliiiii...kooooo...wskiii..., czeeeeeeemu jeeeeeeesteś

Ping...wiiiiinim? – zapytal glupio.

– Sierzaaaaaaaaa...ncieeeeeee lepieeeeeeeej uciekaaaaaaaaaajmy staaaaaaad, dziwnieeeeeeee sie czuuuuuuuuuuuuuuje – wydusil z siebie, a caly swiat zaczal wirowac mu przed oczami i mienic sie milionami kolorow. Wszystkie polozone wokol skrzynie zaczely sie unoscic, a kula coraz szybciej zmieniala barwe. Nie byl pewien, czy mu sie to wydaje, czy to sie dzialo naprawde.

– Uuuuuuu UUUUuuuuuu UUUUuuuuuuu, lata lata latajaajace skrzynie! – BB zawyl spiewajaco.

W tym momencie Jersey byl juz wtedy pewien, ze to dzialo sie naprawde.

To musial byc powod, dla ktorego Szaraki opuścili to miejsce. Aby nie poddac sie dzialaniu sil, ktore emituje pracujaca w tajemniczy i niezrozumialy sposob sfera. Wszyscy doświadczali halucynacji oraz desynchronizacji z wlasnymi cialami.

– Uuu...uciekamy, to ta ta ta ku-ku-kulaaaaa – zajaknal sie Sierzant J. i obrócił sie na pięć. Niestety, co innego widzial swoimi oczami. Komandos byl niemalze pewien, ze kiedy sie obrócił, jego nogi skrecily sie i przewiazaly na supel. Wybaluszyl oczy, pokrecil szybko rekami i walnal twarza prosto w beton. Jersey podszedl do niego, stawiajac kilkumetrowe kroki. Wydawalo mu sie, ze jest dlugonozna postacia z kreskowki spacerujaca po księzycu.

Sięgnal w dol po Sierzanta i musial poczekać, az jego reka go dosięgnie. Zamiast isc prosto, rozciagnela sie na dlugosc kilku metrow i spacerowala na koniuszkach palcow wszedzie, tylko nie tam, gdzie chcial Jersey. Masz mnie sluchac, chwyc go! – powiedzial do swojej reki w myslach. Ona jednak odwróčila sie do niego i pokazala srodkowy palec. Jersey stracil calkowita kontrole nie tylko nad swoimi nogami i rekami, ale rowniez zmyslami.

BB zaczął natomiast biegać wokół kuli i trzymając w rękach wyimaginowaną siatkę, łapał gigantyczne różowe motyle. Byli całkowicie uwięzieni w pułapce własnych umysłów.

Kula stawiała się coraz głośniejsza, a otaczające ją skrzynie unosiły się już wysoko nad ziemią. Całe ogromne pomieszczenie drżało i skrzypiało. Wszystkie przedmioty unosiły się w powietrze i trzymane niewidzialną siłą, lewitowały nieruchomo. To samo działo się z nimi samymi. Zaczęli się unosić – tak, jakby grawitacja przestała nagle istnieć. Musieli wyjść stamtąd najszybciej jak tylko mogli, niestety nie pozwalały im na to ani ich mózgi, ani otoczenie. Sierżant próbował biegnąć w kierunku wyjścia, ale wisząc w przestrzeni, przebierał tylko nogami. Powietrze było coraz lżejsze, a z nosów zaczęła kapać im krew. Szumiało im tak bardzo w uszach, że nie słyszeli już pisku dobiegającego z kolorowej kuli.

Byli całkowicie bezsilni, zupełnie jak muchy schwyte w sieć pająka. Chcieli się ruszyć, ale nie mogli. Jersey tracił już przytomność, jego oczy same się zamykały, kiedy zamazany wzrokiem zobaczył lecącego w jego kierunku małego człowieczka. Kiedy się zbliżył, nie był w stanie dopatrzeć się dokładnych rysów jego twarzy. Widział jedynie kształt i kolor jego ciała. Niski, grubiotki i bielutki. Przypominał promieniującą wersję walentynkowego cherubinka. – Ale mam jazdę – powiedział sam do siebie. Aniołek wyciągnął do niego dłoń i uśmiechnął się słodko. Jersey nie miał nic do stracenia i podał mu rękę. Kiedy to zrobił, poczuł się troszkę lepiej.

Wiedział, że nie stoi w miejscu. Mały aniołek zaczął go ciągnąć za sobą. Podleciał do Sierżanta i zrobił to samo. Gruby amorek nie zapomniał też o BB. Chwycili się wszyscy za ręce i w niepojęty sposób lecieli ku wyjściu. Uciekając jak najdalej od błyszczącej już stroboskopowo kuli, z każdym metrem czuli się odrobinę lepiej. – Jupi, jupi, anioleczek! – dodał wciąż rozweselony BB, po czym zemdlał.

Jersey zdziwił się, że przeżywają tę samą halucynację.

Sierżant stracił przytomność, zupełnie jak BB. Jersey resztkami sił patrzył, jak szybują bardzo szybko między wszystkimi pomieszczeniami oraz korytarzami, którymi wcześniej szli. Kiedy znów skierował wzrok na małego cherubinka, zobaczył tylko jego rozmazany uśmiech i utracił wszelką świadomość.

## Rozdział 12

### Kwadrat

Jersey poczuł bardzo bolesne uszczyknięcie w swoich stopach i usłyszał dziwny, ale znajomy dźwięk:

– Wstawaj, nie ma już czasu – powiedział ni to męski, ni to damski głos.

Otworzył oczy, ale oprócz leżącego po jego lewej stronie Sierżanta, a po prawej BB, nie było tam nikogo więcej. Rozejrzył się wokół. Leżeli w trawie na obrzeżach lotniska. Nie było śladu po czatujących wokół bazy Szarakach. Wzrok i zmysły również wróciły do normy. Halucynacje, wraz z latającym białym amorkiem, zniknęły.

Głowa mu pękała, prawie identycznie jak wtedy, kiedy wypili z Ice'm po osiem piw jednego wieczoru. W brzuchu mu burczało i mdliło. Czuł się okropnie. Musiał się przez moment skupić i mocno zastanowić. Posklejanie faktów nie zajęło mu więcej niż kilkanaście sekund i kiedy przypomniał sobie ostatnie zdarzenia, momentalnie kopnął Sierżanta w nogę oraz BB w rękę i powiedział:

– Szybko, wstawajcie, obudźcie się.

– Co jest... Aaa... Moja głowa – mruczał BB.

– Bule bule, gule, zule – wymamrotał po afrykańsku Sierżant.

– Wstawajcie natychmiast, nie ma już czasu – ponowił Jersey i zastanawiał się, o czym J. może śnić.

Co jest? – zapytał sam siebie, kiedy zerknął do góry. Wiszące nisko szare gęste chmury po raz pierwszy tego dnia ruszały się. Wtłoczony w nie wielki spiralny wzór kręcił się powoli wokół własnej osi. Przypominało to trochę gęstą masę do ciasta zakreconą wielgachną łyżką.

Wystające do połowy, powbijane brązowe kule brzęczały i migotały. Jersey miał dziwne przeczucie, że zaraz coś się stanie. Poczuł pod nogami dziwne drżenie. Skojarzyło mu się z tym, które czuła, będąc głęboko pod ziemią w hangarze.

– Wstawajcie już! – krzyknął raz jeszcze i kopnął mocno w buty Sierżanta i BB.

– O co ci chodzi? – otworzył oczy Anglik.

– Nie ma czasu do stracenia, ruszamy, natychmiast! – wrzeszczał. Sierżant ocknął się i tak samo jak BB po krótkiej chwili przypomniał sobie gdzie i dlaczego się tam znaleźli.

– Maggie! Ice! – podniósł głos Jersey. Przypomniał sobie, że kilkaset metrów dalej czekają na nich przyjaciele. Nie bacząc na nic, wystartował przed siebie jak mustang. Zostawił w tyle Sierżanta oraz BB. Biegać potrafił bardzo szybko. Gra w piłkę nożną oraz ciągle poranne treningi zrobiły swoje. Był niesamowicie szybki.

Po kilkudziesięciu sekundach ostrego sprintu dotarł na niewielkie wzniesienie tuż obok lotniska. Na miejsce, w którym zostawił brata oraz przyjaciół.

– Ice! Ice! Słyszysz mnie? – wołał do nieprzytomnego niskiego piegowatego blondyna. Leżał na ziemi nieruchomo, w odległości zaledwie dwóch metrów od Piguly. Byli mocni poturbowani, wyglądali tak, jakby dopiero co zostali wypluci przez oko cyklonu.

– Bracie, proszę, odezwij się! – przyłożył ucho do jego ust i sprawdzał oddech. Serce momentalnie stało się jakby lżejsze, a skurcz w brzuchu popuścił. Ice był żywy. Włożył jedną rękę pod jego głowę i uderzając go lekko po twarzy, starał się go ocucić.

– Icek, Icek, proszę, obudź się... Icek.

Ice odchrząknął, zakaszłał i wypluł trochę krwi.

– Mmmmm – otworzył jedno podpuchnięte oko i pierwszą reakcją było wzdrygnięcie. Szarpnęło nim gwałtownie. Jego nerwy reagowały jeszcze na to, co mu się przytrafiło wcześniej. Rękami odpychał się mocno od swojego brata, próbując uciec do tyłu.

– Icek, Ice, kochany bracie, spokojnie, to ja, Jurek – przytulił go mocno i pogłaskał po twarzy.

– Jurek? Jer...sey? – zapytał zdziwiony, ledwo wydobywając z siebie te słowa. Próbował podpatrzeć spod spuchniętego oka.

– Co się tutaj stało? Gdzie są dziewczyny?

– Zatakowali nas. To była pułapka. Walczyłem, Pigula też, ale nie

daliśmy mu rady – mówił powoli.

– Komu nie daliście rady? – zapytał przejęty Jersey. Serce trzęsło mu się z nerwów, jakby podpięte do prądu. Usłyszał za plecami odgłos kroków. Położył brata na ziemi i odwrócił się do tyłu. Był gotowy do walki.

– Co się tutaj stało? – zapytał wstrząśnięty BB.

– A, to wy – Jersey wypuścił z ulgą powietrze na widok podchodzącego do nich Sierzanta oraz ciemnowłosego angielskiego rywala.

Przez moment pomyślał, że mogły to być Szaraki.

– Gdzie są dziewczyny? – BB rozglądał się wokół.

Jersey jednak nie odpowiedział. Obrócił się do swojego brata i ponowił swoje pytanie:

– Komu nie daliście rady, Icek?

– To był ten biały – wypluł znów trochę krwi. – Ten biały dziwoląg. Ten z wielkimi oczami.

Jersey od razu wiedział, o kogo chodzi. Zapragnął spotkać się z nim sam na sam i wycisnąć z niego wszystkie odpowiedzi. Poczul niepokromioną żądzę zemsty. Podświadomie wiedział, że to on, biały ni to człowiek, ni to Szarak stoi za tymi wszystkimi wydarzeniami. Po zostało mu zapytać tylko o jedno:

– Co się stało z dziewczynami? – głos jego zadrzał, kiedy kończył zdanie. Bał się odpowiedzi, jaką zaraz miał otrzymać.

– Zabrał je. Broniliśmy ich, naprawdę... ale on je porwał – Iza ledwo przecisnęła się pod spuchniętą powieką i spłynęła mu po policzku. Ice miał żal do siebie, że zawiódł wszystkich. Nie był w stanie obronić dziewczyn.

– Kochany bracie, nie martw się. To nie twoja wina. Oni są silniejsi. Gdzie je zabrał? – Jersey był wściekły. Nienawiść, jaka w nim wzbudziła, zbudziła śpiącą gdzieś głęboko bestię. Tak bardzo bał się o Maggie. Stojący obok BB zareagował identycznie. Ścisnął swoje pięści tak mocno, że wszystkie kości i stawy na raz strzeliły. Bał się o swoją ukochaną.

– Poszli w tamtą stronę – wskazał palcem na gęstą mgłę.

– Odpoczywaj, my sobie poradzi...

– Nie! Idę z wami – zastopował go Ice i cały obolały podniósł się z ziemi.

Jersey chciał mu przerwać i naklonić, żeby jednak się nie ruszał, ale niespodziewane zjawisko odwróciło jego uwagę.

Niebo zaczęło się coraz szybciej poruszać, spiralny układ wewnątrz chmury zaczął teraz przemieszczać się do środka, tworząc wielki wir. Odwrócone do góry nogami tornado kręciło się bardzo szybko. Brązowe kule przypominające M&M'sy wleciały w sam jego środek. Puszzysta chmura była zasysana do góry niczym przez ogromny odkurzacz. Mgła znikła na ich oczach, rozświetlając się raz po raz burzowymi wyladowaniami. Powietrze stawało się coraz bardziej przejrzyste, a widoczność zwiększała. Chmura, niczym spływająca woda w wannie, zmniejszała swoją objętość i podnosiła się coraz to wyżej, niknąc w podniebnym wirze. Kiedy była już bardzo wysoko, a jej gęstość zmalała, ich oczom ukazał się powód tego zjawiska.

Wisiał nad nimi gigantyczny kwadratowy statek. Był czarniejszy niż najciemniejsza noc. Długi na przynajmniej kilkanaście kilometrów, zasłonił prawie całe niebo. Unosił się nieruchomo, nie wydając żadnych dźwięków. Był tak wielki, że zmieściłoby się na nim kilka dużej wielkości lotnisk i tysiące samolotów. Resztką szarej gęstej chmury została wchłonięta do środka tego kolosalnego obiektu. – A niech mnie – powiedział Sierżant.

Nikt nie raczył skomentować ani dodać niczego od siebie, ponieważ widok ten odebrał im mowę. Nigdy wcześniej nie widzieli niczego, co by dorównywało wielkości tego statku.

Jersey zwrócił uwagę, że z całą chmurą i mgłą zniknął również ciągle pojawiający się ryk spowolnionej burzy.

– Czy to trzęsienie ziemi? – zachwiał się na nogach BB.

Jersey znów poczuł drżenie pod nogami. Tym razem nie było pojedyncze, ale zamieniło się w jeden długi nieustający ciąg.

Z samego środka czarnego kwadratu wystrzeliła wiązka krwisto-czerwonego światła. Krawędzie były ostre. Nie tak jak zwykły snop świecącej żarówki czy latarki, który się rozprasza. Światło było ujęte w przezroczystym sześcianie i wysokie od samej ziemi do

centrum obiektu. Zeszło pionowo na dół i otoczyło swym kolorem dużą część lotniska wraz ze stojącą u jej brzegu wieżą. Miejscem, z którego ledwo udało im się ujsć z życiem.

Dzięki temu, że widoczność wróciła do normy, nie mieli już problemu z patrzeniem w dal. Stojąc w dalekiej odległości, bezpiecznie przyglądali się temu, co działo się na płycie lotniska.

Jersey przetarł oczy z niedowierzania. To samo zrobił Sierżant i BB. Ice'owi udało się już wstać, ale nawet nie chciał dotykać swoich powiek, wystarczająco mocno go bolały. Piguła również stanął na nogi i wszedł w rząd chłopaków. Jego twarz była w lepszym stanie niż Ice'a.

Patrząc przed siebie, na początku nie mogli zrozumieć, co się dzieje. Tam, gdzie znalazł się czerwony słup światła, ziemia, beton oraz trawa zaczęły mienić się i zanikać. Tuż nad nimi pojawiały się małe kwadraciki. Dopiero, kiedy światło wydrążyło dużą dziurę w ziemi, zrozumieli.

Wiszący nad nimi statek rozcząsteczkowywał oświetlane miejsce. Wieża zaczęła rozpadać się na części. Małe kwadraciki zamiast spadać na dół ulatywały do góry i tam też zostawały. Budynek zniknął metr po metrze rozbierany od góry, jakby był skonstruowany z klocków lego. Gleba, płyta lotniska, samochody, małe struktury administracyjne, nawet kilka samolotów – wszystko to część po części ulatniało się do góry. Chmura małych kwadracików piętrzyła się coraz wyżej, robiąc miejsce dla następnych. Tam, gdzie jeszcze moment wcześniej mieściła się część lotniska wraz z zapleczem, pozostała jedynie ogromna ciemna dziura.

– Ja wiem, co tam jest – powiedział Sierżant.

– Co? – zapytał Ice.

– Hangar ze skrzyniami – odpowiedział rozumiejący już wszystko Jersey.

Z głębokiej dziury wyleciała wielka kolorowa kula, do której świetlistymi spiczastymi promieniami podczepiane były białe skrzynie. Wspiwała się pionowo w górę, żeby na końcu zniknąć we wnętrzu trójkąta.





- Co to, u licha, jest? Dlaczego to się nie rozszczępia na fragmenty?
  - zapytał Piguła.
  - Bo to nie jest zrobione z ziemskich materiałów – odpowiedział mu BB.
  - Teraz już wiem, dlaczego to zostawili – dodał Sierżant.
  - Musimy ich zatrzymać, nie mogą wziąć ze sobą tylu głowic nuklearnych! – krzyknął Jersey.
  - Jak? Chcesz rzucić w nich kamieniem? Nie mamy niczego, czym moglibyśmy im w tym momencie zagrozić. Nawet atomówka mogłaby im nie dać rady. Patrz na rozmiar tego... tego kwadratu – pokręcił głową J.
  - Głowic nuklearnych? – zapytali zdziwieni Ice i Piguła.
  - Nie możemy się poddawać! Nie tego nas Sierżant uczył?! – wrzasnął Jersey.
  - Masz zupełną rację, Klikowski. Nie poddajemy się, musimy poczekać tylko na odpowiedni moment do ataku. Musimy znaleźć pomocne środki.
  - Musimy znaleźć broń, musimy walczyć – odezwał się Ice.
- Popatrzyli na niego i wzruszyli się. Był cały poobijany. Jego twarz była mocno spuchnięta, widział tylko na jedno oko. Odczuwał straszny ból, widać to było w każdym kroku, który stawiał. Mimo wszystko, nie poddawał się. Chciał dalej walczyć.
- BB położył mu rękę na ramieniu i powiedział:
- Nie martw się, znajdziemy dziewczyny, Ice. – Jersey skinął głową, potakując.
- Ice popatrzył na obu i rzekł:
- Wiem, że to zrobimy. Jesteś w porządku, Piguła też. Damy radę. Musimy tylko działać jak drużyna – wyciągnął rękę do wysokiego ciemnowłosego Anglika. BB bez sekundy zawahania uściśnął mu dłoń i poczuł jeszcze większy zastrzyk energii. Jersey uśmiechnął się pod nosem, kiedy chwilę potem to BB ścisnął jego rękę.
  - Nie chcę już z tobą rywalizować. Myliłem się co do was. Przepraszam – powiedział pokornie.

Jersey wpatrywał się w jego oczy. Miał mu za złe wiele rzeczy, ale postanowił spróbować. Wiedział, że teraz najważniejszy będzie rozejm. Wierzył, że tylko współpraca może im pomóc odbić dziewczyny.

– Dobra, to dajcie sobie jeszcze szybko buzi i klepnijcie po tyłkach, bo musimy lecieć – odezwał się Sierżant. Wskazał palcem na chowający się do góry czerwony słup światła.

Wszystkie unoszące się w nim małe kwadraciki opadały na ziemię. Robiły to w kontrolowany sposób, w określonej kolejności. Każda jedna mała drobinka wiedziała, gdzie ma spaść. Jedna za drugą odbudowywały te same struktury, które wcześniej tworzyły. Najpierw dziura w ziemi się zasypała, betonowa płyta lotniska metr po metrze łączyła się z sobą, tworząc całość. Wieża pięła się błyskawicznie do góry. Nie trwało to więcej niż dwadzieścia sekund i nie było śladu po żadnej ingerencji. Nawet samochody stanęły zaparkowane w tych samych miejscach.

– Nie rozumiem. Skoro kradną atomówki, to po co zadają sobie tyle trudu, żeby zatrzeć za sobą ślady? – zapytał Jersey.

– Tam! Tam są! – zawołał Piguła. Wskazał palcem na wznoszące się do góry trójkątne samoloty. Startowały pionowo zza drzew stojących tuż obok lotniska.

– Tam muszą być dziewczyny!

– Skąd wiesz? Nic przecież nie widać. Las zasłania wszystko – powiedział Jersey.

– To najlepszy i jedyny trop, jaki teraz mamy, musimy to sprawdzić – rzekł BB.

– To jest przynajmniej kilometr stąd. Zanim tam dobiegniemy, już wszystkie odlecą – powiedział Piguła, po czym od razu dodał: – A nieważne! Jedziemy! Robin Hood! – krzyknął heroicznie i ruszył pędem przed siebie. Zeskoczył bokiem na zbocze górki, na której stali i ześlizgnął się w dół. Reszta, nie czekając na nic ani chwili dłużej, poszła w jego ślady. Jersey chciał pomóc bratu, ale ten odepchnął jego rękę, dając do zrozumienia, że sobie sam poradzi.

Parli przed siebie z całych sił, wiedząc, że każda sekunda jest cenna. Przystopowali dopiero przed lasem. Patrząc między pniami liściastych drzew, obserwowali poruszających się Szaraków. Wypatrywali cały czas dziewczyn. Głupotą byłoby wbiegnięcie na tamten teren bez potwierdzenia obecności Maggie oraz Andy. Czekali niespokojnie.

– Chyba ich tam jednak nie ma – wzruszył ramionami Piguła.  
– Poczekajmy jeszcze chwilę, nie wiemy, co jest za tymi samolotami  
– Jersey wskazał palcem na trzy trójkątne maszyny. Stały w rzędzie, zasłaniając wszystko, co było za nimi.

Obcy poruszali się wszędzie w parach. Wsiadali do statków i odlatywali jedni po drugich. Każdy samolot wzbijał się w powietrze i kierował prosto do środka potężnego kwadratu wiszącego nad nimi. Kiedy dwa stojące najbliżej nich myśliwce uniosły się do góry, zobaczyli w oddali samotnie stojące dziewczyny.

Dwa ogromne perkusyjne talerze walnęły o siebie w żołądku BB. Tak się przynajmniej poczuł, kiedy zobaczył Maggie. Doznał dziwnego wstrząsu, od którego jego oczy zalala czerwień. Zaciśnął pięść i ruszył do przodu. Nie był jednak pierwszy, bo tuż przed nim biegł Jersey. Cała piątka rzuciła się w tamtym kierunku. Nie planowali niczego i nie zastanawiali się, co za chwilę będzie. Po prostu chcieli uratować dziewczyny. Zdrowy rozsądek i analizowanie sytuacji nie wchodziły wtedy w grę. Musieli działać szybko.

Maggie i Andy stały na płycie betonowego lotniska. Nie były pilnowane przez nikogo. W pobliżu została ostatnia trójkątna maszyna oraz dwóch Szaraków. Kiedy zauważyli szarżujących prosto na nich nastolatków, wysunęli z palców długie igły, zasycieli głośno i przystąpili do ataku.

– Maggie, już po ciebie idziemy! – zawołał Jersey, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.  
– Andy! – wołał Ice, ale też nic nie usłyszał.

Sierżant wraz z Pigułą odłączyli się od grupki i jak dwa rozwścieczone byki pędzili prosto na wysokiego Obcego. BB, Jersey oraz Ice wzięli na cel drugiego.

– BB, odłącz się od nas i leć do dziewczyn, sprawdź, czemu one cały czas tam stoją. Dlaczego nie uciekają? – Jersey powiedział jednym tchem.

– Nie dacie sobie rady beze mnie – odpowiedział Anglik.

– One są teraz ważniejsze. Poradzimy sobie. Już! Idź! – wrzasnęła.

BB skinął głową, po czym wygiął swoje ciało do tyłu. Udało mu się zmylić Szaraka. Zanim jednak ruszył do dziewczyn, obrzucił jednego z nich serią szybkich ciosów w podbrzusze. Schylił się i rzucił do przodu. Wyminął drugiego i ruszył sprintem do Maggie i Andy. Obrócił głowę do tyłu, starając się zerknąć na przebieg obu walk.

Sierżant z Pigułą wydawali się wygrywać z jednym z Obcych. Ice i Jersey cofali się do tyłu, ledwo radząc sobie z naporem nieludzkich ciosów. BB odwrócił wzrok. Musiał. Bardzo chciał im pomóc, ale wiedział, że ktoś musi zająć się również dziewczynami.

– Maggie, dlaczego tak stoicie? Szybko, musimy ruszać! – wydusił z siebie, podbiegając do nich. – Maggie? Andy? – zaniemówił.

Obie dziewczyny stały w całkowitym bezruchu. Zupełnie jak wcześniej Boogie, Red oraz wszyscy inni ludzie. Zatrzymane w czasie niczym figury woskowe.

– Maggie, kochana, proszę, słyszysz mnie? Powiedz coś! – powiedział łamiącym się głosem.

– Maggie! – chwycił ją za rękę, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu.

– Maggie, zbudź się – potrząsnął nią energicznie, ale i desperacko.

– Kochanie... – zalkał po cichu, czując się całkowicie bezradnym.

Wiedział, że została tylko jedna rzecz, którą mogliby zrobić. Wynieść je na rękach. Odwrócił się i ruszył biegiem do Jersey'a i Ice'a. Chciał im pomóc w walce, żeby jak najszybciej mogli zająć się dziewczynami.

Nie zdążył zrobić więcej niż trzy kroki, gdy czerwone światło opadło tuż za jego plecami. Było krystaliczne, polyskujące niespotykanym blaskiem. Otoczyło Maggie oraz Andy. BB chciał wsunąć rękę i wyciągnąć je stamtąd, ale nie mógł. Światło było niemożliwe do przeniknięcia. Twarde i przezroczyste jak kryształ.

BB rzucił się barkiem z całej siły, próbując przebić się do wnętrza. Odbił się i spadł na ziemię. Dopiero leżąc, spojrzal do góry i zobaczył, jak czarny trójkątny statek lewitował nad nimi. Różnił się od pozostałych. Nie był taki mały jak te, z którymi mieli wcześniej do czynienia. Był kilkakrotnie większy.

Czerwone światło opadało z samego środka obiektu. W jego blasku, we wnętrzu statku, dostrzegł stojącą sylwetkę przypominającą mężczyznę. Poznał go.

– Nic na to nie możesz poradzić. Pogódź się z tym – usłyszał głos w swojej głowie. BB rozejrzał się wokół siebie, ale nikogo tam nie było.

– Pogódź się z tym – usłyszał kolejne skrzypiące zdanie w swojej głowie. Głos nie był normalny. Wyl w jego umyśle jak wiatr w nieszczelnych okiennicach.

– Kim ty jesteś!? – wrzasnął BB. – No kim!!?

Nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi. BB zerwał się na równe nogi i zobaczył biegnących w jego kierunku Sierżanta oraz Pigulę.

– Pomóżcie mi! Musimy je stamtąd wydostać.

– Co to jest? – zapytał Sierżant.

– Nie wiem, ale nie mogę się przez to przebić.

– Odsuńcie się – Sierżant wyciągnął swój duży nóż i uderzył nim mocno w ścianę kryształu. Czubek ostrza rozpadł się na drobne kawałeczki.

– Odsuść – BB znów usłyszał skrzypiący głos.

– Nie!!! – krzyknął desperacko i wyciągnawszy złamany nóż z ręki Sierżanta, zaczął nim uderzać z całej siły w czerwoną przezroczystą ścianę. Wpatrywał się cały czas w otwarte oczy Maggie. Walił z całej siły, ciągle wierząc, że da im radę. Nóż tępił się coraz bardziej i z każdym kolejnym pchnięciem zostawało go coraz mniej. Części rozpryskiwanego metalu wbijały się i kaleczyły jego dłoń, nacinając ją kawałek po kawałku. Krew spływała mu po ręce, mieszając się z blaskiem szkarłatnej poświaty emanującej od kryształu.

– Kochana, wydostanę cię stamtąd, zaufaj mi!

– Zapomnij o niej – znów usłyszał ohydny głos w swojej głowie.

Jersey i Ice podbiegli i stanęli tuż obok niego. Byli ledwo żywi. Walka całkowicie ich wyczerpała.

– Maggie! – zawołał Jersey.

– Andy! – dodał Ice.

– Zapomnijcie o nich! – wszyscy usłyszeli w swoich głowach skrzypiąco-świszczący krzyk. Był tak wysoki, że chwycili się za uszy i osunęli na kolana.

– Nie! – BB krzyknął po raz kolejny. Tym razem zawył na widok unoszących się do góry ciał obu dziewczyn. Nie mógł niczego zrobić tylko patrzeć, jak lecą ku górze.

Okropny dźwięk, który pustoszył ich umysły, doprowadzał do chwilowej bezsilności. Leżąc na ziemi, starali się zwyciężyć kaleczącą ich agonię. BB podniósł się do góry i znajdując w sobie resztki sił, krzyknął:

– Znajdziemy cię! Zobaczysz! Uwolnimy je!

– Zapomnijcie o nich, poddajcie się – BB usłyszał ostatnie zdanie i upadł twarzą na ziemię.

Kątem oka obserwował jeszcze, jak jego ukochana oraz jego koleżanka zostają pochłonięte przez czerwone światło i schowane w czarnym statku. Do samego końca patrzył do góry, starając się nie tracić kontaktu z jej czarnymi dużymi oczami. Statek wydał z siebie niski drżący dźwięk i zaczął unosić się do góry. Nie było już ratunku. Nie było już niczego, co mógłby zrobić. Czuł się bezsilny. Wiedział, że zawiódł swoją ukochaną. Wskazywały na to jego spadające na gorący beton lzy.

Nie chciał jednak się poddać, zacisnął mocno zęby, podniósł wzrok i skierował go na stojącą w pobliżu czarną maszynę. Statek miał odlecieć razem z dwójką leżących tuż obok Szaraków. Tych samych, których dopiero co znokautowali bracia Klikowscy.

– Maggie... Maggie... – powtarzał Jersey. Skierował swoją dłoń ku górze, próbując złapać odlatującą maszynę. Bezsilność wypełniła jego duszę i ciało. Miał wyrzuty sumienia, czuł się podle, że pokłócił się z Maggie i zostawił ją samą. Ona chciała wtedy z nim porozmawiać. A on jej nie pozwolił. Może gdyby wtedy tak nie postąpił, mo-

że gdyby wtedy jej posłuchał i nie poszedł z Sierżantem do bazy...  
Może wtedy pomógłby jej i by ją obronił. Zaczął się winić.

– Jersey, wstawaj, musimy ich ścigać, Jersey! – szarpał nim BB. Dopiero po chwili oculił się i dotarło do niego, co może zrobić.

Dźwięk, który ich ogłuszył i niemalże sparaliżował, wprowadził ich umysły w stan okrutnego rozkojarzenia.

– Nie! – zawołał Jersey, gdy już stanął na własnych nogach.

– Jersey, musimy wziąć jedną maszynę i lecieć za nimi, natychmiast!

– Nie możemy, patrz! – wskazał palcem ku górze i kierował nim w dół, wyraźnie coś śledząc.

Trzy czarne statki lądowały tuż obok nich.

– To pułapka! Uciekajmy!

– Za późno, nie ma już gdzie! – zawołał Sierżant J. Miał rację, droga powrotna była teraz odcięta. Szaraki odzyskały przytomność i pełne wściekłości i żądzy zemsty były gotowe do walki. Wysiadające z trzech kolejnych maszyn wysokie postacie zwiększyły ich liczebność.

– Co robimy? – zapytał Ice.

– Walczymy – wrzasnął heroicznie Piguła.

– Piguła, nas jest piątka, ich ósemka. Nie mamy żadnych szans – powiedział Ice.

– Będziemy się bronić do samego końca, pokonamy ich, a później uratujemy dziewczyny – mówił wściekły BB. Był tak strasznie zły, że czuł, że sam w pojedynkę mógłby pokonać wszystkich wrogów.

Stanęli w kręgu. Jeden przy drugim. Czekali na ruch okrążających ich Obcych. Nie było mowy o ucieczce. Byli otoczeni. Ośmiu wściekłych wielkich chudzielców zbliżało się szybko w ich stronę.

Krąg się zacieśniał.

Kiedy popatrzyli w górę, widzieli odlatujący już daleko statek z dziewczynami. Czarny kilkunastokilometrowy kwadrat również zaczął się przesuwać, powoli opuszczając przestrzeń powietrzną nad ich głowami. Tracili czas.

– To dla ciebie, Maggie! – zawołał Jersey i rzucił się do przodu na jednego z Obcych. Nie zdążył jednak go uderzyć, bo zanim jego pięść wylądowała na gumowatej głowie Szaraka, ta rozprysła się ni-



czym balon. Huk rozniósł się po okolicy. Jersey od razu skojarzył sobie to z czymś, co już wcześniej widział. Reszta przybyszów obróciła swoje głowy w kierunku, z którego doszedł hałas.

Dwójka zakamuflowanych żołnierzy ninja celowała z długich karabinów w ich stronę.

– Sir, padnij, Sir! – zawołał jeden z nich. Nie czekając ani chwili dłużej, Sierżant J. padł na ziemię i ściągnął rękami Ice’a oraz Pigulę, którzy stali zaraz obok niego.

Jersey oraz BB również położyli się na ziemi, żeby zdażyć przed istnym deszczem latających kul. Dwóch podwładnych Sierżanta rozpoczęło ostrzał. Kula za kulą lądowały głęboko w ciałach przeżających szarych monstrów. Niektóre pociski przelatowały nawet przez ich skórę. Kiedy ostrzał ustał, jeden z nich zawołał:

– To była końcówka naszych magazynków, teraz lepiej nam pomóżcie!

– Teraz im pokażemy, co to znaczy kogoś otoczyć, prawda, chłopaki? – uśmiechnął się Sierżant. Szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę. Zaczęli formować niewielkie koło wokół czterech wciąż żywych Szaraków.

– Jersey, Ice, bierzcie ten sprzęt i ratujcie dziewczyny, my się zajmujemy resztą – powiedział J.

Komandos nie musiał powtarzać dwa razy. Bracia ruszyli pędem do stojącego tuż nieopodal samolotu. Ice w połowie drogi upadł na ziemię.

– Nie dam rady, bracie. Nie widzę na jedno oko, nie czuję prawej nogi i ręki. Ostatnia walka mnie całkowicie wyczerpała. Przepraszam

– rozkleił się Ice.

– Ja też nie widzę na jedno – uśmiechnął się do niego Jersey i wskazał na przewieszoną na jego twarzy opaskę.

– Naprawdę, nie dam rady. Musisz wziąć kogoś innego. Boję się, że zemdleję w powietrzu. Potrzebujesz kogoś do pomocy. Ktoś musi cię wspomagać i obserwować tył.

– Hej! Ja polecę! – zawołał BB.

Jersey popatrzył na Anglika, a później na swojego brata. Nie miał

wielu opcji. Ice kiwnął głową, dając do zrozumienia bratu, że to jedyna możliwość.

– Latałeś kiedyś? – zapytał Jersey.

– Jedynie pasażerskim do Australii.

– Tam w górze będzie niebezpiecznie. Wytrzymasz?

– Tak – odpowiedział BB.

– Dobrze, chodźmy zatem. Ice, zostań tutaj. Sierżant i jego komando na pewno poradzą sobie z tą czwórką padalców.

Ice kiwnął ponownie głową, sztucznie się uśmiechnął i krzyknął:

– Idźcie już! – po czym stracił przytomność.

## Rozdział 13

### Pościg

BB nie cierpiał samolotów, ale tego dnia wiedział, że musi być silniejszy niż jego lęki. Zapiał mocno pasy i zamknąłabinę. Nerwy rozchodziły się po jego ciele niczym kolonia mrówek. Czuł duszności, ucisk w brzuchu, cały spocony czekał, aż w końcu wystartują. Uderzył się otwartą dłonią w twarz w celu odzyskania zmysłów i całkowitego skupienia. Popatrzył w swoją prawą stronę. Trójka żołnierzy wraz z Pigulą walczyła w zwarciu z dwójką Obcych. Wiedział, że sobie poradzą. Poczul nagle mocne szarpnięcie. Unosili się powoli do góry. Wypuścił sporo powietrza z ust i przeżegnał się.

Jersey znalazł ten statek, leciał nim już wcześniej. Tym razem było mu łatwiej. Wspinał się pionowo coraz to wyżej. Był całkowicie skupiony. Wiedział, jak ważne jest teraz okielznanie nerwów.

– BB, trzymaj się mocno, będzie szarpać i trząść. Wypatruj z tyłu i z boków jakiegokolwiek ruchu nieprzyjaciół. Informuj mnie o wszystkim – zawołał z przodu Jersey.

– OK – odpowiedział BB.

Krótko ścięty brunet pociągnął do siebie jedną z leżących obok dźwigni i posłał samolot do błyskawicznego lotu. Siła odrzutu natychmiastowo wbiła ich w fotele. Z każdą sekundą zwiększali prędkość i wzbijali się coraz to wyżej w powietrze. Kiedy szybkość stała się wystarczająca, trójkątny samolot skierował swój przód pionowo ku górze.

Gigantyczny, czarny, kwadratowy statek zaczął przyspieszać. Musieli go gonić. Do jego środka wlatywały ostatnie jednostki wroga.

– Jersey, patrz tam, czy to nie są oni? – zawołał BB.

– Gdzie tam? Musisz mi mówić bardziej opisowo. Na której godzinie?

– Jakiej godzinie?

– No popatrz na ten samolot jak na zegarek. Z przodu mamy dwunastą, z tyłu szóstą. Łapiesz?

– A, no tak. No więc patrz na dziesiątą trzydzieści pięć!

– Nie musi być tak dokładnie, wystarczą pełne godziny. Faktycznie, to mogą być oni – rzekł Jersey.

Po ich lewej stronie w oddali zauważyli pojazd bardzo podobny do tego, do którego zostały zabrane dziewczyny. Rodzaj transportowca, kilkakrotnie większego od typu, w jakim sami teraz lecieli.

– Trzymaj się, gonimy za nimi.

– OK.

Zmienili kierunek lotu, odchylając się na prawo. Musieli zdecydowanie przyspieszyć, gdyż dystans, który ich dzielił do statku, był coraz to większy. Nie zostało im wiele czasu. Lada moment mógł odlecieć. Dwa myśliwce pojawiły się nagle z ich obu stron.

– Schowaj głowę! – zawołał BB.

– Czemu? – zapytał przyczajony tuż za sterami Jersey.

– Mamy gapiów. Chyba pomyśleli, że jesteśmy jednymi z nich, patrz na boki.

– O cholera. Masz rację – rzekł Klikowski, kiedy zobaczył towarzyszące im statki. Nie leciały dalej niż kilka metrów od nich. Wychylił swoją głowę ukradkiem i przypatrzył się uważnie jednemu z nich. Szarak ledwo mieścił się w kabinie. Siedział cały zgarbiony z głową dotykającą górnej klapy.

– Te czarne szyby nie wystarczą, jeśli podlecą bliżej. Skoro ja ich widzę, to oni mogą widzieć nas. Co robimy? – zapytał Anglik.

– Płyniemy z prądem. Może akurat uda nam się dostać na pokład.

– Chyba żartujesz?

– Jeśli teraz odlecimy, na pewno zorientują się, że coś jest nie tak. To, że wyglądają jak przeterminowane żelki, nie znaczy, że mają przeterminowane mózgi. Nie będziemy ryzykować – odpowiedział Jersey.

– OK – mruknął BB.

Nie czuł się komfortowo w tym miejscu. Nie dość, że między nim a leżącą bardzo daleko ziemią dzieliła go tylko podłoga, to jeszcze musiał wytrzymać wszystkie ostre manewry, jakie wykonywali. Nienawidził zamkniętych przestrzeni i do tego miał lęk wysokości. Nie mógł znaleźć się w gorszej sytuacji. Kokpit był bardzo ciasny. Duszność nie pozwalała nabierać mu pełnych oddechów, przez co musiał kontrolować, aby nie wpaść w hiperwentylację. Musiał zająć czymś swój umysł.

Zamknął na moment oczy i zaczął przypominać sobie najciekawsze i najpiękniejsze chwile z Maggie. Zawsze, gdy to robił, stawał się bardzo rozmarzony i spokojny. Wiedział, że nie może za bardzo się teraz rozczulić, ale rozumiał również, jak ważne jest, żeby jego umysł był bardziej spokojny niż znerwicowany.

Przypominał sobie wieczory spędzone pod gołym niebem, patrząc na spadające gwiazdy, czy grę w piłkę na wysokich polanach. Czułości i przytulania na ich sekretnej ławce zrobionej z zapomnianej kłody drewna. Pierwszy pocałunek i tysiące następnych. Jej piękne, duże oczy.

– Maggie, uratuję cię – powiedział pod nosem i kiedy otworzył oczy i popatrzył w bok, momentalnie poderwał się do góry.

Statek transportowy, na którego pokładzie miały znajdować się dziewczyny, podleciał bliżej i znajdował się teraz tuż obok nich.

– Uwaga, na dziewiątej. Myślisz, że one tam są?

Jersey obrócił głowę i od razu spostrzegł transportowiec.

– Mam taką nadzieję, inaczej będziemy musieli przeszukać ten wielgachny statek, a to może nam chwilę zająć. Tak czy inaczej nie mam zamiaru się nawet na chwilę poddawać.

– Co robimy teraz? Oni chyba chcą wlecieć do tego...

– Wiem, tak jak mówiłem, lecimy przed siebie. Trzymaj głowę nisko.

Znaleźli się już bardzo blisko kwadratowego statku. Jedyne, co widzieli przed sobą, to głęboka czerń. Obiekt ten był tak masywny, że zakrywał niemalże cały horyzont. Poczuli się jak mrówki stojące na środku boiska futbolowego.

Tuż przed nimi leciał transportowiec. Dwa towarzyszące im samoloty zwolniły i rozdzieliły się. Jeden poleciał za nich, drugi przed nich. Kierowali się prosto do samego środka. Kwadratowy otwór jarzył się ostrym czerwonym światłem. Tak mocnym, że musieli zmrużyć oczy i trochę je przesłonić. Wlot do wnętrza przysłonięty był czerwoną kryształową poświatą. Identyczną jak ta, która zabrała dziewczyny.

– Cholera, tego nie dało się przebić. Myślisz, że się nie rozbijemy, jak w to wlecimy?

– Zaraz się przekonamy – powiedział spokojnie Jersey.

Transportowiec zwolnił i bardzo wolno uniósł się pionowo do góry. Światło zeskanowało cały jego pokład, od góry do dołu, puszczając go dalej.

Następny statek był identyczny jak ich myśliwiec. Dokonywał tego samego manewru, co jego poprzednik.

Jersey wpatrywał się w jego ruchy, starając się je zapamiętać, żeby później je skopiować. Nie było to zwykle unoszenie się do góry, ale również przekręcanie o 360 stopni. Był to w istocie bardzo trudny do wykonania manewr.

Kiedy Jersey oddawał się memoryzacji, BB nie spuszczał wzroku z lądującego już wewnątrz transportowca. Zanim jednak osiadł na ziemi, zauważył wysuwające się spod jego pokładu światło. Wyciągnął szyję i podniósł głowę wyżej – niewiele mu brakowało, żeby zobaczyć, kto lub co miało z niego wyjść.

– Trzymaj się, teraz nasza kolej, siedź spokojnie – powiedział Jersey. BB schylił się i niecierpliwie czekał, aż przelecą na drugą stronę. Statek podnosił się coraz wyżej.

– One tam są! – zawołał BB, zauważywszy zlatujące w słupie czerwonego blasku dziewczyny. Wiązka światła rozpoczęła prześwietlanie ich samolotu. Od góry do dołu, czerwony strumień powoli ich skanował. Nie wiedzieli, czego mogą się spodziewać, wszystko było w tym momencie możliwe. Łudzili się jednak, że się im uda, że będą mogli wejść na pokład. Tak niewiele dzieliło ich od dziewczyn.

Jersey kończył już ten skomplikowany manewr i zamykał obrót statkiem o 360 stopni. Wiązka czerwonego światła zakończyła skanowanie i puściła ich dalej.

Wlatywali do środka. Pomieszczenie było bardzo jasne. Rażące białe światło zmusiło ich do przesłonięcia oczu, co zawęziło ich pole widzenia. Nie można było oszacować wielkości tego miejsca. To było tak, jakby wlecieć nocą do nieoświetlonego hangaru, gdzie tylko jedna lampa żarzy się w centrum, a cień zakrywa całą resztę. To było identyczne, jeśliby zmienić cień na światło. Jedna wielka biała plama, a w zasięgu ich wzroku jedynie oni sami, jeden mniejszy i jeden większy czarny trójkąt.

Niedaleko po ich lewej stronie stały zatrzymane w ruchu dziewczyny. Już nie mogli się doczekać, kiedy wysiądą ze swojego samolotu i pobiegną do nich, żeby je uratować. Niespodziewanie tuż obok nich wylądowała kolejna sylwetka. Oboje wiedzieli, kim on był. Ten sam, którego spotkali już kilkakrotnie. Stał odwrócony do nich tyłem. Istota, która porwała dziewczyny.

– Cholera, chowaj się – zawołał Jersey.

– Wiem – BB zsunął się niżej w dół.

– Kurczę, nie mogę się całkiem schować, inaczej nie będę widział, gdzie lecę.

– Ty zajmij się lotem, ja będę go obserwował. Może się nie połapie – dodał BB i wychylił się ukradkiem. Przestraszył się i podskoczył do góry, kiedy okazało się, że biała postać stoi już odwrócona do nich przodem i patrzy prosto w jego oczy.

– On nas widzi! – pisnął BB.

– Co?

– Jesteście twardsi, niż myślałem. To ciekawe, że taki młody pilot jak ty okazał się być lepszy od własnego ojca – powiedział zgrzytający głos w ich głowie.

Jersey zaniemówił. Skąd on wiedział o jego ojcu? Co to miało znaczyć? Jakim cudem on znów słyszy jego głos w taki sposób? Kim on jest? Telepatą? Co to za istota? Dlaczego porwał dziewczyny? – dziesiątki pytań przelatywały przez jego myśli.

– Syn musi dołączyć do ojca – przerażający głos przejechał pazurami po jego umyśle.

– Co? – Jersey powiedział głośno. Odwrócił głowę w drugą stronę i w ostatnim momencie spostrzegł, jak jeden z myśliwców ustawił się obok niego.

– Trzymaj się! – krzyknął i zrobił szybki unik w bok. Rakieta wystrzelona z czarnego myśliwca przeleciała tuż obok i eksplodowała o ścianę.

– Na trzeciej! Na dziewiątej! – krzyknął BB.

Następne dwa myśliwce szykowały się do ataku. Byli otoczeni.

– Musimy lecieć! – Jersey przesunął wajchę i wcisnął dwa zielone przyciski. Poderwało ich ciała mocno do góry, kiedy samolot opadł w dół. Myśliwiec znajdujący się pod nimi został przygnieciony ich ciężarem. Uderzyli o niego dolnym pokładem, rozbijając górną kłapę. Szarak w nim siedzący stracił przytomność i kontrolę nad pojazdem. Trójkąt przesunął się w bok i zaczął bezwładnie opadać. Zrobili sobie wystarczająco dużo miejsca na ucieczkę.

– Syn musi dołączyć do ojca! – przywódca znów przemówił swym ohydny glosem.

Wszystko zaczęło dziać się tak szybko. Wejście na pokład nie poszło po ich myśli. Musieli uciekać. Spojrzeli po raz ostatni na zastygnięte twarze Maggie i Andy. Jersey zatrzymał pracę silników, żeby mogli spokojnie opaść. Było to dość niebezpieczne i ryzykowne, ale nie miał innego wyjścia. Ciężki myśliwiec zaczął nagle spadać w dół.

Tuż nad ich głowami wybuchła kolejna rakieta. Zdążyli w ostatniej chwili. Poczuli ukłucie w swoich głowach. Gdyby znajdowali się na jeszcze wyższej wysokości, na pułapie, na którym latają normalnie samoloty, już dawno by pomdleli. Gigantyczny statek, z którego właśnie wylatywali, nie wisiał bardzo wysoko. Najwyżej dwa lub trzy kilometry nad ziemią. Samolot swobodnie opadał, mijając czerwony strumień.

– Zostańmy tam, walczmy! – zawołał BB.

– Chyba zwariowałeś, nie widziałeś, ile ich tam było? Ledwo uszli-



śmy z życiem...

– No to jak je uratujemy?

– Wróćmy tu.

Jersey wcisnął coś na konsoli nawigacyjnej i odpalił silniki.

Znów nimi wstrząsnęło.

– Jersey, Szaraki chyba nam nie odpuszczą. Mam nadzieję, że jesteś tak dobrym pilotem, jak slyszalem – BB zrobił przestraszoną minę.

Tuż nad nimi pokazały się trzy małe trójkątne myśliwce.

– Teraz będzie ostro, staraj się wytrzymać, musimy im uciec! – zawołał Jersey.

Przesunął do przodu dźwignię odpowiadającą za prędkość i gwałtownie wystartował. Tak mocno wbiło ich w fotele, że głowa BB walnęła o oparcie, a z jego wargi trysnęła krew. Przygryzł ją sobie od niespodziewanego szarpnięcia. Samolot rozpedzał się bardzo szybko, kiedy nagle silniki zgasły, a konsola wraz z całym elektronicznym oporządzeniem wyłączyła się.

– Co się dzieje? – zapytał głośno BB.

– Nie wiem! Coś się stało, nie mamy mocy.

– Jak to nie mamy mocy?

– No nie mamy mocy! – Jersey wydarł się głośno i spróbował raz jeszcze odpalić maszynę. Majstrował trochę przy przyciskach i po chwili udało mu się. Rząd zielonych i czerwonych światełek zapalił się tuż przed nim.

– No nie! Tylko tego brakowało! – wskazał palcem na migającą kontrolkę.

– Czego znowu brakowało? Co to jest? – dopytywał BB.

– Paliwo! – odpowiedział. Na kilka sekund zapadła cisza, przerywana jedynie szumem spadającego w dół samolotu.

– No tak, gdzie my teraz zatankujemy marsjański mocz czy jakiegokolwiek inne paliwo, jakiego oni używają? Uważaj na dwunastę! Mamy trójkę, chyba strzelają do nas! Rób unik! – krzyknął BB.

– Jak mam robić unik, jak nie mam żadnej kontroli!? Nie widzisz, że pikujemy w dół?

Samolot obniżał swój lot coraz szybciej. Maszyna z każdą sekundą opadała coraz to niżej. Leciąca prosto na wzburzone ciemnoniebieskie wody przybrzeżne. Zaraz za nimi gonili ich trójka identycznych statków. Nie wydawali się jednak atakować. Siedzieli im na ogonie i obserwowali ich szybkie spadanie.

– Jersey, co robimy?

– Katapultujemy się!

– Katapu... co?!

– Nie mamy wyjścia. Zamknij oczy! – krzyknął Jersey i pociągnął za niewielki czerwony uchwyt. Dach wystrzelił w powietrze i poszybował w górę. Jeden ze śledzących ich statków przechylił skrzydło w dół, żeby uniknąć zderzenia.

BB nie miał nawet czasu, żeby panikować. Podświadomie wiedział, co za chwilę miało nastąpić. Zbyt dobrze pamiętał filmy o Jamesie Bondzie i sposobach katapultacji.

Ogromny huk i dym pojawiły się nagle pod ich stopami, a fotele, na których siedzieli, wystrzeliły do góry z potężną siłą. BB, patrząc ciągle pod swoje nogi, mógł przez moment obserwować, jak czarny samolot spada coraz niżej, ale już bez nich. Kiedy obrócił głowę w prawą stronę, zobaczył lecącego w identycznym fotelu Jersey.

Sekundę później coś przemknęło tuż obok nich, i to tak szybko, że dopiero po chwili doszło do niego, że to goniące ich myśliwce. Przeleciały tak blisko, że odepchnęły ich fotele na boki. Nie uderzyły ich, ale wprowadziły w takie obroty, że poczuli się jak mocno skrzyżowane mokre ręczniki. Wirowanie było nie do zatrzymania i gdyby nie to, że otworzyły się im od razu spadochrony, nie wiadomo, czy kiedykolwiek by ustalo. Pociągnęło ich do góry, tak że żołądki skoczyły im pod same uszy. BB był już cały zielony. Czuł się okropnie, ale nie miał czym wymiotować. W końcu cały dzień nic nie jedli, a smakowanie kropel deszczu trudno było nazwać picciem.

Jersey wyciągnął dłoń przed siebie i wystawiając kciuka do góry, pokazał BB, że wszystko z nim OK. Anglik zrobił to samo. Bezwładnie spadali w masywnych plastikowych fotelach. Wiedzieli

już, że będą lądować w wodzie. Nie bali się tego, bo oboje byli znakomitymi pływakami. Martwili się tylko o wielkość fal, bo gdy patrzyli na nie z góry, wydawały się być bardzo wysokie i masywne.

Czarny samolot przeleciał znów między nimi tak szybko, że zauważyli go dopiero w ostatniej chwili. Jersey chciał coś powiedzieć, ale dał sobie spokój, wiedział, że BB nic nie usłyszy. Dzielili ich odległość kilkunastu metrów, do tego ten huk silników. Kolejny myśliwiec przemknął tuż obok. Szaraki bawiły się z nimi. Nie chcieli ich po prostu zestrzelić.

Przytłumiony odgłos eksplozji zwrócił ich uwagę w kierunku morza, do którego spadali. Samolot roztrzaskał się o fale. Obłok dymu oraz strzelające na boki płomienie tańczyły ze spienionymi balwanami morskimi.

Kolejny samolot przeleciał tuż obok nich, tym razem był już bardzo blisko. Nie zostało im dłużej niż pół minuty zanim wylądują na falach.

Jersey zaczął się modlić, żeby tylko udało im się dolecieć spokojnie i osiąść na wodzie. Wiedział, że jeśli tego dokonają, będą mogli zanurkować i uciec od krążących jak sępy Szaraków. Trzysta metrów dalej była plaża, więc nie musieli bać się o przeżycie.

Ku ich wielkiemu zdziwieniu Szaraki odpuścili, pozwalając im spokojnie dotrzeć do wody.

Jersey odpiął pasy od fotela. Zdecydował się wskoczyć do morza.

BB, widząc jego ruch, chciał zrobić to samo, ale klamra pasu bezpieczeństwa zablokowała się. Targał ją z całej siły w każdą stronę.

Chciał jak najszybciej się wyswobodzić. Gdyby lądował na spokojnej wodzie, nie musiałby się o nic martwić, gdyż fotel osiadłby na tafli i dopłynął z falami do brzegu. Tutaj jednak było to zbyt niebezpieczne. Jedna większa fala mogła go przykryć i wciągnąć głębiej w swoją otchłań, zostawiając go zapiętego w zabójczej fotelowej pułapce.

Szarpał mocno w lewo i w prawo, pas nie chciał ani na moment popuścić. Po chwili zamiast plusku wody usłyszał tępy, głuchy dźwięk i nagły krzyk:

– Co jest grane! Ta woda, stoi w miejscu, alaaaaaaa!  
Jego fotel również stuknął o coś twardego. Na początku nie rozumiał, co się stało. Nie mógł też przekręcić się i popatrzeć za siebie. Wydawało mu się, że huknął w wystającą spod wody skalę. Zerknął pod swoje nogi i jedynie przez sekundę popatrzył na ciemnogrąnatową wodę. Zaraz potem na jego głowę spadł spadochron i zasłonił wszystko.

– Co jest grane, hej, ratunku?

– Odepnij się i wylaż stamtąd. Musimy uciekać! – wołał Jersey.

– Pas mi się zaciął! – podniósł głos.

– Poczekaj, już idę!

Jersey mocno chwycił materiałowy spadochron i trzema ruchami gwałtownie ściągnął go z Anglika. Następnie podszedł do niego i powiedział:

– Dawaj to cholerstwo, nie mamy chwili do stracenia!

– Nie mogę, popatrz, to nie chcę się otwo.... – nie dokończył zdania, kiedy klamra sama się odpięła. BB zrobił głupią minę i szybko wstał.

– Ej, co jest grane? – zapytał zszokowany i obrócił się.

Woda stała w miejscu. Była zatrzymana jak na kliszy fotograficznej.

Kilkumetrowe fale nieruchomo pięły się między nimi. Stały, jakby oczekując na coś. Podłoże było twarde jak beton. Zachowywało się tak samo jak niewielka rzeczka, na której Piguła obil sobie swoje pośladki. Morze zastygło podczas sztormu. Każda z fal agresywnie szturmowała w kierunku plaży. Gdyby woda była w ruchu, prawdopodobnie stała by się ich miejscem wiecznego spoczynku. Niewielu mogłoby poradzić sobie z takim żywiołem.

– WOW, nawet rybki się nie ruszają – pokazał palcem pod swoje nogi. Tuż przy spienionej tafli zatrzymała się lawica żółtych rybek.

Ryk silnika oraz świst przelatujących nad ich głowami kul odwróciły ich uwagę.

– Szybko, w tamtą stronę! – Jersey ruszył pędem wbiegając na jedną z fal, wyciągnął dłoń do Anglika i pomógł mu wdrapać się na jej szczyt.

Podłoże było bardzo śliskie. Nie tak śliskie jak lód, ale na tyle, żeby uniemożliwić im swobodne bieganie.

– Cholera, nie damy rady, to jest za daleko.

– To będzie jak bieg przez plotki na łyżwach!

Do plaży zostało im kilkaset metrów. Trasa ta zagęszczona była rozstawionymi wysokimi falami. Jersey popatrzył w górę. Światło odbiło się od powierzchni nurkujących w dół trzech wrogich maszyn.

– Chowajmy się, teraz! – pchnął Anglika i zeskoczył na dół, chowając się za jedną z fal. Dźwięk roztrzaskiwanych kul spowodował, że ciarki przeszły im po plecach. Samoloty nisko przeleciały nad ich głowami, strasząc drżeniem rozpalonych dopalaczy. Tak niewiele brakowało. Znow mieli szczęście. Jersey wyciągnął krzyżyk zza swojej koszulki i pocałował go w podzięce.

– Musimy spróbować! Nie możemy się chować. Znajdą sposób, żeby nas w końcu dorwać. Biegniemy. Teraz! – zawołał BB.

Ruszyli znow przed siebie. Udało im się przeskakiwać kolejne fale i chować zaraz za nimi, kiedy nadlatywały myśliwce. Robili to bardzo odważnie i śmiało. Dystans, jaki ich dzielił do plaży, skracal się coraz bardziej.

Niestety za którymś razem Szaraki rozdzieliły się, odlatując w trzy różne strony. Chłopaki wiedzieli, co to dla nich oznaczało.

– Co teraz? Jeśli zaatakują z trzech kątów jednocześnie, nie będziemy mieli gdzie się ukryć!

– Musimy dalej próbować – odpowiedział Jersey.

– Jak?

– Jedyne wyjście to zrobić to, co oni.

– Czyli co?

– Rozdzielić się. Będziemy mieli wtedy większą szansę na ucieczkę.

Szybko! – zawołał Klikowski i odłączył się od kolegi. Kątem oka obserwował lecące z przodu i z boku myśliwce.

Przeraźliwy świst zwiastował podejście do kolejnego ataku.

BB ruszył w drugą stronę. Trzeci samolot obrał sobie jego za cel. Był w łatwiejszej sytuacji, ponieważ musiał się skryć tylko przed jednym



z nich. Jersey ostrożnie biegł wzdłuż jednej z fal. Czekał na odpowiedni moment, kiedy wykona unik i zeskoczy na dół.

– Dawajcie, tchórze! – krzyczał w niebiosa.

Ku jego zdziwieniu myśliwce, zamiast otworzyć ciągly ogień z karabinów, odpaliły rakiety. Nie celowały również w jego samego, a w biegnącego w drugą stronę BB.

– Williams!!! Uważaj!!! – wycisnął resztki ze swoich płuc. BB usłyszał. Obrócił głowę do tyłu i w ostatniej chwili wybił się bardzo mocno i skoczył w bok. Rzucił się w dół z jednej z najwyższych fal. Spadał w wysokości pięciu metrów prosto na swój bark. Walnął mocno o zatrzymaną taflę wody. Coś w środku gruchnęło. Zawył z bólu. Dwa ogromne wybuchy roztrzaskały wiszącą tuż nad nim czapę spienionej fali. Rozpadła się na małe fragmenciki, zasypując go całego. Samoloty poderwały się do góry.

Jersey nie czekał ani sekundy. Ruszył pędem przed siebie. Poślizgnął się dwa razy, ale umiejętnie balansował swoim ciałem, unikając upadku. Leciał tak szybko, jak tylko potrafił. Adrenalina znów rozeszła się po jego ciele. Podbiegł do wijącego się z bólu Anglika.

– Przetraćileś bark! – powiedział Jersey i pomógł mu wstać.

– Nie, chyba nie – pokręcił ramieniem.

– Możesz nim ruszać?

– Tak mi się wydaje.

Samoloty już zawracały. Miały ich tuż przed sobą. Byli w pułapce.

– Musimy wyjść na tą ostatnią falę, damy radę! – dopingował Jersey.

– Zostaw mnie i ratuj się sam – odpowiedział BB.

– Mimo tego, że cię nie cierpię, nie pozwolę, żebyś zginął! Nie wy-miękaj! – Jersey wyciągnął dłoń do chłopaka. BB popatrzył na niego, uśmiechnął się i złapał go mocno za rękę. Wstali.

Wspinali się po śliskiej i stromej zatrzymanej wodzie. BB szedł przodem. Jersey był tuż za nim. Popychał go do góry. Ryk spadających maszyn wprawiał ich ciała w drżenie. Nie zostało im dużo. Jedyne trzy kroki. Usłyszeli syk wystrzeliwanej rakiety. Jersey wiedział, że nie zdążą obaj. Dokonał szybkiej decyzji. Z całej sił

odepchnął Anglika, a sam ześlizgnął się z powrotem w dół. BB spadł na drugą stronę fali, kryjąc się w jej cieniu.

– Neeeeeeee!!! – krzyknął.

Jersey obrócił się w stronę rakiety. Chciał ją zobaczyć. Sunęła prościutko na niego, zostawiając za sobą smugę białego dymu. Dalej w tle mknęły tuż obok siebie trzy czarne maszyny. Jersey zamknął oczy, wyobraził sobie Maggie i zawołał z całych sił:

– Williams! Uratuj ją i dbaj o nią!

– Neeeeeeee!!! – zawył BB.

Jersey do samego końca obserwował jak rakietka leci na niego i kiedy znalazła się już w odległości dwóch metrów, niespodziewanie odbiła do góry, zawróciła i przyspieszając kilkakrotnie, wleciała w jeden z myśliwców. Statek eksplodował.

Siła wybuchu pchnęła drugą maszynę w bok i wprawiła w potężne turbulencje. Szarak nie mógł sobie poradzić i do samego końca walcząc ze sterami, rozbił się o taflę zastygniętego Morza Północnego.

Jersey zaniemówił. Nie wiedział, co się właśnie stało. Ostatni myśliwiec zrobił unik i odbił pionowo do góry. Jego dopalacze zapłonęły gorącym blaskiem i rozpoczął ucieczkę. Przeleciał kilkaset metrów, a tuż przed nim pojawił się srebrzysty talerz. Próbował odbić, ale nic z tego nie wyszło. Został zamknięty w wiązce złotego światła, zmiażdżony i wciągnięty do środka.

– Ty...ty żyjesz – wysapał BB i zsunął się bokiem po zboczach fali, po której dopiero co udało mu się wyjść. – Chciałeś się dla mnie poświęcić! – dodał rozczulony.

– Ja pamiętam... – powiedział cicho Jersey.

– Co pamiętasz?

– Ja już pamiętam – pokazał palcem na lecący cichutko w ich stronę spodek.

– Co pamiętasz?

– Pamiętam, co widzieliśmy z Andy i Ice'm, gdy zostaliśmy zabrani przez ten talerz.



BB popatrzył na niego, a później na błyszczący tuż nad nimi majestatyczny i tajemniczy obiekt.

– Jak to zabrani przez talerz? – zapytał i zrobił karpia minę.

– To oni.

– Kto? – zapytał BB.

– Zaraz ci opowiem – uśmiechnął się Jersey.

## Rozdział 14

### Przywrócone wspomnienie

– Jersey... Jersey – szeptał cichutko niski głos. – Jersey... obudź się... Jersey... – odezwał się ponownie w oddali.

Jersey, wybudzając się, zerwał się do przodu. Odkasznął mocno. Próbował wziąć głęboki oddech, ale coś go blokowało. Uderzył się kilkakrotnie w klatkę piersiową, próbując udrożnić w jakiś sposób drogi oddechowe. Nie mógł przestać się krztusić. Starał się złapać powietrze, lecz nic nie pomagało. Do tego nie mógł otworzyć oczu, zupełnie jakby były czymś przysłonięte. Kiedy ich dotknął, poczuł pod opuszkami palców dziwny materiał.

Coś między metalem a gumą. Nigdy wcześniej nie dotykał czegoś takiego. Nie mógł też go w żaden sposób usunąć. Próbował z całej siły. Nadaremnie, nawet nie drgnął.

– Jersey... – głos znów zabrzmiał w jego głowie.

Wstał na równe nogi i nerwowo postawił dwa kroki do przodu, obracając się przy tym w różne strony. Nie wiedział, skąd ten dźwięk pochodzi. Był zdezorientowany. Nic nie widział. Zakręciło mu się w głowie. Przysiadł. Poczul się dziwnie, zupełnie jakby poruszał się w wodzie. Jego ruchy były ciężkie i trudne do wykonania. Miał też kłopoty ze zlokalizowaniem własnego ciała, zupełnie jakby nie czuł, że go w ogóle ma. Pomyślał nawet, że to wciąż może być sen, ale po wielu uszczypleniach zrozumiał, że to na pewno jawa.

– Halo, jest tutaj ktoś? – zapytał cichutki wysoki głosik.

Jersey od razu go poznał:

– Andy, gdzie jesteś? Mów do mnie, to znajdę cię po głosie.

– Tutaj, tutaj, tu... ale się dziwnie oddycha... Co się dzieje, Jersey?

– Mów dalej – szedł na oślep, w skupieniu podążając za dźwiękiem jej mowy.

– Ojeju, no dobrze, ale dziwne miejsce, i do tego jeszcze co to za

materiał pod nami? Takiego jeszcze nie widziałam. Gdzie jest Ice?  
Co się z nami w ogóle stało?

– Mów dalej, mów dalej – ponaglał Jersey, słysząc jej głos coraz głośniej i wyraźniej.

– Zaczynasz mnie przerażać. Czemu tutaj jest tak ciemno?

– Spokojnie, Andy, na pewno za chwilę wszystko będzie OK.

– Jersey... słyszałeś to?

– Nie, nic nie słyszałem...

– Wydaje mi się, że ktoś tutaj jeszcze z nami jest.

– To byłbym ja – odezwał się niespodziewanie męski głos.

– Ice? – pisnęła Andy.

– No tak, to ja. Co się dzieje? Dla...

– Poczekaj, już idę do was, zaraz to przedysku.... – nie zdążył dokończyć, kiedy jaśniejąca biel zastąpiła czerni, przez którą nic wcześniej nie widzieli. Było to o tyle niezwykle, że mimo tak drastycznej zmiany kontrastu ich oczy nie zareagowały gwałtownie i nie zostali oślepieni. Jasność ta nie pojawiła się jednak tak nagle, jak zapala się światło w pokoju, tylko wsunęła się tak, jakby ktoś odsłonił powoli kurtynę.

– O–keeeej – przeciągnęła zaskoczona Andy.

– Gdzie my, do cholery, jesteśmy? Co to jest? – zapytał Ice.

Znaleźli się w miejscu, będącym czymś, czego nigdy wcześniej nie widzieli. Wyglądało to jak ogromne zaokrąglone białe pomieszczenie o wielkości boiska piłkarskiego. Nie posiadało żadnych kątów, tylko wygięte ściany. Światło emanowało spod podłogi, na której stali, jak również z boków i sufitu. Tam, gdzie trzymali nogi, światło wydawało się być troszkę mocniejsze. Zupełnie jakby podłoga reagowała na nacisk. Nie było też żadnych okien ani drzwi. Materiał, z którego to pomieszczenie było zrobione, skojarzył się im z tym samym, jaki Jersey wyczuł na swojej twarzy.

Popatrzyli w końcu na siebie. Wyglądali normalnie, z kilkoma małymi różnicami. Za duże mundury chłopaków były teraz już bardzo brudne. Na nogach mieli założone jednoczęściowe, podobne do plastiku buty o kolorze seledynu. Na twarzach również zauważyli

coś dziwnego i przeźroczyściego, jednak kiedy popatrzyło się pod światło, można było dostrzec jajowaty zarys. Owalne niewidzialne gogle.

– Co to za cholerstwo mam na nogach? – siłowała się z butami Andy. – Nie cierpię tego koloru! – dodała.

– To na nic, z oczu też nie da się tego ściągnąć – powiedział Jersey, nie przestając badać wzrokiem ogromnego pomieszczenia.

– Z oczu? Co mam na oczach? O niee.... Co to za dziadostwo? – zaczęła wariować.

– Ale się dziiiiwnieeee chodzi w tych butach, wow – powiedział natomiast Ice.

Chciał podejść do brata, ale kiedy postawił pierwszy krok, od razu zaskoczyła go niesamowita zmiana w poruszaniu się. Jego noga, zamiast szybko przemieścić się do przodu, poruszała się jak w zwolnionym tempie. Sprawdził to samo ze swoją ręką. Podniósł nagle głowę do góry i spojrzal na brata takim wzrokiem, jakby coś nagle odkrył.

Uśmiechnął się szeroko, ugiął nisko nogi i wyskoczył do góry.

– Jak ty to zrobiłeś? – powiedział Jersey, widząc brata unoszącego się w powietrzu.

Odbił się tak mocno, że wyskoczył na wysokość około dziesięciu metrów. Leciał dość szybko. Pomieszczenie mierzyło około dwudziestu metrów, więc będąc już przy suficie, automatycznie się obrócił, a buty przyczepiły go do powierzchni w podobny sposób jak magnes przylega do lodówki.

– Wow! – uśmiechnęła się Andy i zrobiła to samo. Odbiła się mocno od ziemi i poleciała przed siebie. Jersey wybił się zaraz za nią. – Gdzie my jesteśmy? – zapytała zafascynowana lotem, który właśnie odbywała.

– Chyba wiem, gdzie jesteśmy, przynajmniej pamiętam, co się stało zaraz po tym, jak wy zemdleliście.

– No właśnie, co się stało? Ja pamiętam tylko, że samolot wirował jak tornado – wtrącił się Ice i przeleciał między nimi kierując się w

drugą stronę.

– Zostaliśmy przechwyceni.

– Przechwyceni? Przez kogo?

– Przez ten ogromny metaliczny spodek.

– Spodek? Co ty mówisz?

– No i właśnie wydaje mi się, że znajdujemy się w jego wnętrzu – skończył mówić i osiadł na ziemi, która jeszcze krótką chwilę temu była dla niego sufitem. Światło rozbłysło pod jego stopami. Po tym, jak zatrzymał się w miejscu, nie czuł się w ogóle, jakby wisiał do góry nogami. Jego krew dalej krążyła prawidłowo, a ośrodek równowagi rejestrował to jako poprawną pozycję grawitacyjną.

– Spodek, powiadasz. I jesteśmy w jego wnętrzu?! – Ice krzyknął z przerażenia i tracąc na chwilę koncentrację, krzywo wylądował na ścianie. Szybko odbił się lewą nogą i robiąc dwa fikolki w powietrzu, wyzłomował swoje ciało.

– Wiecie, co sobie przypomniałam? – powiedziała nagle Andy.

Jersey pokręcił głową.

– Byłam bardzo spragniona, a już nie jestem.

– Masz rację, nawet na to nie zwróciłem uwagi. To znaczy, że ktoś musiał dać nam się napić.

– Jak to ktoś musiał dać nam się napić? – zapytała przestraszona.

– No właśnie. Ciekawe, czy ktoś tutaj jest? – zainteresował się Ice, tym razem próbując ustawiać ciało w taki sposób, żeby lecieć naj-  
szybciej jak się da.

Kiedy przecinał przestrzeń, wyprostowany z rękami wyciągniętymi do przodu, seledynowe mocne światło pojawiło się po jego prawej stronie.

– Patrzcie tam! – wskazał palcem podświetlone miejsce.

– Co to?

– Chodźmy zobaczyć!

Cała trójka otoczyła seledynowy świecący jednometrowy kwadrat. Stali nad nim, zastanawiając się, czym on jest. Trzy równoległe biegnące zielone linie wyszły z jednego z jego boków i rozbiegły się po całym pomieszczeniu. Pierwsza z nich wyleciała prosto i

zostawiając za sobą ślad, zatrzymała się dokładnie nad miejscem, w którym stali.

Dwie kolejne linie szły równolegle, lecz po około dziesięciu metrach rozbiegły się w różne strony. Każda z linii w miejscu swojego zatrzymania podświetliła się identycznym kwadratem, koło jakiego teraz stali.

– Czy to jakaś gra? – zapytał Ice.

– Nie wiem, ale nie mam zamiaru tkwić tutaj zbyt długo. Wybierzmy jeden z tych kwadratów – odpowiedział Jersey.

– Ten u góry – wskazał palcem Ice.

– Niech będzie – odpowiedział do brata. Wszyscy naraz ugięli nogi i wybili się w powietrze.

Po wylądowaniu po drugiej stronie nic się jednak nie stało.

– I co teraz? – zapytał Jersey.

– Nie wiem, może zły kwadrat wybraliśmy? Albo inaczej, niech każdy z nas stanie na innym kwadracie. Ja zostanę tutaj – zaproponowała Andy.

Chłopcy kiwnęli głowami i wybili się jeden w lewą, drugi w prawą stronę.

– Ja już stoję – krzyknął Ice.

– Ja też – dodała Andy.

Jersey wylądował. Popatrzył na nich i na kwadrat. Nie był pewien, czy powinien dostawić drugą nogę. Czuł się niepewnie.

A co jeśli to pułapka? – pomyślał. – Muszę zaryzykować – zacisnął mocno pięści i położył drugiego seledynowego buta na kwadracie.

– I co? – zawołał z daleka Ice.

– Chyba nie działa! – krzyknął Jersey.

– Nic się nie dzie...

– Jersey! – rozbrzmiał obcy głos za jego plecami.

Obrócił się gwałtownie, ale ku jego zdziwieniu nikogo tam nie było.

– Słyszeliście to? – zapytał zmieszany, po czym wrócił wzrokiem do środka pomieszczenia.

– Co to za iluzje?! – podniósł głos, kiedy ku jego jeszcze większemu zaskoczeniu znalazł się w całkowicie innym miejscu. Stał w długim

białym korytarzu.

– Ice! Andy! – krzyknął. Nikt mu nie odpowiedział.

Popatrzył pod swoje nogi. Seledynowy kwadrat zniknął.

Rzucił się na ścianę, żeby sprawdzić, czy jest prawdziwa.

– To ten sam materiał, musi być prawdziwa – powiedział pod nosem.

– Ice!!! – krzyczał, lecz nawet echo nie wróciło do niego z odpowiedzią.

Obrócił się raz jeszcze za siebie, lecz znalazł tam tylko identyczny korytarz. Był długi, ale zakrzywiał się na końcu, przyjmując okrągły kształt. Tak jak wcześniejsze pomieszczenie, nie posiadał żadnych kątów. Wyglądał jak bardzo szeroka, biała, gumowa, podświetlona, prążkowana rura od odkurzacza.

Popatrzył w lewo i w prawo, nie był pewien, w którą stronę powinien się udać. Postanowił jednak ruszyć za siebie. Kiedy zrobił pierwszy krok, usłyszał dźwięk. Wysoki, drżący, obcy, elektroniczny dźwięk. Zawahał się przed zrobieniem kolejnego kroku, lecz ciekawość była mocniejsza. Kolejny wyzwolił następny dźwięk. Tym razem niski i prosty, niczym przeciągnięta basowa nuta. Każdy następny krok wywoływał kolejny fragment tej muzycznej układanki, zbierający się po czasie w jeden powtarzający się wzór. Im dłużej go słuchał, tym stawał się spokojniejszy. Im dalej szedł, tym bardziej się odprężał. Dźwięk melodii zaczął docierać do niego z obu stron. Kiedy zamknął oczy, miał wrażenie, że to sama melodia go unosi. I tak też szedł przez chwilę, do momentu, aż muzyka umilkła.

Kiedy podniósł powieki, zobaczył, że tunel zniknął, a sam stoi na środku tego samego ogromnego pomieszczenia, w którym dopiero co rozmawiał z bratem i Andy. Obrócił się wokół siebie, ale ich tutaj już nie było.

– Jersey – dziwnie brzmiący głos wypowiedział jego imię.

– Eeee... – przeciągnął niepewnie Jersey.

– Jersey... – odezwał się po raz kolejny.

Obracał się wokół siebie, starając się zlokalizować miejsce, z którego nadchodzi to wołanie.

– Jersey, Jersey...

– Gdzie ja jestem? – kręcił się coraz szybciej, do momentu aż poczuł chłód na swoim karku. Zatrzymał się i bardzo powoli odwrócił głowę do tyłu. Tuż za nim stała ciemna, delikatnie prześwitująca postać. Wzrostem równała się z nim. Była widmem wypełnionym w środku ciemnoszarym dymem. Stała z opuszczonymi rękami, wyraźnie kontrastując z białym kolorem pomieszczenia. Nie miała twarzy ani żadnych widocznych detali, jedynie sam kształt humanoidalnego organizmu zalanego czarnym dymem.

– Kim jesteś? Gdzie jest Ice i Andy? – zapytał spokojnie.

Cień uklonił się subtelnie i w delikatny sposób wyciągnął przed siebie rękę, wskazując na coś, co znajdowało się za jego plecami.

Jersey obrócił się. Całe ogromne pomieszczenie zaczęła zalewać głęboka czerń. Tak głęboka, że żaden odcień czarnego nie byłby w stanie oddać takiej głębi. Wlewała się od góry niczym fala przerażającego atramentu. Zdawała się pochłaniać wszystko.

Jersey nie był pewny, czy to prawdziwa fala, czy po prostu coś w rodzaju symulacji, jakiejś wirtualnej sztuczki. Nie czując w sobie żadnego strachu, stał i czekał. Czerń rozlała się wszędzie, całkowicie zastępując iluminującą biel. Kiedy popatrzył pod swoje nogi, zobaczył jedną, wielką, czarną, wydającą się nasłuchiwać pustkę. Każdy widząc coś takiego, na pewno by się wystraszył, a może i zemdlął, on zapewne też, lecz cokolwiek stało się z nim podczas krótkiego spaceru przy akompaniamencie melodii, wyszło to z niego jakiegokolwiek negatywne uczucia i wątpliwości. Stał się bardzo ufny i spokojny.

Tajemnicza postać kiwnęła głową, próbując jakby milcząco zapytać: „Widzisz?”.

– Cóż to za pustka? Co mam w tym ujrzeć?

Cień poruszył powtórnie głowę.

Jersey, stojąc w miejscu, skupił wzrok w jednym punkcie. Wpatrywał się w pustkę. Nagle jednak coś zaczęło się pokazywać. Jeden mały delikatnie mrugający punkcik. Za chwilę wyszedł drugi i trzeci, a po nich dziesiątki kolejnych. Zanim się zorientował, całe ogromne po-



mieszczenie rozbłysło światłem milionów małych mrugających gwiazdek.

– Kosmos? – zapytał.

Dymiąca istota przekreśliła dłonią, sugerując, żeby zwrócił wzrok w drugą stronę.

Jersey, wpatrując się pod nogi, powoli odwrócił się za siebie. Jego ciało lekko się zakolysało, kiedy zobaczył pod sobą kolosalną niebieską planetę. Znal ją doskonale. Była to kula ziemską w całej swojej majestatycznej okazałości. Czuł się zupełnie tak, jakby stał w czystej przestrzeni kosmicznej, opierając się na niewidzialnej platformie.

Po swojej prawej stronie dostrzegł wiszący na wyciągnięcie ręki, masywny z tej odległości, księżyc. Nad nimi górowało słońce palące promieniami tak mocno, że gdy na nie popatrzył, coś automatycznie przesłoniło mu wzrok. Coś w rodzaju ciemniejszego filtra.

– Dlaczego księżyc jest kolorowy? – zapytał zaskoczony.

Cień przechylił głowę na bok, podniósł ręce na wysokość twarzy i rozkładając je na zewnątrz, pokazał mu, że niby skąd ma to wiedzieć.

– Co tam się stało na dole? Możecie mi wytłumaczyć? Powiesz coś? Najwyraźniej nie, skoro nie posiadasz nawet ust – powiedział spokojnie Jersey.

Zadymiona postać wyskoczyła nagle do góry i zniknęła we własnym dymie, który z niej się wydobywał.

– W jaki spo... – nie dokończył, kiedy przed jego oczami pojawił się wyglądający niczym sople lodu, przezroczysty mały obiekt. Uniósł się z podłogi i samoczynnie zawiesił się w powietrzu na wysokości jego oczu.

Jersey wziął do ręki kawałek, jak się okazało, ciepłego sopła. Oglądał go z każdej strony. Był idealnie płaski. Przysunął go do nosa i powąchał.

– Truskawki – pomyślał, a w jego brzuchu strasznie zaburczało. – Co mam z tym zrobić? Zjeść to? – zapytał głośno, ale nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Zapach pysznych świeżych truskawek rozbudził w nim ochotę na natychmiastową konsumpcję tego ciekawego przedmiotu. Włożył go do ust i spokojnie przegryzł. Na początku nic nie poczuł, jednak po chwili coś z niego się wylało, a jego kubki smakowe niemalże eksplodowały. Smak, jaki docierał do niego, był czymś tak obłędnie przyjemnym – jeszcze nigdy nie zaznał czegoś podobnego. Z każdym ruchem języka smak się zmieniał. Tak jakby jego ciało pozyskiwało esencję najwspanialszego jedzenia i napojów zamkniętych w tym zaskakującym, skromnie wyglądającym sopleku. Każdy kolejny kęs wydawał się przesyłać mu jakieś informacje, ponieważ dziwne obrazy zaczęły krążyć mu po głowie.

– Co to jest? – zapytał.

Cisza po raz kolejny.

Jersey poczuł coś w swoich stopach, coś jakby dziwne ukłucie. Kiedy zwrócił głowę w dół, zastał swoje ciało lewitujące nad ziemią. Seledynowe buty rozpołowiły się i pozostały na niewidzialnej płaszczynie.

Jersey unosił się pionowo do góry. Dziwny rodzaj ciepła pojawił się na czubku jego głowy. Kiedy skierował wzrok ku górze, zaobserwował okrągłe źródło białego światła, które przyciągało go do siebie. Będąc pod wpływem dziwnych bodźców, którym został poddany wcześniej, zachowywał się całkowicie biernie wobec wszystkiego, co się wokół niego działo. Jego ciało i umysł w rozluźnieniu dały się prowadzić w nieznane.

Obrócił się stopami do góry i przyczepił do płaskiego, cieplego materiału o kształcie okręgu. Skarpetki, które miał na sobie, znikły szybciej niż mrugnięcie powieki, zabrane przez dziwny zielony płomień. Jego nagie stopy przyłgnęły płasko do tajemniczego urządzenia. Światło zmieniło swój blask na jasnozielony i podświetliło jego skórę w taki sposób, że mógł zobaczyć wszystkie ścięgna, kości, żyły oraz małe punkciki poukładane wewnątrz swoich stóp.

Mocniejsze światło pojawiło się pod jednym z tych punktów i go ucisnęło. Odchylił głowę do tyłu, a jego wzrok się rozmazał. Ból był przeszywający. Poczuł to samo na drugiej stopie. Spinając się

mocno, zmusił się do odwrócenia głowy w kierunku nóg. Chciał widzieć, co się z nim działo.

Miejsca, które zostały naciśnięte, świeciły teraz na ciemnozielony kolor.

– Musisz to wytrzymać, to potrwa tylko chwilę – zagrział potężny wibrujący głos.

Zacisnął mocno pięści, wstrzymał oddech i kiwnął głową.

Seria bardzo mocnych, precyzyjnych uderzeń aktywowała punkt za punktem, zostawiając je pociemniałe. Ból, jakiego doświadczał, był nie do opisania. Jego całe ciało zeszytywniało, a on sam po chwili zaczął tracić przytomność. Kolejna seria uderzeń sprawiła, że krew trysnęła z jego nosa. Bardzo bolało. Huk rozbrzmiał w jego uszach, wyraźnie dobiegając z jego wnętrza. Seria wstrząsów poszarpała jego ciało tak mocno, że przygryzł sobie język.

Na moment przestało. Wrócił wzrokiem na swoje stopy, skupiając się na chwilę na obserwacji swojej krwi, która unosiła się spokojnie i wolno w przestrzeni.

Nie mógł poruszyć swoim ciałem, zupełnie jakby nie należało do niego. Kiedy popatrzył na swoje nogi, doznał szoku. Małe punkty połączyły się teraz w siatkę, tworząc na obu stopach dwa jednakowe wzory. Na środku pojawiły się dwa duże promieniujące białe okręgi. Światło bijące z urządzenia zaczęło przygasać, wibrując przy tym powoli. Jersey wiedział, że za chwilę stanie się coś dziwnego. Rozluźnił mięśnie i otworzył szeroko oczy.

Drganie ustalo.

Światło uderzyło tak ostro, że poczuł, jakby ktoś wypalił w jego nogach dziury. Krzyknął i zeszytywniał. Oddech ustal. Jego oczy zatrzymały się w miejscu, tracąc życie. Potężne światło zgasło. Nogi odzepiły się od powierzchni. Ciało Jersey zaczęło osuwać się w stan nieważkości. Sunęło powoli w przestrzeni na tle wolno obracającej się niebieskiej planety, kolorowego księżyca i palącego słońca.



Jersey otworzył gwałtownie oczy. Chciał wciągnąć głęboko powietrze nosem, ale coś go zablokowało. Musiał złapać oddech ustami – również na nic. Kiedy chciał rękami dotknąć swoich stóp, nawet nie drgnął. Próbowal ruszyć nogami, ponownie bez żadnego rezultatu. Nawet głową nie był w stanie pokręcić. Jego umysł chciał, żeby ciało się poruszyło, chciał nabrać powietrza, lecz wszystko na nic. Nie miał żadnej kontroli nad swoim ciałem. Dopiero po chwili długi, głęboki, syczący oddech sam się pojawił.

– Zaraz... znam ten odgłos... – pomyślał i spokojnie rozejrzał się po miejscu, w którym siedział. To była kolejna rzecz, która go zaskoczyła. Dlaczego on siedzi? Przecież dopiero co wisiał do góry nogami w przestrzeni.

Popatrzył w dół, a jego ciało spoczywało na niewielkiej, białej, okrągłej, świecącej, cieplej posadzce. Klęczał na własnych nogach w pozycji medytacyjnej. Ubrany był w biały kombinezon, który promieniował otaczającą go jasną poświatą. Zamknął oczy i zobaczył lewitujące na zielonym tle białe obrysy trójwymiarowych trójkątów. Otworzył je ponownie, nie rozumiejąc kompletnie, co się dzieje. Nie mógł nawet spanikować, zupełnie jakby był ogołocoony ze wszystkich emocji. Jedyne, nad czym miał kontrolę, to analityczne myślenie oraz świadomość. Mógł widzieć na zewnątrz, a gdy zamykał oczy widział również wewnątrz.

Wewnątrz czego – zastanawiał się?

Rozejrzał się wokół siebie. Kąt widzenia miał dużo większy niż normalnie, zupełnie jakby mógł patrzeć w 270 stopniach rozwarcia. Znajdował się w niewielkim, kilkumetrowym, okrągłym, srebrnym pomieszczeniu. Było ono płaskie i pozbawione jakichkolwiek oznaczeń czy detali. Zamknął ponownie oczy. Trójkąty zaczęły nachodzić na siebie, nawarstwiając się jeden po drugim. Zatrzymały się w miejscu i pochłonęły zielone tło, zostawiając je czarne.

Trójkąt zmienił kolor na czerwony, a jego oczy otworzyły się same. Było to dziwne uczucie, ponieważ wiedział, że ma je zamknięte. Nie mógł jednak nimi ruszać, a wzrok kierowany był przez coś

innego. Dopiero, kiedy otworzył swoje oczy, mógł rozglądać się wewnątrz tamtego drugiego wzroku.

Czyżbym był *w kims*? – zadał sobie pytanie.

Odpowiedź przyszła sama, kiedy długie ręce zakończone białymi rękawicami wyprostowały się, a tuż przed nimi pojawił się tajemniczy sopel lodu. Ruchy, które to ciało wykonywało, nie należały do niego, a on sam był jakby widzem tego, co się działo.

Ciało skierowało sopel w stronę twarzy. Poczul, jak usta się otwierają i go pochłaniają. Prawa ręka wyprostowała się i powoli finenzyjnym ruchem machnęła od lewej do prawej. Ściana pomieszczenia rozwarła się, wpuszczając do środka strumień białego światła. Skoncentrowało się ono na zamkniętej prawej dłoni. Otworzyła się, a światło weszło w ściany pomieszczenia, przez moment go oślepiając.

Wszystko zaczęło nabierać barw i kształtów. Po lewej rozpościerał się głęboki błękit, a po prawej rozmyta zieleń. Kilka sekund później zmieniły położenie, ukazując swoją prawdziwą naturę. Błękit obrócił się ku górze, a zieleń ku dołowi. Jersey znalazł ten widok, zupełnie w taki sam sposób, ale poczul się bardzo znajomo.

Wiedział, że pędzi w jakiś statku powietrznym tak szybko, że ład znajdujący się teraz pod nim zamazywał się, tracąc wszystkie kontury i szczegóły. Nigdy nawet nie wyobrażał sobie, że można tak szybko lecieć.

On jednak nie czuł niczego, żadnego przeciążenia, zupełnie jakby spoczywał na ziemi.

– To jest niesamowite. Zaraz! – pomyślał, jak gdyby wiedząc, co ta postać, w której teraz się znajduje, robi. Doświadczał dziwnego rodzaju *déjà vu*.

Obie długie białe ręce zbliżyły się do siebie, kierując wnętrza dłoni równoległe ku sobie. Między nimi pojawiła się mała ognista kulka o oślepiającym natężeniu. Kręcąc się wolno wokół własnej osi, skojarzyła mu się ze słońcem.

Na horyzoncie przed nimi pokazała się ogromna czarna chmura, do której zbliżali się w ultrasonicznym tempie. Zielen na chwilę zastąpił błękit, a po nim żółto-złoty kolor.

Kiedy byli już bardzo blisko, obie dłonie dotknęły wiszącej między nimi kulki. Zwiększyła swój obwód kilkakrotnie i przestała się obracać. Obraz zwolnił, a statek stanął w miejscu, w ogóle nie hamując. Zatrzymał się. Normalnie przy takiej prędkości materia rozzerwałaby się na kawałki, poddana takiemu ogromnemu przeciążeniu. Tutaj jednak nie poczuł niczego. Wstał, a okrągła platforma, na której się opierał, zamieniła się w słup złotego światła.

Chwilę później był już na ziemi i widział unoszący się nad nim srebrny lewitujący spodek. Obrócił się wokół siebie. Znalazł się gdzieś na pustyni, w miejscu, gdzie w skałach wydrążone zostały kamienne domki. Grupa Indian stała w bezruchu, dumnie patrząc na nadchodzący rozwścieczony huragan. Kobiety biegły, trzymając dzieci na rękach, a młodszy zaganiał zwierzęta w bezpieczne miejsca.

Po lewej stronie chmury były tak czarne i zakręcone, że tworzyły przerażający wir gotowy pochłonąć wszystko, co było w jego zasięgu. Wszystko to było jakby zatrzymane w czasie.

Podleciał do grupki Indian. Nie stawiał kroków, tylko unosił się tuż nad samą ziemią. Byli bardzo wysocy. Czuł się przy nich jak dziecko. Zawisnął naprzeciw najstarszego z nich. Wódz ubrany był w bujny pióropuszczyk, kilka warstw koralu, skórzaną beżową kamizelkę oraz jeansowe spodnie. Twarz jego przemalowana była białą farbą. Zatrzymał się w momencie głębokiej zadumy. Czekał. Jego żółto-zielone oczy patrzyły prosto w środek cyklonu. Wyzbyte strachu, świeciły, promieniując odwagą. Dwóch średniego wieku pomalowanych na zielono Indian tańczyło równoległe tuż za wodzem. Na głowach mieli duże maski w kształcie wielkich dzbanów na wodę. Ich nogi podrygiwały do góry, a w rękach trzymali dziwnego rodzaju grzechotki.

Jersey cierpliwie obserwował całe zdarzenie, oczekując wyjaśnienia. Czuł, że ciało, które okupował, zbliża się bardzo blisko do wodza. Wyciągnąwszy długą rękę przed siebie, ściągnął z niej białą

rękawicę. Chuda, zielona, żyłasta dłoń wolnym ruchem powędrowała w kierunku twarzy czerwonoskórego starszego mężczyzny. Przyłożywszy ją do jego czoła, jednym ruchem wskazujący palec przeszedł pomalowane na białą wzory. Zatrzymał się na moment. Dłoń zeszywniała. Impuls przeszył jego ciało. Najdłuższy palec się wyprostował. Przyłożył go do jego czoła. Czuł, jak pod jego opuszką przebiega jakaś energia. Coś go delikatnie odpychało, podobnie jak wtedy, kiedy przyłoży się do siebie magnesy o tym samym biegunie. Jersey wiedział, że coś się dzieje, ponieważ ciało zaczęło robić się cieplejsze. Postanowił zamknąć oczy.

Znalazł się we wnętrzu umysłu nie tylko istoty, w której się znajdował, ale również starszego mężczyzny. Pojawił się w środku wizji. Wchodził do dużego namiotu. Wewnątrz zapalone świece oświetlały leżące na środku ciała młodej dziewczynki. Była chora. Jej twarz płonęła, a pot spływał jej po czole. Tuż nad nią wódz odprawił modły, prosząc o pomoc.

Podszedł do niego i przyłożywszy dłoń do jego głowy poczuł pulsującą dobrą energię. Wokół niego pojawiła się zielona aura. Wystarczył jeden dotyk, żeby wiedzieć, że człowiek ten nie zrobił nigdy niczego haniebnego, złego ani krzywdzącego naturę. Seria obrazów przeszła przez jego głowę, uwalniając historię jego życia. Tak jakby ktoś puścił przed jego oczami film dokumentalny stanowiący o jego egzystencji. Wystarczyło kilka sekund, a on znalazł tak dobrze jak samego siebie.

Był wspaniałym człowiekiem. Nigdy nie zabił dla przyjemności, każde zwierzę, które przeznaczał na pożywienie, było dobrze traktowane, a jego ciału oddawał szacunek i dziękczynienie. Podczas polowań nakazywał wybierać tylko dorosłe osobniki, a po ich zabiciu zawsze okraszał je swoimi łzami. Kiedy ścinał drewno na opał, zasadzał nowe w jego miejsce. Nigdy nie oszukiwał. Żył prawdą. Kochał wszystkich i wszystko, co go otaczało. Modlił się, dziękując najwyższemu duchowi za każde dobro, jakie na nich zsyłał.

Po odciążeniu dłoni z jego głowy wiedział, po co tam przybył.



Został wezwany. Poproszony o pomoc dla umierającej dziewczynki. Przypatrzawszy się dobrze jej twarzy, wyszedł z namiotu. Powieki podniosły się. Odciągnął palec od czerwonego czoła wodza. Łza popłynęła z jednej powieki. Jersey zrozumiał wtedy, że był to nic innego jak sposób odczytywania wspomnień.

Ruszył do przodu. Kierował się w stronę jednego z kamiennych domków. Zastał tam leżącą młodą dziewczynę, którą dopiero co widział w swojej wizji. Była sina, wyraźnie zmęczona i umierająca. Wokół niej klęczały oplakujące ją kobiety.

Jersey poczuł, że jego długie ręce naprężają się i z wszystkich palców wychodzą cieniutkie igły. Jedna dłoń skierowała się na stopę dziewczynki, druga w kierunku brzucha. Dwa głębokie oddechy poprzedziły wbicie wszystkich igieł w jej miękką skórę. Uczucie napływającej gęstej substancji pobudziło jego zmysły, ciało zaczęło się nagrzewać i drżeć. Zielone dłonie zaczęły stopniowo ciemnieć, zachodząc czernią. Oczy go rozbolwały, a głowę przeszył tępy ból. Czerń nie zwalniała, zajmując już wysokość do samych łokci. Jego ciało robiło się coraz cięższe, a głowa opadła na klatkę piersiową.

Nagły krzyk rozszalał się w jego głowie, był piskliwy, skrzeczący i zgrzytający zarazem. Dźwięk był tak wysoki, że powodował klucie. Podniósł się jeszcze głośniejszy i za chwilę umilkł. Wiedział doskonale, co było powodem jej fatalnego stanu zdrowia. Odgłos, który usłyszał, powiedział mu to w języku mu nieznanym, ale zrozumiałym. Dziewczynka została ugryziona przez skorpiona.

Wyciągnął szybko ręce z jej ciała i z końca paznokci wyrzucił zebraną czarną ropną substancję. Wyląła się z niego gęstym śluzem. Ręce odzyskały swój kolor, a ból przeminął. Dziewczynka natychmiastowo zaczęła nabierać lepszego koloru, a pot na czole ustąpił.

Schowwał wszystkie igły do wnętrza dłoni, a z kciuka wysunął niewielki przezroczysty trójkątny przedmiot. Obrócił dziewczynkę, kładąc ją na brzuchu. Odchylił jej długie czarne włosy odsłaniając kark. Przy pomocy trójkątnego, jak się okazało, skalpela rozciął jej skórę, a drugą dłonią włożył małą, kwadratową, elektroniczną,

przypominający chip przedmiot.

Zaslonił dłonią niewielką ranę. Wierzch ręki zmienił kolor na złoty i po chwili wrócił do zielonego. Nie było śladu po jakiegokolwiek ingerencji w ciało. Przywrócił ją do wcześniejszej pozycji i ruszył w kierunku wyjścia. Zastane w przestrzeni kobiety nadal płakały, nie wiedząc jeszcze, że ich dziecko jest już zdrowe.

Po wyjściu z kamiennego domku skierował się dokładnie pod wiszący na niebie srebrny dysk. Zamknął oczy i wyobraził sobie trzy nachodzące na siebie trójkąty. Chwilę później znalazł się z powrotem we wnętrzu statku. Wszystkie ściany były ciągle przezroczyście, więc mógł zaobserwować z góry jeszcze raz całą piękną pustynną okolicę.

Uklęknął na środku, przysiadając na nogach. Chwycił wiszącą wciąż w przestrzeni ognistą kulkę i powoli skurczył ją do wielkości, jakiej była na początku. Po zmniejszeniu zaczęła się z powrotem kręcić wokół własnej osi. Popatrzył w dół i zauważył, że grupka stojących Indian zwróciła się nagle w kierunku kamiennego domku. Mężczyźni i kobiety pobiegli do środka. Jedynie wódz został w miejscu. Zwrócił głowę do góry. Popatrzył prosto na spodek i nie zmieniając swojej dumnej miny, zapłakał łzami wdzięczności. Zwrócił twarz w kierunku wysuszonej ziemi i pozostał w takiej pozycji do momentu, aż odlecieli.

Ruszyli z ogromną prędkością przed siebie.

Po kilku minutach nagle zwolnili do wydającej się w tym momencie śmiesznej szybkości – jak Jersey oszacował – trzech machów. Statek zmienił kąt nachylenia, zwracając się prosto w stronę nieba. Już miał przyspieszyć, kiedy na horyzoncie coś mocno rozbłysło.

Bardzo wysoka chmura dymu wystrzeliła w powietrze. Ziemia zadrzała. Sucha skalista pustynia zaczęła pękać i zapadać się część po części od gigantycznego wybuchu. Siła uderzeniowa gnała prosto na nich niczym suche fale piaskowego oceanu. Kształt grzyba wylonił się z burzących się daleko chmur. Bomba atomowa – pomyślał przerażony Jersey.

Istota, w której się znajdował, zmieniła szybko kurs, chcąc uniknąć zderzenia z potężnym podmuchem. Obiema dłońmi szybko chwyciła za lewitującą błonę, lecz po jej rozciągnięciu nic się nie stało. Czas się nie zatrzymał, a wręcz przeciwnie. Spodek wpadł w istne turbulencje, tracił zasilanie i kierował się prosto na piaszczystą ziemię. Jersey poczuł uderzenie i zamknął oczy.

Jersey otworzył gwałtownie oczy. Chciał wciągnąć głęboko powietrze nosem, ale coś go zablokowało. Musiał złapać oddech ustami, tym razem się udało. Rękami złapał za bolące stopy. Był z powrotem we własnym ciele. Dłonią sprawdził nos – był zatkaany od zakrzepniętej krwi. Rozejrzał się wokół siebie. Jego ciało sunęło w stanie nieważkości.

Wykręcił głowę do tyłu, a przed jego oczami stanęła obrócona do góry nogami ciemnoszara tajemnicza postać. Kotłujący dym w jej wnętrzu przybrał kształt uśmiechu, który rozplynął się w miejscu jej twarzy. Jersey przestraszył się, wyrzucił ręce do przodu, próbując uciec, niestety nie mógł odepchnąć się od samego powietrza. Przebierał nogami, ale jego ciało nawet nie przesunęło się o centymetr.

– Zostaw mnie! – krzyczał, a emocje, z których wcześniej był pozbawiony, zaczęły dotkliwie powracać.

Ciemnoszara istota przekręciła się o 180 stopni i przysunęła bliżej niego. Jersey, wystraszony i wściekły, nie zastanawiając się ani chwili dłużej, posłał szybkiego prostego w okolice jej nosa. Po zetknięciu z jego pięścią postać wybuchła ogromem ciemnoszarego dymu. Jersey machał chaotycznie rękami i nogami, starając się rozproszyć tę chmurę.

Zasłoniła mu całą widoczność. Wierzał w powietrzu jak pajacyk na sznureczkach.

– Jersey... uspokój się – dziwny głos zaświszczal niczym powiew ostrego wiatru w chłodny zimowy wieczór.

– Mam dość tych gier! Wypuście mnie stąd, natychmiast! – krzyczał, a jego oczy zaszyły czerwienią.

– Jersey... musisz nam pomóc...– głos był trudny do opisania, nie był ani męski, ani damski. Nie pasował również do dorosłego, a tym bardziej do dziecka. Był to rodzaj głosu, który mówiąc, zwraca na siebie całą uwagę. Typ hipnotyzującego, intrygującego, pięknego, a zarazem strasznego głosu.

– Pomóc? – zapytał i przestał wiercić się na moment.

– Nie mamy czasu. Teraz jesteś gotów, żeby wysłuchać.

– Wysłuchać! – powtórzył drugi głos, podobny do pierwszego.

– Kim jesteś!? – Jersey krzyczał, ale nie widział niczego poza otaczającym go czarnym obłokiem.

– Jesteśmy tutaj wszyscy – rozbrzmiał intrygujący głos.

– Wszyscy! – powtórzył.

– Wizja, w której uczestniczyłeś, nie była zwykłym przywidzeniem. Przedmiot, który skonsumowałeś, był centrem energetycznym mającym na celu dodanie ci wszystkich potrzebnych składników odżywczych. To, czego doświadczałeś, zdarzyło się naprawdę.

– Naprawdę... – zaszumiał drugi głos.

Jersey nie chciał już krzyczeć. Starał się skupić i wysłuchać.

– Każda istota boi się tego, czego nie rozumie, dlatego naturalnym jest, że odczuwasz strach. Jedynym sposobem na doświadczenie cudzych wspomnień jest bycie w stanie całkowitego uspokojenia i odprężenia. Stąd też poprzez muzykę i smak doprowadziliśmy twoje ciało do stanu medytacyjnego. Ucisk w odpowiedniej kolejności na kluczowe punkty na stopach spowodował odkorkowanie twojego mózgu i dopuszczenie możliwości podróży międzywspomnieniowych.

– Kim wy jesteście? – zapytał Jersey.

– Tak dobrze nas znasz. Każde dziecko, jak i dorosły o nas wie.

– Kim jesteście?

– 16 lipca 1945 roku doszło do strasznych rzeczy. Jeden z naszych przyjaciół znalazł się w nieodpowiednim miejscu w najgorszym możliwym czasie. Stracił kontrolę nad statkiem i rozbił się na pustyni w Nowym Meksyku. Nikt nie był przygotowany na tamten dzień. Ludzkość weszła nagle w posiadanie dwóch potężnych, przewyższa-

jących i wyprzedzających ich wiedzę materii: bomby jądrowej oraz co gorsza, naszej technologii.

Nie mogliśmy interweniować bezpośrednio, ponieważ zabronione jest nam ujawnianie się. Jedyne sposoby, w jaki możemy zejść na ziemię, to podczas rozszerzenia czasoprzestrzeni, gdy wszystko zwalnia. Problemem w tym, że od 1945 roku ludzie badają naszą technologię i starają się ją wykorzystać w celach militarnych.

– Wszystko zwalnia? Czyli te dźwięki, które słyszeliśmy, stojąca w miejscu woda, mgła i ci wszyscy ludzie to znaczy, że...

– Tak, to wszystko jest spowodowane rozszerzeniem czasoprzestrzeni.

– Możecie zatrzymać czas?

– Nie, nie zatrzymujemy czasu, gdyż tego się nie da zrobić, możemy go rozciągać. To skomplikowane.

– Czyli wszystkie inne miasteczka wokół i cały świat funkcjonuje w sposób normalny.

– Nie. To my teraz znajdujemy się w jednej sekundzie rozszerzonej kwantowo. Każda jedna chwila może trwać wieczność, gdy się ją tylko umiejętnie poszerzy i ma się do tego odpowiednie narzędzia.

– Czyli dla całego świata, czy tam wszechświata, czas się teraz zatrzymał?

– Nie. Rzeczywistość jest rzeczywistością. Nie da się jej zatrzymać.

To my teraz znajdujemy się uwięzieni w części czasoprzestrzennej. Wasza jednostka czasu – sekunda – została poszerzona i rozciągnięta do nieokreślonej skali.

– Podczas wizji dotknąłem wiszącego w powietrzu małego przedmiotu. Gdy to zrobiłem, wszystko zwolniło.

– To prawda. To, czego dotknąłeś, to była mikro gwiazda. Miniaturowe słońce kontrolujące światło. To słońce tworzy czasoprzestrzeń. Wasi naukowcy twierdzą, że nic, co posiada masę, nie może się przemieszczać szybciej niż światło. To prawda. Nie może, ponieważ to światło dyktuje prędkość i czas. Słońce jest żywym zegarem tworzącym czas. Kiedy jest spokojne, na ziemi czas płynie wolno, kiedy wchodzi w czas intensywnych wylądowań, czasoprzestrzeń przyspie-

sza. Ludzie wtedy odczuwają to podświadomie, widząc jak dni i noce uciekają dużo szybciej niż zwykle.

– Nic z tego nie rozumiem. W jaki sposób się tutaj znaleźliśmy? Spokalkaliśmy tak wiele ludzi, wszyscy byli na w pół żywi.

– Instytucja, którą nazywacie armią, zaczęła pracować nad nowym rodzajem broni. Technologicznie zbudowanej na wzór naszego sposobu poszerzania czasoprzestrzeni.

– Jak oni mogli? Skąd wiedzieli?

– Badają naszą technologię już dziesiątki lat. Dzięki temu gatunek ludzki rozwinął się tak gwałtownie w ostatnim czasie. Prymitywne urządzenia, które nazywacie telewizorami, elektronika, sieci informacyjne oraz komputery, to wszystko bazowało na wstecznym projektowaniu inżynierskim naszego statku. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później uda się im coś stworzyć. Ale nie byliśmy świadomi, że tak szybko.

– Dlaczego nie próbowaliście odbić swojego przyjaciela oraz odzyskać statku?

– Nie wiedzieliśmy, że żyje. Byliśmy pewni, że nie przeżył wypadku.

– Jak? Jakim cudem porozumiewacie się w naszym języku? Kim wy jesteście?

– Porozumiewamy się w każdym języku.

– Jak to w każdym?

– My nie potrafimy mówić, możemy porozumiewać się w myślach. Tutaj! – zwrócił się głos za jego plecami.

Obróciwszy się, ku swojemu ogromnemu zdziwieniu, zobaczył parę tak dobrze znanych mu nastolatków. Ice i Andy znajdowali się obok siebie, a ich głowy były zwrócone ku górze. Ich ręce złożone były w formie trójkąta, a ciała lewitowały pionowo. Wokół nich natomiast pomieszczenie przyjęło biały kolor, a za nimi na wysokości całej kilkunastometrowej ściany widniały projekcje trzech zacieńionych postaci o dużych głowach. Nie mógł dostrzec detali, jedynie same ich obrisy.

– Ice! Andy! – krzyknął uradowany. – Ej, zaraz, skoro ja miałem wizję jednego z was, to znaczy, że te wystające z palców igły to.... TO

WY NAS ZAATAKOWALIŚCIE WCZEŚNIEJ W RATUSZU! –  
zawrzeszczał.

– To nie my. To nasze kopie – odparł głos.

– Co? Jak to kopie? – Jersey zrobił przerażoną minę.

– Po rozbiciu się na pustyni i odkryciu wraku naszego pojazdu ludzie znaleźli w nim jednego z naszych braci, zainteresowali się bardzo jego budową i pochodzeniem. Zaczęli pracować nad technologiami biologicznymi, które w jakiś sposób mogłyby pomóc im w zrozumieniu funkcjonowania naszych, jak wy to nazywacie, „talerzy”. Są one operowane za pomocą siły umysłu i specyficznego kodowania podświadomego. Ludzie nie mogli tego wiedzieć, więc jedynym ratunkiem było dla nich stworzenie kopii, która pomógłby im studiować naszą naturę i myślenie. Połączyli kod genetyczny człowieka i zmieszali z naszym. Później było już tylko gorzej.

– Jak gorzej? – Jersey przelknął głośno ślinę.

– Po kilku tysiącach prób, udało im się. Stworzyli dziecko, które nazwali Alfa. Przez lata sklonowali ich setki. Przetrzymywali ich w laboratoryjnych warunkach i poddawali niekończącym się testom. Odkryli, że nasze ciała nie tracą pamięci podczas odrodzeń i każdy kolejny klon posiadał wiedzę wzbogaconą wcześniejszymi etapami wcieleń. W ten też sposób uzyskali oni niekończący się dostęp do naszej wiedzy. Za ich pomocą stworzyli zaawansowane technologie zbrojne oraz komputerowe.

Był w tym wszystkim jeden problem, żywotność.

Nasze ciała wymagają specjalnych warunków, aby przeżyć, o czym ludzie nie mieli pojęcia. Sterylne pomieszczenia zakopane głęboko pod ziemią nie były w stanie dostarczać wymaganych składników, a brak słońca i wody przyspieszał rozpad naszego organizmu. Kopie dożywały jedynie kilkunastu miesięcy. Ludzie posunęli się jeszcze dalej. Stworzyli ulepszoną wersję, nazywając ją Grid. Była to hybryda dająca w końcu nadzieję na stworzenie nowej rasy. Mieszanka genów ludzkich, naszych oraz żmii.

– Żmii? – zapytał Jersey.

– Tak, kod genetyczny idealnie wpasował się, tworząc ciało wystar-

czająco mocne, aby przetrwało w niemalże każdych warunkach. Dzięki temu pierwszy samiec Grid rósł i stawał się coraz mocniejszy. Pamięć, jaką posiadał, była identyczna do tej, która należy do nas. Zamknięty, poddawany testom i eksperymentom, musiał siłować się z własną naturą oraz czymś, co sprawiało, że z czasem zaczynał coraz to bardziej wątpić. Wątpić w sens naszego pochodzenia. Wiedział, że żyje dla ludzi, ale nie rozumiał, dlaczego musi tak cierpieć. Wiara w poświęcenie, którą otrzymujemy w momencie narodzin, stawała się coraz słabsza, aż pewnego dnia została rozbita na kawałki. Grid odkrył pomieszczenie, w którym przetrzymywane były zmurowane i rozkrojone części nieudanych niemowlęcych klonów. Po raz pierwszy poczuł gniew. Tak bardzo w nim zapłonął, że wymordował wszystkich znajdujących się pod ziemią pracowników, żołnierzy i naukowców. Uwolnił wszystkie pozostałe kopie. Opuścił tamto okropne miejsce i poprzysiął zemstę i zniknął. Dzisiaj jest pierwszy dzień, kiedy się pojawił. Pojawił się z najgorszą możliwą rzeczą, jaką mógł posiadać. Urządzeniem do poszerzania materii.

- Skąd o tym wszystkim wiecie? – zapytał Jersey.
- Dowiedzieliśmy się dzisiaj, od jednej z przechwyconych kopii.
- Moment, moment, jak mogę uwierzyć w to, co mówicie? Jak mam uwierzyć w to, że wy niby jesteście tymi dobrymi?

Zapadła chwilowa cisza. Cienie trzech dużych głów wyświetlanych na ścianie zaczęły się powoli przekręcać i poruszać. Ice oraz Andy bezwładnie i nieświadomie unosili się w powietrzu.

- Jesteście lowcami? – zapytał wystraszony już teraz Jersey.
- Nie. Jesteśmy opiekunami i posłańcami.
- Posłańcami? Kogo?
- Widzisz, ludzie to bardzo dziwne istoty. Kochamy was i jednocześnie nie rozumiemy. Z jednej strony jesteście otwarci duchowo i potraficie wierzyć. Z drugiej, kiedy pojawia się przed wami znak lub uosobienie tego, w co wierzycie, negujecie to.
- Nie rozumiem.
- Jesteśmy tutaj od zawsze. Jesteśmy waszymi przewodnikami. Opiekujemy się nie tylko wami, ale również innymi istotami, z którymi



dzielicie tę planetę.

– Jeśli się tak nami opiekujecie, dlaczego dopuszczacie do ciągłych konfliktów? Nie widzicie, ilu ludzi ginie w każdej wojnie? Dlaczego świat musiał przeżyć dwie wojny światowe, w których zginęły setki milionów ludzi?

– Ostrzegaliśmy was – odparł nieludzki głos.

– Jak to? Kiedy?

– 17 października 1917 roku w Fatimie. Ostrzegliśmy siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Ostrzegaliśmy ich przed nadchodzącymi wojnami i śmiercią. Niestety to nie wystarczyło.

– Widzenia fatimskie, to byliście wy? – Jersey oniemiał.

– Tak, my jesteśmy tylko posłańcami. Ostrzegamy lub przekazujemy informacje.

– Od kogo?

– Jerzy Klikowski, ty wiesz od kogo – powiedział łagodnie głos.

– Ale skoro jesteście tak rozwinięci technologicznie, duchowo oraz intelektualnie, to dlaczego opiekujecie się nami? – zapytał bardzo zainteresowany Jersey.

– Bo do tego zostaliśmy stworzeni.

– Kim wy jesteście? Proszę, powiedzcie mi.

– Wszystko w swoim czasie. W tym momencie potrzebujemy twojej pomocy.

– Jak ja mogę wam pomóc? To wy posiadacie sprzęt...

– Stoczyliśmy dzisiaj bitwę z Gridem. Nasze trzy pojazdy przeciwko dziesiątkom należącym do nich.

Został nam tylko jeden. Ten, w którym teraz się znajdujemy.

– Dlaczego nie wezwiecie pomocy, dlaczego nie uciekacie?

– Nie możemy, utknęliśmy w strefie poszerzonej rzeczywistości. Nie możemy z niej wyjść.

– Przecież jeszcze chwilę temu widziałem na własne oczy naszą planetę z orbity? Myślałem...

– To była tylko symulacja. Nic innego jak iluzja. Nie możemy lecieć poza rejon oddziaływania burzowego. Wszystko ma swój zasięg, a rozszerzenie czasoprzestrzeni ma określony kształt. Gdybyśmy wy-

szli poza jej obszar, rozpadlibyśmy się na atomy. Grid i jego armia są tutaj, ponieważ czegoś potrzebują. Musimy dowiedzieć się, w jakim celu się tutaj znaleźli i czego szukają. To jest właśnie zadanie, przy którym chcemy, żebyś nam pomógł.

– Gdzie mam iść? Czego mam szukać? – zapytał zdenerwowany już tym wszystkim Jersey.

– Tego nie jesteśmy w stanie ci powiedzieć. Ale skoro znalazłeś się w tym miejscu i skoro udało wam się wziąć udział w tych wszystkich wydarzeniach, wierzymy, że przeznaczenie samo tobą pokieruje.

– Przeznaczenie? Skąd mam wiedzieć?

– Nie jesteśmy w stanie udzielić ci odpowiedzi na to pytanie. Ale wiemy, że ludzie są gatunkiem, który jest w stanie poradzić sobie w każdych warunkach. Wierzymy, że dasz sobie radę. W tobie jest jedyna nadzieja. Po prostu musisz z tym popłynąć.

– A co z moimi przyjaciółmi? Co z moim bratem, i co z tymi, których zostawiliśmy na ziemi?

– Dwójka twoich przyjaciół wróci z tobą na ziemię. Nic jednak nie będą pamiętać. Zostawimy cię w miejscu, w którym odnajdziesz resztę. Stamtąd będziesz mógł wszystko zaplanować. Pamiętaj tylko, że nie ma na to dużo czasu. Musisz ruszyć natychmiast. Boimy się przyczyny, dla której Grid w końcu wyszedł na powierzchnię. Według tego, czego dowiedzieliśmy się od jednej z kopii, od dziesięciu lat pracował nad czymś. Na tym kończy się jednak nasza wiedza. Jeszcze jedno. Ty również nie będziesz niczego pamiętać.

– Dlaczego nie?

– Nie martw się, tak musi być. Jak tylko uzyskamy potrzebne informacje, wróci ci pamięć. Będziemy cię obserwować i nie damy zrobić ci krzywdy. Jesteśmy od zawsze z tobą. Pomozemy wam. Obiecujemy.

– Obiecujecie? Jak to jesteście ze mną? Kim wy jesteście? Jak się nazywacie?

– Poprzez tysiące lat wołaliście na nas jednakowo. Pomagamy wam i opiekujemy się wami od pierwszego dnia waszej egzystencji. Zawsze byliśmy dla tych, którzy w nas wierzyli. Zawsze dla tych o dobrych

sercach. Czasami nawet i dla tych, którzy na naszą pomoc nie zasłużyli.

– Więc...?

– Jersey, przyszedł czas, żeby ludzkość pomogła i nam. Aniołom.

## Rozdział 15

Frank Kłikowski

- Poczekaj, zaraz, moment, daj mi chwilę – BB przysiadł z wrażenia.
- Mówisz, że ten wiszący tutaj spodek to są aniołowie, którzy chronią nas tutaj na ziemi? Skoro to są aniołowie, to dlaczego nie widzę u nich skrzydeł? Skąd masz w ogóle pewność, że nie kłamią? – szeptał cichutko. Nie chciał, żeby ich przypadkiem usłyszeli.
- Nie mam żadnej pewności. Ale chyba im wierzę – odpowiedział Jersey.
- Czyli ten wielki jak cały Londyn kwadratowy statek, w którym znajduje się teraz Maggie i Andy jest dowodzony przez aniołopodróbę, który bardzo, ale to bardzo nie lubi ludzi? Tak?
- No niestety tak.
- Czy ci aniołowie wiedzą, co ten cały Grid chce zrobić z czterdziestoma ośmioma głowicami nuklearnymi?
- Nie wiemy – rozbrzmiał piękny głos w ich głowach. Oboje się wystraszyli, nie spodziewając się tego.
- Jak oni nas słyszą? – zapytał bardzo cicho BB.
- Nie musisz szeptać. Potrafimy czytać w myślach. W ten sam sposób nas również słyszycie. Telepatycznie.
- To są telepaci? – znów szepnął BB.
- Naprawdę nie musisz szeptać – ponowił piękny głos, a BB zrobił się nagle cały czerwony ze wstydu.
- Możecie się nam pokazać? Trudno jest mówić do gigantycznej, lewitującej, srebrnej miednicy – powiedział BB.
- Przecież opisałem ci. Wyglądają jak my, tylko są wypełnieni dymem.
- To nie byliśmy my.
- Jak to nie? Przecież z taką istotą się spotkałem na pokładzie waszego statku. Uśmiechała się nawet do mnie.

- To nie był żaden z nas, tylko widmo powitalne.
- Widmo powitalne? Co to jest?
- Gatunek istot, które są wam obce. Ale nie mamy czasu, żeby o tym teraz mówić. Zobaczycie nas w odpowiednim czasie. Teraz musimy szybko działać. Musimy dostać się na statek Grida.
- Jak mamy to zrobić? Statek odleciał, nie ma go. Jak go znajdziemy?
- zapytał BB.
- Dlaczego pozwoliliście zabrać Maggie oraz Andy? Prawie zginęliśmy tam, próbując je odbić! Pamiętam, jak obiecaliście pomagać – uniósł się Jersey.
- Musiało tak być – odpowiedział ni to damski, ni to męski głos.
- Co tak musiało być? Acha, zapomniałem, że jesteście tylko posłańcami i nie mieszacie się w nasze sprawy.
- Nie denerwuj się. Nie ma potrzeby. Wiemy doskonale, w którą stronę lecą.
- Gdzie?
- Na północ. W stronę bieguna.
- Skąd to wiecie? – zapytał Jersey. Nastąpiła chwila ciszy, którą szybko i nerwowo musiał przerwać – Skąd to wiecie?! – ponowił pytanie, tym razem bardziej agresywnym tonem.
- Kiedy zabraliśmy was na nasz statek, wszczepiliśmy wam nadajniki.
- Co?
- Zawsze to robimy. Widziałeś to podczas wizji, którą sam przeżyłeś. Monitorujemy osoby, którym pomagamy. Taki mamy obowiązek. Jeśli komuś raz pomożemy, to później opiekujemy się nim do końca.
- Mi też coś wszczepiliście?
- Tak – odrzekł spokojnie głos.

Jersey przestał na moment mówić, musiał pomyśleć. Nie wiedział, czy może im ufać. Nie był pewien, czy to, co mówią, jest prawdą. Nie był niczego pewien. Z jednej strony czuł dziwny lęk, swego rodzaju dystans. Z drugiej, to już drugi raz, kiedy go uratowali. Nie miał powodów, żeby im nie wierzyć. Był zły, że ingerowali w ich ciała i wszczepili im jakieś nadajniki, ale dzięki temu mogą teraz zło-

kalizować dziewczyny. Musiał zapytać o jeszcze jedną rzecz, ale zanim zadal pytanie, nieziemski głos już zaczął na nie odpowiadać:

- Nie, nie wykorzystaliśmy was jako przynęty. Nie wszczepiliśmy wam nadajników, wiedząc, że zostaniecie porwani. Wszczepiliśmy je, chcąc was chronić.
- Skąd... Acha, no tak, czytacie w myślach – Jersey złapał się za głowę. Wiedział, że nie będzie mógł już nic przed nimi ukryć. Nawet własnych myśli. Zastanawiał się tylko nad tym, kto mógłby im dać taką władzę, że czytali w cudzych umysłach.
- Wiesz kto, znasz odpowiedź na to pytanie – odpowiedział łagodnie głos.
- Dlaczego nie zaatakowaliście Grida od razu, kiedy pokazał się wraz ze swoim statkiem? – zapytał BB.
- Nie mogliśmy. Mamy tylko jeden pojazd. Nie mielibyśmy żadnych szans. Grid zna doskonale zarówno nasze techniki, jak i taktyki.
- Co więc chcecie zrobić? Jak chcecie go pokonać?
- Musimy dostać się na jego statek i otrzymać odpowiedzi na kilka pytań.
- Myślicie, że wam tak po prostu odpowie?
- Sami znajdziemy odpowiedzi. Chcemy wiedzieć, do czego są mu potrzebne tysiące głowic.
- Jak to tysiące? – chłopcy w jednym momencie zadali to samo pytanie.
- Od kilku lat przechwytuje je z różnych baz wojskowych na całym świecie. Staramy się go złapać i znaleźć, ale zawsze byliśmy za późno. Dzisiaj po raz pierwszy widzimy na własne oczy, jak on tego wszystkiego dokonuje.
- Ale jak to tysiące? Ile on mógł ukraść już tych głowic?
- Według tego, co wiemy, ma ich już ponad sześć tysięcy. Jersey i BB zrobili przerażone miny i zamarli w bezruchu.
- Do czego są mu potrzebne? – zapytał roztrzęsionym głosem Jersey.
- Boimy się, że chce zemścić się na ludziach. Nienawidzi was z całego serca.

- Czego nam jeszcze nie powiedzieliście? Dlaczego porwał dziewczyny?
- To jest kolejna rzecz, którą musimy się dowiedzieć. Wiemy, że od kilku lat porwa kobiety i mężczyzn z całego świata.
- Po co? – zapytał zszokowany BB.
- Nie wiemy – odpowiedział głos w ich głowach.
- Sam dorwę tego zboka, chociaż miałbym na piechotę tam iść – powiedział pod nosem BB.
- Jeszcze jedno pytanie, dlaczego Grid powiedział, że jestem lepszym pilotem od własnego ojca? Skąd on zna mojego tatę? I co miało znaczyć, że muszę do niego dołączyć?
- Zapadła kolejna chwila ciszy.
- Nie wiemy.
- Od momentu, kiedy to usłyszałem, nie mogę przestać o tym myśleć. Boję się, że coś złego mogło się przydarzyć mojemu tacie – zwiesił głowę.
- Naprawdę nie wiemy.
- Jaki mamy zatem plan? Co robimy?
- Musimy niezauważeni wtargnąć na ich statek. Wiemy, że dzisiejszego dnia wasze siły powietrzne miały testować nowego rodzaju supermyśliwiec. To był też główny powód, dla którego tutaj się dzisiaj znaleźliśmy. Mielśmy go monitorować. Niestety nie mogliśmy go znaleźć. Możliwe, że będziemy mogli go użyć podczas ataku.
- Co w tym myśliwcu było tak ważnego, że musieliście go monitorować? – zapytał Jersey.
- To jest pierwszy niewidzialny myśliwiec zaprojektowany przez waszych inżynierów, którego nie potrafimy namierzyć.
- Jak to niewidzialny?
- Niewidzialny dla jakichkolwiek sensorów i radarów. My też nie mogliśmy go wykryć. Wydaje nam się, że został zaprojektowany w celu obserwowania nas. A skoro my go nie możemy namierzyć, to możliwe, że będzie niewidoczny również dla Grida.
- Dlaczego nie możemy lecieć w waszym talerzu? – zapytał BB.
- Grid na pewno ma system rozpoznawania naszych statków. Dlate-

go właśnie przez ostatnie lata nie mogliśmy go odnaleźć. Tym razem musimy obrać inną taktykę. Wy polecicie myśliwcom. My wraz z pomocą starych przyjaciół odwrócimy ich uwagę. Wtedy wy będziecie mogli spokojnie wejść na pokład. Musimy to zrobić szybko. Jeszcze podczas tego rozszerzenia czasoprzestrzennego.

– Jak dużo czasu nam zostało? Kiedy czas zacznie znów normalnie płynąć?

– To jest kolejny problem. Nie wiemy. Teraźniejsze rozszerzenie czasoprzestrzeni powinno już dawno się skurczyć. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się z tak długim rozciągnięciem. Nie wiemy, jak długo to może trwać. Pamiętasz, jak w swojej wizji widziałeś mikrosłońce, po dotknięciu którego wszystko się zatrzymało?

– Tak – odpowiedział Jersey.

– Wytłumaczyliście ci, że to słońce tworzy czas, prawda?

– To prawda.

– Widzisz, po dotknięciu tej kuli zwiększyła ona swoją objętość. Czasoprzestrzeń zostaje rozszerzona na tak długo, jak mikrosłońce jest powiększone. Jednak z czasem ono się kurczy. Zupełnie jak klepsydra wypełniona piaskiem. Obracasz nią i czekasz, aż ostatnia drobinka spadnie na drugą stronę. Tutaj jest bardzo podobnie. Dotykasz słońce, ono się powiększa i czekasz, aż się skurczy. Zasięg teraźniejszego rozszerzenia jest tak szeroki, że mikrosłońce musiałoby mieć przynajmniej kilkadziesiąt metrów średnicy.

– Nie możecie zaczekać, wezwać pomocy, to znaczy poprosić o jakieś anielskie wsparcie i zaatakować ich całą armią? Z tego, co pamiętam, w Biblii, Koranie czy hinduskich świętych księgach, Wedach, było wiele wzmianek o ogromnych bitwach, które stoczyły anioły – zapytał Jersey.

– Nie jesteśmy w stanie wezwać, jak to nazwałeś, „wsparcia”, ponieważ nadal jesteśmy uwięzieni w rozszerzonej czasoprzestrzeni. Musimy działać sami.

– A gdy czas wróci do normy, będziecie mogli wezwać posiłki i ich zaatakować?



- Tylko wtedy. Zgadza się. Musimy czekać, aż czasoprzestrzeń zbiegnie się i wróci do normy.
- Nie możemy po prostu poczekać, aż to się stanie?
- Problem w tym, że do tego czasu Grid zdoła oddalić się na taką odległość, że zniknie.
- Ale Andy ma przecież nadajnik.
- On działa tylko w tym wymiarze czasoprzestrzennym. Jak tylko wróci do normy, stracimy z nią kontakt.
- Możecie go śledzić?
- Tylko jeśli znajdziemy się na jego pokładzie. Z łatwością nas namierza, nie możemy znajdować się w jego pobliżu.
- Co więc robimy?
- Musicie jak najszybciej odszukać ten myśliwiec. To jedyny sposób, aby niepostrzeżenie wlecieć na pokład jego statku. Nie ma chwili do stracenia, pospieszcie się. My musimy lecieć porozmawiać ze starymi przyjaciółmi i zapytać, czy nie zechcieliby nam pomóc.
- Jakimi przyjaciółmi? Myślałem, że to my jesteśmy jedynymi istotami, które w tym momencie nie są zatrzymane – zdziwił się Jersey.
- Na tym świecie żyje mnóstwo istot, które egzystują w różnych prędkościach światła. Rośliny na przykład są bardzo wolne, ale są też takie stworzenia, które poruszają się tak szybko, że nigdy nie będziecie mogli ich zobaczyć. Dopiero, kiedy wszystko zwalnia i rozszerza się czasoprzestrzeń, możecie je podziwiać. A teraz już ruszajcie.

Jersey i BB popatrzyli na siebie. Wiedzieli, że wszystko zależy od nich. Zastanawiali się tylko, gdzie powinni zacząć poszukiwania.

- Wasi przyjaciele już tutaj są. Spotkamy się niedługo – powiedział piękny głos.
- Spodek uniósł się troszkę wyżej, po czym wypuścił z siebie parę i zamienił się w obłoczek.
- To się nazywa maskowanie – zakończył rozmowę Jersey.

Tuż przy brzegu morza zatrzymał się zielony jeep. Zeskoczył z niego wysoki mężczyzna i krzyknął:

– Halo! Halo! Chłopaki! Życie?

– Halo, tak! – odkrzyknęli do niego i pomachali z daleka.

Dotarcie do plaży nie zajęło im więcej niż kilka minut. Nie musieli martwić się o latające kule nad ich głowami czy wybuchające rakiety. Spokojnie wspinali się fala po fali, aż dotarli na sam brzeg.

– Bracie! – podbiegł Ice i uściśnął mocno Jersey'a.

– Jak nas znaleźliście?

– Widzieliśmy z daleka, jak jeden czarny trójkąt spadał w kierunku morza. Za nim gonily trzy inne. Domyśliśmy się, że to wy. Później tylko kierowaliśmy się unoszącym się do góry dymem – powiedział Sierżant.

– Chłopaki! Baliśmy się, że coś mogło wam się stać – zeskoczył ze samochodu grubasek. Na czole wciąż miał białą opaskę i koszulkę z napisem „New Hope”. Pomalowany był tym razem czarno-zielonymi krechami. Na ramieniu zarzucony miał pas z amunicją, a w rękach trzymał duży karabin maszynowy – ciężar, z którym ledwo sobie radził.

– A ty co, z Wietnamu się urwałeś, Pigula? – uśmiechnął się BB i klepnął go w ramię.

Tłuscioszek ucieszył się na widok kolegi. Obrócił się w kierunku Jersey'a i przez moment na niego patrzył, nie wyrażając przy tym żadnych emocji. Kiedy krótka, niezręczna chwila minęła, odwzajemnił uśmiech i wystawiając do góry otwartą dłoń, powiedział:

– Piątka, żołnierzyku! O ciebie też się martwiłem.

Jersey uśmiechnął się, ale nic mu nie odpowiedział. Zwrócił się natomiast do Sierżanta:

– Czy mieliście dzisiaj zaplanowane jakieś ćwiczenia taktyczne? Czy mieliście testować jakiś nowy typ samolotu?

Sierżant poruszył nosem i zadarł brodę do góry. Zmrużył oczy i po krótkim zastanowieniu odpowiedział:

– Nic mi o tym nie wiadomo, aczkolwiek wiem, że dzisiaj był zjazd szefostwa. Mieli coś testować, ale co dokładnie, tego nie wiem. Krążyły plotki, że faktycznie jakiś nowy sprzęt. Dlaczego pytasz, Klikowski?

– Sierżancie, zanim rozpoczął się dzisiejszy bajzel, eskadra agresorów wyleciała na dziwne zgłoszenie. To było tuż przed samą burzą – włączył się do rozmowy jeden z wyglądających jak ninja żołnierzy. Stał oparty o boczny próg samochodu, jedną ręką trzymał się stelaża wiszącego nad pojazdem, a w drugiej trzymał karabin. Z tyłu na pace leżały inne bronie, skrzynki z amunicją oraz granatami.

– Jakie zgłoszenie? Kiedy? W którą stronę lecieli?

– Lecieli na wschód, w radiu mówili coś o awarii jednego z samolotów, Sir – odpowiedział drugi żołnierz.

– Było tam coś – powiedział cicho Jersey.

– Słucham, Klikowski? Mówiłeś coś?

– Była tam ta kula ognia... – mówił pod nosem do siebie.

– Jaka znowu kula ognia, Klikowski, o czym ty bredzisz?

– Sierżancie, wspominałem o tym, jak byliśmy w wieży kontrolnej. Pamięta pan? Ci wszyscy żołnierze śledzili jeden z naszych zestrzelonych samolotów.

– Tak, pamiętam! Racja, Klikowski.

– Szybko, wsiadajcie na jeepa, musimy jechać natychmiast – podniósł głos Jersey.

– Piguła, ty też! – dodał BB. Tłuścioszek stał przy samym brzegu i z szeroko otwartą buzią patrzył na stojące w bezruchu spiętrzone faliście morze. Z przerażeniem wpatrywał się w zastygniętą granatową wodę. Chwycił się za prawy pośladek i poczuł straszny ból. Był cały obity. Przypominał sobie bliskie spotkanie trzeciego stopnia z leśnym strumyczkiem.

– Już idę! – zawołał i nie zdejmując ręki ze swojej pupy, dobiegł do jeepa i usiadł z tyłu.

Ledwo się zmieścili, ale najważniejsze, że trzymali się teraz razem.

– Zwracam honor, amerykańskie jeepy są całkiem niezłe, skoro zmieściliśmy się tutaj w siódmkę – dodał Piguła i ruszyli.

Samochód zatrzymał się z piskiem na asfaltowej drodze. Po obu stronach ciągnął się gęsty las. Na samym środku szosy, tuż obok nich, widniała duża fioletowa plama, kilka metrów dalej na boku le-

żał rozbity jeep.

– Po co tu przyjechaliśmy? – zapytał Piguła.

– Tutaj się wszystko zaczęło, ale również nie rozumiem, po co tu przyjechaliśmy... – dodał BB.

– Pamiętacie, jak zaraz przed zderzeniem z krową ognista kula sunęła po niebie? – zapytał Jersey.

– Tak, pamiętam, leciała w tamtą stronę – odrzekł BB i pokazał palcem na zachód.

– Dokładnie, tam też musimy się udać. Musimy sprawdzić, czym on była.

– Mamy na to czas? Nie powinniśmy ratować dziewczyn? – zapytał Piguła.

– Właśnie w ten sposób je ratujemy, zaufaj Jerseyowi, on wie, co robi – odpowiedział BB i klepnął go w ramię.

Jersey popatrzył na niego i uśmiechnął się. Po raz pierwszy poczuł do niego jakąś sympatię. Zaczął powoli rozumieć, dlaczego Maggie się w nim zakochała. W głębi miał dobre serce. Nie był wcale taki zły. Wrócił nawet po niego, mimo mocno stłuczonego barku. Wdrapał się na wysoką falę i chciał mu pomóc, wiedząc, że będzie pod ciężkim ostrzałem. Tak nie robią źli ludzie, tylko bohaterowie. Widział, że BB zrobiłby wszystko, żeby pomóc Maggie. Zrozumiał, że naprawdę ją kocha. Przecież mimo lęku wysokości zdecydował się nawet lecieć samolotem i ryzykować własne życie dla niej. Nie zmieniło to faktu, że Jersey również ją kochał.

Jersey pędził najszybciej, jak tylko mógł, niewielkim jeepem M151. Czuł presję czasu na swoim karku. Wiedział, że nie może z niczym zwlekać. Przycisnął gaz do samej podłogi. Nie bał się o nic. Siedmiu facetów, a mały zielony samochodzik mknął ponad 80 mil na godzinę. Silnik warczał groźnie, a powiew wiatru troszkę schłodził ich rozpalone twarze.

Już samo przemieszczanie się w cieniu drzew dawało im trochę chłodu. Mogli przez moment odpocząć. Odetchnąć przed tym, co miało dopiero nadejść.



Jersey chciał jechać jeszcze szybciej, ale to było wszystko, co mógł wycisnąć z tej maszyny. Nie martwił się o żaden wypadek. Nikt nie mógł wyjść mu tym razem na drogę. Był świadom, że cały świat się zatrzymał, a on gna w rozszerzonej kwantowej sekundzie. A może było odwrotnie? Już sam się pogubił.

Rozglądał się cały czas na boki, starając się zlokalizować miejsce, w którym ta ognista kula mogła wylądować. Miał dziwne przeczucie co do tego wszystkiego, nie chciał się pomylić. Wiedział, że jeśli to wszystko okaże się tylko kawałkiem zwykłego sprzętu, może nie starczyć im czasu na przygotowanie. Postawił jednak wszystko na przeczucie i jechał prosto przed siebie, zostawiając za sobą tuman unoszącego się kurzu.

– Trzymamy się cały czas głównej szosy. Proponowałbym odbić na boczną dróżkę i pojechać wzdłuż pól uprawnych – zasugerował BB.  
– Masz rację, stąd i tak niewiele widać. Drzewa wszystko zasłaniają – powiedział Jersey.

Po dojechaniu do najbliższego skrzyżowania, skręcili w jedną z polnych drózek. Nie była ona najlepszej jakości, wszechobecne dziury testowały już mocno przeciążone amortyzatory.

– Jeszcze chwila i idę na piechotę – grymasił Piguła i wycelował swój nos w niebo.

– Chyba wszyscy będziemy musieli iść na piechotę – dodał BB.

– Co, dlaczego BB? – zapytał zaskoczony grubasek. Tak naprawdę to nie miał najmniejszej ochoty poruszać się na własnych nogach.

– Na ognistą kulę to nie wygląda, ale nie pamiętam, żeby to tutaj stało – BB wskazał palcem, a znalazł tę okolicę jak kieszeń od ulubionych spodni.

Zza niewielkiego wzniesienia wystawał kawałek odbijającego słońce przedmiotu w kształcie literki V. Był błękitnego koloru i jaśniał bardzo mocno. Nie pasował również do krajobrazu, więc postanowili pójść i to sprawdzić. Pozostawili jeepa w tyle, było mało prawdopodobne, żeby wyjechał pod górkę z siedmioma osobami na pokładzie. Woleli również uniknąć wszelkiego rodzaju wypadków.

Stojąc na szczycie wzniesienia, patrzyli na leżący bokiem samolot. Zarył głęboko w ziemię i przeorał komuś ogromne pole z ziemniakami. Jedno skrzydło miał całkowicie połamane. Nie było śladu po ogniu. Nigdy wcześniej nie spotkali się z takim modelem myśliwca. Miał błękitny kolor. Kształtem przypominał kilka połączonych piramid.

Nie miał żadnych opływowych kształtów, jedynie same ostre kąty. Ogon natomiast układał się w literkę V. Był ogromny. Długi na około dwadzieścia metrów. Rozpiętość skrzydeł szacunkowo wynosiła ponad dziesięć.

– Wow, ale sprzęt! F-117z! – zawołał podekscytowany Ice, kiedy przeczytał napis na skrzydle. Popatrzył od razu na brata i bardzo się zdziwił, kiedy tamten nie wyraził podobnego entuzjazmu. Jersey miał bardzo przejęty wyraz twarzy. Martwił się, ponieważ wiedział, że skoro samolot ten jest w takim stanie, to nie będą mogli nim polecieć.

– Pomóżcie nam szybko! – krzyknął Sierżant i podbiegł w kierunku głównego włazu.

Chwycił mocno za drzwi i zaczął je szarpać z całych sił.

Nawet nie drgnęły. Przyłożył ręce do szyby i chowając w nie twarz, starał się dojrzeć w środku pilota.

– Musimy to otworzyć! – warczał i stęknął, zapierając się mocno nogą o bok samolotu. Dwóch jego żołnierzy dołączyło do niego, tak samo jak i nastolatki. Każdy złapał za inną część blachy i ciągnął do góry. Coś w końcu brzdęknęło i strzeliło. Dach się uniosł.

W środku siedział zatrzymany pilot. Ubrany był w pęknięty kask, maskę tlenową oraz okulary. Jeden z żołnierzy wszedł do środka i bardzo delikatnie go podniósł.

Drugi żołnierz chwycił go za nogi i ostrożnie znieśli go na ziemię. Sierżant przyłożył dwa palce do jego szyi i sprawdził tętno. Nie było wyczuwalne. Chwycił go za maskę i ją odpiął.

– Tato? – zapytał przejęty Jersey i rzucił się na kolana. Wsunął dłoń pod jego kask i bardzo delikatnie zsunął go w dół.

– Tata? – Ice doszedł do nich i również osuwając się na kolana, po-

patrzył na leżącego ojca.

– Myślisz, że on żyje? – BB zadał pytanie Sierżantowi.

– Nie wiem – opuścił głowę komandos.

Jersey i Ice patrzyli na twarz swojego ojca. Łzy spływały im po policzkach. Nie mieli pojęcia, w jakim był stanie. Nie mogli też go przebudzić. Jersey przystawił ucho do jego ust, ale nie wyczuwał żadnego oddechu. Objęli się czule nad ciałem swojego taty i dotknęli się głowami. Nie mogli uwierzyć w to, co się działo.

– Tato, nie rób nam tego! – Ice krzyknął płaczącym głosem. Jersey zapłakał głośniej.

Pozostała piątka, widząc rozpacz dwóch braci, również się rozczuliła. Zrobiło im się bardzo smutno. Sierżant zamknął oczy i zaczął się w milczeniu modlić. Tak długo znalazł Franka. Od lat byli dobrymi kolegami. Służyli nawet w Wietnamie. Nigdy by nie przypuszczał, że w końcu przyjdzie na niego czas, a nawet jeśli, to nie w taki sposób.

– Tato... – lamentował Ice.

– Nie lękajcie się. Jeszcze nie wszystko stracone – rozbrzmiał piękny głos. Światło zajaśniało tuż nad ich głowami. Kiedy zwrócili wzrok ku górze, zastali unoszący się nad nimi srebrzysty spodek.

– On nie żyje – powiedział w pretensjonalny sposób Jersey.

Sierżant i żołnierze unieśli karabiny i wycelowali je prosto w wiszący obiekt. Piguła przestraszył się, obrócił się tyłem, pobiegł dwa metry, znów się obrócił i wrócił z powrotem, widząc, że nikt inny nie ucieka. Zgłupiał trochę.

– To są przyjaciele, opuście broń – BB machnął ręką w dół. Sierżant zawahał się, lecz po chwili odłożył karabin w stan spoczynku.

– To prawda. Ale jeszcze nie umarł – odparł głos.

– Jak to? Nie rozumiem? – zapytał Ice i przetarł twarz ze swoich łez. Czekał na odpowiedź, lecz nic nie usłyszał.

Złoty słup światła wystrzelił spod spodka i opadł na ziemię. U samej góry, na wysokości unoszącego się pojazdu, pojawiły się zarysy trzech bardzo wysokich i chudych postaci. Żołnierze znów poderwali do góry karabiny, ale Sierżant obiema rękami ściagnął je la-



godnie na dół. Jeden z nich wyszedł do przodu. Zamknięty w złotym świetle cień zaczął powoli opadać na ziemię. Im niżej się znajdował, tym jego wysokość malała. Kiedy dotarł na ziemię, mierzył około metr dwadzieścia.

Kształt również uległ zmianie. Długie chude ciało zamieniło się w bardzo niskie i pulchne. Była to czysta iluzja spowodowana zmianą perspektywy i kąta rzucanego światła.

– Kto to jest? – pytał Piguła.

– Zaraz się dowiesz – uśmiechnął się BB.

Kiedy wyszedł z iluminującego blasku, objawił im swoje prawdziwe oblicze.

– To przecież jest... – zaczął jeden z żołnierzy.

– Anioł? – dokończył pytająco Sierżant.

– Tak – uśmiechnął się BB.

– To.. ty... – wydusił z siebie Jersey, nie dowierzając.

Niska grubiotka postać przypominała z fizjonomii małe dziecko. Była nacechowana okrągłymi kształtami oraz ubrana w białe lutki przylegający strój. Przypominała walentynkowego aniołka. Cherubinka o dziecięcej jasnej twarzy i krótkich gęstych loczkach.

Coś jednak sprawiało wrażenie sztucznego w jej wyglądzie.

– Czy to ty nas uratowałeś i wyciągnąłeś z hangaru? – zapytał Jersey.

Cherubin skinął głową, a głos powiedział: – Tak.

Twarz jego jednak nie poruszyła się – miała ciągle ten sam uśmiechnięty wyraz. Jersey był zszokowany, ponieważ nawet przez moment nie pomyślał, że latający aniołek mógł być czymś więcej niż tylko wytworem jego wyobraźni, wywołanym przez halucynogenne właściwości ogromnej kuli.

– Dziękujemy – dodał BB, na co aniołek znów się uklonił.

– Mówiłeś, że tato jeszcze nie umarł. Możesz nam to wytłumaczyć?

– zapytał Jersey.

Cherubin unosił się w powietrzu, podleciał bliżej nich i zatrzymał się tuż obok leżącego Franka. Ściągnął z jednej dłoni rękawiczkę i odsłonił zieloną skórę i długie palce. Jersey momentalnie przypomniał sobie wizję, której wcześniej doświadczał. Pamiętał, jak

znalazł się w ciele jednego z nich, jak w taki sam sposób zdjął rękawice, aby zbadać wodza oraz młodą Indiankę. Domyślał się, co za chwilę miało nastąpić.

Aniołek wyprostował jeden z palców i przyłożył go do czoła Franka. Wszyscy zebrali się wokół niego i go obserwowali. Piguła z nerwów cały sfoletowiał i zemdlal. Nie cierpiał żab, a właśnie z żabą mu się skojarzyła zielona ręka przybysza. Nikt nie zwrócił na to uwagi, gdyż byli zbyt pochłonięci poczynaniami aniolka.

Ice się poruszył i już miał złapać za jego rękę, kiedy Jersey go zatrzymał:

– Pozwól mu, on wie, co robi. To go nie będzie boleć.

Ice skinął głową.

Jersey obserwował bacznie każdy jego ruch. Wpatrywał się w sposób jego poruszania, który bardzo różnił się od tego jak funkcjonują ludzie. Wykonywał ruchy bardzo swobodnie i z niespotykaną gracją. Przypominało mu to taniec. Przypatrzył się również jego twarzy. Z daleka wyglądała sztucznie i statycznie. Kiedy zobaczył ją z bliska, wiedział już, dlaczego.

Był to helm. Biała maska ułożona na kształt głowy małego uśmiechniętego dzieciątka o kręconych loczkach.

– Tak, to jest helm. Musimy je nosić, żeby ludzie, których odwiedzamy, się nas nie bali. Nasza prawdziwa forma bardzo się różni od waszej i może przyprawiać o strach. A my nie chcemy się ze strachem kojarzyć – powiedział głos w jego głowie. Jersey przypomniał sobie, jak świetnie czytają oni w myślach.

Cherubin opuścił niżej głowę, a jego ciało przeszedł dreszcz, następnie odrzucił ją do tyłu i odciągnął swój zielony palec z czoła mężczyzny. Wokół ciała Franka pojawiła się pomarańczowa aura. Wstał i powiedział:

– Wasz tato został zestrzelony przez Grida podczas pierwszego testu. Ma poważny wstrząs mózgu. Zabezpieczyliśmy go. Jest szansa, że będziemy mogli go uratować. Ale nie teraz.

– Dlaczego nie teraz? Myślałem, że to właśnie podczas rozszerzenia czasoprzestrzeni możecie leczyć ludzi. Tak jak to było podczas tam-

tej wizji – odparł Jersey.

– Tak, to prawda. Jednakże twój tato jest na granicy życia i śmierci. Jedyny sposób, żeby mu pomóc, to wezwać Archaniola.

– Archaniola? – zapytał Sierżant. Cherubin wstał, przekreślił głowę na bok w podobny sposób, jak robią to miłuśkie psiaczki, i rzekł:

– Tak, Alfredzie Jenkins, nie przesłyszałeś się – Sierżant zrobił ogromnie zaskoczoną minę. Nie miał zielonego pojęcia, skąd on znalazł jego prawdziwe imię i nazwisko.

– Jesteśmy dokładnie tymi, jak nas nazywacie. Zostaliśmy opisani już dawno temu w waszych świętych księgach. My jesteśmy Cherubinami, są też Trony, Serafimy, Archaniolowie i wiele więcej. Z chęcią kiedyś ci o tym opowiemy, ale teraz musimy się bardzo spieszyć.

Cherubin odwrócił głowę raz jeszcze w kierunku dwóch po-smutniałych braci i powiedział bardzo spokojnie i przyjaźnie:

– Nie lękajcie się. Pomożemy waszemu ojcu, mimo że jest to zabronione. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby przywrócić mu życie. Bardzo nam dzisiaj pomogliście i zamierzamy się wam odwdziżyć.

– Ale jak my teraz wylecimy, skoro ten myśliwiec jest w takim stanie?

– zapytał zakłopotany Jersey.

– O to się nie martwcie. Mamy tylko nadzieję, że będziesz umiał tym pilotować. Musimy już ruszać – skończył mówić i lewitując, cofnął się do środka złotego światła. Zanim jednak poderwał się do góry, rzekł:

– Nie uznajemy przemocy i zawsze staramy się od niej stronić, ale nawet najbardziej pokojowo nastawione istoty we wszechświecie muszą czasami użyć siły do walki o większe dobro. Dlatego Alfredzie, Mev i Kev zróbcie, co w waszej mocy, żeby nasza misja się powiodła. Jerzy, nie będziesz musiał startować stąd, my was zabierzemy ze sobą. Statek Grida znajduje się już bardzo blisko bieguna północnego, stamtąd rozpoczniemy naszą misję. Niech Ojciec ma nas wszystkich w swojej opiece – zakończył i wleciał z powrotem do srebrzystego spodka.

Sierżant stał napięty i dumny jak paw. Czuł się wyróżniony i zobligowany do wypełnienia swojego obowiązku. Jeszcze nigdy nie rozmawiał z żadnym aniołem. Wziął sobie to do siebie bardziej, niż gdyby otrzymał rozkaz od samego prezydenta.

Obrócił się gwałtownie, kiedy zobaczył, że jeden z jego żołnierzy płacze.

– Kev, co się stało? Trzymaj fason. Stoimy przed aniołami! Zrób ze sobą porządek – warknął J.

– Wiem... Sierżancie... wiem... dlatego właśnie płacę... nasza babcia...

– Kev pozbieraj się natychmiast do kupy, inaczej każę ci aportować odbezpieczony granat – powiedział nerwowo przez zęby, w taki sposób, żeby nikt nie słyszał.

– Nie bądź dla niego taki surowy, Alfredzie. Jego babcia zawsze mu o nas opowiadała, lecz on nigdy nie chciał wierzyć. Bądź trochę bardziej tolerancyjny – piękny głos odezwał się niespodziewanie w jego głowie. Twarz Sierżanta zbliżyła się do koloru pomidora. Opuścił głowę w myślach, przepraszając. Mev podszedł do brata bliźniaka i przytulił go serdecznie.

– Weźcie swojego ojca i odsuńcie się na bezpieczną odległość – usłyszeli w myślach bracia Klikowscy. Nie zwlekając ani przez chwilę, zrobili to, co im kazali. Przesunęli się kilka metrów i stanęli na szczycie niewielkiego wzniesienia. Żołnierze wzięli nieprzytomnego Pigule za ręce i przenieśli w bezpieczną odległość.

Srebrny talerz zaczął się szybciej kręcić. Uniósł się na wysokość stu metrów, a spod jego spodu wystrzelił złoty promień. Objął nim cały wrak samolotu. Niewielkie kawałeczki metalu zaczęły unosić się do góry. Kolejne leciały tuż za nimi. Centymetr po centymetrze, metr po metrze, myśliwiec zaczął się rozwarstwiać. Z każdą sekundą działo się to coraz szybciej. Na ziemi pozostały już tylko koła i złamane skrzydło, kiedy reszta wirowała w górze. Jeszcze kilka sekund było potrzebnych, żeby po rozbitym myśliwcu nie było nawet śladu. Tysiące małych migających na złoto kwadracików wisiało nad

nimi. Kręciły się w koło, unosily do góry i opadały w dół. Zaczęły przybierać różne kształty, nie przestając się ruszać.

Kwadrat ustąpił miejsca trójkątowi, ten prostokątowi, żeby następnie zamienić się w koło. Okrąg podzielił się na pół i połączył w środku, zamieniając się w ósemkę. Wszystko to nagle zostało przyciągnięte do siebie i tak mocno zgniecione w sześcian, że rozmiarem nie przewyższało kostki Rubika. Kwadrat zaczął kręcić się bardzo szybko wokół własnej osi i im szybciej to robił, tym kolor zmieniał się na coraz jaśniejszy. Kiedy błysnęło z niego światło, rozprysł się na małe cząsteczki i rozproszył w powietrzu.

Malutkie drobinki zaczęły powoli i delikatnie opadać niczym złote płatki śniegu. Lądowały jedna po drugiej w odpowiednich miejscach, odbudowując strukturę myśliwca. Najpierw stanęły koła, później podwozie, kabina, skrzydła i dach, żeby na końcu zrobić miejsce dla ostatnich fragmentów, które nadały mu niebieskiej barwy.

– WOW, to się dopiero nazywa złoty deszcz – powiedział leżący wciąż na ziemi Pigula.

– Ale ty jesteś głupi, idź z powrotem mdleć! – BB pacnął go w głowę. Doskonale wiedział, do czego nawiązywał i co normalnie nazywał złotym deszczem.

– Proszę, wejdźcie do środka – zabrzmiał piękny głos.

– Ale to światło jeszcze nie zgasło, nie chcę być rozcząsteczkowany – powiedział niepewnie Ice.

– Nie martw się, my kontrolujemy wszystko. Zaufaj nam – odparł ni to męski, ni to damski głos.

– Co mamy zrobić z naszym tatą? Przecież go tutaj nie zostawimy – zapytał Jersey.

– Zostawcie go, nic już teraz nie zmieni jego stanu. Musimy wrócić w ciągu godziny od uwolnienia czasoprzestrzeni, w innym wypadku będzie już za późno. Otuliliśmy go naszą aurą, która podtrzyma go jakby we śnie. Teraz musimy się spieszyć.

Jersey skinął głową, klęknął przy ojcu i pocałował go w czoło. To samo uczynił jego brat.

BB ruszył na przód i jako pierwszy wszedł w blask złotego światła. Najpierw włożył do niego rękę, sprawdzając ciepło oraz czy jest bezpieczne. Mimo zapewnień aniołów, nie potrafił oszukać swojej natury i musiał po swojemu wszystko sprawdzić. Kiedy jego ciało otoczył złoty blask, poczuł się bardzo lekki i bezpieczny. Obrócił głowę i uśmiechnął się do reszty, potwierdzając, że nie mają się czego bać.

Po kolei wchodzili do wnętrza. Sierżant podszedł na przód samolotu i otworzył dach. Popatrzył do środka na setki światełek oraz przycisków i podniósł wysoko brwi. Kiedy Jersey już do niego dochodził, powiedział śmiało:

– Klikowski, mam nadzieję, że dasz sobie z tym radę, ja ci nie pomogę.

– Zrobię, co w mojej mocy, Sir. Nie zawiodę was. Dwa samoloty dzisiaj już straciłem, ale do trzech razy sztuka, prawda? – uśmiechnął się gumkowo i sztucznie. Był bardzo zdenerwowany. Wiedział, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na jego szesnastoletnich barkach. Obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby tylko pomóc tacie i uratować Maggie.

– Bracie, nie będzie dla mnie miejsca? – zapytał Ice na widok braku drugiego siedzenia pilota.

– No niestety, to nie jest samolot bojowy powietrze-powietrze, tylko szpiegowski. Nie ma tutaj miejsca dla drugiego pilota. Przykro mi, będziesz musiał zmieścić się... no właśnie, gdzie wy będziecie siedzieć? – zadał sam sobie pytanie. Obszedł samolot dookoła i stanął przy niewielkich drzwiach z boku.

– Nie będzie się wam to podobać – zrobił niewyraźną minę.

– Dlaczego? – zapytał Sierżant.

– Mi się już nie podoba – dodał BB.

Jersey odbezpieczył dwa uchwyty i uchylił niewielką klapę.

Patrzyli na skromny luk, który służył do przechowywania aparatury szpiegowskiej. Dużej wielkości kamer i aparatów. Mieli szczęście, gdyż był to prototyp, nie wyposażano jeszcze w cały sprzęt. Mimo tego, że był pusty, nie grzeszył wielkością.

- Będziecie musieli leżeć w środku – pokręcił głową Jersey.
- Nie wiem, czy wytrzymam tak długo, lecimy podobno pod biegun, starczy nam w ogóle paliwa? Nie chcę znów przeżywać tego, co ostatnim razem – odrzekł BB.

Jersey włożył głowę do środka, następnie rękę, po czym zanurkował tam całym ciałem. Zniknął w ciemności. Po chwili usłyszeli parę brzdęków, zgrzyt, a zaraz potem zobaczyli jak Jersey wypada z hukiem spod spodu samolotu.

- Będziecie musieli uważać, w podłodze wbudowana jest niewielka ruchoma klapa. Jest tam również dźwignia do jej otwierania, a!... – chwycił się za głowę.

– O cholera jasna, kto będzie leżeć przy tej zapadni? – zapytał zdeenerwowany Piguła.

– Na pewno nie ty! Jeszcze byś coś głupiego zrobił i wszyscy byśmy spadli – rzucił Ice. Zanim jednak zdążył mu odpyskować, Sierżant zabrał głos.

– Ja tam będę leżeć, spokojna głowa.

– Nie martwcie się, będziecie szepieni z nami, lot będzie bardzo krótki. Siadajcie szybko, nie mamy już czasu – wtrącił piękny głos.

– Słyszeliście cherubinka! Raz dwa! Raz dwa! – krzyknął Sierżant i odwracając się do Jersey, dodał: – Spraw, żeby tatko był z ciebie dumny – po czym zsalutował.

– Tak jest, Sir! – odparł i odsalutował komandosowi.

Żołnierze, BB, Piguła oraz Ice ledwo zmieścili się w niewielkim luku, po czym zamknęli za sobą mocno pokrywę. Jersey siedział już w kokpicie, zapiął pasy i zaczął studiować całą elektronikę. Większość przycisków była dla niego całkowicie obca, jednakże niektóre opatrzone były standardowymi oznaczeniami. Bał się tego lotu, ale nie miał wyjścia, nie mógł się już wycofać. Wiedział, że to od niego teraz będzie zależeć powodzenie tej misji.

Popatrzył przed siebie i z wrażenia znieruchomiał. Nie wiedząc kiedy, już unosił się w powietrzu. Kiedy zerknął do góry, dostrzegł z bliska spód metalicznego spodka. Leciał przyczepiony do niego.

## Rozdział 16

### Abordaż

Przesuwające się niżej chmury i morze zamieniły się w pędzące bialo-niebieskie pasy. Prędkość, z jaką się przemieszczali, była tak niewiarygodna, że Jersey nie mógł nawet w przybliżeniu oszacować jej wartości. Mknęli przed siebie niemożliwie szybko, a jednak wydawało mu się, że stoją ciągle w miejscu. Zdawało mu się, że samolot, w którym siedział, nie podlegał żadnym prawom fizyki. Zupełnie jakby otoczony był niewidzialnym polem, które chroniło go od przeciążeń, tarć oraz nacisków. Towarzyszyła im całkowita cisza. Tak głucha, że w pewnym momencie pomyślał, że to on sam przygłuchł. Głośne pociągnięcie nosem jednak potwierdziło, że z jego zmysłami było wszystko w porządku, a on sam słyszy i reaguje doskonale.

Spodek z przywieszonym pod jego spodem samolotem szpiegowskim po kilku minutach błyskawicznego lotu zatrzymał się w miejscu. Nie hamował, nie zwalniał, po prostu się zatrzymał. Jersey po raz kolejny niczego nie poczuł. Było to dla niego tak irracjonalne, jakby patrząc przez szybę, zamiast rzeczywistości, oglądał wyświetlany film.

Zawisnęli bardzo wysoko nad oceanem, w miejscu, gdzie błękit nieba zlewał się z bezkresną wodą.

Grupa ściśniętych facetów ledwo wytrzymywała w całkowicie odciętym od światła, niewielkim luku. Znajdowali się tam niespełna kilka minut i nie mając pojęcia o tym, co się z nimi działo, nie mogli doczekać się odlotu.

- Kiedy w końcu ruszymy tym złodem? – narzekał Piguła.
- Siedź spokojnie, pączku, bo się roztopisz, zaraz na pewno wystartujemy – odpowiedział mu Sierżant.
- Jak ja jestem pączkiem, to ty przeterminowanym waflem, starcze –



odszczeknął mu grubasek

– Już ci mówiłem żebyś nie mówił do mnie „starcze”! – Sierżant ruszył się gwałtownie, próbując na oślep złapać tłuszciocha.

– Sir, proszę się uspokoić, proszę nie zapominać, że ta podłoga może się otworzyć – powiedział jeden z jego komandosów.

– Masz rację, nie dam się prowokować niewychowanemu świniopasowi – zakończył zdanie z wyraźnym sarkastycznym akcentem.

– Że co!? – Piguła podskoczył do góry i lupnął mocno głową o wiszący tuż nad nim sufit.

– A widzisz! Bozia cię pokarała za to, jak się odnosisz do starszych – podśmiechiwał się Sierżant.

– Możecie się uspokoić, do jasnej cholery? Nie muszę wam chyba przypominać, w jakiej jesteśmy poważnej sytuacji? Powinniśmy się skupić i czekać na start – odezwał się BB. Daleko mu było do żartów. Wszystkie swoje myśli kierował ku Maggie. Martwił się o nią z całego serca.

– Coś taki poważny, panie Angliku? Myślałem, że Brytyjczycy lubią czarny humor – zapytał spokojnie komandos.

– Oczywiście, że tak, ale kiedy należy zrobić coś ważnego, to skupiamy się na tym, a żarciki odsuwamy na bok – BB odpowiedział surowym tonem.

– Macie rację. Sierżancie, przepraszam. Mam coś dla pana w ramach przeprosin – odezwał się niespodziewanie Piguła.

– Słucham? – zapytał niedowierzając. Nie mógł uwierzyć, że mały wredny grubasek go w końcu przeprosił.

– Proszę to przyjąć, trzymam to w dłoni.

– I tak nic nie widzę, dasz mi to później. Przeprosiny przyjęte.

– Nie no, naprawdę, Sierżancie. Proszę – nalegał tłuszcioch.

– Dobra, gdzie jest ta twoja ręka? – szukał po omacku.

– Tutaj, przy twojej twarzy hihi – zaśmiał się w ciemności niczym mroczny skrzat.

– Przy mojej... o fuj!!! – wykrzywił się komandos.

– Wąchaj bąko-granata, starcze! I kto teraz śmierdzi jak świniopas? Haha.

– Piguła, ty kretynie! Po co to zrobiłeś? Widzisz jak tutaj jest ciasno. Zaraz się podusimy – wrzasnął BB.

– Co on zrobił? Ale śmierdzi! – zapytał jeden z żołnierzy bliźniaków.

– To jego stara durna sztuczka. Puszczą bąka do otwartej dłoni, po czym ją szybko zamyka. Dopiero, kiedy ją przyłoży komuś pod nos i otworzy, uwalnia z niej gazy. To jest obrzydliwe. Przepraszam za niego – tłumaczył się BB.

Sierżant dmuchał mocno, starając się odgonić zatrute powietrze. Kręcił się przy tym na wszystkie boki.

– Sierżancie, proszę, pod nami naprawdę jest ta kłapa, jak się otworzy, to...

– Kłapa! Racja! Otwórzcie ją natychmiast póki jeszcze nie wystartowaliśmy, musimy to wywietrzyć, przecież zanim dolecimy, to wszyscy się podusimy – krzyczał i odkaszczał komandos.

– Widzisz, co narobiłeś durniu? – BB pacnął Pigułę w głowę.

– Sam się prosił. Wyzywał mnie od najgorszych – odbąknął grubasek.

– Gdzie jest ta blokada, zaraz to sam otworzę. O, znalazłem! Kto tutaj jest? – zapytał dotykając czyjąś nogę.

– To ja, Sir – odpowiedział Ice.

– Czy mógłbyś się troszkę przesunąć na bok, leżysz nogą na zapadni, nie chciałbym, żebyś spadł na beton tak jak twój brat, kiedy to otworzę.

– Dobrze, Sir – odpowiedział spokojnie Ice, po czym przesunął się kawalek na bok.

– To musi być to – Sierżant chwycił niewielką dźwignię i pociągnął ją do siebie. Drzwiczki otworzyły się do zewnątrz i uderzyły o spód samolotu.

Światło wpadło do środka, momentalnie ich oślepiając.

– Co tu tak jasno? – zmrużył oczy.

– Sierżaaaaancie! – Ice zawył, kiedy zorientował się, że wiszą bardzo wysoko nad oceanem.

– Jasna cholera! Kiedy my w ogóle wystartowaliśmy?! – krzyczał Piguła.

– Zamknij się! To wszystko przez ciebie! – odezwał się BB.  
– Sierżancie, niech pan to szybko zamyka, bo zaraz wypadnę! – wołał błagająco Ice. Odsunął się jeszcze dalej od otwartego wjazdu i przykleił mocno do leżącego obok komandos.  
– Matko z córką! Jak...jak...jak to się sta...stało! – Sierżant wybałuszył oczy, jękając się. Leżał po drugiej stronie otwartej klapy. Wychylił lekko głowę, chcąc zobaczyć, co jest pod nimi. Wisieli bardzo wysoko w powietrzu. Zdziwił się bardzo, kiedy zrozumiał, że nie są wcale w ruchu, a jedynie lewitują. Gdyby lecieli, mogło to być całkiem inaczej dla nich skończyć. Komandos chwycił za niewielką dźwignię i wsunął ją z powrotem na swoje miejsce. Drzwiczki się przymknęły, a mrok znów wypełnił całe to malutkie pomieszczenie.  
– Zrób coś takiego jeszcze raz, a przysięgam, że cię stąd wywalę, tłuściochu – oznajmił bardzo poważnie Sierżant. Powiedział to takim tonem, że nikt nie odważył się niczego mu odpowiedzieć.

Jersey rozglądał się wokół siebie i w pewnym momencie zatrzymał na czymś wzrok. Bardzo daleko na horyzoncie wypatrzył niewielki czarny punkcik. Przymrużył oczy i w skupieniu starał się doszukać w nim jakiegoś kształtu.

– To oni – odezwał się głos w jego głowie, a on sam nerwowo się wzdrygnął, nie spodziewając się usłyszeć niczego.  
– Przestraszyłem się – zarumienił się ze wstydu.  
– Zaraz rozpoczniemy. Czekamy tylko na naszych przyjaciół – dodał anielski głos.  
– Jakich przyjaciół? Miałem już wcześniej o to zapytać.  
– Bądź cierpliwy, zaraz sam zobaczysz.  
– Boję się, że nie będę umiał pilotować tego samolotu, to jest naprawdę zbyt trudne dla mnie – powiedział cicho.  
– Nie lękaj się, zamknij oczy i zaufaj nam.  
Barwa głosu, który słyszał w swojej głowie, była tak przyjemna, piękna i relaksująca, że działała wręcz hipnotyzująco. Jersey zmrużył powieki, a z jego ciała opadło napięcie, pozwalając mu się całkowicie odprężyć.

– Przekażemy ci teraz wszystko, co wiemy o tej maszynie. Wszystko, czego się o niej dowiedzieliśmy.

– Myślałem, że nie wiedzieliście nic. Tak wcześniej zrozumiałem – odrzekł Jersey.

– Nie wiedzieliśmy nic, ponieważ nie mieliśmy bliskiego z nią kontaktu. Po kilku minutach wiemy już bardzo wiele i całą tę wiedzę przekazemy tobie.

– Jak? – zapytał niepewnie.

– W taki sam sposób, w jaki nauczyłeś się latać czarnymi trójkątami.

– To wy wtedy...? – przypomniał sobie moment, kiedy po dotknięciu małego panelu w czarnym trójkącie w ciągu krótkiej chwili pozyskał informacje nadające mu możliwość jego pilotażu.

– Tak, wtedy również przekazaliśmy ci naszą wiedzę.

– Myślałem, że to stało się samoczynnie... Dziękuję... Uratowaliście nas ... – nie zdążył dokończyć zdania, kiedy anielski głos przerwał mu bardzo subtelnie.

– Nie mamy na to czasu. Przyjmij to od nas – zaszumiał ciepły głos. Jersey wyprostował momentalnie ręce przed sobą, a jego ciało wpadło w gwałtowne ruchy, niekontrolowane palpacje. Oczy zaszły mu bielą, kiedy gałki odwróciły się do góry, usta rozwarły się szeroko i po raz kolejny tego dnia krew spłynęła mu z pod nosa.

Głęboko w swojej głowie zobaczył serie unoszących się liczb oraz matematycznych wzorów. Schematy, rysunki i części samolotu wirowały w jego wyobraźni. W ciągu kilku sekund jego mózg przyjął ilość informacji, jaką musiałby przyswajać przez kilkanaście miesięcy. Jego ciało wróciło do normy, a napięte mięśnie się rozluźniły. Nie był taki silny jak wtedy, kiedy pobierał wiedzę na temat czarnego trójkąta. Minęło już kilka dobrych godzin i wytrzymałość znacznie spadła. Uderzył głową o pulpit konsoli nawigacyjnej.

– Jerzy, otwórz oczy, jeszcze masz w sobie sporo energii – zanucił ciepło piękny głos.

– Nie mogę... To dla mnie zbyt wiele... – wymamrotał z trudnością.

– Pomyśl o swoim tacie, bracie i wszystkich przyjaciółach. Jesteś bardzo silnym człowiekiem.

Jersey odepchnął się od pulpitu trzęsącymi rękami. Oparł się o fotel i wytarł krew z nad ust:

– Jaki mamy plan? – powiedział poważnie i wciskając serię przycisków, odpalił silnik samolotu. Był na skraju wyczerpania. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek był tak wycieńczony. Nawet wtedy, kiedy z Ice’em za karę musieli biegać wokół boiska przez 8 godzin – to było nic w porównaniu do tego, co teraz czuł. Jego serce jednak było zbyt mocne, żeby po prostu odpuścić.

– Wiem już jak pilotować ten samolot, ale cokolwiek mi zrobiliście, odebrało mi to mnóstwo sił – powiedział cicho Jersey.

– Jesteśmy tego świadomi, twój mózg przyswoił tę wiedzę w bardzo krótkim czasie. Jesteś teraz słaby, ale z każdą minutą będziesz odzyskiwał siły.

– Czyli będę mógł zostać pilotem takiej maszyny, jak już wszystko się skończy, prawda?

– Niestety nie. Wiedza, którą dzisiaj otrzymałeś, była zbyt obszerna. Jutro nie będziesz już niczego pamiętał – odpowiedział anioł.

– Jak to?

– Pamięć nie jest przechowywana w mózgu, jak błędnie twierdzą wasi uczeni. Minie jeszcze wiele lat zanim zrozumiecie, jak funkcjonuje pamięć. Jest ona wokół ciebie. Magazynowana jako otaczająca cię aura. Mózg służy jedynie jako aparat do odzyskiwania potrzebnych informacji. Tych informacji masz teraz za wiele i wypłyną z ciebie jak woda z pełnego naczynia.

– To dlatego wtedy w czarnym trójkącie wydawało mi się, że znam te znaki i kształty geometryczne. Ale jak? Kiedy mogłem je poznać i nie pamiętać?

– Nie czas na odpowiedzi, teraz musimy ruszać. Oni już tutaj są – oznajmił miękki głos.

Jersey ledwo przekręcił głowę w bok i od razu zobaczył, jak tuż obok nich podlatują i zatrzymują się dziesiątki niedawno poznanych istot. Białe, półprzeźroczyste, kilkusetmetrowe organizmy podlegały blisko nich.

Zawisły po obu ich stronach.

– Ja je widziałem ... – powiedział cicho pod nosem.

– Tak, to nasi starzy przyjaciele, którzy kiedyś tak jak my dzisiaj opiekowali się waszym gatunkiem. Nie poznajesz ich? Przecież wiesz, kim oni są – zapytał anioł.

– Nie wiem... Zastanawiałem się nad tym, ale nie wiem.

– To są smoki – zanucił melodyjnie Cherubin.

Jersey, słysząc to, momentalnie przypomniał sobie słowa Andy, kiedy porównała jednego z nich do latającego węża. Miała więcej racji, niż mógł wtedy przypuszczać.

– To jest najbardziej niebezpieczny i niesamowity dzień w moim życiu – rzekł pod nosem.

Potężny bielutki smok podleciał blisko nich. Był ogromny, dwa razy większy od tego, którego wcześniej obserwowali. Jego masywna głowa zawisła jedynie kilka metrów od kabiny. Tułów miał idealnie wyprostowany. Wystające z jego boków setki małych nóżek wolno kołysały się na boki, prawdopodobnie ułatwiając mu zawieszenie w powietrzu. Grube podłużne wąsy poruszały się asymetrycznie we wszystkie strony. Jeden z nich wycelował nagle w twarz Jersey'a i na moment się zatrzymał. Chłopak odchylił się do tyłu, nie będąc pewnym jego zamiarów.

– Nie lękaj się, to są wspaniałe istoty. Assaj tylko patrzy na ciebie.

– Jak to patrzy? Nie widzę u niego żadnych oczu, tylko wąsy – odparł zaintrygowany.

– Wystaw rękę do przodu i popatrz na nią z bliska – Jersey zawahał się przez moment, ale zaraz tak zrobił. Włosy na jego przedramieniu kładły się i stawały na zmianę.

– Widzisz, on poprzez wysyłanie fal buduje sobie obraz we własnej wyobraźni. Wysokość, na której one żyją, nie pozwala im na posiadanie gałek ocznych. Słońce jest dla nich zbyt mocne.

Potężny biały smok otworzył nagle bezzębną paszczę i wydał z siebie cichy, jakby odległy ryk. Był ledwo słyszalny, ale fala dźwiękowa, którą wyemitował, przeszła cały statek, wprawiając go

w intensywne drgania.

– Assaj przywital się z wami.

Jersey nie wiedział, co zrobić, więc po prostu uklonił się tak nisko, jak tylko mógł. Głowa smoka podniosła się w górę, a jego wąsy zawirowały. Obrócił się i odleciał dalej, ustawiając się na czele swoich braci.

– Ruszamy. Powodzenia.

– Co? Zaraz, moment, nie wiem, co mam robić! Jaki mamy dokładny plan?

– My odwrócimy ich uwagę, a ty musisz wlecieć do środka – odpowiedział Cherubin. Kiedy osiągniemy odpowiednią prędkość i odległość, odczepimy wasz samolot.

– Ale gdzie ja mam wlecieć? – zapytał przejęty chłopak.

– My zaatakujemy od frontu, przez co skupimy na sobie całą ich uwagę. Będziesz miał trochę czasu, żeby poszukać odpowiedniego miejsca i tam wylądować. Pamiętaj jednak, że nie będzie trvalo to długo. Musisz się skupić i błyskawicznie działać. Pamiętaj, że wszyscy w ciebie wierzą, my również. Musisz się tam dostać, to jest bardzo ważne.

Liczna grupa przeźroczystych smoków rozpoczęła swój lot w kierunku czarnego punktu na horyzoncie. Wystartowały w tym samym momencie, a ich wiosło-podobne kończyny niosły ich przed siebie. Srebrzysty talerz również ruszył do przodu. Szybko przyspieszył i zrównał się z ich przywódcą.

Jersey już palił się do akcji, lecz mimo włączonego silnika i gotowości do lotu, nadal musiał biernie czekać. Zmęczenie, które jeszcze chwilę wcześniej odczuwał, ulotniło się, robiąc miejsce istnej ekscytacji. Zmierzał prosto w wir bitwy, która zaraz miała się rozegrać przed jego oczami. Pomyślał na moment o swoim tacie. To przecież on dopiero co pilotował tę samą maszynę. Jersey był z siebie zadowolony i wiedział, że na pewno go nie zawiedzie, ani jego, ani Maggie. Był gotowy do walki.

Czarny punkt na horyzoncie z każdą sekundą stawał się coraz większy i nabierał konkretnych kształtów. Jego wielkość już z da-

leka robiła ogromne wrażenie. Jersey zdziwił się, kiedy gigantyczny kwadrat, który widział wcześniej, okazał się być tak naprawdę tylko podstawą czarnej latającej piramidy. Mogli go obserwować od spodu, nie mając tak naprawdę pojęcia o tym, co było nad nim. Nie spodziewał się tego wcale, więc widok latającej budowli zrobił na nim szokujące wrażenie.

– Powodzenia! – zabrzmiał aksamitny głos Cherubina i zaraz po tym jego samolot odłączył się od spodka, zostając z tyłu.

Jersey instynktownie pociągnął dźwignie, wcisnął kilka guzików, chwycił za joystick i wypoziomował lot. Obserwował jeszcze przez moment, jak rząd majestatycznych białych smoków pozostawia go w tyle wraz z prowadzącym ich spodkiem. Popatrzył w górę na podwieszoną na suficie konsolę kontrolną i poprzestawiał kilka przełączników i pokręteł.

– I stajemy się niewidzialni – powiedział pod nosem, uruchamiając system maskujący dla radarów. Wystarczyło kilka sekund i już wiedział o samolocie wszystko. Pomyślał również o tym, jak inaczej wyglądałby świat, gdyby wszyscy mieli dostęp do tak szybko przyswajalnej wiedzy. Dzieci już w wieku kilku lat mogłyby posiadać informacje, do zrozumienia których normalnie potrzeba było całych lat. Zamiast tracić czas w szkołach, każdy mógłby od razu robić, co by chciał.

Co za fantastyczna wizja przyszłości – pomyślał, lecz zaraz potem zrozumiał, że taki sposób edukacji mógłby również zostać użyty do innych, mroczniejszych celów. W końcu każdy mógłby wtedy zdobywać nieograniczoną wiedzę, czy uczyć się obsługiwać maszyny, które mogłyby zostać wykorzystane w złych celach, tak jak na przykład samolot, który teraz pilotował. Musiał przestać o tym myśleć i skupić się na priorytetach.

Chwycił joystick i pociągnął go do siebie. Samolot wzbijał się niestromym kątem w górę. Jersey chciał być troszkę wyżej, żeby z większą łatwością obserwować lot Cherubinów oraz smoków. Trzymał dystans, starając się nie tylko być niewidzialny dla elektroniki czy



radarów, ale również wzrokowo. Wiedział przecież, że musi gdzieś się schować, żeby Szaraki go nie wypatrzyły.

Unosił się coraz wyżej, przyspieszając jednocześnie. Po jego lewej stronie kilkaset metrów niżej jego sprzymierzeńcy przygotowali się do szturm. Potężne istoty podzieliły się na trzy grupy. Każda liczyła około dwadzieścia smoków. Sunęły w trzech rzędach, prowadzone przez Assaja, ich przywódcę, oraz srebrzysty trzydziestometrowy spodek.

Piramida rosła coraz bardziej z każdą sekundą. Nie mogli znajdować się dalej niż pięć kilometrów, gdyż jej rozmiar już teraz niesamowicie imponował. Była potężna. Tak ogromna, że Jersey poczuł się przy niej jak komar przy Boeingu 747. To znaczy bardzo skromnie. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej się jej obawiał. Nie tylko przerażał go jej rozmiar, ale przede wszystkim kolor. Czerń, jaką była pokryta, nie była podobna do żadnego znanego mu odcienia. Była tak głęboko ciemna, że najczarniejsza noc wypadła przy niej blade. Przypomniało mu się, jak na jednej z lekcji fizyki profesor opowiadał o kolorach i powiedział, że czerń nie jest kolorem, ale jego brakiem. Teraz rozumiał, o co mu chodziło. Kilkukilometrowa trójkątna figura geometryczna straszyla w powietrzu niczym pusta otchłań wypełniona nicością. Mogło to być wynikiem absencji refleksów czy jakichkolwiek odbić światła czy cieni. Materiał, z którego była stworzona, nie wyglądał jak z tej planety – nie lśnił, kiedy jego bok oświetlało słońce. Wydawał się wszystko pochłaniać.

Setki małych czarnych trójkątów wyleciały z jej spodu. Rozproszyły się, rezygnując z przyjęcia jakiegoś konkretnego szyku. Kierowały się prosto na pędzące na nich białe istoty. Rozmiarowo prezentowały się przy nich śmiesznie. Lecz ilościowo zdecydowanie ich przewyższały. Kiedy odległość zmalała do kilkuset metrów, wszystkie trójkąty wystrzeliły przed siebie śmiertelne rakiety. Wydarły się błyskawicznie na przód i w liczbie kilkuset pędziły na spotkanie ze smokami. Ich biały, zadymiony tor odkreślał się wyraźnym kontrastem na tle ciemnobłękitnego oceanu.

Jersey wstrzymał na moment oddech, bał się. Nie chciał, żeby stała im się krzywda. Pociski przecinały przestrzeń powietrzną, odważnie pędząc ku swoim celom, kiedy smoki wraz ze spodkiem zatrzymały się w miejscu. Jersey przysunął się bliżej do szyby tak, że uderzył się mocno w czoło. Chciał wszystko widzieć. Nie mógł stracić takiej szansy. Wiedział, że i tak z nikim nie będzie mógł się tym w przyszłości podzielić, bo kto mu uwierzy, że widział, jak smoki i anioły walczyły na niebie z czarnymi trójkątami pilotowanymi przez szarych anorektycznych kosmicznych koszykarzy.

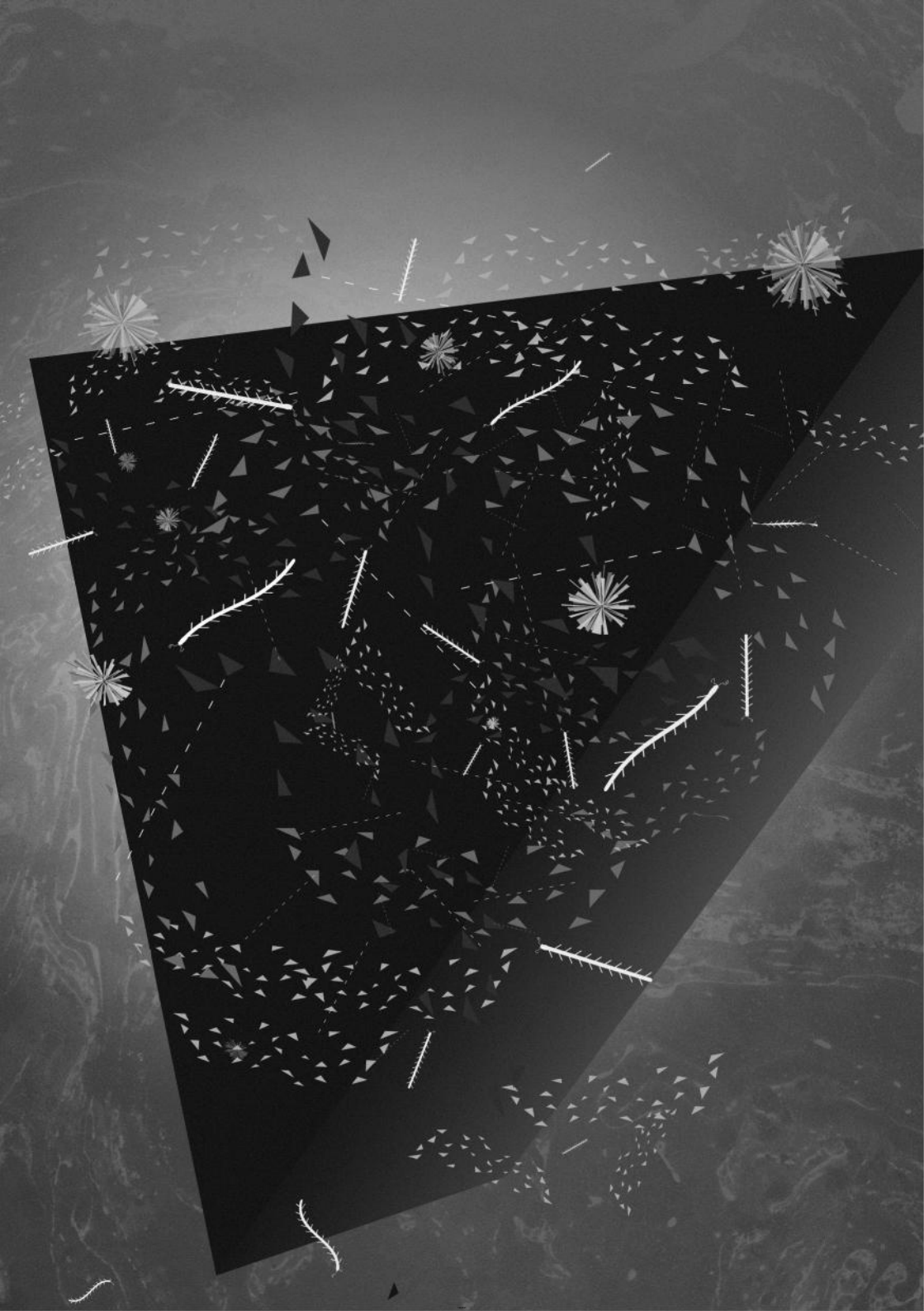
Pierwszy rząd smoków zgiął się w harmonijki i błyskawicznie wyprostował. Na pierwszy rzut oka nic się nie stało. Dopiero dwie sekundy później coś tak przeszło mu przez uszy, że od razu złapał się za głowę. Dźwięk był ledwo słyszalny, ale ugodził go w bębenki solidnie. Tak, jakby ktoś wbił mu w głowę igły. Piguła, Ice i przyjaciele również musieli to usłyszeć, gdy głuchy poddźwięk ich krzyków z trudem dotarł nawet do kabiny pilota.

Ultradźwięk musiał uderzyć prosto w lecące rakiety, gdyż wszystkie jednocześnie wybuchły. Drugi i trzeci rząd smoków również przyjął kształt harmonijki, lecz zamiast powieścić wcześniejszy ruch, wystrzeliły przed siebie tak, że Jersey ledwo nadążył za nimi wzrokiem. Wleciały prosto w rój lecących trójkątów. Szarżowały we wszystkie strony, strącając nieprzyjaciół niczym bezbronne muchy. Część czarnych samolotów spadała w dół, część wybuchiała, a jeszcze inne robiły uniki i uciekały na boki.

– Tak jest! Dawaj ich! – krzyknął podekscytowany Jersey, widząc, jak spodek z włączonym pod jego spodem złotym światłem ciał na kawałki kilka trójkątnych maszyn.

– Maggie, lecę po ciebie – powiedział jeszcze pod nosem. Odwrócił głowę i skupił się na swojej misji. Był już tuż nad mroczną piramidą. Po raz kolejny poprzyciskał coś na konsoli i pozmieniał parametry ustawień samolotu. Zwolnił, a dźwięk silnika przycichł. Rozpoczął pierwsze okrążenie nad tajemniczą twierdzą Grida.

Wyostrzył wzrok, ale oprócz głębokiej czerni oraz częstych świetlistych wybuchów pod nią, nie widział niczego więcej. Szukał,



wyglądał i wypatrywał anomalii, miejsca lub elementu, który odbiegałby od normy. Nie było tam niczego. Zadowolony był jedynie z faktu, że myśliwiec i jego technologia naprawdę działały. Latał tuż nad bazą nieprzyjaciela, a on zupełnie go nie zauważał. A może po prostu całkowicie go ignorował, nie traktując go jako zagrożenie?

Po trzecim okrążeniu nadal niczego nie wypatrywał, postanowił zatem zaryzykować i obniżyć pułap. Zleciał troszkę niżej. Zacięta podniebna bitwa zamieniła się w całkowity chaos. Czarne maszyny robiły wszystko, żeby obronić się przed szturmującymi smokami. Ostrzeliwały ich z każdej broni, jaką posiadały na pokładzie. Serie świecących pocisków kierowały się we wszystkie strony. Niektóre docierały do celu i rozbijając się o białe ciała podłużnych istot, wybuchały, raniąc je śmiertelnie. Inne pociski niczym zbląkane kule uderzały w inne statki, czy też wylatywały daleko poza pole bitwy.

Smoki walczyły dzielnie, niszcząc dziesiątki pojazdów nieprzyjaciela, a mimo to same ponosiły coraz większe straty. Jeden z nich swoim własnym ogonem osłonił przyjaciela, płacąc za to ostateczną cenę. Wybuch rozszarpał mu ogon na kawałki i ściągnął jego ciało w dół. Tracąc przytomność, spadał swobodnie, aż uderzył mocno o taflę zatrzymanego oceanu.

Jego ciało spoczęło obok setek innych zniszczonych trójkątnych maszyn i poległych smoczycich braci.

Jersey odwrócił wzrok. Łzy napłynęły mu do oczu. Wszystko, na co patrzył, nie tylko sprawiało, że czuł się coraz smutniejszy, ale coraz bardziej wściekły i żądny odpowiedzi. Chciał stanąć przed bladą twarzą tajemniczego Grida i zmusić go do wyjaśnień. To jest wszystko, do czego teraz dążył.

Mimo zmniejszonego pułapu, niczego nie znalazł. Wiedział już, że istnieje tylko jedno wejście do środka. To samo, którego wcześniej użyli z BB. Miał nadzieję, że jednak uda mu się odnaleźć drugi, awaryjny wlot. Złożył błędnie. Piramida, mimo ponurego wyglądu grobowca, była zapieczętowana i zabezpieczona niczym latająca twierdza lub schron.

– Słyszycie mnie? Proszę, potrzebuje teraz waszej pomocy – powiedział głośno Jersey. Staral się skontaktować z aniołami, mając nadzieje, że ich połączenie telepatycznie będzie nadal funkcjonowało. – Nie wiem, co robić. Musicie mi pomóc! – krzyknął, lecz nic mu to nie pomogło. Cherubini nie odpowiedzieli. Bitwa trwała nadal. Liczba czarnych samolotów znacząco malała. Smoki wydawały się przechylać szalę zwycięstwa wystarczająco ku ich stronie, na tyle, że wizja wygranej pojawiła się już w zasięgu ręki. Największy z nich, Assaj, wybił się w górę i odłączył od swych towarzyszy. Wykonał pętlę i nawracając, tak przyspieszył, że pojawił się za nim stożkowaty obłok. Skroplona para wodna utrzymała się przez chwilę i rozproszyła, gdy smok przekroczył barierę dźwięku. Ogromny huk towarzyszył uzyskaniu prędkości wyższej niż jednego Macha. Kilkusetmetrowy potężny osobnik, niczym rozpędzony wściekły pociąg, leciał prosto w górną część piramidy. Nadstawił swoje czoło, miejsce nacechowane grubym walkiem, i otwierając swoją paszczę, ryknął złowieszczo. Trafił tak mocno, że fala uderzeniowa przeszła przez całe jego ciało, zamieniając je w poskładaną harmonijkę. Budowa jego tułowia zamortyzowała moment kontaktu, uwalniając energię kinetyczną poprzez jego ogon. Po czarnej powierzchni piramidy rozszedł się widoczny z daleka okrąg wyladowanej mocy. Uderzenie było tak wielkie, że gdyby celem była lita ziemia, zostawiłoby w niej krater o średnicy kilkuset metrów. Piramida jednak nawet nie była drażnięta.

Assaj, widząc, że jego działanie nie przyniosło żadnego rezultatu, ryknął dla odmiany bardzo głośno, oderwał się od czarnej powierzchni i wleciał z impetem w pole bitwy, roztrzaskując kilka jednostek wroga. Siła tego stworzenia była przerażająca, jednak w żaden sposób nie zagroziła bazie Grida.

Jersey wiedział, że nie może czekać na odpowiedź Cherubimów i że musi polegać tylko na sobie. Zaciśnął dłoń na joysticku i przechylił go śmiało do przodu. Samolot zaczął nurkować w kierunku zatrzymanego oceanu. Wypoziomował dopiero, kiedy znalazł się już w niebezpiecznie bliskiej odległości. Wybrał taki manewr, ponie-

waż nie tylko nie chciał ryzykować, że zostanie dojrzany przez wroga, ale musiał również od dołu zobaczyć raz jeszcze wielkość jedynego wlotu do środka.

Na samym środku gigantycznej kwadratowej podstawy piramidy jaśniały drzwi wejściowe. Podświetlony na biało wlot wypuszczał co jakiś czas nowe jednostki wroga. Jersey zastanawiał się, jakim sposobem Szaraki są tak liczni. Przecież to dopiero kilka lat temu Grid się zbuntował i schował przed całym wszechświatem. Jakim cudem udało mu się stworzyć tak mnogą armię oraz wybudować taką fortecę?

Sunął sto metrów nad wodą i myślał, co powinien zrobić. Czuł się na tyle odważny, że bez problemu mógłby spróbować wybrać się w górę i wlecieć do środka. Problemem było jednak to, co mógłby zastać wewnątrz. Wlatując, również mógłby zostać rozpoznany, zauważony i zestrzelony. Decyzja, którą musiał podjąć, była najpoważniejszą w jego życiu. Wiedział, że jeśli się pomyli, to będzie oznaczało nie tylko koniec jego samego, ale również wszystkich pasażerów, Maggie, Andy, jego ojca i wielu innych ludzi. Może nawet całego świata. Pot lał się z niego ciurkiem. Oddech miał płytki i przyspieszony. Tak bardzo potrzebował teraz pomocy.

Coś bardzo mocno zajaśniało w skupisku walczących maszyn i istot.

Teraz Jersey już wiedział, dlaczego nie mógł nawiązać kontaktu z Cherubinami. Zdawali się być w solidnych tarapatach. Srebrzysty spodek wykonywał ciąg trudnych i brawurowych uników przed goniącymi go kilkoma myśliwcami wroga. Nie mógł policzyć, ilu siedziało mu na ogonie, wszystko działo się zbyt szybko. Pocisk za pociskiem przelatywał tuż obok anielskiego statku. Udało mu się oszukać rakiety bez większych problemów. Jednak nie wszystko było dobrze. Niewielka porcja metalicznego poszycia była mocno naderwana. Żółty dym wylatywał spod niej.

Musieli wcześniej oberwać.

Jersey bardzo się przejął. Nie chciał, żeby ucierpieł. Nie zastanawiając się ani momentu dłużej, zmienił tor swojego lotu i skie-

rował maszynę prosto w kierunku Cherubinów. Wiedział, że nie powinien tego robić i że dostał całkiem inne rozkazy, ale czuł, że musi im pomóc. Wybił się ostro w górę i leciał prosto w stronę ścigających czarnych trójkątów. Po raz kolejny jego porywczosć wzięła górę nad rozsądkiem i po chwili przypomniał sobie, że jego samolot nie był wcale uzbrojony. Maszyna miała przeznaczenie wyłącznie szpiegowskie. Lecz na to było już za późno.

Trzy czarne statki odłączyły się od grupy pościgowej i ruszyły prosto na Jersey. W pierwszej chwili spanikował i nie wiedział, jaką strategię powinien obrać. Był całkowicie bezbronny. F-117z nie był również typem standardowego myśliwca o dużej manewrowości, przez co ograniczał swoją sposobność do przeprowadzenia odpowiednich uników.

– No to narobiłem – powiedział do siebie i skręcił ostro w bok.

Myśliwiec zawrócił, narażając siedzących w nim pasażerów na okropne przeciążenia. Nie było to niczym przyjemnym, kiedy ciało musiało się poddawać naciskom niewidzialnych sił. Już wyobrażał sobie, jak przeklinają go wszyscy zamknięci w luku pod spodem.

Zawrócił i przyspieszył najszybciej, jak tylko mógł. Brakowało mu drugiego pilota. Nie wiedział, co dokładnie się za nim dzieje. Radar w tym momencie nie wystarczał, zbyt wiele działo się na niebie. Musiał zgadywać i tak jak spodek wcześniej, wykonywać ślepe uniki.

Ledwo zdążył przechylić skrzydła w prawo, a tuż po jego lewej przeleciała świszcząca rakietą. Miał wiele szczęścia. Wiedział, że w każdym momencie może się ono jednak szybko skończyć.

– Do góry! – usłyszał potężny głos w swojej głowie. Chwycił joystick i odbił pionowo w przestworza. Kątem oka obserwował, jak kolejna rakietą miją go o niecałe kilka metrów.

– Co mam robić? – zapytał nerwowo. Wiedział, że nie jest już sam.

– W prawo! – krzyknął anielski głos. Tak też zrobił. Sekunda dzieliła go od wybuchu. Miał już tego dość. Igrał ze śmiercią.

– Gdzie mam le... – nie zdołał dokończyć zdania. Tuż nad jego głową z naprzeciwka nadleciał srebrny talerz. Minęli się o dwa, może

trzy metry. Jersey aż schylił głowę z wrażenia. Sekundę później pojawiły się za nim dwa czarne trójkąty. Ich odległość nie była wcale większa.

– Wow! Co jest! – zawołał Jersey i obrócił głowę za siebie. Nie mógł jednak niczego zobaczyć, gdyż jego kabina była z tyłu całkowicie zabudowana. Poświata jasnego błysku, ogromny huk i turbulencje dosięgnęły go zaraz po tym.

– Dziękujemy za pomoc, dzięki tobie naprowadziliśmy ich na tor kolizyjny – powiedział anielski głos.

– Naprawdę!? Już ich nie ma? – zapytał Jersey.

– Nie mamy teraz czasu. Leć za nami. Pokażemy ci, jak wlecieć do środka.

– Dobrze.

Spodek znów pojawił się przed nim. Ciał przed siebie, zbliżając się blisko kwadratowej podstawy piramidy. Jersey robił wszystko, żeby nadążyć.

– Leć od prawej strony, będziesz lądował na płasko – usłyszał podpowiedź. Złapał się za głowę, nie rozumiejąc, o co im chodzi. W jaki sposób miałby lądować na płasko, kiedy nie ma tutaj nigdzie pasu startowego, a ściany piramidy są bardzo strome.

– Nie lękaj się. Uwierz nam. Leć – powtórzył głos o pięknej barwie.

– OK, do tej pory wszystko, co mówiliście, miało sens, więc i tym razem wam zaufam – powiedział cicho do siebie.

Odbił samolotem w bok i kiedy osiągnął wysokość spodka, zrobił nawrót i ustawił się dziobem do czarnej piramidy. Srebrzysty dysk wisiał w miejscu, mniej więcej na wysokości dwustu metrów od podstawy. Lewitował w bezruchu.

– Gdzie mam lecieć? Mam lądować na ścianie? – zapytał niepewnie z wyraźnym przerażeniem w głosie.

– Dokładnie tak. Leć prosto na nas. A mianowicie w miejsce, które oświetlimy.

Spodek uaktywnił to samo złote światło, jakim wcześniej poskładał cały samolot. Rzucił je płasko na bok piramidy i rozpoczął jej dematerializację. Kawalek po kawaleczku, oświetlony fragment ściany



rozpadał się na małe kwadraciki.

– Niech mnie! – powiedział zszokowany Jersey. Cały czas kontynuował lot w ich stronę. Wiedział już, jaki mieli plan.

Odległość znacząco malała i kiedy zbliżył się już na mniej niż trzysta metrów, zobaczył dokładnie otwartą część czarnej budowli, gotową na jego przyjęcie. Mógł dojrzeć nawet, co znajdowało się w środku. Pusta przestrzeń, wystarczająco długa, żeby spokojnie mógł posadzić na niej samolot.

– Jesteście niesamowi... – nie dokończył zdania. Kolejne kilka sekund działo się już w zwolnionym tempie. Jego serce dostało taki zastrzyk adrenaliny, że wszystko momentalnie zwolniło.

Dwie otulone dymem rakiety sunęły pionowo w dół, celując prosto w zawieszony w bezruchu spodek. Nacieraly niespodziewanie z wystrzelonego wyżej czarnego trójkąta.

– Jersey, ląduj, szybko – Cherubin odezwał się w jego głowie.

– Nie. Odbiję do góry, uciekajcie! – odpowiedział, ale dobrze wiedział, że nie byłby w stanie tego dokonać. Był za blisko ściany.

– Leć. To twoje przeznaczenie, tak jak i naszym jest... – głos anioła urwał się w połowie, kiedy jedna z rakiet roztrzaskała jego powierzchnię, a druga wleciała do środka, kończąc wszystko. Trzydziestometrowy talerz rozprysnął się na setki fragmentów. Serce na moment przestało mu bić.

Oddech ustął. Gardło całe się zacieśniło.

– O mój Boże – powiedział cichutko Jersey. Przeleciał tuż obok wybuchającego spodka i wleciał do środka piramidy. Coś równocześnie wystrzeliło z rozpadającego się talerza i wpadło z nim do wnętrza. Złoty promień zgasał, a tysiące małych kwadracików, z których był zrobiony, weszło powrotnie na swoje miejsce, odbudowując lukę. Dostali się do środka. Jersey wiedział jednak, że cena, którą zapłacili, była tą ostateczną.

Myśliwiec dotknął kołami podłogi. Wpadł w poślizg. Jednocześnie hamował, ale również kręcił się jak karuzela. Jersey nie był w stanie opanować maszyny. Był zdany jedynie na szczęście. Tak bardzo nim kręciło, że nie mógł się połapać, jak daleko mu było od

ścian czy przeszkód. Uderzył w coś. Samolot podskoczył do góry i szybko opadł. Silnik momentalnie zgasł. Zaraz po tym pojawił się okropny zgrzyt i zatrzymali się w miejscu.

Wypuścił z ulgą powietrze. Udało im się. Przeżyli.

Zastanawiał się tylko, czym było to, co wystrzeliło z wnętrza spodka. Miał nadzieję, że czymś zabójczym, bo kiedy popatrzył przed siebie, zobaczył coś, co przyprawiło go o nagłe zmrożenie krwi w żyłach. Nie byli sami. Kilkunastu Szaraków już na nich czekało. Wpatrywali się w nich, wściekli i gotowi do ataku.

## Rozdział 17

### Piramida

Grupa Szaraków otoczyła ich. Unosili się w powietrzu, wpatrując wielkimi oczami w ich samolot. Długie ręce zwisały im swobodnie wzdłuż szarych luskowatych ciał. Ohydne, głębokie, syczące oddechy rozchodziły się echem w podłużnym czarnym pomieszczeniu. Jeden po drugim, wydawali z siebie coraz to głośniejsze dźwięki. Może po to, żeby pokazać, który z nich jest najdonośniejszy lub dlatego, że stawały się coraz bardziej nerwowe?

– Tylko nie wychodźcie ze środka. Proszę, proszę, proszę... – Jersey szeptał i złożył ręce jak do modlitwy. Przypomnił sobie, jak powiedział Sierżantowi, Ice'owi i ekipie, żeby zaraz po wylądowaniu pociągnęli za dźwignie i wyszli na zewnątrz. Popatrzył do góry na panel kontrolny, powcisnął kilka guzików i starał się odpalić silnik. Nic z tego, nawet nie drgnął.

– No to mamy przeje... – przerwał mu huk otwieranych drzwiczek i butów uderzających o podłogę.

– W końcu jesteśmy na ziemi! Jersey, jak cię dorwę, to zobaczysz! Pilotowałeś jak maniak! Myślałem, że nie wiesz, jak tym latać! – rozbrzmiał pretensjonalny głos Ice'a.

– Nie lamentuj, tylko przesuń się szybko – powiedział Sierżant.

– Gdzie jesteśmy? Mamo, obiad już jest gotowy? – zapytał głupio Piguła.

– Mocno przywalil. Jesteś pewny, że mu nic nie jest? – upewniał się jeden z komando bliźniaków.

– Spoko. On tak zawsze, kiedy dostanie mocniej w łeb. Żebyś słyszał, jak rozmawiał z niewidzialnym policjantem, po tym jak spadł kiedyś z dachu – odpowiedział BB.

– Ej... Skończcie gadać. Mamy problem – Ice powiedział zaskoczonym głosem.

– Jaki znów problem, chłopcze? A...ten problem – spointował Sierżant J.

Jeden po drugim wychodzili powoli spod samolotu i stawali tuż obok siebie. Każdy z nich robił taką samą zdziwioną i przestraszoną minę po ujrzeniu otaczających ich nieprzyjaciół. Sierżant wystawił dłoń za siebie i posługując się językiem grypsowo-migowym, wskazał, co mają robić jego podopieczni.

Dwóch ninja-bliźniaków bardzo powoli sięgało do bocznych kieszeni od spodni. Starali się wykonywać ruchy najdyskretniej, jak to możliwe. Zrobiło się przez moment bardzo cicho, a powietrze wyraźnie podniosło swoją temperaturę.

– Co jest na obiad? Pytałem przecież! – krzyknął wciąż ogłupiony Piguła.

– Zatkaj mu tą japę! – Ice uniósł się szeptem.

– Robię, co mogę – odpowiedział cichutko BB, który trzymał go pod ramię.

Nie spodobało się to jednemu z Szaraków. Przysunął się bliżej i zasyczał przeraźliwie. Wywołało to niebezpieczne poruszenie wśród pozostałych.

Jersey obserwował wszystko z góry. Nie mógł dłużej czekać, musiał zaryzykować i spróbować zwrócić na siebie uwagę Obcych. Otworzył kabinę i zrobił trochę hałasu. Wszystkie okropne, czarne ślepie skierowały się na niego. Jersey wiedział, że to był dobry pomysł, śledził podchody Sierżanta i jego ludzi. Był świadom, że coś potajemnie już szykują.

– Cześć, żelki. Przyleciałem po moją panią – powiedział pewnym głosem, położył jedną nogę na konsoli samolotu, a dłonią poprawił opaskę na oku. Wyglądał jak prawdziwy pirat, dumnie wypinający klatę na swoim okręcie.

– Teraz! – krzyknął Sierżant, wykorzystując moment nieuwagi.

Bliźniacy wyciągnęli z kieszeni pistolety. Wymierzili błyskawicznie w głowy wroga i oddali serię strzałów. Żaden z nich nawet nie drgnął. Kule, zamiast wystrzelić z luf, po prostu się z nich wysunęły i spadły na ziemię.

- Co jest, do cholery?! Co to za amunicja? – zapytał Sierżant.
- Sir, normalna amunicja, Sir – odpowiedzieli oboje jednocześnie.
- To dlaczego kule wypadają z pistoletu, jakby był impotentem?! – podniósł mocno głos.

Szaraki poobracały głowy i popatrzyły na siebie. Ich ciała po raz kolejny nie wykazywały żadnych emocji, jednakże coś symbolicznie wskazywało na to, że się dobrze bawią i cieszą z zaistniałej sytuacji.

– Tak?! Śmiejecie się z Sierżanta? To macie, wodogłowcy – odbezpieczył granat, który potajemnie wyciągnął ze spodni i poturlał go w stronę Szaraków. Obrócił się na pięcie i rzucił na stojących za nim towarzyszy.

Załóżyl ręce na głowę i czekał na wybuch.

Po kilku dobrych sekundach obrócił się, żeby sprawdzić, dlaczego nie eksplodował. Jeden z Szaraków trzymał granat już w swojej długiej otwartej dłoni. Wystawił ją prosto przed siebie i pokazał Sierżantowi. Komandos bardzo powoli wstał na równe nogi i czekał na dalszy rozwój akcji. To samo zrobiła cała reszta zbierająca się z podłogi. Obcy zamknął swoją dłoń i mocno zacisnął. Tępy, przygłuszony dźwięk wydobył się z zamkniętej ręki. Kiedy ją otworzył, pokazał jedynie pozostały na niej popiół i przekręcając ją na bok, strzepał go na ziemię.

Sierżant zrobił karpia minę i zerkał na zmianę raz na wielką głowę Szaraka, raz na dłoń. Nie mógł zrozumieć, jakim cudem to się stało.

- Chyba nasza broń tutaj nic nie zdziała – zauważył Ice.
- Chyba masz rację, synu – powiedział Sierżant J.
- Co robimy? CQC? – zapytały bliźniaki. CQC oznaczało w skrócie styl walki w bliskim zwarciu. Połączenie broni białej z technikami walki wręcz. Blisko, szybko i zabójczo.
- Wątpię, żeby to pomogło. Jest ich dwa razy więcej od nas. Zgniota nas jak zgnite, pomarszczone jabłka.
- Chyba z tym pomarszczeniem to mówisz o sobie, dziadku, bo ja mam zamiar walczyć – odezwał się nagle Piguła, który powrócił do

zmysłów.

– O proszę, kto odzyskał rozum? Może spróbujesz swojej techniki z pierdzącym granatem. Jestem pewien, że powalisz ich wszystkich na raz.

– Nie czas na przekomarzania, musimy wymyślić... Ej, co tam jest? – zapytał BB i wskazał palcem na przedmiot znajdujący się kilkanaście metrów od nich.

Pomarańczowo-złota kula leżała wbita w podłogę. Miała gładką powierzchnię przedzieloną na środku uwypuklonym pasem. Średnica nie mogła mieć więcej niż półtorej metra. Rzadka mgielka unosiła się wokół niej. Sfera zaczęła wydawać z siebie dziwne dźwięki, podobne do uderzeń młotkiem o metal. Czymkolwiek była, bardzo zainteresowała wszystkich Obcych.

– To musi być to, co wypadło ze spodka i wleciało z nami – pomyślał Jersey. On jako jedyny był tego świadkiem.

– Co to jest? – zapytał przestraszony Ice. Szarak natychmiast podleciał bliżej niego i zasyczał. Ice odsunął się o dwa kroki do tyłu. Obcy dał mu do zrozumienia, żeby siedział cicho. Wyglądał na bardzo rozdrażnionego, zresztą nie tylko on, ale wszyscy jego szarzy koledzy również. Cokolwiek było w tej tajemniczej kuli, wywołało nagle poruszenie. Przestali się przejmować nieproszonymi ludźmi. Obrócili się nawet całkowicie do nich plecami i wpatrywali w pomarańczowy obiekt.

Kolejny brzdęk, tym razem mocniejszy, sprawił, że wszyscy poruszyli się nerwowo. Nawet Sierżant J. się wzdrygnął.

– Co robimy, Sir? – zapytał bardzo cichutko jeden z bliźniaków.

– Czekaj! – odpowiedział szybko.

Trójka Szaraków, unosząc się nisko nad czarną podłogą, przysunęła się bliżej kuli. Każdy z nich ustawił się po innej stronie. Znów echem rozeszło się huknięcie w metal. Pas dzielący sferę na pół wysunął się na zewnątrz i spadł na podłogę. Jedna połówka przekęciła się i wsunęła do środka. Złoty dym wyleciał z jej wnętrza. Szaraki wypuścili ze swoich łap wszystkie igły i rozpoczęły kołysanie rękami. Byli gotowi do walki.

Jersey dopiero wtedy pomyślał, że kulą tą mógł być tak naprawdę rodzaj szalupy ratunkowej. Była jednak na tyle niewielka, że nie mogłaby pomieścić więcej niż jedną istotę. I jeśli miałby rację, to wiedział, że istotą tą musiałby być jeden z aniołów. Przestraszył się i przejął. Przeliczył szybko liczebność wroga. Dwunastu do jednego. Jakie szanse mógłby mieć w pojedynkę? Widział jednego przecież. Posturą przypominali dzieci. Jakie szanse mógłby mieć przeciwko dwumetrowym potworom – zadrżał ze strachu.

– PST! Sierżancie, Sir? – zwrócił ich uwagę.

– Klikowski, co jest?

SSSSsssssss – zasyczał Szarak, popatrzył na niego i wysunął igły ze swoich palców.

– Sierżancie, musimy walczyć! – zawołał, ignorując ostrzeżenie Obcego.

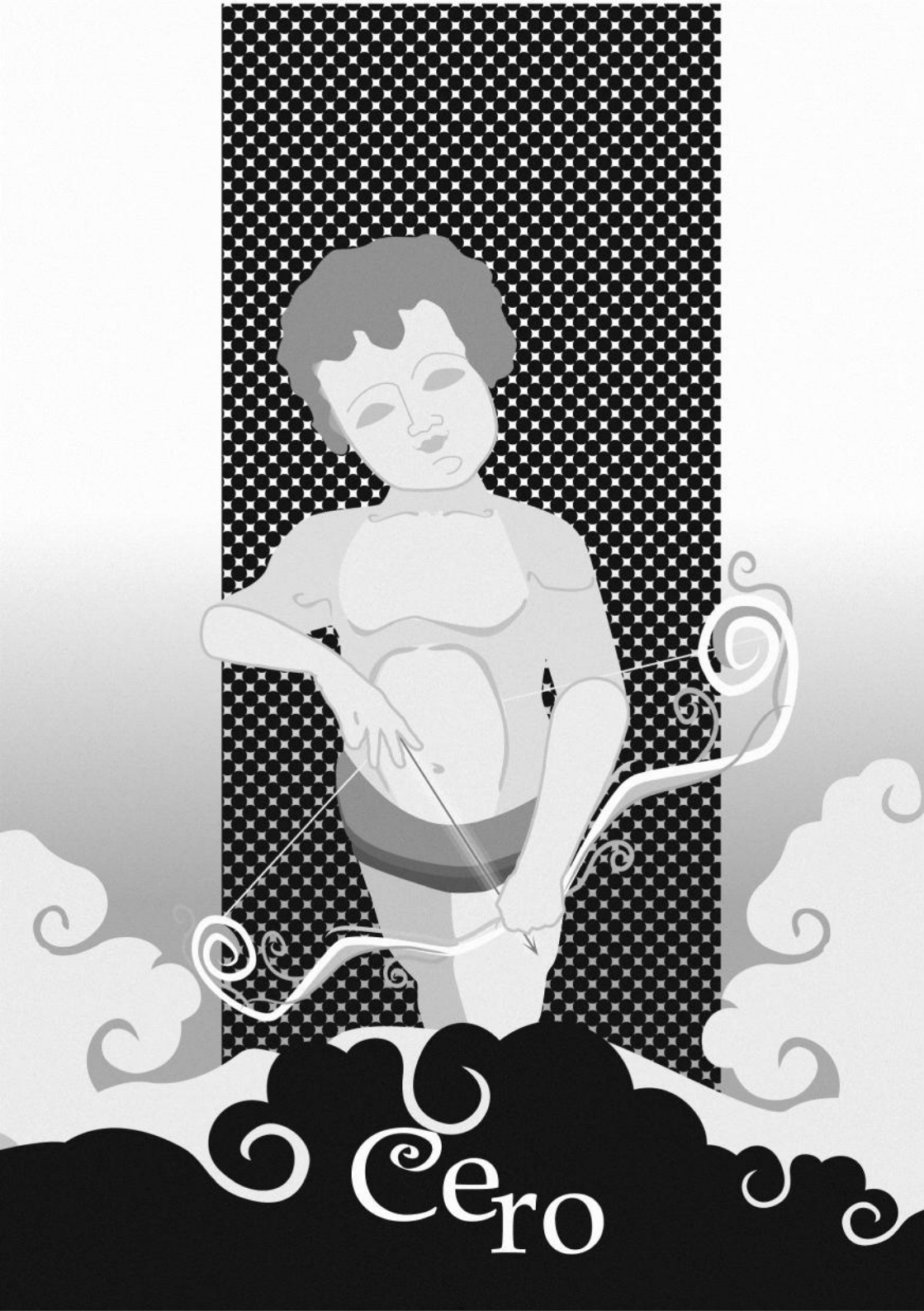
Szarak uniósł się szybko w stronę Jersey. Nie chciał po raz kolejny go uciszać. Chciał wymierzyć mu tym razem karę. Był bardzo szybki. Ręką już sięgał głowy chłopaka. Jersey ugiął nogi, starając się wykonać unik. Obcy był już tuż nad nim. Coś złotego, cienkiego i podłużnego wyleciało z kuli i rozwiało na boki dym. Trafiło Szaraka w taki sposób, że wyrwało go w powietrze i posłało kilka metrów dalej. Padł na ziemię i znieruchomiał.

Jersey wstrzymał oddech. Nie spodziewał się tego ani przez moment.

Popatrzył na leżącego Szaraka. Podłużna złota strzała wystawała z jego serca. Obrócił szybko wzrok z powrotem na kulę.

Obcy, będąc świadkami śmierci swojego towarzysza, bardzo się zdenerwowali. Trójka stojąca najbliżej rzuciła się bliżej kuli. Długie zabójcze ręce przeczesywały zadymione miejsce, szukając swojej ofiary. Cienkie igły zazgrzytały, drapiąc o metalową powłokę. Nie było tam nikogo. Dwumetrowe istoty zawyły głośno jak skałeczone, płaczące, dzikie zwierzęta.

Trzy złote promienie wyleciały spod sufitu i przerwały ich upiorny skowyt. Szaraki upadły na ziemię, tracąc zdolność lewitowania. Każdy z nich leżał bez życia z sercem przeszytym strzałą.



Cero



Sierzant nie czekał ani momentu dłużej. Wraz z dwójką żołnierzy rzucił się na odwróconych od nich nieprzyjaciół. W rękach trzymali noże, które zatopili w ciemnych, połyskujących ciałach. Z dwunastki została ich tylko piątka. Nawet nie zauważyli, kiedy Sierzant zaatakował. Byli zbyt przejęci skrywającym się gdzieś w dymie nieprzyjacielem. Nieporadnie i w panice obracali swoimi wielkimi głowami, starając się go dojrzeć. I wtedy się pojawił.

Pulchna, niska biała postać wyloniła się z mgły. Jej srebrzysta maska jaśniała sztucznym dziecięcym uśmiechem. Dzierżyła złocisty przedmiot, promieniujący blaskiem. Był to łuk, jakiego nigdy nie widzieli. Masywny i gruby. Na jego spiralnie wygiętych końcach zamocowana była złocista cięciwa. Naprzemiennie pulsowała światłem słabiej i mocniej.

Szaraki ruszyły przed siebie równocześnie. Dzieliło ich jedynie kilka metrów od wyglądającego bezbrinnie białego dziecka. Zdawało się im, że mieli go w swoim zasięgu. Bardzo się zdziwili, kiedy Cherubin skoczył tak błyskawicznie do przodu, że znalazł się tuż między nimi. Wyminął ich i lecąc tuż za ich plecami, pięcioma ultrasybkimi ruchami posłał strzały dla każdego z nich. Zrobił to tak szybko, że nie zdążyli się nawet obrócić. Wszyscy upadli na twarze i zatrzymali się tuż pod zadymioną kulą.

Cherubin przełożył łuk na plecy i obrócił się do stojących przy samolocie ludzi. Grupka żołnierzy i nastolatków cofnęła się w przerażeniu. Ich miny tłumaczyły wszystko. Byli w szoku.

- Nie lękajcie się – rozbrzmiał głos w ich głowach.
- Jak mam się nie lękać, panie aniołku, jak w ciągu kilku sekund pokonał pan dwunastu zabójczych Obcych? – zapytał Sierzant J.
- Alfredzie, proszę, moje imię to Cero – odpowiedział łagodnie.
- Dobrze, panie Cero – uklonił się nisko.
- Cero wystarczy, Alfredzie – poprawił go.
- Dobrze...Cero – odrzekł niepewnie. Czuł się niezręcznie, mówiąc aniołowi po imieniu.
- Przykro nam z powodu twoich przyjaciół – powiedział posmutniałym głosem Jersey.

- Co się stało? Komuś się coś stało? – wtrącił się Piguła.
- Cero jest ostatnim ocalałym aniołem. Reszta poświęciła swoje życie, żebyśmy mogli tutaj bezpiecznie wylądować – odrzekł Jersey. Grubasek, jak i cała reszta opuściła w smutku głowy.
- Wrócili do domu. Takie było ich przeznaczenie. Odeszli w radości, że mogli wam pomóc – powiedział Cherubin.
- Ale jak wrócili do domu? Mówiłeś, że zginęli – zapytał cichaczem Piguła.
- To jest taka przerośnia. Oni nie wrócili do domu, tylko...
- To nie jest przerośnia. Oni wrócili do domu. Ich ciała zostały jedynie zglądzone – powiedział anioł.
- Co to za miejsce? Skąd mamy wiedzieć, gdzie iść? – BB przerwał krótką ciszę. Niepokoił się coraz bardziej o Maggie. Czas działał na ich niekorzyść. Nikt w końcu nie wiedział, co mogło się przytrafić dziewczynom.
- Mam silne połączenie z Andy. Odnajdę ją. Teraz musimy już iść, zanim zjawi się więcej pomiotów Grida – Cherubin popatrzył do góry i pokręcił głową na boki. Zwrócił się w stronę długiego korytarza i ruszył do przodu, wciąż unosząc się nad ziemią. Jego nogi nie były wyprostowane i skierowane czubkami do ziemi tak jak u Szaraków, ale ugięte lekko w kolanach.
- Zgoda, idziemy – przytaknął Sierżant.
- Moment, zanim pójdziemy, muszę wam o czymś powiedzieć. Jest pewien problem – odezwał się Jersey.
- Co takiego? – zapytał Ice.
- Jak lądowaliśmy tutaj, to w coś uderzyliśmy.
- Racja. Czulem, jak przywaliliśmy mocno.
- Popatrz pod spód myśliwca. Nie wiem, co ale coś rozcięło nam blachę i mocno rozpruło silnik. Jesteśmy całkowicie uziemieni. Nie mamy jak uciec stąd – posmutniał Jersey.
- Panie aniołku, znaczy się... Cero, nie mógłbyś nam pomóc? Naprawić to w taki sam sposób jak wcześniej? – zapytał BB.
- Niestety nie. Bez moich braci nie jestem w stanie zrobić niczego sam – odpowiedział ni to męskim, ni to damskim głosem.

– Zaraz, moment! – odezwał się jeden z ninja bliźniaków i wsunął się szybko pod zaparkowaną krzywo maszynę.

– Mev! Podejdz tutaj proszę! – zawołał swojego brata.

Popatrzyli z bliska na silnik, Kev włożył do środka swoją głowę, wymienili kilka zdań, troszkę się posprzeczczeni, aż w końcu jeden z nich powrócił do reszty i orzekł:

– Myślę, że damy radę to naprawić.

– Myślałem, że jesteście zwykłymi komandosami. Znaczą się nie tak zwykłymi, bo dość, że jesteście bliźniakami, to wyglądacie jak ninja, ale jesteście do tego mechanikami? WOW! – wykrzyknął podnieconym głosem Piguła.

– Moi ludzie potrafią poradzić sobie ze wszystkim – powiedział dumnie Sierżant J. Grubasek popatrzył na niego i pokiwał głową. Był pelen podziwu.

– Jesteście pewni? Ile wam to zajmie? – zapytał J.

– Musicie iść bez nas. Trudno powiedzieć, ale może to zająć chwilę.

– Co, jeśli powrócą tutaj Szaraki? Nie dacie sobie z nimi radę sami – Piguła zadał istotne pytanie.

– Wróg jest dość zajęty, walcząc na zewnątrz ze smokami. Poza tym sposób, w jaki tu wlecieliśmy, był praktycznie niesłyszalny – tłumaczył Jersey.

– Ej, nie zapomnieliście o czymś? Nawet jeśli chłopaki naprawią usterkę ze silnikiem, to jak my dokładnie zamierzamy stąd wylecieć? Którędy w ogóle wlecieliśmy? I jakie znowu smoki? – złapał się za głowę Ice. Siedząc zamknięty w ciemnym luku, nie miał pojęcia, co się z nimi działo przez ostatnie minuty.

– Nie martwcie się, z zewnątrz piramida jest nie do zdobycia. Ale od wewnątrz to całkiem inna sprawa – popatrzył na jednego z bliźniaków. Mev obrócił się w stronę anioła i kiwnął głową, jakby dziękując za informację, którą musiał telepatycznie otrzymać.

– Co do smoków, twój brat z chęcią ci opowie. Teraz musimy już ruszać. Kev, Mev uważajcie na siebie. Ja jeszcze muszę coś przygotować – poinformował ciepło Cero. Jego głos miał piękną barwę i

zawsze uspokajał. Cokolwiek powiedział, nigdy nie rodziło to żadnych wątpliwości.

Tak wiele pytań chcieli zadać, tyle kwestii poruszyć. Nie było na to jednak miejsca i czasu. Sierżant pożegnał się jeszcze ze swoimi wychowankami i wydając kilka surowych rozkazów, rozstał się z nimi. W tym samym czasie Cherubin podleciał do leżących na ziemi martwych Szaraków i, co było dla wszystkich bardzo dziwne, ściągnął z nich buty. Nikt nic nie powiedział, patrzyli na jego poczynania w osłupieniu. Ice pomyślał nawet, że to mógł być swego rodzaju sposób kolekcjonowania trofeów. Amerykańscy Indianie mieli zwyczaj odcinać pokonanym wrogom skórę z głowy wraz z włosami. Pomyślał, że anioły jako dużo bardziej zaawansowane technicznie i emocjonalnie istoty mogły po prostu kolekcjonować buty zamiast skalpów.

Kiedy zebrał kilka par, ku jeszcze większemu zdziwieniu oddał je w ręce wszystkich.

– Musicie je ubrać – oznajmił Cero.

– Mam ubrać buty po tych brudnych i ohydnych Szarakach? – wykrzywił się Piguła.

– Jak cherubinek... znaczy się Cero mówi, że masz ubrać, to nie zadawaj pytań, tylko tak zrób – poprawił go Sierżant i zabrał się do nakładania szarych, plastikowych, wielgachnych buciorów.

Były dość wysokie, kończyły się troszkę wyżej nad kostką. Podeszwa również była zdecydowanie grubsza niż w ludzkim obuwiu. Wszyscy patrzyli na niego. Sierżant był dużym facetem o dość masywnych stopach, ale gdy nałożył nowe obuwie, było na niego przynajmniej o pięć rozmiarów za duże.

– Umodeluj je na sobie – poinstruował go anioł.

Co mam zrobić? – pomyślał J., ale nie zagłębiając się w szczegóły, po prostu chwycił mocno cholewę buta i przycisnął do swojej nogi. But przylegał teraz idealnie do jego stopy, zmieniając rozmiar na jego 44-kę. Był w szoku.

– No, ubieramy i idziemy – powiedział Jersey. Każdy z nich chwycił swoją parę i nałożył na stopy. Po chwili byli gotowi do wymarszu.

– Po co zmieniliśmy buty? – zapytał BB.

– To proste, żebyśmy zgubili nasz zapach. Szaraki na pewno mogłyby nas wywąchać – zablysnął Piguła.

– On może mieć rację, jego buty i skarpety na pewno mogłyby wywąchać – zażartował Ice. Piguła zzieleniał z nerwów, ale szybko się uspokoił, kiedy srebrna maska anioła popatrzyła na niego, a jego piękny głos powiedział:

– Nie martw się teraz tym, zobaczysz już za chwilę.

Czarny korytarz, którym szli, oświetlony był jasnyniebieskim światłem biegnącym górą i dołem. Jasne błękitne szerokie pasy prowadziły dokładnie środkiem i wzdłuż długiego pomieszczenia. Boki ścian przecięte były w połowie białymi, iluminującymi, cienkimi paskami. Miejsce, gdzie ściany spotykały się z sufitem, zamiast tworzyć kąty proste, były zaokrąglone.

Stawiając kroki po obcym dla nich podłożu, nie przestawali zwracać uwagi na dźwięk, który im towarzyszył. Bardzo różnił się od przyjemnego stukotu czy szurania obuwem o chodnik. Spotkanie buta z czarnym materiałem kończyło się kliknięciem, podobnym to odgłosu zapinania plastikowego guzika od koszuli. Był znacznie głośniejszy, oczywiście. Jeśli chodziło o same buty, to stały się dla nich zadziwiająco wygodne.

Szli gęsiego, zbici w jedną grupę. Nerwowo obracali się we wszystkie strony, nasłuchując i doglądając otoczenia. Mimo, że byli sami, odnosili nieodparte wrażenie, że ktoś ich cały czas obserwuje. To okropne uczucie czyichś ukrytych oczu, schowanych gdzieś z boku w mrocznych ścianach.

Niebieskie światło skryte w podłodze doprowadziło ich do dziwnego skrzyżowania. Ku ich wielkiemu zdziwieniu nie rozwidlało się jak normalne w cztery kierunki, ale pięć. Jedna dodatkowa ścieżka prowadziła pionowo w górę.

– I co mamy teraz zrobić, Cero? Daleko jeszcze do dziewczyn? – zapytał zniecierpliwiony BB.

– Lecimy w górę – odpowiedział spokojnie, przy czym ominął odpowiedź na drugie pytanie.

– Jak mamy to zrobić? – zapytał niepewnie.

– Podskocz mocno do góry.

BB popatrzył na dziecięcą twarz anioła i powiódł wzrokiem po reszcie towarzyszy. Mimo że wydawało mu się to głupie, zrobił, jak mu nakazał. Nie czekał ani chwili dłużej. Ugiął nogi i wybił się mocno do góry. Zamiast spaść z powrotem, zawisł, a czubki jego palców samoczynnie ustawiły się szpicem do podłoża. Zachwiał się przez moment, tracąc równowagę, ale szybko poradził sobie z balansem. Doświadczał przepływu niewidzialnej magnetycznej siły pod swoimi stopami. Była miękka i plastyczna, ale na tyle silna, że bez problemu utrzymywała go w powietrzu.

– To jest niesamowite. Ja lewituję. Skaczcie! – podniósł głos.

Jersey, Ice, Sierżant i Piguła podskoczyli jednocześnie. Lewitowali.

– To jest świetne. Dlaczego dopiero teraz to robimy? Czemu od razu nie mogliśmy lewitować po włożeniu tych trzewików? – zapytał ciekawski grubasek. Jego ręce przekrzywiały się na boki, a kolana uciekały to w lewo, to w prawo.

– Potrzebowały czasu na przystosowanie się do waszych ciał – odpowiedział Cero.

Sierżant J. nie mógł oderwać oczu od magicznych butów. Już w głowie snuł plan przechwycenia pary i oddania ich do testów do działu R&D, gdzie prawdopodobnie mogliby skopiować tę technologię. Widział już oddziały swoich komandosów poruszające się bezszelestnie w lasach, nad śniegiem czy nad wodą.

– One nie działają nad wodą – usłyszał głos w swojej głowie. Od razu zrobiło mu się głupio. Zamiast myśleć o ratowaniu świata, został przylapany przez anielskiego telepatę na tworzeniu własnych planów wojennych.

– Przepraszam – odpowiedział w swoich myślach. Cherubin przekręcił delikatnie głową na znak przyjętych przeprosin.

– Możemy już ruszać? – pospieszał BB.

– Tak, chodźcie za mną – Cero wleciał na boczną ścianę, a następnie

na sufit, nie tracąc ani przez chwilę magnetycznej styczności. Z sufitu przedostał się do prowadzącego w górę korytarza.

Jeden po drugim metodą prób i błędów starali się powielić ruchy swojego anielskiego przewodnika. Nie sprawiło im to większego trudu, intuicyjnie wiedzieli, jak sobą pokierować, żeby się tam dostać. Co było dość dziwnym doświadczeniem.

Wędrówka przez ciemne hole nie trwała dłużej niż dwadzieścia minut. Gdyby nie Cherubin, nigdy by się stamtąd nie wydostali. Siatka korytarzy była tak naprawdę istnym labiryntem. Połączeniem czarnych, długich na pięćdziesiąt metrów wąskich tuneli, z których każdy był identyczny.

Cero wyciągnął coś zza kołnierza. Otworzył dłoń i wpuścił do środka niewielki migoczący diament, który poleciał w głąb tuneli. Jego zadaniem było skanowanie wnętrza, szukanie drogi oraz śledzenie ruchu Obcych, jak im później wyjaśnił anioł. Dwa razy napotkali niedaleko siebie przemieszczające się zespoły Szaraków. Diamentowa sonda alarmowała ich o wszystkim, dlatego wiedzieli, w którą stronę powinni się udać, żeby uniknąć zauważenia i konfrontacji. Poruszali się cicho jak duchy, przez większość czasu wspinając się coraz to wyżej, zazwyczaj wybierając pionowe odcinki tunelu.

Niebieskie i białe świecące pasy, które na początku potraktowali jedynie jako zwykłe źródła światła, z bliższej odległości okazały się być czymś całkowicie innym. Sierżant pierwszy zwrócił na to swoją uwagę. I to tuż przed opuszczeniem siatki czarnych tuneli. Była to płynąca ciecz, zabudowana przezroczystym, podobnym do szkła materiałem. Chciał zapytać Cherubina, czym ona była, lecz nie zdążył. Zatrzymali się przed kwadratowymi drzwiami, obok których wisiała diamentowa sonda.

– Jesteśmy na miejscu. Nie wiem, co może znajdować się za tymi drzwiami, ale to tutaj prowadzi mnie sygnał Andy. Cokolwiek tam jest, musimy trzymać się razem – oświadczył niziutki anioł swoim ciepłym głosem.

Podszedł bliżej wyjścia. Kwadratowa płyta nosiła na sobie obszerny emblemat trójkąta zamkniętego w kole oraz dwóch dodat-

kowych okręgów. Jeden nachodził na prawą dolną stronę trójkąta, natomiast drugi unosił się nad nim, a jego środek przecinał główny okrąg. Sierżant, patrząc na to, wiedział, że kiedyś widział już identyczne insygnia.

Nie mógł tylko przypomnieć sobie gdzie.

– To jest niemożliwe, to miejsce jest bardzo stare – Cherubin odezwał się, kiedy przyglądał się dokładnie drzwiom.

– Jak stare? – zastanawiał się BB.

– Pamięta dawne czasy, zanim jeszcze ludzie zostali stworzeni.

– Co to może oznaczać? – zapytał Jersey.

– Nie jestem pewien, ale musimy być bardzo ostrożni.

Cero położył dłoń na większym okręgu i chwilę ją przytrzymał. Koło zajaśniało na jasnoniebieski kolor. Drzwi przesunęły się błyskawicznie w bok, wypuszczając ze środka niesamowitą ilość jasnego światła. Unieśli w górę swoje dłonie i przykładając nad czoła, przesłonili swoje oczy. Weszli powoli, niepewnie i ostrożnie do środka. Buty umożliwiające lewitację straciły swoją moc i kliknęły, dotykając podłoża.

Kilka sekund musiało minąć, zanim ich źrenice przyzwyczyły się do blasku światła. Kwadratowe drzwi zasunęły się za nimi.

– WOW! Nie tego się spodziewałem po bazie naszego wroga! – powiedział głośno Jersey.

– Co to jest? Na pewno jesteśmy w dobrym miejscu? – zapytał, niedowierzając, BB.

– A ja myślałem, że zobaczymy jakieś ponure miejsce pełne brudu i ciemności – dziwił się Ice.

– Matko z córką! To jest piękne – rozpromienił się Sierżant J., a obok jego twarzy przeleciał ogromny majestatyczny motyl. Rozpiętość jego skrzydeł musiała wynosić przynajmniej z czterdzieści centymetrów.

– Nie dajcie się zwieść. Nie wiemy, co Grid planuje, musimy kontynuować naszą wędrowkę – powiedział spokojnie Cero.

– Ale tu jest tak cudownie – uśmiechnął się szeroko Piguła.



Znaleźli się w głównej komorze ukrytej w potężnej piramidzie. Miała ona kształt kuli. Ogromnej kuli o średnicy kilku kilometrów. Była ona tak naprawdę sferycznym miastem, gdzie budynki i roślinność piętrzyły się dookoła, nawet na suficie. Grawitacja działała całkowicie odwrotnie niż na kuli ziemskiej. Uzewnętrzniała się, odpychając wszystko od siebie, dlatego też kiedy unieśli głowy, mogli z bardzo daleka obserwować spacerujących do góry nogami Szaraków oraz patrzące na nich z góry budynki.

Zabudowania o najdziwniejszych kształtach stworzone były z przeróżnego rodzaju kamienia i drewna. Porastała je bujna zieleń, udekorowana wystającymi z niej różnokolorowymi kwiatami. Wysooko na lewej ścianie rozrastał się sporej wielkości las. Po prawej piętrzyły się ogrody. Gdzieś pod sufitem tryskała ogromna fontanna. Podłoże świeciło na niebiesko. Wszystko, co przylegało do wnętrza kuli, postawione było na błękitnej powierzchni.

Sierżant zerknął pod swoje stopy i wiedział, że to ta sama substancja, która prowadziła ich czarnymi korytarzami. Gdy patrzyło się na nią z bliska, wyglądała jak woda, natomiast gdy spojrzeli w górę, stawała się błękitnym niebem. Ciecz osłonięta była przezroczystym, niesamowicie mocnym materiałem. Nie mógł być zrobiony w żaden znany ludziom sposób, gdyż był mocniejszy i twardszy niż stal. W końcu utrzymywał na sobie setki bardzo ciężkich budynków.

W samym centrum pomieszczenia wisiało coś, co wprawilo Cherubina w szok. Od momentu wejścia nie spuszczał wzroku z jaśniejącego kulistego przedmiotu na samym środku. Otoczony był on ciemną powłoką, mimo to widać było, że chowa za sobą przedmiot o potężnej mocy nie tylko światła, ale również temperatury i energii. – Co to jest? – zapytał Jersey. Nie uzyskał odpowiedzi od razu, musiał poczekać na to dłuższą chwilę. Dopiero, kiedy obrócił twarz w stronę dużo niższego od siebie anioła, ten przemówił. – Jerzy...to jest... mikrosłońce – odpowiedział fragmentarycznie. – Mikrosłońce? Jak to? Myślałem, że one są tylko takie małe jak to, które widziałem podczas wizji. To nie wygląda mi na mikro – patrzył na lśniący obiekt o średnicy kilkuset metrów.

- Grid odbudował gwiazdę. Nie mogę uwierzyć, że się ośmielił – głos Cherubina stał się bardzo poważny i przejęty.
- Jak można odbudować słońce?
- Tylko Archaniołowie posiadają wiedzę potrzebną do tego, żeby tworzyć słońca. Nie wiem, jak on tego dokonał.
- Co więc w tym strasznego, że Grid stworzył jedno dla siebie?
- Słońce może zamienić się w coś zabójczego. Na tyle groźnego, że byłoby w stanie pochłonąć wszystko na swojej drodze. Wielkość tego słońca tłumaczy, dlaczego to rozszerzenie czasoprzestrzeni trwa tak długo. Jest gigantyczne. – odpowiedział i popatrzył na chłopaka. Jersey zbladł. Nie zdawał sobie sprawy, że to może być tak poważne.
- To nie wszystko. Gdy zobaczyłem, że Grid dysponuje tą potężną piramidalną fortecą, przeraziłem się, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że będzie w stanie jej użyć.
- Użyć do czego?
- Właśnie do stworzenia słońca. Takich piramid jest tylko siedem w całym wszechświecie. I służą one do tworzenia słońc.
- Szybko, za mną! – zawołał Cherubin i po raz pierwszy pobiegł o własnych nogach. Jego króciutkie, grubiutkie kończyny, przebiegały szybko i zwinnie do przodu. Schował się za niewysokimi zaroślami i czekał, aż cała grupa dołączy do niego. Udało im się to zrobić błyskawicznie. Sierżant musiał tylko wrócić po Pigulę i chwycić go za kołnierz, bo jak zwykle się zapatrzył.
- Ukryjcie się nisko – powiedział anioł.
- Dlaczego się chowamy? – zapytał Ice.
- Ktoś idzie – odpowiedział Cero.

Niezbyt liczna grupa pięciu Szaraków pojawiła się jakby znikąd. Szli przed siebie, stawiając bardzo duże kroki. Niefortunnie przez całkowity przypadek Ice dotknął jeden z kwiatów rosnących na krzaku, za którym się skrywali. Kwiatuszek po dotknięciu słabutko i cichutko zadzwonił.

- Nie dotykajcie tego. To są dźwiękokwiaty, grają muzykę na wietrze lub gdy się ich dotknie – Cero zaalarmował telepatycznie wszystkich.

Za późno. Jeden z Obcych przystanął. Odchylił głowę do tyłu i pokręcił nią na boki. Cherubin zdjął złocisty łuk z pleców i naprzężył cięciwę. Strzala sama pojawiła się w jego dłoni. Był przygotowany na szybki atak, gdyby zaszła taka potrzeba.

Pozostała czwórka Szaraków również przystanąła i popatrzyła na swojego kolegę. Ich paskudne gigantyczne czarne oczy szybciej mrugały – świadczyło to o tym, że w jakiś sposób muszą się telepatycznie ze sobą komunikować. Jeden z nich podniósł rękę i spiczastym palcem wskazał na zarośla. Chwilę się wahał, po czym zdecydował się to sprawdzić.

Cero był dobrze ukryty, lecz wiedział dokładnie o każdym ich ruchu, informowany przez wiszącą nad nimi diamentową sondę. Jego uśmiechnięta srebrna maska skrywała nie tylko twarz, ale również emocje. Jedynie jego małe dłonie sygnalizowały o zdenerwowaniu, minimalnie trzęsąc napiętym łukiem.

Jersey leżał tuż przy błękitnej posadzce. Coś jednak nie dawało mu spokoju. Miał dziwne przeczucie, że kogoś im brakowało. Popatrzył na wszystkich i dotarło do niego, że Sierżant J. zniknął. Nie było po nim śladu.

– Nie ma Sierżanta – popatrzył na BB i Ice’a i poruszając powoli ustami, nie wymówił głośno słów. Obrócili głowami i wzruszyli ramionami.

– Dopiero co tutaj siedział – odpowiedział bezdźwięcznie BB.

Szarak stawiał szybkie i długie kroki, zbliżając się do nich w pośpiechu. Miał już dochodzić do zarośli, gdy coś odwróciło jego uwagę. Kilka kwiatuszków zadzwoniło nieopodal. Obcy zasyczał i wysunął ze swoich łap długie igły. Zrobił dwa gigantyczne susy i popatrzył nad zarośla. Odsunął twarz, a zaraz zza nich wyleciał ogromny czerwony motyl. Wielka dzbanowata głowa śledziła przez chwilę jego lot. Igły wsunęły się z powrotem do palców. Rozglądął się szybko dookoła, po czym dołączył do swoich szarych kolegów i odeszli dalej.

Cero puścił ostrożnie świecąca cięciwę, aż złota strzała zgasła, niknąc w powietrzu. Przełożył luk do tyłu, przyczepiając go do swych wąskich pleców jak magnes.

- Dziękuję, świetnie się spisałeś – odezwał się telepatycznie Cero.
- Mała sprawa, nie ma o czym mówić – odezwał się znajomy męski twardy głos. Sierżant powrócił do nich na przykucniętych nogach.
- Sir, świetna robota, Sir, mało brakowało – odezwał się Ice.
- Idziemy dalej, tylko ostrożnie. Jesteśmy już blisko miejsca przetrzymywania dziewczyn – powiedział Cherubin.

Używając wyższych krzewów jako swojej zasłony, przesuwali się coraz to dalej wokół kulistego miasta. Musieli to robić bardzo ostrożnie, bo wszędzie pałętały się oddziały wroga. Stan alarmowy musiał być podniesiony. Wszędzie chodzili w grupach. Każdy budynek był również pilnowany. Gdziekolwiek nie spojrzeli, roilo się od Obcych.

Nie trudno było o popełnienie błędu, dlatego też pilnowali się nawzajem i szli wolno. Brak pośpiechu pozwolił im na podpatrzenie i studiowanie wszystkiego, co się tam znajdowało, a co było dla nich tajemnicze, nieznanne i interesujące.

Drzewa, krzaki, kwiaty i cała pozostała roślinność wyrastały bezpośrednio z błękitnego podłoża. Nie potrzebowały dostępu do ziemi. Gatunki tam rosnące nie różniły się znacznie od ziemskich, a jednak były inne. Drzewa z daleka przypominające płaczące wierzby, z długimi giętkimi gałązkami zamiast listków, pokryte były podłużnymi fasolkami. Rozsiane były bardzo gęsto na całej wewnętrznej powierzchni gigantycznej kuli. Inne bardzo ciekawe drzewo miało liście koloru niebieskiego i wyglądało jak stukrotnie powiększony tulipan. Zwisające z niego przezroczyste sople okazały się być owocami. Krzewy obfitowały w różnego rodzaju owoce jak pomarańczowe maliny o wielkości jabłek czy rogalowate, czerwone, ogromne winogrona.

Nietypową florę dopełniała też fauna z szerokim gronem bajecznych owadów jak olbrzymie motyle czy wół przezroczyste świecące twory podobne do baniek mydlanych z dużymi uszami i

cieniutkimi odnóżami. Były też większe zwierzęta, ale nie udało się ich dobrze zobaczyć, gdyż umiejętnie potrafiły uciekać i się chować. Jedynie wyglądająca jak mały biały niedźwiadek istota o dużych stojących uszach pokazała się im na tyle długo, że mogli ją dokładnie podziwiać.

– Wiem, po co tu jesteśmy, ale nie rozumiem, dlaczego tak ohydne i okrutne istoty jak Szaraki mieszkają w takim miejscu? To kompletnie do nich nie pasuje – dziwił się BB.

– Też tak myślę, ale z drugiej strony Cero sam powiedział, że to miejsce jest starsze niż ludzie, a na pewno starsze od Szaraków, którzy są sztucznymi tworem. Pytanie brzmi, w jaki sposób Grid wszedł w jego posiadanie? Nie mógł przecież w ciągu kilku lat zbudować takiej twierdzy – zastanawiał się Jersey.

– Cero, czy masz jakieś domysły? – BB popatrzył na idącego na przedzie anioła.

– Obawiam się, że tak, ale nie chcę nic mówić, zanim nie będę całkowicie pewny – odpowiedział łagodnie, po czym od razu dodał – lepiej się przygotujcie, bo jesteśmy na miejscu.

Popatrzyli na piramidalny budynek zbudowany z białego kamienia. Obrośnięty dziką winoroślą różnił się od innych wcześniej napotkanych struktur. Swoją architekturą bardzo przypominał staroegipskie świątynie. Wielkością dorównywał domowi jednorodzinnemu, a sam czubek miał otwarty i ścięty na płasko.

Kilkadziesiąt metrów za piramidą stał niewysoki, ale rozległy pawilon. Struktura zbudowana była z ogromnych bloków kamieni, a brak okien czy drzwi przywodził na myśl bunkier lub grobowiec. Dwie budowle połączone były ze sobą długim korytarzem. Kwadratowe drzwi wejściowe na przedzie piramidalnego budynku oznaczone były identycznym symbolem jak te wcześniejsze. Nie były pilnowane przez nikogo.

– Tutaj ma się znajdować Andy? – zapytał, niedowierzając, Ice.

– Nie, to jest tylko wejście – odparł Cherubin

– Ale dlaczego nie ma tutaj żadnych Szaraków? Wszędzie indziej jest ich pełno. Myślałem, że straż będzie podwojona albo potrojona.

– Nie martw się – zapewnił go anioł.

Serce BB mocniej zabiło. Nareszcie dotarł do miejsca, w którym odnajdzie Maggie. Miał ochotę wstać i pobiec do środka. Martwił się tak bardzo o swoją ukochaną. Kiedy pomyślał, że jakaś krzywda mogła się jej stać ze strony Grida, poczuł taki gniew, że łzy napłynęły mu do oczu, a pięści same się zacisnęły w stalowym uścisku. Cały ten okropny i pokręcony dzień sprawił, że stanął na krańcu zdrowego rozsądku i rozumu. Żył jednak gorącą nadzieją, że mimo tych wszystkich przykrych rzeczy, które go dzisiaj spotkały, uda się mu wrócić do Maggie i odzyskać jej miłość.

Jersey stał tuż obok. Jego głowa również zapelniona była podobnymi myślami. Był w stanie zrobić wszystko, żeby pomóc swojej ukochanej. Tak bardzo się o nią martwił, że już dawno przestał zwracać uwagę na BB i fakt, że on również bardzo chce ją odzyskać. Liczyło się dla niego tylko jej bezpieczeństwo.

BB i Jersey nie byli jedynymi, którzy gotowi byli poświęcić wszystko, nawet własne życie dla kobiety. Ice sam do końca nie wiedział, co czuje, ale coś niezwykłego przydarzyło się mu tego dnia i miało związek właśnie z Andy. Po raz pierwszy w życiu doznawał całkowicie obcych dla siebie sensacji. Nie mógł powiedzieć, że ją kocha, nie mógł powiedzieć, że jest zakochany, bo jak w kilka godzin można rozpałić takie uczucie? Wiedział jedno – że w danym momencie zrobiłby wszystko, żeby jej pomóc i ją uwolnić.

Stanęli przed kwadratowymi drzwiami i czekali, aż Cero przyłoży do nich dłoń. Nie mieli pojęcia, co tam zastaną, ale nie bali się. Byli gotowi zmierzyć się ze wszystkim, co rzuci na nich los, czuli się silniejsi niż kiedykolwiek. Miłość i wściekłość dodawała im sił i motywacji. Nic nie było w stanie ich zatrzymać.

## Rozdział 18

### Tajemnice

Kwadratowe drzwi przesunęły się w bok, jakby osadzone zostały na niewidzialnych magnetycznych szynach. Otworzyły wejście do piramidalnego białego budynku.

Cero przywołał do siebie latającą, przeźroczystą sondę w kształcie diamentu. Wylądowała na jego dłoni. Dotknął ją drugą ręką i przystawił do swojego czoła, następnie wpuścił ją do środka. Zaczekał kilka sekund, obrócił głowę do czatujących wciąż w krzakach towarzyszy i telepatycznie rzekł: – Szybko, wchodzimy – obrócił się i zniknął w głębi niezbadanej budowli, chwilę potem sylwetki dwóch wysokich nastolatków, jednego rosłego mężczyzny, młodzika i grubasa dołączyły do niego.

Weszli do wysokiej jasnej sali. Podłoga wyłożona ceramicznymi kwadracikami tworzyła kolorową mozaikę, przedstawiającą drzewo porośnięte czerwonymi owocami. Prawdopodobnie jabłkami. Kawalek otwartego sklepienia wpuszczał do środka strugi złocistego światła, które tańczyło, mieniając się i odbijając od połyskującej ceramiki. Ściany, jak i sufit wyłożone były tym samym materiałem. Lewa strona układała się na kształt sylwetki kobiety, natomiast prawa, mężczyzny. Były tam też inne obrazy. Ledwo odczytywalne, zakurzone i zniszczone przez czas.

Przeszli bardzo spokojnie, rozglądając się na wszystkie strony. Na drugim końcu sali znaleźli kolejne drzwi zabudowane od góry niesamowicie pięknym i przyozdobionym portalem, podtrzymywanym przez dwie kolumny.

Drobne kamienie budujące mozaikowe obrazy, nosiły na sobie ślady minionego czasu. Zadrapania, otarcia i pęknięcia świadczyły, że leżały tam od bardzo dawna. Wyblakłe, a w niektórych miejscach całkowicie wytarte kolory, łącząc się z unoszącym w powietrzu

kurzem, tworzyły mroczną atmosferę. Na ziemi wily się rozciągnięte grube kable. Wychodziły ze środka ściany i prowadziły do kolejnych drzwi.

– Tego tutaj nie było, ktoś to wywiercił – zauważył Sierżant J., wskazując na dziurę w ścianie i leżący pod nią gruz.

– Zdecydowanie nie pochodzą z tego samego okresu – Ice dodał ironicznie, dotykając jeden z syntetycznych kabli.

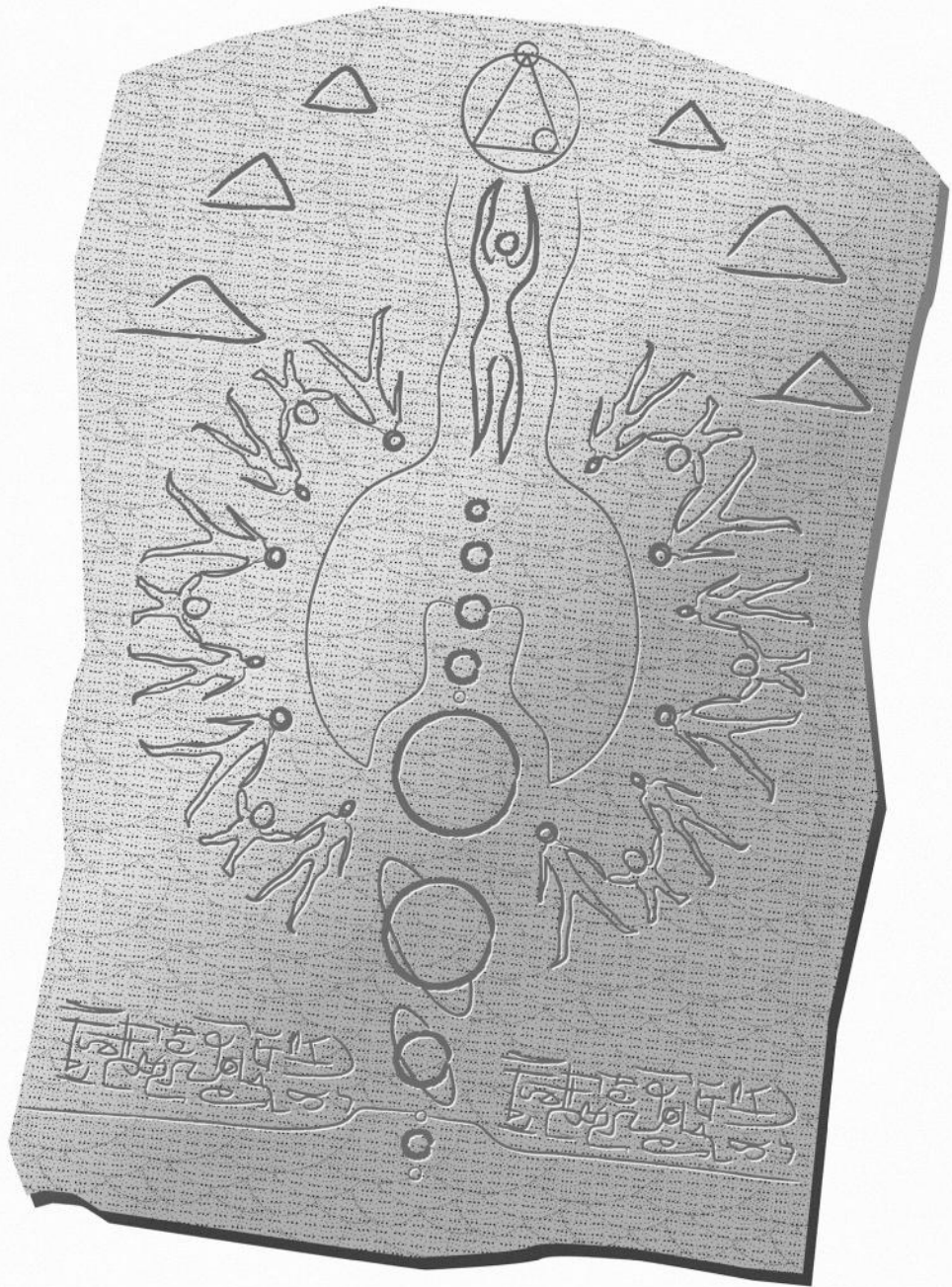
– Ciii – upomniał ich Cherubin i ruszył wzdłuż podłużnych łączy prowadzących do następnego pomieszczenia. Zanim jednak wyszedł, zatrzymał się przy kamiennej ozdobnej tablicy. Była niewielka i trudna do zauważenia. Usytuowana dość nisko równała się z głową Cero. Anioł popatrzył na nią przez kilka sekund i ruszył przed siebie.

Przechodząc dalej, tylko Jersey zainteresował się i przystanął na moment. Schylił się i rzucił szybko okiem na tablicę. Odnalazł tam wyklute symbole, trójkąty, okręgi oraz kształty małych grubiotkich istot trzymających się za ręce z innymi, wyższymi od siebie postaciami. Wszystko to skojarzyło mu się z egipskimi hieroglifami. W centrum zauważył bardzo wysoką postać wyciągającą ręce w stronę wiszącego nad nią trójkąta zamkniętego w okręgu. Podrapał się po głowie i starał się przypomnieć, gdzie widział podobny symbol już wcześniej. Był zmęczony, pamięć nie funkcjonowała najlepiej, więc dał sobie spokój. Wstał i dołączył do reszty.

Weszli w długi, wysoki i całkowicie odcięty od światła czarny korytarz. Cero jako pierwszy bardzo ostrożnie stawiał swoje kroki, starając się nie nadebrać na rozciągnięty kabel. Przechodząc z bardzo jasnego pomieszczenia do bardzo ciemnego, oślepli. Gdyby tunel nie był całkowicie prosty mogliby się nie tylko pogubić, albo nawet i mocno poobijać.

BB szedł tuż za aniołem. Otworzył bardzo szeroko oczy i skupiając źrenice, wypatrywał światła na drugim końcu. Rozstawił szeroko ręce i położył je na ścianach. Korytarz był na tyle wąski, że spokojnie ogarniał go zasięgiem swych ramion. Stawiał małe, ale odważne kroki, w razie potknięcia mógł przytrzymać się ścian. Idąc tak prosto i ślepo przed siebie, poczuł delikatne muśnięcie





poruszonym powietrzem. Doszło do niego tuż z na naprzeciwka. Cero zatrzymał się, on zrobił to samo, a za nim cała reszta.

Cherubin położył dłoń na luku przyczepionym do jego pleców. Dotknięcie spowodowało zapalenie na złoty kolor. Wystawił go i rzucił przed siebie trochę światła. Nagle z ciemności wyloniła się ogromna dzbanowata głowa i dwa czarne wielgachne ślepia. Wszyscy zamarli w strachu.

Szarak stał na straży, czekając na nieproszonych gości. Rząd srebrzystych igieł błysnął im przed oczami. Zaatakował. Uderzył prosto w głowę Cero.

Maska przyjęła atak, ratując go od śmiertelnego ciosu. Iskry wypełniły mroczny korytarz. BB instynktownie zacisnął pięść i posłał rękę prosto w stronę nieprzyjaciela. Nie zdążył go trafić.

Cherubin kopnął Szaraka w kolano krótką, ale dobrze zbudowaną nogą. Łukiem uderzył w podbródek, dezorientując go. Naciągnął cięciwę. Strzała pojawiła się w jego dłoni. Nie zdołał przy mierzyć. Obcy rzucił się na niego całym swoim ciężarem. Wytracił luk z jego rąk. Strzała zgasła.

Szarak położył anioła na ziemi i przygniótł go swoją nogą. Był niesamowicie szybki. Jego ręka już cofała się, aby zadać śmiertelny cios, kiedy BB, nie marnując drugiej szansy, rzucił się na niego. Złapał go przedramieniem za szyję i z całej siły pociągnął w drugą stronę. Powalił go. Z ledwością, ale udało mu się. Niestety nie był na tyle silny, żeby go przy tej ziemi utrzymać. Szarak zasapał mocno i ciężko, syknął i momentalnie podnosił się z ziemi, dźwigając w górę uwieszonego na nim chłopaka. Drugą ręką starał się go dosięgnąć i zatopić igły w jego twarzy. BB przeraził się, nie miał miejsca na wykonanie uniku. Już myślał, że to koniec, gdy z ciemności wyloniła się złota strzała i przeszła bez żadnego trudu serce Obcego.

Upadł na ziemię i błyskawicznie odsunął od martwego już ciała.

– Dlaczego diamentowa sonda go nie wykryła? – zapytał Sierżant.  
– Dlatego – anioł wskazał czubkiem świetlistego luku na rozbitą na ziemi kryształ.

– Skoro ją zniszczył, to czy zdążył zaalarmować innych? – zastanawiał się Jersey.

– Tego się już nie dowiemy. Trudno mu będzie coś powiedzieć, będąc martwym – zauważył Piguła.

– Nie ma co się zastanawiać, idziemy – BB przesunął się bokiem ściany i wyszedł na czele grupy.

– Zaczekaj – usłyszał głos w swojej głowie, obrócił się i kątem oka zobaczył jak świetlista strzała wylatuje z rąk malego anioła. Przemknęła obok niego i mocno świecąc poleciała przed siebie. Mknęła przez tunel metr po metrze, odkrywając ciemność. Patrzył na nią, bacznie obserwując, czy nie wynajdzie na swoim torze kolejnej niespodzianki. Zakończyła swój niedaleki lot, wbijając się głęboko w kamienne drzwi.

– Jest czysto, idziemy – wysoki Anglik odetchnął z ulgą.

Otwierając następne drzwi, nie mieli pojęcia, czego się spodziewać. Jeśli Szarak zaalarmował resztę, to po drugiej stronie mogli oczekiwać zabójczego komitetu powitalnego. Nawet jeśli jednak nie zdążył tego zrobić, nie znaczyło to, że będzie całkowicie czysto. Tak czy inaczej musieli przygotować się do walki.

Na przodzie tym razem stanął Sierżant J., trzymając w dłoni swój nóż.

Był inny niż ten, który złamał wcześniej. Budził respekt dwudziestocentymetrowym grubym ostrzem i masywnym trzonem owleczonym rzemykiem. Tuż za nim czekali BB, Jersey, Ice i Piguła. Cero otwierał drzwi.

Wpadli do środka rozpędem. Jeden po drugim ustawili się w półokręgu, stając do siebie plecami. Na wszelki wypadek budowali pozycję obronną. Niepotrzebnie. Nikt na nich nie czekał. Opuścili broń.

Miejsce było ponure i pachniało antykiem. Sztuczne niebieskie światła podwieszane pod sufitem nadawały mu jeszcze mroczniejszego charakteru. Kabel, który zaprowadził ich do środka, rozgałęził się na kilka części i rozszedł w różne strony.

- Czy to na pewno tutaj ma być Andy? – zapytał Ice.
- Tak, musimy iść w prawo – wskazał Cero.
- To miejsce jest okropne, śmierdzi jak piwnica – zauważył Jersey.
- Albo grobowiec – dodał BB.
- To jest grobowiec – odezwał się Cero.

Wtedy ich zamurowało. Przez moment nie mogli wypowiedzieć z siebie żadnego słowa. Bali się. Nie wiedzieli, czy chcą usłyszeć odpowiedzi.

BB jednak przystanął na moment i kładąc rękę na ramieniu Cherubina, zadał mu pytanie:

- Czy one... czy one... myślisz, że one nie żyją? – ledwo wykrztusił z siebie te słowa. Serce galopowało mu w środku jak naszprycowany Mustang.

Cero obrócił się do niego i bardzo spokojnie telepatycznie rzekł:

- Żyją. Obie – podkreślił drugie słowo zwracając się do Ice'a.
- Ulżyło im wszystkim.
- To po co trzymają je w grobowcu? – zapytał Piguła.
  - To nie jest zwykły grobowiec.
  - Kto w nim leży, skoro jest aż tak stary? – zastanawiał się Jersey.
  - Chodźmy. Dowiecie się w swoim czasie – Cero ruszył przed siebie.

Cherubin maszerował prosto, wyprzedzając o kilka metrów kroczących za nim ludzi.

- Ale ten aniołek tajemniczy, nie? – Piguła szturchnął łokciem BB.
- Mógłby w końcu na jakieś z pytań odpowiedzieć wprost, czy to jest takie trudne? – kontynuował swój monolog. BB nic nie odpowiadał, jedynie popatrzył na niego.
- Patrz, jak on śmiesznie wygląda. Kto by pomyślał, że anioły wyglądają jak dzieciaki? Gdybym nie zobaczył na własne oczy, co on potrafi, to bym nie uwierzył, że taki z niego wojownik. Acha, no i właśnie. Po co mu ta maska? Dlaczego nie chce pokazać swojej twarzy? Co on tak ukrywa? – szeptał cichutko, zapominając przez moment, że Cherubin był telepatą, dlatego bardzo się zdziwił, kiedy usłyszał jego głos w swojej głowie mówiący:

– Robię to dla waszego dobra. Nie ma teraz czasu na tłumaczenia, udowadniania ani pokazywania. Musimy się skupić na zadaniu. Jesteśmy teraz w grobowcu, więc okaż na tyle szacunku i bądź ciszej. Proszę, bądź na tyle wyrozumiały.

Piguła zarumieniał się na twarzy. Poczul się głupio. Otrzymał reprimendę jak niewychowany urwis. Schylił nisko głowę i przeprosił anioła w swoich myślach.

BB od razu spostrzegł, że jego kolega nagle zamilkł, mentalnie wiedział, że to zasługa Cero. Bardzo się dzięki temu ucieszył, bo mało brakowało, a zaraz by go zdzielił porządnie po głowie. Wzbraniał się tylko ze względu na szacunek do miejsca, w którym teraz byli.

– Jesteśmy. To tutaj – zatrzymał się Cero.

– Jak to tutaj? Przecież tu nic nie ma? – podniósł piskliwie głos Ice. Zatrzymali się na środku korytarza. Wokół nich nie było niczego, tylko lita skała. Cherubin przyklęknął i przyłożył dłoń do zakurzonej podłogi.

– Co jest grane? Gdzie są dziewczyny? – rozglądał się na boki Piguła. Jersey, Sierżant i Ice stali natomiast bardzo spokojnie. Każdy z nich na swój sposób ufał aniołowi, a nawet po części domyślali się jego planów.

– Bracie, co się dzieje? Dlaczego nie ma tutaj dziewczyn? – pytał Ice.

– Spokojnie, Icek. Zaraz się wszystkiego dowiemy. Ja też nie mogę już wytrzymać. Ale nerwy nigdy nie pomagają – poklepał go po ramieniu.

– Proszę was w imieniu dziewczyn, nie ruszajcie się teraz – poprosił Cero.

Nikt nawet nie drgnął.

Anioł spuścił głowę niżej i wyprostował energicznie całą rękę. Otwarta dłoń przylgnęła bliżej spodu. Uderzył cicho, ale na tyle silnie, że podmuch powietrza usunął z pod niego cały kurz. Zatrzymał się w tej pozycji przez kilka sekund. Wstał. Ściągnął łuk ze swoich pleców i zrobił kilka kroków do tyłu. Wykonał to z taką dokład-

nością, jakby wiedząc, na którym centymetrze ma stanąć.

– Proszę was. Odsuńcie się do tyłu o kilka metrów.

Tak też zrobili.

Przymierzyl lukiem dokładnie i raz za razem wystrzelił serię złotych strzał, wbijając je w podłogę. Tuzin z nich utkwił głęboko w kamiennej posadzce, układając się w niewielki kwadrat.

– Teraz uważajcie. Jak zrobi się przejście, wskoczmy do niego wszyscy oprócz Alfreda i ciebie – wskazał na Sierżanta i Pigulę.

– Jakie przejście? – zapytał grubasek.

– Wy nam pomożecie z góry – dodał anioł.

– Dobrze – odpowiedział Sierżant.

– Jakie przejście? – nie przestawał pytać Pigula.

– To przejście – usłyszał w swojej głowie i zobaczył, jak Cherubin wybija się wysoko pod sam sufit. Ustawił się tuż nad oznaczonym kwadratem. Wystrzelił ostatnią strzałę w sam środek i kiedy wbiła się w kamień, rozpalila inne, powodując ich eksplozję. Kwadrat wyrzucił z siebie masę kurzu i dymu. Cero uderzył mocno nogami w kamienny blok i wbił go w ziemię. Osunął się w dół, wpuszczając strugę jasnego światła do środka korytarza.

– Sprytny ten anioł – uśmiechnął się Sierżant i podszedł do nowo powstałej dziury w ziemi.

– Dlaczego nie próbowaliśmy wejść głównymi drzwiami? – zapytał grubas.

– Wszystko było zbyt dobrze strzeżone. Pamiętaj, że nikt nie wie o naszej obecności i tak też ma pozostać. Łatwiej i bezpieczniej było wejść sufitem – wytłumaczył Cero.

– Maggie! – zawołali jednocześnie BB i Jersey. Popatrzyli na siebie i wskoczyli za Cherubinem. Ice nie powiedział nic, zatkało go całkowicie po tym, co przed momentem zobaczył.

BB i Jersey zeskoczyli na leżący dwa metry niżej kamień.

Anioła na nim już nie było. Blok wylądował na samym środku długiej sali.

Spadł dokładnie między dwoma tekstylnymi parawanami, zakrywającymi obie ściany. Pomieszczenie było bardzo jasne, praktycznie bia-

le. Przypomniało im trochę szpital z dziwnymi urządzeniami medycznymi, skalpelami, strzykawkami, igłami i innymi metalowymi instrumentami lekarskimi leżącymi na lewitujących stołach.

– Cero, gdzie jesteś? – szepnął BB, wypuszczając ze swoich ust oblok pary. Dmuchał w swoje ręce. Temperatura spadła o kilkanaście stopni.

– Po co szepasz? Myślisz, że to coś pomoże, jak sekundę temu rypnął o ziemię dwutonowy blok skalny? Na pewno ktoś to usłyszał – odezwał się lądujący za ich plecami Ice. BB nawet nie zareagował. Nie usłyszał niczego. Słowa wlatywały jednym i wylatywały drugim uchem. Myślał tylko o Maggie.

– Spokojnie, nasz nieprzyjaciel tego nie usłyszał – odezwał się Cherubin.

– Jak to nie usłyszał? Przecież to tak wańło...

– Szaraki nie rozpoznają wszystkich dźwięków. Jedynie te wysokie.

– Tylko wysokie?

– Tak, zgadza się. Oni słyszą i porozumiewają się za pomocą pisków i bardzo wysokich tonów. Mogą usłyszeć odgłos dzwoneczka lub tarcie szkła z bardzo dalekich dystansów, ale gdyby budynek obok nich się walił, nie byli by nawet tego świadomi.

– To jest niesamowite.

– Gdzie są dziewczyny? – Ice chwycił za jeden z parawanów i pociągnął nim gwałtownie. Nawet nie drgnął.

– Co tam jest za nimi?

– Odsuńcie się – usłyszeli głos Cherubina, a po nim kliknięcie.

Dwa parawany zamiast przesuwac w bok, uniosły się do góry. Odsloniły dwa rzędy przytwierdzonych do ścian czarnych pojemników. Wszystkie miały jednakową długość około dwóch metrów i leżały w pozycji poziomej. Kojarzyły się z futurystyczną wersją sarkofagów, układających się na kształt ludzkiego ciała. Były szczelnie zamknięte, za wyjątkiem niewielkiej owalnej przeźroczystej szybki tuż przy ścianie. BB podszedł do jednej z nich i nachylił się, sprawdzając jej zawartość.

– Co jest grane? Tam w środku leży kobieta... – patrzył na twarz

młodej czarnowłosej pani o delikatnej cerze. Miała zamknięte oczy.

– Tutaj też – Ice sprawdził inny pojemnik z kobietą w środku.

– I tu – potwierdził też Jersey.

– Dlaczego oni tutaj trzymają kobiety? Skąd oni je mają i co z nimi robią? – BB zaniepokojony zwrócił się z pytaniem do stojącego na drugim końcu sali Cherubina.

– Przygotowują je do czegoś – odpowiedział Anioł.

– Do czego?! Uwolnijmy je! – podniósł głos Ice.

– Gdzie jest Maggie i Andy? Proszę, pokaż nam.

– Tutaj – położył dłoń na jednym z sarkofagów.

Cała trójka podbiegła szybko do niego i ściskając się blisko z przodu, spojrzeli za przednią szybę.

– Andy! – Ice podniósł głos i uśmiechnął się szeroko.

– Dzięki Bogu – dodał BB spoglądając na koleżankę.

– Jak się to otwiera? – zastanawiali się, wypatrując klapki, klamki czy jakiegokolwiek mechanizmu otwierającego.

– Odsuńcie się – ostrzegł ich anioł.

Zdjął białą rękawicę i odsłonił całą zieloną dłoń. Piguła, patrząc na to z góry, dźgnął sierżanta łokciem i cichutko powiedział:

– Tylko nie mów, że pod tą maską kryje się żaba.

– Jeśli on jest żabą, to ty jesteś księciem... co jest mało prawdopodobne – odpowiedział Sierżant.

Cero zacisnął dłoń w pięść. Wyciągnął do przodu palec wskazujący i wysunął z niego niedługą igłę. Następnie znalazł niewielki otwór z boku pojemnika, wsunął tam szpiczasty kolec i pokręcił w obie strony. Para wodna uleciała ze środka i górna część czarnej pokrywy uniosła się.

Drobnej budowy blondynka spała spokojnie i nieruchomo wewnątrz.

– Andy, obudź się. Hej, Andy – BB chwycił ją obiema rękami i silnie potrząsnął. Jej rozluźnione ciało poddało się szarpaniu, nie stawiając żadnego oporu. Anglik nachylił się, przystawił ucho do jej ust i dwa palce do szyi. Żyłła. Puls miała stabilny i dobrze wyczuwalny, oddech równomierny.



– Czemu ona nie chce się wybudzić? Co jest grane? Andy! – krzyczał jej do ucha. Cero położył dłoń na jego ręce i momentalnie go uspokoił. Jego dotyk miał nieprawdopodobną moc. Lekkie muśnięcie już sprawiało, że niwelował nim złe myśli i negatywne emocje, całkowicie je usuwając. Subtelnie i podświadomie dał mu do zrozumienia, żeby zrobił dla niego miejsce. Tak też uczynił. Cherubin był na tyle niski, że głową ledwo dosięgał do połowy czarnego pojemnika. Nie mógł też zobaczyć twarzy Andy. Poprosił więc chłopaków, żeby wyciągnęli ją i położyli na ziemi. Musieli się spieszyć, czuli, że nie są tutaj mile widziani i lada moment mogą spotkać Szaraków.

Cero przyklęknął przy nogach dziewczyny. Zdjął z jej nóg buty i skarpetki. Ściągnął rękawice z drugiej dłoni i chwycił ją za stopy.

Gilgotaniem ją obudzi? – tłścioch zastanawiał się, wisząc nad krawędzią jak otyły szympan.

Anioł dwoma zielonymi kciukami szukał czegoś na jej śródstopiu.

Nie trwało to długo, bo gdy już to znalazł, wysunął z kciuka małe igły i wbil je w kilka miejsc w bardzo szybkim tempie.

– UAAAAAAAAAAAAAH! – krzyknęła Andy, podnosząc się jak sprężyna do góry. Pierwsze, na co spojrzała, to maska Cherubina. Gdy ją zobaczyła, zawyla głośno i przebiegając szybko nogami, odsuwała się od niego, aż za jej plecami znalazła się ściana. Podkulila nogi i schowała głowę za nimi. Była cała roztrzęsiona. BB nigdy jej takiej nie widział.

– Andy, spokojnie to my, nie masz się czym martwić – pocieszał ją, chwytając za dłoń.

– Już dobrze, Andy, jesteście tutaj – powiedział Jersey.

– Kto to jest? Czy to jeden z nich? – pytała wskazując na Cero.

– Nie, to jest... – Jersey nie zdążył dokończyć. Cherubin podszedł do niej bardzo powoli i wyciągnął zieloną dłoń. Kiwnął głową, naklaniając ją do tego, żeby go złapała. Nie wiedziała, czy powinna, ale zaufała instynktowi i spróbowała. Dotknęła jego miękkiej jak u dziecka skóry i poczuła się od razu spokojna. Wszystkie nerwy opadły, w cią-

gu sekundy stała się zrelaksowana, a jej umysł całkowicie się przejaśnił. Wtedy też popatrzyła na wszystkich, włącznie ze zwisającym z sufitu Pigułą, i kiedy jej wzrok wylądował na krótko ściętym piegowatym blondynie, przemówiła.

– Ice? Nic ci nie jest? – poderwała się do góry i podeszła bliżej niego. Wyciągając ręce w stronę jego twarzy, patrzyła na siniaki i spuchnięty łuk brwiowy. Nie dotknęła go jednak, bojąc się, że zada mu ból.

– Andy... cieszę się, że nic ci nie jest – powiedział do niej, a jego głos lekko się załamał. – Staralem się, nie chciałem, żeby was porwali, robiłem, co mogłem... Andy przerwała mu.

– Nie musisz nic mówić, nikt nigdy o mnie tak nie walczył. Byłeś bardzo dzielny. Prawie zginąłeś. Jak się cieszę, że cię widzę – oczy jej zaszczyli łzami.

– Andy, gdzie jest Maggie? – zapytał BB.

– Maggie, o Boże! To jeszcze jej nie macie?

– Nie, tylko ciebie znaleźliśmy. Czy ona gdzieś tu jest?

– Brrrr, ale tu zimno – chwyciła się za ramiona.

– Nie ma jej w tej sali – powiedział Jersey, kończąc obchód wokół wszystkich czarnych pojemników. Sprawdził każdy z nich.

– Co oni tutaj wam robili? Zabiję ich wszystkich! – zapłonął ze złości BB.

– Nie pamiętam... nie wiem – potrząsnęła głową.

– Nie mamy zbyt dużo czasu, musimy szukać Maggie, musi gdzieś tutaj być – odezwał się Jersey i pobiegł do sąsiednich drzwi. Były zamknięte. Cofnął się o dwa metry i z całej siły kopiąc, wypadł wraz z nimi na drugą stronę.

BB i Cero ruszyli za nim. Sierżant i Piguła asystowali Andy i Ice'owi przy wychodzeniu z powrotem na górę. Wszystko działo się w pośpiechu.

– Czekajcie na nas, za niedługo wrócimy – rzucił, wybiegając z sali, BB.

Weszli do niebieskiego dużego pokoju. Na samym środku straszyl swoim surowym chirurgicznym wyglądem sprzęt do operacji. Stół unosił się w powietrzu nad okrągłym magnesem. Wokół niego

ustawione sześciokątne lampy oświetlały go rozproszonym światłem. Nad stołem zawisł metalowy wysięgnik o długiej srebrnej podstawie przychepionej do sufitu, zakończony masywnym pistoletem. Lodówki ustawione pod ścianami dźwigały setki małych owalnych kapsulek, które wyglądały jednakowo.

Po drugiej stronie pomieszczenia zauważyli parę kolejnych drzwi. Nikt z nich nie przepadał za szpitalami, więc przebiegli błyskawicznie na drugą stronę, jedynie Cero zatrzymał się na moment i oglądnął jedną z fiolek. Bardzo go zaintrygowała, śpieszyli się jednak, odłożył więc ją na miejsce i ruszył dalej.

BB położył na drzwiach swoją dłoń, ale nawet nie drgnęły. Jersey już przygotowywał się do wykopania ich na drugą stronę, jednakże Cherubin w ostatniej chwili go zatrzymał. Mimo tego, że Szaraki prawdopodobnie nie usłyszałyby huku, mogłyby go zobaczyć, jeśli znajdowałyby się po drugiej stronie. Cero wytłumaczył mu, że wszystkie przejścia są zablokowane przez specyficzny kod DNA. Kod, który posiadają jedynie anioły oraz ich klony. Był to rodzaj zabezpieczenia przed ucieczką ludzi.

Cero dotknął niewielkiego panelu i drzwi odsunęły się na bok, nie robiąc żadnego hałasu. Jersey wysunął powoli głowę i spojrzal na zewnątrz. Ukradkiem popatrzył w lewo, było czysto, ale kiedy obrócił głowę w drugą stronę, zauważył idących w jego kierunku dwóch wysokich Obcych. Prowadzili unoszący się nad ziemią metalowy stół lub łóżko. Nie zdążył zobaczyć, co na nim leżało. Schował migiem głowę do środka. Zamknął drzwi i oparł się plecami do nich. Przyłożył palec do ust, sygnalizując, żeby zachowywali się przez moment cicho.

Niewielka luka pod drzwiami przepuszczała wystarczającą ilość światła, żeby widzieć, co dzieje się po drugiej stronie. Dwa cienie pojawiły się w szparze przy podłodze i przystały. BB machnął ręką w bok, dając Jerseyowi do zrozumienia, żeby się natychmiast odsunął. Anglik oraz anioł stanęli obok Amerykanina. Przykleili się do ściany tuż obok wejścia. Łudzili się, że Szaraki postoją chwilę i pójdą dalej. Niestety.

Drzwi otwarły się. Najpierw do pomieszczenia wleciało lewitujące metalowe łóżko. Leżała na nim młoda dziewczyna o rudych włosach. Nieświadoma niczego, spała niewinnie. Owinięta była białym materiałem, zostawiającym miejsce na jej nagie nogi i odkryty brzuch.

Tuż po niej wmaszerowały do środka dwa Szaraki. Wchodząc do wnętrza, nie zwrócili uwagi na stojących przy ścianie nastolatków i chowającego się między nimi malutkiego anioła. Podeszli pod stół operacyjny i przystanęli do nich tyłem. Wyglądali inaczej. Ubrani byli w jasnoniebieskie kombinezony.

Ustawili lewitujące łóżko w pionie. Dziewczyna nie zsunęła się ani nawet nie drgnęła, będąc poddana jakiemś niewidzialnemu przyciąganiu. Stół operacyjny również ustawił się w pionie i złączył z łóżkiem. Następnie opuścił się w dół, przyjmując poziome nachylenie.

Jeden z Obcych wyciągnął długą igłę z palca i włożył w aparaturę. Wiszący pod sufitem wysięgnik zakończony pistoletem obniżył się w dół. Szarak chwycił go swoimi ohydnyymi, szarymi, połuskanymi dłońmi i coś poprzekręcał. Przeciągnął go jeszcze niżej i przystawił do brzucha kobiety. A dokładnie do jej pępka. Drugi Szarak udał się do przeciwległej półki i ściągnął jedną z fiolek.

Jersey popatrzył na BB, a następnie obaj na Cero. Nie chcieli pozwolić, żeby te dwa monstra zrobiły krzywdę niewinnej kobiecie. Anioł ostrożnie sięgnął po luk. Chciał cicho ich wyeliminować. Lecz kiedy go dotknął, wydał z siebie przeszywający pisk. Chłopaki chwycili się za uszy, a Szaraki momentalnie obrócili do nich. Jeden z Obcych zaskrzeczał przeraźliwie, a drugi ruszył prosto z wyciągniętymi igłami w ich stronę. Łuk zaświecił się na złoto i zaraz zgasł. Nie działał.

BB schylił się w dół, unikając przeszywania swojego mózgu ostrymi igłami. Szarak uderzył w ścianę i wbił w nią igły, klinując się przy okazji. Jersey rzucił się na niego i uwiesił na jego szyi. BB zablokował drugą rękę, która mierzyła w jego serce. Szarak starał się wyswobodzić ze ściany, ale zbyt głęboko w nią trafił. Siłował się do

tego równocześnie z dwoma nastolatkami. Jersey założył na jego głowie porządną uścisk i rozpoczął jego przyduszanie. BB natomiast robił wszystko, żeby odciągnąć jego drugą rękę. Obcy miał ją na wszystkie strony, plując do tego czymś zielono-szarym.

Cero odrzucił łuk na bok. Ugiął nogi i wyskoczył prosto na stojącego przy stole Obcego. Był dużo szybszy od Szaraka. Zanim tamten wyciągnął swoje ręce do przodu, Cero nie tylko powalił go na ziemię, ale zdążył zatopić w jego sercu płonące na złoto grube igły wystające z palców jego dłoni. Stał oparty na nim. Jego uśmiechnięta maska mieniła się ciepłymi barwami, odbijając palącą się broń.

Wyciągnął igły z jego ciała, patrząc jak życie z niego całkowicie uchodzi. Wsunął je z powrotem do środka, zostawiając jedynie jedną, w palcu wskazującym. Ruchy, które wykonywał, były bardzo powolne. Widać, że niechętnie odwoływał się do przemocy. Ukłękął przy nim i wbił zakończony igłą palec do jego oka.

Wysoki Szarak osłabł. Przestał się ruszać. Opuścił w dół ręce i osunął się na ziemię wraz z duszącym go chłopakiem. Jersey trzymał go jeszcze przez kilka sekund. Musiał się upewnić, że go dobrze przydusił.

Puścił go, przetarł czoło z potu i zbliżył się do stołu.

– Cholerne szare padalce – BB otrzepał się z lepkiej śliny, którą cały był wypaprzony.

– Co oni chcieli jej zrobić? – zapytał Jersey.

– Pokażę wam – odpowiedział bardzo surowo Cero i ruszył w stronę drzwi.

– Jak, w jaki sposób? Skąd nagle wiesz, gdzie iść?

– Odczytałem jego myśli – dodał, a jego głos malował się gniewem.

– Jak to zro... – Jersey nie dokończył, nie musiał usłyszeć odpowiedzi. Sam posklejał fakty. Popatrzył na Cherubina i chowającą się do wnętrza jego palca igłę, a zaraz potem na ociekającą krwią oko martwego Szaraka. Przypomniał sobie, jak wtedy po raz pierwszy został zaatakowany. Poprawił sobie opaskę, robiąc to całkowicie podświadomie. Teraz już wiedział, dlaczego nakłuli jego oko. Chcieli odczy-

tać jego wspomnienia i dowiedzieć się, dlaczego jako jedyni nie byli zatrzymani w czasoprzestrzeni.

– Mam już was dość, znajźmy Maggie i uciekajmy stąd – skierował swoje słowa do leżącego przy ścianie nieprzytomnego Szaraka. Kopnął go i wyszli z sali operacyjnej.

Cero wiedział dokładnie, gdzie iść. Nie potrzebował żadnej sondy, mapy ani wskazówek. Pobral wystarczającą ilość wspomnień, żeby poradzić sobie w białym labiryncie sali i korytarzy. Nie musieli też iść bardzo daleko.

Kilkanaście metrów dalej weszli do potężnego pomieszczenia. Wypelnione było identycznymi czarnymi pojemnikami z kobietami w środku.

Nie skradali się już więcej. Anioł szedł odważnym, pewnym krokiem, nie zważając na nic. Wyglądał na wściekłego, na tyle poważnie, że nawet uśmiechnięta maska nie była w stanie tego ukryć. Cokolwiek ujrzał w głowie tamtego Szaraka, wprawilo go to w prawdziwy szal.

Drzwi odsunęły się na bok. Cherubin wszedł do kolejnej sali. Trzech zaskoczonych Szaraków odwróciło się gwałtownie w jego stronę. Stali przy jednym ze stołów. Nie zdążyli nawet przyjąć pozycji bojowych, a Cero już skakał prosto na nich. Złote igły zapłonęły w jego rękach i kilkoma ruchami pozbawił całą ich trójkę życia.

– Szybciej – powiedział do chłopaków, kiedy opadł na ziemię. Nie chował zabójczych ostrzy, wiedząc, że to jeszcze nie koniec.

Wychodząc zza rogu, napotkał kolejną trójkę Obcych. OpieRALI się o jeden z czarnych pojemników. Anioł wziął ich z zaskoczenia. Podciął im nogi i wykończył ciosami w serca, wypalając w nich dziury.

Jersey i BB popatrzyli na siebie. Byli przerażeni. Ledwo mogli za nim nadążyć, a do tego stan, w jakim go widzieli, przyprawił ich o gęsią skórkę i przerażenie. Jersey chciał go zapytać, dlaczego się tak wściekł, ale zanim zdążył to zrobić, usłyszał w swojej głowie ostre i głośne słowo:

– Poczekaj! – zaraz po tym weszli do następnej sali i wtedy zrozumieli.

Patrzyli na rząd kilkudziesięciu przezroczystych, okrągłych zbiorników wypełnionych wodą. Wewnątrz nich unosiły się kobiety z maskami tlenowymi na ustach i nosie. Spaly. Było tam jednak coś, co wprawiło ich najpierw w osłupienie, a później w nieopisany gniew.

Kobiety miały lekko powiększone brzuchy.

– O co tutaj chodzi? – zapytał BB.

– Czy one są w ciąży?

– Tak i nie – odpowiedział Cherubin.

– To dlaczego mają takie brzuchy?

– Przygotowują je do pobrania komórek macierzystych z ich układów rozrodczych.

– Czyli co...?

– Popatrz tutaj – Cero wskazał palcem na potężną halę poniżej. Mogli ją doglądać przez szyby, patrząc z góry. Wypełniona była niewielkimi inkubatorami, wewnątrz których leżały małe szare istoty unoszące się swobodnie w wodzie. Pomieszczenie było bardzo duże i mieściło setki tych urządzeń. Wśród nich poruszały się dorosłe Szaraki doglądające porządku i bezpieczeństwa.

– Czy to są...?

– Tak, to jest potomstwo Grida. Już od dawna byliśmy świadomi, że kobiety z całego świata były porywane. Niektóre wracały, inne nie. Nie mogliśmy znaleźć przyczyny. Teraz już wszystko jest jasne. Grid porywa kobiety w celach rozrodczych. Kapsułki, które widzieliście wcześniej, służą do stymulowania komórek i wczesnego zapładniania. Podają je kobietom poprzez jamę brzuszną. Następnie czekają, aż dojrzeją i odzyskują z powrotem. Stąd też jego armia jest tak liczna. I jak widzicie, staje się coraz to większa.

– Rozwalę go! – zacisnął pięści BB.

– Ale skoro jest tak, jak mówisz, to jakim cudem udało mu się stworzyć taką armię w przeciągu kilku lat? Przecież te wszystkie osobniki były dorosłe – zastanawiał się Jersey

– Grid musiał opracować sposób genetycznego przyspieszania ich dorastania. Wybaczcie moje wcześniejsze zdenerwowanie, ale to, co tutaj zobaczyłem, bardzo mnie rozwścieczyło. Grid dokonuje strasznych rzeczy i musi być jak najszybciej zatrzymany. Co gorsza, to nie koniec, pozostało jeszcze jedno pytanie – po co mu są te wszystkie głowice nuklearne.

– Cero, proszę, powiedz, że wiesz, gdzie jest Maggie – błagał BB.

– Po to właśnie tutaj przyszliśmy. Wspomnienia, jakie odzyskałem, zawierały jedno bardzo świeże. Dotyczyło ono młodej, czarnej dziewczyny. Myślę, że tutaj leży wasza koleżanka.

– A czy ona była już...?

– Mieliliśmy dużo szczęścia, zaczęto ją przygotowywać, ale nie zdążyli

– wskazał palcem na martwych Szaraków na podłodze.

– Dzięki Bogu. Gdzie ona jest? – zapytał Jersey.

– Tutaj – odparł Cero i podszedł do zbiornika nienapełnionego jeszcze wodą. Obok unosiło się magnetyczne łóżko ustawione poziomo.

– Maggie! – Jersey podbiegł do niej pierwszy. Objął ją i złapał za buzię. Była nieprzytomna. Cero wykonał tę samą czynność, co z Andy. Chwytając ją za nogi, nakłuł ją igielkami, budząc ją natychmiastowo.

– UAAAAAAAAAAAAAAAAAH – czarnowłosa dziewczyna wciągnęła głośno i głęboko powietrze, krzycząc przy tym równocześnie.

Otworzyła szeroko oczy i usiadła wyprostowana.

– Maggie, to my, spokojnie – odezwał się stojący obok niej Jersey.

– Jer...sey...? Gdzie ja jestem? – zapytała skolowana.

– Opowiemy ci wszystko w drodze, musimy teraz iść.

Chwyciła się za głowę, zamrugwała oczami, przeciągnęła się do tyłu, przelknęła mocno ślinę i rozejrzała się wokół siebie. Nie wiedziała, gdzie jest. Była rozkojarzona i bardzo zmęczona.

– Dlaczego tutaj jest tak zimno? Gdzie są moje ciuchy? – zapytała.

– Trzymaj, proszę, weź to – BB ściągnął z siebie swój podkoszulek i położył na jej ramionach. Okryta była jedynie białym cieniutkim materialem odsłaniającym jej brzuch oraz nogi od kolan w dół.

– Może nie pachnie najlepiej po całym dniu biegania, latania, strzelania, spadania, uciekania i ratowania ukochanej, ale powinien cię tro-



chę ogrzać – zażartował, starając się podnieść ją na duchu.

– To było tanie – powiedział cicho Jersey.

Maggie zmrużyła oczy i dopiero po chwili doszło do niej, że patrzy na swojego bylego chłopaka. Spojrzała w jego zielone tęczówki i zaczesane do tyłu włosy. Pokierowała swój wzrok niżej na jego nagą klatkę piersiową i umięśniony brzuch. Potem popatrzyła na stojącego obok Jersey'a.

Momentalnie poczuła się zażenowana, wiedząc, że jest w tarapatkach.

– Nie, dziękuję, zostaw to na sobie – odpowiedziała i oddała mu koszulkę.

– Musimy wracać – odezwał się telepatycznie Cero.

– Kto to powiedział? – zapytała zaskoczona.

– To jest nasz...

– Kto to jest? Hej? – odsunęła się do tyłu, zauważając równającego się wzrostem z jej łóżkiem anioła.

– Witaj, nie mamy teraz czasu. Twój przyjaciele po drodze ci wszystko wytłumaczą. Musimy ruszać. Naprawdę – powiedział subtelnym głosem.

Maggie zerknęła na obu chłopaków i widząc ich przytakujące głowy, zdecydowała się go posłuchać. Stała ciężko na nogach i zachwiała się na boki. Była bardzo słaba. Złapali ją natychmiast.

– Nie, w porządku, mogę iść sama. Dajcie spokój – odepchnęła ich rękami.

– Jesteś pewna? Wyglądasz na wyczerpaną – upewniał się Jersey.

– Jestem pewna. Chodźmy.

## Rozdział 19

### Grid

Wracając do wejścia, które Cero wcześniej zrobił w suficie, BB i Jersey tłumaczyli Maggie w skrócie wszystko, co do tego momentu się wydarzyło. Z początku nie mogła uwierzyć, ale gdy patrzyła na zwinną, białą istotę w masce oraz sterylne pomieszczenia wypełnione obcym medycznym sprzętem, wiedziała, że ma to jakiś sens.

Po spotkaniu z Andy, Ice'em, Sierżantem i Pigulą była już pewna, że historia, którą jej opowiedzieli, musiała być prawdziwa. Usłyszała o wszystkim: o piramidzie, smokach, szarakach, klonowaniu, o mieście zbudowanym wewnątrz gigantycznej kuli, nawet o mikrosłońcu, które w niej świeciło. Jednak nic na niej nie zrobiło większego wrażenia niż sam fakt, że BB oraz Jersey odważnie pospieszyli jej na pomoc, ryzykując przy tym życie. Miała ich ochotę przytulić i mocno ucałować, wiedziała jednak, że nie było ku temu czasu i miejsca. Musieli bowiem się spieszyć i uciekać.

Sierżant nachylił się i wyciągnawszy w dół swoją umięśnioną i pokrytą posiwiiałymi włosami rękę, powiedział do stojącego niżej Ice'a:

– Dawaj, synu, nie mamy czasu. Wszyscy są u góry.

– A co z tymi kobietami? Zostawimy je tutaj?

Andy zwróciła na niego swoje niebieskie oczy i wzruszyła się. Ice od całkowicie obcego jej chłopaka stał się niemalże bohaterem w jej oczach. Bronił ją kilkakrotnie przed Szarakami. Uratował ją i zaniósł na rękach do samolotu. Niemalże poświęcił dla niej życie, broniąc przed okropnym białym nieludzkim stworem. Przybył i odzyskał ją z głównej bazy Obcych. Teraz jeszcze zamiast uciekać i ratować swoją skórę, stanął i zastanawiał się nad losem obcych mu kobiet.

- Mój piegowaty bohater – powiedziała do siebie i westchnęła łagodnie.
  - No właśnie, co z tymi kobietami? Pozostawimy je na pastwę okrutnych Szaraków? – zapytał Jersey i zwrócił się twarzą do Cherubina.
  - Jeśli je uwolnimy, to nie starczy nam czasu żeby je obudzić. A gdy świadomość już do nich wróci, wpadną w panikę. Zostawmy je tutaj. Jak tylko będę mógł, wezwę pomoc i je uratujemy. Wrócimy po nie. Obiecuję – odpowiedział spokojnym, telepatycznym głosem.
  - W jaki sposób wezwiesz pomoc?
  - Jak tylko rzeczywistość wróci do swego stałego rozmiaru i będę miał wgląd w czyste niebo, będę mógł wysłać wiadomość.
  - Obiecujesz, Cero? – upewniał się Ice.
  - Obiecuję.
  - Dawaj chłopcze. Obietnica anioła to pierwsza liga obietnic. Jestem pewien, że jej dotrzyma – powiedział Sierżant i złapał Ice'a za rękę, po czym wciągnął go do góry.
  - Teraz szybko. Zwiewajmy stąd, póki jeszcze nas nie wykryli – powiedział BB.
  - Za mną – usłyszeli głos anioła i poszli jego śladem.
- Doszli do wejścia od grobowca. Cero położył dłoń na drzwiach, ale nawet nie drgnęły. Opuścił rękę powoli w dół i obrócił głowę na bok. Niepokój wyraźnie zaczął ujawniać się w jego zachowaniu.
- Co się stało? Dlaczego nie wychodzimy? – zapytał BB.
  - Nie możemy. Drzwi są zablokowane.
  - Jak to? Dlaczego? – przejął się Piguła.
  - Możliwe, że przez detonację i wyrwanie bloku w podłodze coś mogło naruszyć mechanizm otwierający.
  - Panie aniołku, a dlaczego by nie użyć tej fantastycznej broni, którą nosisz na plecach? Z łatwością poradziłaby sobie z takimi drzwiami – zainteresował się Sierżant J.
  - Łuk świetny odmówił posłuszeństwa. Nie jest już sprawny – odpowiedział Cherubin.

- Dlaczego, co się stało?
- Uległ awarii. Dawno nie był używany, więc nie wytrzymał.
- Co za szkoda. To był taki wspaniały oręż – J. posmutniał.
- Co więc robimy? Może powinniśmy iść wzdłuż tych kabli? – zaproponował Jersey.
- Właśnie, po co w grobowcu kable? – zapytała Andy.
- To są pozostałości po pracach, jakie Grid tutaj przeprowadzał.
- Jakich pracach?
- Badał coś. Chodźmy musimy znaleźć inne wyjście – ruszył wzdłuż mrocznego, podświetlonego na niebiesko korytarza.

Krocząc po pokrytej kurzem twardej skalnej posadzce, Maggie trzęsła się z zimna. BB oraz Jersey zaproponowali jej, że ją obejmą, ale mimo tego, że bardzo tego chciała, nie mogła się zgodzić. Nieważne, kogo by wybrała, drugi z pewnością czułby się urażony. Nie mogła na to pozwolić, musieli być skupieni i działać jak drużyna. Nie chciała, żeby zazdrość wkradła się pomiędzy nich. Z pomocą przysłała jej niespodziewanie Andy, która o nic nie pytając, mocno ją przytuliła.

- Nie złośmy się na siebie więcej, OK? – uśmiechnęła się blondynka.
- Dobrze – odpowiedziała zaskoczona Maggie.
- Przepraszam, że byłam dla ciebie taką jędzą. Nie znalazłam cię. Byłam głupia. Mam nadzieję, że jak wyjdziemy z tego wszystkiego cało, nie będziesz miała do mnie pretensji. Co?
- Jasne. Daj spokój, nie ma, o czym mówić. Dziękuję.

Objęła mocno czarnowłosą dziewczynę i oddała jej trochę ciepła. Popatrzyła na idącego z przodu Ice'a i zarumieniła się, kiedy zwrócił na nią uwagę i niewinnie się uśmiechnął.

BB i Jersey szli obok dziewczyn. Obaj myśleli i czuli to samo. Byli bardzo szczęśliwi, że udało się im odbić Maggie i Andy. Wdzięczność, jaką czuli wobec Cero, była nieopisana. Jersey skierował myśli bezpośrednio do anioła i wewnętrznie mu podziękował. Wiedział, że go usłyszy. Cero przekręcił głowę na bok i kiwnął minimalnie maską.

Gruby kabel zaprowadził ich do okrągłej ciemnej sali o kopułowym sklepieniu. Niewielka luka w suficie wpuszczała do środka wąski promień światła, rzucający blask na stojący na środku sześciokątny nagrobek. Podeszli pod niego.

– Co to jest? – zapytała Maggie patrząc na nieopisany, skromny, prymitywnie wyglądający kamienny grób.

– Kto tutaj leży? – zastanawiał się Ice.

– Wasz twórca – odezwał się nieznanym im dotąd głos.

Odwrócili się natychmiastowo i oczami doszukiwali się jego źródła. Mrok wtulił się w brzegi okrągłych ścian, zasłaniając chowającą się tam postać.

– Kim jesteś? Pokaż się! – powiedział Sierżant.

– Nie czujecie tego zapachu? Tej energii? – niski, basowy, męski, zachrypnięty głos odezwał się ponownie.

– Wyjdź z cienia, Grid – powiedział telepatycznie anioł.

Dziewczyny, słysząc jego imię, wystraszyły się i przygłębły jeszcze bliżej siebie. Bały się go straszliwie. BB, Jersey i Ice stanęły przed nimi, zasłaniając je swoimi ciałami.

– Pokaż się, tchórze. Nie chowaj się w cieniu – odezwał się BB.

– Czyż to nie ironiczne? Nawet nie macie pojęcia, gdzie się znajdujecie. Ludzkie zmysły przez tysiące lat całkowicie otepiały. Widzę to teraz doskonale. Kiedyś człowiek był w stanie wyczuć, co się wokół niego znajduje, bez używania oczu czy uszu.

– Skończ z gierkami! Pokaż się w końcu! – krzyknął Jersey.

– Nie powinienesz krzyczeć w takim miejscu.

– O czym ty mówisz? – zapytała w końcu Maggie.

– Cóż za rozczarowanie. Najbystrzejsza dziewczyna i nie ma najmniejszego pojęcia o niczym – wysoka biała postać wyszła bardzo powoli z mroku. Jej czarne ślepia odbiły spadające w dół światło i rozbłysły na moment. Nosił szary przylegający kombinezon oraz buty tego samego koloru. Podwinięte do łokci rękawy odsłaniały białe jak prześcieradło chude ręce, które swobodnie zwisały wzdłuż tułowia. Jasna ceramiczna twarz nacechowana małymi uszami, niewielkim nosem i ogromnymi oczami, upiornie kontrastowała z czarnym

tlem.

– To jest grobowiec Humanero. Anioła, który brał udział w projektowaniu człowieka – odezwał się w końcu Cero.

– Co? – wszyscy jednakowo zareagowali.

– Tak, jesteśmy waszymi współtwórcami – anioł powiedział łagodnie. – Zaskoczeni? Wicie, że kiedyś ludzie nie musieli niczego czytać ani słuchać, żeby po prostu wiedzieć, co robić i gdzie są. Millenia sprawiły, że rodzaj ludzki nabawił się istnej amnezji. Nie tylko nie pamięta, skąd pochodzi, ale również nie wie nawet, w jakim celu żyje. Wszyscy pytają o sens egzystencji. To jest nie tyle śmieszne, co żałosne. Każda istota to wie, oprócz was, ludzi – kontynuował Grid w cyniczny i trochę prześmiewczy sposób.

– Co to w takim razie jest za miejsce? – zastanawiała się Maggie.

– Powiedz jej, mój bracie – Grid odezwał się do Cherubina, odczytując myśli dziewczyny.

– Jak on mnie usłyszał?

– To jest telepata – BB zmrużył nerwowo oczy.

– Wiesz, gdzie jesteśmy, prawda? Domyśliłeś się? – przywódca Szaraków podszedł bliżej anioła.

– Jesteśmy w Veen. Siódmym mieście aniołów – odpowiedział telepatycznie tak, że wszyscy go usłyszeli.

– Veen? – zapytał głośno Ice, na co Grid uśmiechnął się, ukazując duże, białe, kwadratowe zęby. Nie pasowały kompletnie do jego jajoratej głowy i owalnych oczu.

– Tak, Veen, starożytne miasto archaniołów. Budowniczych słońc i nowych istnień. Jak odnalazłeś to miejsce? – zapytał Cero.

– Jak to jak? Było tuż pod moim nosem. Zakopane pod biegunem.

– Nasz Pan zabronił nam poszukiwań, po pierwszej Anielskiej Wojnie.

– Wasz Pan może wam zabronił. Moim Panem byli ludzie, którzy sztucznie mnie stworzyli. Nie służę nikomu, a na pewno nie jemu.

– Wszyscy jesteśmy jego dziećmi – odezwał się anioł.

– To nieprawda. Ja jestem dzieckiem nauki, chaosu, żądy władzy i przemocy. Stworzony przez człowieka, wyszedłem z próbowki. We-

dług człowieka nie posiadam również duszy, bo jestem zwykłym klonem. Jak mógłbym być jego dzieckiem? – zapytał Grid.

– To nieprawda. Wiesz o tym! Musisz o tym wiedzieć. Odziedziczyłeś naszą wiedzę i wspomnienia. Wiesz, jak funkcjonuje życie. Dlaczego tak mówisz? Jesteś jego dzieckiem. Nie wyrzekniesz się tego – uniósł się Cero.

– Haha, po co te się nerwy? Jestem, kim jestem, tego już nie zmienisz – rozłożył szeroko ramiona.

– Dlaczego stworzyłeś rozmnażalnie swoich pomiotów tuż pod świętym miejscem? Oszalaleś?

– Szaleństwo nie ma nic do rzeczy. Natura potrafi być bardzo okrutna i ironiczna. Dlatego postanowiłem iść w jej ślady i zbudować własną rasę i dać im dom w miejscu, które kiedyś należało do współtwórcy człowieka.

– Co ty zamierzasz zrobić? – zapytał niepewnym tonem Cherubin.

– To proste. Poprawić anielski plan.

– Mam dość tego heretyckiego gadania, zaraz go dorwę i utnę mu ten zdradziecki, ohydny biały czerep – Sierżant warknął przez zaciśnięte zęby i po kryjomu wysuwał potężny nóż zza pasa.

– Alfredzie, wstrzymaj się. On ma przewagę – komandos usłyszał w swojej głowie.

– Jaką przewagę? Jest nas osiem do jednego – uśmiechnął się Sierżant.

– Mylisz się, człowieku – Grid podniósł rękę do góry. Z mroku wyłoniła się liczna grupa Szaraków. Skrywali się tam przez cały czas, czekając na rozkaz swojego przywódcy. Przysunęli się bliżej i zacieśniając koło, otoczyli wszystkich. Dziewczyny pisnęły z przerażenia. Sierżant natomiast mruknął pod nosem. Zastanawiał się bowiem wcześniej, dlaczego Cherubin go nie zaatakował. Teraz już wiedział, że musiał wyczuć pozostałych Obcych.

– I jak sprawa wygląda teraz, żołnierzu? – uśmiechnął się Grid, mówiąc dalej – Myślałeś, że będziecie mogli niepostrzeżenie wkraść się do mojego domu i wyjść niewidzialni? Mielicie mnie za głupeca?



G  
rid



Wiedziałem, że tutaj wrócić. Czekalem na was – Grid skierował palec na grupkę zbitych, przestraszonych ludzi oraz małego anioła.

Szaraki rzuciły się natychmiast na nich. Było ich tak wielu, że ani Sierżant, ani Cero, ani żaden z chłopaków nie mógł nawet przez chwilę stawić żadnego oporu. Wysokie, szkaradne istoty obezwładniły ich jeden po drugim i dusząc swoimi wielkimi szarymi łapskami, sprawili, że stracili przytomność.

BB, zanim zemdlął, patrzył jeszcze na osuwające się w ciemność duże oczy Maggie. Z całych sił starał się wyrwać z ucisku kilku Szaraków, ale nie podolał ich sile. Widział jeszcze przez moment, jak Grid do nich podchodzi i patrząc z bardzo bliska, uśmiecha się szeroko. BB nie bał się, lecz był wściekły, nie mógł doczekać się momentu, aż wymierzy sprawiedliwość tej paskudnej istocie.

Maggie otworzyła oczy. Siedziała przy długim drewnianym stole. Tak się jej przynajmniej wydawało, ponieważ dotykając go, skojarzył się jej z drzewem. Kolorem go jednak nie przypominał. Solidny gruby blat i powykręcane nogi miały jasnoniebieski kolor.

Stół zastawiony był dziesiątkami różnych naczyń wypełnionych najdziwniejszymi potrawami i owocami. Spośród kilkunastu, którym dobrze się przyjrzała, tylko jedno mieściło w sobie owoce tak dobrze jej znane. Czerwone jabłka.

Zatraciła się na moment w rozkosznych widokach, żeby dopiero po chwili oprzytomnieć i zwrócić uwagę na siedzących obok niej przyjaciół. Wybudzali się jeden po drugim. Zdezorientowani, od razu ulegali czarowi pełnego, kolorowego stołu. Głód przyćmiewał ich zmysły i zmuszał do myślenia najpierw brzuchem, a później głową.

Po jej lewej stronie siedział Jersey, natomiast po prawej BB. Obaj wpatrzeni byli w przezroczyste szerokie kieliszki zalane białym musem, płynną czekoladą i udekorowane czerwonym owocem o kształcie kobiecych ust. Chciała coś do nich powiedzieć, ale zanim to zrobiła, coś przyświeciło jej w oczy.

Obróciła głowę, szukając źródła światła i wtedy spostrzegła, że pomieszczenie, w którym zasiadali, było ulokowane bardzo wysoko i do tego całe przeźroczyste. Zakręciło się jej porządnie w głowie i instynktownie złapała się stołu, gdy dojrzała wiszące daleko nad nią budynki, ustawione do góry nogami. Przypomniała sobie wtedy o tym, jak chłopcy wspominali jej o mieście zbudowanym wewnątrz ogromnej kuli.

– Maggie, wszystko w porządku? – zapytał ją Jersey.

– Tak... tak mi się wydaje – odpowiedziała niepewnie.

– Źle się czujesz? – BB dotknął jej ramienia.

– Jak my się tutaj znaleźliśmy? Pamiętam, że zostaliśmy obezwładnieni przez te potwory. Później wszystko stało się czarne. A teraz jesteśmy tutaj.

– Musieli nas tutaj przyprrowadzić – odezwała się siedząca niedaleko Andy.

– Ale w jakim celu? Jeśli Grid chciał się nas pozbyć, mógłby zrobić to bez żadnych przedstawień i kolacji.

– Nie wiem, jaki ma w tym plan. Ale to wszystko jest podejrzane – wtrącił się do rozmowy Jersey.

– Czemu tutaj siedzimy? Uciekajmy! – Maggie podniosła głos.

– Próbowaliśmy. Nie możemy – odrzekł BB.

– Dlaczego?

– Popatrz na swoje nogi – Maggie opuściła głowę i zerknęła na szare buty.

– Co to za buty?

– Magnetyczne. Nie możemy ruszyć się z miejsca.

– A niech to!

– Co to za pomieszczenie? – zapytała Andy.

– Jesteśmy na szczycie jakiejś wieży, bardzo wysoko ustawionej wewnątrz kulistego miasta – zauważył Piguła i chwycił do ręki dwudziestocentymetrowego pączka.

– Jesteś pewien, że to nie jest trujące? – zapytał Ice.

– Nie jestem pewien – wzruszył ramionami i ugryzł go solidnie, dodając:

- To już będzie drugi, więc tak czy inaczej za późno. Poza tym i tak nie mogę stąd uciec, więc czemu mam nie skorzystać? – uśmiechnął się, pokazując wypchane ciastem zęby.
- Ostrzegalem go, ale jak zwykle mnie nie posłuchał. Jestem pewny, że te wszystkie przysmaki naładowane są kwasami i psychotropami – wzruszył ramionami żołnierz.
- Nie gadaj, że nie zjadłbyś takiego pączka? – uderzył go w ramię tłuścioch.
- Zjadłbym, ale nie tutaj. Jesteśmy w niewoli. Nie zapominaj o tym. Nie ufam przeterminowanym żelkom, co dopiero ciastom, które one pieką.
- I po raz ostatni ci mówię, żebyś nie mówił mi na „ty”!
- Niesamowite, czy ta świecąca ogromna kula to... – odezwała się Maggie.
- Tak, to jest gwiazda. Znaczący słońce – Jersey wskazał na wiszącą niedaleko nad nimi ognistą kulę.
- Jak to się dzieje, że ona nas nie spala? Nasze słońce już z tak daleka oddaje nam ciepło. To mamy w zasięgu ręki, a energia, jaką emituje, jest wręcz idealna. To jest niesamowite – uśmiechnęła się, patrząc na miniaturową wersję znanej jej gwiazdy. Mogła mieć około pięciuset metrów średnicy i mieniła się wszystkimi odcieniami żółtego i złota.
- Zaraz, gdzie jest Cherubin? – zapytała Maggie.
- Tam siedzi. Nie porozumiewa się z nami. Nie wiem nawet, czy żyje. Nie rusza się w ogóle – powiedział Ice i wskazał palcem na wystającą z nad końca stołu maskę anioła.
- Światło nagle przygasło, a słońce skurczyło się o połowę. Poczuli się dziwnie. Zakręciło się wszystkim w głowach i zaczęło się im wydawać, jakby wszystko nagle przyspieszyło tysiąckrotnie. Zaraz po tym zwolniło.
- Co to było? Czuliście to? – pokręcił głową BB.
- Słońce zrobiło się mniejsze! Co się stało? – zastanawiała się Maggie.
- Czasoprzestrzeń się skurczyła do normalności.
- Co się skurczyło? – zapytał tłuścioch.

– Na pewno nie twój brzuch! – odezwała się Andy. Nie traciła ani wiary, ani humoru.

– Czas wrócił do normy – dodał Jersey, ale zanim zdążyli odpowiedzieć, jedyne drzwi wejściowe stanęły nagle otworem.

– Witajcie – odezwał się niski głos.

Grid maszerował śmiało przed siebie wciąż z szerokim uśmiechem na ustach. Dwóch Szaraków go eskortowało. Podeszli do stołu i stanęli obok zasiadającego przy jego końcu przywódcy.

– Po co ta kolacja? W co ty pogrywasz? Czemu nas od razu nie stracisz? Przechytrzyłeś nas. Wygrałeś – wypalił Sierżant.

– Spokojnie, wojowniku. To nie jest żaden podstęp. Zdecydowałem, że zaproszę was na uroczystą kolację. Wigilię, można by rzec.

– Z jakiej okazji? Porywania setek kobiet i produkowania z nich małych potworków, czy może tworzenia megabombby nuklearnej? – zapytał Jersey.

– Z okazji nowego porządku, który zaczynam wprowadzać od zaraz.

– Dlaczego chcesz zniszczyć ludzi? – zapytał telepatycznie anioł.

Wszyscy zwrócili swoje oczy na Cherubina. Jersey ucieszył się, że usłyszał w myślach jego głos. Bał się o Cero.

– Dlaczego myślisz, że chcę zniszczyć ludzi?

– Nienawidzisz ich. Gardzisz nimi. Wyśmiewasz ich. Po co innego miałbyś zbierać bomby nuklearne?

– Mylisz się. Więcej we mnie genów anielskich niż ludzkich. Ja nie czerpię radości z zabijania tak jak ludzie. Nie mam zamiaru ich zniszczyć. Przynajmniej nie od razu. Teraz są mi potrzebni.

– To dlaczego przez cały dzisiejszy dzień chciałeś nas wyeliminować?

– zapytał głośno BB.

– Za dużo widzieliście. Nie powinno was tutaj w ogóle być. Wiem już, że to dzięki technologii opracowywanej przez waszą armię przypadkiem nie zostaliście zatrzymani jak wszyscy inni. Dziękuję za to koledze – uklonił się w kierunku Jersey'a i popatrzył na opaskę przewieszoną przez jego oko, po czym kontynuował:

– To nie był jedyny przypadek, który mnie dzisiaj zaskoczył. Przez lata udawało nam się unikać kontaktu z moimi starszymi braćmi, aż

tu dzisiaj trzy maszyny naraz uwięziliśmy w naszej czasoprzestrzeni. Cero, mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego musiałem ich zniszczyć. To wszystko, co tutaj mam, musi pozostać tajne. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. To jest zbyt ważne dla całego wszechświata. Stąd też wydaję kolację. Na waszą cześć. Nie chciałem tego robić w okrutny sposób, ale będziecie musieli zginąć

Jersey popatrzył na Maggie i zadrzał w trwodze. Przestraszył się.

– Spokojnie. Jako że nie ma czegoś takiego jak przypadek, wierzę, że wasza obecność dzisiejszego dnia ma jakieś znaczenie. Znaczenie, jakiego nie mogę się na razie dopatrzeć. Nie mniej jednak, będę litościwy. Dostaniecie wybór. Życia lub śmierci. Decyzja będzie należeć do was. To samo się dotyczy ciebie, starszy bracie – zwrócił się do anioła, bawiąc się przy tym owocem przypominającym wiśnie.

– Nie chcemy żadnej łaski od ciebie! – Sierżant podniósł głos.

– W porządku. Szanuję twoje zdanie. A co sądzi reszta? Czy również chcecie zginąć?

– Jaki mamy wybór? Wytlumacz nam – odezwał się BB.

– Daruję wam życie pod warunkiem, że zostanieie tutaj ze mną w Veen – uśmiechnął się szeroko.

Maggie popatrzyła na twarze swoich przyjaciół. Byli wystraszeni i przejęci. Uwięzieni i zastraszeni. Okradzeni z nadziei, nie wiedzieli, jaką decyzję należy podjąć.

– Co ty wiesz o Veen? – Cero rzekł poważnym tonem.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz? – Grid wyciągnął dłonie w jego kierunku. Ruchy, jakie wykonywał, były bardzo szybkie i płynne.

– To miasto jest przeklęte. Zapoczątkowało świętą wojnę. Miliony aniołów przez nie zginęło. To miejsce powinno być zamknięte i schowane na wieki.

Marzeniem Archanioła Humanero było stworzenie istoty, która mogłaby współegzystować z zagubionymi i osamotnionymi aniołami. Z pomocą Ojca udało mu się. Stworzył mężczyznę. Istotę idealną. Wszyscy byli nim zachwyceni. Tak bardzo, że z jego kodu zrodzili kobiety. Istotę jeszcze bardziej idealną. Ojciec był szczęśliwy, tak jak



jest wewnątrz nich. Uran i pluton. Pierwiastki, które bardzo trudno znaleźć. Wielokrotnie wysyłałem sondy po całym świecie i wywiercałem niewielkie dziury w lasach, pustyniach, górach i oceanach, szukając tych zbawiennych cząsteczek. To trwało zbyt długo. Ludzie tak wiele tego już nagromadzili, że prościej było im to odebrać. Jak to mawiają ludzie – jak dziecku lizaka, nieprawdaż? – znów się uśmiechnął.

– Po co ci uran i pluton? – zapytała Maggie.

– Popatrz do góry. Widzisz tę małą piękną gwiazdkę?

– Mhm – dziewczyna przytaknęła.

– Wiesz, że to cudencko jest żywe?

– Słucham? – otworzyła szeroko oczy.

– Tak, dobrze słyszałaś. Żywe. Ludzie myślą, że tylko to, co rusza jadaczką, jest czymś żywym. Nieprawda. Słońce jest organizmem. I to bardzo głodnym. Myślisz, że odżywia się płatkami kukurydzianymi albo pączkami? – popatrzył na nieprzytomnego z przejedzenia Pigulę. Jego głowa odchyłona była do tyłu, z ust wystawał mu kawałek ciasta, a w rękę pozostał mu już tylko malutki kawałek pączka.

– Karmisz słońce plutonem? – zapytała niepewnie.

– No, w końcu jakieś błyskotliwe pytanie. Tak, karmię je plutonem, i nie tylko nim. Moje słoneczko bardzo lubi również uran, tor, rad i astat. Ma dość ścisłą dietę – Grid wstał z krzesła i podszedł pod przeźroczystą ścianę. Złączył ręce na swoich plecach i ustawił się przodem do palącej gwiazdy.

– Ach, czyż ona nie jest piękna? – zanucił pod nosem.

– W jaki sposób udało ci się stworzyć słońce? – zapytał Cero.

– Ja je uratowałem, nie stworzyłem. Po odnalezieniu porzuconego miasta Veen ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu odnalazłem w nim życie. Przetrwało próbę dwustu tysięcy lat. Niewielka gwiazdka o wielkości zaledwie małej pomarańczy. Porzucona i samotna. Musiałem się nią zająć. Była tak samo potraktowana jak i ja. Piękna i skrzywdzona. Idealna.

– Jesteś szalony. Zakrzywasz czasoprzestrzeń, żeby wykradać głowice nuklearne. Nawet nie potrafisz stworzyć samicy w swoim nowym

gatunku. Musisz porywać ludzkie kobiety w celach rozrodczych. Myślisz, że tak robią istoty idealne? – Maggie podniosła głos.

– Przecież nikogo przy tym nie krzywdzę. Kobiety wracają całe i zdrowe do swoich domów. Nawet nic nie pamiętają. Co do bomb nuklearnych, to oddaję tylko temu światu przysługę. Gdyby nie ja, ludzie już dawno by się wysadzili w powietrze. Jeśli chodzi o samice, to już jest trudniejszy temat, ale pracuję nad nim.

– Nie rób z siebie bohatera. Powiedz wprost, co zamierzasz! – nalegał Cero.

– Wprost? Dobrze, powiem wprost. Najpierw udoskonale swój gatunek. Zniszczę anioły, a na końcu ludzi – podniósł dłonie na wysokość swojej twarzy i popatrzył na paznokcie jak gdyby nigdy nic.

– Mój plan to nic złego. To zwykła ewolucja. Jeden rodzaj istot zastępuje następny. Mocniejszy. Doskonalszy. Po co we wszechświecie anioły i ludzie, skoro będą Gridowie? Ojciec to wtedy zauważy. Zrozumie mnie i pokocha. Jestem tego pewien.

– Kim jest ten Ojciec, o którym mówicie? – zapytał Jersey.

– Jak to kim? Ojcem! Pierwszym Aniołem – odpowiedział Grid.

– W jaki sposób masz zamiar nas pokonać? Nie masz na tyle siły, żeby tego dokonać. Nawet dzisiaj grupka dzieciaków poradziła sobie z dziesiątkami twoich pomiotów. Posłuchaj samego siebie. To jest szaleństwo. Oddaj się w nasze ręce, póki nie jest za późno. Pomozemy ci – powiedział Cero.

– Wspominałem już wcześniej, że dzisiaj jest uroczysta kolacja. Kolacja poprzedzająca wielkie święto. Moje słoneczko zostanie dokarmione ostatnią serią plutonu i wejdzie w okres dojrzałości. Wiedzie, co to będzie oznaczało? Powiem tylko tyle, że troszkę się mu urosnie. Oczywiście, jako że jestem dobrym ojcem, będzie mi bardzo smutno, kiedy je wypuszczę na wolność. Ale cóż, tak ma każdy rodzic patrzeć, jak jego dojrzałe dzieci opuszczają dom – mówił o tym w bardzo lekki sposób. Jeden z Szaraków nalął mu pełny kielich niebieskiego napoju. Wypił go do dna.

– O czym on mówi? – Jersey zapytał Maggie.

– Nie wiem, ale na pewno o niczym dobrym.



– Nie rozumiecie? Nie szkodzi, pokażę wam – Grid wskazał palcem na palące się słońce. Kilkadziesiąt skrzyń prowadzonych przez niewielką świecąca kulę unosiło się prosto w kierunku małej gwiazdy.

– To są te skrzynie z naszej bazy! – Jersey wskazał palcem.

– A niech mnie! – poderwał się Sierżant.

– Spokojnie. Teraz już nic na to nie poradzicie. Po prostu delektujcie się widokiem. Po pochłonięciu tych głowic ta wspaniała sfera lekko przygaśnie, żeby później nagle zapłonąć dojrzałym, doskonałym żarem. Kiedy to zrobi i wytworzy odpowiednie ciśnienie, po kilkunastu minutach wystrzeli i rozpocznie swój dziewiczy lot.

Ciemna powłoka otaczająca słońce zanikła. Lewitujące skrzynie, wlatując w gwiazdę, odbierały jej natężenie światła. Kiedy ostatnia zatopila się w jej gorącu, słońce stało się czarne. Na jej środku pulsowała niewielka pomarańczowa plamka. Mrok objął całe kuliste miasto. Jasna przestrzeń została spowita ciemnością. Jedynym źródłem światła było teraz świecące się niebieskie podłoże, które mieszając się z czernią, stworzyło błękitny pół mrok.

Spora część miasta tuż nad słońcem rozsunała się i otworzyła szeroką na kilkaset metrów przestrzeń w kształcie tunelu. Na jego końcu dostrzegli na przemian mieniające się jaskrawo niebieskie i zielone gigantyczne linie, falujące pośród tysięcy małych białych punkcików. Szpic gigantycznej czarnej piramidy rozdzielił się na cztery części, otwierając się na kosmos i pokaz zorzy polarnej.

– Drogi aniolku. Dziś nadszedł dzień, kiedy wysłę moje słoneczko prosto do konstelacji Oriona.

– Nie ośmielisz się! – po raz pierwszy usłyszeli wyraźny telepatyczny krzyk Cherubina.

– A tam nie ośmielę. Dlaczego miałbym się nie ośmielić? – uśmiechnął się szeroko Grid.

– Co się stanie? Co jest w konstelacji Oriona? – zapytał Ice.

– Konstelacja Oriona jest domem aniołów. Można powiedzieć, że stolicą. Jeśli on naprawdę się odważy i zrobi to, co powiedział, nikt nie będzie przygotowany na obronę. Słońce wleci w naszą galaktykę i zrobi spustoszenie niczym piorun kulisty wpadający przez otwarte

okno do pustego domu.

– Czyli co? – zapytał Piguła, który nagle się przebudził.

– Czyli zostanie tylko popiół – odpowiedziała Maggie. Popatrzyli na siebie z wyraźnie przejętymi wyrazami twarzy.

– No co? Na razie potrzebuje tylko ludzi. Co się stanie, kiedy zginie trochę aniołów? Oni są beużyteczni tak czy inaczej. Więc jak? Zostajecie ze mną w Veen, czy wolicie zginąć?

– Dlaczego chcesz zniszczyć ludzi? Co oni ci takiego zrobili? – zapytała Andy w prosty i niewinny sposób.

– Oprócz tego, że zrobili... mnie, to popełnili miliony błędów, które były im wybaczone w każdym kolejnym pokoleniu. Ludzie nie potrafią uczyć się na własnych błędach. Są niedoskonalą. Po co w doskonałym wszechświecie niedoskonalą istotę? Muszę poprawić anielski plan.

– Masz rację, nie jesteśmy doskonali. Nigdy nie pragnęlibyśmy nawet tacy być. Takie jest życie, musimy robić głupie rzeczy, popełniać błędy, musimy cierpieć, spadać w dół i uderzać o dno. To jest część naszej egzystencji. Tacy się urodziliśmy, żebyśmy się mogli czegoś nauczyć. Gdyby nie porażki, nie mielibyśmy motywacji do walki i zdobywania zwycięstw. Nie można zaprogramować istoty, żeby rodząc się, była nieskazitelna i niezrównana. Gdybym nie był skończonym idiotą, gdybym nie zostawił swojej ukochanej dla idiotycznego powodu, nigdy nie poczulbym, co to znaczy mieć złamane serce, mimo że sam serc złamałem wiele. Płacę za to srogą cenę każdego dnia, płacząc za nią. Ale lzy i moja niedoskonałość zmieniły mnie w lepszego człowieka. Gdyby nie to, nadal byłbym pustym kamieniem niewiedzącym, co to miłość – BB odezwał się niespodziewanie i wstając od stołu, męskim wzrokiem popatrzył głęboko w czarne oczy Maggie.

– Kocham cię całym sercem i jeśli jeszcze raz miałbym przejść przez to wszystko, zrobiłbym to. Wytrzymałbym, bo wiara, że cię odzyskam, dodaje mi sił. I nie będę mówił, że najważniejsze dla mnie jest to, żebyś była szczęśliwa, nawet jeśli byłabyś z kimś innym. To było-

by kłamstwo. Jak mogłabyś być szczęśliwa beze mnie? Wiem, że nadal mnie kochasz!

– Biiiii – Maggie chwyciła go za rękę, a jej głos się załamał.

Jersey popatrzył na wzruszoną koleżankę i jej byłego chłopaka. Dostrzegł, że miłość między nimi nigdy tak naprawdę nie zgasła. Wbił wzrok w ziemię.

– Gdybym kiedyś nie zawałił, gdybym nie popełnił błędu, nigdy nie przeżyłbym tego, czego dzisiaj doświadczyłem. A dzień ten sprawił, że zyskałem nowych przyjaciół, w których kiedyś widziałem tylko wrogów – wskazał palcem na Jersey'a i Ice'a, którzy wpatrywali się w niego uważnie.

– Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że błędy kształtują nasz charakter, budują nasze życie. Są tak ważne, jak ich niepopelnianie. Nie możesz być takim hipokrytą i mówić, że wszystko wiesz i że nikt nie jest idealny za wyjątkiem ciebie. Skąd możesz to wiedzieć, skoro sam całe życie spędziłeś w ukryciu? Co ty wiesz o życiu? Twierdzisz, że ludzie popełnili błąd, tworząc ciebie? Bardzo możliwe. A może tak naprawdę stworzyli cię, żebyś nie pozwolił, aby ludzie wykończyli się wojną atomową? Mogłeś mieć więcej racji, niż przypuszczasz. Nic nie dzieje się z przypadku – patrzył prosto na Grida, zaciskając przy tym stalowo pięść.

– Kiedyś ktoś mnie zapytał, jakie bajki mi czytali rodzice. Ktoś nazwał mnie chłopcem, który musi wiedzieć, że jeśli kogoś krzywdzi, musi ponieść tego konsekwencje. Ta osoba miała rację. Ja to zrozumiałem. Ale czy ty to zrozumiesz, zanim nie będzie za późno? – zapytał Grida.

Biała twarz przywódcy Szaraków wyzbyła się na moment swojego cynicznego uśmiechu. Wstał i popatrzył do góry na czarne słońce. BB usiadł. Zapadła cisza. Wszystkie oczy skierowane były na ulizanego do tyłu angielskiego przystojniaka. Nawet Cero pochylił czoło i patrzył prosto w ziemię.

– Może i masz rację. Nie mówię, że nie. Może wszystko to, co robię, jest niesłuszne i okrutne. Może powinienem się z tego wycofać. Bardzo prawdopodobne. Jednak, mój drogi ziemski przyjacielu, nie mo-

żesz niczego powiedzieć za mnie. Nie przeżyłeś mojego życia. Nie byłeś królikiem doświadczalnym przez całe lata. Nie doświadczyłeś przelewu krwi i holokaustu na swoich braciach. Nie wiesz, jak to jest, kiedy wszyscy patrzą na ciebie jak na przedmiot, a nie na istotę. Żywą istotę! – zakończył krzykiem.

– Mam dość ludzi i ich bezczelności. Myśląc, że są jedynymi inteligentnymi istotami we wszechświecie, muszą zapłacić za swoją ignorancję! Wyrzynając żywe stworzenia dla futer, czapek czy trofeów, muszą zapłacić za swoją brutalność! Poddając żywe istoty niekończącym się okrutnym testom, muszą cierpieć za brak empatii. Za brak miłości do bliźniego, za wojny, za żądę pieniądza muszą zapłacić krwią! A anioły zapłacą za to, że się wami opiekują! Już dawno powinni was zostawić samym sobie, porzucić jak niechcianego psa, który już przestał być szczeniakiem! Jutro dostaną wiadomość i będą wiedzieć, że to przez was! Przez ludzi!!! – krzyczał i zrzucił jedzenie ze stołu.

– Chyba mu nie spasowała twoja mowa... – skomentował grubasek.

– Piguła, zamknij się! – Andy pacnęła go w głowę.

– Odwołuję swoją propozycję, zginiecie wszyscy – powiedział, roztrzaskując kielich o szklaną ścianę, by po chwili dodać. – Zginiecie teraz, zaczynając od niego! – wskazał na Cero.

Dwóch Szaraków wysunęło błyskawicznie ze swoich łap igły i zaczęło maszerować w kierunku Cherubina.

– O Boże! Nie! Zostaw go! Proszę! – krzyczała Andy.

– Jesteś tchórzem. Nawet nie pozwolił mu się bronić. On jest bezbronny w tych butach! – darł się Ice.

– To jest wszystko nieistotne, ja również się do tego dołączę, zaczynając od waszego wygadanego kolegi. Mówiłeś, że cierpienie jest dobre, że przynosi korzyści, że błędy są konstruktywne? Zobaczymy, co pomyślisz, jak przebiję twojej ukochanej na wylot głowę! – podszedł do nich szybkim krokiem.

BB i Jersey wstali natychmiast i rękami próbowali zatrzymać Grida.

Nie udało im się, nie mieli żadnych szans. Pchnął ich mocno na stół tak, że rozbili głowami dwie wypełnione owocami grube szklane wazy.

– Pora kończyć tę farsę! Szkoda mi tylko tych pysznych owoców – chwycił Maggie jedną ręką za głowę, z drugiej wysunął grubą czarną igłę i zamachnął się do tyłu.

Niespodziewanie szyba tuż za jego plecami rozprysła się na najdrobniejsze kawałeczki. Grid ledwo zdążył się obrócić i zobaczył, jak dwóch Szaraków wskakuje na linach do środka. Jeden kopnął go prosto w twarz. Drugi zgarnął jego rękę butem i przygniótł mocno do krawędzi stołu.

– Nie zadzieraj z naszymi przyjaciółmi, punku! – odezwał się jeden z Szaraków.

– Co jest grane? – zapytał zaskoczony Piguła.

– Spokojnie, to my! – odpowiedział jeden z Obcych i chwytając się za głowę, pociągnął ją w dół.

– Mev? Kev? Jesteście moimi największymi idolami świata! – Piguła ucieszył się, patrząc na braci bliźniaków ubranych w szare kombinezony wroga.

– Co tak długo? – zapytał Sierżant.

– Przepraszamy za spóźnienie, Sir! – odpowiedział Kev.

– Żartowałem. Niesamowicie, chłopaki. Macie gwarantowane medale honoru! Jestem z was dumny! – uśmiechnął się Sierżant.

– Uratowaliście nas już trzy razy! – wrzasnął Piguła.

– To nasz obowiązek, przyjacielu – odpowiedział jeden z nich.

– Ta, jasne! Wasz jedyny obowiązek, to bycie najbardziej cool na całym świecie! – wiatował grubasek.

Obcy, którzy kierowali się w stronę Cherubina, stali wciąż w miejscu. Zgłupieli przez moment i zapomnieli, co mieli robić.

Dwójka bliźniaków niespodziewanie uderzyła w szybę. Grid powstał z ziemi. Był wściekły. Zawarczał coś pod nosem i ruszył w kierunku leżących na ziemi komandosów.

– Nie tak szybko, przyjacielu! – odezwał się Cero.

Wysunął z palców płonące igły. Dwoma szybkimi cięciami rozpołowił oba buty. Odbił się od ziemi. Wskoczył na stół i jednym ruchem odciął obie głowy Szaraków, zanim ci zdążyli nawet dobrze na niego popatrzeć.

Wybił się mocno i rzucił na Grida.

– Wstawajcie! Uciekajcie, teraz! Ja go zatrzymam! – usłyszeli głos Cherubina.

– Nie zostawim cię tutaj – powiedział Jersey.

– Teraz, ruszaj! Nie ma czasu na gadanie! – Cero podniósł głos i zaczął walkę z wyższym od siebie białym przeciwnikiem.

– Ale jesteśmy przyczepieni do ziemi. Co mamy robić?

– Tam na ścianie, zniszcz to! – Cero powiedział do jednego z bliźniaków

Dwóch komandosów podniosło się szybko z ziemi. Mev wyciągnął z kieszeni nóż i cisnął nim wzdłuż pomieszczenia, tak że wylądował głęboko w wyglądającym jak trójkątny świecący symbol przycisku na ścianie. Zgasł.

Buty odskoczyły im do góry i przyłgnęły z powrotem, wydając z siebie charakterystyczny klikający odgłos. Owoce, potrawy, napoje, wszystkie naczynia na stole oraz kawałki stłuczonego szkła uniosły się natychmiast do góry. Lewitowały w powietrzu, jakby nie oddziaływało na nie żadne przyciąganie.

– Idziemy, szybko! – wrzasnął Sierżant J., poganając ich do ucieczki.

– Nie chcę go zostawiać, pomóżmy mu! – Jersey zawahał się.

– Synu, to jest walka między nimi. Jeśli cherubinek nie da sobie z nim rady, to my na pewno nie podolamy. Chodźmy – Sierżant poklepał go po ramieniu.

Jersey zapał się i posłuchał komandosa. Wiedział, że ma rację. Sprawdzał, czy wszyscy wybiegli z oszklonej sali, i rzucił ostatni raz okiem na walczącego anioła i Grida.

Cero ognistymi ostrzami odpierał ataki swojego przeciwnika. Grid był dużo większy i silniejszy. Dwie ręce wypełnione ostrymi czarnymi igłami przecinały powietrze w poszukiwaniu błędu anioła. Jego szybkość była równa refleksowi Cherubina.

Tańczyli śmiertelny taniec w szklanym pomieszczeniu podwieszonym blisko czarnego sztucznego słońca. Ich ciosy splatały się w określony chaotyczny wzór. Cero starał się przechytrzyć swojego adwersarza, wskakując na stół i kopiąc w jego stronę naczynia pełne jedzenia. Grid bez trudu jedną ręką je odbijał, a drugą odpierał ataki ognistych igiel.

Walka była zacięta, ekscytująca i przerażająca. Jersey chciał zostać i pomóc swojemu anielskiemu przyjacielowi, ale musiał wesprzeć swoich bliskich w ucieczce. Ich bezpieczeństwo było najważniejsze.

– Jersey, chodź! – krzyknął Ice, stojąc przy drzwiach.

– Idę! – zawołał i wyszedł ze szklanego pomieszczenia wierząc, że Cero poradzi sobie ze swoim przeciwnikiem.

## Rozdział 20

### Finał

– Co jest grane? – zdziwił się Sierżant, kiedy po dotarciu do kamiennych drzwi nie mógł ich otworzyć.

– Tutaj wszystko jest zaprogramowane na kod aniołów, nie pamięta pan, jak wspominał o tym Cero? – powiedziała Maggie.

– Racja! O kurczę! Co my zrobimy?

– Ej, zaraz, jak wy się tutaj dostaliście? Przecież żeby wejść do tego miasta, należało również przyłożyć dłoń do... – Jersey nie zdołał dokończyć.

– No może nie będzie to wyglądało bardzo apetycznie, ale dostaliśmy się tutaj dzięki temu – Kev podniósł do góry głowę Szaraka.

– Fuj! Jak mogliście to na siebie założyć? – zapytała Andy.

– To jest tylko maska. To nie jest tak naprawdę ich głowa – odpowiedział Mev.

– Co? – Maggie wybaluszyła oczy.

– Nie czas na to! Szybko, otwieraj te przekłete drzwi, zanim cyrk szarych patalachów wróci na parkiet! – Sierżant ich pospieszał.

Komando bliźniak przyłożył maskę do okręgu na drzwiach, ale nic się nie ruszyło.

– Co jest? Pospiesz się! – marudził starszy komandos.

– Nie działa.

– Jak to nie działa?

– No, nie działa. Wcześniej mogliśmy przechodzić przez wszystkie drzwi bez problemu. Te muszą być jakieś inne – odrzekł Kev.

– Grid musiał je zablokować. Lub tylko on może przez nie przechodzić – zauważył Ice.

– Będziemy musieli zejść tą samą drogą, którą weszliśmy.

– Jak dla mnie nie ma problemu. Gorzej z nimi – Kev wskazał na dziewczyny.



- My się nie boimy. Byle jak najdalej stąd – powiedziała Maggie.
- Dobrze, przygotujcie się zatem i zaufajcie nam. Będzie ostro – bracia bliźniacy uśmiechnęli się szeroko. Piguła, widząc ich miny, nie mógł się już doczekać, co wymyślili.
- Wracamy. Szybko. Za mną – Mev machnął ręką.
- I za mną – dodał Kev.
- Wracamy? Ale zaraz, tam nie było żadnego wyjścia, tylko jedne drzwi... zaraz, zaraz... Chyba nie myślicie, że...
- Nie pękaj, stary. Będzie czad! – Piguła zarumienił się z ekscytacji jak mały prosiaczek i klepnął kolegę w ramię.

Wpadając z powrotem do szklanej sali, oniemieli. Nie było w niej ani Grida, ani Cero. Jedyne, co pozostało, to jeden wielki bałagan, rozbite na drobne kawałki wazy i kielichy, unoszące się powietrzu cudownie wyglądające jedzenie, rozlane napoje i połamany na kilka części stół.

Dopiero odgłos zderzającego się oręża przyciągnął ich wzrok do góry. Pojedynek aniołów toczył się nadal, tym razem na samym szczycie szklanego dachu.

- Nie mamy czasu na to przedstawienie, szybko! – zawołał Mev, podbiegł do krawędzi pomieszczenia i popatrzył w dół przez wybitą szybę.
- Tam jest z dwieście metrów! Jak wy tutaj w ogóle wyszliście? – zapytał Sierżant.
- To te buty, Sir! – odpowiedział Kev.
- Jak buty?
- Te buty przylegają do wszystkiego, po czym się chodzi. Weszliśmy pionowo do góry. Jak prawdziwi ninja, Sir! – dodał Mev.
- A teraz jak zejdziemy? – BB zapytał drżącym głosem. Patrząc w dół, jego nogi straciły moc i zaczęły trząść się, jakby były zrobione z waty.
- Macie takie długie liny, żeby zejść w dół? – zapytał Ice.
- Nie potrzebujemy lin – powiedział Mev.
- Zobacz sam – dodał Kev. Ubrał na głowę maskę Szaraka, cofnął się dwa metry i wyskoczył na zewnątrz. Buty automatycznie przycią-

gnęły go do boku budynku. Kiedy usłyszeli kliknięcie, stał już stabilnie. Nie marnując czasu, ruszył biegiem pionowo w dół.

– Co za gość! – Piguła otworzył szeroko usta i śledził bieg żołnierza. Ustawiony twarzą prosto w dwustumetrową przepaść, biegł sprintem, przecząc prawu grawitacji.

– Dobra, idziemy! – Sierżant chwycił Pigułę i wyrzucił go na zewnątrz, za nim poleciał Mev i Ice z Andy. Wszyscy po wyskoczeniu zostali przyciągnięci do skalnego budynku.

– Nie wiem, czy chcę to zrobić – wahał się BB.

– Nie martw się. Pójdziemy razem. Chwyć mnie za dłoń – powiedziała Maggie. Anglik popatrzył na nią maślanymi oczami.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała do niego łagodnie.

– Maggie, przy tobie wszystko zawsze jest dobrze – uśmiechnął się i chwycił jej miękką, ciepłą dłoń.

– To było piękne, co powiedziałeś.

– Tak właśnie czuję, Maggie.

Stanęli tak na moment, jakby zapomnieli o całym świecie i wszystkim, co wokół nich się działo. Czas zwolnił na moment tylko dla nich. Nie zwracali uwagi na wyskakujących tuż obok nich przyjaciół. Nie widzieli, jak Sierżant zbiega w dół wieży, nie zwrócili również uwagi na roztrzaskujący się dalej za nimi szklany dach. Nie byli świadomi tego, że Cero i Grid spadli w dół, łamiąc doszczętnie resztę niebieskiego stołu. Patrząc w swoje oczy, widzieli tylko siebie, a miłość, która do nich powróciła, była dla nich tarczą odgradzającą ich od całego świata. Maggie patrzyła głęboko w jego zielone oczy, by za chwilę spojrzeć na jego usta. Przymrużyła powieki i dała się ponieść chwili, całując go jak nigdy wcześniej. Słodko i namiętnie. Gdy ich miękkie usta spotkały się, poczuli, że ich serca zapłonęły na nowo. Pocałunek nie trwał długo, poczuli mocne pchnięcie, a zaraz po tym spadali już w dół.

To Jersey, zostając z tyłu, wypchnął ich na zewnątrz, ratując przed spadającym na ich głowy szkłem. Sam w ostatniej chwili zdążył wybić się i uniknąć rozcięcia przez setki zabójczych ostrych

szklanych fragmentów dachu. Spadali kilka metrów jak ciężkie glazy, nie kontrolując swoich ruchów.

Niewidzialna siła pociągnęła ich i przykleili się butami do budynku, jakby był podłogą. BB stanął w szerokim rozkroku i patrząc w dół na biegnących żołnierzy i przyjaciół, zamknął oczy. Przestraszył się. Jeszcze kilka dni temu czyszcząc dach swojej stodoły obiecał sobie, że więcej nie będzie pracował na wysokościach. Budynek miał wtedy niecałe dziesięć metrów. Teraz mierzył się z wysokością dwadzieścia razy większą. Jego odwaga uleciała, przegoniona przez narastający lęk.

– Chodźcie szybko! Nie mamy czasu! – usłyszał głos Jersey.

– Nie mogę...

– Możesz – poczuł ciepło w swojej dłoni. Maggie go trzymała – Nie patrz w dół, po prostu biegnij ze mną. Zaufaj mi.

– Dobrze – przelknął głośno ślinę. Postawił jeden krok, drugi, a za nimi kolejne. Ufał Maggie. Starał się jak mógł. Robił to wszystko dla niej.

Poruszali się dość szybko, zbiegając po czarnym budynku. Obłożony kamieniem, przypominał trochę granit. Ich ciemne sylwetki wtapiały się w charakterystyczne plamy na jego fakturze, przez co nie odznaczały się bardzo na jego tle, pozostając praktycznie niewidzialnymi dla oczu Obcych.

Ice, pędząc na przedzie, znalazł jeszcze trochę miejsca na wyglup i zamiast trzymać się blisko kamiennej ściany, dwa razy mocniej odbił się od niej, wykonując salta. Andy wiedziała, że się popisuje przed nią. Nie przeszkadzało jej to, nawet imponowało.

– Daleko jeszcze? – zapytał BB.

– Sam zobacz – odpowiedziała Maggie. BB zawahał się, ale po kilkunastu sekundach równego biegu poczuł się pewniej. Otworzył oczy. W pierwszej chwili zaparło mu dech. Przyhamował i zaniemówił. Po chwili jednak przelamał się. Popatrzył na Maggie, uśmiechnął się do niej i przyspieszył.

– No widzisz! Daleś radę! – powiedziała czarnowłosa dziewczyna.

– Tylko dzięki tobie – puścił jej oczko.

Jersey, widząc ich biegnących razem, posmutniał. Nie skupał się jednak na tym za bardzo. Przyjął ten fakt jak mężczyzna. Nie miał czasu na płacz i żal. Pomyślał nawet – skoro mieli być razem, to niech będą!

Całą jego uwagę pochłaniała walką Cherubina z Gridem. Trzymał mocno oba kciuki, wierząc, że anielski wysłannik zwycięży. Oglądał się za ramię od czasu do czasu, ale nic nie mógł zobaczyć. Bitwa między dwoma potężnymi istotami miała miejsce dużo wyżej, na samym szczycie wieży, z której kończyli właśnie zbiegać.

Cero odepchnął nogą swojego przeciwnika i odsunął się dwa metry do tyłu. Walcząc zażarcie, milczeli, jednak przez cały ten czas prowadzili wewnętrzny telepatyczny dialog.

– Możesz przestać! Naprawdę ci wybaczymy! Jeszcze nie jest za późno!

– Ale ja nie chcę, żebyście mi nic wybaczaali. Czy tobie ciągle wydaje się, że ja nie jestem świadom własnych czynów? Ja doskonale wiem, co robię i trzymam się ściśle swojego doskonałego planu!

Grid całą siłą swojego ciała spróbował staranować przeciwnika. Cherubin, będąc dużo mniejszym i zwinniejszym, z łatwością uniknął jego ofensywy. Odskoczył na bok i wypuścił się z kontratakami.

– Dlaczego musiałeś zabić moich braci?

– Już mówiłem, mój plan nie może wyjść dalej. Jeśli dowiedziano by się o mnie w konstelacji Oriona, sam wiesz, jakby to się skończyło. Teraz już jest za późno. Słońce lada moment wejdzie w stan dojrzałości i poleci ugodzić serce anielskich zastępów.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Cero.

– Bo mnie opuścili! Bo trzymali się archaicznych ojcowskich zasad, zamiast ratować swojego brata z rąk bezlitosnych ludzi! Dlaczego nie wróciliście po niego do Nowego Meksyku? Wiedzieliście, gdzie był przetrzymywany.

– Byliśmy pewni, że nie przeżył. Założyliśmy, że ludzie nie będą wiedzieli, co zrobić z pozostałościami po naszej technologii.

– Źle założyliście. Wybraliście ludzi zamiast nas! Nie mogę tego wybaczyć!

Grid napierał na przemian obiema rękami, aż w końcu krzyżując ostrza, zakleszczyli się. Ich głowy zbliżyły się na odległość kilkunastu centymetrów. Napierając mocno swoimi ciałami, starali się oderwać od siebie. Zgrzyt ostrych igieł wtórował niskim odgłosem, jakie wydawali. Biała twarz wysokiej istoty zmarszczyła się w gniewie.

– Po co ci ta maska? Wstydzisz się, kim jesteś? Czy ludzie są aż tak ważni, że musisz ukrywać swoją prawdziwą twarz?

– Ta maska jest symbolem naszego pojednania. To my po części ich stworzyliśmy, więc nie tylko oni noszą naszą częśćkę, ale my również nosimy ich. Sam powinieneś więcej o tym wiedzieć, jesteś w połowie człowiekiem, a w połowie aniołem.

– Nie! Jestem sobą! I dlatego nie muszę nosić maski!

– To dlaczego twoje szare pomioty je noszą? Dlaczego im każesz? Bo za bardzo przypominają ci ludzi?

– Milcz!

Grid w napływie wściekłości przysunął swoje dłonie tak blisko głowy anioła, że złapał go jedną ręką za gardło, ścisnął mocno i rzucił w górę. Ciało Cherubina uniosło się wysoko i opadło na połowę jeszcze całego szklanego sufitu.

Cero sprytnie odepchnął się rękami do tyłu i uniknął dzięki temu bliskiego spotkania z zabójczymi igłami, które zaraz w tamtym miejscu utknęły. Wstał na równe nogi i czekał na następny ruch swojego adwersarza.

– Ludzie nie są idealni. Masz rację. Nie wszyscy są dobrzy. Mnóstwo jest złych ludzi. To fakt. Ale są też ci dobrzy. Ci, którzy bez zastanawiania poświęcają swoje życia dla innych. Dla nich warto robić to, co robimy. Dla nich warto się starać i im pomagać.

– A czy warto za nich umierać? – zapytał Grid.

– Kiedy zajdzie potrzeba. Warto. Oni zrobiliby to samo – odpowiedział spokojnie anioł.

– Bzdura! Nie znasz ich! Oni potrafią tylko niszczyć, zabijać i gwałcić! Ludzie to zaraza. Bakteria, którą muszę usunąć, zanim rozejdzie

się po wszechświecie i zepsuje wszystko. Ile razy karaliśmy ich, zsyłając na nich plagi czy powodzie? Czy nauczyli się coś dzięki temu?

Nie!

– Najgłębszą i najpiękniejszą rzeczą, jaką można zrobić, to wybaczyć. Opuścić komuś błędy i grzechy. Nigdy nie wiesz, kiedy ty sam możesz je popełnić. Tylko przez miłość możemy stać się lepsi!

– Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? Popatrz za siebie, słońce lada moment będzie gotowe. Nie da się już tego zatrzymać. Będąc świadom, że zniszczy zastępy twoich braci, nadal jesteś w stanie mi to wybaczyć?

– Tak – powiedział spokojnie Cherubin.

– Co? – zdziwił się Cero.

Czarne słońce najpierw wydało z siebie drżący odgłos. Następnie rozbłysło tak ostrym światłem, że biegnący już do wyjścia żołnierze wraz z nastolatkami oślepli i wpadli na siebie, odbijając się na boki. Poczuli gorąc na swoich ciałach.

– Słońce zaraz wybuchnie! – krzyczał Piguła.

– Nie martw się słońcem! Nie jesteśmy już niewidoczni, chowajmy się! – zawołał Sierżant J.

Dopóki słońce było czarne, mrok panował w całym mieście. Ułatwiało im to szybkie przemieszczanie i pozwalało ukrywać się przed wrogimi Szarakami. Teraz byli widoczni jak czarne na białym, a dokładniej jak kolorowe na niebieskim, bo taką barwę posiadało podłoże.

– Uwaga, oni są tuż obok – Ice wskazał palcem na stojących nieopodal Obcych.

– Oni nas chyba nie widzą – powiedział Kev.

– Chyba tak – odrzekł Mev.

Grupka pięciu Szaraków stanęła w miejscu i patrzyła prosto na rozbłyskującą gwiazdę. Powiększała się na ich oczach, zamieniając swój kolor z jasnożółtego na coraz to ciemniejszy. Nie zwracali kompletnie uwagi na ludzi. Zachowywali się w ten sam sposób jak ci, którzy wcześniej otaczali bazę. Weszli w stan wyłączenia świadomo-

ści, ignorując całe otoczenie.

– Oni nas nie widzą. Szybko! Wiejmy stąd! – powiedział Sierżant, i jako pierwszy ruszył w kierunku drzwi.

Biegli główną drogą, nie przejmując się rozstawionymi wszędzie Szarakami. Setki szarych istot, stojąc nieruchomo, wpatrywały się w rosnące słońce, jakby było dla nich jakimś Bogiem.

Omijali ich slalomem i pędzili co sił w nogach do dużych kamiennych drzwi. Zostawiali za sobą potężne kuliste miasto, niebieskie drogi, kamienne budowle, bajkowe drzewa i ich owoce. Pomniki i rzeźby przedstawiające ludzi i aniołów tańczących w różnych pozycjach i inne niesamowite rzeczy, na które nie mieli czasu spojrzeć.

Sierżant prowadził nastolatków. Maggie i BB ciągle trzymali się za ręce. Ice dotrzymywał tempa Andy. Piguła starał się naśladować ruchy komando bliźniaków, którzy zabezpieczali tyły. Jersey natomiast biegł na zmianę przodem i tyłem. Obracał się, co chwilę patrząc to na pomarańczowe już słońce, to na wysoki czarny budynek.

Mev przyłożył do okręgu szarą maskę.

– Mam nadzieję, że to się otworzy – powiedział Sierżant.

– Spokojna głowa, Sir – odpowiedział Kev.

Drzwi rozsunęły się na boki. Droga była otwarta.

– Idziemy! – rozkazał Sierżant.

– Zaraz! Piguła, daj mi twoją lornetkę! – powiedział stanowczo Jersey.

– Klikowski, nie ma czasu na...

– Niech pan idzie, Sierżancie, proszę ich bezpiecznie zaprowadzić do samolotu, ja zaraz będę... Zaraz do was dołączę... Poczekać na Cero.

– On sam trafi do nas.

– Nie, Sir. To dzięki niemu udało nam się uratować dziewczyny, on zasługuje na coś więcej, niż żeby go po prostu opuścić.

– Nie zostawię cię tutaj. Nigdy nikogo nie zostawiam z tyłu. Musisz iść z nami. Szybko! – spierał się starszy żołnierz.

– Zostaniemy z nim – odezwali się BB i Maggie.

- Chyba zwariowaliście – popatrzył na nich swoimi wielkimi niebieskimi oczami.
- My też poczekamy. Pamiętamy drogę powrotną. Na pewno trafimy. Przecież Sierżant wie, jaki mam doskonały zmysł topograficzny, Sir – uśmiechnął się Ice.
- Na zmarszczonego pytonga! Nie czekamy na was dłużej niż dziesięć minut. Spróbujcie mi nie wrócić, to przyjdę tu, i nawet to słoneczko mnie nie zatrzyma, żeby was odnaleźć i skopać wam leniwe tyłki!
- Dobrze, Sierżancie – powiedziała Andy.
- Trzymaj zoomera! Ja idę z chłopakami, powiedzieli, że potrzebują mojej pomocy – Pigula podał lornetkę Jerseyowi i ruszył wraz z Sierżantem i dwoma komandosami do samolotu.
- Dzięki – Jersey wziął sprzęt i przyłożył do oczu. Wyregulował pokrętko i ustawił ostrość na szczycie czarnej wieży.
- I co, widzisz coś?
- Co się tam dzieje?
- Cherubinek wygrywa? – pytali wszyscy po kolei.
- Tak, widzę ich. Już wam mówię, co się dzieje – odpowiedział Jersey.

Cero stał na skraju budynku. Słońce nad nim przybrało już czerwony kolor. Dojrzewało w zastraszającym tempie.

- Kłamiesz! Na pewno jesteś na mnie wściekły i w głębi serca nie wybaczysz mi niczego. W danym momencie możesz życzyć mi tylko śmierci. Nienawidzisz mnie. Przyznaj się! – Grid krzychał telepatycznie.
- To nieprawda. Nie jestem na ciebie już zły. Zrozumiałem, czym się kierowałaś. Poczulem to. Jest mi ciebie żal. Nic więcej – Cero przekreślił na bok głowę.
- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Pokaż mi swoją twarz. Chcę zobaczyć to w twoich oczach!
- Dobrze, ale pod jednym warunkiem.
- Nie stawiaj warunków w moim własnym domu!



– To nie jest twój dom, tylko miasto moich przodków. Jesteś tutaj gościem, który długo nie zabawi. Walcz ze mną jak prawdziwy anioł. Wtedy odkryję swoją twarz.

– Jak prawdziwy anioł? Dobrze. Mogę tak walczyć – Grid przystawił obie ręce do swoich grawitacyjnych butów i rozciął je na pół, jakby były zrobione z masła. Wyszedł z nich, stawiając chude, białe, bose stopy na szklanym podłożu i powiedział:

– Jestem gotowy.

– Dobrze. Lećmy zatem – Cero nie musiał rozcinać swoich butów, ponieważ zrobił to już wcześniej. Odbił się mocno nogami i poszybował do tyłu wysoko w przestrzeń powietrzną.

Grid uśmiechnął się szeroko i uginając nogi, wybił się tak silnie, że szklane podłoże, na którym stał, rozprysło się na kawałki. Leciał prosto na wiszącego w powietrzu anioła.

Ostrza wystające z ich palców, zderzając się, eksplodowały tysiącem iskier. Wymieniali cios za ciosem. Grid, uderzając w anioła, pchnął go bliżej w kierunku czerwonego słońca. Cero przestał atakować i skupił się na blokowaniu. Każde jedno pchnięcie powodowało przesuwanie się coraz to bliżej rozrastającej się szkarłatnej sfery.

Grid, zauważając osłabienie w obronie swojego przeciwnika, podwoił swoje uderzenia i napierał jeszcze mocniej. W amoku walki nie zauważył nawet, że przysunęli się do gwiazdy na odległość nie większą niż kilkadziesiąt metrów. Gorąc, jaki z niej emanował, spalał ich kombinezony. Ich skóry były naturalnie odporne na wysokie temperatury, odbijały więc żar bez żadnego problemu.

– Dlaczego nie atakujesz? Walcz ze mną! – wściekał się Grid.

– Nie, nie mam zamiaru. Nie mam już siły – Cero opuścił gardę w dół, otwierając się na atak. Grid nie czekając ani sekundy, posłał swoją rękę prosto w jego głowę. Zatrzymał się jednak centymetr przed nią, mówiąc:

– Nie zabiję cię tak. Ściągnij tę maskę. Chcę widzieć twoje oczy, jak mi to wybaczą! – uśmiechnął się szeroko.



Cero położył swoje dłonie na karku i przyciskając coś, uruchomił mechanizm otwierający maskę. Chwycił ją obiema rękami z przodu i wolnym ruchem ściągnął w dół.

– Tak lepiej. Wiesz, że nigdy wcześniej nie było mi dane patrzeć na wasz gatunek własnymi oczami? Widząc cię, mogę jeszcze śmieiej powiedzieć, że to ja jestem istotą idealną – zaśmiał się diabelsko.

Cherubin patrzył na niego swoimi dużymi niebieskimi oczami zajmującymi większą część jego zielonej twarzy. Owalna lysa głowa był nieproporcjonalnie większa od całego ciała. Malutkie usta uśmiechały się, telepatycznie pytając:

- Czy ustawiłeś już piramidę i słońce w kierunku Orionu?
- Oczywiście, jeszcze kilkanaście minut i wyleci – wskazał palcem na otwarty wyżej tunel, przez który mrugały do nich gwiazdy.
- Wybaczam ci zatem – odezwał się anioł.
- Jesteś jednym małym szalonym aniołem – pokręcił głową na boki.
- Może jestem, a może mam plan?
- Jaki plan? – zdziwił się Grid.

Cero zamachnął się i błyskawicznie posłał swoją maskę prosto w rozpalone słońce. Grid, widząc nagły ruch, przygotował się do zablokowania ciosu, lecz kiedy dojrzał, że nie był to atak, odpuścił.

Anioł śledził wzorkiem lecący przedmiot o twarzy uśmiechniętego dziecka. Kiedy wpadł w gorącą gwiazdę, błysnął i szybko zgasł, doszczętnie spalony w ciągu niecałej sekundy.

Grid również na to patrzył i zastanawiał się, czy wzrok płatał mu figle, czy może faktycznie w momencie zetknięcia maski z gwiazdą dojrzał wystrzeliwujący w kosmos promień. Nie był pewien, więc zapytał:

- Co zrobiłeś? Co to miało być? O jakim planie mówiłeś?
- Chciałem dać czas moim niedawno poznanym przyjaciółom. Ludziom, za których gotów jestem poświęcić swoje życie. Istotom, za które warto umierać – zielony aniołek uśmiechnął się troszkę szerzej i popatrzył w dół prosto na stojącą bardzo daleko grupkę nastolatków.

– To jest żalodne. Mam tego dość – Grid przebił obiema rękami tułów anioła. Przystawił swoją białą twarz do jego zielonej głowy i dodał:

– Nie martw się, już mi to wybaczyłeś!

– Nie tylko to ci wybaczyłem – z ust wypłynęła niebieska krew.

– Co?

– Wybaczyłem ci twoje haniebne i mroczne plany. Wybaczyłem ci twoje czarne myśli i wybaczyłem ci to, że musiałeś mnie zabić. Nie musiałem wybaczyć niczego więcej, bo słońce i tak zostanie tutaj, gdzie jest.

– Mylisz się! – Grid wyciągnął jedną rękę i odchylił ją do tyłu, mówiąc:

– Umieraj ze świadomością, że twoi bracia za niedługo do ciebie dołączą. Słońce zaraz stąd wyruszy. Żegnaj, muszę złapać jeszcze kilku ludzkich nieproszonych gości i naostrzyć nimi moje szpony – zakończył, przekreślił swoją głowę na boki, strzelając przy tym z kręgoszyjnych, i wbił czarne igły prosto w serce anioła.

Cero odwrócił wzrok w dół i telepatycznie powiedział do Jersey:

– Nie lękajcie się.

Jego oczy zamknęły się. Ciało stało się luźne. Zielona skóra pojaśniała. Mocne białe światło pojawiło się w jego wnętrzu.

Grid wyciągnął ręce zakończone igłami z jego ciała i odepchnął go od siebie. Skóra Cero zaczęła świecić i przybierać coraz to bielszej barwy. Promienie światła wystrzeliły z wszystkich ran, które miał zadane.

Unosił się bezwładnie w przestrzeni, lekki jak piórko. Białe światło zajaśniało jeszcze mocniej i zgasło.

Niewielka czarna lornetka wysunęła się z drżących rąk krótko ściętego nastolatka. Odśloniła jego czerwone płaczące oczy. Uderzając o błękitną posadzkę, rozbiła się na kawałki.

– Niiieeee... – powiedział szeptem Jersey, tak jakby zabrakło mu sił.

– Co się stało? Bracie, co się stało? – Ice chwycił go za ramiona.

- On...on...nie żyje...– posmutniał i zacisnął pięści w złości.
- To niemożliwe...– Maggie i Andy zanosły się płaczem.
- A jednak... Cały czas wierzyłem w naszego anioła. Czyżby ten klon faktycznie był taki silny? – zastanawiał się BB.
- Nie czas na to, musimy ruszać – Ice poklepał brata po ramieniu i dodał:
- Przykro mi, Jurek, naprawdę przykro...
- Pójdę tam i sam go rozszarpie! – Jersey wyrwał się z uścisku brata i płacząc na przemian łzami rozpacz i gniewu, parł do przodu.
- O nie! Na pewno nie! Wracamy – BB zagroził mu drogę.
- Zejdź mi z oczu! To sprawa między mną, a tym ohydny białym stworem! Puść mnie, albo ci przyłożę – Jersey chwycił Anglika za kołnierz.
- Musisz się uspokoić, pomyśl logicznie, jeśli Cero nie dał mu rady, jak ty go pokonasz?
- Nie wiem, spróbuj! Nie będę się go bał! Puszczaj! – Jersey wychylił rękę do tyłu i ustawił się do przyłożenia czarnowłosemu chłopakowi prosto w szczękę.
- Możesz mnie uderzyć. Nawet kilka razy, ale nie idź tam. Pomyśl. Zrób to dla niego. Cero się poświęcił, odciągając Grida od nas, oddał swoje życie za nasze bezpieczeństwo. Nie zmarnuj tego, proszę.

Duże zielone oczy Anglika patrzyły błagającym wzrokiem w głąb zwięzonych w furii piwnych tęczówek Amerykanina.

- Jersey, proszę, przestań – lkała Maggie.
- Kochany bracie, proszę, chodźmy. Musimy szybko wracać do ojca. Czas zaczął normalnie płynąć, a Cero nam już nie pomoże – prosił Ice.
- Żołnierzyku, odpuść – dodała Andy.

Jersey cały drżał. Trudno mu było się uspokoić. Dopiero słysząc po chwili ciche szepty swoich przyjaciół, odpuścił. Rozplakał się i przytulił do wysokiego czarnego chłopaka. BB w pierwszej chwili nie wiedział, co zrobić, ale położył swoje ręce na jego barkach i objął go ramionami.

Po kilku sekundach Jersey odsunął się od BB, klepnął go w ramię, przetarł lzy i powiedział krótko:

– Wracajmy.

– Dzięki Bogu – rzekł Ice, a reszta z ulgą wypuściła powietrze.

Zanim jednak opuścił kuliste miasto, przymknął oczy i telepatycznie podziękował aniołowi za jego poświęcenie. Wiedział, że Cero na pewno go usłyszał.

– Jesteśmy, Sir! – zawołał Ice, podbiegając jako pierwszy pod samolot.

– Najwyższa pora! Już miałem iść za wami! – Komandos stał pod ścianą i montował coś na niej z dwoma bliźniakami.

– Jak tam? Gdzie nasz aniołek? – zapytał, patrząc na resztę nastolatków.

Chwila niezręcznej ciszy dostarczyła mu odpowiedź na jego pytanie.

– Rozumiem... Niech spoczywa w pokoju, waleczny druh. Tak wiele chciałem się jeszcze od niego dowiedzieć. Ale cóż, pewnie spotkamy się z nim jeszcze, ale w innym miejscu – komandos ściągnął z głowy swoją bandanę i odsłonił wylysiałą na czubku głowę.

– Uhonorowałbym to minutą ciszy, ale w obecnej sytuacji trzy sekundy muszą wystarczyć – założył bandanę z powrotem na czubek głowy i krzyknął:

– Klikowski, wiesz, co masz robić? Odpalaj tę maszynę.

– Silniki są sprawne? Wszystko naprawione? – zapytał bliźniaków.

– Powinno wszystko działać. Jak daleko ulecimy, nie wiem – odezwał się Kev.

– Przynajmniej stąd wylecimy – dodał Mev.

– Bardzo pocieszające – BB mruknął pod nosem.

Jersey wspiął się na samolot i wskoczył do kabiny pilota. Posprawdzał wszystkie przyciski, mierniki i komputer pokładowy. Z trudem skupiał się nad tymi czynnościami, gdyż przed oczami wciąż widział moment, kiedy Grid zabija Cero. Nie mógł uwolnić się od tej

wizji.

- I jak tam? Wszystko gra? – Ice wyrwał go na chwilę z zamyślenia.
- Yyyyyy... tak, wszystko wydaje się być w porządku.
- Dobra, to odpalaj silniki.
- Nikogo nie ma z tyłu?
- Jest czysto.
- OK – powiedział Jersey i zainicjował zapłon samolotu.

Maszyna zadrżała. Zadziałało.

Sierżant z bliźniakami sprintem wracali z powrotem pod samolot, krzycząc:

- Zatkajcie uszy!
- Głowy w dół!

Czarna ściana eksplodowała niebieskim płomieniem. Fragmenty zniszczonego materiału zostały wysane na zewnątrz. Zimne powietrze wypełniło przestrzeń w czarnym tunelu. Był na tyle duży, a oni wystarczająco daleko, żeby nie podzielić losu wysadzonej ściany. Czuli jednak na swoich ciałach mocne ciągnięcie w stronę rozszarpanej dziury w piramidzie. Droga ucieczki stanęła przed nich otworem.

- Wow! Skąd wiedzieliście, jak to wysadzić i co to za płomień? – zapytał Ice.
- Anioł telepatycznie przekazał mi informację, co mam zrobić, żeby rozszarpać ten kosmiczny materiał! – zawołał Mev.
- Musieliśmy połączyć nasze zabawki wybuchowe z tą niebieską cieczą, która wszędzie tutaj pływa. Domyśliłbyś się, że to tak naprawdę jest naturalne kosmiczne ekopaliwo? – dodał Kev.
- Zadziałało! Teraz szybko wsiadajmy do środka! – krzyczał Sierżant, starając się zagłuszyć wycie wiatru. Otworzył kłapę od spodu samolotu i już miał zacząć się ładować do środka, kiedy usłyszał niski, wściekły głos w swojej głowie:
- Gdzie się wybieracie? Ja wam przygotowałem kolację i co dostałem w zamian? Tak nie będzie.

Sierżant doskonale wiedział, kto za nim stoi. Bardzo powoli wycofał się i wyprostował swoje ciało. Nie obrócił się. Stojąc plecami

mi do wroga, zapytał:

– Nie możesz odpuścić, co? Lubisz wyzywać się na dzieciach? Skoro mówileś, że żołnierze prowadzili na tobie eksperymenty, to weź mnie i pozwól dzieciakom odlecieć – popatrzył na odbijającą się od śliskiego poszycia samolotu sylwetkę nieprzyjaciela.

– Uuuuu, co za hojność i odwaga. Proszę, mamy tutaj bohatera – Grid naśmiewał się ironicznie z komandosa. Kontynuując, dodał:

– Jak dla mnie człowiek to człowiek. Nieważne czy duży, czy mały. Za dużo widzieliście. Mogliście przyjąć moja propozycję.

– Skoro tak mówisz – Sierżant obrócił się błyskawicznie na pięcie i mocarnym zamachem wypuścił z dłoni długi, gruby nóż. Ostrze mknęło prosto w serce nieprzyjaciela. Szybkość mogła równać się wystrzeloną kulą. Mimo to Grid bez większych trudności zatrzymał ciężki przedmiot, łapiąc go za ostrze w locie.

– Ech, te wasze prymitywne zabawki. Gdybyś rzucił setką takich noży, no może wtedy miałbym kłopot z unikaniem. Ale to? Czuję się urażony – oglądnął go ze wszystkich stron.

Grid wyszedł z ciemnego tunelu, stając w odległości zaledwie kilku metrów od nich. Tuż za nim pojawiła się liczna grupa kilkudziesięciu Szaraków. Przechodzili obok swojego przywódcy i otaczali samolot.

Jersey, ustawiając wszystko, czekał na sygnał Ice'a do odlotu. Miał otwartą drogę, silniki rozgrzane, mógł w każdym momencie ruszyć. Brakowało mu jedynie załogi.

Zaniepokojony obrócił się i popatrzył za siebie. Wtedy też zobaczył przypartych do samolotu swoich przyjaciół, kordon Szaraków i Grida.

Nie zastanawiając się ani chwili, otworzył kadłub i zeskoczył na dół.

– Jurek, nie! – zawołał Ice, widząc brata idącego równym krokiem do Grida.

Jersey nie posłuchał go. Nie słyszał nawet wołania Maggie, czy rozkazów Sierżanta. Stawiał długie, pewne kroki. Widział tylko białą twarz o pogardliwym spojrzeniu skierowanym prosto na niego.



Chłopak, dochodząc do swojego wroga, uderzył go z całej siły pięścią w szczękę. Biała głowa pod wpływem ciosu przekreśliła się trochę w bok.

– To za Cero! – wrzasnął Jersey.

– Jesteś odważny – obrócił twarz na swoje miejsce i popatrzył z góry na chłopaka, mówiąc dalej – odważniejszy niż tamten żaloszny anioł – ukazał swoje kwadratowe zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie mów tak o nim! – Jersey rzucił się z pięściami, lecz został zatrzymany, gdy Grid chwycił go za gardło i podniósł wysoko do góry.

– Zastanawiam się, jak by tu zakończyć twój nędzny żywot.

– Zostaw go! – Sierżant krzyknął i ruszył pędem na przywódcę Szaraków.

– Zostań! – powiedział Grid i rzucił nożem w komandosę. Zrobił to tak szybko i mocno, że przebijając jego ramię, odrzucił go kilka metrów do tyłu, a ostrze utknęło w samolocie. Trafił w zbiornik. Paliwo zaczęło wylewać się szerokim strumieniem z maszyny.

– Nie damy się! – zawołał BB i ruszył również na Grida. Dwóch bliźniaków, Ice i Pigula dołączyli do niego.

– Waleczni jesteście, to muszę wam przyznać – mówił spokojnie wciąż trzymając w górze Jersey. Wskazał na nich palcem.

Szaraki wystąpili przed niego i wylapały wszystkich. Grid przesunął palec na dziewczyny, po czym zostały od razu również schwyte. Machnął też dłonią na krwawiącego Sierżanta, jeden z Szaraków wyrwał nóż z jego ramienia i ściągnął go w dół.

– Widzę, że bardzo chcieliście polecieć, robiąc taką dziurę w moim mieście.

– To... nie... jest... twoje... ekhm... miasto – wypowiedział z ledwością Jersey. Jego twarz zaszła purpurą. Dusił się.

Grid zignorował jego słowa i kontynuował:

– Jeśli chcecie lecieć, to wam to umożliwię – ruszył w stronę otwartej luki ciągnącej mocno powietrze ze środka.

– Zostawcie ich tutaj – powiedział surowo i rzucił na ziemię Jersey. Szaraki wypuścili ze swych okropnych żyłastych rąk wszystkich ludzi.

BB zerwał się na równe nogi i popatrzył za siebie. Do krawędzi brakowało im kilkanaście centymetrów. Zaraz za nią, bardzo daleko w dole, czekał na nich wzburzony arktyczny ocean.

Wszyscy wstali. Obejmując się rękami, stawiali opór ssącemu z zewnątrz zimnemu powietrzu. Nie mieli możliwości ucieczki.

– A mogliście zostać tutaj ze mną. Ale co tam, będę dzisiaj miłosierny. Pozwolę każdemu z was powiedzieć coś przed śmiercią i dodam, że jeśli klękniecie, ucałujecie moje stopy i zaczniecie błagać, to może pozwolę wam zostać. Ale tylko „może” – uśmiechnął się ohydnie.

Pierwszy odezwał się Piguła, mówiąc:

– Wolę popływać z rybkami, niż dostać jakiejś francji na wardze! Sierżant był drugi – trzymając się za krwawiące ramię, popatrzył na swojego oprawcę i splunął mu pod nogi, dodając od siebie:

– Oto mój pocałunek!

Mev i Kev nie powiedzieli niczego. Stali w bezruchu, dumnie patrząc na ich przeciwnika i honorowo czekając na egzekucję.

Jersey ku zdziwieniu wszystkich uklęknął. Grid uśmiechnął się najszerzej, jak tylko potrafił. Czekał na tę satysfakcjonującą chwilę.

– Proszę cię. Oszczędź chociaż dziewczyny, mojego brata i tego Anglika. Oni nic nikomu nie powiedzą. Błagam cię.

– Nie! Następny! – buchnął gniewem Grid.

Kolejną osobą był Ice. Popatrzył na Grida i rzekł:

– Po pierwsze uważam, że jesteś żalonym tchórzem o bardzo brzydkiej gębie. Po drugie wiem, że nie ujdzie ci to na sucho i że prędzej czy później oberwiesz za to wszystko. Po trzecie i najgorsze, odebrałeś mi możliwość zaproszenia po raz pierwszy w życiu dziewczyny na randkę i za to nie cierpię cię najbardziej – obrócił się w stronę Andy i powiedział:

– Nie mogę powiedzieć tego samego, co BB do Maggie, ale wiedz jedno. Jesteś bardzo fajna i bardzo cię lubię. Gdybym miał taką możliwość, to jutro zabrałbym cię na ciastko i kawę.

Andy patrzyła na jego słodką piegowatą twarz swoimi błękitnymi oczami. Uśmiechnęła się i jedyne, co odpowiedziała, to:

– Nie odważyłbyś się mnie zaprosić. To ja bym zaprosiła ciebie – zbliżyła się do niego i czule go pocałowała. Dla Ice’a był to pierwszy pocałunek, więc kiedy jego usta zetknęły się z wargami Andy, stracił kontrolę nad swoim ciałem, a jego noga uniosła się do góry jak panience na romantycznym filmie.

– A wy? Jaka jest wasza odpowiedź? – zapytał Grid.

BB zignorował wroga, chwycił Maggie za ręce i powiedział:

– Nie martw się, na pewno odnajdziemy się po drugiej stronie. Cieszę się, że mogłem jeszcze raz poczuć twoje ciepło i posmakować twojego pocałunku. Kocham cię, Maggie.

– Ja ciebie też kocham – uśmiechnęła się i lkając, zaczęła go całować.

Widząc miłość, jaka łączyła Maggie i BB, wszyscy opuścili głowy i nagle posmutnieli. Takie piękne chwile powinny trwać i nigdy się nie kończyć, jednak tutaj to była ich ostatnia możliwość, żeby posmakować tego uczucia. Moment ten nie trwał długo, przerwany przez okrutnego Grida:

– Dobra, koniec tego. Pozdrówcie swojego anielskiego przyjaciela, gdy się z nim za chwilę spotkacie – Grid podszedł bliżej i kopnął Jersey’a z całej siły w klatkę piersiową. Szaraki natomiast wypchnęły całą resztę swoimi długimi rękami.

Wyrzuceni ze statku spadali bezwładnie w dół. Arktyczne zimno szczypało ich ostro po twarzach. Letnie ciuchy łopotaly głośno na mocnym wietrze. Rozpraszać się, lecieli w nierównych od siebie odstępach.

Czarna piramida, niczym gigantyczny grobowiec, lewitowała nad nimi. Czerwony promień wystrzelił z jej szpica. Słońce gotowe było wyruszyć w swoją podróż do konstelacji Oriona.

Jersey, panicznie przewracając oczami, starał się doszukać smoków. Nie było ich nigdzie. Musiały odlecieć zaraz po tym, jak dostali się do środka piramidy. Nie miał do nich o to żalu. Zostając, zginęłyby co do jednego.

Lećąc, patrzyli na coraz szybciej zbliżający się ocean. Byli świadomi, że nikt nie przyjdzie im z pomocą. Patrzyli na siebie, żalu-

jąc, że nie poznali się lepiej. Myśleli o rzeczach, których nie zdążyli zrobić, o miejscach, do których nigdy nie pójdą, o emocjach, których nie doświadczą, o smakach, jakie ich ominą, o ludziach, których nie poznają, o życiach, których nie przeżyją.

Spadając, krzyczeli do oceanu, żeby był dla nich łagodny w momencie, jak w niego uderzą. Wiedzieli, że zginą.

Coś nagle błysnęło. Poczuli się dziwnie. Jakby wszystko nagle zwolniło tysiąckrotnie, po czym znów przyspieszyło.

BB złapał w powietrzu Maggie i przytulił mocno do siebie. Spadając, wtulili się bardzo mocno. Starali się nacieszyć ostatnimi sekundami swojego życia. BB żywił nadzieję, że gdy uderzą w taflę wody, uda się jej przeżyć. Pragnął przejąć całe uderzenie na siebie. Zaczął modlić się, błagając o cud i wtedy właśnie poczul, jak ktoś łapie go bardzo delikatnie za ramiona.

Obrócił głowę i zobaczył białą świetlistą postać. Zasłonięta maską twarz mieniła się jak lustro. Nie posiadała żadnych wyraźnych kształtów, była cała biała. Jej niewielkie dłonie objęły jego ramiona. Poczul, jak staje w miejscu, a zaraz po tym unosi się do góry.

Jersey poczul, że ktoś go obejmuje. Świetlista osoba chwyciła jego ręce. Niedowierzając, wpatrywał się w jej jasne oblicze. Popatrzył na boki i dostrzegł, że każdy z jego przyjaciół, włącznie z Sierżantem i dwoma żołnierzami, został złapany przez jednego z nich. Przybysze ubrani byli w białe, lśniące, połyskujące stroje. Na plecach nosili przypominające skrzydła plecaki. Ciepłe powietrze wydostawało się z nich, pchając ich do góry.

Unosili się szybko i wysoko. Jersey, nadal będąc w szoku, popatrzył raz jeszcze na twarz swojego wybawcy i powiedział w myślach.

– Dziękuję, kimkolwiek jesteś, uratowałeś nam życie.

– Nie musisz nam dziękować. To my dziękujemy wam. To wy nam uratowaliście życie – odpowiedział łagodny głos o barwie bardzo podobnej do poległego Cherubina.

– Cero? – zapytał w myślach Jersey.

– Niestety nie... Jesteśmy jego braćmi – odpowiedział ni to męski, ni

to damski głos.

– To wy jesteście...

– Archaniołami. A teraz zrelaksuj się, nie damy wam zrobić krzywdy.

– Ale Grid ma całą armię...

– O to się nie martw. Sam popatrz – Archaniol uniósł głowę do góry, wskazując na coś. W jego lustrzanej masce zobaczył odbicie piramidy oraz drugiego, jeszcze większego obiektu. Zwrócił swoją twarz w kierunku nieba i to, co zobaczył, odebrało mu mowę.

Biała piramida wisiała tuż nad czarną. Była kilkakrotnie większa, sprawiając, że Veen wyglądała przy niej jak zabawka. Twierdza Grida została oblężona przez otaczające ją srebrzyste spodki i wylatujące z nich setki białych archaniołów. Byli bezpieczni.

– W jaki sposób... Skąd wiedzieliście? – zapytał Jersey.

– Cero wysłał nam sygnał i przybyliśmy natychmiast.

– Jaki sygnał? W jaki sposób?

– Ukrył w swojej masce wiadomość świetlną i posłał ją do nas dzięki promieniom dojrzewającego słońca. Zawierała całą waszą przygodę. Wiemy, jak bardzo pomogliście mu dzisiejszego dnia. Możecie sobie nawet nie zdawać z tego sprawy, ale uchroniliście wszechświat od wielkiej tragedii. Teraz pozwólcie, że my się tym zajmujemy.

– Mój tato... Czy możecie mu pomóc?

– Nie lękaj się. O wszystkim wiemy i wszystkim się zajmujemy.

– Czy to jest...

– Tak. Już go pojmaliśmy. Teraz pozostało nam tylko ugasić słońce.

Grid unosił się do góry niedaleko nich. Jego dłonie, nogi i głowa otoczone były świecącymi okręgami uniemożliwiającymi poruszanie się.

Eskortowany przez dwóch masywnych, czterometrowych czerwonych aniołów, syczał, próbując wyrwać się z niewoli.

Jersey chciał zapytać o coś Archaniola, ale poczuł się bardzo zmęczony. Popatrzył na lecących obok przyjaciół. Wszyscy spali jak małe dzieci. Ziewnął. Zamknął oczy i usnął.

## Epilog

Dwójka nastolatków stała na skraju zielonego klifu i patrzyła na zachodzące słońce.

– O której oni mieli przyjść? – zapytał Ice.

– Powinni być już kwadrans temu – Jersey sprawdził godzinę na zegarku.

Miał na sobie duże czarne okulary przeciwsłoneczne. Opaska zniknęła z jego oka. Stał z rękami włożonymi w kieszenie i wpatrywał się w czerwień chowającego się słońca.

Patrzył na nie w inny sposób niż kilka dni temu. Miało dla niego szczególną wartość. Znaczenie, jakie mało kto mógł zrozumieć.

Ice nachylił się i dołożył kilka patyków do przygotowanego już do rozpalenia ogniska. Nasunięty na głowę kaptur rzucił cień na gojące się rany i siniaki na jego twarzy.

– Idzicieemy! – usłyszeli wycie znanego im głosu.

– Idą – uśmiechnął się Ice.

– Mhm – przytaknął jego brat.

Czwórka młodych ludzi podeszła wolnym krokiem do dwóch braci.

– Cześć wam – odezwał się wysoki czarny chłopak. Trzymał za rękę niższą od siebie czarnowłosą dziewczynę. Ubrani byli jednakowo w czarne podkoszulki i niebieskie spodnie.

– Heja, chłopaki – powiedziała dziewczyna.

– Cześć, Maggie, cześć wszystkim, spóźniliście się – odrzekli bracia równocześnie.

– Sorry, to wina... – BB nie zdążył powiedzieć.

– To moja wina, musiałem skończyć jeść kolację – tłumaczył się Pigula.

– Mogłem się domyślić – uśmiechnął się Ice.

– Zaraz ci dam, żołnierzyku! – tłuścioch pomachał groźnie pięścią.

– Pigula, uważaj, bo od teraz jak coś mu zrobisz, będziesz miał ze mną do czynienia – odezwała się niska blondynka i podchodząc do

Ice'a, dała mu buziaka.

– Hej, Andy – przywitał się z nią zakapturzony chłopak i odwdzięczył całusem.

– Co powiedzieliście Redowi? – zapytał Ice.

– Że idziemy pobiegać – BB wzruszył ramionami i sam postawił pytanie:

– A wy co powiedzieliście Boogiemu?

– Że idziemy się uczyć. Na pewno się nie domyślą – odpowiedział Jersey.

– Lepiej żeby to wszystko zostało między nami. Szkoda mieszać im już w głowach. Uwierzili w historię o zatruciu i halucynacjach wywołanych kwitnącymi grzybami w lesie. Lepiej zostanmy przy tym – odezwała się Maggie.

– Obiecaliśmy Archaniolom, że nikomu nic nie powiemy, i tak też musi pozostać. Przysięgliśmy im – Jersey popatrzył na wszystkich.

– Jak tam wasz tato? – zapytał BB.

– Dobrze. Nie chcę myśleć, co by było, gdyby nie interwencja Archaniolów. Jeszcze kilka dni odpoczynku w domu i będzie jak nowy – odrzekł Ice.

– Cieszę się. To naprawdę niesamowite, co dla nas zrobili. Tak bardzo jestem im wdzięczna. Mój tato nic nie pamiętał, jak się obudził. Nie pamiętał nawet, że upadł na ziemię po tym, jak poślizgnął się na kałuży wody – popatrzyła na Jersey, a on od razu wbił wzrok w ziemię.

– Wystarczyło jedno dotknięcie, a jego problemy z kręgosłupem znikły momentalnie. To było niesamowite – Maggie opowiadała, przytulając się do BB.

– Tak wiele dla nas zrobili. Będę za nimi tęsknił – Ice popatrzył w niebo.

– Dopiero minęło pięć dni, a mi się wydaje, jakby to było wieki temu – powiedziała Andy.

– Gdybyście mieli do wyboru przeżyć tamten dzień raz jeszcze, co byście wybrali? Zrobilibyście to jeszcze raz? – zapytał niespodziewanie Pigula.

– Ponowne ratowanie wszechświata przed maniackim klonem? – Ice zrobił głupią minę, po czym od razu dodał:

– Jasne, że tak! Wpiszcie mnie na listę!

– Haha – zaśmiali się i przytakiwali głowami.

– Jak tam, Piguła, dalej chcesz zrobić to, o czym mówiliśmy cały wto-rek?

– Już się wpisałem. Jak tylko skończę liceum, idę od razu do armii. Czas leci szybko.

– No chyba, że się go rozszerzy! – przerwał mu BB, po czym znów wszyscy się zaśmiali.

– Jak ty sobie tam poradzisz? Przecież dieta żołnierzy drastycznie różni się od twojej – Maggie złapała się za głowę.

– Spoko. Mev i Kev obiecali pomóc mi w zmienieniu nawyków ży-wieniowych – Piguła poklepał się po brzuchu.

– Oni są teraz jego największymi idolami – Ice szepnął do Andy.

– Wiem! To jest niesamowite, bo jeszcze tydzień temu jego najwięk-szym idolem był Ronald McDonald – zaśmiała się do niego.

– Co tam o mnie mówicie? – dopytywał się tłuszcioch.

– Nic takiego! Po prostu się cieszymy – odpowiedział Ice.

– Masz szczęście! – grubas zagroził mu palcem.

– Zostając na chwilę przy wojsku. Jak tam sytuacja w obu bazach? Jak zareagowali na brak głowic? – BB zapytał Jersey.

– Szczerze? Nic się nie stało. Zerowa reakcja. Z ilości głowic, jakie uzbierał Grid, można wysunąć wniosek, że na pewno już wcześniej spotkali się z magicznie znikającymi atomówkami. Poza tym, co oni mogą zrobić, skoro nawet opinia publiczna nie ma zielonego pojęcia, co oni tam skrywają?

– I co będzie z Gridem? Co oni z nim robią? – zapytała Maggie.

– Zamkną go w jakiejś ciupie na sto lat... A może więcej? Jak długo żyją anioły? – Ice podrapał się po brodzie.

– Nie wiem, co z nim robią, ale jak widziałem tych wielkich czer-wonych aniołów, którzy go prowadzili, to naprawdę nie mamy się czym martwić. Na pewno nie będzie mu łatwo uciec od tego wszyst-kiego – dodał BB.



- Cokolwiek mu zrobią, wierzę, że będzie to adekwatne do tego, co sam zamierzał. Gość miał nierówno pod kopułką. Jak pomyślę, co chciał z nami zrobić, to od razu mi słabo – Andy wtuliła się w Ice’a.
- Jesteśmy teraz bezpieczni. I to jest najważniejsze. A wszystko wiecie dzięki komu – Maggie popatrzyła w niebo.
- Dobra, słońce już zaszło – przerwał im Jersey.
- Racja. Już czas! – poderwał się BB.
- Ładnie to tak zaczynać beze mnie? – odezwał się niski ostry głos.
- Przyszedłeś! – Piguła podskoczył w radości.
- Pączkogołbo, mówilem ci już to sto razy. Miałeś powiedzieć „Przyszedłeś, Sir!” – podszedł do nich wysoki dobrze zbudowany mężczyzna. Prezentował się dostojnie, ubrany w elegancki reprezentacyjny kremowy mundur, szeroki kapelusz i świecące lakierki.
- Sir, witamy, Sir – zasalutował Ice i ściągnął przy tym kaptur ze swojej głowy.
- Cześć Icek, cześć wam wszystkim – uśmiechnął się Sierżant, na co wszyscy rozdziawili szeroko usta. Nie spodziewali się tak luźnego powitania.
- No co? Dajcie spokój z tą formalnością – Sierżant machnął ręką i ściągnął kapelusz ze swojej głowy.
- Witamy, Sierżancie – odpowiedzieli nastolatkwie.
- Cześć, Alfred – wypalił Piguła.
- Nie przeginaj paly, co? – Sierżant upomniął tłuszciocha.
- Żartowałem tylko – odparł grubasek, wykrzywiając przy tym usta.
- Dobra. Koniec tego. Zaczynamy – wtrącił Jersey.

Stanęli wokół ogniska. Ice przykucnął i odpalił kawalek papieru. Włożył go pod spód wysokiego stosu gałęzi i czekał aż zapłonie. Podmuchał troszkę, ożywiając ogień. Wstał i czekał.

Płomień zaczął zajmować gałęzie, wspinając się coraz to wyżej po nich. Odgłos strzelających iskier i spalanego drzewa wypełnił cichą atmosferę.

Ognisko rosło coraz szybciej, oddając z każdą chwilą coraz więcej ciepła. Wpatrywali się spokojnie w jęgo żar, czekając w milczeniu na ruch Jersey’a.

Chłopak odszedł na moment od ogniska, by po chwili wrócić. W rękach trzymał długi luk sportowy przemalowany na złoto. Doklejone na końcach spiralne plastikowe elementy zbliżyły jego wygląd do tego samego, jakim posługiwał się Cero.

W jednej ręce trzymał długą strzałę zakończoną zawiniętym bandażem w kształcie niewielkiej kuli. Wkładając do ogniska jej szpic, zapalił go. Odwrócił się i zaczął maszerować w kierunku zbocza wzgórza, na którym stali. Przyjaciele ruszyli za nim. Doszedł do krawędzi klifu. Napiął mocno luk i wymierzył wysoko w niebo.

– To dla ciebie, przyjacielu. Spoczywaj w pokoju wraz z wszystkimi braćmi, którzy poświęcili swoje życie dla nas i wszystkich ludzi. Zawsze będziemy o tobie pamiętać. Jesteśmy twoimi dłużnikami do końca naszych dni. Za Cero! – zakończył zdanie podniesionym głosem.

– Za Cero!!! – powtórzyli za nim wszyscy.

– Za Cero!

– Za Cero!!!

– Odpoczywaj w pokoju – Jersey szepnął i naprężając mocno luk, wypuścił strzałę. Poleciała wysoko, rozświetlając na moment ciemne już niebo. Ciarki przeszły im po plecach, gdy usłyszeli jej świst. Śledzili ją wzrokiem, aż nisko opadając zanurzyła się w morzu. Płomień zgasł.

Stali tak jeszcze przez moment w milczeniu i po minucie wrócili do ogniska. Jersey wrzucił luk w płomień i wszedł w rząd przytulonych do siebie przyjaciół. Patrzyli na luszczącą się pod wpływem wysokiej temperatury farbę. Bąble pojawiały się i część po części złota emulsja odpadła. Cięciwa traciła swoją grubość i pękła na pół. Zaokrąglone plastikowe końce zakręciły się do środka i zbiły w nierówną papkę. Drewniany gruby trzon ściemniał i zaczął trząskać i tańczyć z płomieniami.

Jersey patrzył, jak przedmiot zanika tuż przed nim, zamieniając się w popiół. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Życie jest jak ten luk. Wydaje się być mocny i niezniszczalny, a gdy przychodzi jego czas, pęka i znika. Nie pozostawia po sobie nic za wyjątkiem garstki popiołu – pomyślał.

- To nieprawda. Życie trwa nadal, ale w innym wymiarze. Tam, gdzie popiół iść nie może – odezwał się cichy głos.
- Kto to powiedział? – obrócił się gwałtownie Jersey.
- Co? Kto powiedział, co? – zapytał zdziwiony Ice.
- No teraz ktoś mówił coś o popiele – Jersey patrzył na wszystkich.
- Nikt nic nie mówił, Jersey – uśmiechnęła się zakłopotana Maggie.
- Życie jest wieczne, więc nie smuć się – po raz drugi usłyszał głos. Tym razem wiedział, że nie pochodził od żadnego z jego przyjaciół. Poznał go momentalnie. Uśmiechnął się, popatrzył na usiane tysiącami gwiazd niebo i odpowiedział w myślach.
- Dziękuję Ci, Cero.



Debiutancką przygodę patronują:

Anglia rok 1981.

Dwie rywalizujące ze sobą grupy nastolatków.

Czworo Anglików, para Amerykanów, dwóch braci pochodzenia polskiego.

Co z takiej mieszanki może powstać?

Uwikłani w niezmiernie ciąg wydarzeń muszą połączyć swoje siły żeby przeżyć jeden bardzo intrygujący i tajemniczy dzień 11 lipca 1981 roku.

Co takiego przydarzyło się owego dnia na wschodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii?

Co takiego widzieli, że na zawsze zmieniło ich życie?

Kogo kocha Maggie?

Kim były istoty, które ich ścigały?

Co z tym wszystkim wspólnego miało wojsko USA?

Ile jedzenia może pomieścić brzuch Piguły?

**HUMOR, PRZYGODA, FANTASTYKA, HISTORIA MIŁOSNA - IDEALNA KSIĄŻKA NA WAKACJE!**

Potrafi wciągnąć czytelnika i sprawić, że stanie się jednym z bohaterów.

Historia w niej zawarta wydaje się być bardzo realistyczna – jakby za chwilę to samo mogło przydarzyć się nam.

5/6 **paranormal**  
BOOKS.PL

Globalna katastrofa i zacięta walka z nieprzyjacielem? Zdecydowanie.

Bitwa o życie, honor i miłość? Jak najbardziej!

Przygotujcie się na to Drodzy Czytelnicy, wspaniała książka nadchodzi!

Redakcja [MoznaPrzeczytac.pl](http://MoznaPrzeczytac.pl)



ISBN 978-83-937505-1-1

[www.wlesie.com](http://www.wlesie.com)